

Lodge David

TERAPIA

Przełożyła Zuzanna Naczyńska

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2008

Tytuł oryginału Therapy

Copyright © David Lodge, 1995 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznan 2008

Redaktor Katarzyna Razniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Mr Bleaney from Philip Larkin's The Whitsun Weddings, is quoted by permission of Faber & Faber Ltd. Too Young (Lippman/Dee) is quoted by permission; copyright © Jefferson Music Inc., USA, 1951; copyright renewed 1979 by Aria Music Company, USA, Campbell Connolly & Co. Ltd, 8-9 Frith Street, London W1

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-249-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49,60-171 Poznań tel.

061-867-47-08,061-867-81-40; fax 061-867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl Skład: AKAPIT, Poznań, tel. 061-879-38-88

Wiele osób służyło mi pomocą przy zbieraniu materiałów do tej powieści oraz jej pisaniu, odpowiadając na moje pytania i/lub czytając i komentując tekst. Jestem szczególnie wdzięczny Marie Andrews, Bernardowi i Anne Bergonzi, Izakowi Win-kelowi Holmowi, Michaelowi Paulowi i Martinowi Shardlow.

Akcja powieści rozgrywa się, jak to zwykle bywa, w miejscach prawdziwych i zmyślonych, ale postaci i ich

działania są całkowicie fikcyjne, może z wyjątkiem wspomnianego nawiasowo w części czwartej autora-prezentera reportażu telewizyjnego.

D. L.

Terapia. Leczenie fizycznych lub psychicznych zaburzeń i chorób.

Collins English Dictionary

„Wiesz co, Soren? Wszystko jest z tobą w porządku oprócz tego głupiego zwyczaju garbienia pleców. Wyprostuj się tylko i wstań, a będzie po twojej chorobie”.

Christian Lund, wuj Sorena Kierkegarda

Pisanie jest formą terapii”.

Graham Greene

-c.

CZĘŚĆ PIERWSZA

UWAGA, start.

Poniedziałek rano, 15 lutego 1993. Dzień jest ciepły i wiewiórki ocknęły się z hibernacji. Bezlistne drzewa w ogrodzie służą im za coś w rodzaju placu zabaw. Przyglądałem się, jak dwie z nich grają w berka w kasztanach, które rosną pod oknem mojego gabinetu. Wbiegły spiralnie po pniu i polawiowały wśród gałęzi, przeleciały pędem po jakimś konarze i dały susa na sąsiednie drzewo, szurnęły na dół głowami do przodu — w połowie drogi znieruchomiały, uczepiwszy się pomarszczonej kory, jakby miały na łapkach rzepy — i popruły przez trawnik. Pierwsza usiłowała zgubić drugą, robiąc nagłe zwroty, aż obie dopadły topoli kanadyjskiej i wyrwały po pniu do góry, ku cienkim, elastycznym gałązkom. Dopiero tam przysiadły na odpoczynek, kołysząc się delikatnie i mrugając do siebie z zadowoleniem. Czysta rozrywka — nie ulega kwestii. Brykały, wykorzystując swą zwinność po prostu dla zabawy. Jeśli reinkarnacja istnieje, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby narodzić się ponownie jako wiewiórka. Muszą mieć stawy kolanowe z hartowanej stali.

Po raz pierwszy poczułem ten ból mniej więcej rok temu. Opuszczałem moje londyńskie mieszkanie w pośpiechu, żeby zdążyć na pociąg o 18.10 z Euston, i miotałem się między

i

11

>

czterema pomieszczeniami, wpychając do aktówki scenariusze i brudną bieliznę, zamykając okna, gasząc światła, przestawiając regulator centralnego ogrzewania, wylewając do zlewu mleko z kartonów,

spryskując sanilavem muszlę klozetową — jednym słowem, odpajkując kolejne punkty listy pt. „Zanim wyjdiesz z domu”, którą Sally wypisała dla mnie i przyklepiła do drzwi lodówki magnetycznymi żółtymi śmieszkami, gdy nagle go poczułem: ostry, przeszywający ból, jakby ktoś wbił mi rozżarzoną igłę w sam środek prawego kolana, po czym ją wyciągnął. Wydałem przeraźliwy okrzyk i padłem na łóżko (byłem akurat w sypialni). „Chryste! — powiedziałem zaskoczony, na głos, chociaż do siebie. — Co to, kurwa, było?”

Ból zostawił po sobie pieczenie, które szybko ustąpiło. Podniosłem się ostrożnie. (A może „ostrożnie”? Nie, sprawdziłem w słowniku, przez „ż”) Podniosłem się ostrożnie, spróbowałem przenieść ciężar ciała na prawą nogę, zrobiłem parę kroków (swoją drogą, to zabawne słowo, nie ma nic wspólnego z ostrogą, pochodzi od „ostroża”, czyli po dawnemu straż — a zawsze sądziłem, iż wzięło się stąd, że przy zakładaniu ostróg trzeba być ostrożnym. Nie, żebym kiedykolwiek nosił ostrogi i nie miałem też przodków — rycerzy). Zrobiłem parę kroków bez żadnych przykrych konsekwencji, wzruszyłem ramionami i pomyślałem, że był to pewnie jakiś nietypowy nerwoból, w rodzaju tego nagłego, rozdzierającego skurczu, który chwyta cię czasami w szyi, kiedy się wykręcasz, żeby coś wziąć z tylnego siedzenia samochodu. Wyszedłem z mieszkania, złapałem pociąg i zapomniałem o całej sprawie.

Jakiś tydzień później, gdy pracowałem w gabinecie przy biurku, założyłem nogę na nogę i poczułem go znowu: nagły, kłujący ból w prawym kolanie. Zatchnąłem się, a potem wypuściłem powietrze z głośnym „Choleera jasna!” Odtąd zaczął się pojawiać coraz częściej, choć dalej był nieprzewidywalny. Rzadko chwycił mnie wtedy, kiedy się go spodziewałem, na

1

przykład podczas gry w golfa czy tenisa, ale mógł mnie złapać tuż po meczu, w klubowym barze, albo podczas jazdy samochodem do domu, albo gdy siedziałem zupełnie spokojnie w gabinecie lub leżałem w łóżku. Budziłem się przez niego z krzykiem w środku nocy i Sally myślała, że dręczy mnie jakiś koszmar. Tymczasem koszmary są chyba jedyną rzeczą, która mi nie dokucza. Cierpię na depresję, stany lękowe, napady paniki, nocne poty i bezsenność, ale nie miewam koszmarów. Zazwyczaj w ogóle nic mi się nie śni. Co po prostu oznacza, jak rozumiem, że nie pamiętam moich snów, bo podobno wszyscy śnimy, kiedy śpimy. Można by powiedzieć, że całą noc miga mi w mózgu nieoglądany program telewizyjny. Kanał Snów. Szkoda, że nie mogę go nagrać na wideo. Może wtedy dowiedziałbym się, co mi jest. Nie chodzi mi o moje kolano. Chodzi mi o moją głowę. O mój umysł. O moją duszę.

Uznałem to za trochę niesprawiedliwe, że do wszystkich innych problemów musiał mi jeszcze dość tajemniczy ból w kolanie. Oczywiście, jeśli chodzi o zdrowie, mogą się człowiekowi przytrafić gorsze rzeczy. Na przykład: rak, stwardnienie rozsiane, paraliż, rozedma płuc, alzheimera i AIDS. Nie mówiąc o chorobach, z którymi można się urodzić, jak dys-trofia mięśni, porażenie mózgowe, hemofilia i epilepsja. Nie mówiąc o wojnie, zarazie i głodzie. Co zabawne, ta świadomość nie czyni bólu w kolanie ani trochę łatwiejszym do zniesienia.

Być może jest to objaw tak zwanego „wyczerpania współczucia”. Media biją nas codziennie po oczach takimi ilościami ludzkiego cierpienia, że staliśmy się jakby odrętwiali, zużyliśmy wszystkie rezerwy litości, gniewu i oburzenia i potrafi-

przykład podczas gry w golfa czy tenisa, ale mógł mnie złapać tuż po meczu, w klubowym barze, albo podczas jazdy samochodem do domu, albo gdy siedziałem zupełnie spokojnie w gabinecie lub leżałem w łóżku. Budziłem się przez niego z krzykiem w środku nocy i Sally myślała, że dręczy mnie jakiś koszmar. Tymczasem koszmary są chyba jedyną rzeczą, która mi nie dokucza. Cierpię na depresję, stany lękowe, napady paniki, nocne poty i bezsenność, ale nie miewam koszmarów. Zazwyczaj w ogóle nic mi się nie śni. Co po prostu oznacza, jak rozumiem, że nie pamiętam moich snów, bo podobno wszyscy śnimy, kiedy śpimy. Można by powiedzieć, że całą noc miga mi w mózgu nieoglądany program telewizyjny. Kanał Snów. Szkoda, że nie mogę go nagrać na wideo. Może wtedy dowiedziałbym się, co mi jest. Nie chodzi mi o moje kolano. Chodzi mi o moją głowę. O mój umysł. O moją duszę.

Uznałem to za trochę niesprawiedliwe, że do wszystkich innych problemów musiał mi jeszcze dojść tajemniczy ból w kolanie. Oczywiście, jeśli chodzi o zdrowie, mogą się człowiekowi przytrafić gorsze rzeczy. Na przykład: rak, stwardnienie rozsiane, paraliż, rozedma płuc, alzheimera i AIDS. Nie mówiąc o chorobach, z którymi można się urodzić, jak dys-trofia mięśni, porażenie mózgowe, hemofilia i epilepsja. Nie mówiąc o wojnie, zarazie i głodzie. Co zabawne, ta świadomość nie czyni bólu w kolanie ani trochę łatwiejszym do zniesienia.

Być może jest to objaw tak zwanego „wyczerpania współczucia”. Media biją nas codziennie po oczach takimi ilościami ludzkiego cierpienia, że staliśmy się jakby odrętwiali, zużyliśmy wszystkie rezerwy litości, gniewu i oburzenia i potrafi-

my myśleć wyłącznie o bólu w naszym własnym kolanie. Nie osiągnąłem jeszcze tego stadium, nie do końca, ale rozumiem, w czym rzecz. Dostaję pocztą mnóstwo próśb o wsparcie. Sądzę, że organizacje dobroczynne przekazują sobie nazwiska i adresy: wystarczy, że złożysz datek jednej z nich, a zanim się obejrzyś, koperty przelatują ci przez skrzynkę tak szybko, że nie nadążasz ich podnosić. OXFAM*, CAFOD**, UNICEF, Pomoc Dzieciom, Królewski Instytut Ociemniałych, Czerwony Krzyż, Fundacja Onkologiczna, Dystrofia Mięśni, Schronienie i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie zawierają wydrukowane na papierze makulaturowym formularze i ulotki z nieostrymi, czarno-białymi zdjęciami głodujących Murzyniłek o kończynach jak patyki i głowach jak u starców albo dzieci na wózkach inwalidzkich, albo przerażonych uchodźców, albo beznogich kalek o kulach. Jak można położyć tamę tej fali ludzkich nieszczęść? Powiem wam, co ja robię. Deklaruję się na tysiąc funtów rocznie w pewnej organizacji, która przysłała mi specjalną książeczkę czekową do składania darowizn na wybrane cele. Uzyskuję też zwrot podatku od tych pieniędzy, co podbija sumę do tysiąca czterystu funtów. Tak więc każdego roku rozdaję tysiąc czterysta funtów w małych działkach: pięćdziesiąt funtów na głodujące dzieci w Somalii, trzydzieści na ofiary gwałtu w Bośni, czterdzieści pięć na studnię w Bangladeszu, dwadzieścia pięć na ośrodek leczenia narkomanów w Basildonie, trzydzieści na badania nad AIDS i tak dalej. Przypomina to próbę wytarcia oceanu paczką chusteczek higienicznych, ale zapobiega wyczerpaniu współczucia.

Oczywiście byłoby mi stać na dużo hojniejsze datki. Przy moich obecnych dochodach mógłbym rozdać dziesięć tysięcy-

* Oxford Committee for Famine Relief — Oksfordzki Komitet do Walki z Głodem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Catholic Fund for Overseas Development — Katolicki Fundusz Pomocy Krajom Rozwijającym się.

14

cy rocznie bez specjalnego bólu. Jeśli o to chodzi, mógłbym rozdać wszystko, lecz dalej byłaby to tylko paczka chusteczek higienicznych. Więc zatrzymuję większość pieniędzy dla siebie i wydaję je, między innymi, na prywatne leczenie mojego kolana.

Najpierw poszedłem do internisty. Zalecił fizykoterapię. Fizykoterapeuta po jakimś czasie zalecił wizytę u ortopedy. Ortopeda zalecił artroskopię. Jest to wymyślny zabieg mikro-chirurgiczny z użyciem supernowoczesnej technologii. Lekarz wtfacza ci do kolana wodę, żeby stworzyć tam coś w rodzaju studia telewizyjnego, a potem wbija w nie trzy cienkie jak igła przyrządy. Jeden ma na końcu kamerę, drugi służy do cięcia, a trzeci jest pompą do odsysania śmieci. Są tak cieniutkie, że gołym okiem ledwo je rozróżniasz, a lekarz nie musi później zakładać żadnych szwów. Kręcąc twoim stawem kolanowym we wszystkie strony i patrząc w monitor, ustala, co jest nie w porządku, a potem wycina naderwaną chrząstkę czy tkankę, czy ostry kawałek kości, czy co tam powoduje kłopoty. Słyszałem, że niektórzy pacjenci dostają tylko znieczulenie miejscowe i oglądają całą operację na monitorze, ale ja nie miałem na to ochoty i powiedziałem, że nie mam. Nizar uśmiechnął się uspokajająco. (Tak się nazywa mój ortopeda, Nizar. Pochodzi z Bliskiego Wschodu, z Libanu albo Syrii czy któregoś z tych krajów, i podobno nie zamierza tam wracać.) Powiedział, że zastosuje znieczulenie ogólne, ale da mi do domu kasetę wideo z zabiegiem. I wcale nie żartował. Wiedziałem, że kręci się teraz na wideo śluby, chrzty i urlopy, ale nie przypuszczałem, że ta moda objęła już operacje. Można by pewnie montować małe filmiki i zapraszać znajomych na wspólne oglądanie przy winie i serach. „To mój wyrostek, wycięli mi go w osiemdziesiątym czwartym, a może w pięтым... Fajne, co? A to mój za-

bieg na otwartym sercu, oj, kamera trochę skacze... Następną będzie histerektomia Dorothy...” [Uwaga: pomysł do wykorzystania w Sąsiadach?] Powiedziałem Nizarowi: „Mógłby pan na boku wypożyczać kasety ludziom, którzy sami nie mieli żadnych operacji”. Roześmiał się. Był bardzo pewny artroskopii. „Dziewięćdziesiąt pięć procent pacjentów odzyskuje pełną sprawność narządu” — stwierdził. Ale ktoś musi być w tych pechowych pięciu procentach.

Poddałem się operacji w Szpitalu Ogólnym w Rummidge. Jako pacjent prywatny normalnie poszedłbym do Abbey, kliniki BU PA* usytuowanej w pobliżu boiska do krykieta, ale akurat mieli tam mały zastój — odnawiali jedną z sal operacyjnych czy coś i Nizar powiedział, że może zająć się mną wcześniej, jeśli pójdę do Ogólnego, gdzie pracuje jeden dzień w tygodniu dla NHS-u**. Obiecał, że dostanę pokój jednoosobowy, a w grę wchodziła tylko jedna noc, więc się zgodziłem. Chciałem to mieć za sobą jak najszybciej.

Gdy tylko taksówka przywiozła mnie do Ogólnego, o godzinie dziewiątej pewnego zimowego ranka, zacząłem żałować, że nie zczekałem na łóżko w Abbey. Ogólny jest wielkim, ponurym wiktoriańskim gmachem, na zewnątrz pokrytym szerniącą cegłą, wewnątrz brudnozieloną i brudnokremową farbą. Poczekalnia była już pełna ludzi. Siedzieli zgarbieni na profilowanych plastikowych krzesłach i emanowała z nich ta aura rezygnacji, która nieodmiennie kojarzy mi się ze szpitalami NHS-u. Jeden mężczyzna miał na głowie bandaż przesiąknięty krwią. Jakieś niemowlę darło się wniebogłosem.

* British United Provident Association — Brytyjskie Zjednoczone Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji.

** National Health Service — Państwowa Służba Zdrowia, brytyjski system bezpłatnego leczenia.

Nizar dał mi strzępek papieru milimetrowego, na którym nabazgrał swoje nazwisko oraz datę i godzinę mojego przyjęcia. Takie skierowanie do szpitala wydało mi się wręcz śmieszne, ale rejestratorka je uznała i kazała mi pójść na oddział na trzecie piętro. Pojechałem windą i zostałem obsztorcowany przez groźnie wyglądającą pielęgniarkę, która wsiadła na pierwszym i zwróciła mi uwagę, że z windy może korzystać wyłącznie personel. „Dokąd pan jedzie?” — spytała ostrym tonem. „Na oddział 3} — odparłem. — Mam mieć drobną operację. U doktora Nizara”. „Aha — powiedziała z lekką drwiną w głosie — jest pan jego prywatnym pacjentem, tak?” Odniosłem wrażenie, iż nie pochwała leczenia prywatnych pacjentów w szpitalach NHS-u. „Będę tu tylko jedną noc” — oznajmiłem pojednawczo. Parsknęła szczekliwym śmiechem, co mnie zaalarmowało, i słusznie. Okazało się bowiem, że jest przełożoną oddziału 3J. Czasem się zastanawiam, czy to nie ona zaaranżowała gehennę, którą przeszedłem w ciągu następnej półtorej godziny.

Przed wejściem na oddział stał rząd czarnych plastikowych krzeseł. Siedziałem tam dobre dwadzieścia minut, aż przysłała jakaś chuda, mizerna, młoda Azjatka w białym lekarskim fartuchu. Zanotowała moje dane, spytała, czy jestem na coś uczulony, i przywiązała mi do przegubu identyfikator z nazwiskiem. Potem zaprowadziła mnie do małego, dwuosobowego pokoju. Na jednym z łóżek, twarzą do ściany, leżał mężczyzna w pasiastej piżamie. Miałem już zaprotestować, że obiecano mi jedynekę, gdy odwrócił się, aby na nas spojrzeć, i zobaczyłem, że jest Murzynem, prawdopodobnie z Jamajki. Nie chcąc wyjść na rasistę, ugryzłem się w język. Lekarka kazała mi zdjąć ubranie i włożyć szpitalną koszulę, leżącą na wolnym łóżku, jedną z tych, które mają rozcięcie na plecach. Poleciała mi również odpiąć protezy kończyn oraz wyjąć sztuczną szczękę, szklane oczy i wszelkie inne akcesoria tego typu, w które

mogłem być wyposażony, po czym wyszła. Rozebrałem się i włożyłem koszulę. Jamajczyk obserwował mnie zadrośnię. Powiedział, że przyjęto go przed trzema dniami, na operację przepukliny, i od tamtej pory nikt się nim nie zainteresował. Najwyraźniej wpadł w jakąś czarną dziurę w systemie.

Siedziałem w koszuli na brzegu łóżka, czując, że podwiewa mnie przeciąg. Jamajczyk znów odwrócił się twarzą do ściany i chyba zapadł w drzemkę, bo od czasu do czasu stękał i pojękiwał. Młoda lekarka Azjatka wróciła do pokoju i porównała nazwisko na moim identyfikatorze ze swoimi notatkami, jakby mnie nigdy przedtem nie widziała. Ponownie zapytała, czy jestem na coś uczulony. W szybkim tempie traciłem zaufanie do tego szpitala. „Ten człowiek mówi, że jest tu od trzech dni i nikt nie zwraca na niego uwagi” — powiedziałem. „Przynajmniej może sobie pospać — odrzekła lekarka. — Mnie się to nie udało od trzydziestu sześciu godzin”. Znów wyszła z pokoju. Czas płynął bardzo powoli. Przez zakurzoną szybę świeciło blade zimowe słońce. Przyglądałem się, jak cień futryny pełźnie po płytkach podłogi. Potem pielęgniarka i sanitariusz z wózkiem przyszedli mnie zabrać na salę operacyjną. Sanitariusz był miejscowym chłopakiem o bladej, beznamietnej twarzy karciarza, a pielęgniarka hożą irlandzką dziewczyną, której wykrochmalony mundurek wydawał się o numer za mały, przez co wyglądała trochę wyzywająco. Sanitariusz rzucił mi na przywitanie zwyczajowe lokalne „W porządku?” i kazał wskoczyć na wózek. Powiedziałem: „Mógłbym pójść sam, no wie pan, w szlafroku. Właściwie nic mnie nie boli”. Ścisłe biorąc, od ponad tygodnia nie poczułem w kolanie nawet jednego ułucia, co jest dość typowe dla takich przypadłości: jak tylko zaczniesz się leczyć, symptomy znikają. „Nie, muszę pana zawieźć — odparł. — Przepisy”. Przytrzymując poły koszuli jak edwardiańska dama turniurę, wspiąłem się na wózek i położyłem. Pielęgniarka chciała wiedzieć, czy się denerwuję.

„A powinienem?” — spytałem. Zachichotała i nic nie odrzekła. Sanitariusz spojrzął na mój identyfikator. „Passmore, zgadza się. Amputacja prawej nogi, tak?” „Nie! — wrzasnąłem, podrywając się z przerażeniem. — To drobna operacja kolana”. „On tylko pana podpuszcza — powiedziała pielęgniarka. — Przestań, Tom”. „Tylko żartowałem” — potwierdził Tom z kamienną twarzą. Przykryli mnie kocem i wetknąwszy jego brzegi pod materac, przygwoździli mi ręce do boków. „Żeby się pan nie poobijał, jak będziemy przejeżdżać przez wahadłowe drzwi” — wyjaśnił Tom. Jamajczyk się obudził i wsparty na łokciu obserwował mój odjazd. „Na razie” — powiedziałem. Już go więcej nie zobaczyłem.

Leżąc na wózku na wznak, bez poduszki pod głową, czujesz się dziwnie bezbronny. Nie wiesz, gdzie jesteś ani dokąd cię wiozą. Widzisz tylko sufit, a sufity w Szpitalu Ogólnym nie przedstawiały miłego widoku: popękany tynk, odpadająca farba, pajęczyny w kątach i zdechłe muchy w kloszach lamp. Miałem wrażenie, że pokonujemy całe mile korytarzy. „Jedziemy trasą widokową — odezwał się zza mojej głowy Tom. — Winda osobowa jest popsuta. Musimy zwieźć pana do podziemi windą gospodarczą i przejechać do drugiego skrzydła, a potem wjechać na górę inną windą i wrócić”. Winda gospodarcza była przepaścista, słabo oświetlona, przesycona zapachem gotowanej kapusty i prania. Gdy przepychali mnie przez próg, koła wózka zaczepiły się o coś i dłuższą chwilę patrzyłem w szparę między kabiną i szybem, na czarne, ociekające smarem kable i rowkowane koła przedpotopowego mechanizmu dźwigowego. Poczułem się jak na planie jednego z tych „artystycznych” filmów, w których wszystkie ujęcia są kręcone pod nienaturalnym kątem.

Tom zasunął ze szczękiem harmonijkowe drzwi, pielęgniarka wcisnęła guzik i winda ruszyła powoli w dół z niemiłosiernym zgrzytaniem i jęczeniem. Jej sufit był jeszcze bardziej

przygnębiający niż sufity korytarzy. Moi towarzysze, niewidoczni dla mnie, prowadzili luźną rozmowę. „Masz fajki?” — zapytała pielęgniarka. „Nie — odparł Tom. -7 Rzuciłem palenie, w zeszły wtorek”. „Dlaczego?” „Szkodzi na zdrowie”. „To co teraz robisz?” „Uprawiam dużo seksu” — stwierdził Tom bezbarwnym głosem. Pielęgniarka zachichotała. „Ale zdradzę ci pewną tajemnicę — ciągnął. — Pochowałem papierosy w całym szpitalu, na wypadek gdyby mnie przycisnęło. Jeden jest w podziemiach”. „Jaki?” „Benson. Jak chcesz, możesz go sobie wziąć”. „Fajnie — odparła pielęgniarka. — Dzięki”. Winda szarpnęła i się zatrzymała.

Powietrze w podziemiach było gorące i suche z powodu bliskości kotłowni i zacząłem się pocić pod kocem, podczas gdy Tom pchał mnie między piramidami kartonów, skrzyń i kontenerów ze szpitalnymi zapasami. Z półkolistego stropu zwisały pajęczyny, gęste jak nietoperze odchody. Wózek podskakiwał na kamiennych płytach, urażając mi kręgosłup. Tom zatrzymał się na chwilę, żeby wyszperać ukrytego papierosa, po czym zniknął z pielęgniarką za gigantyczną stertą prania. Dobięły mnie stamtąd piski i szelesty, sugerujące, że za bensoną wygzekwował drobną przysługę. Nie mieściło mi się to wszystko w głowie. Jak można wystawiać prywatnego pacjenta na takie poniżenie? Czułem się, jakbym zapłacił za bilet w klasie klubowej i wylądował na połamanym fotelu w ogonie samolotu, tuż obok toalety, wśród palaczy dmuchających mi dymem prosto w nos. (Mówiąc w przenośni — pielęgniarce zabrakło tupetu, żeby zapalić papierosa przy mnie.) Mój nastrój pogarszała świadomość, że Sally nie okaże mi współczucia, gdy opowiem jej tę historię: z zasadniczych względów nie pochwała prywatnej służby zdrowia i nie chciała zapisać się ze mną do BUPA.

Ruszyliśmy w dalszą drogę i klucząc po labiryncie magazynów, dotarliśmy do drugiej, podobnej windy, usytuowanej na samym końcu olbrzymich podziemi, którą powoli wyjechaliś-

20

my z powrotem w światło dzienne. Odbiliśmy następną długą jazdę następnymi korytarzami — a potem nagle wszystko się zmieniło. Przez wahadłowe drzwi wjechałem z wieku dziewiętnastego w dwudziesty, z wiktoriańskiego gotyku w stechniczowaną nowoczesność. Czułem się, jakbym wszedł do jasno oświetlonego, eleganckiego atelier po godzinie potykania się o kable na ciemnym zapleczu hali zdjęciowej. Wszystko było tu białe i srebrne, nieskazitelnie czyste i lśniące w rozproszonym świetle, a personel medyczny uśmiechał się uprzejmie i mówił cichymi, kulturalnymi głosami. Zgrabnie przeniesiono mnie z wózka na bardziej wymyślne ruchome łóżko i zawieziono do pomieszczenia, w którym czekał anestezjolog. Ten poprosił, abym popracował lewą dłońią, i ostrzegł mnie kojącym tonem, że mogę poczuć lekkie ukłucie, po czym wprowadził jakiś plastikowy wentyl w żyłę na moim przedramieniu. Po chwili do pokoju wkroczył Nizar, w jasnoniebieskim fartuchu chirurgicznym i z siatką na włosach. Wyglądał jak pulchna, ubrana w piżamę gospodyni domowa, która dopiero wstała z łóżka i nie zdjęła jeszcze lokówek. „Dzień dobry, stary druhu — przywitał mnie. — Wszystko jest tip-top?” Nizar włada angielskim bezbłędnie, ale chyba czytał za dużo P.G. Wodehousea. Chciałem powiedzieć, że nie, jak dotąd nic nie było tip-top, ale uznałem, że nie jest to odpowiedni moment na skargi. Poza tym zaczynało mnie już ogarniać ciepłe, błogie uczucie senności. Nizar oglądał zdjęcia rentgenowskie mojego kolana, trzymając je przed zapaloną tablicą. „A tak” — mruknął do siebie, jakby mgliście rozpoznał

podobiznę jakiejś napotkanej przed laty osoby. Potem stanął obok łóżka, naprzeciw anestezjologa. Obydwaj uśmiechnęli się do mnie. „Splatacz” — stwierdził anestezjolog. Byłem ciekaw, o co mu chodzi. Wcześniej zabrano mi koc i nie wiedząc, co zrobić z rękami, spłotłem dłonie na brzuchu. Anestezjolog poklepał mnie po nich. „Dobrze, bardzo dobrze — powiedział uspokajają-

my z powrotem w światło dzienne. Odbiliśmy następną długą jazdę następnymi korytarzami — a potem nagle wszystko się zmieniło. Przez wahadłowe drzwi wjechałem z wieku dziewiętnastego w dwudziesty, z wiktoriańskiego gotyku w stechnicyzowaną nowoczesność. Czułem się, jakbym wszedł do jasno oświetlonego, eleganckiego atelier po godzinie potykania się o kable na ciemnym zapleczu hali zdjęciowej. Wszystko było tu białe i srebrne, nieskazitelnie czyste i lśniące w rozproszonym świetle, a personel medyczny uśmiechał się uprzejmie i mówił cichymi, kulturalnymi głosami. Zgrabnie przeniesiono mnie z wózka na bardziej wymyślne ruchome łóżko i zawieziono do pomieszczenia, w którym czekał anestezjolog. Ten poprosił, abym popracował lewą dłonią, i ostrzegł mnie kojącym tonem, że mogę poczuć lekkie ukłucie, po czym wprowadził jakiś plastikowy wentyl w żyłę na moim przedramieniu. Po chwili do pokoju wkroczył Nizar, w jasnoniebieskim fartuchu chirurgicznym i z siatką na włosach. Wyglądał jak pulchna, ubrana w piżamę gospodyni domowa, która dopiero wstała z łóżka i nie zdjęła jeszcze lokówek. „Dzień dobry, stary druhu — przywitał mnie. — Wszystko jest tip-top?” Nizar włada angielskim bezbłędnie, ale chyba czytał za dużo P.G. Wodehousea. Chciałem powiedzieć, że nie, jak dotąd nic nie było tip-top, ale uznałem, że nie jest to odpowiedni moment na skargi. Poza tym zaczynało mnie już ogarniać ciepłe, błogie uczucie senności. Nizar oglądał zdjęcia rentgenowskie mojego kolana, trzymając je przed zapaloną tablicą. „A tak” — mruknął do siebie, jakby mgliście rozpoznał podobiznę jakiejś napotkanej przed laty osoby. Potem stanął obok łóżka, naprzeciw anestezjologa. Obydwaj uśmiechnęli się do mnie. „Splatacz” — stwierdził anestezjolog. Byłem ciekaw, o co mu chodzi. Wcześniej zabrano mi koc i nie wiedząc, co zrobić z rękami, spłotłem dłonie na brzuchu. Anestezjolog poklepał mnie po nich. „Dobrze, bardzo dobrze — powiedział uspokajają-

cym tonem. — Niektórzy ludzie zaciskają pięści albo ogryzają paznokcie”. Nizar uniósł brzeg mojej koszuli i ścisnął mi kolano. Zachichotałem i miałem już zażartować na temat molestowania seksualnego, gdy straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, byłem z powrotem w dwuosobowym pokoju, ale Jamajczyk tymczasem zniknął i nikt nie potrafił mi powiedzieć, co się z nim stało. Moja prawa noga, owinięta bandażem, była wielka jak u słonia. Sally, która odwiedziła mnie, wracając z pracy, uznała, że wygląda bardzo zabawnie. Jak przewidywałem, opis mojego poranka nie wzbudził w niej żadnego współczucia. „Dobrze ci tak. Nie trzeba się było pchać bez kolejki — powiedziała. — Ciocia Emily czekała na operację biodra dwa lata”. Później przyszedł Nizar i poprosił, żebym delikatnie uniósł nogę kilka cali. Zrobiłem to bardzo delikatnie i nic się nie stało. Był wyraźnie zadowolony. „Diabelnie dobrze — powiedział. — Znakomicie”.

Po kilku dniach kuśtykania ze szwedką, póki nie zesza opuchlizna, i kilku tygodniach fizykoterapii i lekkich ćwiczeń mających przywrócić siłę mięśniowi czworogłowemu, zaczął mnie łąpać ten sam ból co przedtem. Choleeerasna! Nie mogłem w to uwierzyć. Nizar też nie. Sądził, że zidentyfikował winowajcę — kawałek tkanki, tak zwany fałd, który był przy-szczypany przez staw kolanowy — i wyciął go. Puścił mi wideo z operacji na telewizorze w swoim gabinecie. Nie potrafiłem się zmusić, żeby obejrzeć je wcześniej. Obraz był jasny, kolorowy i owalny, jakbym patrzył w iluminator łodzi podwodnej, świecąc sobie silnym reflektorem. „To jest to, widzi pan?!” — zawołał Nizar. Widziałem coś, co wyglądało jak cienki, srebrzysty węgorz nadgryzający podbrzusze jakiegoś mięczaka. Małe stalowe szczęki kłapnęły drapieżnie i fragmenty mojego kolana odpłynęły w dal, wciągnane przez aspi-

22

rator. Nie mogłem oglądać tego długo. Na widok przemocy w telewizji zawsze robi mi się niedobrze.

— No i co? — zapytałem, kiedy Nizar wyłączył kasetę.

— No i, szczerze mówiąc, stary druhu, jestem skonfundowany — odrzekł. — Widział pan ten fałd, który powodował kłopoty, i widział pan, jak go wycinam. Nic nie świadczy o pęknięciu łąkotki ani o artretycznym zwyrodnieniu stawu. To kolano nie ma prawa pana boleć.

— Ale boli — odpartem.

— Tak, rzeczywiście. To diabelnie irytujące.

— Zwłaszcza dla mnie — przyznałem.

— To musi być idiopatyczne chondromalacia patellae — stwierdził Nizar. Kiedy poprosiłem go o wyjaśnienie, powiedział: — Chondromalacia patellae znaczy bolesność w kolanie, a idiopatyczne znaczy specyficzne dla pana, staruszku.

Uśmiechnął się, jakby był to komplement.

Spytałem go, co można z tym zrobić. Odpart, już z mniejszą pewnością siebie, że może przeprowadzić drugą artroskopię, by sprawdzić, czy przypadkiem nie przegapił czegoś podczas pierwszej, albo mogę spróbować aspiryny i fizjoterapii. Powiedziałem, że spróbuję aspiryny i fizykoterapii.

— Oczywiście tę drugą artroskopię zrobiłbym w szpitalu BUPA — dodał. Zdawał sobie sprawę, że nie byłem zachwycony poziomem opieki medycznej w Ogólnym.

— Wszystko jedno — odrzekłem. — Nie palę się do następnej operacji.

Kiedy powtórzyłem Rolandowi — tak ma na imię mój fizykoterapeuta — kiedy powtórzyłem Rolandowi treść tej konsultacji, obdarzył mnie sardonycznym, krzywym uśmiechem i powiedział:

— Ma pan Niedowład Wewnętrzny Kolana. Tak ortopedzi nazywają to między sobą. Niedowład

Wewnętrzny Kolana. NWK. Nie Wiem, Kurwa.

Nawiasem mówiąc, Roland jest niewidomy. To jeszcze jedna rzecz, jaka może ci się przytrafić, która jest gorsza niż ból w kolanie. Ślepotą.

ił-ftiżtiiżiSiZ-CT-CTiZiZiZ-fr

Wtorek po południu, 16 lutego. Zaraz po tym, jak napisałem wczoraj ten ostatni akapit, pomyślałem, że spróbuję zamknąć na chwilę oczy, żeby nabrać jakiegoś pojęcia, jak to jest być niewidomym, i przypomnieć sobie, jakim jestem szczęściarzem w porównaniu z biednym Rolandem. Posunąłem się nawet do założenia opaski, którą dostałem kiedyś, gdy wracałem samolotem British Airways z Los Angeles (mają ułatwić pasażerom zaśnięcie przy świetle). Pomyślałem, że sprawdzę, czy dam radę zrobić w ten sposób coś zupełnie prostego i zwyczajnego jak zaparzenie herbaty. Mój eksperyment nie potrwał długo. Próbując przejść z gabinetu do kuchni, wyrznąłem kolaniem — nie muszę dodawać, że prawym — w otwartą szufladę kartoteki. Zdarłem opaskę i skakałem po pokoju na jednej nodze, tak okropnie złorzecząc i bluźniąc, że w końcu sam się zgorszyłem i zamilkłem. Byłem pewien, że załatwiłem sobie kolano na dobre. Po chwili jednak ból ustąpił i dzisiaj mój staw nie sprawuje się gorzej niż zwykle. Oczywiście lepiej też nie.

Taki Niedowład Wewnętrzny Kolana ma pewną dobrą stronę — kiedy ktoś dzwoni do ciebie i pyta, jak się czujesz, a ty nie chcesz powiedzieć „jestem w krańcowej depresji”, ale nie masz też ochoty udawać, że tryskasz humorem, zawsze możesz się poskarżyć na kolano. Przed chwilą zadzwonił mój agent, Jake Endicott, żeby się domówić na jutrzejszy lunch, i najpierw złożyłem mu meldunek zdrowotny. Ma dziś po-

24

łudniu spotkanie z ludźmi z Heartland — chodzi o to, czy zamówią następną serię Sąsiadów. Dostarczyłem im scenariusz ostatniego odcinka bieżącej serii zaledwie kilka tygodni temu, ale muszą się zdecydować już teraz, bo wkrótce wygasają kontrakty aktorów. Jake jest przekonany, że Heartland zamówi jeszcze jedną serię, a może nawet dwie. „Przy takich wskaźnikach oglądalności musieliby być chorzy, żeby tego nie zrobić”. Powiedział, że zda mi relację ze spotkania jutro podczas lunchu. Jak zwykle zabiera mnie do Groucha.

Od mojej artroskopii minął już rok, a nadal miewam bóle w kolanie. Czy powinienem zaryzykować drugą operację? Nie Wiem, Kurwa. Nie mogę się zdecydować. Ostatnio nie potrafię podjąć żadnej decyzji. Dzisiaj rano nie mogłem się zdecydować, jaki krawat mam włożyć. Jeśli nie potrafię podjąć decyzji w tak błażej sprawie, jak mogę cokolwiek postanowić w kwestii operacji? Tak długo przebierałem w krawatach, że zaczęło mi grozić spóźnienie na wizytę u Alexandry. Wahałem się, czy ma to być krawat ciemny, spokojny czy jasny, krzykliwy. Ostatecznie zawęziłem wybór do dwóch: gładkiej dzianiny w kolorze bordo, od Marksa i Sparksa*, i włoskiego pomarań-czowo-brązowo-czerwonego melanżu z jedwabiu. Żaden z nich nie pasował do koszuli, którą miałem na sobie, więc musiałem się przebrać. Czas uciekał: zawiązałem jedwabny krawat na szyi, a wełniany wepchnąłem do kieszeni marynarki, na wypadek gdybym się

rozmyślił w drodze do gabinetu Alexandry. I rozmyśliłem się — zamieniłem krawaty, czekając na czerwonym świetle. Alexandra jest moim psychoanalitykiem, moim obecnym psychoanalitykiem. Doktor Alexandra Marbles. Nie, naprawdę ma na nazwisko Marples. Nazywam ją Marbles dla

* Marks-& Spencer, sieć domów towarowych.

25

żartu. Jeśli się kiedyś przeprowadzi albo zrezygnuje z praktyki, będę mógł mówić, że brakuje mi Marbles*. Nie wie, że ją przechrzcilem, ale nie obraziłaby się o to. Zaprotestowałaby natomiast przeciwko określeniu psychoanalityk. Widzicie, nie nazywa siebie psychiatrą, tylko psychoterapeutą behawioralnym. Poddaję się wielu terapiom. W poniedziałki chodzę do Rolanda na fizykoterapię, we wtorki do Alexandry na terapię poznawczo-behawioralną, a w piątki mam aromaterapię lub akupunkturę. Środy i czwartki spędzam zwykle w Londynie, ale wtedy spotykam się z Amy. Co również jest pewnego rodzaju terapią.

Na czym polega różnica między psychiatrą i psychoterapeutą behawioralnym? Cóż, jeśli dobrze rozumiem, psychiatra stara się wyświecić ukrytą przyczynę twojej nerwicy, natomiast psychoterapeuta leczy jej skutki, które dają ci się we znaki. Jeśli, powiedzmy, cierpisz na klaustrofobię w autobusach i pociągach, psychiatra będzie się starał znaleźć w twojej przeszłości jakieś traumatyczne przeżycie, które ją spowodowało. Na przykład, jadąc w dzieciństwie pociągiem, padłeś ofiarą napaści seksualnej — człowiek siedzący obok dobrał się do ciebie, kiedy w przedziale było ciemno, bo pociąg przejeżdżał przez tunel, a ty przeraziłeś się i zawstydziliłeś, i nie miałeś odwagi go oskarżyć, gdy pociąg wyjechał z tunelu, i nigdy nie powiedziałeś o tym rodzicom ani nikomu innemu, tylko stłumiłeś wszystko w pamięci. Jeśli psychiatrze uda się sprawić, że przypomnisz sobie to przeżycie i zrozumiesz, że nie byłeś niczemu winien, przestaniesz cierpieć na klaustrofobię. Tak to przynajmniej wygląda w teorii. Psychoterapeuci behawioralni dowodzą, że doszukanie się tego stłumionego traumatycznego przeżycia może potrwać całe wieki, przy założeniu, że ono w ogóle się wydarzyło. Weźmy na przykład Amy. Chodzi na

* Marbles (ang. przen.) — piąta klepka.

26

psychoanalizę od trzech lat i widuje się ze swoim analitykiem codziennie, od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do dziewiątej pięćdziesiąt rano, w drodze do pracy. Pomyślcie tylko, ile musi za to płacić. Spytałem ją kiedyś, po czym pozna, że się wyleczyła. Odparła: „Poczuję, że Karl nie jest mi już potrzebny”. Karl to jej psychoanalityk, doktor Karl Kiss. Jeśli chcecie znać moje zdanie, Karl trafił na żyłą złota.

Wracając do mojego przykładu, psychoterapeuta behawioralny kazałby ci pewnie trenować podróżowanie środkami transportu publicznego, powiedzmy jeździć metrem, jedna stacja za pierwszym razem, potem dwie, potem trzy i tak dalej, na początku poza godzinami szczytu, potem w najgorszym

tłoku, nagradzając się za każde wydłużenie trasy jakąś przyjemnością, drinkiem albo posiłkiem w restauracji, albo nowym krawatem, co tam cię rajcuje, aż będziesz tak zadowolony ze swoich osiągnięć i tych małych prezentów, że zapomnisz o strachu i w końcu uświadomisz sobie, że nie ma się czego bać. Znowu — tak to wygląda w teorii. Amy nie była olśniona moim wywodem. Powiedziała: „A jeśli pewnego dnia zgwałcą cię w metrze?” Ona bierze wszystko dość dosłownie.

Fakt, ostatnio rzeczywiście zdarzają się gwałty w metrze. Również na mężczyznach.

Alexandrę polecił mi internista. „Jest bardzo dobra — zapewnił. — Bardzo rzeczowa. Nie traci czasu na grzebanie się w nieświadomości i nie pyta o przyuczanie do nocnika ani czy widział pan w dzieciństwie, jak rodzice uprawiają seks”. Przyjąłem tę informację z ulgą. I Alexandra naprawdę okazała się pomocna. Ćwiczenia oddechowe, które mi doradziła, skutkują, przez jakieś pięć minut po tym, jak je wykonam. I zawsze czuję się spokojniejszy po wizycie u niej, przynajmniej przez kilka godzin. Specjalizuje się w tak zwanej terapii racjonalno--emotywniej, w skrócie TRE, której celem jest uświadomienie pacjentowi, że jego lęki i fobie wynikają z błędnej lub bezpod-

27

stawnej interpretacji faktów. Właściwie sam to wiedziałem, ale dobrze było się upewnić. Czasem jednak wzdycham za odrobiną staroświeckiej wiedeńskiej analizy i wtedy niemal zazdroszczę Amy jej codziennego Kissa. (Facet jest Węgrem i ściśle biorąc, jego nazwisko wymawia się „Kisz”, ale ja wolę mówić „Kiss”*) Rzecz w tym, że nie zawsze byłem nieszczęśliwy. Pamiętam czasy, gdy byłem szczęśliwy. No, powiedzmy, względnie zadowolony. W każdym razie, pamiętam czasy, gdy nie uważałem, że jestem nieszczęśliwy, a to chyba to samo, co bycie szczęśliwym. Czy względnie zadowolonym. Ale w którymś momencie przestałem umieć cieszyć się życiem. Jak to się stało? Nie Wiem.

— Jak się dziś czujesz? — spytała Alexandra, jak zawsze na początku sesji. Siadujemy w dwóch fotelach naprzeciw siebie, w odległości około dziesięciu stóp, w jej eleganckim, wysokim gabinecie, który, pomijając zabytkowe biurko pod oknem i funkcjonalną kartotekę w kącie, jest urządzony jak zwykły living room. Na podłodze leży gruby, jasnoszary dywan, a fotele są ustawione po dwóch stronach kominka. Podczas zimowych miesięcy płonie w nim wesoło gazowa imitacja węgla, latem na gzymsie stoi wazon ze świeżymi kwiatami. Alexandra jest wysoka i szczupła i nosi wdzięczne, powłóczyste stroje: jedwabne bluzki i plisowane spódnice z cienkiej wełny, takiej długości, by skromnie zakrywały jej kolana, gdy siedzi. Ma wąską, drob-nokościstą twarz, osadzoną na bardzo długiej, smukłej szyi, i czesze włosy w ciasny kok. Wyobraźcie sobie piękną, wielkooką żyrafę z kreskówek Walta Disneya.

Zacząłem od opowieści o moim patologicznym niezdecydowaniu w kwestii krawatów.

* Kiss (ang.) — pocałunek.

28

— Patologiczne? — powtórzyła. — Dlaczego użyłeś tego słowa?

Zawsze czepia się negatywnych słów, których używam, mówiąc o sobie.

— To tylko krawat, na litość boską! Zmarnowałem pół godziny mojego życia, zadręczając się z powodu... Jak można być tak płytkim?

Zapytała, dlaczego tak trudno było mi się zdecydować.

— Pomyślałem, że jeśli włożę ten gładki, ciemny, potraktujesz to jako sygnał, że jestem w depresji, a raczej, że poddaję się depresji, zamiast z nią walczyć. Ale kiedy włożyłem ten jasny, przyszło mi do głowy, że potraktujesz to jako sygnał, że przezwyciężyłem moją depresję, co nie jest prawdą. Wydawało mi się, że którykolwiek krawat włożę, będzie to swego rodzaju kłamstwo.

Alexandra uśmiechnęła się, a ja poczułem ten złudny przypływ dobrego humoru, co często się zdarza podczas terapii, gdy — niczym dobry uczeń w szkole — udzielisz trafnej odpowiedzi

— Mogłeś w ogóle zrezygnować z krawata.

— Zastanawiałem się nad tym. Ale zawsze wkładam krawat na nasze sesje. To stary zwyczaj. Tak zostałem wychowany: kiedy idziesz do lekarza, ubierz się porządnie. Gdybym nagle przestał nosić krawat, mogłabyś pomyśleć, że to coś oznacza — brak szacunku, niezadowolenie — a nie jestem niezadowolony. Jeśli, to tylko z siebie.

✓ » r :\"

Kilka tygodni temu Alexandra kazała mi napisać krótką charakterystykę samego siebie. Okazało się to dość interesującym zadaniem. Myślę, że właśnie w ten sposób wpadłem na pomysł rozpoczęcia tego... cokolwiek to jest. Pamiętnik. Dziennik. Spowiedź. Dotychczas posługiwałem się wyłącznie

29

formą dramatyczną — pisałem skecze, scenariusze, scenopisy. Oczywiście w każdym scenariuszu telewizyjnym jest trochę opisów — didaskalia, uwagi na temat postaci dla kierownika obsady (JUDY to atrakcyjna, dwudziestokilkuletnia tleniona blondynka) — ale oprócz dialogów nie ma w nich nic szczegółowego, nic analitycznego. Taka właśnie jest telewizja — wszystko zawiera się w obrazie, który pokazuje ci, gdzie jesteś, i w dialogu, który wyraża, co postaci myślą i czują, a często nawet nie trzeba na to słów — wystarczy wzruszenie ramion, uniesienie brwi. Tymczasem jeśli piszesz książkę, masz tylko słowa, na wszystko: zachowanie, wygląd, myśli, uczucia, całokształt. Chylę czoło przed autorami książek, naprawdę.

Laurence Passmore: Autocharakterystyka

Skończyłem pięćdziesiąt osiem lat, mam pięć stóp i dziewięć i pół cala, ważę sto dziewięćdziesiąt funtów — czyli o trzydzieści funtów więcej niż powinienem według tabeli w naszym zmaltretowanym egzemplarzu Domowego poradnika medycznego. Przewisko „Tubby”* zyskałem dopiero podczas zasadniczej służby wojskowej, ale zawsze byłem nieco za tęgi w stosunku do wzrostu, nawet kiedy jako młody chłopak grałem w piłkę, i natura obdarzyła mnie baryłkowatym tułowiem, zaokrąglającym się

łagodnie od klatki piersiowej do punktu, w którym koszula spotyka spodenki. W tamtych czasach miałem dobrze umięśniony brzuch, co było użyteczne na boisku, ale z wiekiem, mimo regularnego uprawiania gimnastyki, mięśnie zmieniły się w galaretę, która zeszła potem na biodra i pośladki, więc teraz jestem bardziej gruszkowaty niż barył-kowaty. Podobno w każdym grubasie tkwi chudzielec, który usiłuje wydostać się na zewnątrz, i słyszę jego stłumione jęki, ilekroć spojrzę w lustro. Ale martwi mnie nie tylko kształt mojego tułowia, i w ogóle nie tylko mój tułów. Moja klatka piersiowa jest pokryta czymś, co wygląda jak kuchenny dru-ciak wielkości słomianki i dochodzi do samej grdyki: kiedy rozepnę kołnierzyk, wyłażą mi na wierzch grube, sztywne kudły, które przypominają pędy jakiejś szybko rosnącej kosmicznej rośliny ze starego filmu science fiction. I wskutek okrutnego

* Tubby (ang. przen.) — pulpet, baryłka.

31

kaprysu genetycznego nie mam praktycznie żadnych włosów powyżej grdyki. Mój globus jest gładki jak żarówka, nie licząc małego wianuszka za uszami, który hoduję tak, że opada mi na kołnierzyk. Wyglądam przez to trochę jak włóczęga, ale rzadko chodzę się strzyc, bo każde pasemko jest dla mnie cenne. Nie znoszę patrzeć, jak spadają na podłogę salonu fryzjerskiego — mam uczucie, że powinni pakować mi je do torby na wynos. Próbowałem kiedyś zapuścić wąsy, ale wyrosły dość zabawnie, szare z jednej strony i rudobrzazowe z drugiej, więc szybko je zgoliłem. Zastanawiałem się nad zapuszczeniem brody, ale powstrzymał mnie lęk, że wyglądałaby jak przedłużenie włosów na piersi. Tak więc nic nie maskuje pospolitości mojej twarzy: jest to różowy, zapuchnięty owal, pomarszczony jak balon, z którego powoli uchodzi powietrze, z obwisłymi policzkami, mięsistym, trochę kartoflowatym nosem i parą dosyć smutnych, wyblakłych, niebieskich oczu. Zębami też nie mogę się pochwalić, ale są moje własne, w każdym razie te, które widać (mam mostek u dołu z prawej strony, gdzie kilku brakuje). Moja szyja jest gruba jak pień drzewa, ale ręce wyrosły mi stosunkowo krótkie, przez co mam kłopoty z kupieniem koszul, które by na mnie pasowały. Przez większość życia musiałem znosić fakt, że mankiety zakrywają mi dłonie aż do kłykci, chyba że włożyłem sweter z długim rękawem albo elastyczne opaski na łokcie. Potem pojechałem do Ameryki, gdzie krawcy wiedzą, że niektórzy mężczyźni mają ręce krótsze niż przewiduje norma (w Anglii z jakiegoś powodu można mieć tylko dłuższe) i kupiłem u Braci Brooks tuzin koszul z rękawami numer trzydzieści dwa. Uzupełniam garderobę zakupami w amerykańskiej firmie wysyłkowej, która pojawiła się na rynku brytyjskim kilka lat temu. Oczywiście mógłbym sobie teraz pozwolić na szycie koszul na miarę, ale snobistycznie wyglądające zakłady krawieckie w okolicach Pi-cadilly jakoś mnie odrzucają, a pasiaste popeliny w ich witry-

32

nach są na mój gust zbyt wymuskane. Zresztą nienawidzę robienia zakupów. Jestem okropnie niecierpliwy. To znaczy teraz. Dawniej taki nie byłem. Weźmy stanie w kolejkach. W czasach mojej młodości kolejki były czymś normalnym, nie przejmowałem się nimi. Kolejki na przystanku autobusowym, kolejki przed kinem, kolejki w sklepie. Dziś prawie nie jeżdżę autobusami, większość filmów oglądam w domu na wideo, a jeśli wejdę do sklepu i przy ladzie czekają więcej niż dwie osoby, zwykle robię w tył zwrot i natychmiast wychodzę. Wolę już obyc się bez tego, po co przyszedłem. Najbardziej nie znoszę banków i urzędów pocztowych, gdzie mają te odgradzone sznurem alejki, jak przy kontroli paszportowej

na lotnisku, i drepczesz do przodu w rzędzie, a kiedy dotrzesz na początek, musisz kręcić głową, żeby dojrzeć, które okienko zwolni się pierwsze, i najczęściej je przegapiasz, a wtedy jakiś stojący za tobą mądrała dźga cię w nerki i mówi: „Teraz pan, kolego”. Załatwiam więc wszystkie możliwe transakcje bankowe w systemie telefonicznych łączy komputerowych i wysyłam większość listów faksem, a jeśli mam do wysłania scenariusz, wzywam Datapost, żeby zabrali go ode mnie z domu, ale czasami potrzebuję znaczków, i wtedy muszę iść na pocztę i czekać w jednym z tych długich ogonków, w których tłum staruszek i samotnych matek z zasmarkanymi niemowlętami stoi po rentę albo zasiłek, i ledwo się powstrzymuję, żeby nie krzyknąć: „Czy nie powinniśmy mieć osobnych okienek dla ludzi, którzy chcą po prostu kupić znaczki? W końcu to poczta, nie opieka społeczna”. Oczywiście to tylko przenośnia — powstrzymuję się bez trudu, nigdy nie odważyłbym się krzyknąć w miejscu publicznym, ale właśnie coś takiego czuję. Rzadko ujawniam moje uczucia. Większość ludzi, którzy mnie znają, zdziwiłaby się, gdybym im powiedział, że jestem niecierpliwy. W telewizyjnym świątku mam opinię człowieka spokojnego, opanowanego, który zachowuje zimną krew, gdy wszyscy dookoła ją

tracą. Zdziwiliby się również, słysząc, że nie jestem zadowolony ze swojego wyglądu. Myślą, że lubię przezwisko Tubby. Raz czy dwa spróbowałem dać im do zrozumienia, że wolałbym, aby nazywali mnie Laz, ale nic z tego nie wyszło. Jedyne części mojego ciała, które w miarę mi się podobają, to dłonie i stopy. Moje stopy są dość małe, siódmy numer, i wąskie, z wysokim podbiciem. Dobrze wyglądają w włoskich pantoflach, które kupuję częściej, niż jest to konieczne. Zawsze miałem lekki chód i mimo ciężaru, jaki moje stopy muszą dźwigać, byłem zręcznym dryblerem i niezłym tancerzem. Poruszam się po domu bardzo cicho i czasem moja żona omal nie mdleje, gdy odwraca się i widzi mnie tuż za sobą. Dłonie też mam dość małe, ale z długimi, kształtnymi palcami, jak u pianisty, chociaż jedyna klawiatura, w jaką bębnę, to klawiatura komputera.

Kiedy dałem tę autocharakterystykę Alexandrze, zerknęła na nią i spytała: „Tylko tyle?” Odpartem, że jest to najdłuższy kawałek ciągłej prozy, jaki napisałem od lat. Powiedziała: „Nie ma tu żadnych akapitów. Dlaczego?” Wyjaśniłem, że nie mam wprawy w dzieleniu tekstu na akapity, jestem przyzwyczajony do pisania dialogów, wypowiedzi, więc autocharakterystyka wyszła mi jak coś w rodzaju monologu. Powiedziałem: „Mogę pisać tylko tak, jakbym do kogoś mówił”. (To prawda. Weźmy ten dziennik — nie zamierzam dać go nikomu do czytania, ale piszę go tak, jakby miał adresatów — jakichś urojonych, współczujących słuchaczy.) Alexandra schowała autocharakterystykę do szuflady, żeby przeczytać ją później. Na naszym następnym spotkaniu powiedziała, że jest interesująca, ale bardzo negatywna. „Pisziesz głównie o tym, co jest nie w porządku z twoim ciałem, a raczej, co jest z nim nie w porząd-

34

ku według ciebie, i nawet kiedy mówisz coś pozytywnego, jak

O swoich dłoniach i stopach, umniejszasz to stwierdzeniami, że zbyt często kupujesz buty i nie umiesz grać na pianinie”. Alexandra uważa, że brakuje mi poczucia własnej wartości. Prawdopodobnie ma rację, chociaż czytałem w jakiejś gazecie, że nie mnie jednego to dotknęło. Panuje u nas w tej chwili istna jpidemia braku poczuda_własnej wartości. Może ma to coś wspólnego z recesją. Ale nie w moim przypadku. Nie przeżywam recesji. Powodzi mi się świetnie. Jestem zamożny, niemal bogaty. Sąsiadów, którzy lecą w telewizji od pięciu lat, ogląda co tydzień trzystaście milionów ludzi, powstała ich

amerykańska przeróbka, ciesząca się równym powodzeniem,

1 obcojęzyczne wersje w paru innych krajach. Pieniądze za prawa autorskie spływają na moje konto bankowe jak woda z odkręconego kurka. O co więc mi chodzi? Dlaczego nie jestem zadowolony? Nie wiem.

Alexandra mówi, że powodem jest mój perfekcjonizm. Stawiam sobie niemożliwie wysokie wymagania, więc rozczarowanie jest nieuniknione. Może w tym być trochę prawdy. Większość ludzi z show-biznesu to perfekcyjniści. Mogą produkować chłam, występować w chłampie, pisać chłam, ale starają się, żeby to chłam perfekcyjny. To zasadnicza różnica między nami i innymi zawodami. Kiedy idziesz na pocztę po znaczki, urzędnicze nie zależy na tym, aby obsłużyć cię perfekcyjnie. Sprawnie — może, jeśli dopisze ci szczęście, ale perfekcyjnie — nie. Jaki miałyby to sens? Jeden znaczek na list zamiejscowy niczym się nie różni od drugiego, liczba sposobów wydzierania ich z arkusza i podawania przez okienko jest ograniczona. Urzędniczka wykonuje te same czynności dzień za dniem, rok za rokiem, jest skazana na rutynę. Tymczasem

każdy odcinek sitcomu* ma w sobie coś wyjątkowego, choćby nie wiem jak szablonowy i schematyczny się wydawał, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, nikt nie potrzebuje sitcomu, tak jak prędeży czy później będzie potrzebował znaczków pocztowych, więc jedynym usprawiedliwieniem jego istnienia jest to, że dostarcza przyjemności, a nie będzie jej dostarczał, jeśli odcinki będą dokładnie takie same. Po drugie, wszystkie osoby zaangażowane w produkcję zdają sobie sprawę z pierwszego powodu i wiedzą, że muszą się starać, aby efekt był jak najlepszy, bo inaczej mogą stracić pracę. Zdumielibyście się, ile zbiorowego wysiłku wchodzi w każdą linijkę tekstu, każdy gest, każde ujęcie. W trakcie prób, do samego nagrania, wszyscy myślą: jak możemy doszlifować to, ulepszyć tamto, uzyskać dodatkowy wybuch śmiechu tutaj... A potem krytycy niszczą cię paroma kąśliwymi uwagami. To jedna z wad telewizji jako medium: istnienie krytyków. Widzicie, chociaż brak mi poczucia własnej wartości, chcę, aby cenili mnie inni. Wpadam w depresję, jeśli mnie nie cenią. Ale z drugiej strony, i tak wpadam w depresję, bo nie cenię sam siebie. Chcę, aby wszyscy myśleli, że jestem doskonały, a sam w to nie wierzę. Dlaczego? Nie wiem. NWK.

Na jednym z pierwszych spotkań Alexandra kazała mi wziąć kartkę papieru i w jednej kolumnie wypisać wszystkie plusy mojej sytuacji, a w drugiej wszystkie minusy. Jako plusy wymieniłem:

1. Sukcesy zawodowe
2. Zamożność
3. Dobre zdrowie
4. Stabilne małżeństwo
5. Odchowane dzieci

* Sitcom (ang. skrót od situation comedy — komedia sytuacyjna) — ni-skobudżetowy serial telewizyjny o

charakterze komediowym i odcinkach zazwyczaj nie dłuższych niż pół godziny, na przykład Alf, Bill Cosby Show.

36

6. Ładny dom
7. Świetny wóz
8. Tyle wakacji, ile zechcę.

Do kolumny z minusami wpisałem tylko jedną rzecz:

1. Przez większość czasu nieszczęśliwy.

Kilka tygodni później dodałem drugi punkt:

2. Ból w kolanie.

Przygnębia mnie nie tyle sam ból, ile fakt, że ogranicza on moje możliwości fizyczne. Dawniej sport był dla mnie główną formą terapii, choć tak tego nie nazywałem. Po prostu lubiłem uderzanie, kopanie i bieganie — zawsze, od czasu gdy jako dzieciak grywałem w piłkę na ulicach londyńskiego przedmieścia. Sądzę, że sprawiało mi satysfakcję udowadnianie, iż jestem w tym lepszy niż ludzie się po mnie spodziewają — że moje grube, niezgrabne ciało potrafi być zdumiewająco zwinne, a nawet wdzięczne, kiedy ma do czynienia z piłką. (Piłka jest niezbędna: bez niej mam mniej więcej tyle wdzięku co hipopotam.) Powszechnie wiadomo, że sport jest nieszkodliwym sposobem rozładowywania napięcia, spuszczenia adrenaliny z organizmu. Ale przede wszystkim ułatwia zasypianie. Nie znam niczego, co dałoby się porównać z tym pulsującym, obolałym znużeniem, które czujesz po rozegraniu zaciętej partii squasha, osiemnastu dołków golfa albo pięciu setów tenisa, z tym luksusem wyciągnięcia się w chłodnej pościeli ze świadomością, że niedługo zapadniesz bez wysiłku w długi, głęboki sen. Seks nie jest nawet w połowie tak skuteczny. Wypruwa na parę godzin z energii, ale to wszystko. Sally i ja kochaliśmy się zeszłej nocy (propozycja wyszła od niej, co jest ostatnio normalne) i zaraz potem usnąłem jak kłoda, trzymając ją nagą

37

w ramionach. Ale o wpół do trzeciej się obudziłem, zmarznęty i całkowicie przytomny — Sally oddychała cicho przy moim boku, ubrana w jeden z tych za dużych T-shirtów, których używa jako nocnych koszul — i chociaż poszedłem się wysuszyć i włożyłem piżamę, nie mogłem już zasnąć. Leżałem w łóżku i myśli wirowały mi w głowie, a właściwie leciały po spirali w ciemną otchłań. Złe myśli. Ponure myśli. Rwało mnie w kolanie — przypuszczam, że seks je nadwerżył — i zacząłem się zastanawiać, czy nie są to pierwsze objawy raka kości, i jak bym sobie poradził z amputacją nogi, skoro nie potrafię stawić czoła

zwykłemu Niedowładowi Wewnętrznemu Kolana.

Takie właśnie myśli nachodzą człowieka w środku nocy. Nienawidzę tego wymuszonego czuwania, leżenia w ciemności, podczas gdy Sally śpi spokojnie obok, i zastanawiania się, co robić: czy włączyć nocną lampkę i trochę poczytać, czy zejść na dół i napić się czegoś gorącego, czy wziąć proszek nasenny i kupić sobie parę godzin zapomnienia, ryzykując, że rano będę czuł się tak, jakby ktoś wyssał mi szpik kostny i wpompował na jego miejsce otów. Alexandra mówi, że powinienem czytać, póki znów nie ogarnie mnie senność, ale nie chcę włączać nocnej lampki, bo mógłbym obudzić Sally, a zresztą Alexandra uważa, że trzeba wstać z łóżka i iść z książką do drugiego pokoju, a nie potrafię się zmusić, żeby zejść do cichego, pustego Irving roomu, jakbym był intruzem we własnym domu. Zazwyczaj więc po prostu leżę w łóżku, mając nadzieję, że wkrótce zasnę, i przewracam się z boku na bok, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Zeszłej nocy na chwilę przytuliłem się do Sally, ale zrobiło jej się za gorąco i odepchnęła mnie przez sen. Wtedy spróbowałem sam się objąć, krzyżując ręce na piersi i ściskając dłońmi ramiona, jak człowiek w kaftanie bezpieczeństwa. Jeśli chcecie znać moje zdanie, powinienem nosić taki kaftan zamiast piżamy.

38

Środa, 17 lutego, 2.05 w nocy. Dzisiaj nie uprawialiśmy seksu i obudziłem się jeszcze wcześniej: o pierwszej czterdzieści. Przez chwilę wpatrywałem się zmartwiałą w czerwone cyfry wyświetlacza mojego budzika, rzucające piekielny poblask na gładką powierzchnię nocnej szafki. Tym razem postanowiłem wstać z łóżka i spuścić nogi na podłogę, żeby wymacać kaptcie, zanim mógłbym się rozmyślić. Po zejściu na dół wciągnąłem na piżamę dres, zrobiłem sobie herbatę i poszedłem do gabinetu. Teraz siedzę przy komputerze i stukam w klawisze. Na czym wczoraj skończyłem? Aha, na sporcie.

Roland mówi, że nie powinienem uprawiać żadnych sportów, póki moje bóle nie ustąpią, czy to same z siebie, czy w wyniku drugiej operacji. Wolno mi ćwiczyć na paru przyrządach w siłowni klubu, tych, które nie wymagają pracy kolana, i mogę pływać, ile chcę, byle nie żabką — podobno wymachy nóg szkodzą na staw kolanowy. Ale nigdy nie lubiłem suchej zaprawy — według mnie tak się ona ma do prawdziwego sportu jak masturbacja do prawdziwego seksu; a jeśli chodzi o pływanie, żabka jest akurat jedynym stylem, który jako tako opanowałem. Squash odpada całkowicie, z oczywistych względów. Golf też, niestety: skręt prawego kolana po uderzeniu piłki jest zabójczy. Nadal jednak grywam w tenisa, tylko zakładam na kolano coś w rodzaju szyny, która je usztywnia. Biegając po korcie, powłóczę prawą nogą jak Długi John Silver, ale lepsze to niż nic. W klubie mają kryte korty, a zresztą przy tak łagodnych zimach jak ostatnio można grać na dworze prawie cały rok — to chyba jeden z nielicznych pozytywnych skutków globalnego ocieplenia.

Gram z trzema innymi paralitykami w średnim wieku. Joe

39

ma poważne problemy z kręgosłupem, cały czas nosi gorset i ledwo daje radę serwować znad głowy; Rupert parę lat temu uczestniczył w paskudnym wypadku samochodowym i kuleje na obie nogi, jeśli to możliwe; a Humphrey ma artretyzm w stopach i staw biodrowy z plastyku. Każdy z nas wykorzystuje defekty przeciwnika bez litości. Na przykład kiedy Joe gra przy siatce, odwracam wysoko, bo wiem, że ma kłopoty z podniesieniem rakiety, a kiedy ja bronię linii końcowej, on posyła piłkę to na jedną, to na drugą stronę kortu, bo wie, że z moją szyną nie mogę się poruszać zbyt prędko. Patrząc na nas, mielibyście tży w oczach, ze śmiechu albo ze współczucia.

Oczywiście nie mogę już partnerować Sally w mieszanych deblach, czego bardzo żałuję, bo w klubowych turniejach seniorów szło nam zawsze zupełnie nieźle. Czasem ze mną poćwicz, ale nie chce grać singli, bo uważa, że załatwiłbym sobie kolano, starając się za wszelką cenę zwyciężyć, i pewnie ma rację. Dawniej zwykle z nią wygrywałem, ale teraz ona robi postępy, a ja się cofam. Kiedy parę dni temu byłem w klubie z moimi „sprawnymi inaczej” rówieśnikami, przyszła tam akurat, prosto z pracy, żeby trochę potrenować. Muszę przyznać, że solidnie się zdziwiłem, zobaczywszy, jak idzie wzdłuż krytego kortu z Brettem Suttonem, klubowym nauczycielem tenisa, bo zupełnie się jej nie spodziewałem. Nie wiedziałem, że ma mieć lekcję, albo, co bardziej prawdopodobne, nic do mnie nie dotarło, gdy mi o tym mówiła. Nabrałem ostatnio niepokojącego zwyczaju: ludzie do mnie mówią i na pozór ich słucham i reaguję, ale kiedy skończą, uświadamiam sobie, że nie dotarło do mnie ani jedno słowo, bo śledziłem jakiś wątek własnych myśli. To inny rodzaj Niedowładu Wewnętrzznego. Sally się wkurza, gdy mnie na tym przyłapie — i wcale jej się nie dziwię — więc kiedy pomachała mi niedbale zza siatki, niedbale jej odmachnąłem, na wypadek gdybym powinien wiedzieć, że umówiła się na to popołudnie na trening. A w ogó-

40

le, to nie od razu ją poznałem — zarejestrowałem po prostu wysoką, atrakcyjną blondynkę. Miała na sobie superobcisłą różowo-białą garsonkę, której nigdy przedtem nie widziałem, a poza tym nie przyzwyczałem się jeszcze do jej nowych włosów. Pewnego dnia tuż przed Bożym Narodzeniem wyszła rano z domu siwa i wróciła po południu blond. Kiedy spytałem, dlaczego mnie nie uprzedziła, odparła, że chciała zobaczyć moją spontaniczną reakcję. Powiedziałem, że wygląda fantastycznie. Jeśli w moim głosie nie było należytego entuzjazmu, to wyłącznie przez zazdrość. (Próbowałem wielu zabiegów na łysienie, z zerowym skutkiem. Ostatni polegał na długotrwałym wiszeniu głową w dół, żeby krew mogła napłynąć do mózgu. Nazywało się to terapia inwersyjna.) Gdy wtedy w klubie dotarło do mnie, że to Sally, widok jej smukłej sylwetki i rozkołysanych złotych loków nappełnił mnie dumą właściciela. Moi koledzy też ją zauważyli.

— Lepiej pilnuj swojej pani, Tubby — powiedział Joe, gdy w przerwie meczu zmienialiśmy strony. — Zanim odzyskasz formę, zdąży cię zakasować.

— Tak sądzisz? — spytałem.

— Brett to dobry nauczyciel. Podobno jest też dobry w innych rzeczach.

Joe mrugnął do dwóch pozostałych i oczywiście Humphrey go poparł.

— Z całą pewnością ma do tego sprzęt. Parę dni temu widziałem go pod prysznicem. Co najmniej dziesięć cali.

— Dorównasz mu, Tubby?

— Będziesz się musiał nieźle przyłożyć.

— Nie podglądaj facetów pod prysznicem, Humphrey, bo jeszcze trafisz za kratki — powiedziałem i cała trójka ryknęła śmiechem.

Tego rodzaju żarty są między nami normalne. I zupełnie nieszkodliwe. Humphrey jest kawalerem, mieszka z matką i nie

41

ma dziewczyny, ale nikt nawet nie pomyślałby, że mógłby być gejem. Inaczej nie dokuczalibyśmy mu w ten sposób. Podobnie jest z insynuacjami na temat Sally i Bretta Suttona. Stale dowcipkujemy, że wszystkim kobietom w klubie robi się na jego widok mokro w majtkach — jest wysoki, śniady i na tyle przystojny, że choć czesze włosy w kucyk, nie wygląda ciotowa-to — ale nikt nie sądzi, żeby naprawdę uprawiał jakieś bara--bara na boku.

Nie wiedzieć czemu, przypomniałem sobie tę rozmowę, gdy kładliśmy się dziś do łóżka, i powtórzyłem ją Sally. Prychnęła pogardliwie i zapytała: „Czy nie jesteście odrobinę za starzy, żeby się martwić o rozmiary swoich siurków?”

Odparłem, że prawdziwy zamartwiacz nigdy nie jest za stary.

Jest jedna rzecz, o którą nie martwiłem się nigdy — wierność Sally. Przeżywaliśmy wzloty i upadki, nasze małżeństwo trwa w końcu prawie trzydzieści lat, ale zawsze byliśmy sobie wierni. I to nie z braku okazji, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, biorąc pod uwagę, jaki jest świat mediów, i chyba jeśli chodzi o Sally również, choć nie sądzę, aby była wystawiona na takie zawodowe pokusy jak ja. Jej koledzy z akademii, a raczej z uniwersytetu, jak muszę się nauczyć teraz mówić, nie wyglądają mi na specjalnie wartych grzechu. Ale nie w tym rzecz. Zawsze byliśmy sobie wierni. Jak mogę być pewny? Po prostu jestem. Sally była dziewicą, gdy ją poznałem, w tamtych czasach porządne dziewczyny zazwyczaj nimi były, i ja też nie miałem bogatych doświadczeń. Moja seksualna biografia zajęłaby bardzo cienki tomik i składałaby się z opisów sporadycznych, pozbawionych erotyzmu kopulacji z garnizonowymi cichodajkami w wojsku, pijanymi koleżankami na prywatkach w szkole teatralnej i samotnymi właścicielkami obskurnych studenckich stacji. Nie sądzę, żebym spał z którą-

42

kolwiek z nich więcej niż dwa razy, i zawsze był to szybki numer w pozycji klasycznej. Abyś mógł się cieszyć seksem, jest ci potrzebny komfort — czysta pościel, twardy materac, ciepła sypialnia — i ciągłość. Sally i ja uczyliśmy się miłości razem, praktycznie od zera. Gdyby spotykała się z kimś innym, coś nowego w jej zachowaniu — jakieś nieznanne ułożenie ciała, jakaś odmiana w pieszczotach — na pewno by mi o tym powiedziało. Zawsze mam problem z historiami o cudzołóstwie, zwłaszcza takimi, w których jedna

strona zdradza drugą przez wiele lat. Jak można nie wiedzieć? Oczywiście Sally nie wie

0 Amy. Ale ja nie mam z Amy romansu. Co z nią mam? Nie wiem.

Poznałem Amy sześć lat temu, gdy zatrudniono ją przy obsadzaniu pierwszej serii Sąsiadów. Nie muszę dodawać, że spisała się fantastycznie. Niektórzy ludzie z branży uważają, że powodzenie sitcomu w dziewięćdziesięciu procentach zależy od obsady. Jako scenarzysta naturalnie się z tym nie zgadzam, ale prawdą jest, że nawet najlepszy scenariusz zawiedzie, jeśli aktorzy są niewłaściwie dobrani. A właściwy dobór nie zawsze jest dla wszystkich oczywisty. Na przykład dopiero Amy wpadła na pomysł, żeby do roli Priscilli, gospodyni domowej z klasy średniej, zaangażować Deborah Radcliffe, aktorkę teatralną, która właśnie odeszła z Royal Shakespeare Company

1 nigdy w życiu nie grała w sitcomie. Nikt oprócz Amy nie widział jej w tej roli, ale sprawdziła się bezbłędnie. Teraz jest powszechnie znana i bierze pięć patyków za trzydziestosekundową reklamówkę.

Dobieranie obsady to ciekawe zajęcie. Wymaga specjalnych predyspozycji, jak wróżbiarstwo lub skoki do wody, ale potrzebna jest również wyćwiczona pamięć. Amy ma umysł jak katalog: kiedy prosisz ją o radę w kwestii obsadzenia jakiejś

43

kolwiek z nich więcej niż dwa razy, i zawsze był to szybki numer w pozycji klasycznej. Abyś mógł się cieszyć seksem, jest ci potrzebny komfort — czysta pościel, twardy materac, ciepła sypialnia — i ciągłość. Sally i ja uczyliśmy się miłości razem, praktycznie od zera. Gdyby spotykała się z kimś innym, coś nowego w jej zachowaniu — jakieś nieznane ułożenie ciała, jakaś odmiana w pieszczotach — na pewno by mi o tym powiedziało. Zawsze mam problem z historiami o cudzołóstwie, zwłaszcza takimi, w których jedna strona zdradza drugą przez wiele lat. Jak można nie wiedzieć? Oczywiście Sally nie wie o Amy. Ale ja nie mam z Amy romansu. Co z nią mam? Nie wiem.

Poznałem Amy sześć lat temu, gdy zatrudniono ją przy obsadzaniu pierwszej serii Sąsiadów. Nie muszę dodawać, że spisała się fantastycznie. Niektórzy ludzie z branży uważają, że powodzenie sitcomu w dziewięćdziesięciu procentach zależy od obsady. Jako scenarzysta naturalnie się z tym nie zgadzam, ale prawdą jest, że nawet najlepszy scenariusz zawiedzie, jeśli aktorzy są niewłaściwie dobrani. A właściwy dobór nie zawsze jest dla wszystkich oczywisty. Na przykład dopiero Amy wpadła na pomysł, żeby do roli Priscilli, gospodyni domowej z klasy średniej, zaangażować Deborah Radcliffe, aktorkę teatralną, która właśnie odeszła z Royal Shakespeare Company i nigdy w życiu nie grała w sitcomie. Nikt oprócz Amy nie widział jej w tej roli, ale sprawdziła się bezbłędnie. Teraz jest powszechnie znana i bierze pięć patyków za trzydziestosekundową reklamówkę.

Dobieranie obsady to ciekawe zajęcie. Wymaga specjalnych predyspozycji, jak wróżbiarstwo lub skoki do wody, ale potrzebna jest również wyćwiczona pamięć. Amy ma umysł jak katalog: kiedy prosisz ją o radę w kwestii obsadzenia jakiejś

roli, wpada w rodzaj transu, podnosi oczy na sufit, i niemal słysząc „flik-flik-flik” w jej głowie, gdy przelatuje karty, na których ma zanotowane charakterystyki wszystkich aktorów i aktorek, jakich kiedykolwiek widziała. Kiedy Amy idzie do teatru, nie tylko ogląda aktorów w danym przedstawieniu, lecz także przez cały czas wyobraża ich sobie w innych rolach i po opadnięciu kurtyny ma zarejestrowaną w głowie zarówno ich grę tego wieczoru, jak i potencjał do zupełnie innych występów. Jeśli na przykład pójdziesz z Amy na Makbeta do RSC i powiesz jej po spektaklu: „Czy Deborah Radcliffe nie była wspaniałą Lady Makbet?”, odpowie ci: „Mmm, chciałabym ją zobaczyć jako Judith Bliss w Katarze siennym”. Czasem się zastanawiam, czy ten myślowy nawyk nie odbiera jej przyjemności oglądania przedstawienia. Może właśnie to nas łączy — żadne z nas nie umie żyć teraźniejszością, ciągle gonimy za złudą doskonałości innego miejsca i czasu.

Powiedziałem jej to kiedyś.

— Brednie, skarbie — odrzekła. — Z całym szacunkiem, kompletne pierdoły. Zapominasz, że co jakiś czas mi się udaje. Idealnie dopasowuję aktora do roli. Wtedy oglądanie przedstawienia sprawia mi przyjemność. Żyję dla tych chwil. I ty także. No wiesz, kiedy w jakimś odcinku wszystko idzie dokładnie tak, jak powinno. Siedzisz przed telewizorem, wstrzymując oddech, i myślisz: dłużej tak nie dadzą rady, zaraz się wszystko zawali, ale dają radę i nic się nie wali. I o to tu chodzi, nest ce pas?

— Nie pamiętam odcinka, który wydałby mi się tak dobry — odparłem.

— A ten o wykadzaniu?

— Tak, ten o wykadzaniu był dobry.

— Był absolutnie fantastyczny.

To właśnie lubię w Amy — zawsze mnie dowartościowuje. Sally stosuje metodę otrzeźwiania: przestań jęczeć i weź się do

roboty. Stanowią zresztą przeciwieństwo pod każdym względem. Sally to blondwłosa, niebieskooka Angielska Róża, wysoka, zwinna, wysportowana. Amy reprezentuje typ śródziemnomorski (jej ojciec był Grekiem cypryjskim): śniada, niska i pulchna, z burzą czarnych loków i oczyma jak rodzynki. Pali papierosy, mocno się maluje i nigdy nie chodzi pieszo, a tym bardziej nie biega, jeśli tylko może tego uniknąć. Musieliśmy raz podbiec do pociągu na Euston: dopadłem wagonu pierwszy i trzymałem dla niej drzwi, aż przydyrdała na tych swoich wysokich obcasach, kołysząc biodrami jak spłoszona kaczka, zaplątana w wisiorki, kolczyki, apaszki, torby i inne kobiece parafernalia. Wybuchnąłem wtedy śmiechem, po prostu nie mogłem się powstrzymać. Gramoląc się bez tchu do pociągu, zapytała, co mnie tak rozśmieszyło, a kiedy jej powiedziałem, nie odzywała się do mnie przez całą drogę. (Nawiasem mówiąc, sprawdziłem właśnie słowo „parafernalia”, bo nie byłem pewien, czy dobrze je napisałem, i odkryłem, że

pochodzi od łacińskiego paraphema, co znaczy „majątek osobisty mężatki wniesiony poza posagiem”.
Interesujące.)

Sprzeczek między nami należą jednak do rzadkości. Na ogół świetnie się ze sobą zgadzamy Plotkujemy o ludziach z branży, żalimy się sobie i wzajemnie się pocieszamy, porównujemy nasze terapie. Amy jest rozwiedziona i wychowuje swoją czternastoletnią córkę, Zeldę, która właśnie odkrywa chłopców i zatruwa jej życie późnymi powrotami do domu, chodzeniem do podejrzanych dyskotek, noszeniem ekstrawaganckich strojów i tak dalej. Amy jest przerażona, że Zelda lada moment odkryje również seks i narkotyki, i nie ufa swojemu eksmężowi, Saulowi, menedżerowi teatralnemu, który spędza z małą jeden weekend w miesiącu i który, według Amy, nie ma żadnych zasad moralnych albo, cytując ją dosłownie: „nie rozpoznałby zasady moralnej, nawet gdyby ugryzła go w nos”. Niemniej Amy boleje nad rozpadem ich małżeństwa i mar-

45

twi się, że Zelda zejdzie na złą drogę z powodu braku ojca. Zaczęła chodzić na psychoanalizę przede wszystkim po to, by wyjaśnić, co nawaliło między nią i Saulem. Właściwie sama to wiedziała: seks. Saul chciał robić rzeczy, na które ona nie miała ochoty, więc w końcu poszedł je robić gdzie indziej. Amy próbuje jednak ustalić, czyja to była wina, i nie widać, aby zbliżała się do odpowiedzi. Psychoanaliza rozplątuje kłębek osobowości: im dłużej ciągniesz za nitkę, tym więcej znajdujesz w sobie wad.

Widuję się z Amy prawie co tydzień, kiedy przyjeżdżam do Londynu. Czasem idziemy do teatru, ale najczęściej po prostu spędzamy spokojny wieczór w moim mieszkaniu i/lubjemy kolację w którejś z pobliskich restauracji. W naszej znajomości nigdy nie było mowy o seksie, bo Amy go nie chce, a ja nie potrzebuję. Mam mnóstwo seksu w domu. Sally przejawia ostatnio duży apetyt erotyczny — to pewnie skutek terapii hormonalnej, którą przechodzi w związku z menopauzą. Czasami, aby pobudzić moje niemrawe libido, proponuję jej coś, co Saul chciał robić z Amy, i jeszcze nigdy mi nie odmówiła. Kiedy pyta, skąd biorę te pomysły, odpowiadam, że z pism i książek, i zawsze mi wierzy. Gdyby ktoś jej powiedział, że widział mnie w Londynie z Amy, wcale by się nie przejęła, bo nie ukrywam przed nią, że się od czasu do czasu spotykamy. Sally myśli, że z powodów zawodowych, co częściowo jest prawdą.

W zasadzie można więc powiedzieć, że nieźle się urządziłem, prawda? Rozwiązałem problem monogamii, który jest problemem monotonii, bez uciekania się do zdrady. Mam seksowną żonę w domu i platoniczną kochankę w Londynie. Na co jeszcze narzekam? Nie wiem.

Jest wpół do czwartej. Chyba wrócę do łóżka i zobaczę, czy uda mi się zdrzemnąć przed świtem.

46

Środa, 11 rano. Przespałem parę godzin, ale nie był to sen pokrzepiający. Obudziłem się wypluty, zupełnie jak w wojsku podczas służby wartowniczej: dwie godziny warty, cztery odpoczynku, przez całą noc, i przez cały dzień, jeśli był weekend. Chryste, od razu wszystko mi się przypomniało: drzemiesz, leżąc na pryczy w jaskrawym świetle nagiej żarówki, mając na sobie uciskające w kostkach buty i drapiący szyję

mundur, zostajesz brutalnie obudzony, połykasz słodzoną, letnią herbatę i jakieś zimne, ścięte na beton jajka z pieczoną fasolą, a potem ziewając i drżąc, wycłapujesz w noc, żeby pałętać się przez dwie godziny przy bramie jednostki albo krążyć między cichymi, ciemnymi magazynami i hangarami, wsłuchując się w odgłos własnych kroków, obserwując, jak twój cień rośnie i maleje w świetle lamp łukowych. Pozwólcie, że skupię się przez chwilę na tym wspomnieniu, zamknę oczy i spróbuję wycisnąć z niego całą udrękę, abym mógł docenić mój obecny życiowy komfort.

Spróbowałem. Nic z tego.

Piszę to na moim laptopie, jadąc pociągiem do Londynu. Naturalnie pierwszą klasą. Definicja człowieka zamożnego: ktoś, kto płaci za bilet pierwszej klasy z własnej kieszeni. Mogę to sobie odpisać od podatku, ale zawsze... Większość moich współpasażerów podróżuje na koszt firm. Biznesmeni z aktówkami na zamki cyfrowe i telefonami komórkowymi, biz-nesmenki w wywatowanych zakietach i z pękatymi organize-rami. Czasem trafi się jakiś emerytowany właściciel ziemski w tweedzie. Ja też włożyłem dziś garnitur, na cześć Groucha, ale gdy mam na sobie džinsy i skórzaną kurtkę, a do tego te opadające na kołnierzyk włosy włączęgi, ludzie przyglądają

47

mi się podejrzliwie, jakby myśleli, że pomyliłem wagony Nie konduktorzy — ci mnie znają. Jeżdżę tą trasą regularnie.

Niech wam przypadkiem nie przyjdzie do głowy, że jestem wielbicielem Kolei Brytyjskich, a zwłaszcza pociągów Intercity do Londynu. Au contraire, jak powiedziałaaby Amy (lubi ubarwiać rozmowę obcymi zwrotami). Wiele rzeczy mi się w nich nie podoba. Na przykład: nie lubię zapachu bułek z bekonem i pomidorami, zatrującego powietrze w wagonie za każdym razem, gdy ktoś przyniesie takową z bufetu i otworzy małe polistyrenowe pudełko, w jakich pakują je do mikrofalówki. Nie lubię okładzin szczęk hamulcowych na kołach taboru Pullmana, bo kiedy się rozgrzeją, wydzielają siarczane opary, rzekomo nieszkodliwe dla zdrowia, które wślizgują się do wagonów i mieszają z zapachem bułek z bekonem i pomidorami. Nie lubię smaku bułek z bekonem i pomidorami, gdy jestem na tyle głupi, żeby sobie taką kupić, zapomniawszy, jak beznadziejna była ostatnim razem. Nie lubię tego, że jeśli zamówisz w bufecie kawę, dostaniesz olbrzymi plastikowy kubek, chyba że poprosisz o małą (czyli normalną). Nie lubię, jak pociąg kołysze się na boki, nabrawszy wreszcie prędkości, przez co gdy podnosisz plastikowy kubek do ust, kawa się wychla-puje, parząc ci palce i opryskując kolana. Nie lubię tego, że jeśli klimatyzacja wysiadzie, co się dość często zdarza, nie można przewietrzyć wagonu, bo okna są zaplombowane. Nie lubię jak — dość często, ale nigdy wtedy, gdy wysiadła klimatyzacja — automatyczne drzwi na obu końcach wagonu zacinają się w położeniu otwartym i nie dają się zamknąć ręcznie, a jeśli dadzą się zamknąć, natychmiast same otwierają się z powrotem albo otwierają je przechodzący pasażerowie i zostawiają otwarte, sądząc, że zamkną się automatycznie, i albo musisz się co pięć minut zrywać, żeby je zamknąć, albo siedzieć w wiecznym przeciągu. Nie lubię sprężynowych zamocowań w toaletach, mających unieruchamiać deskę klozetową w pozycji

panionowej, bo często są obłuzowane albo całkiem zepsute, i kiedy siusiasz, trzymając się uchwytu jedną ręką i naprowadzając ptaszka drugą, pociąg gwałtownie szarpie, i wyrwana z zamocowania deska opada nagle do przodu, przecinając strumień moczu, i w efekcie masz opryskane spodnie. Nie lubię tego, że pociąg zawsze gna z maksymalną prędkością na odcinku torów równoległym do M1, wyprzedzając wszystkie samochody, aby udowodnić wyższość podróży koleją, a parę minut później staje w polu pod Rugby z powodu awarii urządzeń sygnalizacyjnych.

Aj! Oj! Auć! Moje kolano. Nagłe ukłucie, bez żadnego konkretnego powodu.

Sally stwierdziła niedawno, że ból w kolanie jest moim ościem dla ciała. Byłem ciekaw, skąd pochodzi ten zwrot, i poszedłem to sprawdzić. (Bez przerwy coś sprawdzam — nadrabiam w ten sposób braki w wykształceniu. Mój gabinet jest pełen słowników i encyklopedii, kupuję je pod wpływem wewnętrznego przymusu.) Odkryłem, że to cytat z Drugiego Listu świętego Pawła do Koryntian: „Aby zaś nie wynosił mnie zbytnio ogrom objawień, dany mi został ościem dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował...”* Wróciłem do kuchni z Biblią w rękę, bardzo z siebie zadowolony, i przeczytałem ten werset Sally. Wytrzeszczyła na mnie oczy i westchnęła: „Przecież właśnie ci to powiedziałam”, i uświadomiłem sobie, że miałem jeden z moich napadów roztargnienia: kiedy się zastanawiałem, skąd pochodzi ten zwrot, ona mi to wyjaśniała. „Tak, wiem, że powiedziałaś, że to święty Paweł — skłamałem. — Ale jaki ma to związek z moim kolaniem? Tekst jest trochę niejasny”. „O to właśnie chodzi — odparła. — Nikt nie

* 2 Kor 12,7.

wie, czym był Pawłowy ościem dla ciała. To zagadka. Jak twoje kolano". Sally zna się na religii o wiele lepiej niż ja. Jej ojciec był pastorem.

H - '

Zgodnie z regułą pociąg stanął w polu bez żadnego wyraźnego powodu. W nagłej ciszy głos siedzącego nieopodal mężczyzny, który rozmawia przez telefon komórkowy o jakimś kontrakcie na półki do magazynu, brzmi irytująco natrętnie. Wolałbym jeździć do Londynu samochodem, ale kiedy opuścisz M1, ruch jest niemożliwy, nie mówiąc o tym, co się dzieje na M1, a parkowanie na West Endzie to taka męka, że naprawdę szkoda wysiłku. Jeżdżę więc samochodem na stację Rummidge Expo, do której mam tylko piętnaście minut, i zostawiam go tam na parkingu. W drodze powrotnej zawsze się trochę denerwuję, czy ktoś go nie zadrapał albo wręcz nie gwizdnął, chociaż jest wyposażony we wszystkie najnowsze alarmy i zabezpieczenia. To cudowna maszyna, z szesnastoza-worowym, trzylitrowym silnikiem widlastym, automatyczną skrzynią biegów, wspomaganiami kierownicy, układem umożliwiającym utrzymanie stałej prędkości, klimatyzacją, korektorem hamowania, sześciogłośnikowym systemem audio, elektrycznie odsuwanym dachem i wszelkimi innymi gadżetami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Chodzi jak wiatr, gładko i niewiarygodnie cicho. Właśnie tą niemą, swobodną mocą tak się upajam. Nigdy nie byłem wielbicielem hałaśliwych wozów sportowych i nie rozumiałem brytyjskiej obsesji na punkcie ręcznej

zmiany biegów. Może to bezustanne międlenie gałki i ciągłe deptanie sprzęgła zastępuje seks? Mówi się, że automatyki mają gorsze przyspieszenie, ale przy silniku odpowiedniej mocy nie stanowi to problemu. A mój wóz jest do tego wszystkiego niewiarygodnie piękny, aż dech zapiera.

Zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia, gdy stał

50

zaparkowany pod salonem sprzedaży: niski i opływowy, jakby wyrzeźbiony z prześwietlonej słońcem mgiełki, w bardzo, bardzo jasnym srebrzystoszarym kolorze z perłowym połyskiem. Wynajdywałem powody, żeby przejeżdżać obok tego salonu i móc go oglądać, i za każdym razem przesywał mnie dreszcz pożądania. Zapewne wielu przejeżdżających obok ludzi czuło to samo, ale ja w przeciwieństwie do większości z nich wiedziałem, że mógłbym wejść i kupić ten samochód, nie musząc się nawet zastanawiać, czy mnie na niego stać. Wahałem się jednak i ociągałem. Dlaczego? Bo w czasach, gdy nie było mnie stać na taki samochód, nie pochwalałem kupowania takich samochodów: szybkich, szpanerskich, paliwożernych — i japońskich. Zawsze mówiłem, że w życiu nie kupię japońskiego wozu, nie tyle ze względu na ekonomiczny patriotyzm (jeździłem fordami, zazwyczaj wyprodukowanymi w Belgii albo Niemczech), ile z pobudek emocjonalnych. Jestem w takim wieku, że pamiętam drugą wojnę światową i miałem wujka, który umarł w obozie jenieckim, budując syjamską kolej. Uważałem, że jeśli kupię ten samochód, przytrafi mi się coś złego, a w najlepszym razie będę się czuł winny i nieszczęśliwy, jeżdżąc nim. A mimo to go pragnąłem. Stał się jednym z moich „robaków” — rzeczy, w których sprawie nie umiem podjąć decyzji, o których nie umiem zapomnieć, z których nie umiem zrezygnować. Rzeczy, którymi tak się martwię, że nie mogę spać.

Kupiłem wszystkie pisma motoryzacyjne w nadziei, że przeczytam jakąś miażdżącą krytykę, która pomoże mi się zniechęcić. Figa z makiem. Część raportów z prób drogowych brzmiała trochę protekcyjnie — używano takich przymiotników, jak „łagodny”, „uległy”, a nawet „tajemniczy” — lecz nie ulegało wątpliwości, że nikt nie znalazł w tym wozie nic złego. Przez tydzień biłem się z myślami i prawie w ogóle nie spałem. Wyobrażacie sobie? W Jugosławii szaleje wojna, w Afryce ty-

51

V

siące ludzi umierają codziennie na AIDS, w Irlandii Północnej wybuchają bomby, w Anglii rośnie nieubłagane liczbą bezrobotnych, a ja myślę wyłącznie o tym, czy kupić jakiś tam samochód.

Zaczęło to działać Sally na nerwy. „Na litość boską, weź ten samochód na próbną jazdę i jeśli ci się spodoba, kup go” — powiedziała. (Sama jeździ escortem, zmienia go co trzy lata po dwuminutowej rozmowie telefonicznej z dilerem i natychmiast zapomina o całej sprawie.) Więc wziąłem samochód na próbną jazdę. I oczywiście mi się spodobał. Zachwycił mnie. Byłem nim absolutnie oczarowany. Ale powiedziałem sprzedawcy, że jeszcze się zastanowię. „Nad czym tu się zastanawiać? — spytała Sally, gdy wróciłem do domu. — Samochód ci się podoba, stać cię na niego, dlaczego miałbyś go nie kupić?” Odparłem, że się z tym prześpię. Co oczywiście znaczyło, że nie mogłem przez to spać. Przeleżałem całą noc, zamartwiając się. Rano przy śniadaniu oznajmiłem, że podjąłem decyzję. „Tak? — zapytała Sally, nie

podnosząc wzroku znad «Independenta». — Jaką?" „Na nie — odrzekłem. — Moje skrupuły mogą być irracjonalne, ale nigdy się od nich nie uwolnię, więc lepiej będzie, jeśli go nie kupię". „Dobrze — powiedziała Sally. — To co kupisz w zamian?" „Nie potrzebuję nowego wozu — stwierdziłem. — Ten, którym jeżdżę teraz, wystarczy mi co najmniej na rok". „W porządku" — powiedziała Sally Ale w jej głosie zadźwięczało rozczarowanie. Znow zacząłem się martwić, czy podjąłem właściwą decyzję.

Przejeżdżając obok salonu kilka dni później, zauważyłem, że samochód zniknął. Wszedłem do środka i dopadłem sprzedawcy. Praktycznie wyciągnąłem go zza biurka za kłapy, jak to robią w filmach. Ktoś kupił mój samochód! Nie mogłem w to uwierzyć. Czułem się tak, jakby w przeddzień ślubu porwano mi narzeczoną. Powiedziałem, że chcę mieć ten samochód. Musiałem go mieć. Sprzedawca odparł, że może mi zała-

52

twić inny egzemplarz w ciągu dwóch, trzech tygodni, ale kiedy spojrzał do komputera, okazało się, że w całym kraju nie ma drugiego takiego modelu w identycznym kolorze. Producent nie otworzył fabryki w Anglii — samochody sprowadza się z Japonii. Sprzedawca powiedział, że następny kontyngent już wypłynął, ale dostawa potrwa parę miesięcy. Oszczędzając wam szczegółów, skończyło się na tym, że zapłaciłem tysiąc funtów więcej niż wynosiła cena katalogowa, żeby przebić gościa, który mnie ubiegł.

Nigdy nie żałowałem tej decyzji. Prowadzenie tego wozu to czysta przyjemność. Przykro mi tylko, że moi rodzice już nie żyją i nie mogę ich zabrać na przejażdżkę. Potrzebuję kogoś, kto jak lustro odbiłby moją dumę posiadacza. Sally się do tego nie nadaje — dla niej samochód jest po prostu funkcjonalną maszyną. Amy nawet go nie widziała, bo jeżdżę do Londynu pociągiem. Moje dzieci, podczas swych rzadkich wizyt, patrzą na niego z mieszaniną kpiny i dezaprobaty — Jane nazywa go „burżujochód", a Adam mówi, że kompensuję nim sobie utratę włosów. Potrzebny mi pasażer, który umiałby go docenić. Na przykład ktoś taki jak Maureen Kavanagh, moja pierwsza dziewczyna. W tych dawnych czasach naszych rodzin nie było stać na utrzymanie samochodu. Przejażdżka jakimkolwiek pojazdem stanowiła rzadką przyjemność obfitującą w nowe doznania. Pamiętam, jak Maureen szalała z radości, kiedy mój wuj Bert zabrał nas pewnej niedzieli do Brighton swoim starym przedwojennym singerem, który pachniał benzyną i skórą, i kołysał się na resorach jak dziecinny wózek. Wyobrażam sobie, że podjeżdżam pod dom Maureen moją srebrzystą su-pertorpedą i dostrzegam w oknie jej zdumioną twarz; po chwili wypada z frontowych drzwi, zbiega po schodkach ganku, wskazuje do środka i wierci się podniecona w fotelu, wypróbowując wszystkie gadżety, śmiejąc się i po dawnemu marszcząc nos, i patrząc na mnie z uwielbieniem, gdy odjeżdżamy.

53

Bo Maureen patrzyła na mnie z uwielbieniem. Po niej nikt już tego nie robił, ani Sally, ani Amy, ani Louise, ani żadna z pozostałych kobiet, które od czasu do czasu mnie podrywały. Nie widziałem Maureen od prawie czterdziestu lat — Bóg jeden wie, gdzie teraz mieszka, co robi i jak wygląda. Gdy siedzi koło mnie

w samochodzie, nadal jest słodką szesnastolatką, ubraną w swą najlepszą letnią sukienkę w różowe róże, chociaż ja pozostaję grubym i łysym pięćdziesięcioośmiolatkiem. Nie ma w tym żadnej logiki, ale chyba po to są marzenia.

Pociąg zbliża się do Euston. Konduktor przeprosił przez głośniki za opóźnienie, „które powstało z powodu awarii urządzeń sygnalizacyjnych w pobliżu Tring”. Byłem cichym zwolennikiem prywatyzacji Kolei Brytyjskich, póki minister transportu nie ogłosił, że planuje się rozdzielenie własności torów i taboru. Możecie sobie wyobrazić, jak świetnie będzie to działało i jakie cudowne alibi zapewni wszelkim spóźnieniom. Czy oni oszaleli? Czy to Niedowład Wewnętrzny Rządu?

A propos, przeczytałem gdzieś, że John Major ma chore kolano. Podobno musiał zrezygnować z gry w krykieta. To wiele tłumaczy.

Środa, 10.15 wieczorem. Przed chwilą wyszła Amy. Wróciliśmy od Gabriellego do mieszkania, żeby obejrzeć na moim małym sony „News at Ten” i zorientować się w najnowszych światowych katastrofach (okrucieństwa w Bośni, powódź w Bangladeszu, susza w Zimbabwie, bliski upadek rosyjskiej gospodarki, największy deficyt w angielskim handlu, jaki kiedykolwiek zanotowano), a potem wsadziłem ją w taksówkę do St Johns Wood. Ze względu na Zeldę stara się nie wracać późno, cho-

54

ciaż jej lokatorka Miriam, foniastra z zawodu, jest szczęśliwym trafem domatorką i ma oko na dziewczynę, gdy Amy wychodzi wieczorami.

Teraz jestem sam w mieszkaniu i być może w całym budynku. Inni lokatorzy też nie przebywają tu stale — stewardesa, która lata na długich trasach, szwajcarski biznesmen, kursujący między Londynem i Zurychem w towarzystwie swojej sekretarki i/lub kochanki i para amerykańskich gejów, chyba wykładowców uniwersyteckich, którzy przyjeżdżają do Anglii tylko podczas wakacji. Dwóch mieszkań jeszcze nie sprzedano, z powodu recesji. Nie widziałem dziś nikogo w windzie ani na korytarzu, ale nigdy nie czuję się tu samotny, co zdarza mi się czasem w domu, kiedy Sally jest w pracy. Ulice przedmieść są takie ciche. Tutaj nigdy nie jest cicho, nawet w nocy. Przez podwójne szyby przebija warkot autobusów i taksówek sunących powoli Charing Cross Road, akcentowany od czasu do czasu przenikliwym wyciem syreny wozu policyjnego albo karetki pogotowia. Jeśli podejść do okna i spojrzeć w dół, widzę chodniki zapchane ludźmi, którzy wychodzą z teatrów, kin, restauracji i pubów albo stoją na ulicy, przeżuwając hamburgery i ciągnąc z puszek piwo lub colę, podczas gdy ich oddechy gęstnieją w zimnym nocnym powietrzu. Rzadko się zdarza, żeby ktoś podniósł wzrok powyżej parteru, zajętego przez włoską restaurację, i zauważył, że nad nią jest sześć luksusowych apartamentów i że w jednym z okien stoi jakiś mężczyzna, który odsunął zasłony i patrzy w dół. Nikt nie przypuszcza, że można by mieszkać w takim miejscu, i rzeczywiście nie wytrzymałbym tutaj przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Za dużo tu hałasu i brudu. Hałas robią nie tylko samochody, lecz także ulokowane z tyłu budynku restauracyjne wentylatory, które chodzą chyba bez przerwy, a brud to nie tylko kurz

55

w powietrzu, osiadający na wszystkim grubą czarną warstwą, choć prawie nie otwieram okien, lecz także nieczystości na ziemi. Chodniki są stale pokryte śluzowatą mieszanką błota, śliny, wymiocin, rozlanego mleka i resztek piwa, usłane rozdeptanymi pudełkami po hamburgerach, zgniecionymi puszkami po napojach, zmiętymi plastikowymi i papierowymi torebkami, zatłuszczonymi serwetkami i zużytymi biletami autobusowymi. Wysiłki służb porządkowych gminy Westminster idą całkowicie na marne wobec liczby produkujących śmieci przechodniów. Równie widoczne są odpady ludzkie: pijani, włóczędzy, pomyleńcy i różne inne typy spod ciemnej gwiazdy. Na okrągło zaczepiają cię żebracy, a po dziesiątej wieczorem w drzwiach każdego sklepu ktoś śpi. „Louche” — zawyrokowała Amy o atmosferze tej okolicy, gdy pierwszy raz ją tu przyprowadziłem, ale nie jestem pewien, czy to właściwe słowo. (Sprawdziłem je, znaczy po francusku „podejrzany, mający złą opinię”). Rejon kin porno i peepshowów znajduje się pół mili dalej. Tutaj antykwariaty i sławne teatry sąsiadują z fast-foodami i wieloekranowymi kinami. Z pewnością nie jest to typowa dzielnica mieszkaniowa, ale na stołeczną bazę dla prowincjusza nadaje się doskonale. Co tu gadać, Londyn to kloaka. Jeśli już musisz tutaj mieszkać, lepiej siedzieć na parującym, lśniącym szczycie góry łajna, niż przekopywać się codziennie rano i wieczorem przez wszystkie warstwy zbitego, starego nawozu. Wiem, co mówię, w swoim czasie najeździłem się środkami komunikacji miejskiej.

Kiedy dwanaście lat temu, ze względu na pracę Sally, przeprowadziliśmy się z Londynu do Rummidge, wszyscy znajomi patrzyli na nas ze źle ukrywanym współczuciem, jakby chodziło o zesłanie na Syberię. Szczerze mówiąc, sam miałem pewne obawy, bo w życiu nie mieszkałem na północ od Palmer's

56

Green (nie licząc pobytu w Yorkshire podczas szkolenia podstawowego w wojsku i objazdów teatralnych, gdy byłem początkującym aktorem, ale trudno to nazwać „mieszkaniami”). Uznałem jednak, że Sally musi wykorzystać szansę awansu ze szkolnictwa podstawowego do wyższego. Cholernie się napracowała, robiąc zaocznie magisterium z pedagogiki i pełniąc jednocześnie funkcję zastępcy kierownika szkoły elementarnej* w Stoke Newington, a Wydział Nauk Pedagogicznych Akademii Rummidge szukał akurat specjalisty w jej dziedzinie, psycholingwistyce i akwizycji języka (nie pytajcie mnie, co to takiego). Więc się zgłosiła i została przyjęta. Teraz jest starszym wykładowcą. Może kiedyś zostanie profesorem, skoro akademia jest już uniwersytetem. Profesor Sally Passmore: ładnie brzmi. Gorzej z nazwą uczelni. Nie mogli jej nazwać Uniwersytetem Rummidge, bo już taki był, więc zdecydowali się na Uniwersytet im. Jamesa Watta, dla uczczenia wielkiego wynalazcy, który stąd pochodził. Mogę się założyć, o co tylko chcecie, że ten dość nieporęczny tytuł zostanie zaraz skrócony do „Uniwersytetu Watta”, i wyobraźcie sobie, jakie będzie to powodować nieporozumienia. „Który uniwersytet skończyłeś?” „Watta”. „Tak, który uniwersytet?” „Watta”**. I tak dalej.

Wracając do tematu, trochę się bałem tej przeprowadzki, wszyscy się baliśmy, dzieci też, bo zawsze mieszkaliśmy na południowym wschodzie. Szybko dokonaliśmy jednak kilku odkryć. Po pierwsze, że za pieniądze ze sprzedaży naszej połowy obskurnego przedwojennego bliźniaka w Palmers Green możemy kupić przestronną edwardiańską willę z pięcioma sypialniami, usytuowaną w przyjemnej dzielnicy, tak że po raz pierwszy od dnia ślubu będę miał własny pokój, wychodzący na ocieniony starymi drzewami trawnik, a nie kąt pod oknem

* Chodzi o junior school, szkołę dla dzieci od siódmego do jedenastego roku życia.

** Słowo „który” (what) wymawia się tak samo jak nazwisko Watt.

57

living roomu, z widokiem na identyczne obskurne pół bliźniaka po przeciwnej stronie ulicy; po drugie, że Sally i dzieci mają o połowę krótszy i wygodniejszy dojazd do pracy i szkoły niż w Londynie; a po trzecie, że na prowincji ludzie odnoszą się do siebie uprzejmie, ekspedientki mówią „dziękuję”, gdy dasz im odliczoną kwotę, taksówkarze wyglądają na mile zaskoczonych, gdy dostaną napiwek, a fachowcy, którzy przychodzą naprawić ci pralkę, pomalować ściany albo pokryć dach, są grzeczni, kompetentni i godni zaufania. W tamtych czasach wyższa jakość życia poza Londynem była jeszcze dobrze strzeżoną tajemnicą i ledwo hamowaliśmy z Sally wesołość na myśl o tym, że znajomi w stolicy litują się nad nami, tkwiąc w ulicznych korkach, czepiając się uchwytów w zatłoczonym metrze albo bezskutecznie próbując wezwać hydraulika podczas weekendu. Przeprowadzka do Rummidge odmieniła nasz los także pod innym względem. Kto wie, czy Sąsiedzi kiedykolwiek ujrzeliby światło studia, gdyby Sally nie została zaproszona na pewne przyjęcie w ratuszu, gdzie poznałem Olliego Silvera, akurat kiedy Heartland szukało pomysłu na nowy sitcom...

Kiedy Jane i Adam wyjechali na studia, przenieśliśmy się do Hollywell, na wpół wiejskiej, peryferyjnej dzielnicy Rummidge. Naszymi sąsiadami są głównie dyrektorzy zakładów przemysłowych, księgowi, prawnicy i lekarze. Wszystkie domy to nowoczesne wille w różnych stylach, odsunięte od ulicy i najeżone alarmami antywłamaniowymi. Zielono tu i cicho. W tygodniu najgłośniejszym dźwiękiem jest szum elektrycznego silnika samochodu mleczarza rozwożącego odtłuszczone mleko, naturalny jogurt i wiejskie jajka. W weekendy słychać czasem stuk kopyt kucyków albo pisk opon range roverow. Klub sportowo-rekreacyjny, z polem golfowym na osiemnaście dołków, kortami tenisowymi, krytym i odkrytym basenem oraz sauną, znajduje się zaledwie dziesięć minut drogi od nas. To główny

58

powód naszej przeprowadzki do Hollywell — to i fakt, że jest stąd blisko do stacji Rummidge Expo.

Stację tę zbudowano dość niedawno, aby obsługiwała Międzynarodowe Centrum Wystawowe i lotnisko. Jest bardzo funkcjonalna i nowoczesna, nie licząc głównej męskiej toalety. Z jakiegoś powodu wśród tej orgii marmuru, szkła i chromu pieczołowicie zrekonstruowano klasyczny angielski dworcowy wychodek, łącznie z cynkowymi pisuarami pod ścianą, popękany, białymi kafelkami, a nawet soczystym smrodem zatłoczonych odpływów. Poza tym to wielki postęp w stosunku do stacji Rummidge Centrum, a mnie skraca podróż do Londynu o dwanaście minut. Bo, oczywiście, jeśli jesteś w jakikolwiek sposób związany z show-biznesem, nie uda ci się całkowicie zerwać ze stolicą. Heartland nagrywa w swoim studiu w Rummidge, gdyż pod takim warunkiem uzyskało licencję — chodzi o tworzenie miejsc pracy w regionie ogarniętym bezrobociem i tak dalej — ale biura ma w Londynie i w Londynie odbywa się większość prób, bo tam mieszka większość aktorów i reżyserów. Więc kursuję na trasie Expo-Euston dobrymi starymi Kolejami Brytyjskimi. Kupiłem moje londyńskie mieszkanie trzy lata temu, częściowo jako inwestycję (choć ceny nieruchomości spadły od tamtego czasu), ale głównie po to, żeby oszczędzić sobie

dwukrotnego tłuczenia się pociągiem jednego dnia, jak również zawracania głowy z wynajmowaniem pokoju w hotelu. Zapewne w cichości myślałem też o tym, że będę miał gdzie spotykać się prywatnie z Amy.

Cenię tę prywatność, tę anonimowość coraz bardziej. Nikt z przechodniów nie wie, że jestem tu, na górze, w moim przytulnym, centralnie ogrzewanym, odizolowanym podwójnymi szybami orlim gnieździe. A jeśli schodzę na dół po gazetę albo żeby kupić karton mleka u Hindusa na rogu, i mieszam się z tłumem turystów, włóczęgów, szukających rozrywki smarkaczy z przedmieść, młodocianych uciekinierów z domu, urzęd-

59

ników, którzy zatrzymali się po pracy na drinka i zostali na dziesięć, aktorów i ulicznych grajków, policjantów, żebraków i sprzedawców gazet — ich spojrzenia prześlizgują się po mnie, nie nabierając ostrości, nikt mnie nie rozpoznaje, nikt mnie nie pozdrawia ani nie pyta, jak się czuję, i nie muszę przed nikim udawać, że jestem szczęśliwy.

Amy przyszła do mnie prosto z pracy i zanim wyszliśmy coś przegryźć u Gabriellego, wypiliśmy po ginie z tonikiem. Czasem, jeśli przyjeżdża z domu, przynosi jakieś wyjęte z zamrażarki danie własnej roboty, musakę albo wołowinę z oliwkami, albo coq au vin, i podgrzewa je w mojej mikrofalówce, ale zazwyczaj jemy w restauracji. Bardzo, bardzo rzadko zaprasza mnie na kolację do siebie i wtedy przygotowuje prawdziwą ucztę, ale zawsze jest to kolacja-przyjęcie, z udziałem innych gości. Amy nie chce, by Zelda się domyśliła, że łączy nas coś szczególnego, choć trudno mi uwierzyć, że mała niczego nie podejrzewa i nie zastanawia się, dlaczego jej matka wychodzi czasami wieczorem ubrana jak na randkę, z pudełkiem domowych mrożonek w elegancko urękawiczonej dłoni. „Bo chowam je w torebce, stupido” — odparła Amy, gdy kiedyś poruszyłem tę kwestię. To prawda, ma wyjątkowo dużą torebkę, jedną z tych miękkich włoskich skórzanych sakw, zawsze pełną kobiecych parafernaliów (może wystarczyłoby powiedzieć parafernaliów) — nosi w niej szminki i kredkę do oczu, puder i perfumy, papierosy i zapalniczki, długopisy i ołówki, notesy i kalendarze, aspirynę i plaster z opatrunkiem, wkładki higieniczne i tampony, prawdziwy system podtrzymywania życia, w którym aluminiową foremkę z zamrożoną musaką można ukryć bez większego trudu.

Kiedy Amy zadzwoniła domofonem, zmieniałem przepaloną żarówkę, więc nie od razu nacisnąłem guzik, który poka-

60

zał jej komicznie zniekształconą twarz, złożoną z samych ust, nosa i oczu, na monitorze w moim mikroskopijnym przedpokoju. „Szybko, Lorenzo — powiedziała. — Muszę się wysuszać i napić, w tej kolejności”. Jedną z rzeczy, które mi się w Amy podobają, jest to, że nie nazywa mnie Tubby. Używa mnóstwa innych imion, ale nigdy tego. Przycisnąłem drugi guzik, który otwiera frontowe drzwi, i chwilę później wpuściłem ją do mieszkania. Gdy się witaliśmy, przytuliła zimny policzek do mojej twarzy i owionął mnie mocny zapach jej ulubionych perfum, Givenchy. Poszła do łazienki, a ja powiesiłem jej płaszcz i wzięłem się do robienia drinków. Zjawiła się po kilku minutach, ze lśnącymi od świeżo nałożonej

szminki ustami, opadła na fotel, założyła jedną pulchną, krótką nogę na drugą, zapaliła papierosa, ujęła szklankę i powiedziała:

— Na zdrowie, skarbie. Jak twoje kolano?

Odparłem, że raz mnie dziś ostro zakłuło, w pociągu.

— A jak twój Angst?

— Moje co?

— Daj spokój, kochanie! Nie udawaj, że nie wiesz, co to jest Angst. Po niemiecku lęk. A może ból?

— Mnie nie pytaj — zastrzegłem się. — Wiesz, że jestem beznadziejny z języków.

— Mniejsza z tym. Jak się miewasz? Oprócz kolana.

— Dość kiepsko.

W miarę obszernie przedstawiłem jej mój stan ducha w ostatnich dniach.

— To dlatego, że nie piszesz. — Miała na myśli pisanie scenariuszy.

— Kiedy piszę — zaproponowałem. — Piszę dziennik.

Czarne oczy Amy zamrugały ze zdumienia.

— Po jakie lichy?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem. Zacząłem od takiego drobiazgu dla Alexandry

61

— Powinieneś pisać coś, dzięki czemu wyjdiesz z siebie, a nie bardziej się w siebie zagłębisz. Będzie następna seria?

— Powiem ci później — odparłem. — Byłem w związku z tym na lunchu z Jakiem. Jak twój dzień?

— Och, okropny, okropny — westchnęła, wykrzywiając usta. Dni Amy zawsze są okropne. Wątpię, żeby czuła się naprawdę szczęśliwa, gdyby takie nie były. — Przy śniadaniu pokłóciłam się z Zeldą o chlew w jej pokoju. W sumie cest normal. Ale potem zadzwoniła sekretarka Karla, że Karl nie może mnie dziś przyjąć, ponieważ boli go gardło. Nie rozumiem, dlaczego miałby odwoływać wizytę z powodu bólu gardła, czasami umyślnie nic nie mówi, ale sekretarka powiedziała, że ma też gorączkę. Więc oczywiście

cały dzień byłam roztrzęsiona jak narkoman na głodzie. A Michael Hinchcliffe, który cudownie by się nadawał do tego szpiegowskiego serialu BBC i według agenta był „technicznie wolny”, przyjął tymczasem propozycję filmową. Nie mówiąc już o ostatnim numerze Harriet.

Harriet to współpracownica Amy z agencji castingowej. Niedawno rozpadł się jej wieloletni związek z mężczyzną imieniem Norman i przez to nie jest w stanie logicznie myśleć, a nawet zdarza jej się wybuchać histerycznym płaczem podczas rozmów telefonicznych z klientami. Amy stwierdziła, że opowie mi o ostatnim numerze Harriet, kiedy ja jej opowiem o moim lunchu z Jakiem, więc poszliśmy do Gabriellego i zajęliśmy nasz stały stolik.

Jake Endicott jest jedynym agentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Napisał do mnie, usłyszawszy jakiś mój skecz radiowy, wieki temu, i zaoferował swoje usługi. Przez długie lata niewiele się działo, ale potem odniosłem sukces Sąsiadami i nie zdziwiłbym się, gdybym był teraz jego klientem numer jeden. Zarezerwował stolik w tylnej sali, pod szklanym dachem. Groucho to lokal w jego stylu. Ludzie wpadają tu po to, aby zobaczyć innych ludzi i aby inni ludzie zobaczyli ich, nie dając

62

po sobie poznać, że tylko o to im chodzi. Istnieje specjalne spojrzenie, które stali bywalcy opanowali do perfekcji, nazywane przeze mnie Gapnięciem Groucha: należy bardzo szybko omieść sałę wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek, aby sprawdzić, czy są jakieś sławy, śmiejąc się jednocześnie na całe gardło z czegoś, co powiedział twój towarzysz, czy było to zabawne czy nie. Sądziłem, że będzie to lunch towarzyski, trochę plotek, trochę wzajemnych gratulacji, ale okazało się, że Jake ma mi do powiedzenia coś ważnego.

Kiedy złożyliśmy zamówienie (wybrałem wędzoną pierś kaczki z sałatką z rzeżuchy, a jako danie główne parówki z piure ziemniaczanym, za cenę, która przyprawiłaby moich rodziców o atak serca), Jake powiedział:

- Dobra wiadomość jest taka, że Heartland chce zamówić dwie następne serie.
- A jaka jest zła wiadomość? — zapytałem.
- Że Debbie chce odejść — odparł i spojrzał na mnie natarczywie, ciekaw, jak zareaguję.

Nie była to specjalna rewelacja. Wiedziałem, że obecna seria jest ostatnią, na którą Debbie podpisała umowę, i mogłem bez trudu uwierzyć, że ma dość spędzania ponad sześciu miesięcy rocznie na kręceniu Sąsiadów. Sitcom to dla aktorów ciężki kawałek chleba. To teatr, w którym premiera jest co tydzień. Harmonogram Sąsiadów przedstawia się następująco: czytanie we wtorek i próby w Londynie od środy do piątku, podróż do Rummidge w sobotę, próba generalna i nagranie w niedzielę, wolne w poniedziałek, i we wtorek od nowa to samo z kolejnym odcinkiem. Aktorzy tracą weekendy, a jeśli trzeba coś nakręcić w plenerze, czasem także swój wolny dzień. Zarabiają dobrze, ale jest to okropny kariat i nie wolno im zachorować. Do rzeczy: dla takiej aktorki jak Deborah Radcliffe rola Priscilli Springfield musiała przestać być wyzwaniem już dawno temu. Teoretycznie może występować w teatrze przez

trzy czy cztery miesiące w roku, między seriami, ale cykl produkcyjny na West Endzie jest znacznie dłuższy, a zresztą prawo Murphy ego gwarantuje, że role, które chciałyby zagrać, nie pojawiają się wtedy, gdy ma czas. Nie byłem więc zaskoczony, usłyszawszy, że chce odzyskać wolność. Jake naturalnie widział to inaczej.

— Niewdzięczność ludzi z tej branży... — westchnął, potrząsając głową i obracając widelcem płat marynowanego łososa w kałużę sosu koperkowego. — Kto słyszał o Deborah Radcliffe przed Sąsiadami, oprócz paru osób z listy subskrypcyjnej RSC? Zrobiliśmy z niej gwiazdę, a ona się na nas wypina. Gdzie lojalność?

— Daj spokój, Jake — powiedziałem. — Powinniśmy się cieszyć, że była z nami tak długo.

— Mnie za to podziękuj, chłopcze — odparł Jake. (Jest dziesięć lat młodszy ode mnie, ale w naszych stosunkach lubi grać ojca.) — To ja zmusiłem Heartland, żeby po pierwszej serii odnowili z nią kontrakt na cztery lata. Oni zadowoliliby się trzema.

— Wiem, Jake, dobrze się spisałeś — przyznałem. — Chyba nie jest to manewr jej agenta, żeby wyciągnąć więcej pieniędzy?

— W pierwszej chwili tak pomyślałem, ale ona mówi, że nie zgodziłaby się grać dalej nawet za podwójną stawkę.

— Jak zrobimy następną serię bez Debbie? — zapytałem. — Nie możemy zaangażować innej aktorki. Widzowie tego nie zaakceptują. Dla nich Debbie jest Priscillą.

Jake pozwolił kelnerowi dolać nam wina, a potem wychylił się do przodu i zniżył głos:

— Rozmawiałem o tym z ludźmi z Heartland. Z Davidem Treeceiem, Melem Spacksem i Olliem. Nawiasem mówiąc, to poufna informacja, Tubby. Będziesz jutro na próbie? Nie wolno ci puścić pary z ust. Reszta ekipy nie wie, że Debbie od-

chodzi. Heartland chce, żebyś przerobił scenariusz ostatniego odcinka.

— Co mają mu do zarzucenia?

— Nie mają mu nic do zarzucenia. Ale musisz wypisać Debbie z serialu.

— To znaczy zabić Priscillę?

— Boże broń. To jest serial komediowy, na rany Chrystusa, nie jakaś tragedia. Priscilla musi odejść od Edwarda.

— Dlaczego?

— To już twoje zmartwienie, synu. Może spotkać innego faceta.

— Zwariowałeś, Jake? Priscilla nigdy nie opuściłaby Edwarda. Coś takiego nie leży w jej naturze.

— Kobiety robią dziwne rzeczy Weź Margaret. Opuściła mnie.

— Bo miałeś romans z Rhodą.

— To może Edward mógłby mieć z kimś romans i nakłonić Priscillę do rozwodu. Przy okazji masz nową postać.

— W naturze Edwarda też to nie leży. On i Priscilla są typowymi monogamistami. Już prędzej ja rozstałbym się z Sally.

Spieraliśmy się przez jakiś czas. Argumentowałem, że Spring-fieldowie, mimo modnych liberalnych poglądów i kulturalnego wyrafinowania, są w gruncie rzeczy bardzo konwencjonalni, podczas gdy ich sąsiedzi Davisowie, przy całej swej wulgarności i filisterstwie, przejawiają dużo większą tolerancję i wyemancypowanie. Oczywiście Jake już to wszystko wiedział.

— No dobrze 7- odezwał się w końcu. — Więc co proponujesz?

— Może powinniśmy zwinąć interes — odparłem bez cienia premedytacji.

Jake omal się nie udławił swoimi smażonymi jagnięcymi podróbkami z polentą.

— To znaczy zakończyć Sąsiadów na tej serii?

65

— Może osiągnęli już kres swego naturalnego żywota.

Nie byłem pewien, czy w to wierzę, ale ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłem, że zbytnio się tą ewentualnością nie przejmuję.

Jake natomiast przejął się bardzo. Wytarł usta serwetką i powiedział:

— Tubby, nie rób mi tego. Powiedz, że żartujesz. Sąsiedzi mogliby lecieć jeszcze przez trzy serie. Ta kura może jeszcze znieść dużo złotych jaj. Sam byś sobie poderznął gardło.

— Jake ma rację — powiedziała Amy, gdy streściłem jej tę rozmowę przy kolacji (w związku z

lunchem u Groucha poprzestałem skromnie na jednym daniu, canelloni ze szpinakiem, ale podskubywałem deser Amy, rozpustne tiramisu). — Chyba że masz pomysł na następny serial.

— Nie mam — przyznałem. — Ale mógłbym żyć całkiem wygodnie z pieniędzy, które już zarobiłem na Sąsiadach.

— To znaczy przejść na emeryturę? Zwariowałbyś.

— Już wariuję — odparłem.

— Nie wariujesz — zaproponowała Amy. — Nawet nie wiesz, co to znaczy.

Kiedy już dokładnie omówiliśmy wszystkie plusy i minusy ewentualnego kontynuowania Sąsiadów bez Deborah Radcliffe, przyszła kolej na opowieść Amy o jej dniu. Przyznam jednak ze wstydem, że gdy próbuję teraz zapisać tę część naszej rozmowy, niewiele sobie przypominam. Wiem, że ostatni numer Harriet polegał na wysłaniu niewłaściwej aktorki na rozmowę do BBC, z czego wynikły duże nieprzyjemności, ale obawiam się, że odpłynąłem gdzieś myślami już na początku tej historii i nie dotarło do mnie nazwisko aktorki, toteż kiedy oprzytomniałem i Amy mówiła, że Joanna była wściekła, nie wiedziałem, o jaką Joannę chodzi, i nie mogłem spytać, bo wyszłoby

66

na jaw, że nie słuchałem. Ograniczyłem się więc do kiwania i kręcenia głową ze zrozumieniem, wydawania współczujących pomruków i wygłaszania ogólników, ale Amy albo się nie zorientowała, albo jej to nie przeszkadzało. Potem mówiła o Zeldzie, z czego nie pamiętam już ani słowa, niemniej mógłbym to dość wiernie odtworzyć, bo narzekania Amy na Zeldę są zawsze takie same.

Nie powtórzyłem Amy mojej rozmowy z Jakiem w całości. Po lunchu, kiedy czekaliśmy, aż kelner wróci ze skasowanym rachunkiem i jego platynową kartą kredytową, Jake rozejrzał się po sali, zamachał dyskretnie do Stephena Frya, który właśnie wychodził, i odezwał się niedbałym tonem:

— Mógłbyś mi w przyszłym tygodniu pożyczyć swojego mieszkania, Tubby? — Pomyślałem, że chce ulokować jakiegoś zagranicznego klienta, ale dodał: — Na jedno popołudnie. Dowolnego dnia. — Pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się chytrze. — Przyniesiemy własną pościel.

Byłem wstrząśnięty. Nie minęły jeszcze dwa lata, odkąd Jake rozwiódł się z Margaret i ożenił ze swoją ówczesną sekretarką, Rhodą. Margaret uważałem jeśli nie za przyjaciółkę, to przynajmniej za dobrą znajomą, i dopiero niedawno przyzwyczałem się do tego, że Jake chodzi na oficjalne imprezy albo przyjeżdża do nas czasem na weekend z inną kobietą. Zorientował się po mojej minie, że coś jest nie tak.

— Oczywiście jeśli sprawiłoby ci to kłopot, to powiedz.

— To nie jest kwestia sprawiania czy niesprawiania kłopotu, Jake — odparłem. — Po prostu już nigdy nie mógłbym spojrzeć Rhodzie w oczy.

— Rhoda na tym nie ucierpi, wierz mi — powiedział z przekonaniem. — To nie jest romans. Oboje jesteśmy szczęśliwi w naszych małżeństwach. Łączy nas po prostu zainteresowanie rekreacyjnym seksem.

— Wolałbym nie mieć z tym nic wspólnego — oznajmiłem.

67

W

— Nie ma sprawy — odrzekł, machając ręką. — Zapomnij, że w ogóle o to prosiłem. — I dodał z nutą niepokoju w głosie: — Nie powiesz nic Sally?

— Nie powiem. Ale czy nie czas, żebyś dał sobie spokój z tymi figłami?

— Dzięki nim czuję się młodo — oświadczył z wyraźnym zadowoleniem.

Rzeczywiście wygląda młodo jak na swój wiek, żeby nie powiedzieć smarkato. Ma twarz z rodzaju tych, które nazywa się „chłopięcymi”: puciołowate policzki, lekko wyłupiaste oczy, zadarty nos, łobuzerski uśmiech. Nie nazwalibyście go przystojnym. Trudno mi pojąć, co kobiety w nim widzą. Może tę skwapliwą energię machającego ogonem szczeniaka — wydaje się, że ma jej niewyczerpane pokłady.

— Powinieneś sam spróbować, Tubby — dorzucił. — Marnie ostatnio wyglądasz.

Kiedy usiedliśmy obok siebie na kanapie, aby obejrzeć „News at Ten”, objąłem Amy, a ona położyła mi głowę na ramieniu. Jest to maksimum naszej fizycznej bliskości, nie licząc pożegnalnego pocałunku w usta — czujemy, że przy rozstaniu możemy się do tego posunąć bez ryzyka. Nie pieścimy się, siedząc na kanapie, i nigdy nie próbowałem żadnego ściskania czy głaskania poniżej szyi. Przysznie, zastanawiam się czasem, jak Amy wyglądałaby nago. Wyobraźnia podsuwa mi tęższą wersję sławnego aktu — jak mu tam, tego Hiszpana, starego mistrza, namalował dwa obrazy z tą samą kobietą rozłożoną na sofie, jeden w sukni, drugi bez. Muszę to sprawdzić. Amy jest zawsze taka ubrana, tak dokładnie pozapinana i pozasu-wana, obleczona w tyle warstw starannie dobranej konfekcji, że trudno sobie wyobrazić, aby mogła być kiedykolwiek zupełnie naga, chyba że w wannie, a i wtedy pewnie zakrywa się

68

pianą. Rozbieranie Amy byłoby długotrwałym i podniecającym zajęciem, jak odwijanie kosztownie i wymyślnie zapakowanego prezentu w szeleście arkusików pachnącej bibułki, po ciemku. (Musiałoby się to dziać po ciemku — mówiła mi, że jednym z problemów, jakie miała z Saulem, był jego upór, aby kochać się przy zapalonym świetle.) Natomiast stroje Sally są luźne i swobodne, a przy tym tak nieliczne i funkcjonalne, że potrafi się rozebrać w dziesięć sekund, co zresztą często robi po przyjeździe z pracy, i kręci się po piętze na golasa, wykonując banalne domowe czynności, jak zmienianie pościeli czy wkładanie rzeczy do pralki.

Te rozważania mnie pobudziły, niestety bezproduktywnie, ponieważ Sally nie zaspokoi mojej żądzy, bo jej

tu nie ma, a Amy nie zrobiłaby tego, nawet gdyby była. Dlaczego ostatnio napalam się tylko w Londynie, gdzie moja przyjaciółka żyje szczęśliwie w cnocie, a prawie nigdy w Rummidge, gdzie mam żonę o nienasyconym apetycie seksualnym? Nie wiem.

„Powinieneś sam spróbować, Tubby”. Skąd Jake wie, że nie spróbowałem? Musi to zdradzać mój język ciała. Albo moja twarz, moje oczy. Oczy Jakea zapalają się jak detektor podczerwieni, ilekroć w ich zasięgu znajdzie się ładna dziewczyna.

Ostatniej okazji „spróbowania” dostarczyła mi chyba Louise, w Los Angeles, trzy czy cztery lata temu, kiedy pojechałem tam na miesiąc jako konsultant amerykańskiej wersji Sąsiadów. Była kierownikiem artystycznym w spółce produkcyjnej, właściwie wiceprezesem, co nie jest stanowiskiem aż tak imponującym, jak mogłoby się wydawać Brytyjczykowi, ale zupełnie niezłym jak na kobietę tuż po trzydziestce. Opiekowała się mną i pośredniczyła w kontaktach z zespołem scenariuszowym. Nad pilotem pracowało ośmioro scenarzystów. Ośmioro. Siedzieli przy długim stole, pijąc kawę i dietetyczną colę, i niespokojnie wypróbowywali gagi na sobie nawzajem. Ponieważ spółka kupiła prawa, mogli zrobić z moimi tekstami, co im się żywnie po-

69

dobało, i zrobili: wyrzucili większość oryginalnej fabuły i dialogów, zachowując tylko podstawową koncepcję nie pasujących do siebie sąsiadów. Wydawało mi się, że dostaję tysiące dolarów prawie za nic, ale nie narzekałem. Z początku pilnie uczestniczyłem w zebraniach i burzach mózgów, ale po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że moja obecność jedynie krępuje i rozprasza tych ludzi. Sprawiali wrażenie zaangażowanych w dramatyczną rywalizację, z której ja byłem szczęśliwie wyłączony, i w końcu mój udział w pracy ograniczył się do gnicia na leżaku przy basenie hotelu Beverly Wilshire i czytania projektów scenariuszy, które Louise Lightfoot przynosiła mi w eleganckiej płócienniej teczce wykończonej skórą. Wracła swoim japońskim sportowym coupe pod koniec dnia, żeby zabrać moje notatki i wypić ze mną koktajl, i często zjadaliśmy razem kolację. Właśnie rozstała się z chłopakiem i „chwilowo z nikim nie spotykała”, a ja, samotny w Beverly Hills jak na bezludnej wyspie, byłem bardzo zadowolony z jej towarzystwa. Zabierała mnie do modnych hollywoodzkich restauracji i wskazywała różne grube ryby. Zabierała mnie na pokazy specjalne i premiery filmów. Zabierała mnie do galerii sztuki i małych teatrów i aby mi pomóc zrozumieć amerykańską telewizję, w miejsca bardziej plebejskich rozrywek: do samochodowych Burger Kingów i na kręgielnie, a raz poszliśmy nawet na mecz baseballowy.

Louise była niska, ale proporcjonalnie zbudowana. Miała proste, obcięte na pazia, brązowe włosy, które zawsze lśniły, jakby zostały niedawno umyte, i niezmiennie tak było. Idealne zęby. Czy ktoś w Hollywood nie ma idealnych zębów? Ale Louise naprawdę ich potrzebowała, ponieważ dużo się śmiała. Był to dźwięczny, serdeczny śmiech, dość zaskakujący przy jej drobnej figurze i pozie poważnej kobiety na stanowisku; śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu i potrząsała nią, burząc sobie fryzurę. Wydawało się, że uzyskuje ten efekt z łatwością.

70

dobą, i zrobili: wyrzucili większość oryginalnej fabuły i dialogów, zachowując tylko podstawową koncepcję nie pasujących do siebie sąsiadów. Wydawało mi się, że dostaję tysiące dolarów prawie za nic, ale nie narzekałem. Z początku pilnie uczestniczyłem w zebraniach i burzach mózgów, ale po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że moja obecność jedynie krępuje i rozprasza tych ludzi. Sprawiali wrażenie zaangażowanych w dramatyczną rywalizację, z której ja byłem szczęśliwie wyłączony, i w końcu mój udział w pracy ograniczył się do gnicia na leżaku przy basenie hotelu Beverly Wilshire i czytania projektów scenariuszy, które Louise Lightfoot przynosiła mi w eleganckiej płóciennej teczce wykończonej skórą. Wracła swoim japońskim sportowym coupe pod koniec dnia, żeby zabrać moje notatki i wypić ze mną koktajl, i często zjadaliśmy razem kolację. Właśnie rozstała się z chłopakiem i „chwilowo z nikim nie spotykała”, a ja, samotny w Beverly Hills jak na bezludnej wyspie, byłem bardzo zadowolony z jej towarzystwa. Zabierała mnie do modnych hollywoodzkich restauracji i wskazywała różne grube ryby. Zabierała mnie na pokazy specjalne i premiery filmów. Zabierała mnie do galerii sztuki i małych teatrów i aby mi pomóc zrozumieć amerykańską telewizję, w miejsca bardziej plebejskich rozrywek: do samochodowych Burger Kingów i na kręgielnię, a raz poszliśmy nawet na mecz baseballowy.

Louise była niska, ale proporcjonalnie zbudowana. Miała proste, obcięte na pazia, brązowe włosy, które zawsze lśniły, jakby zostały niedawno umyte, i niezmiennie tak było. Idealne zęby. Czy ktoś w Hollywood nie ma idealnych zębów? Ale Louise naprawdę ich potrzebowała, ponieważ dużo się śmiała. Był to dźwięczny, serdeczny śmiech, dość zaskakujący przy jej drobnej figurze i pozie poważnej kobiety na stanowisku; śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu i potrząsała nią, burząc sobie fryzurę. Wydawało się, że uzyskuje ten efekt z łatwością.

70

Moje ironiczne angielskie uwagi na temat hollywoodzkiego stylu bycia i kalifornijskiej nowomowy bawiły Louise. Naturalnie nic nie sprawia scenarzyście większej satysfakcji niż widok atrakcyjnej, młodej kobiety, która zaśmiewa się do łez z jego dowcipów. Louise nie była może piękna, ale była atrakcyjna i duuuużo młodsza ode mnie.

Pewnego ciepłego wieczoru pod koniec mojego pobytu pojechaliśmy do jednej z przybrzeżnych restauracji rybnych w Venice. Zjedliśmy kolację na tarasie, patrząc, jak słońce zachodzi nad Pacyfikiem w wulgarnym splendorze Technicoloru, a potem siedzieliśmy przy kawie i drugiej butelce Napa Valley Char-donnay w gęstniejącym zmierzchu, który rozpraszało tylko migotliwe światło małej lampki naftowej. Tym razem nie próbowałem jej rozśmieszyć, tylko opowiadałem poważnie o mojej pisarskiej karierze i o przełomie, jakim byli dla mnie Sąsiedzi. Kiedy zrobiłem przerwę, aby spytać, czy mam zamówić następną kawę, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie, chciałabym zabrać cię do domu i pieprzyć się do upadłego.
- Naprawdę? — spytałem, aby zyskać na czasie, szczęśliwy, że w półmroku nie widać mojej twarzy
- Tak. Co pan na to, panie Passmore?

„Pan Passmore” był oczywiście żartem — od pierwszego dnia mówiliśmy sobie po imieniu. Ale właśnie tak mnie nazywała, zwracając się do innych osób z firmy. Słyszałem parę razy, jak rozmawia przez

telefon. „Pan Passmore uważa, że zrobienie z Davisów rodziny latynoskiej jest błędem, ale pozostawia to naszej ocenie. Pan Passmore uważa, że scena zaczynająca się na trzydziestej drugiej stronie dwunastej wersji jest zbyt sentymentalna”. Wyjaśniła mi, że w branży jest to wyraz szacunku.

— To urocza propozycja, Louise — powiedziałem. — I nie myśl, że nie chciałbym pójść z tobą do łóżka. Ale jestem banalny i kocham moją żonę.

71

— Nigdy by się nie dowiedziała — zauważyła Louise. — Jak mogłoby ją to zranić?

— Czułbym się tak winny, że byłoby to po mnie widać — odparłem. — Albo któregoś dnia sam bym się przyznał. — Westchnąłem żałośnie. — Przepraszam.

— Hej, nic się nie stało, Tubby, nie jestem w tobie zakochana ani nic. Możesz poprosić o rachunek?

Odwołując mnie do hotelu, zapytała nagle:

— Czy jestem jedyną dziewczyną, wobec której miałaś takie skrupuły?

Odrzekłem, że zawsze je miałem, a wtedy powiedziała:

— No, to mnie trochę pocieszyło.

Mało spałem tamtej nocy. Przewracałem się z boku na bok w moim królewskim łożu w Beverly Wilshire, rozmyślając, czy nie zadzwonić do Louise i powiedzieć, że zmieniłem zdanie, ale nie zadzwoniłem; i chociaż spotkałiśmy się jeszcze kilka razy, było już inaczej, stopniowo oddalała się ode mnie, zamiast się zbliżać. Kiedy wyjeżdżałem, odwoziła mnie na lotnisko, cmoknęła w policzek i powiedziała: „Do widzenia, Tubby, było wspaniale”. Przyznałem jej z zapalem rację, ale przez cały lot do domu zastanawiałem się, co straciłem.

Czas iść spać. Ciekawe, co będą mi dziś pokazywać na Kanale Snów. Pewnie filmy pornograficzne.

Czwartek rano, 18 lutego. Wideodomofon w moim mieszkaniu jest podłączony do kamery, która pozwala wybrać jeden z dwóch obrazów: zbliżenie twarzy osoby naciskającej dzwonek albo szerokie ujęcie bramy, z ulicą w tle. Czasem, kiedy nie mam co robić, włączam sobie szerokie ujęcie i patrzę na ludzi, którzy mijają mój dom albo przystają na chodniku. Podsuwa mi to pomysły postaci — widuję przeróżne typy — i chy-

72

ba czerpię z używania tego gadżetu jakąś dziecinną, voyeu-rystyczną przyjemność. Jest to jakby odwrócony peryskop. Z mojej przytulnej kabiny wysoko nad ziemią obserwuję życie na sparszywiełej powierzchni: turystów marszczących brwi nad planami miasta, młode dziewczyny, zbyt próżne, aby zakryć skąpy wyjściowy strój płaszczem, i kulące się z zimna, wyrostków w skórzanych kurtkach urządzających sobie przepychanki, zakochanych przystających w pół kroku, aby się pocałować, i wpadających na nich mężczyzn z aktówkami, którzy spieszą się na Charing Cross na pociąg.

Wczoraj wieczorem, bez żadnego szczególnego powodu, nacisnąłem guzik przed pójściem spać, i niech mnie diabli, ktoś ulokował się w bramie na noc! Powinienem być pewnie zdziwiony, że nie zdarzyło się to wcześniej, ale brama jest kwadratowa i bardzo mała — zbyt mała, żeby dorosły człowiek mógł się w niej położyć, nie wystawiając nóg na chodnik. Ten facet siedział w śpiworze, oparty plecami o jedną ścianę, a stopami o drugą, z głową spuszczoną na piersi. Wyglądał młodo, miał trójkątną, lisią twarz i długie, proste włosy, które opadały mu na oczy.

Jego widok najpierw mnie zdumiał, potem rozzłościł. Co za tupet! Zajmuje całą bramę. Nie można by wejść ani wyjść, nie potykając się o niego. Nie, żebym chciał jeszcze wchodzić czy wychodzić tej nocy, ale mógł się zjawić któryś z pozostałych lokatorów, a przede wszystkim taki przybłęda obniża prestiż posesji. Mógłbym niby zejść na dół i powiedzieć mu, żeby zjeżdżał, ale byłem już w piżamie i nie miałem ochoty stawać przed nim w szlafroku i kapciach ani też na nowo się ubierać. Mógłbym zadzwonić na policję i poprosić, żeby go stąd zabrali, ale w tej części Londynu zdarza się tyle poważnych przestępstw, że wątpiłem, aby chciało im się fatygować, a zresztą spytałiby najpierw, czy już próbowałem usunąć go sam. Stałem więc dalej w przedpokoju, gapiąc się na zama-

73

zany, czarno-biały obraz i wyobrażając sobie, że z mieszkania daje się włączyć również dźwięk i warczę przez głośnik: „Hej, ty! Spieprzaj stąd!”, po czym oglądam jego reakcję na ekranie. Uśmiechnąłem się na tę myśl i poczułem się jak drań.

Niepokoją mnie ci młodzi ludzie, którzy żebrzą i śpią na ulicach Londynu. Nie przypominają włóczęgów i pijaków, którzy zawsze z nami byli, brudni, śmierdzący i obdarci. Ci nowi bezdomni są na ogół przyzwoicie ubrani, w nowe kurtki z kapturem, dzinsy i martensy i mają grube, pikowane śpiwory, jakich nie powstydziliby się biwakowicze z Zielonych Szkół. I o ile tradycyjni włóczędzy gnieźdzą się jak robactwo w ciemnych, zaniedbanych miejscach, na przykład pod wiaduktami kolejowymi albo w pobliżu wysypisk śmieci, o tyle ci młodzi wybierają bramy sklepów na jasno oświetlonych ulicach West Endu albo schody i korytarze w metrze, tak że nie sposób ich nie zauważyć. Ich obecność jest jak oskarżenie — ale o co nas oskarżają? Czy to my wygnaliśmy ich na ulice? Wyglądają tak normalnie, tak porządnie, tak grzecznie pytają, czy nie masz drobnych, że trudno uwierzyć, aby nie mogli znaleźć schronienia czy nawet pracy, gdyby się choć trochę postarali. Może nie na West Endzie, ale kto powiedział, że mają prawo mieszkać na West Endzie? Ja tu mieszkam, ale musiałem na to pracować.

Takim oto wewnętrznym monologiem uspokajałem swoje sumienie przed zaśnięciem. Obudziłem się o czwartej rano i poszedłem zrobić siusiu. Wracając do łóżka, włączyłem ekran domofonu i on wciąż tam był, zwinięty w śpiworze na posadzce bramy niczym pies w koszyku. Ulicą przemknął wóz policyjny i przez podwójne szyby living roomu dobiegło mnie przeraźliwe wycie syreny, ale chłopak nawet nie drgnął. Kiedy o wpół do siódmej znów spojrzałem w monitor, już go nie było.

74

Czwartek po południu. Piszę to w pociągu 17.10 z Euston. Zamierzałem jechać tym o 16.40, ale moja

taksówka utknęła w ogromnym korku spowodowanym alarmem bombowym w Centre Point. Policja zamknęła skrzyżowanie Tottenham Court Road z Oxford Street, blokując cały ruch. Powiedziałem do taksówkarza: „Kto chce wysadzić ten budynek — IRA czy księżę Karol?” Ale nie zrozumiał dowcipu lub, co bardziej prawdopodobne, nie uznał go za śmieszny. Te alarmy odstraszą turystów i cierpi na tym jego interes.

Jak w każdy czwartek, wpadłem dziś rano na próbę. Kiedy Sąsiedzi się rozkręcili, uczestniczyłem w próbach prawie codziennie, ale teraz suną już jak pociąg (a raczej jak pociąg powinien sunąć — ten nagle zwolnił i wlecz się w żółtim tempie, a nie minęliśmy nawet Watford Junction) i pokazuję się tylko raz w tygodniu, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie gładko, i ewentualnie poprawić coś w scenariuszu. Próby odbywają się w dawnej sali zebrań kościelnych w pobliżu stacji metra Pimlico. Wchodząc tam w zimowy dzień, można stracić wszelkie złudzenia co do tego, że telewizyjny biznes rozrywkowy ma jakikolwiek splendor. (Chyba pierwszy raz użyłem zwrotu „stracić wszelkie złudzenia”; podoba mi się — ma klasę.) Na podłodze wymalowano linie odpowiadające scenografii w studiu, ceglane ściany pokrywa urzędowa brudnozielona i kremowa farba, jak w Szpitalu Ogólnym w Rummidge, a w oknach są kraty i niemyte od lat matowe szyby. Wnętrze wypełnia zbieranina mebli, zepchniętych pod ściany albo ustawionych w różnych „pokojach”: kulawe stoliki z laminowanymi blatami, profilowane plastikowe krzesła, walące się kanapy i fotele, łóżka z materacami o nieprzyjemnym wyglądzie.

75

Gdyby nie stojący w kącie duży stół z ekspresem do kawy, zimnymi napojami, owocami i kanapkami, można by pomyśleć, że to przytułek Armii Zbawienia albo magazyn używanych mebli. Aktorzy noszą stare, wygodne ubrania — wszyscy oprócz Debbie, która zawsze wygląda tak, jakby wybierała się na sesję zdjęciową dla „Voguea” — i kiedy nie są potrzebni, siedzą skuleni w rozklekotanych fotelach, czytając gazety i tanie powieści, rozwiązując krzyżówki, robiąc na drutach albo, w wypadku Debbie, haftując.

Wszyscy jednak podnoszą wzrok, uśmiechają się wesoło i pozdrawiają mnie, gdy wchodzę. „Cześć, Tubby! Jak się masz? Jak leci?” Aktorzy są zawsze bardzo skrupulatni pod tym względem. Większość producentów i reżyserów potajemnie gardzi scenarzystami, uważając ich za zwykłych wyrobników, którzy mają im jedynie dostarczać surowca do twórczej obróbki, za zło konieczne, któremu nie można pozwolić się rozpanoszyć. Natomiast aktorzy traktują scenarzystów z szacunkiem, a nawet pewnym lękiem. Wiedzą, że autor jest podstawowym źródłem tekstów, bez których nic nie dziają; wiedzą też, że w wypadku długiego serialu może on rozbudować lub zredukować ich role w nienapisanych jeszcze odcinkach. Dlatego na ogół starają się być dla niego mili.

Przygotowują teraz siódmy odcinek bieżącej serii, który ma zostać nadany za pięć tygodni. Zastanawiam się, czy przeczuwają, że może to być ostatnia seria. Nie, nie dostrzegam żadnych oznak niepokoju w ich twarzach i gestach. Tylko między Debbie i mną przebiega błysk porozumienia, gdy się nachylam, aby pocałować ją w policzek (siedzi w starym fotelu, zajęta swym odwiecznym haftem) i nasze oczy się spotykają: ona wie, że ja wiem, że chce odejść. Poza tym sekret jest na razie bezpieczny. Nawet Hal Lipkin, reżyser, jeszcze nie wie. Podbiega do mnie, jak tylko wejdem, marszcząc brwi i gryząc czubek długopisu, ale ma po prostu jakieś pytanie co do scenariusza.

–

Sitcom to telewizja w najczystszy wydaniu, połączenie ciągłości i nowości. Ciągłość bierze się z podstawowej „sytuacji” — w naszym wypadku to dwie rodziny o krańcowo odmiennym stylu życia mieszkające po sąsiedzku. Beztroscy, żerujący na opiece społecznej Davisowie dziedziczą niespodziewanie dom w dobrej śródmiejskiej dzielnicy i postanawiają w nim zamieszkać, zamiast go sprzedać, ku nieukrywanemu przerażeniu swoich przyszłych sąsiadów, kulturalnych, zamożnych, czytających „Guardiana” Springfieldów. Widzowie szybko oswiają się z postaciami i oczekują, że co tydzień będą się one zachowywać w dokładnie ten sam sposób jak ich własne rodziny. Nowość bierze się z historii opowiedzianej w każdym odcinku. Sztuka sitcomu polega na wymyślaniu tygodni po tygodniu nowych historii opartych na starym schemacie. Nie mogą być zbyt skomplikowane, bo masz na każdą tylko dwadzieścia pięć minut, a z przyczyn zarówno finansowych, jak i technicznych, większość akcji musi się rozgrywać w tej samej scenografii.

Czekałem na ten odcinek z niecierpliwością, bo wyjątkowo wkraczamy w nim na terytorium poważnego dramatu. Zasadniczo sitcom jest lekką, rodzinną rozrywką, mającą bawić i rozweselać widzów, a nie zmuszać ich do myślenia i przynębiać. Jeśli jednak nie dotknie czasem, choćby przelotnie, głębszej, ciemniejszej strony życia, widzowie przestaną wierzyć w bohaterów i stracą zainteresowanie ich losami. Ten odcinek skupia się na córce Springfieldów, Alice, obecnie szesnastoletniej. Kiedy serial ruszał pięć lat temu, była piętnastolatką. Phoebe Osborne, która ją gra, zaczynając, miała czternaście lat, więc teraz ma dziewiętnaście, ale na szczęście mało przez ten czas wyrosła, a makijaż i uczesanie mogą zdziałać cuda. Dorośli bohaterowie sitcomów w ogóle się nie starzeją, jakby byli zaczarowani, ale w wypadku dzieci trzeba się liczyć z tym, że aktorzy rosną, i wbudować to w scenariusz. Na przykład, kiedy

mały Mark Harrington (gra najmłodsze dziecko Springfieldów, Roberta) przechodził mutację, zrobiłem z tego stały dowcip całej serii.

Do rzeczy. Odcinek skupia się na obawach Edwarda i Priscilli, że Alice może być w ciąży, bo ciągle wymiotuje. Cindy Davis z sąsiedztwa to nastoletnia samotna matka, kiedy jest w szkole, dzieckiem zajmuje się stara Davisowa, i chciałem pokazać, że chociaż Springfieldowie byli okropnie liberalni, jeśli chodzi o Cindy, przeraża ich myśl, iż to samo mogłoby się przytrafić ich własnej córce, tym bardziej że o ojcostwo podejrzewają młodego Terry'ego Davisa, z którym Alice się spotyka za ich niechętną zgodą. Oczywiście Alice nie jest w ciąży i w ogóle jej to nie grozi, bo na nic Terryemu nie pozwala. Wymiotuje dlatego, że seksualnie sfrustrowany Terry zaprawia kozie mleko, które jest dostarczane wyłącznie dla niej (ma alergię na mleko krowie), rzekomym afrodyzjakiem (w rzeczywistości to łagodny emetyk) przy współudziale swojego kumpla Rodega, pomocnika mleczarza. Prawda wychodzi na jaw, gdy Priscilla przypadkiem wypija mleko Alice i dostaje gwałtownych torsji. [„EDWARD (osłupiały): Chyba mi nie powiesz, że ty też jesteś w ciąży?”] Zanim to jednak nastąpi, powstaje wiele komicznych sytuacji, bo

Edward i Priscilla próbują okrężnymi drogami sprawdzić swoje straszliwe podejrzenie i rysuje się jaskrawy kontrast między ich publiczną aprobatą a prywatnym potępieniem samotnego macierzyństwa. •

— Odcinek jest trochę za długi, Tubby — powiedział Hal, niewyraźnie, bo trzymał w zębach długopis. Drugi, zupełnie zapomniany, wystawał mu ze strzechy grubych, sztywnych włosów (szczęściarz!) tuż ponad prawym uchem. — Zastanawiałem się, czy nie można by tu wyciąć paru linijek — wymamrotał, przerzucając swój egzemplarz scenariusza. Wiedziałem, które linijki mi pokaże, zanim jeszcze znalazł stronę.

78

EDWARD: Cóż, jeśli rzeczywiście jest w ciąży, będzie musiała ją usunąć.

PRISCILLA (gniewnie): I twoim zdaniem to rozwiąże problem?

EDWARD: Chwileczkę! Myślałem, że jesteś za tym, aby kobiety miały prawo do decyzji.

PRISCILLA: Ona nie jest kobietą, to jeszcze dziecko! A zresztą, co będzie, jeśli zdecyduje się urodzić?

PAUZA, EDWARD ROZWAŻA TĘ MOŻLIWOŚĆ.

EDWARD (cicho, ale stanowczo): Wtedy jej oczywiście pomożemy.

PRISCILLA (mięknąc): Tak, oczywiście.

PRISCILLA WYCIĄGA RĘKĘ I ŚCISKA DŁOŃ EDWARDA.

Miałem już scysję na temat tego fragmentu z Olliem Silversem, moim producentem, gdy złożyłem scenariusz. Ścisłe biorąc, Ollie jest teraz kimś więcej niż moim producentem, jest w Heartland szefem Serii i Seriali; ale ponieważ Sąsiedzi byli w pewnym sensie jego dzieckiem i wciąż mają lepszą oglądalność niż wszystkie inne heartlandzkie produkcje, nie chciał ich nikomu przekazać, gdy awansował, i dalej jakimś cudem znajduje czas, żeby wtykać nos w realizację każdego odcinka. Stwierdził, że nie można wspominać o aborcji w sitcomie, nawet takim, który ma emisję po godzinie dziewiątej wieczorem, kiedy młodzi widzowie powinni już być w łóżkach, ponieważ jest to temat zbyt kontrowersyjny i zbyt przygnębiający. Odparłem, że to mało prawdopodobne, aby wykształceni ludzie z klasy średniej rozmawiali o ciąży swojej nastoletniej córki, nie napomykając o takiej możliwości. Ollie powiedział, że widzowie akceptują konwencję sitcomu i odpowiada im to, że o pewnych rzeczach po prostu się nie mówi. Odparłem, że różne rzeczy, które kiedyś były tabu, teraz nie są. Ollie powiedział, że oprócz aborcji. Ja, że zawsze musi być pierwszy raz. Zapytał, dlaczego w naszym programie. Ja zapytałem, dłacz-

79

go nie. Zmienił temat i uznałem, że się poddał. Powinienem był wiedzieć, że znajdzie sposób, aby się pozbyć tego fragmentu.

Kiedy spytałem Hala, czy to cięcie jest pomysłem Olliego, trochę się zmieszał.

— Ollie był tu wczoraj — powiedział. — I rzeczywiście zasugerował, że ten dialog nie jest absolutnie niezbędny dla fabuły.

— Nie jest absolutnie niezbędny — przyznałem. — To tylko mała chwila prawdy.

Hal wyraźnie zmarkotniał i powiedział, że możemy to jeszcze raz omówić z Olliem, który ma wpaść po lunchu, ale odparłem, że jest już za późno na długą i burzliwą dyskusję o pryncypiach. Aktorzy wyczuli złe wibracje i zrobili się nerwowi. Hal natychmiast się ożywił i pognął powiedzieć Suzie, swojej asystentce, żeby poprawiła scenariusz. Wyszedłem przed przyjściem Olliego. Teraz się zastanawiam, dlaczego tak łatwo skapitulowałem.

Konduktor ogłosił przed chwilą, że zbliżamy się do Rugby. „Rugby będzie następnym postojem stacyjnym”. Koleje Brytyjskie zaczęły ostatnio używać tego niezgrabnego określenia, „postój stacyjny”, chcąc przypuszczalnie rozgraniczyć planowe postoje na stacjach i nieplanowe w polu, być może w obawie, że pasażerowie wagonów z popsutą klimatyzacją, zamroczeni oparami bułek z bekonem i pomidorami oraz przegrzanych okładzin szczęk hamulcowych, mogliby wysiąść przez pomyłkę na torowisko i ulec wypadkowi.

Czwartek wieczór. Dotarłem do domu koło wpół do ósmej. Pociąg spóźnił się ostatecznie tylko dwanaście minut i mój samochód, nie tknięty przez złodziei i wandalów, czekał na mnie jak wierny pies tam, gdzie go zostawiłem. Zbliżając się, zbudziłem go pilotem«autoalarmu, a wtedy mrugnął do mnie kierunkowskazami, trzykrotnie pisknął, i odskoczyły zamki w drzwiach. Te gadżety zdalnego sterowania dostarczają mi niewyczerpanej dziecięcej przyjemności. Drzwi naszego garażu też otwiera się pilotem i zawsze dla zabawy włączam mechanizm, gdy tylko pokonam róg ulicy, aby móc wjechać do środka bez zatrzymywania. Kiedy drzwi rozwarły się tego wieczoru, zobaczyłem, że w garażu nie ma samochodu Sally, a po wejściu do domu znalazłem w kuchni kartkę, że pojechała do klubu popływać i skorzystać z sauny. Ogarnęło mnie irracjonalne uczucie rozczarowania, bo szykowałem się, że opowiem jej o problemie z Debbie Radcliffe i dyskusji na temat cięcia w scenariuszu. Nie, żeby Sally umierała z chęci usłyszenia o którejkolwiek z tych spraw. Au contraire.

Z moich doświadczeń wynika, że istnieją dwa rodzaje żon scenarzystów. Żona rodzaju pierwszego jest połączeniem niańki, sekretarki i prezesa fan klubu. Czyta teksty męża na bieżąco i zawsze je chwali; ogląda realizacje jego scenariuszy i śmieje się z każdego dowcipu; martwi się złymi recenzjami i cieszy z dobrych równie gorąco jak on sam; niespokojnie śledzi jego nastroje i tempo pracy, przynosi mu kawę i herbatę w regularnych odstępach czasu, krążąc między kuchnią i gabinetem na palcach, aby go nie rozproszyć; odbiera telefony i odpowiada na listy, chroniąc go przed uciążliwymi i niekorzystnymi zaproszeniami, prośbami i propozycjami; notuje jego umówione spotkania i zawniczuje mu o nich przypomina, odwozi go na stację lub na lotnisko, a potem po niego wyjeżdża, oraz wyda-

je koktajle i obiady dla jego kolegów z branży i szefów. Żona drugiego rodzaju jest jak Sally: nie robi żadnej z tych rzeczy i ma własną karierę zawodową, którą uważa za równie ważną jak kariera męża, jeśli nie ważniejszą. Prawdę mówiąc, Sally jest jedyną żoną tego rodzaju, jaką kiedykolwiek spotkałem, ale przypuszczam, że musi ich być więcej.

Tak więc liczyłem nie tyle na gorące współczucie i mądrą radę, ile na możliwość wygadania się. Jadąc ze stacji, nabrałem przekonania, że popełniłem błąd, tak łatwo zgadzając się na wycięcie wzmianki o aborcji, i zacząłem się bić z myślami, czy nie wznowić dyskusji, dzwoniąc do Olliego i Hala do domu — wiedząc, że stałbym na bardzo słabej pozycji, skoro rano zgodziłem się na cięcie, i że próbując cofnąć tę decyzję, wywołałbym niezdrowy ferment i tak niczego nie osiągnąjąc, bo prawdopodobnie było już za późno, żeby jeszcze raz zmienić scenariusz. Prawdopodobnie, ale nie na pewno. Dziś po południu aktorzy przeciwiczyli obciętą wersję, ale można by przywrócić brakujące kwestie na jutrzejszej próbie.

Krążyłem nerwowo po pustym domu, parę razy podnosiłem słuchawkę telefonu i odkładałem ją, nie wykręcając numeru. Zrobiłem sobie kanapkę z szynką, ale wyjęta z lodówki wędlina nie miała żadnego smaku, i wypłem piwo, które napełniło mi brzuch gazem. Włączyłem telewizor; na BBC1 leciał akurat konkurencyjny sitcom, który wydał mi się dużo bardziej inteligentny i dowcipny niż Sąsiedzi, więc wyłączyłem go po dziesięciu minutach. Poszedłem do gabinetu i usiadłem przy komputerze.

Poczucie własnej wartości wycieka ze mnie jak woda z dziurawego wiadra. Gardzę sobą za to, że zgodziłem się na cięcie i że nie mogę się zdecydować, czy jeszcze coś w tej sprawie zrobić. Zaczęło mi strzykać w kolanie, jakby na zmianę pogody. Czuję, że w powietrzu wisi burza depresji i że wkrótce zaleje mnie fala rozpacz.

>

Dzięki Bogu. Przyszła Sally. Przed chwilą usłyszałem trzaśnięcie drzwi i jej wesołe wołanie z hallu.

Piątek rano, 19 lutego. W porannej poczcie znalazłem apel od MIND-u. Chyba pierwszy raz się do mnie zwrócili. Musieli dostać mój adres od innej organizacji charytatywnej. W kopercie był list i niebieski balon. List zaczynał się instrukcją: Nadmuchał balon, zanim będziesz czytał dalej, ale nie zawiązuje go. Więc nadmuchałem balon i moim oczom ukazał się narysowany białą kreską profil mężczyzny, nawet podobnego trochę do mnie, z grubą szyją i bez włosów; w jego czaszce, jak myśli, widniały jedno nad drugim słowa: OSIEROCONY, BEZROBOTNY, PIENIĄDZE, W SEPARACJI, KREDYT MIESZKANIOWY,

ROZWIEDZIONY, ZDROWIE. Dla ciebie — mówił list — słowa na balonie mogą być tylko słowami. Ale sytuacje przez nie opisane są przyczyną czyjegoś załamania nerwowego.

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Sally była w pracy, więc poszedłem otworzyć, z balonem w rękę, ściskając ogonek między kciukiem i palcem wskazującym, żeby nie uciekło powietrze. Jak jakiś baśniowy bohater, czułem zabobonny przymus, aby wypełnić polecenia z listu.

Był to mleczarz, który przyszedł po pieniądze. Na widok balonu uśmiechnął się szeroko.

— Wyprawiacie państwo przyjęcie? — zapytał. Było wpół do dziesiątej rano. — To pana urodziny, tak? Wszystkiego najlepszego.

— Przesłano mi go pocztą — wyjaśniłem, machając niezgrabnie balonem. — Ile jesteśmy panu winni?

Wolną ręką wysuplałem z portfela banknot dziesięciofun-towy.

— Wczorajszy odcinek był kapitalny — powiedział mleczarz,

83

wydając mi resztę. — Jak stary Davis pochował papierosy w całym domu, zanim rzucił palenie... bardzo śmieszne.

— Dziękuję. Miło mi, że się panu podobało — odparłem. Wszyscy dostawcy wiedzą, że piszę scenariusze do Sąsiadów. Mogę od ręki przeprowadzać badania publiczności na progu własnego domu.

Wróciłem z balonem do gabinetu i podjąłem lekturę listu od MIND-u. Podobnie jak rosną te słowa, gdy nadmuchujesz balon, tak i problemy mogą się komuś wydać większe, gdy wzrasta ich presja.

Spojrzałem ponownie na słowa wypisane w głowie. Nie zostałem osierocony (w każdym razie nie ostatnio — moja matka umarła cztery lata temu, a ojciec siedem), nie straciłem pracy, mam mnóstwo pieniędzy, nie jestem w separacji ani po rozwodzie i gdybym chciał, mógłbym spłacić kredyt za dom choćby jutro, ale mój księgowy mi to odradza ze względu na ulgi podatkowe. Kwalifikuję się do załamania nerwowego tylko z powodu ZDROWIA, choć podejrzewam, że MIND miał na myśli coś poważniejszego niż Niedowład Wewnętrzny Kolana.

Przebiegłem wzrokiem dalszy ciąg listu: samobójstwo... psychoza... schronisko przejściowe... telefon zaufania... Po końcowej prośbie o pieniądze było jeszcze PS: Teraz możesz spuścić powietrze z balonu. I robiąc to, pomyśl, jak szybko presja czyichś problemów może zelżeć pod wpływem czasu, troski i zrozumienia, które zapewni twój dzisiejszy dar. Wypuściłem balon z ręką, ki. Przez kilka sekund latał po pokoju jak pierdząca końska mucha, aż w końcu uderzył w szybę i spadł na podłogę. Wyjąłem moją charytatywną książeczkę czekową i zapisałem MIND-owi trzydzieści sześć funtów, aby ktoś mógł skorzystać przez jeden ranek z usług fachowo wyszkolonej pielęgniarki psychiatrycznej. Dzisiaj mnie

samemu by się taka przydała.

84

Wczoraj wieczorem Sally zrobiła sobie gorącą czekoladę, a ja drinka, i rozmawialiśmy w kuchni. A raczej ja mówiłem, a ona słuchała, dość nieuważnie. Czuła się błogo ociężała po saunie i jeszcze trudniej niż zwykle było jej się skupić na moich zawodowych problemach. Kiedy oznajmiłem, że ze scenariusza wycięto fragment o aborcji, powiedziała: „Och, świetnie”, i chociaż zorientowała się po mojej minie, że nie była to prawidłowa odpowiedź, w typowy dla siebie sposób zaczęła jej bronić, mówiąc, że Sąsiedzi są zbyt lekkim serialem, aby poruszać w nim tak ciężki temat — dokładnie argument Olliego. Potem, kiedy powiedziałem, że przyszłość Sąsiadów jest zagrożona, bo Debbie zamierza odejść po zakończeniu bieżącej serii, Sally odrzekła: „To chyba dobrze, prawda? Będziesz mógł zrobić coś nowego z innym producentem, który nie boi się ryzyka tak jak Ollie”. Co było zupełnie logiczne, ale niespecjalnie pomocne, jako że nie mam pomysłu na nowy serial i jest mało prawdopodobne, abym w moim obecnym stanie na takowy wpadł.

Sally przejechała palcem wokół wnętrza filizanki i oblizała go. „Kiedy się położysz?” — spytała, co u niej oznacza propozycję, abyśmy się kochali, więc się kochaliśmy, i nie mogłem dojść. Miałem erekcję, ale wytrysku już nie. Może załatwiła mnie ta szkocka w połączeniu z piwem, nie wiem, ale było to irytujące, jakbym naciskał rączkę pompy i nic nie wylatywało z otworu. Sally doszła — w każdym razie tak mi się wydaje. Widziałem niedawno program telewizyjny, w którym grupa kobiet siedzących w studiu rozmawiała o seksie i wszystkie mówiły, że zdarza im się symulować orgazm, albo żeby nie martwić partnera, albo żeby zakończyć nieudane doświadczenie. Może Sally też to robi. Nie wiem. Nie miała kłopotów z zaśnięciem. Zanim sam usnąłem, słyszałem, jak jej oddech staje się głęboki i miarowy. Obudziłem się o 2.35, z kołnierzykiem piżamy wilgotnym od potu. Wiedziałem, że zdarzyło się coś nie-

85

przyjemnego, ale w pierwszej chwili nie pamiętałem co. Szybko sobie jednak przypomniałem: do wszystkich innych problemów doszedł mi jeszcze Niedowład Wewnętrzny Gonad. Wyobraziłem sobie życie bez seksu, bez tenisa, bez serialu w telewizji. Czułem się, jakbym leciał po spirali w ciemną otchłań. Zawsze myślę o rozpaczach jako o spiralnym ruchu w dół — jak wtedy, gdy samolot traci skrzydło i spada niczym liść, zataczając koła, podczas gdy pilot bezskutecznie walczy z przyrządami, warkot silnika przechodzi w przeraźliwy wizg, a wskazówka wysoko-ściomierza coraz szybciej zbliża się do zera.

Kiedy czytałem ten ostatni wpis, przypomniało mi się wczorajsze pytanie Amy: „Jak tam twój Angst?” i sprawdziłem to słowo. Trochę się zdziwiłem, gdy znalazłem je w moim słowniku języka angielskiego: 1.

Silne, lecz nieokreślone uczucie niepokoju lub winy. 2. (Wfilozofii egzystencjalnej) lęk wywołany świadomością człowieka, że jego przyszłość nie jest zdeterminowana, lecz musi ją samodzielnie wybrać. Nie do końca rozumiałem drugą definicję — filozofia jest jedną z większych białych plam w moim wykształceniu — ale słowo „lęk” wyglądało znajomo. Myślę, że dokucza mi raczej „lęk” niż „niepokój”. Niepokój brzmi jakoś trywialnie. Można się niepokoić o to, czy złapie się pociąg albo zdąży wrzucić list do skrzynki przed godziną wybierania poczty. Pewnie dlatego pożyczylimy sobie niemiecki Angst. W dźwięku tego słowa jest coś posępnego, wymawiając je, wykrzywia się usta jak w grymasie bólu. Ale „Lęk” jest dobry. To właśnie Lęk czuję, gdy budzę się o świcie, zlany zimnym potem. Silny, lecz nieokreślony Lęk. Oczywiście zaraz przypiszę do niego określone rzeczy. Na przykład impotencję.

Czeka to każdego mężczyznę. Zapewne rzadko się zdarza już w pięćdziesiątym ósmym roku życia, ale przypuszczam, że

86

nie jest to niemożliwe. Tak czy inaczej, kiedyś musi być ostatni raz. Problem polega na tym, że dowiadujesz się o nim dopiero wtedy, gdy masz go już za sobą. Nie jest jak ostatni papieros, zanim rzucisz palenie, czy ostatni mecz piłkarski, zanim powiesz buty na kołku. Nie możesz uczcić swojego ostatniego stosunku, bo kiedy go odbywasz, nie wiesz, że jest ostatni; a kiedy się przekonasz, że był, prawdopodobnie nie będziesz już pamiętał, jak wyglądał.

Przed chwilą sprawdziłem „egzystencjalizm” w słowniku myśli współczesnej. Doktryna filozoficzna, która dramatycznie podkreśla kontrast między egzystencją człowieka i sposobem istnienia właściwym przedmiotom. Człowiekowi, obdarzonemu wolną wolą i świadomością, przychodzi żyć w obcym świecie przedmiotów, które tych cech nie posiadają. Nie było to dla mnie specjalnym odkryciem, tyle sam wiedziałem. Egzystencjalizm został zapoczątkowany przez Kierkegarda jako gwałtowna reakcja przeciwko holistycznemu idealizmowi Hegla. Naprawdę? Co wy powiecie? Sprawdziłem Kierkegarda. Kierkegaard, SO-ren. Filozof duński, 1813-55. Patrz EGZYSTENCJALIZM. Zajrzałem do innej książki — słownika biograficznego. Był synem kupca, odziedziczył znaczny majątek i wydał go w całości na studiowanie filozofii i religii. Miał się ożenić z dziewczyną imieniem Regina, ale zerwał zaręczyny, stwierdziwszy, że nie nadaje się do małżeństwa. Kształcił się na pastora, ale nie przyjął święceń i pod koniec życia napisał parę kontrowersyjnych esejów atakujących chrześcijaństwo. Nie licząc kilku krótkich pobytów w Berlinie, w ogóle nie wyjeżdżał z Kopenhagi. Jego życie robi wrażenie niemal tak nudnego, jak było krótkie. Artykuł wymieniał jednak na końcu tytuły niektórych jego książek. Nie umiem opisać, jak się czułem, kiedy je czytałem. Gdyby moje włosy na karku były krótsze, stanęłyby mi dęba. Bojaźń i drzenie, Choroba na śmierć, Pojęcie lęku. Nie brzmiały jak tytuły rozpraw filozoficznych, lecz jak nazwy

87

mojego stanu, celne niczym strzały w środek tarczy. Nawet te, których nie rozumiałem, albo które niewiele mówiły o treści, jak Albo-albo i Powtórzenie, wydawały się brzemienne w ukryte sensy przeznaczone specjalnie dla mnie. I wiecie co? Kierkegaard pisał dziennik. Muszę go zdobyć, i kilka z

pozostałych książek też.

Piątek wieczór. Dziś po południu akupunktura w Wellbeing Clinic. Panna Wu jak zawsze najpierw zmierzyła mi tętno, trzymając mój przegub między swoimi chłodnymi, wilgotnymi palcami tak delikatnie, jakby był łądygą jakiegoś wątlęgo i cennego kwiatu, a potem zapytała, jak się czuję. Kusiło mnie, żeby jej powiedzieć o wczorajszych kłopotach z ejakulacją, ale stchórzyłem. Panna Wu, urodzona w Hongkongu, lecz wychowana w Rummidge, jest bardzo nieśmiała i poważna. Zawsze wychodzi z pokoju, gdy rozbieram się do slipek, kładę na miękko obitej kozetce i przykrywam pledem; i zanim wróci, zawsze puka do drzwi, aby sprawdzić, czy jestem gotów. Pomyślałem, że wspominając o mojej łożkowej kompromitacji, mógłbym ją wprowadzić w zmieszanie, no i szczerze mówiąc, nie miałem ochoty być kłuty w krocze. Nie, żeby panna Wu kiedykolwiek ukłuła mnie tam, gdzie na logikę powinna, ale iiigdy nic nie wiadomo. Wymieniłem więc te same symptomy, co zwykle, i jak zwykle wbiła mi igły w dłonie i stopy. Igły do akupunktury przypominają trochę szpilki z kolorowymi plastikowymi łebkami używane na ściennych mapach i tablicach ogłoszeń. Kiedy panna Wu nakłuwa punkt, czujesz jakby uszczyknięcie, które bywa czasem tak silne, jak porażenie prądem o niskim napięciu. Bez wątpienia w akupunkturze coś jest, chociaż nie wiem, czy można się w ten sposób z czegokolwiek wyleczyć. Przyszedłem do panny Wu w związku z moim Niedowładem

88

Wewnętrznym Kolana, ale powiedziała mi szczerze, że wiele na to nie poradzi, może najwyżej przyspieszyć proces gojenia, polepszając mój ogólny stan fizyczny i psychiczny, i przystałem na to. Po zabiegu czuję się lepiej przez resztę dnia, i może jeszcze następnego ranka, ale później ten efekt mija. Cała sprawa ma w sobie coś z pokuty, bo ukłucia trochę bolą, i w dniu zabiegu nie wolno pić alkoholu — prawdopodobnie to właśnie wpływa na poprawę mojego samopoczucia — ale nieskończona delikatność panny Wu dodaje mi otuchy. Zawsze przeprasza, jeśli ukłuje mnie tak mocno, że się wzdrygam; a kiedy (bardzo rzadko) nie może znaleźć punktu i musi próbować kilka razy, jest autentycznie zrozpaczona. Gdy pewnego dnia skaleczyła mnie do krwi, myślałem, że umrze ze wstydu.

Podczas zabiegów gawędzimy, zwykle o mojej rodzinie. Pannę Wu ogromnie interesują Adam i Jane. Czasem nie potrafię odpowiedzieć na jakieś jej pytanie i uświadamiam sobie, jak mało uwagi poświęcam ostatnio moim dzieciom, i czuję się winny, ale z drugiej strony, oboje mają teraz własne życie, są niezależni i samowystarczalni i wiedzą, że jeśli będą potrzebowali pieniędzy, muszą tylko poprosić. Adam pracuje w firmie informatycznej w Cambridge, a jego żona Rachel wykłada na pół etatu historię sztuki na Uniwersytecie Suffolk. Mają małe dziecko i godzenie obowiązków domowych z zawodowymi pochłania ich bez reszty. Jane skończyła archeologię, udało jej się dostać pracę w muzeum w Dorchester i mieszka ze swoim chłopakiem Gusem, który jest kamieniarzem, w Swanage. Prowadzą w tym małym nudnym kurorcie ciche, skromne, wegetariańskie życie i robią wrażenie całkiem szczęśliwych, na sposób New Age. Widujemy ich wszystkich razem tylko na Boże Narodzenie, kiedy przyjeżdżają do Hollywell. Po twarzy panny Wu przemknął ledwo dostrzegalny cień dezaprobaty, gdy wywnioskowała z moich uwag, że Jane i

Gus nie są małżeństwem — przypuszczam, że w jej środowisku byłoby to

89

niedopuszczalne. Cóż, mam nadzieję, że Jane wyjdzie kiedyś za mąż. Wolałbym, żeby nie za Gusa, chociaż mogłaby pewnie trafić gorzej. Dziś bezczelnie spytałem pannę Wu, czy ona sama zamierza zmienić stan cywilny. Uśmiechnęła się, spłonęła rumieńcem, spuściła oczy i powiedziała: „Małżeństwo to bardzo poważna sprawa”. Ponownie zmierzyła mi tętno, oznajmiła, że wyraźnie się poprawiło, i zapisała coś w swoim notesie. Potem wyszła z pokoju, abym mógł się ubrać.

Zostawiłem jej czek w zwykłej szarej kopercie na małym stoliku, gdzie trzyma swoje igły i inne rzeczy. Za pierwszym razem popełniłem błąd, wyjmując portfel i ordynarnie wpychając jej banknoty do ręki. Była bardzo zakłopotana i ja również, gdy spostrzegłem moje faux pas. Większość terapeutów ma problem z finansową stroną swojej profesji. Alexandra woli załatwiać wszystko pocztą. Amy powiedziała mi, że kiedy przychodzi do Karla Kissa w ostatni piątek miesiąca, na kozetce w gabinecie leży mała koperta z rachunkiem. Bierze ją, w milczeniu chowa do torebki, i nigdy na ten temat nie rozmawiają. W owej powściągliwości nie ma właściwie nic dziwnego. Uzdrawianie nie powinno być interesem — Jezus nie brał pieniędzy za swoje cuda. Ale terapeuci muszą z czegoś żyć. Panna Wu liczy sobie piętnaście funtów za godzinną sesję. Raz wypisałem jej czek na dwadzieścia, ale wynikła z tego tylko następna kłopotliwa sytuacja, bo pobiegła za mną na parking i powiedziała, że się pomyliłem.

Kiedy byłem już ubrany, wróciła do pokoju i umówiliśmy się na za dwa tygodnie. W przyszły piątek mam aromaterapię. Ale panna Wu o tym nie wie.

Piszę się na niemal każdy rodzaj terapii oprócz leczenia farmakologicznego. Chodzi mi konkretnie o środki uspokajające, antydepresanty, te rzeczy. Kiedyś tego próbowałem. Było

90

to dość dawno temu, w 1979. Estuary szykowało do produkcji mój pierwszy zupełnie własny Sitcom — Zmianę ról, ten

O mężu zajmującym się domem i jego wyemancypowanej żo-nie-karierowiczce. Pracowałem nad pilotem, kiedy Jake zadzwonił i powiedział, że BBC Light Entertainment chce, abym dołączył do zespołu scenarzystów nowego serialu komediowego. Był to typowy zwrot w życiu wolnego strzelca: po latach bezskutecznego dobijania się do telewizji nagle dostają oferty od dwóch różnych kanałów jednocześnie. Uznałem, że nie dam rady ciągnąć obu rzeczy naraz. (Jake uważał, że bym dał, ale on musiałby tylko sporządzić dwie umowy i wyciągnąć dwie ręce po prowizję.) Odmówiłem BBC, bo Zmiana ról była naturalnie ważniejszym projektem, i zamiast po prostu zadzwonić do Jakea, wysłałem mu długi list, w którym przedstawiłem powody mojej odmowy w najdrobniejszych szczegółach, bardziej dla samego siebie niż dla niego (wątpię, czy zadał sobie trud doczytania listu do końca). Ale pilot okazał się tragiczny

do tego stopnia, że w ogóle nie ujrzał światła lampy katodowej, i wyglądało na to, że z serialu nic nie będzie. Oczywiście pożałowałem mojej decyzji w kwestii oferty BBC. Właściwie „żałować” jest śmiesznie nieadekwatnym słowem na określenie mojego stanu ducha. Byłem przekonany, że całkowicie zniszczyłem sobie karierę, popełniłem zawodowe samobójstwo, zmarnowałem życiową szansę etc., etc. Teraz, po latach, sądzę, że był to mój pierwszy naprawdę poważny atak Niedowładu Wewnętrzznego. Nie mogłem myśleć o niczym, z wyjątkiem tej fatalnej decyzji. Nie mogłem pracować, nie mogłem odpoczywać, nie mogłem czytać, nie mogłem oglądać telewizji, nie mogłem rozmawiać z nikim dłużej niż pięć minut, bo moje myśli, niczym igła jakiegoś nawiedzonego gramofonu, wracały nieubłaganie do rowka czczego roztrząsania Decyzji. Nabawiłem się zespołu nadwrażliwości jelita grubego

1 łączyłem po domu wypruty z energii przez perystaltykę mo-

91

ich kiszek, waliłem się półżywy do łóżka o wpół do jedenastej i budziłem po dwóch godzinach zlany potem, aby spędzić resztę nocy na przepisywaniu w myślach listu do Jake'a, dowodząc z żelazną logiką, że mógłbym bez problemu pracować jednocześnie dla BBC i Estuary, oraz na konstruowaniu scenariuszy, które cofały czas i pozwalały mi w wyobraźni uniknąć następstw mojej decyzji: list do Jake'a zginął lub wrócił do mnie nieodpiewczętowany, bo źle go zaadresowałem, albo BBC błagało, żebym zmienił zdanie i tak dalej. Po tygodniu tej zabawy Sally zmusiła mnie, żebym poszedł do lekarza, nie tego, którego mam teraz, milczącego Szkota nazwiskiem Patterson. Opowiedziałem mu o podrażnionych kiszkach i bezsenności i ostrożnie przyznałem, że mam stresi (nie byłem jeszcze gotów wpuścić drugiej osoby do domu wariatów mojego umysłu). Patterson posłuchał, pochrząkał i wypisał mi receptę na Valium.

Byłem valiumowym prawiczką — przypuszczam, że właśnie dlatego lek podziałał na mnie tak silnie. Nie mogłem uwierzyć, jak niezwykle spokojny i odprężony otulił mnie w ciągu zaledwie kilku minut niczym ciepły koc. Moje lęki i niepokoje skurczyły się, odstąpiły i pierzchyły jak duchy wypłoszone światłem dnia. Tej nocy spałem jak niemowlę > dziesięć godzin. Nazajutrz byłem apatyczny i lekko, w nieokreślony sposób przygnębiony. Wyczuwałem niejasno, że za horyzontem świadomości zbierają się już czarne myśli, ale następna mała, białozielona tabletką zażegnała niebezpieczeństwo i zapakowała mnie z powrotem w kokon spokoju. Miałem się całkiem dobrze — nie tryskałem może formą twórczą ani towarzyską, ale miałem się zupełnie dobrze — póki brałem proszki. Kiedy jednak skończyłem kurację, moja obsesja powróciła jak wściekły rottweiler spuszczonej ze smyczy. Byłem w bez porównania gorszym stanie niż poprzednio.

W tamtych czasach nie bardzo wierzono, że od valium można się uzależnić, i tak czy owak nie brałem go przecież długo,

92

ale odczuwałem coś w rodzaju głodu narkotycznego i kusiło mnie, żeby wrócić do Pattersona i poprosić o następną receptę. Wiedziałem jednak, że gdybym to zrobił, uzależniłbym się całkowicie. Co więcej, byłem przekonany, że póki będę brał valium, nie będę mógł pisać. Oczywiście nie mogłem też pisać, gdy przestałem je brać, ale coś mi mówiło, że cały ten koszmar minie w końcu sam z siebie. I rzeczywiście

minął, dziesięć sekund po tym, jak Jake zadzwonił i powiedział, że Estuary ma zamiar nakręcić drugiego pilota z inną obsadą. Reakcja publiczności była pozytywna i zamówili u mnie cały serial, który cieszył się nie najgorszym powodzeniem i otworzył mi drogę do kariery, podczas gdy projekt BBC zrobił klapę. Rok później nie mogłem już sobie przypomnieć, dlaczego wątpiłem w słuszność mojej pierwotnej decyzji. Pamiętałem jednak, jak się czułem po odstawieniu valium, i ślubowałem nigdy więcej go nie brać.

Dwa ukłucia w kolanie, kiedy to pisałem, jedno tak ostre, że rozdarłem się na cały głos.

Sobota wieczór, 20 lutego. Rupert opowiedział mi dziś w klubie zdumiewającą i dość niepokojącą historię. Poszliśmy tam z Sally po wczesnym lunchu, żeby pograć w tenisa na dworze. Był uroczy zimowy dzień, słoneczny, trochę mroźny, ale bezwietrzny. Sally umówiła się na debla z trzema innymi kobietami, ja z moimi kumplami-kalekami. Przebieranie się zajmuje nam dużo czasu, musimy zakładać bandaże, szyny, ochraniacze, pasy przepuklinowe i protezy — zupełnie jak średniowieczni rycerze przywdziewający zbroje przed bitwą. Tak więc Sally i jej koleżanki były już w połowie pierwszego seta, gdy

93

przeszliśmy, a raczej przekuściliśmy obok ich kortu w drodze na nasz. Żona Ruperta, Betty, która partnerowała Sally, akurat w tym momencie zdobyła punkt wyjątkowo dobrym wolejem z bekhendu i wszyscy czterej zaklaskaliśmy. „Betty też bierze lekcje, prawda, Rupert?” — odezwał się Joe, ze znaczącym uśmiechem. „Tak” — odrzekł Rupert, dość szorstko. „Nasz pan Sutton rzeczywiście stymuluje kobiety — ciągnął Joe. — Nie wiem dokładnie jak, ale...” „Och, przestań, Joe” — przerwał mu Rupert z rozdrażnieniem w głosie i ruszył szybkim krokiem dalej. Joe podniósł brwi, wykrzywiając się do Humphreya i do mnie, ale nic już nie powiedział. Doszliśmy na kort w milczeniu i wybraliśmy partnerów.

Grałem z Humphreym i pokonaliśmy tamtych dwóch w pięciu setach: 6-2, 7-8, 6-4, 3-6, 8-7. Był to bardzo zacięty pojedynek, choć obserwator mógłby pomyśleć, że ruszamy się tak wolno, jakbyśmy grali pod wodą. Wyjątkowo wychodził mi bek-hend i parę razy, przyjmując serw, posłałem piłkę tuż nad siatką, ku całkowitemu zaskoczeniu Ruperta. Nie ma nic równie pięknego jak prawidłowy bekhend: wygląda tak, jakby nie wymagał żadnego wysiłku. Mecz rozstrzygnąłem wprawdzie wolejem odbitym ramą rakiety, co było bardziej typowe dla naszej normalnej gry, ale bawiłem się znakomicie. Joe chciał zmienić partnerów i zagrać do trzech setów, ale mnie złowroźnie zeszywniało kolano, a Rupert powiedział, że jego proszki przestają działać (zawsze bierze przed meczem parę tabletek przeciwbólowych), więc zostawiliśmy tamtych dwóch, żeby rozegrali singla, i po prysznicu poszliśmy się napić. Usiedliśmy z naszymi kufkami w miłym, cichym kącie klubowego baru. Choć strzykało mnie trochę w kolanie, czułem się dobrze, byłem przyjemnie rozgrzany po wysiłku fizycznym, niemal jak za dawnych czasów, i rozkoszowałem się zimnym bitterem, ale Rupert patrzył w swoje piwo z taką miną, jakby pływało w nim coś paskudnego. „Wolałbym, żeby Joe nie mówił tyle o Bretcie

94

Suttonie — powiedział. — To krępujące. Gorzej niż krępujące, nieprzyjemne. Jak przyglądanie się komuś, kto rozdrapuje strup”. Zapytałem, o co mu chodzi. Rupert zniżył głos: „Nie wiesz o Jean?” „Jakiej Jean?”

— spytałem głupio. „A, prawda, ciebie tam nie było — odparł Rupert. — Jean Joego. Pozwoliła sobie z młodym Ritchiem na zabawie sylwestrowej”.

Młody Ritchie to Alistair, syn Sama Ritchiego, szefa klubowej sekcji golfa. Pilnuje interesu, kiedy ojciec daje lekcje, i czasem trenuje początkujących. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. „Chyba żartujesz?” — powiedziałem. „Słowo honoru — odparł Rupert. — Jean się wstawiła i zaczęła marudzić, bo Joe nie chciał z nią tańczyć, w końcu wyciągnęła na parkiet młodego Ritchiego, chichotała i wieszała mu się na szyi i jakiś czas potem oboje zniknęli. Joe poszedł jej szukać i znalazł ich w kompromitującej pozycji w pokoju pierwszej pomocy. Zdaje się, że nie po raz pierwszy wykorzystano go do tego celu. Zamknęli drzwi, ale Joe jest w Komitecie, więc ma klucz”. Zapytałem Ruperta, skąd o tym wszystkim wie. „Jean powiedziała Betty, a Betty mnie”. Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. „Dlaczego Joe ciągle dowcipkuje, jakim to żi-golakiem jest Brett Sutton, skoro młody Ritchie właśnie przyprawił mu rogi?” „Pewnie dla zmyłki — stwierdził Rupert. — Próbuje odwrócić uwagę od Ritchiego i Jean”. „Co opętało Ritchiego? — zdziwiłem się. — Jean mogłaby być jego matką”. „Może się nad nią zlitował — poddał Rupert. Powiedziała mu, że nie robiła tego, odkąd Joe miał operację krzyża”. „Nie robiła czego?” „Tego — powtórzył Rupert. — Nie spała z nim. Coś wolno dziś kojarzysz, Tubby”. „Przepraszam, jestem skonany” — odparłem. Myślałem o naszej rozmowie na krytych kortach w zeszłym tygodniu: byłem wstrząśnięty, że to, co wzięłem za nieszkodliwe kpinki Joego, miało tak bolesny podtekst. Przypomniałem sobie, że Rupert nie włączył się do żartów, a Humphrey owszem. „Czy Humphrey o tym wie?” — zapy-

95

tałem. „Nie sądzę. Nie ma żony, która znosiłaby mu plotki. Dziwię się, że nie dotarło to do Sally”. Może dotarło, pomyślałem, tylko mi nie powtórzyła.

Kiedy jednak zapytałem ją później, czy słyszała o jakimś skandalu w związku z Jean Wellington, zaprzeczyła. „Bo i skąd? — dodała. — Plotkowanie to handel wymienny. Nie dostaniesz żadnego towaru, jeśli sam czegoś nie sprzedasz”. Myślałem, że spyta mnie o szczegóły, ale nie zrobiła tego. Pod tym względem Sally prezentuje niesamowite opanowanie. Albo może po prostu nie interesuje jej życie prywatne innych ludzi. Jest w tej chwili bez reszty pochłonięta pracą — nie tylko dydaktyką i badaniami, lecz także administracją. W związku ze zmianą statusu uczelnia gwałtownie się reorganizuje. Mogą teraz sami układać programy i Sally kieruje nowym Międzywydziałowym Podyplomowym Studium Lingwistyki Stosowanej, jest członkiem mnóstwa komisji, uczelnianych i pozauczelnianych, o nazwach w rodzaju WYKOPP (Wydziałowa Komisja Oceny Poziomu Programów) i REWJA (Rada Egzaminów Wstępnych z Języka Angielskiego), a także organizuje kursy dokształcające dla nauczycieli z miejscowych szkół elementarnych. Moim zdaniem jest wykorzystywana przez swojego szefa, który przydziela jej najbardziej niewdzięczne zadania, wiedząc, że poradzi sobie z nimi lepiej niż ktokolwiek inny, ale kiedy jej o tym mówię, wrusza ramionami i odpowiada, że to tylko pokazuje, jaki z niego dobry menedżer. Przynosi do domu sterty nudnych sprawozdań i raportów, żeby ślęczyć nad robotą wieczorami i w weekendy. Siadujemy w milczeniu po dwóch stronach kominka, ona ze swoimi papierami, ja połączony z bezdźwięcznym telewizorem pępowiną kabla słuchawek.

Dotkliwie ukłucie w kolanie, gdy oglądałem dziś wieczorne wiadomości. Wrzasnąłem: „Kurwa!” Sally podniosła znad swoich papierów pytające spojrzenie. Zdarłem słuchawki i powiedziałem: „Kolano”.

Skinęła głową i wróciła do lektury. Ja wró-

96

* *

ciem do wiadomości. Mówiono głównie o postępach w sprawie morderstwa Jamesa Bulgera, zajmującej od kilku dni pierwsze miejsce w mediach. W zeszłym tygodniu ten dwuletni brzdąc został wywabiony ze sklepu mięsnego w centrum handlowym w Bootle przez dwóch starszych chłopców, którzy wykorzystali nieuwagę jego matki. Znalaziono go później w pobliżu torów kolejowych martwego, z przerażającymi ranami. Porwanie zarejestrowała sklepowa kamera wideo i we wszystkich gazetach i dziennikach telewizyjnych można było zobaczyć przejmujące zdjęcie malucha prowadzonego przez dwóch chłopców, ufnie trzymającego jednego z nich za rękę niczym na reklamie butów startrite. Podobno kilkoro dorosłych widziało później tę trójkę i zauważyło, że chłopczyk płakał i wyglądał na przestraszonego, ale nikt nie interweniował. Dziś ogłoszono, że dwaj dziesięcioletni chłopcy zostali oskarżeni o morderstwo. „Nasuwa się pytanie — powiedział reporter telewizyjny, stojąc przed centrum handlowym w Bootle — w jakim społeczeństwie żyjemy, skoro zdarzają się takie rzeczy?" W chorym, oto odpowiedź.

■{Tiítrizftiíziíziíziíziat

Niedziela, 21 lutego, 6.30 wieczorem. Piszę to na moim laptopie w przerwie między próbą kostiumową i nagraniem Sąsiadów, siedząc przy stoliku w bufecie Studiów Heartland i patrząc na brudne talerze, kubki i szklanki pozostałe po wczesnej kolacji, którą zjadłem z aktorami i ekipą techniczną, i jeszcze nie-sprzątnięte przez nieco zmanierowaną obsługę. Nagranie zaczyna się o siódmej trzydzieści, po półgodzinnej rozgrzewce dla publiczności. Aktorzy poszli do charakterystornii albo odpoczywają w garderobach. Hal ostatni raz sprawdza scenopis z realizatorką obrazu, Ollie pije drinka z Davidem Treeceem, heartlandzkim Kontrolerem Komedii (uwielbiam ten tytuł),

97

a mnie właśnie udało się pozbyć opiekunki Marka Harringtona, Samantha, która została po wyjściu innych, i mam godzinkę dla siebie. Samantha Handy skończyła teatrologię na Uniwersytecie Exeter i wykonuje tę pracę faute de mieux, jak powiedziałyby Amy. Dotrzymanie towarzystwa dwunastoletniemu chłopcu, który potrafi rozmawiać wyłącznie o grach komputerowych, i pilnowanie, żeby odrabiał lekcje, nie jest oczywiście jej powołaniem. Chce pisać dla telewizji i najwyraźniej uważa, że mógłbym jej to załatwić. Jest ładną dziewczyną, z rudymi włosami i niesamowitym biustem, i przypuszczam, że inny facet, na przykład Jake Endicott, pielęgnowałby w niej to złudzenie, ale ja powiedziałem szczerze, że powinna spróbować namówić Olliego, żeby na początek dał jej parę scenariuszy do przeczytania i oceny. Nadąsała się trochę i odparła: „Bo widzisz, mam fantastyczny pomysł na awangardowy serial, takie angielskie Twin Peaks. Prędzej czy później wpadnie na to ktoś inny, a tego bym nie zniósł". „Co to za pomysł? — zapytałem, odwracając oczy od jej bliźniaczych szczytów, ale zaraz dodałem: — Nie mów mi. Powiedz Olliemu. Nie chcę aostać kiedyś oskarżony o plagiat". Uśmiechnęła się i powiedziała, że ja nie piszę takich perwersyjnych rzeczy. „Co to znaczy perwersyjny?" — zapytał Mark,

który pałaszował drugi kawałek ciasta. „Nie twój interes” — odrzekła Samantha, przykając go lekko w ucho długim, spiczastym paznokciem. Spytała, czy według mnie powinna znaleźć sobie agenta, a ja odparłem, że to niezły pomysł, ale nie zaproponowałem, że przedstawię ją Jakeowi Endicottowi. Miałem na względzie wyłącznie jej dobro, ale naturalnie nie doceniła moich rycerskich motywów, i odeszła ze swoim podopiecznym do charakteryzatorki trochę naburmuszona.

Jeśli tylko mogę, zawsze przychodzę na te niedzielne sesje nagraniowe. Nie, żebym na tym etapie był jeszcze do czegoś

98

potrzebny, ale lubię atmosferę premierowego podniecenia, jaką stwarza obecność widzów w studiu. Nigdy nie wiadomo, kim będą i jak mogą reagować. Ci, którzy rezerwują bilety, są zwykle fanami serialu i można liczyć na to, że będą się śmiać w odpowiednich miejscach, ale ponieważ wstęp jest darmowy, zawsze istnieje ryzyko, iż mimo rezerwacji nie przyjdą. Aby mieć pewność, że sala będzie pełna, Heartland zaprasza grupy zorganizowane — członków kółek zainteresowań albo klubów zakładowych — i dowozi ludzi autokarami, żeby nie mogli uciec. Czasem jakiś miejscowy dom starców przysyła swoich pensjonariuszy, którzy są zbyt zesklereciani, żeby śledzić akcję, zbyt głusi, żeby słyszeć dialogi, albo zbyt krótkowzroczni, żeby widzieć scenę, a raz mieliśmy wycieczkę Japończyków, którzy nie rozumieli ani słowa po angielsku i przesiedzieli cały wieczór w pełnym zakłopotaniu milczeniu, grzecznie się uśmiechając. Czasem jednak trafiają się ludzie, którzy naprawdę dobrze się bawią, i wtedy aktorzy surfują przez spektakl na fali nieprzerwanego śmiechu. Niemożność przewidzenia reakcji widzów w studiu sprawia, że spośród wszystkich form telewizyjnych sitcom jest najbliższy teatrowi i prawdopodobnie właśnie dlatego tak mnie rajcuje sesje nagraniowe.

Studia Heartland TV w Rummidge zajmują olbrzymi nowy budynek, z zewnątrz przypominający trochę terminal lotniczy (samo szkło i stalowe rury), wzniesiony trzy lata temu na dawnych terenach przemysłowych, położonych jakąś milę od centrum miasta, między kanałem i torami kolejowymi. Miał być sercem ogromnego kompleksu kulturalnego, pełnego studiów, galerii, antykwariatów i agencji reklamowych, ale z powodu recesji plany te pozostały na papierze. Nie ma tu nic oprócz lśniącego monolitu Heartland i rozległego, upiększonego zielenią parkingu. Sąsiadów nagrywa się w Studiu C, największym

99

ze wszystkich, tak dużym, że zmieściłby się w nim sterowiec, ze schodkową widownią na trzysta sześćdziesiąt osób biegnącą przez całą długość sali. Naprzeciw widowni znajduje się dekoracja stała — wyjątkowo duża i rozbudowana, bo podwójna: dwa living roomy, dwie kuchnie, dwa korytarze ze schodami, wszystko przegrodzone wspólną ścianą. Tak brzmiał zresztą mój tytuł roboczy, Wspólna ściana (ostatecznie wybrałem tytuł Nasi sąsiedzi, ale wszyscy i tak mówią Sąsiedzi), i efekt podzielonego ekranu, jaki stosujemy w niektórych ujęciach, z akcją toczącą się jednocześnie w obu rodzinach, jest znakiem firmowym serialu oraz, szczerze mówiąc, jedyną w nim innowacją. Z sufitu studia sterczy na metalowych łodygach milion lamp, wyglądających jak odwrócone pole słoneczników, i kiedy się nie palą, klimatyzacja zamienia salę w lodówkę. Zawsze wkładam na próby kostiumowe gruby sweter, nawet latem. Hal Lipkin i

większość członków ekipy technicznej nosi bluzy Sąsiadów, granatowe z wypisanym kursywą na piersi żółtym tytułem.

Jest to długi, męczący dzień dla całej ekipy, a zwłaszcza dla Hala. On tu wszystkim kieruje, on za wszystko odpowiada. Kiedy późnym przedpołudniem przyszedłem do studia, był na planie i rozmawiał z Ronem Deakinem, który stał na szczycie składanej drabiny z wiertarką Black and Deckera. Jest to „podzielona” scena kuchenna. Stary Davis wiesza półki przy akompaniamencie ironicznych uwag Dolly Davis, a obok Priscilla i Edward rozmawiają z niepokojem o Alice, starając się przekrzyknąć jazgot wiertarki. W punkcie kulminacyjnym Davis przebija ścianę na wylot i zrzuca rondel, który omal nie spada Edwardowi na głowę — karkołomna sztuczka, wymagająca idealnego zgrania. Oczywiście ćwiczili to na próbie, ale teraz po raz pierwszy mają prawdziwe rekwizyty. Kabel Black and Deckera nie sięga do kontaktu i elektryk musi iść po przedłużacz. Kamerzyści ziewają i patrzą na zegarki, żeby sprawdzić,

100

ile jest czasu do następnej przerwy na kawę. Aktorzy spacerują po planie. Phoebe Osborne ćwicz przed lustrem kroki baletowe. Robienie programów telewizyjnych składa się w dużej mierze z czekania.

Porządek dnia jest powolny i metodyczny. Najpierw Hal próbuje każdą scenę na planie, przerywając aktorom i każąc im powtarzać, póki nie jest zadowolony. Potem wycofuje się do reżyserki, żeby zobaczyć, jak to wygląda na ekranie. W studiu jest pięć kamer, ustawionych pod różnym kątem, skupionych na różnych postaciach albo grupach postaci, i każda przesyła obraz na jeden z czarno-białych monitorów w reżyserce. Monitor kolorowy, umieszczony pośrodku, pokazuje to, co zostanie wieczorem nagrane na taśmę-matkę. Selekcji dokonuje realizatorka obrazu na podstawie przygotowanego przez Hala scenopisu, w którym wszystkie ujęcia są ponumerowane i przyporządkowane poszczególnym kamerom. W trakcie nagrywania realizatorka podaje numery siedzącemu obok technikowi, a on naciska odpowiednie guziki. Będąc na widowni, można się zorientować, która kamera pracuje w danym momencie, bo pali się wtedy na jej korpusie mała, czerwona lampka. Podczas prób Hal mówi do kierowniczkę planu, Isabel, przez słuchawki, a ona przekazuje jego polecenia aktorom. Czasem Hal wprowadza jakąś zmianę albo coś zupełnie nowego, ale robi to zdumiewająco rzadko. „Widział” już cały odcinek w głowie, ujęcie po ujęciu.

Technika multikamerowa, jak się ją nazywa w branży, jest specyficzna dla telewizji. Na początku kręciło się w ten sposób wszystko, nawet poważne dramaty — i to na żywo (wyobraźcie sobie napięcie i stres, aktorów biegających za kulisami, aby zająć miejsca przed następną sceną). Dzisiaj większość dramatów i sporą liczbę sitcomów rejestruje się jedną kamerą albo wręcz na wideo. Innymi słowy, są robione jak filmy kinowe — każdą scenę kręci się kilka razy pod różnymi kątami

101

i z różnych odległości, ujęcie po ujęciu, raczej w naturalnej scenerii niż w studiu — a potem na spokojnie montowane. Reżyserzy wolą tę metodę, bo dzięki niej czują się prawdziwymi artystami. Młodszy twórcy szydzą z multikamery, nazywając ją „sprzężoną telewizją”, ale prawda jest taka, że większość nie potrafiłaby pracować w tym systemie, a gdyby spróbowali, wyszłyby na jaw ich ograniczenia. Przy montażu postprodukcyjnym zawsze można naprawić swoje błędy, ale multikamera wymaga, żeby

wszystko było od razu idealnie. To umierająca sztuka i Hal jest jednym z nielicznych jej mistrzów, jacy jeszcze pozostali.

Później do studia przyszedł Ollie i usadowił się obok mnie. Był ubrany w jeden ze swoich garniturów Bossa — musi ich mieć całą szafę. Myślę, że kupuje je ze względu na nazwę. Kiedy siadał, szerokie ramiona marynarki podjechały do góry i zaczepiły o jego wielkie, czerwone uszy. W połączeniu ze złamanym nosem nadają mu one wygląd eksboksera i rzeczywiście fama głosi, że zaczynał karierę od promowania walk na londyńskim East Endzie. „Musimy porozmawiać” — oświadczył. „O Debbie?” — zapytałem. Wyraźnie się zląkł i przyłożył palec do ust. „Nie tak głośno, ściany mają uszy” — powiedział, chociaż byliśmy na widowni sami i najbliższa ściana znajdowała się sto stóp od nas. „Lunch? Kolacja?” — zasugerowałem. „Nie, chcę, żeby przy tym Hal, a ludzie zaczną coś podejrzewać, jeśli się tak odizolujemy. Możesz zostać na drinka po nagraniu?” Odparłem, że mogę. W tym momencie usłyszałem ku swemu zdumieniu, jak Lewis Parker mówi na planie: „Cóż, jeśli rzeczywiście jest w ciąży, będzie musiała ją usunąć”, i odpowiedź Debbie: „I twoim zdaniem to rozwiąże problem?” Odwróciłem się do Olliego. „Myślałem, że te kwestie zostały wycięte”. „Postanowiliśmy uszanować twoją wizję artystyczną, Tubby” — odrzekł Ollie, z lisim uśmiechem. Kiedy w trakcie przerwy na kawę spytałem o to Hala, wyjaśnił, że zaoszczędz-

102

dzili trochę czasu, przyspieszając tempo w jednej z następnych scen, więc ostatecznie nie trzeba było wyrzucić tego fragmentu. Zastanawiam się jednak, czy nie jest to podstęp mający mnie zmiękczyć przed rozmową na temat Priscilli.

Za pięć siódma. Czas, żebym zajął miejsce w studiu. Ciekawe, jaką będziemy dziś mieli publiczność.

Poniedziałek rano, 22 lutego. Publiczność okazała się koszmarna. Po pierwsze, mieliśmy na sali Kretyńskiego Wesołka. To chyba najgorszy rodzaj widza: obdarzony bardzo głośnym, bezmyślnym śmiechem idiota, który dalej wyje, rechocze albo rzy, kiedy wszyscy już dawno przestali, albo zaczyna na nowo, kiedy nikt inny się nie odzywa, w spokojnym momencie między dwoma gagami. To rozprasza widzów — po jakimś czasie śmieją się z Kretyńskiego Wesołka zamiast ze spektaklu — i zbija z tropu aktorów. Billy Barlow, nasz rozgrzewacz, natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo i usiłował poskromić tę kobietę (z jakiegoś powodu zwykle jest to kobieta) paroma sarkastycznym uwagami, ale Kretyńscy Wesołkowie są odporni na ironię. „Powiedziałem coś śmiesznego? — spytał, gdy zarechotała zniecka (należała do Wesołków, którzy rechoczą) w trakcie jego całkowicie niewinnych wyjaśnień dotyczących jakiegoś terminu technicznego. — Musiało się coś pani niewłaściwie skojarzyć. To serial familijny, nie ma w nim żadnych podtekstów. Chyba pani wie, co to jest podtekst? Przeciwnieństwo nadtekstu”. Rozległ się śmiech dostatecznie głośny, aby chwilowo zagłuszyć rechotkę, ale bywałem świadkiem dużo żywszej reakcji na ten dowcip Billy ego.

Rozgrzewacz jest niezbędny, aby nagranie się udało. Nie tylko na wstępie wprawia publiczność w dobry nastrój, lecz także zagaduje przerwy po każdym ujęciu, kiedy przesuwa się ka-

103

mery i technicy sprawdzają taśmę; a jeśli konieczny jest du-bel, musi złagodzić niecierpliwość ludzi i zachęcić ich, aby śmiali się drugi raz w tych samych miejscach. Billy jest mistrzem w swoim fachu, ale nie jest cudotwórcą. Ci widzowie byli naprawdę beznadziejni. Zaledwie chichotali, gdy powinni się śmiać w głoś, i milczeli, gdy powinni chichotać. Czując, że kwestia za kwestią pada w próżnię, aktorzy zaczęli się denerwować i popełniać błędy albo zapominać tekstu, przez co konieczne były częste powtórki, które jeszcze bardziej mroziły publiczność. Billy, cały spocony, biegał przed widownią z mikrofonem w rękę, szczerząc zęby z nakładkami kosmetycznymi w wymuszonym uśmiechu i opowiadając jeden dowcip za drugim. Ryczałem jak wariat, chociaż już je wszystkie słyszałem, aby zdopingować sąsiadów. Parę razy roześmiałem się nawet z własnego tekstu, czego normalnie nigdy nie robię. Zaczęłem myśleć, że nie może to być wyłącznie wina publiczności, że błąd musi tkwić w scenariuszu. Najwyraźniej osnucie fabuły wokół domniemanej ciąży Alice było złym pomysłem. Ollie i Sally mieli rację. Widzowie czuli się skrępowani tym tematem. I oczywiście, gdy przyszła pora na fragment o aborcji, w dramatycznej ciszy, która zapadła po pytaniu Priscilli: „A jeśli zdecyduje się urodzić?”, Kretyński Wesolek zaprezentował wrażliwość hieny i wybuchnął rechotem. Ukryłem twarz w dłoniach.

Nagranie skończyło się za pięć dziewiąta, po największej liczbie powtórek w historii serialu. Billy obłudnie podziękował publiczności za współpracę i widownia opustoszała. Aktorzy czmychnęli z planu, posyłając mi na pożegnanie zdawkowe, zmęczone gesty i blade uśmiechy. Zawsze się spieszą, żeby wskoczyć w samochód albo złapać ostatni pociąg do Londynu, a dziś wieczorem już na pewno nie mieli ochoty zwlekać. Gdyby nie czekała mnie konferencja z Olliem i Halem, sam chętnie

104

wymknąłbym się do domu. Poszedłem do reżyserki, gdzie Hal przeczesywał dłońmi ptasie gniazdo swoich sztywnych włosów. „Jezu Chryste, Tubby, kim byli ci zombie na widowni?” Wzruszyłem ramionami. „Może to wina scenariusza” — powiedziałem żałośnie. W tym momencie wparował do reżyserki Ollie. „Nawet gdybyś był Szekspirem, Oscarem Wildeem i Groucho Marksem w jednej osobie, nie zrobiłoby to żadnej różnicy — stwierdził. — Ci dranie zamordowałyby każdy scenariusz. Skąd ich wytrzasnęliśmy? Z najbliższej kostnicy?” Su-zie, asystentka produkcji, powiedziała, że główny kontyngent pochodził chyba z klubu pracowniczego miejscowej fabryki. „Pierwsze, co jutro zrobię, to dowiem się, kim do diabła byli i kto ich zaprosił i dopilnuję, żeby nigdy więcej nie przyszli na nagranie. Chodźmy się napić. Potrzebujemy tego”.

Ollie jest notorycznym sknerą i jeśli tylko może, wykręca się od płacenia. Zawsze pyta: „Bierzemy coś jeszcze?” ostatni, gdy ci, którzy prowadzą, przerzucili się już na sok pomarańczowy albo w ogóle przestali pić. Kiedy Hal i ja idziemy z nim do baru, zwykle dla żartu próbujemy go wmanewrować w postawienie pierwszej kolejki — na przykład Hal udaje, że zostawił coś w reżyserce i wraca, rzucając przez ramię zamówienie, a ja nagle skręcam do toalety, robiąc to samo. Ale wczoraj żaden z nas nie był w nastroju i Hal kupił drinki bez walki. „Na zdrowie” — wycedził ponuro. Przez chwilę siedzieliśmy i piliśmy w milczeniu. „Powiedziałem Halowi o Debbie” — odezwał się Ollie. Hal poważnie skinął głową. „Paskudna sprawa” — mruknął. Wiedziałem jednak, że nie mogę liczyć na jego poparcie. W krytycznej sytuacji weźmie stronę Olliego. „Jake ci powtórzył, co proponujemy, Tubby?” — zapytał Ollie.

W tym momencie do baru weszła Susie. Rozejrzała się i wypatrzyła nas. „Ani słowa o sprawie Debbie” —

ostrzegł Ollie ściszym głosem, gdy szła do naszego stolika. Zaproponowałem,

105

żeby usiadła, ale potrząsnęła głową. „Ja tylko na chwilę, dzięki — powiedziała. — Wyszłam na zewnątrz i pogadałam z widzami, kiedy czekali na autokary. Większość jest z fabryki podzespołów elektrycznych w West Wallsbury. Dowiedzieli się w piątek, że z końcem miesiąca fabryka ma zostać zamknięta. Wszyscy razem z wyplatą dostali wymówienia”. Popatrzyliśmy na siebie. „To wiele wyjaśnia” — powiedziałem. „Taki już nasz pech” — westchnął Hal. „Ich dyrekcja mogła poczekać do jutra” — warknął Ollie.

Im 5

Współczułem robotnikom, ale to wyjaśnienie nie mogło nadejść w lepszym momencie. Klapa wieczornego spektaklu do tego stopnia odebrała mi wiarę w siebie, że prawdopodobnie zgodziłbym się na wszystko, co Ollie i Hal zaproponują. Teraz przestałem się winić. Pomyślałem, że jestem jednak cholernie dobrym scenarzystą, zawsze nim byłem i zawsze będę, i mam prawo bronić moich zasad. „Jak z grubsza mnie oświecił — powiedziałem do Olliego. — Chcecie, żebym wypisał postać Priscilli z serialu, tak?” „W określony sposób — odparł Ollie. — Chodzi nam o polubowne rozstanie, które usuwa Priscillę ze sceny na końcu bieżącej serii i wprowadza nową partnerkę dla Edwarda w serii następnej”. „Polubowne? — wybuchnąłem. — Oboje przeżyliby potworny wstrząs”. „Nie obe-szłoby się bez bólu — przyznał Ollie. — Ale Edward i Priscilla są dojrzałymi, nowoczesnymi ludźmi. Wiedzą, że jedna trzecia małżeństw kończy się rozwodem. Publiczność też o tym wie. Stale powtarzasz, Tubby, że sitcom powinien czasem poruszać poważne życiowe tematy”. „Jeśli jest to zgodne z charakterem postaci — odrzekłem. — Dlaczego Priscilla mogłaby chcieć opuścić Edwarda?”

Mieli rozmaite dziwaczne sugestie: na przykład, Priscilla stwierdza, że jest lesbijką, i odchodzi z inną kobietą; przyjmuje

106

jakąś wschodnią religię i wyjeżdża do aśramy uczyć się medytacji; dostaje wspaniałą propozycję pracy w Kalifornii; albo po prostu zakochuje się w przystojnym cudzoziemcu. Zapytałem, czy naprawdę myślą, że którekolwiek z tych rozwiązań jest a) wiarygodne, b) możliwe do przedstawienia w jednym odcinku. „Mógłbyś coś zmienić w dwóch albo trzech, żeby przygotować grunt” — ustąpił Ollie, pomijając moje pierwsze pytanie. „Mam pomysł na ostatni odcinek — włączył się Hal. — Pozwól, że ci opowiem”. „To doskonały pomysł, Tubby” — zapewnił mnie Ollie. Hal pochylił się do przodu. „Po odejściu Priscilli Edward daje ogłoszenie, że szuka gospodyni, i na rozmowę zgłasza się fantastyczna laska. Edward nagle widzi, że sytuacja może mieć jednak dobrą stronę. To ostatnie ujęcie. Widzowie odzyskują humor i są ciekawi, co się zdarzy w następnej serii. Co o tym myślisz?” „Myślę, że to bzdura” — odrzekłem. „Oczywiście dostałbyś za tę dodatkową robotę ładny grosz — wtrącił Ollie. — Szczerze mówiąc, możecie nam tu z Jakiem dyktować warunki”. Zerknął na mnie chytrze spod przymrużonych powiek, aby zobaczyć, czy obudził moją chciwość. Odparłem, że nie chodzi mi o pieniądze, tylko o postać i motywację. Hal zapytał, czy mam lepszy pomysł. „Jedynym wiarygodnym sposobem usunięcia Priscilli z serialu jest zabicie jej” — oświadczyłem. Ollie i Hal wymienili niespokojne spojrzenia. „Masz na myśli morderstwo?”

— wyjął Hal. Powiedziałem, że nie, może jakiś wypadek samochodowy albo szybka śmiertelna choroba. Albo drobny zabieg chirurgiczny, który się niespodziewanie nie udaje. „Co ty wygadujesz? — zdumiał się Ollie. — To jest sitcom, nie opera mydlana. Główna bohaterka nie może umrzeć. Tego się nie robi”. Odparłem, że zawsze musi być pierwszy raz. „To samo mówiłeś o dzisiejszym odcinku — przypomniat Ollie. — I patrz, co się stało”. „To wina publiczności — zaprotestowałem. — Sam tak powiedziałeś”. „Nawet najlepszą publiczność na świecie trafi

107

szlag, jeśli ludzie przyjdą na komedię, a zobaczą żonę i matkę, która umiera w kwiecie wieku” — stwierdził Ollie, a Hal poważnie skinął głową. Potem Ollie powiedział coś, co mnie naprawdę rozżłościło. „Zdajemy sobie sprawę, że jest to dla ciebie trudne, Tubby. Może powinniśmy wziąć do tej roboty kogoś innego”. „Nie ma mowy” — odrzekłem. „W Stanach to powszechna praktyka — zauważył Ollie. — Tam przy takich serialach jak nasz pracują całe zespoły scenarzystów”. „Wiem — prychnąłem. — I właśnie dlatego ich sitcomy są ciągami nie powiązanych ze sobą gagów. Powiem ci o Stanach coś jeszcze. W Nowym Jorku mają tablice z napisami NAWET NIE MYŚL O PARKOWANIU TUTAJ. Taki jest mój stosunek do Sąsiadów”. Spojrzałem na Olliego wzrokiem bazyliuszka. „To był długi dzień — wtrącił nerwowo Hal. — Jesteśmy wszyscy zmęczeni”. „Tak, pogadamy później” — poparł go Ollie. „Ale nie o innych scenarzystach — zaznaczyłem. — Prędzej zatopię ten statek, niż oddam go komuś innemu”. Wydało mi się, że to niezła ostatnia kwestia, więc wstałem i życzyłem im obydwu dobrej nocy.

Przed chwilą otworzyłem słownik, żeby sprawdzić, czy „bazyliuszek” nie pisze się dużą literą, i kiedy przerzucałem strony, mój wzrok przyciągnęło hasło „DOVERA PROSZEK”. Definicja brzmiała: Mieszanka opium i korzenia wymiotnicy, stosowana dawniej jako środek przeciwbólowy i znoszący skurcze. Wynaleziona przez Thomasa Dovera (1660-1742), lekarza angielskiego. Ciekawe, czy ten lek jest wciąż dostępny. Może byłby dobry na moje kolano.

Zdumiewające, czego można się przypadkiem dowiedzieć ze słowników. To pierwsza przyczyna, dla której nigdy nie sprawdzam pisowni za pomocą programu komputerowego. Drugą jest to, że ma on żałośnie ubogą zawartość. Jeśli nie rozpozna jakiegoś słowa, proponuje inne, o które jego zdaniem mogło ci

108

<t

chodzić. Czasem jest to nawet zabawne. Kiedyś na przykład napisałem „Freud” i komputer zapytał: „Fraud?”* Powiedziałem o tym Amy, ale wcale się nie śmiała.

Zadzwoniłem dziś rano do Jakea i powtórzyłem mu moją rozmowę z Olliem i Halem. Okazał mi współczucie, ale nie poparcie. „Myślę, że powinieneś być maksymalnie elastyczny — powiedział. — Heartland cholernie zależy na kontynuowaniu Sąsiadów. To ich komediowy okręt flagowy”. „Po czyjej ty jesteś stronie, Jake?” — zapytałem. „Oczywiście po twojej, Tubby”. Oczywiście. Lecz w głębi serca Jake wierzy w dewizę Olliego Silvera: „Sztuka dla sztuki, ale pieniądze dla ludzi”. Umówiliśmy się, że wpadnę do niego we czwartek do biura.

Mam za sobą ciężką noc. Kiedy wróciłem z nagrania, Sally już spała. Przytuliłem się do niej w łóżeczku i zachrapałem dość szybko, ale o wpół do trzeciej obudził mnie brutalnie niedowład wewnętrzny kolana. Leżałem wiele godzin, odtwarzając w myślach wypadki minionego dnia i czekając na następny atak bólu. Dziś rano przy goleniu spostrzegłem, że mam też lekkie objawy łokcia tenisisty. Czy nie byłoby pięknie, gdybym przeszedł drugą operację kolana, a potem stwierdził, że muszę się wyrzec tenisa z powodu łokcia? Dobrze chociaż, że to mój dzień fizykoterapii.

Poniedziałek wieczór. Zapytałem Rolanda, czy słyszał o proszku Dovera, ale powiedział, że nic mu to nie mówi. Jest znaw-

* Fraud (ang.) - oszut.

109

cą przeciwzapalnych żeli o nazwach w stylu Movelat, Traxam i Ibuleve (przypomniała mi się ta piosenka: Ibuleve, po każdej kropli deszczu, co spadnie, kwiat wyrasta...), które wciera mi w kolano po serii ultradźwięków. (Ibuleve, po każdym żądle bólu, co zatnie, tkanka odrasta...) Fizykoterapia jest dziś w dużym stopniu zautomatyzowana. Kiedy się rozbiorę i położę na kozetce, Roland wjeżdża do pokoju ze swoją elektryczną maszyną i podłącza mnie do niej albo kieruje na chore miejsce jakąś lampą czy laser. Zdumiewające, jak sprawnie radzi sobie z całym tym sprzętem. Tylko jeden gadżet muszę obsługiwać sam. Aplikuje elektrowstrząsy, które pobudzają mięsień czworogłowy, i mam zwiększać napięcie, póki mogę to wytrzymać — zupełnie jakbym sam siebie torturował. Zabawne, jak wiele wspólnego mają ze sobą podnoszenie sprawności fizycznej i zadawanie bólu. Kiedy omotany kablami i elektrodami spojrzę z mojej kozetki przez okno, widzę po drugiej stronie małego podwórka szklaną ścianę sali gimnastycznej, gdzie mężczyźni o twarzach wykrzywionych z wysiłku i ciałach lśniących od potu ćwiczą na maszynach, które — gdyby nie ich supernowoczesna politura — mogłyby być narzędziami tortur ściągniętymi prosto ze średniowiecznego lochu.

Roland zapytał mnie, czy słyszałem o transseksualnych pstrągach. Nie, zaprzeczyłem, opowiedz mi o nich. Roland jest kopalnią informacji. Żona czyta mu z gazet różne ciekawostki, a on wszystko zapamiętuje. Podobno pstrągom-samcom grozi utrata męskości, bo w rzekach wzrósł poziom żeńskich hormonów, które dostają się do kanalizacji z pigułek antykoncepcyjnych i leków podawanych kobietom w czasie menopauzy. Istnieje obawa, że wszystkie samce zmienią się w obojnaki i przestaną rozmnażać. „To daje człowiekowi do myślenia, prawda? — powiedział Roland. — Pijemy przecież tę samą wodę. Zanim się obejrzymy, mężczyznom będą rosnać biusty”. Zastanawiam się, czy mnie nie podpuszczał. Mam na piersiach, pod włos-

110

mi, sporo tkanki tłuszczowej. Mógł to wyczuć któregoś dnia, gdy robił mi masaż.

Może nie miałem wtedy wytrysku, bo zmieniam się w oboj-naka. Niedowład Wewnętrzny Hormonów.

Wtorek wieczór, 23 lutego. Zapytałem dziś o proszek Dovera w największym Bootsie w Rummidge, ale farmaceuta powiedział, że nigdy o nim nie słyszał i nie mógł go też znaleźć w lekospisie. Stwierdziłem: „Pewnie został zakazany z powodu opium” i facet dziwnie na mnie spojrział. Wyszedłem, zanim mógłby wezwać brygadę antynarkotykową.

Wybrałem się do miasta głównie po to, żeby kupić parę książek Kierkegarda, ale miałem pecha. U Waterstonea była tylko Bojaźń i drżenie w wydaniu Penguina, więc ją wziętem i poszedłem do Dillonsa. Kiedy się okazało, że Dillons ma tę samą książkę i nic więcej, zacząłem odczuwać typowe objawy mojego syndromu zakupów, czyli irracjonalną wściekłość i zniecierpliwienie. Alexandra nazywa to Niską Tolerancją Frustracji, NTF. Obawiam się, że byłem bardzo nieprzyjemny dla Bogu ducha winnej ekspedientki, która myślała, że „Kierkegaard” to imię i nazwisko i zaczęła sprawdzać mikrofiszę pod „Gaard”. Na szczęście Centralna Biblioteka była lepiej zaopatrzona. Udało mi się wypożyczyć Pojęcie lęku i dwie inne pozycje, które mnie zaintrygowały, Albo-albo i Powtórzenie. Dzienniki były w czytaniu.

Od dawna nie korzystałem z Biblioteki i ledwo ją z zewnątrz poznałem. Jest to typowy przykład gmachu użyteczności publicznej z lat sześćdziesiątych, bezduszna konstrukcja z surowego betonu, o której książkę Walii powiedział, że wygląda jak miejska spalarnia śmieci. Została zbudowana wokół kwadratowego dziedzińca, na którym znajdowała się kiedyś płytka sadzawka z rzadko działającą fontanną, traktowana głównie

III

ar

jako zbiornik na odpadki. Ta ponura i pełna przeciągów przestrzeń była ogólnie dostępna, ale większość ludzi jej unikała, zwłaszcza po zmroku. Niedawno jednak dziedziniec przykryto szklanym dachem, wyłożono ceramicznymi płytkami, ozdobiono wiszącą zielenią oraz neoklasycznymi posągami z tworzyw sztucznych i nazwano „Rialto”, o czym informuje różowy neonowy napis. Mieszczą się w tym niby-atrium rozmaite butiki, kioski i knajpki o mgliście włoskim charakterze. Z ukrytych głośników płyną popowe przeróbki neapolitańskich piosenek i operowy muzak. Usiadłem przy stoliku „na zewnątrz” kawiarni Giuseppe (w tej scenerii rodem ze studia filmowego na zewnątrz jest dalej wewnątrz) i zamówiłem cappuccino, które wydawało się przeznaczone raczej do wciągania przez nos niż picia, ponieważ składało się głównie z piany.

Dużej części śródmieścia zrobiono podobną operację plastyczną w ramach męskiej próby uatrakcyjnienia go dla turystów i przyjezdnych biznesmenów. Pogodziwszy się z erozją tradycyjnego zaplecza przemysłowego regionu, ojcowie miasta postawili na usługi jako alternatywne źródło zatrudnienia. Naprzeciwko Biblioteki, po drugiej stronie wyłożonego mozaiką placu, wznosi się teraz olbrzymie centrum konferencyjne i supernowoczesna sala koncertowa. W okolicy niemal z dnia na dzień wyrosły hotele, nocne kluby i restauracje. Pobliskie kanały oczyszczono, a ze ścieżek holowniczych zrobiono alejki spacerowe. Było to typowe przedsięwzięcie późnej epoki thatcherowskiej, tego krótkiego wybuchu

dobrobytu i optymizmu pomiędzy recesją wczesnych lat osiemdziesiątych i recesją wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Teraz te nowe budynki, ze swymi stalowymi schodami ruchomymi, szklanymi windami i grającą nieprzerwanie dyskretną muzyką, stoją gotowe na przyjęcie gości i prawie puste, niczym wesołe miasteczko w przeddzień otwarcia albo utopijna stolica jakiegoś afrykańskiego państwa, zbudowana z powodów ideologicznych w ser-

112

cu dżungli, podziwiana przez tubylców, lecz rzadko odwiedzana przez cudzoziemców. W ciągu dnia Rialto zaludniają głównie wagarowicze, bezrobotna młodzież i matki z małymi dziećmi, wszyscy szczęśliwi, że mogą posiedzieć w ciepłym i miłym miejscu. Czasem trafi się taki uprzywilejowany truteń jak ja.

Po raz pierwszy usłyszałem termin „recesja” dopiero kilka lat temu. Skąd on się wziął i co dokładnie znaczy? Tym razem słownik niewiele mi pomógł: Okresowa depresja w aktywności lub koniunkturze ekonomicznej. Jak długo musi trwać recesja, zanim nazwie się ją depresją? Nawet kryzys lat trzydziestych był, koniec końców, „okresowy”. Może tylu ludzi cierpi na depresję psychiczną, że ktoś uznał, iż dla dołka ekonomicznego przyda się nam nowe określenie. Recesja-depresja, recesja-de-presja. Te słowa odbijają się w mojej głowie echem jak stukot kół pociągu. Oczywiście są ze sobą związane. Ludzie wpadają w depresję, ponieważ nie mogą znaleźć pracy albo upada ich firma, albo bank zabiera im dom. Tracą nadzieję. Opublikowane dziś w prasie wyniki sondażu Gallupa mówią, że prawie połowa obywateli chciałaby wyemigrować, gdyby tylko mogła. Spacerując tego popołudnia po centrum miasta, miałem wrażenie, że już to zrobiła.

Mój młodszy brat Ken wyemigrował do Australii na początku lat siedemdziesiątych, kiedy było to łatwiejsze niż teraz, i nie mógłby podjąć lepszej decyzji. Jest z zawodu elektrykiem. Przed wyjazdem pracował w dużym sklepie na West Endzie i nigdy nie było go stać na kupno przyzwoitego wozu ani domu, który odpowiadałby potrzebom jego ciągle powiększającej się rodziny. Teraz ma w Adelajdzie własną firmę usługową i podmiejski bungalow z garażem na dwa samochody i basenem. Zanim ruszyli Sąsiedzi, powodziło mu się znacznie lepiej niż mnie. Uwaga: zawsze był ode mnie szczęśliwszy, nawet

113

w ciężkich czasach. Ma z natury pogodne usposobienie. To zabawne, że niektórzy ludzie je mają, a inni nie, chociaż dostali geny z tego samego rozdzielnika.

i ✓

Poszedłem na wizytę u Alexandry prosto z Rialta i kiedy opisywałem jej to miejsce, wymknął mi się zwrot „uprzywilejowany truteń”. „Dlaczego tak się nazwałeś?” — zapytała. „Truteń, bo późnym przedpołudniem siedziałem sobie, popijając kawę — wyjaśniłem. — A uprzywilejowany, bo robiłem to z wyboru, nie z braku lepszego zajęcia”. „Jeśli dobrze pamiętam — powiedziała Alexandra — mówiłeś mi,

że kiedy piszesz scenariusze do serialu, pracujesz bardzo ciężko, nieraz po dwanaście godzin dziennie". Skinąłem głową. „Nie masz prawa się odprężyć w wolnym czasie?" „Tak, oczywiście — odparłem. — Chodziło mi o to, że uderzył mnie kontrast między moim życiem i życiem tych nieszczęślików w Rialcie". „Skąd wiesz, że są nieszczęśliwi?" Oczywiście nie wiedziałem. „Czy wyglądali na nieszczęśliwych?" Musiałem przyznać, że nie. Dzielili się nowinkami i papierosami, przytupywali w rytm muzyki. W gruncie rzeczy dla postronnego obserwatora wyglądali pewnie dużo weselej niż ja. „Ale panuje recesja — powiedziałem — i mam wrażenie, że jestem coraz bogatszy, podczas gdy wszyscy dookoła są coraz biedniejsi. Czuję się przez to winny". „Czy czujesz się osobiście odpowiedzialny za recesję?" „Oczywiście, że nie". „Chyba mi nawet mówiłeś, że masz znaczne dochody z zagranicy?" „Tak". „Więc w rzeczywistości wnosisz pozytywny wkład w bilans handlowy państwa?" „Sądzę, że można tak na to spojrzeć". „Kto, twoim zdaniem, jest odpowiedzialny za recesję?" Zastanawiałem się chwilę. „Naturalnie żadna konkretna osoba. Recesję spowodował kompleks czynników, w większości niezależnych od nikogo. Myślę jednak, że rząd mógłby robić coś więcej, żeby złagodzić jej skutki". „Czy gło-

114

sowałeś na ten rząd?" „Nie, zawsze głosuję na laburzystów — odparłem. — Ale..." — zawahałem się. Nagle zaczęło iść o bardzo wysoką stawkę. „Ale co?" „Ale w głębi duszy byłem zadowolony, kiedy torysi wygrali".

Nigdy nie przyznałem się do tego przed nikim, nawet przed samym sobą. Doznałem jednocześnie wstydu i ulgi, że wreszcie odkryłem prawdziwą przyczynę mojego braku poczucia własnej wartości. Podobnie musieli się czuć pacjenci Freuda, gdy w końcu się załamywali i przyznawali, że zawsze chcieli uprawiać seks ze swoimi matkami lub ojcami. „Dlaczego byłeś zadowolony?" — zapytała spokojnie Alexandra. „Bo to znaczyło, że nie będę musiał płacić wyższych podatków" — odparłem. „Jeśli dobrze rozumiem — ciągnęła Alexandra — Partia Pracy zaproponowała elektoratowi podniesienie podatku dochodowego, elektorat propozycję odrzucił i z pomysłu zrezygnowano. Zgadza się?" „Tak". „Więc dlaczego czujesz się winny?" — spytała Alexandra. „Nie wiem" — odrzekłem.

Myślę, że Alexandra marnuje przy mnie swój talent. Powinna pracować w londyńskim City i przekonywać ludzi, że chciwość jest cnotą.

Zabrałem się dziś wieczorem do Pojęcia lęku — pomyślałem, że zacznę od książki, której tytuł zdawał się najbardziej mnie dotyczyć — ale przeżyłem wielkie rozczarowanie. Już sam spis treści był odstręczający:

Rozdział I Lęk jako założenie grzechu pierwotnego i wyjaśnienie go regresywnie poprzez cofnięcie się do jego źródła.

Rozdział II Lęk jako grzech pierwotny progresywnie.

Rozdział III Lęk jako konsekwencja tego grzechu, czyli brak świadomości grzechu.

115

f

Rozdział IV Lęk w grzechu, czyli lęk jako konsekwencja grzechu u jednostki.

Rozdział V Lęk jako doświadczenie zbawcze dzięki wierze.

Nigdy nie uważałem się za człowieka religijnego. Chyba wierzę w Boga. To znaczy wierzę, że poza horyzontem naszego pojmowania istnieje Coś (raczej niż Ktoś), co wyjaśnia, a raczej wyjaśniłoby, gdybyśmy mogli je zapytać, dlaczego tu jesteśmy i o co w ogóle chodzi. Wierzę również, że przeżywamy śmierć i poznajemy odpowiedzi na te pytania, bo po prostu nie mógłbym znieść myśli, że nigdy ich nie poznamy, że nasza świadomość gaśnie w chwili śmierci jak wyłączona żarówka. Mizerny powód wiary, przyznaję, ale tak już jest. Szanuję Jezusa za jego poglądy etyczne, za nakaz, by nie rzucać jako pierwszy kamieniem, nadstawianie drugiego policzka i tak dalej, ale nie nazwałbym siebie chrześcijaninem. Kiedy byłem mały, rodzice posyłałi mnie do szkoły niedzielnej — nie pytajcie, dlaczego, sami chodzili do kościoła tylko na śluby i pogrzeby. Z początku to lubiłem, bo mieliśmy bardzo ładną nauczycielkę, niejaką pannę Willow, złotowłosą, niebieskooką, z uroczymi dołecz-kami, która dawała nam odgrywać scenki z Biblii — przypuszczam, że był to mój pierwszy kontakt z teatrem. Ale potem jej miejsce zajęła starsza kobieta o surowym wyglądzie i z wielkim, owłosionym pieprzykiem na brodzie, pani Turner, która mówiła, że nasze dusze splamiły się grzechem i muszą zostać obmyte w Krwi Baranka. Zacząłem mieć w nocy koszmary, że pani Turner wrzuca mnie do wanny pełnej krwi, i rodzice pozwolili mi zakończyć edukację religijną.

Dużo później, już jako nastolatek, chodziłem do Klubu Młodzieży Katolickiej, ponieważ Maureen Kavanagh była katoliczką i jego członkinią; i czasem dawałem się zatrzymać albo zaciągnąć na jakieś wieczorne niedzielne nabożeństwo, odmawianie różańca w domu parafialnym albo coś, co nazywało się

116

Adoracja, w kościele obok, dziwny obrządek z mnóstwem łacińskich śpiewów, obłokami kadzidła i księdzem za ołtarzem, podnoszącym do góry złoty przedmiot, który wyglądał jak trofeum piłkarskie. Zawsze czułem się w tych wypadkach zakłopotany — nie wiedziałem, kiedy mam siadać, wstawać i klękać. Nigdy mnie nie kusilo, żeby przejść na katolicyzm, chociaż Maureen czasami o tym tęsknie napomykała. Za dużo mówiło się w jej religii o grzechu. Większość rzeczy, które chciałem robić z Maureen, a ona ze mną, okazywała się zabroniona, ponieważ była grzeszna.

Dlatego całe to gadanie o grzechu w tytułach rozdziałów Pojęcia lęku trochę mnie zraziło, a sama książka potwierdziła moje złe przeczucia. Była śmiertelnie nudna i bardzo trudna. Na przykład, autor definiuje lęk: „objawienie się wolności sobie samej, jako możliwości własnej”. Co to, kurwa, znaczy? Przyznam, że przekartkowałem całość, podczytując tu i tam po zdaniu i nie pojmując niemal ani słowa. Znalazłem tylko jeden interesujący kawałek, pod sam koniec:

Powiedziałbym, że oswojenie się z lękiem jest przedsięwzięciem, z którym każdy człowiek musi się zmierzyć, jeśli nie chce się narazić na zgubę albo skutek nierozpoznania lęku, albo skutek załamania się pod jego ciężarem. Przeko ten, kto nauczył się właściwie żyć w lęku, nauczył się rzeczy najważniejszej.

Ale co to znaczy nauczyć się właściwie żyć w lęku i czym się różni od załamania się pod jego ciężarem? Chciałbym to wiedzieć.

✓ *

Dzisiaj trzy ukłucia w kolanie, jeden, kiedy prowadziłem samochód, dwa, kiedy siedziałem przy biurku.

117

Środa, 24 lutego, 11.30 wieczorem. Dziś umarł Bobby Moore, na raka. Miał zaledwie pięćdziesiąt jeden lat. Ludzie w mediach musieli wiedzieć, że był chory, bo BBC miało gotowe wspomnienie o nim, pokazali je w „Wieczorze sportowym”. Zawierało wywiad z Bobbym Charltonem, ale ten puścili chyba na żywo albo nagrali dzisiaj, bo Charlton płakał. Prawdę mówiąc, ja sam byłem bliski płaczu.

Dowiedziałem się o tym koło ósmej, kiedy wyszliśmy z Amy z kina przy Leicester Square. Byliśmy na wczesnym wieczornym seansie Wściekłych psów. Wspaniały, straszny film. Scena, w której jeden z gangsterów torturuje strażnika, była najbardziej obrzydliwą rzeczą, jaką zdarzyło mi się oglądać. Wszyscy w tym filmie umierają gwałtowną śmiercią. Poważnie, sądzę, że wszyscy ludzie, których widzimy, zostają zastrzeleni — policjanci, którzy zabijają na końcu Harveya Keitela, są tylko głosami poza kadrem. Na Amy ta jatka nie zrobiła specjalnego wrażenia. Bardziej niepokoiło ją to, że nie może sobie przypomnieć, w czym już widziała jednego z aktorów, i wciąż mamrotała: „Dom gry? Nie. Taksówkarz? Nie. Co to było?“, aż musiałem poprosić, żeby się zamknęła. Kiedy wyszliśmy z kina, oznajmiła triumfalnie: „Już wiem. To wcale nie był film, tylko odcinek Policjantów z Miami”. W tym właśnie momencie zauważyłem u gazeciarza billboard: „BOBBY MOORE NIE ŻYJE” i nagle śmierci we Wściekłych psach wydały mi się komiksowo płaskie. Poganiałem Amy przy kolacji, żebyśmy mogli jak najszybciej pójść do mnie i włączyć telewizor, i w rezultacie postanowiła wrócić od Gabriellego prosto do domu. „Widzę, że chcesz zostać sam ze swoim bólem” — powiedziała ironicznie, i niewiele się pomyliła.

W „Wieczorze sportowym” było mnóstwo materiałów filmowych pokazujących Bobbyego Moorea u szczytu kariery,

118

przy czym szczególny nacisk położono oczywiście na Mistrzostwa Świata w 1966 i ten niezapomniany moment, jak Moore odbiera puchar od królowej, starannie wytarłszy najpierw ręce

o koszulkę, a potem odwraca się i podnosi trofeum wysoko do góry, aby kibice na Wembley i w całym kraju mogli się oddać adoracji. Co to był za dzień. Anglia-Niemcy 4:2, po dogrywce. Historia jak z powieści zeszytowej dla chłopców. Kto wierzył na początku turnieju, że po latach zbierania cięgow od Latynosów i Słowian znów zostaniemy mistrzami świata w grze, którą sami wynaleźliśmy? Jakimi bohaterami byli zawodnicy tej drużyny. Nadal mogę wyrecytować ich nazwiska z pamięci. Banks, Wilson, Cohen, Moore (kapitan), Stiles, Jack Charlton, Bali, Hurst, Hunt, Peters i Bobby Charlton. Wydaje mi się, że Charlton wtedy też płakał. Ale nie Bobby Moore, zawsze wzór kapitana, spokojny, pewny siebie,

opanowany. Jako zawodnik umiał bezbłędnie wyczuć odpowiedni moment — nadrabiał tym względny brak szybkości. Te wycinki filmowe wszystko mi przypomniały: jak w ostatniej chwili wyciągał swoją długą nogę i nie faulując przeciwnika, zdejmował mu piłkę z palców. I jak przechodził potem od obrony do ataku, z podniesioną głową, wyprostowany niczym rotmistrz prowadzący szarżę kawalerii. Ze swymi rzeźbionymi mięśniami

1 krótkimi, złocistymi lokami wyglądał jak grecki bóg. Teraz już takich nie ma. Teraz piłkarze są chodzącymi słupami reklamowymi, żłopiącymi piwo chamami, którzy za dużo zarabiają, plują na boisko i tak strasznie klną, że czytający z ruchu warg głusi widzowie piszą do BBC listy ze skargami.

(Jest jeden wyjątek: Ryan Giggs, młody skrzydłowy Manchester United. To cudowny zawodnik. Uwielbiam na niego patrzeć, gdy prowadzi piłkę, jakby miał ją przywiązaną do nóg, rozpędzając obrońców jak owce. I zachował niewinność, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Nie popadł jeszcze w cynizm, nie zobojętniło go zagranie zbyt wielu meczów w zbyt małych odstęp-

119

pach czasu, sława nie uderzyła mu do głowy. Widać, że kopanie piłki nadal sprawia mu przyjemność jak dziecku. Powiem wam, co najbardziej w nim lubię: kiedy się naprawdę popisze, strzeli gola, okiwa trzech przeciwników albo bezbłędnie poda i wraca truchtem na środek boiska, a kibice szaleją, marszczy brwi. Wygląda strasznie poważnie jak mały chłopiec, który chce się wydać taaaki dorosły, jakby tylko w ten sposób mógł się powstrzymać od fikania koziołków, walenia się w piersi albo krzyczenia z radości. Uwielbiam ten jego mars.)

Wróćmy jednak do Bobbyego Moorea i Mistrzostw Świata w 1966. Ilekroć nachodzą mnie wątpliwości, czy kiedykolwiek byłem naprawdę szczęśliwy, muszę tylko przypomnieć sobie to cudowne czerwcowe popołudnie. Emocje udzieliły się nawet Sally, chociaż piłka nożna nigdy jej specjalnie nie interesowała. Położyła Jane spać w wózek i usiadła przed telewizorem ze mną i z Adamem — który był za mały, żeby naprawdę rozumieć, o co chodzi, ale intuicyjnie wyczuwał, że sprawa jest ważna, i przesiedział cierpliwie cały mecz z kciukiem w buzi i kocykiem przy policzku, patrząc na mnie zamiast w ekran. Był to nasz pierwszy kolorowy odbiornik. Anglia miała czerwone koszulki w miejsce tradycyjnego białego stroju, czerwone jak dżem truskawkowy. Przypuszczam, że rzucaliśmy z Niemcami monetą o przywilej wystąpienia na biało i przegraliśmy, ale powinniśmy byli trzymać się potem tej czerwieni, bo najwyraźniej przyniosła nam szczęście. Mieliśmy bowiem szczęście, że uznano nam tę trzecią bramkę, i właśnie dlatego zdobycie czwartej dawało taką niesamowitą satysfakcję. Kiedy piłka wpadła do siatki, ze wszystkich okien w okolicy gruchnęły wiwaty; a kiedy mecz się skończył, ludzie wyszli do ogródków albo na ulicę, cali w uśmiechach, aby rozprawić o nim z sąsiadami, do których nigdy w życiu nie powiedzieli więcej niż „dzień dobry”.

Był to czas nadziei, czas, kiedy mogłeś wyrażać patriotyczne uczucia bez obawy, że okrzykną cię torysowskim szowini-

120

lr

stą. Sueski skandal był za nami i wyprzedzaliśmy cały świat w dziedzinach, które naprawdę liczyły się dla zwykłych ludzi: w sporcie, muzyce rozrywkowej, modzie i telewizji. Anglia to byli Beatlesi, minispódniczki, „That Was The Week That Was”* i zwycięska reprezentacja piłkarska. Ciekaw jestem, czy królowa oglądała dziś wieczorny program i co czuła, widząc samą siebie wręczającą puchar Bobbyemu Mooreowi. Myślę, że mogła ją ogarnąć nostalgia. „To były piękne dni, Filipie, prawda?” To były dni, kiedy budziła się rano spokojna, że nie będzie musiała czytać w gazetach szczegółowych sprawozdań z seksualnych ekscesów swojej rodziny: Dianagate, Camillagate, taśmy „Squidgy”, tampaxowe fantazje Karola, ssanie palca u nogi Fergie**. Niedowład Wewnętrzny Monarchii. Nigdy nie byłem wielkim fanem rodziny królewskiej, ale trudno nie współczuć biednej starej królowej.

Przypomniało mi się w związku z tym pewne dziwnie niepokojące zdarzenie, które przeżyłem dziś rano w drodze do Londynu. Czekając na Rummidge Expo na pociąg, spostrzegłem na peronie Nizara. Już szedłem się z nim przywitać, przybrawszy na twarz stosowny uśmiech, gdy zauważyłem, że towarzyszy mu jakaś młoda kobieta. Nie była na tyle młoda, aby mogła być jego córką, i wiedziałem, że nie jest jego żoną, bo

* „Cóż to był za tydzień”, telewizyjny magazyn satyryczny nadawany przez BBC w latach 1962-63, bardzo nowatorski i śmiały jak na owe czasy.

" Opublikowane przez gazetę „Sun” taśmy o niepewnej autentyczności, zawierające nagranie rozmowy księżnej Diany z mężczyzną, zidentyfikowanym jako jej przyjaciel James Gilby, zwracającym się do niej pieszczotliwie „Squidgy”; książe Karol powiedział przez telefon swojej przyjaciółce Camilli Parker-Bowles, że chciałby być jej tampaxem; w prasie brukowej ukazało się zdjęcie księżnej Yorku, Sarah Ferguson, w toplesie i z mężczyzną, amerykańskim finansistą Johnem Bryanem, który zdawał się ssać jej palec u nogi.

121

zobaczyłem kiedyś na jego biurku oprawione w srebrną ramkę zdjęcie, które przedstawiało pulchną, dość groźnie wyglądającą matronę w kwiecistej sukni, z trójką dzieci u boku, i nie była ona ani trochę podobna do tej wysokiej, szczupłej młód-ki ze lśnącymi czarnymi lokami, opadającymi na ramiona elegancko skrojonego, czarnego wełnianego płaszcza. Nizar stał tuż przy niej, mówiąc o czymś z ożywieniem i cały czas jej dotykając. Wyglądał swymi palcami chirurga kołnierz jej płaszcza, skubał rękawy i poprawiał włosy w sposób, który był jednocześnie zaborczy i pełen szacunku jak maniery garderobianego gwiazdy filmowej. Ona przyjmowała cokolwiek tam mruczał jej do ucha z błogim uśmiechem, pochylając głowę, bo był od niej kilka cali niższy, ale podniosła wzrok dokładnie w chwili, gdy się skapowałem, co jest grane. Na szczęście w ogóle mnie nie знаła. Odwróciłem się na pięcie i zemknąłem do poczekalni. Siedziałem tam, zasłaniając twarz „Guardianem”, póki nie przyjechał pociąg.

Wygląda na to, że szaleje epidemia cudzołóstwa: Jake, Jean Wellington, rodzina królewska, a teraz Nizar. Chciałbym jednak zrozumieć, dlaczego czułem się zakłopotany, wręcz winny, gdy przyłapałem Nizara z jego flamą. Dlaczego uciekłem? Dlaczego się schowałem? Nie wiem.

Nie kochaliśmy się z Sally od zeszłego czwartku. Chodziłem spać o innych porach niż ona albo skarżyłem się na niestrawność, początki przeziębienia i tak dalej, żeby mi tego nie zaproponowała. Boję się, że znów nie miałbym wytrysku. Może powinienem się poonanizować, żeby sprawdzić, czy chociaż pod względem

technicznym wszystko jest w porządku.

122

Czwartek rano, 25 lutego. Po napisaniu tego ostatniego kawałka rozebrałem się, położyłem na łożku z ręcznikiem w pogotowiu i przystąpiłem do walenia konia. Od dawna tego nie robiłem, ściśle biorąc od trzydziestu pięciu lat, i wyszedłem z wprawy. Nie znalazłem w apteczce wazeliny i akurat skończyła mi się w kuchni oliwa z oliwek, więc posmarowałem sobie interes sosem sałatkowym Paula Newmana, co okazało się błędem. Po pierwsze, sos był cholernie zimny, bo wyjąłem go z lodówki, i najpierw podziałał raczej obkurczająco niż sty-mulująco, po drugie, ocet i sok cytrynowy wchodzące w jego skład piekły jak diabli, a po trzecie, kiedy się wreszcie rozgrzał od tarcia, zacząłem pachnieć ziołami jak polio alla cacciatore u Gabriellego. Ale główny problem polegał na tym, że nie potrafiłem się wprawić w odpowiedni nastrój. Zamiast snuć erotyczne wizje, myślałem o Bobbym Moorze, triumfalnie podnoszącym do góry puchar Julesa Rimeta, i o Timie Rocie we Wściekłych psach, który leży w kałuży własnej krwi, podczas gdy na przodzie koszuli rozpełza mu się czerwona plama, przez co zaczyna wyglądać, jakby występował w barwach Anglii.

Przyszło mi na myśl, że mógłbym skorzystać z jakiejś telefonicznej linii erotycznej, o których tyle ostatnio słyszałem — ale skąd miałbym wziąć numer? Yellow Pages były tu bezużyteczne i raczej nie zdobyłbym się na to, żeby zadzwonić do informacji. Nagle przypomniałem sobie, że w stojaku z prasą jest jakieś stare pismo ogłoszeniowe, i faktycznie znalazłem na ostatnich stronach rubrykę z seksem przez telefon. Wybrałem numer, który obiecywał Natychmiastowe rozładowanie, soczyście sprośne słówka i dodatkowo zapewniał, że ...dzięki nowym przepisom EWG oferujemy teraz europejski standard usług. Posłuchałem przez mniej więcej dziesięć minut, jak jakaś dziewczyna opisuje wśród licznych westchnień i jęków proces obie-

123

rania i połykania banana, i zacząłem się zastanawiać, czy chodziło

O przepisy EWG w dziedzinie rolnictwa. Było to totalne oszukań-stwo, podobnie jak dwie inne linie, które wypróbowałem.

Uprzytomniłem sobie, że znajduję się zaledwie kilka minut drogi od największego w kraju skupiska pornograficznych księgarni, i że choć jest już dobrze po północy, niektóre z nich mogą być otwarte. Nie bardzo mi się wprawdzie chciało ubierać, ale byłem zdecydowany doprowadzić mój eksperyment do końca. Kiedy już miałem wyjść z mieszkania, przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić ekran wideodomofonu — i, jakżeby inaczej, w bramie leżał mój dziki lokator z zeszłego tygodnia, przytulnie zwinięty w kłębek. Rozpoznałem go po wystającym ze śpiwora spiczastym podbródku i grzywie włosów na oczach. Gapiłem się w ekran, póki kamera nie wyłączyła się automatycznie, zostawiając mnie z niewyraźnym szarym odbiciem mojej własnej twarzy. Wyobraziłem sobie, że schodzę na dół

1 otwieram frontowe drzwi. Albo musiałbym go obudzić i wdać się w dyskusję, albo dać krok nad nim, i to nie raz, ale dwa, bo za jakiś czas bym wracał, z plikiem świerszczyków pod pachą. Nie przypadła mi do gustu żadna z tych możliwości. Rozebrałem się i położyłem z powrotem do łóżka, cierpiąc męki Niskiej Tolerancji Frustracji. Czułem się przez tego włóczęgę jak moralny więzień we własnym domu.

W końcu udało mi się wyprodukować strużkę spermy dzięki samemu wysiłkowi fizycznemu, więc wiem, że aparatura jest w zasadzie sprawna, ale teraz boli mnie interes i nie wpłynęło to też dobrze na mój łokieć tenisisty.

Czwartek po południu. Siedzę w sali klubowej Pullmana na Euston, czekając na pociąg o 5.10. Chciałem pojechać tym o 4.40, ale się minimalnie spóźniłem. Bileter zobaczył, jak bie-

124

gnę, i opuścił barierkę, gdy byłem dziesięć jardów od niej, dokładnie o 4.39. Dworzec jest wytapetowany obwieszczeniami, że perony zamyka się na minutę przed planowym odjazdem pociągów „w interesie punktualności i bezpieczeństwa pasażerów”, ale nie zagroziłbym ani temu, ani temu. Nie miałem żadnego bagażu oprócz walizeczki z laptopem, ostatni wagon był zaledwie dwadzieścia jardów dalej, kierownik pociągu stał spokojnie obok, patrząc ku końcowi pustego peronu w oczekiwaniu na zmianę sygnału. Zdążyłbym z łatwością, co też gniewnie powiedziałem, ale bileter, nadgorliwy i uparty mały Azjata, nie chciał mnie przepuścić. Kiedy spróbowałem go pchnąć, on pchnął mnie. Mocowaliśmy się tak całą minutę, aż w końcu pociąg ruszył. Odwróciłem się na pięcie i wściekły odszedłem, miotając czcze pogroźki na temat wniesienia skargi. On ma do tego lepsze podstawy niż ja — prawdę powiedziawszy, mógłby mnie oskarżyć o napaść.

Jeszcze się trochę trzęsę od przyływu adrenaliny i chyba naciągnąłem sobie podczas tej przepychanki jakiś mięsień w plecach. Naprawdę idiotyczne zachowanie, jeśli się nad tym zastanowić, co niebawem zrobię. Niska Tolerancja Frustracji ustąpi wtedy miejsca Niskiemu Poczuciu Własnej Wartości i kolejna fala depresji nadciągnie nad psychikę Passmorea, powodując lokalne zachmurzenie i opady mżawki. Zupełnie niepotrzebnie. W końcu do następnego pociągu mam tylko pół godziny, a pulmanowska sala klubowa jest bardzo kulturalnym miejscem do czekania. Wygląda trochę jak burdel, a raczej jak wyobrażam sobie burdele, tyle że bez seksu. Wchodzisz po schodach na piętro, gdzie znajduje się restauracja z obsługą kelnerską i superkibel, a w połowie drogi między nimi napotykasz dyskretnie niepozorne drzwi z dzwonkiem i sitkiem do mówienia obok futryny. Kiedy naciśniesz dzwonek, kobiecy głos pyta, czy masz bilet pierwszej klasy, i jeśli odpowiesz „tak”, słyszysz brzęczyk i prztyk, drzwi się otwierają i jesteś w środ-

125

ku. W recepcji siedzi ładna dziewczyna, która się uśmiecha, gdy pokazujesz jej bilet i wpisujesz się do książki gości, a potem proponuje ci bezpłatną kawę lub herbatę. Wnętrze jest zaciszne, klimatyzowane, wysłane dywanem i wygodnie umeblowane fotelami i kanapami z tapicerką w kojących odcieniach błękitu i szarości. Są tam gazety, telefony i kserokopiarka. Zwyczajni śmiertelnicy czekający na pociągi na dole muszą siedzieć na walizkach albo na podłodze (w rozległej marmurowej hali dworca nie ma żadnych ławek) lub wydawać pieniądze w fast-foodach — Upper Crust, Casey Jones, Hot Croissant, Pizza Hut i tak dalej — które skupiły się razem, tworząc gastronomiczny park wątpliwych atrakcji w jednym końcu.

Przerwałem ten opis, bo odkryłem, że uciekł mi również pociąg z 5.10. A raczej, że na złapanie go zostały mi tylko dwie minuty, i nie mogłem znieść myśli, że miałbym biec w stronę tego samego biletera, a on znów opuściłby mi barierkę przed nosem, niczym we śnie będącym powtórzeniem traumatycznego przeżycia z jawy. Skoro już więc czekam na kolejny pociąg, o 5.40, mogę napisać, dlaczego nie zdążyłem na ten pierwszy.

W drodze na Euston wpadłem do biura Jakea. Mieści się ono przy Carnaby Street w niedużym lokalu nad sklepem z tandetnymi T-shirtami i pamiątkami. W mikroskopijnej recepcji u szczytu schodów urzędowała nowa dziewczyna, wysoka i szczupła, w bardzo obcisłej, bardzo krótkiej, czarnej sukience, która ledwo zakrywała jej pupę, gdy wstała. Przedstawiła się jako Linda. Kiedy wprowadziła mnie do gabinetu Jakea i zamknęła drzwi, Jake powiedział: „Wiem, co myślisz, ale to nie ona. Chociaż — dodał z tym swoim bezczelnym, chłopięcym uśmieszkiem — nie mogę przysiąc, że to się nie zmieni. Widziałeś te nogi?” „Trudno ich było nie zauważyć — odpar-

126

łem — wobec rozmiarów twojego biura i jej sukienki”. Jake wybuchnął śmiechem. „Jakie nowiny z Heartland?” — zapytałem. Przesłał się śmiać. „Tubby — powiedział poważnie, pochylając się do przodu na obrotowym krześle — będziesz musiał znaleźć jakiś możliwy do przyjęcia sposób, żeby wypisać Priscillę z serialu. Możliwy do przyjęcia dla wszystkich. Wiem, że dasz radę, jeśli tylko zechcesz”. „A jeśli nie zechcę?” — spytałem. Jake rozłożył ręce. „Wówczas zwrócą się do kogoś innego”. Poczułem lekki, ostrzegawczy skurcz niepokoju. „Chyba nie mogą tego zrobić bez mojej zgody?” „Niestety mogą — odrzekł Jake, unikając mojego wzroku i obracając się na krześle, aby otworzyć szufladę. — Sprawdziłem w pierwszej umowie. — Wyjął z szuflady teczkę i przesunął ją ku mnie po biurku. — Paragraf czternasty”.

Umowa na pierwszą serię została sporządzona dawno temu, gdy byłem jeszcze szeregowym scenarzystą bez jakiegokolwiek siły przebicia. Paragraf czternasty głosił, że jeśli poproszą mnie o napisanie dalszych serii o tych samych postaciach, a ja odmówię, mogą zatrudnić do tego inną osobę, wypłacając mi symboliczne honorarium za pierwotną koncepcję. Nie przypominam sobie, bym zwrócił wtedy na ten punkt szczególną uwagę, ale nie jestem zdziwiony, że go zaakceptowałem. Wyjście z Sąsiadami poza pierwszą serię było wówczas moim najgorętszym marzeniem i myśl, że mógłbym nie chcieć jej napisać,

musiała mi się wydać absurdalna. Ale paragraf nie mówi

0 drugiej serii, tylko o „seriach” w nieokreślonej liczbie mnogiej. Praktycznie zrzekłem się więc praw do pomysłu i postaci. Objechałem Jakea, że nie dostrzegł niebezpieczeństwa i nie spróbował przenegocjować tej kwestii w którejś z następných umów. Odparł, że Heartland i tak by na to nie poszło. Nie zgadzam się. Uważam, że mogliśmy ich przycisnąć między drugą

1 trzecią serią, tacy byli wtedy napaleni. Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że potrafiliby oddać Sąsiadów innemu scenarzyście

127

czy scenarzystom. To moje dziecko. To ja. Nikt inny nie poradzi sobie z nim tak dobrze.

Prawda?

Jest to niebezpieczny wątek myśli, obfitujący w nowe powody do utraty poczucia własnej wartości. Zresztą i tak powinienem przestać pisać, bo ucieknie mi również pociąg o 5.40.

Piątek, 26 lutego, ósma wieczorem. Jake zadzwonił dziś rano i powiedział, że dostał list od Olliego Silversa, który chciał ...streścić główne punkty naszej rozmowy z Tubbym w ostatnią niedzielę, aby uniknąć nieporozumień. Oznacza to, że paragraf 14 wchodzi w życie i że mam dwanaście tygodni na podjęcie decyzji, czy sam wypiszę Priscillę ze scenariusza, czy też pozwolę, aby zrobił to ktoś inny.

Dziś po południu aromaterapia z Dudleyem. Z Dudleyem Neil-Hutchinsonem, żeby go przedstawić w całej krasie nazwiska. Wygląda trochę hipisowato — jest wysoki, ma patykowate nogi i długą, wełnistą, rudą brodę, która sprawia wrażenie przyklepionej do jego staroświeckich drucianych okularów. Nosi dzinsy, płócienne buty, koszule w etniczne wzory i kamizelki z Oxfamu. Kiedy robi masaż, utyka brodę za kamizelką, żeby cię nie łaskotała. Przyjmuje u siebie w domu, nowoczesnym, czteropokojowym bliźniaku, który stoi nieopodal lotniska i dla ochrony przed hałasem ma w oknach potrójne szyby. Kiedy leżysz na brzuchu na stole do masażu, czujesz czasem, że przesuwają się nad tobą jakieś cię, i jeśli podniesiesz głowę dostatecznie szybko, możesz zobaczyć ogromny samolot schodzący bezszelestnie do lądowania, tak blisko, że dostrzegasz bielejące w okienkach twarze pasażerów. Za pierwszym

128

razem można się przestraszyć. Dudley spędza dwa przedpołudnia w tygodniu w Wellbeing, ale wolę jeździć na zabiegi do jego domu, bo nie chcę, aby panna Wu wiedziała, że oprócz akupunktury uciekam się do aromaterapii. Jest taka wrażliwa, mogłaby to odebrać jako wyraz braku wiary w jej umiejętności. Już widzę, jak nadziewam się na nią po wyjściu od Dudleya, i ten niemy, bolesny wyrzut w jej ciemnobrązowych oczach. Panna Wu nie wie też o Alexandrze. Alexandra wie o panie Wu, ale o Dudleyu już nie. Trzymam ją w nieświadomości nie dlatego, że poczułaby się zagrożona, tylko dlatego, że mogłaby się do mnie rozczarować. Szanuje akupunkturę, ale nie sądzę, żeby miała najlepsze zdanie o aromaterapii.

Doradziła mi ją June Mayfield, która pracuje w Heartland jako charakteryzatorka i podczas nagrań

Sąsiadów czuwa za kulisami, gotowa w razie potrzeby wyskoczyć i poprawić Deb-bie włosy albo przypudrować komuś nos, jeśli zacznie się świecić od gorąca reflektorów. Pewnego dnia gawędziłem z nią w bufecie i powiedziała mi, że aromaterapia odmieniła jej życie, lecząc ją z migren, na które cierpiła przez wiele lat. Dała mi wizytówkę Dudleya i pomyślałem, że mogę spróbować. Właśnie zrezygnowałem z jogi, przez Niedowład Wewnętrzny Kolana, więc miałem okienko w moim terapeutycznym harmonogramie. Zwykłem chodzić raz na dwa tygodnie do panny Flynn, siedemdziesięcioletniej staruszki z elastycznymi stawami, uczącej jogi pranajama. Nie jest to taka joga, w której stoisz godzinami na głowie albo zawiązujesz się w supły, które trzeba potem rozwiązywać w szpitalu. Polega głównie na oddychaniu i relaksacji, ale mimo to wymaga siedzenia w pozycji lotosu albo przynajmniej półlotosu, co zdaniem panny Flynn nie byłoby dobrym pomysłem, skoro mam kłopoty z kolanem, więc dałem sobie spokój. Prawdę powiedziawszy, i tak nie robiłem żadnych postępów. Nigdy nie udało mi się osiągnąć najważniejszego w jodze stanu „wyzwolenia”, kiedy to powinienes

129

opróżnić umysł i nie myśleć o niczym. Panna Flynn próbowała mnie nauczyć techniki, według której najpierw opróżniasz umysł z myśli o pracy, potem z myśli o rodzinie i znajomych, potem z myśli o sobie. Zatrzymywałem się już na pierwszym etapie. Gdy tylko bezgłośnie wymówiłem słowo „praca”, zaczynały mi się kłębić w głowie myśli o poprawkach scenariusza, problemach obsadowych i wskaźnikach oglądalności. Stwarzałem sobie zmartwienia, jakich nie miałem nigdy wcześniej.

Aromaterapia jest łatwiejsza. Po prostu sobie leżysz i masażyście naciera cię czymś, co nosi nazwę olejków eterycznych. Stojąca za tym teoria jest dość prosta — może zbyt prosta. Dudley wyjaśnił mi ją podczas pierwszej sesji. „Jeśli coś nas boli, jaka jest nasza instynktowna reakcja? Pocieramy bolące miejsce, prawda?” Zapytałem go, jak można potrzeć umysł. „Od tego właśnie są olejki eteryczne” — odparł. Aromaterapeuci uważają, że poprzez wchłanianie olejki dostają się do krwi i w ten sposób oddziałują na mózg. A wąchanie ich charakterystycznych zapachów działa na system nerwowy pobudzająco lub uspokajająco, w zależności od tego, czego się użyło. Aromaterapia ma swoje spidy i trankwilizatory, czyli „nuty górne” i „nuty dolne”, jak nazywają je fachowcy. Według Dudleya to strasznie stara forma medycyny, praktykowana w Chinach i Egipcie wieki temu. Ale, jak wszystko inne, dziś jest skomputeryzowana. Kiedy przychodzę na wizytę, podaję Dudleyowi moje objawy, a on wpisuje je do opracowanego przez siebie programu o nazwie FUJ (nie, żartuję, nazywa się PAT), przyciska klawisz i komputer wypływa listę proponowanych olejków eterycznych — jałowiec, jaśmin, mięta czy co tam. Dudley daje mi je do powąchania i przyrządza koktajl z tych, które najbardziej mi się podobają, używając roślinnego „oleju-nośni-ka” jako bazy.

Nie mam wobec Dudleya takich zahamowań jak wobec panny Wu, więc kiedy spytał, jak się czułem od ostatniego zabie-

130

M T

gu, wspominałem o kłopotach z wytryskiem. Powiedziała, że zdolność do odbywania stosunków seksualnych bez ejakulacji jest wysoko ceniona przez wschodnich mistyków. Odparłem, że im tego nie bronię. Postukał w klawiaturę i jego macintosh zasugerował bergamotę, ylang ylang i olejek różany. „Czy ostatnim razem nie dałeś mi róży na depresję?” — zapytałem z nutą podejrzliwości w głosie. „To bardzo uniwersalny olejek — odparł gładko Dudley. — Oprócz depresji pomaga na impotencję i oziębłość. Jak również na smutek i klimakterium”. Zapytałem, czy na męskie klimakterium też, ale Dudley tylko się roześmiał.

Sobota, 27 lutego. Faktycznie poskutkowało, do pewnego stopnia. Kochaliśmy się wczoraj i doszedłem. Sally chyba nie, ale właściwie nie była w nastroju, wydawała się zaskoczona moją propozycją. Ja też nie powiem, żeby poruszyła mi się ziemia, ale przynajmniej miałem wytrysk. Tak więc pocziwy olejek różany pomógł — na impotencję. Ale na depresję, smutek i męskie klimakterium już nie. Przebudziłem się o 3.05 z mózgiem wirującym jak betoniarka, mieszającym ostre kamyki niepokojów w szarej mazi Lęku, i spędziłem następne kilka godzin w stanie płytkiej drzemki, zasypiając i budząc się ponownie z mglistym uczuciem, że coś mi się śniło, lecz nie pamiętając co. Moje sny są jak srebrzyste ryby: chwytam je za ogony, ale wyślizgują mi się z rąk i wpadają z powrotem w mroczną głębię. Budzę się, łapiąc ustami powietrze, z bijącym gwałtownie sercem, jak wypływający na powierzchnię nurek. W końcu połknąłem proszek nasenny i zapadłem w ciężką śpiączkę, z której ocknąłem się w pustym łóżku o dziewiątej trzydzieści, w ponurym nastroju i z suchością w gardle.

Sally zostawiła mi kartkę, że pojechała do Sainsburyego. Ja

131

też miałem parę spraw do załatwienia, więc wybrałem się na High Street. Kiedy stałem zniecierpliwiony w kolejce na pocztę, usłyszałem za plecami kobiecy głos: „Nie możesz już wytrzymać?” Odwróciłem się, myśląc, że pytanie skierowano do mnie, ale była to matka mówiąca do synka. „Nie możesz poczekać, aż wrócimy do domu?” Chłopiec potrząsnął głową i mocniej skrzyżował nogi.

Później. Ja też nie mogłem już wytrzymać, więc ponownie przymierzyłem się do Kierkegarda i tym razem miałem więcej szczęścia. Zajrzałem do Albo-albo, ponieważ intrygował mnie ten tytuł. Piekielnie gruba książka, w dwóch tomach, i bardzo pokrętnie napisana. Stanowi galimatias esejów, opowiadań, listów itepe, autorstwa dwóch fikcyjnych osobników nazwanych A i B, wydanych przez trzeciego, niejakiego Wiktora Eremite. Pewnie to wszystko pseudonimy Kierkegarda. Największe zainteresowanie wzbudził we mnie krótki kawałek w pierwszym tomie zatytułowany „Najnieszczęśliwszy”. I czytając go, miałem takie samo wrażenie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem tytuły książek Kierkegarda — że facet opisuje mój własny stan.

Według K. człowiek nieszczęśliwy jest ...zawsze nieobecny w sobie, nigdy nie przebywający w swym wnętrzu*. W pierwszej chwili zareagowałem: nie, źle, Soren, staruszk — ja nigdy nie przestaję o sobie myśleć, w tym właśnie tkwi problem. Ale potem przyszło mi do głowy, że myślenie o sobie to nie to samo co przebywanie w swoim wnętrzu. Sally przebywa w swoim wnętrzu, bo akceptuje siebie taką, jaka jest,

nigdy w sobie nie wątpi — w każdym razie nigdy zbyt długo. Ona pokrywa się ze

* S. Kierkegaard, *Albo-albo*, t. 1, tłum. J. Iwaszkiewicz, PWN, Warszawa 1982, s. 253. Wszystkie następane cytaty pochodzą z tego samego wydania.

132

sobą. Tymczasem ja przypominam postać z taniego komiksu, takiego, w którym kolory niezupełnie odpowiadają konturom rysunków: zachodzą na siebie i zlewają się albo są między nimi przerwy. Oto ja: Zdesperowany Zyzio z wystającym, niebieskim podbródkiem, który niezupełnie pokrywa się z liniami szczęki.

Kierkegaard wyjaśnia, że człowiek nieszczęśliwy nigdy nie przebywa w swoim wnętrzu, ponieważ stale żyje przeszłością albo przyszłością. Stale albo wspomina, albo łądzi się nadzieją. Albo myśli, że wszystko było lepsze w przeszłości, albo żywi nadzieję, że będzie lepsze w przyszłości, lecz zawsze jest złe teraz. Jest to zwykłe, pospolite nieszczęście. Ale człowiek nieszczęśliwy „w ściślejszym sensie” nie przebywa w swoim wnętrzu nawet podczas tego wspomnienia czy żywienia nadziei. Kierkegaard daje przykład mężczyzny wracającego pamięcią do radości dzieciństwa, których w rzeczywistości nigdy nie doświadczył (może miał na myśli siebie samego). Nieszczęśliwy żywiciel nadziei też nie przebywa w swoim wnętrzu, z powodów, które były dla mnie niejasne, póki nie doszedłem do tego fragmentu: Nieszczęście nadziei nigdy nie ma w sobie tego elementu bólesci co nieszczęście wspomnień. Żywiący nadzieję zachowują w sobie trochę jaśniejszych złudzeń*. Dobrze wiem, co K. rozumie przez „jaśniejsze złudzenia”. Boję się podejmować decyzje, ponieważ staram się zabezpieczać przed złym obrotem spraw. Mam nadzieję, że sprawy przybiorą dobry obrót, ale kiedy rzeczywiście tak się dzieje, niemal tego nie zauważam, bo wpadłem w przygnębienie, wyobrażając sobie ich zły obrót; a kiedy przybierają zły obrót w jakiś nieprzewidziany sposób (np. paragraf czternasty w umowie z Heartland), potwierdza to tylko mój podstawowy pogląd, że największe katastrofy zawsze zdarzają się niespodziewanie. Jeśli jesteś nieszczęśliwym żywicielem nadziei, w gruncie rzeczy nie wierzysz, że

* *Albo-albo*, 1.1, s. 255-256.

133

m

-

w przyszłości cokolwiek się poprawi (bo gdybyś w to wierzył, nie byłbyś nieszczęśliwy). Co oznacza, że kiedy nic się nie poprawia, zyskujesz dowód, że cały czas miałeś rację. I dlatego twoje złudzenia są jaśniejsze. Sprytne, co?

Z drugiej jednak strony, pomyślałem, mam również nieodparte uczucie, że wszystko było lepsze w przeszłości — że musiałem być kiedyś szczęśliwy, ale gdzieś po drodze zgubiłem moje szczęście, zniszczyłem je, pozwoliłem, aby odeszło. Kiedyś przebywałem w swoim wnętrzu, nawet o tym nie wiedząc, ale teraz pamiętam tylko ulotne momenty tego stanu, jak oglądanie finału Mistrzostw Świata w

1966, i nie potrafię do niego wrócić. To zdaje się robić ze mnie raczej nieszczęśliwego wspominaacza niż nieszczęśliwego żywiciela nadziei. Podjąłem lekturę i odkryłem, że najnieszczęśliwszy człowiek jest połączeniem tych dwóch.

Polega to z jednej strony na tym, że stale pokłada nadzieję w tym, co należałoby wspominać; jego nadzieja prowadzi stale do rozczarowania, ale kiedy następuje to rozczarowanie, odkrywa on, że pochodzi to nie z tego powodu, że się jego cel przesunął naprzód, ale z tego, że on ten cel już minął, że już jest on przeżyty czy też winien był być przeżyty i w ten sposób przechodzi do dziedziny wspomnień. Z drugiej strony wspomina on stale to, na co ma mieć nadzieję, gdyż już ogarnął on przyszłość swoją myślą, przeżył wszystko w myśli, i to przeżycie staje się dla niego wspomnieniem, zamiast stać się przedmiotem nadziei. To, co ogarnia nadzieją, leży za nim, a to, co wspomina, przed nim. [...] Stale jest już u celu i w tej samej chwili daleko od celu i odkrywa, że posiadanie tego, co go czyni nieszczęśliwym teraz, jest właśnie tym, co przed kilku laty uczyniłoby go szczęśliwym, a czuł się nieszczęśliwy, że tego nie posiadał*.

O tak, facet trafił w dziesiątkę. Najnieszczęśliwszy. Tylko dlaczego uśmiechałem się od ucha do ucha, kiedy to czytałem?

* Albo-albo, t. 1, s. 256-257. 134

Niedziela po południu, 28 lutego. Nie pojechałem dziś do studia. Postanowiłem pokazać Heartland, że czuję się dotknięty sposobem, w jaki mnie traktują. Sally to pochwaliła. Z samego rana zostawiłem na sekretarce w biurze wiadomość, że nie przyjadę. Nie podałem żadnego powodu, ale Ollie i Hal domyśliły się, w czym rzecz. Opuszczę nagranie po raz pierwszy od września zeszłego roku, kiedy miałem niezbyt żołądka. Nie muszę dodawać, że bardziej karzę siebie niż ich. Hal będzie zbyt zajęty, żeby się gryźć moją nieobecnością, a Ollie nigdy się niczym nie gryzie. Tymczasem ja nie mam nic do roboty oprócz gryzienia się. Dzień mija rozdzierająco powoli. Ciągłe patrzę na zegar i zgaduję, na jakim etapie mogą być z próbą. Teraz jest pięć po czwartej i już zrobiło się ciemno. Na dworze panuje straszny ziąb i spadła cienka warstwa śniegu. Gazety podają, że w innych rejonach kraju spodziewane są zamiecie śnieżne.

W poważnych niedzielnych gazetach wszyscy załamują ręce i biją się w piersi. Kraj zdaje się przechodzić potężny kryzys wiary w siebie, Niedowład Wewnętrzny Narodowej Psyche. Opublikowany w zeszłym tygodniu sondaż Gallupa wykazał, że osiemdziesiąt procent elektoratu jest niezadowolone z pracy rządu. Według innego sondażu, ponad czterdzieści procent młodych ludzi uważa, że w ciągu najbliższego dziesięciolecia w Wielkiej Brytanii będzie się żyło coraz gorzej. Co przypuszczalnie oznacza, że ich zdaniem albo laburzyści nie wygrają następnych wyborów, albo ta wygrana niczego nie zmieni. Staliśmy się narodem nieszczęśliwych żywicieli nadziei.

I nieszczęśliwych wspominaaczy: wygląda na to, że nie ja jeden uznałem, iż śmierć Bobbyego Moorea jest miarą stopnia naszego upadku. W prasie ukazało się mnóstwo nostalgicznych

artykułów o nim i o Mistrzostwach Świata w 1966. Przegranie przez naszą reprezentację w tym samym tygodniu trzeciego z rzędu meczu z Indiami nie mogło podnieść narodowego morale. Z Indiami! Kiedy byłem chłopcem, seria meczów rozgrywanych z Indiami w ramach przygotowań do Mistrzostw oznaczała zawsze potworne nudy, bo Anglia wygrywała jak chciała.

Jest dziesięć po piątej. Próba na pewno już się skończyła i aktorzy posilają się w bufecie przed pójściem do charakteriza-torni. Ron Deakin zawsze bierze parówki, jajka sadzone i frytki. Przysięga, że w domu nigdy nie je smaženiny, ale według niego parówki, jajka i frytki pasują do postaci starego Davisa. Jest pod tym względem autentycznie przesądny — gdy któregoś dnia w kuchni zabrakło parówek, wpadł w prawdziwą panikę. Ciekawe, czy moja nieobecność wytrąci go z równowagi. Aktorzy lubią, jak jestem na nagraniu, dodaje im to otuchy. Obawiam się, że siedząc w domu, karzę ich na równi z sobą.

Im dłużej o tym myślę, a nie potrafię myśleć o niczym innym, tym gorszy mam nastrój. Staram się powstrzymać od stwierdzenia, że podjąłem błędną decyzję, ale czuję, że nieubłaganie zbliżam się do tego wniosku, jakby przyciągało mnie pole grawitacyjne czarnej dziury. Krótko mówiąc, czuję, że wpadam w jeden z moich „stanów”. Stan cest moi, jak mogłaby powiedzieć Amy. Jak ja przetrzymam ten wieczór? Gapię się na klawisz oznaczony HELP. Gdyby rzeczywiście mógł mi pomóc.

Poniedziałek rano, 1 marca. Wczoraj wieczorem, mniej więcej o 6.45, kiedy Sally nakrywała już stół do kolacji, puścili mi nerwy. Wypadłem z domu, rzucając jej wyjaśnienie przez ra-

136

mię, aby nie zdążyła nazwać mnie głupcem, wyprowadziłem burżujochód z garażu, ślizgając się po całym podjeździe — omal nie wgniotłem błotnika o słupek bramy — i pomknąłem z nieostrożną prędkością do miasta. Znalazłem się w studiu w samą porę, aby zająć miejsce na widowni.

Nagranie poszło fantastycznie. Cudowna publiczność — inteligentna, chłonna, zgrana. I scenariusz też nie był zły, chociaż sam to mówię. W tym odcinku Springfieldowie postanawiają sprzedać swoje pół bliźniaka, aby uciec od Davisów, ale nie mówią im o tym, ponieważ czują się winni, i Davisowie wciąż nieświadomie sabotują ich plan, przychodząc z wizytą albo robiąc coś okropnego, akurat kiedy Springfieldowie oprowadzają po domu potencjalnych nabywców. Widzowie byli zachwyceni. Przypuszczam, że wielu z nich też chciałoby się przeprowadzić i nie może, bo mają negatywny bilans. Negatywny bilans polega na tym, że wysokość długu hipotecznego przekracza wartość domu. Dużo jest ostatnio takich przypadków. To coś w rodzaju Niedowładu Wewnętrznego Rynku Nieruchomości. Nic zabawnego, jeśli ci się przytrafiło, ale może pomaga dostrzec zabawną stronę dylematu Edwarda i Priscilli. Albo może oglądając ich groteskowe perypetie, zaczynasz widzieć swój negatywny bilans w jaśniejszych barwach, tym bardziej że na końcu odcinka Springfieldowie postanawiają jednak zostać tam, gdzie są. Często mi się wydaje, że sitcom ma takie właśnie społeczne działanie terapeutyczne.

Aktorzy wyczuwali idące od publiczności dobre wibracje i grali fantastycznie. Prawie obyło się bez powtórek. Skończyliśmy o ósmej trzydzieści i wszyscy się uśmiechali. „Cześć, Tubby — powiedział Ron Deakin. — Brakowało nam ciebie na próbie”. Wymamrotałem coś na temat pilnych zobowiązań. Hal

spojrzał na mnie pytająco, ale się nie odezwał. Isabel, kierowniczka planu, stwierdziła, że nie mam czego żałować, bo próba składała się z samych zgrzytów i pomyłek. „Ale zawsze

137

m

tak jest — dodała. — Jeśli próba idzie gładko, można być pewnym, że nagranie okaże się katastrofą". (Isabel jest nieszczęśliwą żywicielką nadziei.) Ollie nie przyjechał: zadzwonił, że drogi w jego części świata są zbyt śliskie. Kilkoro aktorów postanowiło ze względu na pogodę przenocować w Rummidge, więc posłaliśmy całą grupę do baru. Panowała wesoła, swobodna atmosfera, każdy pławił się w poczuciu dobrze wykonanej roboty, opowiadał dowcipy, fundował kolejki. Czuję do nich wszystkich ogromną sympatię. Są jak wielka rodzina i w pewnym sensie ja jestem jej ojcem. Bez moich scenariuszy ci ludzie nigdy by się nie spotkali.

Samantha Handy przyszła do baru, zapakowawszy małego Marka do łóżka w pobliskim hotelu, akurat kiedy wychodziłem. Uśmiechnęła się do mnie miło, więc odwzajemniłem uśmiech, zadowolony, że widać nie żywi do mnie urazy po naszej ostatniej rozmowie. „Już idziesz? — zapytała. — Porzucasz towarzystwo?" „Muszę — odparłem. — Jak tam twój scenariusz?" „Mam zamiar przedyskutować ten pomysł z agentem — stwierdziła. — Jestem umówiona w przyszłym tygodniu z Jakiem Endicottem. To twój agent, prawda? Wspomniałam, że cię znam. Mam nadzieję, że się nie gniewasz". „Jasne, że nie — powiedziałem, a pomyślałem: Bezczelna suka! — Uważaj, co na siebie włożysz". Zaniepokoiła się. „Dlaczego? Ma bzika na punkcie ciuchów?" „Ma bzika na punkcie atrakcyjnych młodych kobiet — wyjaśniłem. — Doradzałbym przyjemny, długi, luźny worek na śmieci". Roześmiała się. Cóż, nie będzie mogła mówić, że jej nie ostrzegłem. Jake dostanie kota, jak zobaczy te bufory. Buzię ma też ładną, okrągłą i piegowatą, z cieniem podwójnego podbródka, który jest jakby zajawką bujnych wypukłości naprężających jej bluzkę. Idąc za moją radą, spytała Olliego, czy mogłaby poczytać jakieś scenariusze, i ponoć dał jej kilka do oceny. Warto mieć oko na tę młodą kobietę, z więcej niż jednego powodu.

138

Wraciałem oblodzonymi, pustymi ulicami, jadąc powoli i ostrożnie. Kiedy dotarłem do domu, Sally już spała. Coś w jej pozycji, płasko na wznak, i wyrazie ust powiedziało mi, że położyła się do łóżka zła na mnie — czy o to, że jednak pojechałem na nagranie, czy że wyleciałem z domu, gdy podawała kolację, czy że prowadziłem samochód w niebezpiecznych warunkach, czy o wszystko naraz, tego nie umiałem stwierdzić. Dziś rano dowiedziałem się, że chodziło o coś innego. Podobno kiedy wczoraj oznajmiłem, że nie jadę do studia, zaprosiła sąsiadów na wieczór na drinka. Przysięga, że mi powiedziała, więc pewnie tak było, ale zupełnie sobie tego nie przypominam. Niepokojące. Musiała zadzwonić do Websterów drugi raz i odwołać sprawę. Niezręczne, bez wątpienia. To głoszący na torysów zombie, ale co roku zapraszają nas na swoje wigilijne koktajl party, a my nigdy się nie rewanżujemy. (W rzadkich wypadkach, gdy urządzamy przyjęcie, ślęczę nad listą gości cały dzień i przeżywając męki wątpliwości przy każdym nazwisku, usiłuję dobrać idealnie zharmonizowane grono błyskotliwych i wzajemnie do siebie pasujących

rozmówców. Websterowie nie są wtedy w ogóle brani pod uwagę, ale ich wykluczenie nie chroni mnie oczywiście przed popadnięciem w graniczący z histerią niepokój, gdy przyjęcie się zbliża, ani przed zastosowaniem alkoholowego znieczulenia, gdy tylko się zacznie.) Wczoraj wieczorem byłaby więc okazja podrównać rachunki. Sally mówi, że teraz będziemy ich musieli zaprosić na kolację. Mam nadzieję, że to tylko pogróżka. Tak czy owak, jestem w niełasce. Cała moja wczorajsza euforia wyparowała. W dodatku od rana dokuczają mi kolano i zdecydowanie naciągnąłem sobie mięsień w plecach.

Poniedziałek po południu. Właśnie wróciłem z fizykoterapii. Powiedziałem Rolandowi o tym mięśniu, ale nie, że naciągną-

139

nąłem go, szarpiąc się z pakistańskim kanarem wagi piórkowej. Przyjął więc, że to kontuzja po tenisie. Tymczasem w zeszłym tygodniu w ogóle nie grałem, częściowo ze względu na pogodę, a częściowo dlatego, że nie miałem ochoty spotkać się z moimi partnerami po tym, co Rupert powiedział mi o Joem i Jean. Oprócz ultradźwięków na kolano Roland zafundował mi staroświecki masaż pleców. W czasach, gdy się szkolił, fizykoterapia polegała głównie na masażach — naprawdę umie i lubi je robić. Dłonie są jego oczami, po omacku znajduje drogę do najgłębszego ośrodka twojego bólu i delikatnie, lecz zdecydowanie łagodzi stan zapalny. Dudley mógłby mu buty czyścić.

Dziś rano przy śniadaniu żona przeczytała Rolandowi z gazety, że w Australii opublikowano nowe fragmenty taśm Squidgy. Powiedziałem, że trudno mi uwierzyć, aby te rozmowy zostały podsłuchane przypadkowo. Roland był innego zdania. Okazało się, że co noc nastawia swoje sony na VHF i słucha komunikatów policyjnych. „Czasami wiele godzin — powiedział. — W łóżku, ze słuchawkami na uszach. Zeszłej nocy w Angleside urządzono obławę na handlarzy narkotyków. To było bardzo ekscytujące”. Więc Roland też cierpi na bezsenność. Dla niewidomego musi to być wyjątkowo okropne, gdy tak leży nocą, ociemniały w ciemności.

Jedną z najbardziej przygnębiających rzeczy w depresji jest świadomość, że mnóstwo ludzi na świecie ma znacznie ważniejsze powody niż ty, aby czuć przygnębienie. Uzmysławiając to sobie, bynajmniej nie otrząsas się z przygnębienia, tylko zaczynasz bardziej sobą gardzić, przez co czujesz się bardziej przygnębiany. Najczystsza formą depresji jest sytuacja, kiedy nie potrafisz podać absolutnie żadnego powodu, dla którego jesteś przygnębiany. Jak mówi B w Albo-albo: Kto cierpi albo ma zmartwienie, wie, jaka jest tego przyczyna. Jeśli się melancoholika zapyta, co go gnębi, to odpowie, że nie wie, że nie potrafi

140

tego wyjaśnić. Na tym właśnie polega bezgraniczność melancholii*.

Trochę się już potapałem w tej dziwacznej książce. Na pierwszą część składają się papiery niejakiego A — notatki, eseje jak „Najnieszczęśliwszy” i pamiętnik pod tytułem Dziennik uwodziciela, który został podobno zredagowany przez A, ale napisał go jakiś Johannes. A jest młodym intelektualistą-obibokiem cierpiącym na depresję, tyle że on nazywa ją melancholią i robi z niej religię. W Dzienniku Johannes

opisuje, jak uwodzi piękną, niewinną dziewczynę imieniem Kordelia, wyłącznie po to, aby zobaczyć, czy mu się uda, a później brutalnie ją porzuca:

Wszystko minęło, i nie chcę już jej widzieć więcej. [...] Żaden opór nie jest teraz możliwy, a miłość jest piękna, dopóki opór istnieje, a kiedy ustał, wszystko staje się słabością i pustką**.

Nie bardzo wiadomo, czy mamy myśleć, że Dziennik uwodziciela jest czymś, co A znalazł, czy że sam go sfabrykował, czy że to zamaskowana autobiografia. Niemniej rzecz jest pasjonująca, chociaż nie ma w niej seksu — to znaczy nie ma ciupciana. Ale jest dużo seksualnego napięcia. Na przykład ten fragment:

Moje oko spoczęło na niej po raz pierwszy. Powiadają, że senność tak obciąża powieki, że zamykają się same; zdaje się, że to moje spojrzenie miało podobne działanie. Oko zamyka się, a jednak ciemne moce działają pod powieką. Ona nie widzi mojego spojrzenia, ale czuje je, czuje je całym ciałem. Oko zamyka się i oto jest noc; ale tam w środku jaśnieje biały dzień***.

* S. Kierkegaard, Albo-albo, t. 2, tłum. K. Toeplitz, PWN, Warszawa 1982, s. 254. Wszystkie następne cytaty pochodzą z tego samego wydania. " Albo-albo, t. 1, s. 521. Albo-albo, 1.1, s. 422.

141

Może to tak Jake podrywa panienki.

Drugą część Albo-albo stanowią nieprzeciętnie długie listy B do A, atakujące jego filozofię życiową i nakłaniające go, aby porzucił melancholię i wziął się w garść. B jest chyba adwokatem albo sędzią i człowiekiem szczęśliwie żonatym. Szczerze mówiąc, robi wrażenie pedanta, ale inteligentnego. Ten kawałek

0 bezgraniczności melancholii, który przed chwilą zacytowałem, pochodzi z jego drugiego listu, pod tytułem „O równowadze między tym, co estetyczne, i tym, co etyczne, w kształtowaniu się osobowości”, ale książka jako całość mówi o prze-ciwstawności estetycznego i etycznego. A jest estetą, B etykiem, jeśli istnieje takie słowo. (Istnieje, sprawdziłem.) A stwierdza: albo-albo, nie ma znaczenia, co wybierzesz, i tak będziesz żałował swojego wyboru. Ożeń się, będziesz tego żałował; nie żeń się, będziesz tego także żałował; żeń się lub nie żeń, będziesz

1 tego, i tego żałował* i tak dalej. A tak bardzo interesuje się uwiedzeniem (czy uwiedzenie Kordelii było faktem, czy fikcją, ta idea wyraźnie fascynuje A, co oznacza, że fascynowała Sorena), ponieważ małżeństwo wymaga dokonania wyboru (którego by nieuchronnie żałował), podczas gdy w przypadku uwiedzenia wybrać musi ktoś inny, a on sam pozostaje wolny. Zdobywając Kordelię, Johannes udowodnił sobie, że nie była warta zdobycia, więc może ją odprawić i wrócić do swojej melancholii. Moja melancholia jest najwierniejszą kochanką, jaką kiedykolwiek miałem — mówi A — cóż dziwnego, że kocham ją wciąż z wzajemnością**.

B mówi, że musisz wybrać. Wybierać to żyć etycznie. Broni małżeństwa. Atakuje melancholię. Melancholia jest grzechem, [...] albowiem jest grzechem nie chcieć z całej duszy swojej, nie pragnąć — to jest matką wszystkich grzechów***. Raczy dodać:

* Ibid., s. 41.

** Albo-albo, t. I.s.21.

*** Albo-albo, t. 2, s. 254.

142

Chętnie przyznam, że w pewnym sensie melancholia wcale nie świadczy źle o danym człowieku; na ogół bowiem ogarnia najbardziej uzdolnionych ludzi*. Ale nie ma on wątpliwości, że życie etyczne góruje nad estetycznym. Kto żyje etycznie, dostrzegł samego siebie, poznaje samego siebie, przenika swą świadomością cały swój konkretny byt, nie dopuszcza do tego, by nieokreślone myśli buszowały w nim, siejąc spustoszenie, i by kuszące możliwości rozpraszały go swoimi sztuczkami ku-glarskimi; [...] On poznaje samego siebie**. Albo samą siebie. Sally jest typem etycznym, ja estetycznym — z tym że wierzę w małżeństwo, więc etykietka nie do końca pasuje. I gdzie stoi sam Kierkegaard? Czy jest A czy B, nimi obydwojma czy żadnym z nich? Czy mówi, że musisz wybrać między filozofią A i filozofią B, czy że którąkolwiek wybierzesz, będziesz tego żałował?

Czytanie Kierkegarda jest jak lot przez ciężką chmurę. Od czasu do czasu trafiasz na prześwit i na chwilę odsłania ci się jasno oświetlony widok, ale potem znów pogrążasz się w wirującej, szarej mgłę i nie masz najbliższego pojęcia, gdzie jesteś.

Poniedziałek wieczór. Według encyklopedii, do której przed chwilą zajrzałem, Kierkegaard doszedł do wniosku, że typ estetyczny i typ etyczny są tylko stadiami na drodze do pełnego oświecenia, które ma charakter „religijny”. Typ etyczny zdaje się przewyższać estetyczny, ale również nie jest oparty na żadnych konkretniejszych podstawach. Musisz się więc zdać na łaskę Boga. Nie bardzo mi się to podoba. Lecz poprzez ten „skok” człowiek „ostatecznie wybiera siebie”. Niepokojący,

* Ibid., s. 254.

" Ibid., s. 351-352.

143

■■«i

drażniący zwrot: jak możesz wybrać siebie, kiedy już sobą jesteś? Brzmi to jak nonsens, ale chyba się domyślam, co może znaczyć.

Sally musi być dalej na mnie wkurzona, bo odmówiła obejrzenia dzisiejszego odcinka Sąsiadów, twierdząc, że nie ma czasu. W poniedziałki, kiedy serial jest nadawany, siadamy

0 dziewiątej przed telewizorem i oglądamy go razem. To coś w rodzaju rytuału. Zabawna rzecz, ale choćbyś był najbardziej obznajomiony z jakimś programem przed jego emisją, choćbyś sam napisał scenariusz, uczestniczył w próbach i nagraniu i widział taśmę z ostatecznym montażem, pokazany na

ekranie zawsze wydaje ci się czymś nowym. Świadomość, że w tym samym czasie miliony innych ludzi oglądają go po raz pierwszy, wszystko zmienia. Jest już za późno, aby cokolwiek poprawić, i przydaje to sytuacji napięcia. Czyni z niej erzac tego, co dzieje się w teatrze, gdy pierwszy raz przedstawiasz sztukę publiczności. W każdy poniedziałkowy wieczór, kiedy ekran ciemnieje po ostatniej reklamie i rozjaśnia się na nowo czołówką, której towarzyszy znajomy temat muzyczny, czuję, jak przyspiesza mi tętno. I niedorzecznie łapię się na tym, że kibicuję aktorom, jakby występowali na żywo, przynaglę ich w myślach, aby do maksimum wykorzystali swoje kwestie

1 gagi, choć przecież wiem, że wszystko, każda sylaba i pauza, każdy odcień głosu i gest i reakcje widzów w studiu, jest już nagrane i niezmiennalne.

Sally przestała czytać moje scenariusze wiele lat temu albo może ja przestałem je jej pokazywać: na jedno wychodzi. Nie była specjalnie zachwycona koncepcją Sąsiadów i nie wierzyła, że serial się przyjmie. Kiedy odniósł tak niesamowity sukces, naturalnie się cieszyła, ze względu na mnie i ze względu na pieniądze, które zaczęły walić nam na konto, jakbyśmy zna-

144

leźli w ogródku ropę. Ale, co dla niej typowe, ani trochę nie zachwiało jej to w pierwotnej opinii. Potem zaczęła tak ciężko pracować, że naprawdę nie miała czasu ani siły na czytanie scenariuszy, więc przestałem zwracać jej tym głowę. Zresztą mam z niej więcej pożytku, gdy ogląda poszczególne odcinki, nie znając z góry ich treści. Daje mi to wyobrażenie o reakcjach pozostałych dwunastu milionów dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu widzów, jeśli pomnożę jej zachowanie przez jakieś osiem. Kiedy Sally parskała zduszonym śmiechem, można się założyć, że w całym kraju ludzie spadają z krzesel i leją po nogach. Ale dzisiaj musiałem przesiedzieć całą projekcję w ponurej ciszy, sam.

Wtorek po południu, 2 marca. Dziś wizyta u Alexandry. Miała katar i zapchany nos, który wydmuchiwała nieudolnie jak ktoś, kto uczy się grać na kornecie.

— Przepraszam, że o tym mówię — powiedziałem — ale dorobisz się kłopotów z zatokami, jeśli będziesz siąkała w ten sposób. Chodziłem kiedyś na jogę i moja nauczycielka pokazała mi, jak trzeba czyścić nos, po jednej dziurce.

Zademonstrowałem to, przyciskając palcem najpierw jedną stronę mojej kichawy, potem drugą. Alexandra uśmiechnęła się słabo i podziękowała mi za radę. To jedyna rzecz, jaką naprawdę wyniosłem z jogi. Umiejętność wydmuchiwania nosa.

Alexandra zapytała, jak się czułem w minionym tygodniu. Opowiedziałem jej o zamieszaniu wokół przyszłości Sąsiadów. Spytała, co zamierzam zrobić.

— Nie mam pojęcia — odparłem. — Wiem tylko tyle, że cokolwiek zrobię, będę tego żałował. Jeśli wypiszę Priscillę ze scenariusza, będę tego żałował, jeśli pozwolę, żeby zajął się tym ktoś inny, będę tego żałował. Czytałem Kierkegarda — doda-

145

łem, myśląc, że zrobię na Alexandrze wrażenie, ale nie zareagowała. Może nie usłyszała: kiedy powiedziałem „Kierkegaard”, wydmuchiwała akurat nos.

— Z góry przesądzasz sprawę — stwierdziła. — Nastawiasz się na niepowodzenie.

— Tylko liczę się z faktami — odrzekłem. — Moje niezdecydowanie jest ostateczne. Weźmy ten weekend.

Opowiedziałem jej, jak się biłem z myślami, czy jechać na nagranie.

— Ale w końcu podjąłeś decyzję — zauważyła Alexandra. — Pojechałeś do studia. Żałujesz tego?

— Tak, bo przez to podpadłem Sally.

— Przecież nie wiedziałeś, że zaprosiła tych ludzi.

— Nie, ale powinienem był jej słuchać, kiedy mi o tym mówiła. A zresztą wiedziałem, że nie pochwaliby mojej wyprawy do studia z innych powodów, jak warunki drogowe. Zemknąłem z domu tak szybko właśnie dlatego, żeby nie miała szansy wyperswadować mi tej decyzji. Gdybym dał jej tę szansę, w końcu dotarłoby do mnie, że mają przyjść Webste-rowie.

— I wtedy zostałbyś w domu?

— Oczywiście.

— A czy chciałbyś, żeby tak się stało?

Pomyślałem chwilę.

— Nie — stwierdziłem.

Zaśmialiśmy się obydwój, dość rozpaczliwie.

Czy naprawdę jestem w rozpacz? Nie, sytuacja nie wygląda aż tak dramatycznie. Cierpię raczej na to, co B nazywa wątpieniem. Rozróżnia on wątpienie i rozpacz. Ale rozpacz jest lepsza, bo przynajmniej się ją wybiera. Wybierz rozpacz, gdyż rozpacz już świadczy o dokonaniu wyboru, albowiem wątpić

146

można przecież, nie wybierając wątpienia, ale rozpaczać nie można, nie wybierając rozpacz.

Rzecz jasna, wybiera się ponownie. A co się wybiera? Dokonuje się wyboru samego siebie, ale nie w swej bezpośredniości, nie w postaci tej oto przypadkowej jednostki, lecz człowiek wybiera siebie w swym wiecznym znaczeniu*. Brzmi to fascynująco, ale czy jest możliwe, aby wybrać rozpacz i nie chcieć ze sobą skończyć? Czy można zaakceptować rozpacz, żyć w niej, być z niej dumnym, znajdować w niej radość?

B mówi, że w jednej kwestii zgadza się z A: jeśli jesteś poetą, musisz być nieszczęśliwy, ponieważ ...poeta wie swój żywot w mroku, który jest następstwem rozpaczyny nie doprowadzonej do jej ostatecznych skutków, powodującej nieustanne drzenie duszy, nie potrafiącej znaleźć drogi, by dokonać metamorfozy**. Wygląda więc na to, że można drzeć z rozpaczyny, bynajmniej jej nie wybierając. Czy tak jest ze mną? Czy odnosi się to zarówno do „żywota” scenarzysty, jak i poety?

Philip Larkin dobrze znał ten gatunek rozpaczyny. Właśnie zajrzałem do Pana Bleaneya.

Ale czy stał i patrzył, jak wiatr zimnym zgrzeblem Czocho chmury, czy leżał w pościeli zatęchłej
Wmawiając sobie, że to dom, czy się do siebie Uśmiechał i czy drżał, draśnięty lękiem,

Że w tym, jak się nam żyje, odbija się nasza Natura i że w jego wieku mieć pod niebem Tę wynajętą klitkę
najpewniej oznacza, iż nie zasłużył na nic więcej — tego nie wiem***.

' Albo-albo, t. 2, s. 283-284.

" Albo-albo, t. 2, s. 282.

*** P. Larkin, Pan Bleaney, tłum. S. Barańczak, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1993, s.518.

147

f

można przecież, nie wybierając wątpienia, ale rozpaczać nie można, nie wybierając rozpaczyny.
Rozpaczając, wybiera się ponownie. A co się wybiera? Dokonuje się wyboru samego siebie, ale nie w swej
bezpośredniości, nie w postaci tej oto przypadkowej jednostki, lecz człowiek wybiera siebie w swym
wiecznym znaczeniu*. Brzmi to fascynująco, ale czy jest możliwe, aby wybrać rozpacz i nie chcieć ze sobą
skończyć? Czy można zaakceptować rozpacz, żyć w niej, być z niej dumnym, znajdować w niej radość?

B mówi, że w jednej kwestii zgadza się z A: jeśli jesteś poetą, musisz być nieszczęśliwy, ponieważ ...poeta
wie swój żywot w mroku, który jest następstwem rozpaczyny nie doprowadzonej do jej ostatecznych
skutków, powodującej nieustanne drzenie duszy, nie potrafiącej znaleźć drogi, by dokonać
metamorfozy**. Wygląda więc na to, że można drzeć z rozpaczyny, bynajmniej jej nie wybierając. Czy tak
jest ze mną? Czy odnosi się to zarówno do „żywota” scenarzysty, jak i poety?

Philip Larkin dobrze znał ten gatunek rozpaczyny Właśnie zajrzałem do Pana Bleaneya.

Ale czy stał i patrzył, jak wiatr zimnym zgrzeblem Czocho chmury, czy leżał w pościeli zatęchłej
Wmawiając sobie, że to dom, czy się do siebie

Uśmiechał i czy drżał, draśnięty lękiem,

Że w tym, jak się nam żyje, odbija się nasza Natura i że w jego wieku mieć pod niebem Tę wynajętą klitkę
najpewniej oznacza, iż nie zasłużył na nic więcej — tego nie wiem***.

* Albo-albo, t. 2, s. 283-284.

" Albo-albo, t. 2, s. 282.

*** P. Larkin, Pan Bleaney, tłum. S. Barańczak, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1993, s. 518.

147

Jest tu wszystko: drzał... lękiem... nie wiem.

Przypomniała mi o Larkinie informacja w dzisiejszej gazecie, że jego biografia pióra Andrew Motiona, mająca się wkrótce ukazać, przedstawi go w jeszcze gorszym świetle niż wydane niedawno listy. Nie czytałem Listów i nie chcę ich czytać. Nie chcę też przeczytać tej nowej biografii. Larkin to mój ulubiony poeta współczesny (chyba po prostu jedyny, którego jestem w stanie zrozumieć) i nie dam sobie popsuć przyjemności czytania jego wierszy. Podobno miał zwyczaj kończyć rozmowy telefoniczne z Kingsleyem Amisem, mówiąc „Pieprzyć Oxfam”. Są oczywiście gorsze rzeczy niż mówienie „pieprzyć Oxfam”, na przykład robienie tego co ci bandyci w Somalii, którzy kradną żywność przeznaczoną dla głodujących kobiet i dzieci, ale mimo wszystko, po co gadał takie głupoty? Wyjąłem moją charytatywną książeczkę czekową i zapisałem Oxfamowi pięćdziesiąt funtów. Zrobiłem to dla Philipa Larkina. Tak jak Maureen zbierała odpusty w intencji swojego zmarłego dziadka. Wyjaśniła mi któregoś dnia, o co chodzi z czyścem i odpustami — najdurniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Maureen Kavanagh: ciekawe, co się z nią stało. Ciekawe, gdzie teraz jest.

-fr-fr-fr-fr-ir-fr-fr-fr-ft-ćrft-ir

Środa, 3 marca, późno. Poznałem dziś wieczorem tego włóczęgę z bramy. Oto jak się to stało.

Byliśmy z Amy w Narodowym na Pan inspektor przyszedł. Fantastyczny spektakl, zagrany bez antraktu w oszałamiającej surrealistycznej scenografii, jak dokładnie zapamiętany sen. Nigdy nie ceniłem Priestleya, ale dziś wydał mi się równie dobry jak jakiś cholerny Sofokles. Nawet Amy dała się porwać — nie próbowała na nowo obsadzać sztuki przy kolacji. Jedliśmy w Ovation, same zakąski — są zawsze lepsze niż dania głów-

148

ne. Amy wzięła dwie, ja trzy. I do tego butelka Sancerre na nas dwoje. Oprócz przedstawienia mieliśmy inne tematy do rozmowy: moje perturbacje z Heartland i najnowszy problem Amy z Zeldą. Robiąc pranie, Amy znalazła w kieszeni szkolnej bluzki Zeldy jakąś pigułkę i przestraszyła się, że to amfetamina albo środek antykoncepcyjny. Nie mogła się zdecydować, co byłoby gorsze, ale nie odważyła się o nic dziewczyny spytać, w obawie, że ta zarzuci jej szpiegowanie. Wyłowiła schowaną w lotniczej kopercie pigułkę z nabrzmiałego pęcherza swojej torebki i wytrząsnęła mi ją na talerzyk do inspekcji. Powiedziałem, że według mnie wygląda jak Tic-Tac, i zaoferowałem się ją possać. Co też zrobiłem i rzeczywiście był to Tic-Tac. W pierwszej chwili Amy się odprężyła. Ale potem powiedziała, marszcząc brwi: „Dlaczego tak się martwi o nieświeży oddech? Pewnie całuje się z chłopcami”. „Ty w jej wieku się nie całowałaś?” — zapytałem. „Tak — odrzekła — ale nie wpychaliśmy sobie nawzajem języków do

gardła, jak to robią teraz". „Wpychaliśmy — zaprzeczyłem. — Nazywało się to francuski pocałunek". „Teraz można się w ten sposób zarazić AIDS" — stwierdziła Amy. Odparłem, że wątpię, chociaż tak naprawdę to nie wiem.

Potem powiedziałem jej o paragrafie czternastym. Stwierdziła, że to skandal, że powinienem wylać Jakea na pysk i wystąpić do Korporacji Scenarzystów o unieważnienie umowy. Odparłem, że zmiana agenta nie rozwiązałyby problemu i że prawnik Jakea już wszystko sprawdził i umowa jest nie do ruszenia. „Merde" — powiedziała Amy. Zaczęliśmy główkować, jak wypisać Priscillę z serialu, i w miarę jak spadał poziom wina w butelce, nasze pomysły stawały się coraz bardziej błazeńskie: o Priscillę upomina się jej poprzedni mąż, którego uważała za zmarłego i o którym nie wspomniała Edwardowi, gdy się pobierali; Priscilla poddaje się operacji zmiany płci; Priscilla zostaje porwana przez kosmitów... Nadal uważam, że byłoby

149

najlepiej, gdyby Priscilla umarła w ostatnim odcinku bieżącej serii, ale Amy zgadzała się z Olliem i Halem. „Wszystko, tylko nie śmierć, skarbie". Odparłem, że to dość silna reakcja. „O Boże, mówisz zupełnie jak Karl" — powiedziała.

Ta uwaga dała mi pewien wgląd w przebieg spotkań Amy z psychoanalitykiem. Rzadko mi o nich opowiada. Wiem tylko tyle, że melduje się u niego w każdy zwykły dzień punktualnie o dziewiątej rano, Karl wychodzi do poczekalni, wita ją i wpuszcza do gabinetu, Amy kładzie się na kozetce i mówi przez pięćdziesiąt minut, a on siada z tyłu za nią i słucha. Nie wolno przygotować żadnego tematu, masz mówić cokolwiek ci przyjdzie do głowy. Zapytałem raz Amy, co się dzieje, jeśli komuś nie przychodzi do głowy nic wartego powiedzenia. Odparła, że się milczy. Teoretycznie mogłaby milczeć przez całe pięćdziesiąt minut, a Karl i tak zainkasowałby honorarium; ale że Amy jest, jaka jest, nigdy się to jeszcze nie zdarzyło.

Wyszliśmy z restauracji koło jedenastej. Wsadziłem Amy w taksówkę, a sam ruszyłem do domu pieszo, żeby mój staw kolanowy miał trochę gimnastyki. Roland mówi, że powinienem spacerować przynajmniej pół godziny dziennie. Lubię chodzić mostem Waterloo, zwłaszcza w nocy, kiedy budynki są iluminowane: Big Ben i Parlament na zachodzie, kopała św. Pawła i ostre iglice innych kościołów Wrena na wschodzie, a w oddali mrugają czerwone światełka dźwigów Canary Wharf. Widziany z mostu Waterloo, Londyn wciąż robi wrażenie wspaniałego miasta. Rozczarowujesz się, gdy wchodzisz w Strand i stwierdzasz, że w bramach wszystkich sklepów leżą, jak mumie w Muzeum Brytyjskim, okutani w śpiwory bezdomni.

Nie przyszło mi do głowy, że natknę się na lokatora mojej bramy, może dlatego, że dotąd oglądałem go tylko z mieszkania, na ekranie wideodomofonu, dobrze po północy. Siedział oparty o ścianę, do pasa w śpiworze, paląc skręta.

150

— Hej, wynoś się, nie możesz tu spać — powiedziałem.

Spojrzał na mnie, odgarniając z oczu długi kosmyk prostych,

rudych włosów. Wyglądał na jakieś siedemnaście lat. Trudno powiedzieć. Na podbródku sypał mu się

rudawy puszek.

- Ja nie śpię — odparł.
- Widywałem cię, jak tu spałeś wcześniej — stwierdziłem. — Zjeżdżaj.
- Czemu? — zapytał. — Nie robię nic złego. — Podciągnął nogi w śpiworze, żebym mógł swobodnie przejść.
- To własność prywatna — oświadczyłem.
- Własność jest kradzieżom — zareplikował z chytrym uśmieszkiem, jakby mnie wypróbował.
- No, no — mruknąłem, pokrywając zdziwienie sarkazmem. — Bezdomny marksista. I co dalej?
- To nie Marks, to proton — powiedział, a w każdym razie tak to zabrzmiało.
- Jaki znowu proton? — spytałem.

Jego spojrzenie jakby straciło na moment ostrość. Z uporem potrząsnął głową.

- Nie wiem, ale to nie Marks. Sprawdziłem to kiedyś.
- Jakiś problem, proszę pana?

Obejrzałem się. I niech mnie diabli, stało za mną dwóch gliniarzy. Pojawili się jak w odpowiedzi na niemą modlitwę. Z tym że nie byli mi teraz potrzebni. Albo jeszcze nie teraz. Nie w tej chwili. Złapałem się na dziwnej niechęci do wydania chłopaka w ręce prawa. Pewnie tylko by go stąd przepędzili, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Musiałem podjąć decyzję w ułamku sekundy.

- Wszystko w porządku — powiedziałem do policjanta, który się do mnie odezwał. — Znam tego młodego człowieka.

Młody człowiek wygramolił się tymczasem ze śpiwora i pospiesznie go związał.

- Mieszka pan tutaj? — zapytał policjant.

151

f

Pospiesznie wyciągnąłem klucze jako dowód. Krótkofalówka, którą drugi policjant miał przypiętą na piersi, zaczęła skrzeczeć i trzeszczeć o jakimś alarmie antywłamaniowym na Lisie Street i zamieniwszy ze mną jeszcze kilka słów, obydwaj odeszli.

- Dzięki — powiedział chłopak.

Popatrzyłem nań, już żałując mojej decyzji. („Zakupuj go, będziesz tego żałował, nie zakupuj go, będziesz tego żałował, zakupuj go lub nie zakupuj, będziesz i tego, i tego żałował...”) Miałem wielką ochotę

powiedzieć mu, żeby spadał w podskokach, ale zerknąwszy w górę ulicy, zobaczyłem, że gliniarze stoją na rogu i patrzą w naszą stronę.

— Chyba będzie lepiej, jeśli wejdiesz na parę minut — powiedziałem.

Łypnął na mnie podejrzliwie spod grzywki.

— Nie jest pan ciotom, co? — zapytał.

— Broń Boże, nie — odparłem.

Gdy jechaliśmy w milczeniu windą, uświadomiłem sobie, dlaczego nie wykorzystałem cudownego pojawienia się policjantów, aby się chłopaka pozbyć. Owo krótkie zdanie, „Sprawdziłem to”, momentalnie zachwiało moją równowagę i przeważyło szalę na jego stronę. Jeszcze jeden sprawdzacz. Jakbym spotkał na progu własnego domu młodszą, mniej uprzywilejowaną wersję siebie.

— Ładnie tu — powiedział, gdy wpuściłem go do mieszkania i zapaliłem światło. Podszedł do okna i spojrzął na ulicę. — Kurde — mruknął. — Prawie nie słychać samochodów.

— Podwójne szyby — wyjaśniłem. — Posłuchaj, zaprosiłem cię tutaj, żebyś nie miał kłopotów z policją. Jak chcesz, zrobię ci herbaty...

— Dzięki — wpadł mi w słowo i usiadł na kanapie.

— ...zrobię ci herbaty, ale na tym koniec, rozumiesz? Pójdiesz w swoją stronę i nie chcę cię tu więcej widzieć. Jasne?

152

Skinął głową, trochę mniej skwapliwie, niż mógłbym sobie życzyć, i wyjął z kieszeni puszkę tytoniu do skrętów.

— I wolałbym, żebyś nie palił — dodałem.

Westchnął, wzruszył ramionami i schował puszkę do kieszeni kurtki. Miał na sobie regulaminowy mundur młodego bezdomnego z West Endu: pikowaną kurtkę z kapturem, džinsy, martensy i brudny beżowy szalik z włóczki, tak długi, że plątał mu się wokół kostek.

— Mogę to zdjąć? — zapytał i zrzucił kurtkę, nie czekając na moje pozwolenie. — Ciepło tu.

Bez watowanej kurtki, w przetartym na łokciach swetrze, wyglądał chudo i wątle.

— Nie bywa pan w tej chacie za często — zauważył. — Gdzie pan mieszka przez resztę tygodnia?

Powiedziałem mu.

— Aha, na północy — mruknął. — Na co panu dwie chaty?

Jego dociekliwość była dla mnie krępująca. Aby powstrzymać ten strumień pytań, sam zadałem kilka. Na imię mu Gra-hame — z „e”, podkreślił, jakby ten niemy przyrostek stanowił rzadki i arystokratyczny wyróżnik. Pochodzi z Dagenham i ma życiorys, jakiego można się było spodziewać: rozbity dom, nieobecny ojciec, matka pijaczka, węgry, konflikt z prawem w wieku dwunastu lat, kurator, rodzina zastępcza, ucieczka, poprawczak, kolejna ucieczka, aż w końcu przyciągnęły go jasne światła Westu, jak nazywa West End. Żyje z żebraniny i dorywczych prac, jak rozdawanie ulotek na Leicester Square czy mycie samochodów w jakimś warsztacie w Soho. Kiedy go spytałem, dlaczego nie spróbuje znaleźć stałej posady, odparł śmiertelnie poważnie: „Cenie mojom wolność”. Prezentuje dziwną mieszankę naiwności i ulicznego cwaniactwa, ma połowiczne wykształcenie, ale w tej połowie kryją się zdumiewające perły informacji. Zobaczył Powtórzenie Kierkegaarda, które kupiłem dziś w antykwariacie na Charing Cross, i marszcząc

153

brwi, wziął je do ręki. „Kierkegaard — powiedział. — Pierszy egzystencjalista”. Roześmiałem się na głos, kompletnie zaskoczony. „Co wiesz o egzystencjalizmie?” — spytałem. „Egzystencja wyprzedza esencje” — odparł, jakby recytował początek jakiegoś wiersza. Nie czytał z obwoluty, bo książka jej nie miała. Pomyślałem, że należy do ludzi obdarzonych fotograficzną pamięcią. Widział gdzieś te zdania i zapamiętał je, nie mając pojęcia, co znaczą. Ale to zadziwiające, że w ogóle zwrócił na nie uwagę. Spytałem, gdzie się zetknął z nazwiskiem Kierkegaard, i powiedział, że w bibliotece. „Zaciekawiło mnie, bo sie tak śmiesznie pisze — wyjaśnił. — Dwa a. Jak Aaaaa! w komiksach”. Spędza dużo czasu w Westminsterkiej Bibliotece Naukowej, nieopodal Leicester Square, wertując encyklopedie. „Jak przyjdiesz tylko po to, żeby sie ogrzać, szybko cie wy-rzucajom — powiedział. — Ale nie mogom cie wyrzucić, jak czytasz książki”.

Im dłużej trwała ta rozmowa, tym trudniej było mi ją zakończyć i wysłać go z powrotem na zimną ulicę.

— Gdzie będziesz dziś spał? — zapytałem.

— Nie wiem — odparł. — Nie mogę spać na dole?

— Nie — powiedziałem stanowczym tonem.

— Szkoda — westchnął. — To fajna brama. Czysta, bez przeciągów. Ale chyba coś se znajdę.

— Ile kosztuje w tej okolicy najtańszy nocleg?

Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

— Piętnaście funtów.

— Nie wierzę ci.

— Nie mówię o schroniskach — zaprotestował z niejakim oburzeniem. — Nie mówię o Zbawczej Armii. Wole spać na ulicy niż w takim miejscu. Brudni starzy faceci kaszlom i pier-dzom całom noc i zaczepiajom cie w kiblu.

W końcu dałem mu piętnaście funtów i odprowadziłem go na dół. W bramie podziękował mi nonszalancko, postawił kołnierz

154

ita»

i poczłapał w stronę Trafalgar Square. Bardzo wątpię, żeby wydał te pieniądze na nocleg — miałby za nie żarcie i tytoń przez dwa albo trzy dni — ale uspokoilem swoje sumienie. Chyba.

Kiedy się kładłem do łóżka, przyszło mi na myśl, żeby spróbować rozwiązać zagadkę „protona” za pomocą słownika, który trzymam w mieszkaniu. Są w nim również nazwiska sławnych ludzi, i faktycznie, znalazłem go, ale nigdy o nim nie słyszałem: Proudhon, Pierre Joseph. 1809-65, socjalista francuski, który w broszurze Co to jest własność (1840) stwierdził, że własność jest kradzieżą. I co wy na to?

Niezwykłe opowieści o Kolejach Brytyjskich Odcinek 167 Napisał „Interpasażer”

Od kilku miesięcy schody ruchome między podziemnym postojem taksówek i główną halą dworca Euston są nieczynne. Przedtem były regularnie w remoncie. Na kilka tygodni zasłaniano je dużymi ekranami z dykty i pasażerowie, czy też „klienci”, jak Kolej Brytyjskie nas dziś nazywają, wspinając się po schodach awaryjnych z bagażem, dziećmi, wózkami, sędziwymi i niedołącznymi krewnymi etc., etc., słyszeli zza tej barykady huki i brzęki towarzyszące zmaganiom monterów z cierpiącą na obstrukcję maszynierią. Potem ekrany usuwano, schody działały przez parę dni i znów się psuły. Ostatnim razem już je tak zostawiono, zatrzymane w połowie cyklu, i nie widać, by robiono cokolwiek, aby je naprawić. Z typowym brytyjskim stoicyzmem pasażerowie używają ich jak zwykłych stałych schodów, choć ze względu na wysokość stopni jest to niewygodne. Gdzieś jest winda, ale żeby z niej skorzystać, trzeba

155

f

i poczłapał w stronę Trafalgar Square. Bardzo wątpię, żeby wydał te pieniądze na nocleg — miałby za nie żarcie i tytoń przez dwa albo trzy dni — ale uspokoilem swoje sumienie. Chyba.

Kiedy się kładłem do łóżka, przyszło mi na myśl, żeby spróbować rozwiązać zagadkę „protona” za pomocą słownika, który trzymam w mieszkaniu. Są w nim również nazwiska sławnych ludzi, i faktycznie, znalazłem go, ale nigdy o nim nie słyszałem: Proudhon, Pierre Joseph. 1809-65, socjalista francuski, który w broszurze Co to jest własność (1840) stwierdził, że własność jest kradzieżą. I co wy na to?

izftftizizizizikftizii

Niezwykłe opowieści o Kolejach Brytyjskich Odcinek 167 Napisał „Interpasażer”

Od kilku miesięcy schody ruchome między podziemnym postojem taksówek i główną halą dworca Euston są nieczynne. Przedtem były regularnie w remoncie. Na kilka tygodni zasłaniano je dużymi ekranami z dykty i pasażerowie, czy też „klienci”, jak Kolej Brytyjskie nas dziś nazywają, wspinając się po schodach

awaryjnych z bagażem, dziećmi, wózkami, sędziwymi i niedołączonymi krewnymi etc., etc., słyszeli zza tej barykady huki i brzęki towarzyszące zmaganiom monterów z cierpiącą na obstrukcję maszynerią. Potem ekrany usuwano, schody działały przez parę dni i znów się psuły. Ostatnim razem już je tak zostawiono, zatrzymane w połowie cyklu, i nie widać, by robiono cokolwiek, aby je naprawić. Z typowym brytyjskim stoicyzmem pasażerowie używają ich jak zwykłych stałych schodów, choć ze względu na wysokość stopni jest to niewygodne. Gdzieś jest winda, ale żeby z niej skorzystać, trzeba

155

f

mieć bagażowego, a na postoju taksówek nie sposób ich znaleźć.

Niedawno u stóp sparaliżowanej maszyny pojawiło się drukowane obwieszczenie:

DOBRA WIADOMOŚĆ Nowe schody ruchome dla Euston

X.

Przepraszamy, te schody są nieczynne. Zakończyły swój żywot [sic]. Złożono zamówienie na wykonanie i zainstalowanie nowych. Będą gotowe do użytku najpóźniej w sierpniu 1993 roku.

Kierownik działu informacji

Czwartek wieczór, 4 marca. Zjadłem z Jakiem lunch u Groucha. Obciągnęliśmy dwie butelki Beaujolais Villages, co było miłe, ale skończyło się nie najlepiej. Pojechałem taksówką prosto na Euston i mając trochę czasu, przepisałem obwieszczenie naklejone u stóp zepsutych schodów. Zataczałem się lekko i chichotałem pod nosem, przyciągając zdziwione spojrzenia pasażerów, którzy mijali mnie pospiesznie i atakowali stalową ścieżkę zdrowia. „Zakończyły swój żywot”. Podoba mi się to zdanie. Mogłoby być hasłem reklamowym Kolei Brytyjskich w dobie prywatyzacji, zamiast obecnego „Dojedziesz z nami wszędzie”.

W pociągu usnąłem i obudziłem się skacowany, gdy ruszaliśmy ze stacji Rummidge Expo. Dojrzałem na parkingu bur-żuczochód; jego perłowy lakier bielił się w świetle lamp łukowych. Na Rummidge Centrum musiałem czekać pół godziny na pociąg w przeciwnym kierunku i pokręciłem się trochę po dworcowym pasażu handlowym. Witryny były w większości oblepione plakatami WYPRZEDAŻ albo odsłaniały puste i zakurzone wnętrza, skorupy zlikwidowanych sklepów. Kupiłem wieczorną gazetę. „900 000 BEZROBOTNYCH URZĘDNIKÓW”, straszyl jeden nagłówek. „MAJOR ROZPRAWIA SIĘ

156

Z PANIKARZAMI”, pocieszał drugi. Z ukrytych głośników sączył się kojący muzak.

Schodzę do mrocznych katakumb peronu i dowiaduję się, że mój pociąg jest opóźniony. Czekający pasażerowie siedzą przygarbieni, z rękami w kieszeniach, na drewnianych ławkach, patrząc tęsknie ku wylotowi tunelu, gdzie jarzy się czerwone światło semafora, ich oddechy gęstnieją w zimnym, wilgotnym

powietrzu. Nosowy głos przeprosza za opóźnienie, „które powstało w wyniku problemów technicznych”. Zakończyły swój żywot.

Jake widział się we wtorek z Samanthą. „Bystra dziewczyna — powiedział. — Dzięki, że ją do mnie przysłałeś”. „Wcale jej nie przysyłałem — odparłem. — Przeciwnie, ostrzegłem ją, że brak ci jakichkolwiek zasad moralnych”. Wybuchnął śmiechem. „Nie martw się, nie jest w moim typie. W ogóle nie ma kostek. Zauważyłeś?” „Raczej nie — przyznałem. — Nigdy nie zjechałem tak nisko”. „Nogi są dla mnie bardzo ważne — stwierdził Jake. — Weź na przykład uroczą Lindę”. Wygłosił kilkuminutową przemowę na temat nóg swojej nowej sekretarki, świszczących i błyskających w czarnych nylonowych rajstopach pod jej spódniczką wielkości chustki do nosa niczym ostrza nożyczek. „Będę ją miał — powiedział. — To tylko kwestia czasu”. Rozpiliśmy już wtedy drugą butelkę. Zapytałem, czy nie miewa wyrzutów sumienia z powodu swoich romansów.

JAKE: Ależ oczywiście. I w tym rzecz. W tym cały urok. Urok zakazanego. Posłuchaj, opowiem ci pewną historię. (JAKE dolewa wina TUBBY'EMU, a potem sobie.) Zdarzyło się to zeszłego lata. Którejś niedzieli siedziałem po południu w ogrodzie, przeglądając gazety — Rhoda była w domu i robiła coś w kuchni — a po sąsiedzku bawiły się dzieci. Dzień był gorący i miały taki nadmuchiwany basen. Do sąsiadów przyjechali jacyś znajomi czy krewni, więc w sumie byli tam dwaj chłopcy

157

i dwie dziewczynki z grubsza w tym samym wieku, od czterech do sześciu lat, jak sądzę. Nie widziałem ich, bo ogródki oddziela żywopłot, ale słyszałem aż za dobrze. Wiesz, jak woda podnieca dzieciaki — robią jeszcze większy hałas niż zwykle. Cały czas dochodziły mnie krzyki, piski i chlupotanie. W końcu się wkurzyłem. Nie mieliśmy zeszłego lata zbyt wielu weekendów, kiedy było dostatecznie ciepło, żeby siedzieć na dworze, a tutaj psuje mi się mój święty dzień odpoczynku. Więc wstałem z łóżka i podszedłem do żywopłotu, zamierzając spytać, czy nie mogą się trochę przymknąć. I nagle usłyszałem, jak jedna z dziewczynek mówi, bez wątplenia do jednego z chłopców: „Nie wolno wam ściągać nam majtek”. Odezwała się bardzo dźwięcznym, eleganckim głosem — młodociana Samantha opisująca jakąś zasadę w krokiecie. „Nie wolno wam ściągać nam majtek”. Po prostu mnie ściąło. Musiałem zatkać sobie usta, żeby nie roześmiać się głośno. Oczywiście uwaga tej małej była całkowicie asekualna. Ale dla mnie podsumowywała całą sprawę. Świat jest pełen atrakcyjnych kobiet i nie wolno ci ściągać im majtek — chyba że się z którąś ożenisz, a wtedy to żadna zabawa. Czasami jednak masz szczęście i dostajesz pozwolenie. Oczywiście za każdym razem jest tak samo, bo pod majtkami jest ta sama stara dziura. Ale jest też inaczej, z powodu majtek. „Nie wolno wam ściągać nam majtek”. To mówi wszystko. (JAKE wysącza wino.)

itftiiiiziZiSiS-frar-fyZi!!

Piętek wieczór, 5 marca. Po południu do Wellbeing na akupunkturę. (Zaśpiewaj, do pierwszych taktów Jealousy: „Terapia! Nic tylko terapia! Nigdy nie ustaje, a ile wydaję...”) Nawet czuję się dziś wieczorem trochę lepiej, ale nie wiem, czy dzięki zabiegowi, czy dzięki temu, że nie piłem alkoholu. Panna Wu

potraktowała mnie dziś ciepłem, zamiast jak zwykle igłami. Kładzie w punktach akupunktury jakieś ziarenka, które przypominają trociczki, i przystawia do nich, pojedynczo, zapa-

158

ft . -

loną świeczkę. Rozżarzają się do czerwoności i wypuszczają smutki lekko perfumowanego dymu. Czuję się wtedy jak żywe kadzidełko. Chodzi tu o to, że w miarę spalania wzrasta temperatura i powstaje efekt podobny do nakłucia igłą, ale panna Wu musi zdejmować ziarenka szczypczykami, zanim mnie poparzą. Muszę jej mówić, kiedy uczucie ciepła staje się bolesne, bo inaczej z zapachem kadzidła miesza się swąd przypalonego ciała. Jest to dość emocjonujące.

Panna Wu spytała mnie o rodzinę i uświadomiłem sobie z zakłopotaniem, że od poprzedniej wizyty nie przybyły mi żadne wiadomości. Pamiętam mgliście, że parę dni temu Sally rozmawiała z Jane przez telefon i coś mi przekazywała, ale nie dotarło do mnie, o co chodzi, a wstydziłem się zapytać ją później, bo wciąż jest na mnie wkurzona o tę historię z Websterami. Obawiam się, że trochę ją ostatnio zaniedbuję. Czytałem dużo Kierkegarda i jego biografię pióra Waltera Lowriego. Pisanie tego dziennika również pochłania mnóstwo czasu. (Nie wiem, jak długo będę w stanie go ciągnąć w tym tempie — zdumiewające, jak już się rozrósł.) Dzienniki Kierkegarda, w ich kompletnej, nieopublikowanej formie, dochodzą podobno do dziesięciu tysięcy stron. Kupiłem na Charing Cross Road wydanie skrócone w paperbacku. Na początku jest fragment, który odebrał mi mowę. Kierkegard poszedł do lekarza i zapytał, czy melancholię można przezwyciężyć siłą woli. Lekarz odparł, że w to wątpi i że mogłoby być niebezpiecznie nawet próbować. Kierkegard pogodził się więc z życiem w depresji:

W tym momencie dokonałem wyboru. To ciężkie kalectwo z wszelkimi towarzyszącymi mu cierpieniami (które niewątpliwie pchnęłyby większość ludzi do samobójstwa, gdyby tylko zostało im dość ducha) jest tym, co uznałem za oścień dla ciała, moje ograniczenie, mój krzyż...

Oścień dla ciała! I co wy na to?

159

Soren Kierkegaard. Już samo imię i nazwisko na stronie tytułowej przyciąga uwagę i intryguje. Wygląda dla angielskiego oka tak osobliwie, tak cudzoziemsko — niemal pozaziemsko. To dziwaczne „o” z kreseczką mogłoby należeć do jakiegoś sztucznego alfabetu wymyślonego przez pisarza science fiction. Podwójne „a” w nazwisku wydaje się równie egzotyczne. Nie ma chyba w angielskim żadnego rodzimego słowa z dwoma kolejnymi „a” i niewiele jest też takich zapożyczeń. Zawsze drażnili mnie idioci, którzy zamieszczają w prasie ogłoszenia zaczynające się od bezsensownego rzędu liter „a”, powiedzmy: AAAA Escort na sprzedaż, 50 tys. mil, 3 tys. funtów lub inne oferty. To oszukaństwo. Powinno się tego zabronić i

wtedy ludzie musieliby ruszyć wyobraźnię. Spojrzałem przed chwilą na pierwszą stronę słownika: aa, aardvark, Aarhus... Aa to hawajskie słowo na określenie pewnego rodzaju skały wulkanicznej, a aardvark jest nocnym ssakiem zjadającym termity. Piszą, że jego nazwa pochodzi z języka afrikaans. Aardvarkowoszarzy Escort na sprzedaż — takie ogłoszenie rzucałoby się w oczy. (Zakładam, że wszystkie aardvarki są w nocy szare.)

Kiedy już zaczniesz wertować słowniki, nigdy nie wiesz, dokąd cię to zaprowadzi. Zauważyłem, że Aarhus, nazwa portu w Danii, ma oboczną pisownię Århus. Dalsze poszukiwania ujawniły, że właśnie tak podwójne „a” jest zapisywane we współczesnej duńszczyźnie, jako jedno „a” z małym kółkiem na górze. Gdyby więc Kierkegaard żył teraz, pisałby się Kier-kegård. Jeszcze bardziej wstrząsnęło mną odkrycie, że cały czas wymawiałem jego imię i nazwisko źle. Myślałem, że należy mówić Soren Kirkegard. Guzik. Podobno „o” wymawia się jak „eu” we francuskim deux, Kier to Kirg, z dźwięcznym „g”, „aa” brzmi jak długie „o”, a „d” jest nieme. W sumie wychodzi z tego Seuren Kirgegor. Chyba będę się trzymał wymowy angielskiej.

160

To małe kółko nad literą „a” z czymś mi się kojarzy, ale za skarby świata nie mogę sobie przypomnieć z czym. Frustrujące. Oświeci mnie któregoś dnia, kiedy nie będę o tym myślał.

Czytam też Powtórzenie, które ma podtytuł Próba psychologii eksperymentalnej. Dziwaczna książka. Zresztą wszystkie są dziwaczne. Każda jest inna, ale pojawiają się w nich te same tematy i obsesje: zaloty, uwiedzenie, niezdecydowanie, poczucie winy, depresja, rozpacz. Powtórzenie ma następnego niby-autora, Constantina Constantiusa, który jest przyjacielem i powiernikiem jakiegoś bezimiennego młodzieńca i przypomina trochę A z Albo-albo. Młodzieniec zakochuje się w dziewczynie, ta odwzajemnia jego uczucie i dochodzi do zaręczyn. Ale zamiast być szczęśliwy, facet natychmiast wpada w głęboką depresję (Constantius nazywa ją „melancholią” jak Kierkegaard w swoich dziennikach). Tę reakcję wywołuje fragment wiersza (młodzieniec sam ma ambicje zostać poetą), który zaczyna mu chodzić po głowie:

Sny młodości z daleka wróciły Do mego domu

Znowu tęsknię za Tobą, mój miły Dziewczęcy promieniu!*

Młodzieniec jest klasycznym przypadkiem najniezszczęśliwszego. Zamiast żyć terazniejszością, cieszyć się z zaręczyn, wspomina przyszłość; to znaczy wyobraża sobie, że spogląda na swą młodzieńczą miłość z punktu widzenia pozbawionej złudzeń starości, jak podmiot liryczny wiersza, i dochodzi do

* S. Kierkegaard, Powtórzenie, tłum. B. Świdorski, Fundacja ALETHEIA, Warszawa 1992, s. 54. Wszystkie pozostałe cytaty pochodzą z tego samego wydania.

161

wniosku, że nie ma sensu się żenić. Był głęboko i prawdziwie zakochany — to oczywiste — a przecież od

razu, prawie od pierwszego dnia gotów był wspominać swoją miłość. W istocie zakończył już ten związek, gdyż wspominając, dokonał strasznego czynu: przeskoczył życie*. Jest to cudownie obłąkany, ale jednocześnie całkowicie realny sposób, żeby zniszczyć swoje szczęście. Constantius mówi tak: Oto tęskni za dziewczyną, zmusza się, by nie siedzieć u niej całymi dniami — a przecież od pierwszej chwili jest starcem w tym związku. [...] Był nieszczęśliwy, to jasne, i nie mniej jasne było, że dziewczyna też jest nieszczęśliwa**. Młodzieniec stwierdza, że dla dobra dziewczyny musi z nią zerwać. Ale jak ma to zrobić, by nie poczuła się odrzucona?

Constantius radzi mu, aby udał, że ma kochankę — ulokował w wynajętym mieszkaniu jakąś pannę sklepową i stworzył pozory, że ją odwiedza — a wtedy narzeczona poczuje do niego pogardę i sama zerwie zaręczyny. Młodzieniec przyjmuje tę radę, ale w ostatniej chwili braknie mu tupetu, żeby wcielić ją w życie, i po prostu znika z Kopenhagi. Po jakimś czasie zaczyna pisać do Constantiusa listy, w których analizuje swoje postępowanie i uczucia wobec dziewczyny Oczywiście wciąż ma na jej punkcie obsesję. Staje się nieszczęśliwym wspominaczem. Co teraz robię? Zaczynam od początku, a potem zaczynam od końca. Uciekam od każdego przez świat przebudzonego wspomnienia, podczas gdy moja dusza nieprzerwanie, w dzień i w nocy, na jawie i we śnie, zajmuje się wspomnianiem***. Identyfikuje się z Hiobem. (Sprawdziłem Hioba w Biblii. Naturalnie słyszałem o facecie, ale nigdy nie czytałem Księgi Hioba. Zdziwiłem się, jaka jest ciekawa — wręcz pasjonująca.) Jak Hiob młodzieniec lamentuje nad swoim nieszczęściem (Moje życie dobiegło kresu, nie potrafię znieść egzystencji,

* Ibid., s. 54.

" Ibid., s. 54.

*** Powtórzenie, s. 106-107.

162

ii

która jest bez soli i sensu*), ale podczas gdy Hiob wini Boga, on w Boga nie wierzy, więc nie bardzo wie, czyja to wina: W jaki sposób stałem się udziałowcem w przedsiębiorstwie zwanym Rzeczywistością? Dlaczego mam być udziałowcem? Czy nie jest to dobrowolne? A w przeciwnym razie, gdzie jest przewodniczący?** Marzy o jakimś odradzającym przeżyciu lub objawieniu, o „burzy” jak ta, która przychodzi pod koniec Księgi Hioba, kiedy Bóg naprawdę wyżywa się nad Hiobem, w sumie mówiąc do niego: „Potrafisz zrobić to co ja? Bo jak nie, to siedź cicho”. Hiob kapitułuje i Bóg go wynagradza, dając mu dwa razy tyle owiec, wielbłądów i oślic, ile miał przedtem. Hiob został pobłogosławiony i wszystko otrzymał podwójnie — mówi młodzieniec. — To się nazywa powtórzenie***. Potem czyta w gazecie, że dziewczyna wyszła za kogoś innego, i pisze do Constantiusa, że ta wiadomość wyzwoliła go z obsesji: Znowu jestem sobą. [...] Rozdarcie, które trapiło mą duszę — uleczone. Znowu jestem jednością. [...] Czy nie jest to powtórzenie? Czyż nie dostałem wszystkiego podwójnie? Czy nie otrzymałem siebie z powrotem — w taki sposób, że podwójnie to odczuwam?**** Jego ostatni list kończy radosne podziękowanie dziewczynie i ekstatyczne oddanie się życiu duchowemu:

Najpierw toast: za tę, która uwolniła moją duszę zamkniętą w samotności rozpaczy! Chwalmy kobietą

wielkoduszność! Niechaj żyje ruch myśli! Niech żyje przygoda w służbie idei! Niech żyją trudy walki! Niech żyje karnawałowy zgiełk zwycięstwa! Niechaj żyje taniec w chaosie nieskończoności! Niech żyje ruch fal niosących mnie w przepaść, niechaj żyje ruch fal wznoszących mnie ku gwiazdom!*****

* Ibid., s. 111.

" Ibid., s. 111-112.

Ibid., s. 122.

"" ibid., s. 129.

»»»»» powtórzenie, s. 130.

163

która jest bez soli i sensu *), ale podczas gdy Hiob wini Boga, on w Boga nie wierzy, więc nie bardzo wie, czyja to wina: W jaki sposób stałem się udziałowcem w przedsiębiorstwie zwanym Rzeczywistością? Dlaczego mam być udziałowcem? Czy nie jest to dobrowolne? A w przeciwnym razie, gdzie jest przewodniczący? ** Marzy o jakimś odradzającym przeżyciu lub objawieniu, o „burzy” jak ta, która przychodzi pod koniec Księgi Hioba, kiedy Bóg naprawdę wyżywa się nad Hiobem, w sumie mówiąc do niego: „Potrafisz zrobić to co ja? Bo jak nie, to siedź cicho”. Hiob kapituluje i Bóg go wynagradza, dając mu dwa razy tyle owiec, wielbłądów i oślic, ile miał przedtem. Hiob został pobłogosławiony i wszystko otrzymał podwójnie — mówi młodzieniec. — To się nazywa powtórzenie***. Potem czyta w gazecie, że dziewczyna wyszła za kogoś innego, i pisze do Constantiusa, że ta wiadomość wyzwoliła go z obsesji: Znowu jestem sobą. [...] Rozdarcie, które trapiło mą duszę — uleczone. Znowu jestem jednością. [...] Czy nie jest to powtórzenie? Czyż nie dostałem wszystkiego podwójnie? Czy nie otrzymałem siebie z powrotem — w taki sposób, że podwójnie to odczuwam?**** Jego ostatni list kończy radosne podziękowanie dziewczynie i ekstatyczne oddanie się życiu duchowemu:

Najpierw toast: za tę, która uwolniła moją duszę zamkniętą w samotności rozpaczy! Chwalmy kobietą wielkoduszność! Niechaj żyje ruch myśli! Niech żyje przygoda w służbie idei! Niech żyją trudy walki! Niech żyje karnawałowy zgiełk zwycięstwa! Niechaj żyje taniec w chaosie nieskończoności! Niech żyje ruch fal niosących mnie w przepaść, niechaj żyje ruch fal wznoszących mnie ku gwiazdom!*****

'Ibid., s. 111.

** Ibid., s. 111-112.

*** Ibid., s. 122.

**** ibid., s. 129.

***** Powtórzenie, s. 130.

Jeśli wie się cokolwiek o życiu Kierkegaarda, a ja już trochę wiem, łatwo zauważyć, że ta historia bardzo przypomina jego własne przeżycia. Wkrótce po tym, jak zaręczył się z Reginą, zaczął mieć wątpliwości, czy — zważywszy na jego usposobienie — będą ze sobą szczęśliwi. Więc zerwał zaręczyny, mimo że nadal był w dziewczynie zakochany, a ona nadal była zakochana w nim i błagała, żeby tego nie robił, podobnie jak jej ojciec. Wyjechał na jakiś czas do Berlina, gdzie napisał Albo--albo, które było długimi, okrężnymi przeprosinami i wyjaśnieniem motywów jego postępowania z Reginą. Stwierdził później, że napisał tę książkę dla niej i że w szczególności Dziennik uwodziciela miał „jej pomóc odepchnąć łódkę od brzegu”, czyli zerwać uczuciową więź z nim, a to dzięki sugestii, że jeśli ktoś jest zdolny stworzyć postać Johannesesa, sam musi być zimnokrwistym, samolubnym draniem. Można by powiedzieć, że Kierkegaard piszący Dziennik uwodziciela to młodzieniec z Powtórzenia udający, że ma kochankę. Ale kiedy skończył Albo-albo, zaraz zaczął pracować nad Powtórzeniem, przedstawiając ten sam temat w opowieści, która dużo wierniej odbijała jego własne przeżycia. I gdy po powrocie do Kopenhagi odkrył, że Regina zaręczyła się z kimś innym, czy się ucieszył? Czy poczuł się wyzwolony i zjednoczony ze sobą jak bohater Powtórzenia? Akurat. Był zdruzgotany. Jest w dziennikach fragment, który niewątpliwie opisuje jego uczucia w tym okresie: Najstraszniejsza rzecz, jaka może człowieka spotkać, to stanie się śmiesznym we własnych oczach w kwestii zasadniczej wagi, stwierdzenie, na przykład, że sama istota i treść jego uczuć jest bzdurą. Najwyraźniej skrycie lub podświadomie żywił nadzieję, że jego decyzja o zerwaniu zaręczyn w jakiś cudowny sposób sama się odwróci i że jednak poślubi Reginę. Kiedy płynął do Niemiec, w drodze do Berlina, zanotował: Choć jest to nieroztropne, bo mąci mi spokój ducha, nie potrafię przestać myśleć o tej nieopisanej chwili, gdy być może do niej wrócę.

O takie powtórzenie mu chodziło: że dostanie Reginę dwa razy. Jak Hiob zostanie pobłogosławiony i otrzyma wszystko w dwójnasób. Dowiedział się o jej nowych zaręczynach podczas pisania Powtórzenia i podarł pierwotne zakończenie.

Tak więc całe to górnolotne trucie o kobiecej wielkoduszności i chaosie nieskończoności miało mu pomóc pogodzić się z faktem, że Regina przeniosła uczucia na kogoś innego, pomóc dostrzec w tym triumf i usprawiedliwienie własnego postępowania, a nie obnażenie szaleństwa. Nie udało mu się. Nie przestał jej kochać ani myśleć i pisać o niej (bezpośrednio i pośrednio) do końca życia i umierając, zostawił jej w testamencie wszystko, co posiadał (nie było tego wiele, ale liczy się intencja). Co za głupiec! Ale jakże sympatyczny, głęboko ludzki głupiec.

Powtórzenie to typowy intrygujący, drażniący kierkegaardowski tytuł. Przeciętny człowiek uważa powtórzenie za nudne z definicji i stara się go unikać. W tej książce jest ono jednak przedstawione jako coś niesamowicie cennego i godnego pożądania. Może oznaczać odzyskanie czegoś, co wydaje się stracone: dobrobyt Hioba, wiara młodzieńca w siebie. Ale jego drugie znaczenie to radość z tego, co masz. Powtórzenie jest równoznaczne z życiem teraźniejszością, ...przynosi błogosławioną pewność chwili*. Oznacza uwolnienie się od przekleństwa nieszczęśliwego żywienia nadziei i nieszczęśliwego

wspominania. Gdy nadzieja jest śliczną, wymykającą się z rąk dziewczyną, a wspomnienie miłą, choć nieco niedołążną staruszką, powtórzenie pozostaje ukochaną, zawsze pociągającą żoną**.

Przyszło mi na myśl, że można odwrócić tę ostatnią metaforę: nie powtórzenie jest ukochaną żoną, lecz ukochana żona

* Powtórzenie, s. 50.

** Ibid., s. 50.

165

(lub ukochany mąż) powtórzeniem. Aby docenić prawdziwą wartość małżeństwa, należy odrzucić powierzchowne rozumienie powtórzenia jako czegoś nudnego i negatywnego i przeciwnie, zobaczyć w nim coś wyzwalającego i pozytywnego — ni mniej, ni więcej, tylko tajemnicę szczęścia. Właśnie dlatego B w Albo-albo zaczyna swój atak na estetyczną filozofię życia A (i melancholię, która się z nią wiąże) od obrony małżeństwa i namawiania A, by się ożenił. (Robi się to ekscytujące: nie ruszałem tak głową od lat, jeśli w ogóle.)

Weźmy na przykład seks. Seks małżeński jest powtórzeniem. Element podobieństwa przeważa wszelkie różnice, jakie mogą wystąpić między poszczególnymi aktami. Z iloma pozycjami byś eksperymentował, ilu erotycznych technik, gier, gadżetów i pomocy wizualnych byś użył, fakt, że kochasz się z tą samą osobą powoduje, że każdy akt jest w swej esencji (egzystencji?) taki sam. I jeśli nasze doświadczenia (to znaczy Sally i moje) mogą być w tym względzie miarodajne, większość par ustala w końcu jakiś łóżkowy schemat, który odpowiada obojgu partnerom, i raz za razem go powiela. Ile aktów seksualnych spełnia się w długoletnim związku? Tysiące. Jedne są bardziej satysfakcjonujące, inne mniej, ale czy ktokolwiek pamięta każdy z osobna? Nie, we wspomnieniach zlewają się ze sobą. Właśnie dlatego tacy kobieciarze jak Jake myślą, że seks małżeński jest z definicji nudny. Obstają przy seksualnej różnorodności i z czasem środki uzyskiwania tej różnorodności stają się dla nich ważniejsze od samego aktu. Za istotę seksu uważają oczekiwanie, konspirowanie, planowanie, pożądanie, uwodzenie, sekretność, kłamstwa i schadzki. Nie umawiasz się na schadzki z własną żoną, bo i po co. Masz seks pod ręką, możesz się nim cieszyć, kiedy zechcesz; a jeśli druga osoba z jakiegoś powodu nie ma akurat ochoty, na przykład jest zmęczona, ma katar albo woli oglądać telewizję, nic nie szkodzi, będzie jeszcze mnóstwo okazji. Najcudowniejsze w seksie

166

małżeńskim (zwłaszcza w seksie późnym, poklimakteryjnym, kiedy ma się już z głowy problem antykoncepcji) jest to, że nie trzeba o nim bez przerwy myśleć. Podejrzewam, że Jake myśli o nim nawet podczas rozmów z klientami i sporządzania umów; prawdopodobnie nie myśli o seksie wyłącznie wtedy, kiedy go uprawia (ponieważ orgazm jest czymś w rodzaju wyzwolenia, na chwilę opróżnia umysł z

wszelkiej treści), ale założę się, że jak tylko tryśnie, zaczyna o nim myśleć od nowa.

To samo odnosi się do innych rzeczy: pracy, zabawy, posiłków, czego tylko. W małżeństwie wszystko jest powtórzeniem. Im dłużej ze sobą żyjecie, tym mniej się zmieniacie i tym więcej powtórzeń wkrada się w codzienność. Znacie nawzajem swoje poglądy, myśli, zwyczaje: kto śpi po której stronie łóżka, kto pierwszy wstaje rano, kto pije przy śniadaniu kawę, a kto herbatę, kto najpierw czyta w gazecie wiadomości, a kto recenzje i tak dalej. Coraz rzadziej potrzebujecie się do siebie odzywać. Dla osób z zewnątrz wygląda to na znudzenie i obojętność. W restauracji zawsze można poznać, którzy ludzie są małżonkami, bo jedzą w milczeniu. Ale czy to oznacza, że źle się czują w swoim towarzystwie? Wcale nie. Po prostu zachowują się tak jak w domu, jak zachowują się cały czas. Nie chodzi o to, że nie mają sobie nic do powiedzenia, tylko że nic nie musi zostać powiedziane. Bycie szczęśliwie żonatym lub szczęśliwie zamężną oznacza, że nie musisz odgrywać małżeństwa, po prostu w nim żyjesz, jak ryba żyje w morzu. To niesamowite, że Kierkegaard intuicyjnie to rozumiał, chociaż sam nigdy nie był żonaty i odrzucił szansę doświadczenia tego osobiście.

Sally przyszła przed chwilą do gabinetu i powiedziała, że chce separacji. Twierdzi, że mówiła mi o tym wcześniej, kiedy jedliśmy kolację, ale jej nie słucałem. Tym razem słucałem, ale nie mieści mi się to w głowie.

167

CZĘŚĆ DRUGA

m

w

Brett Sutton

Świadek

Michael Brett SUTTON

Wiek., Zawód Adres.

ponad 21 lat nauczyciel tenisa

Upton Road 41, RUMMIDGE R27 9LP

Niniejsze oświadczenie, złożone z pięciu stron osobiście przeze mnie podpisanych, jest prawdziwe zgodnie z moją najlepszą wiedzą i przekonaniem i składam je świadom, iż jeśli zostanie przedstawione jako dowód, będę podlegał ściganiu sądowemu, gdybym rozmyślnie zeznał coś, o czym wiem, iż jest fałszem, lub czego nie uważam za prawdę.

Data: 21 marca 1993.

Po raz pierwszy zauważyłem, że pan Passmore zachowuje się wobec mnie dziwnie około dwóch tygodni temu. Od kilku miesięcy uczę jego żonę, ale jego samego znam słabo, mówię mu „dzień dobry”, kiedy spotkamy się w klubie, ale to wszystko. Nigdy go nie uczyłem. Od pani Passmore wiem, że cierpi na kontuzję kolana, która nie dała się usunąć operacyjnie i poważnie mu przeszkadza w uprawianiu tenisa. Widziałem parę razy, jak gra z nogą w szynie, i uważam, że jak na tę sytuację, radził sobie zupełnie nieźle, ale zapewne bardzo go frustruje to, że nie jest w stanie swobodnie poruszać się po korcie. Może właśnie dlatego wbił sobie do głowy ten obłąkany pomysł.

171

Jeśli lubisz sport, nie ma nic gorszego od długotrwałej kontuzji. Wiem — sam to przechodziłem: problemy z chrząstkami, zapalenie ścięgna, co tylko. Naprawdę łatwo się podłamać. Świat wygląda szaro, masz wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie. Jeśli dojdą do tego jakieś kłopoty osobiste, możesz pęknąć. Pan Passmore nie jest żadnym wyczynowcem, ale jak rozumiem, sport wiele dla niego znaczy. Pani Passmore mówiła mi, że przedtem bardzo często z nim grała, ale teraz nie chce, bo on nie może znieść, jak ona wygrywa, ale narzeka, jeśli daje wygrać jemu. Prawdę powiedziawszy, mogłaby go teraz pokonać, nawet gdyby nie był kontuzjowany: zrobiła ostatnio duże postępy. Dawałem jej dwie lekcje tygodniowo przez całą zimę.

Po raz pierwszy pan Passmore zachował się wobec mnie dziwnie w męskiej szatni, jakieś dwa tygodnie temu, ale wtedy prawie nie zwróciłem na to uwagi. Dopiero z perspektywy czasu ten incydent wydaje mi się znaczący. Zdejmowałem strój, żeby wejść pod prysznic, przypadkiem podniosłem głowę i zobaczyłem pana Passmore a, który gapił się na mnie. Był całkowicie ubrany. Kiedy napotkał mój wzrok, odwrócił się i zaczął majstrować przy zamku swojej szafki. Zupełnie bym to zlekceważył, gdyby nie fakt, że pan Passmore ewidentnie patrzył na moje genitalia. Nie powiem, że coś takiego nigdy mi się nie zdarzyło, ale żeby pan Passmore? Zastanawiałem się nawet, czy nie miałem jakiegoś omamu, to był dosłownie moment. Tak czy inaczej, szybko zapomniałem o całej sprawie. Kiedy kilka dni później, wieczorem, miałem z panią Passmore lekcję na jednym z krytych kortów, zjawił się tam pan Passmore. Usiadł na końcu sali i zaczął nas obserwować zza siatki. Pomyślałem, że umówił się z żoną w klubie i przyszedł za wcześnie. Uśmiechnąłem się do niego, ale nie odwzajemnił uśmiechu. Pani Passmore wyraźnie się spieszyła. Zaczęła popełniać błędy, nie trafiała w piłkę. W końcu podeszła do męża

i porozmawiała z nim przez siatkę. Domyśliłem się, że go prosi, aby sobie poszedł, ale on tylko potrząsnął głową i uśmiechnął się tak jakoś szyderczo. Pani Passmore wróciła do mnie i powiedziała, że jest jej przykro, ale musi przerwać lekcję. Wyglądała na złą i zdenerwowaną. Nalegała, żebym policzył jej za całą godzinę, chociaż graliśmy tylko pół. Wyszła z kortu, nie spojrzawszy na pana Passmorea, który dalej siedział na ławce, zgarbiony, z rękami w kieszeniach płaszcza. Było mi trochę głupio, kiedy go mijałem w drodze do wyjścia. Zrozumiałem, że się pokłócili, ale w ogóle nie podejrzewałem, że miało to coś wspólnego ze mną.

Kilka dni później zaczęły się głuche telefony. Nikt nie odpowiadał na moje „halo” i po chwili słyszałem trzask odkładanej słuchawki. Dzwoniono do mnie o różnych porach, czasami w środku nocy. Zgłosiłem to BT*, ale stwierdzili, że nie mogą mi pomóc. Poradzili, żebym wyłączył na noc aparat w sypialni, co też zrobiłem, zostawiając na dole włączoną sekretarkę. Nazajutrz były na niej zarejestrowane dwa telefony, ale bez wiadomości. Pewnego wieczoru koło dziewiątej odebrałem telefon i jakiś piskliwy falset zapytał: „Czy mogę prosić Sally? Mówi jej matka”. Odpartem, że to chyba pomyłka. Kobieta jakby mnie nie usłyszała i jeszcze raz poprosiła Sally, dodając, że to pilne. Powiedziałem, że nie ma u mnie żadnej Sally. Nie skojarzyłem sobie tego z panią Passmore, mimo że jesteśmy po imieniu. I chociaż głos brzmiał dość dziwnie, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że należał do mężczyzny.

Potem obudził mnie pewnej nocy jakiś hałas. Wiecie, jak to jest: zanim całkiem oprzytomniejesz, hałas ustaje i nie masz pojęcia, skąd dochodził ani czy ci się po prostu nie przyśnił. Włożyłem dres, bo sypiam nago, i szedłem na dół, ale nie zauważyłem żadnych śladów, które świadczyłyby o tym, że ktoś

* British Telecom - kompania telefoniczna.

próbował się włamać. Z zewnątrz dobiegł mnie odgłos zapalania silnika i kiedy otworzyłem frontowe drzwi, zobaczyłem biały samochód znikający za rogiem ulicy. To znaczy wydawał się biały w świetle latarni, ale mógł być srebrny. Widziałem go za krótko, żeby rozpoznać markę. Nazajutrz odkryłem, że ktoś był w ogródku za domem. Dostał się tam przez boczną furtkę i przewrócił kilka szyb, które stały oparte o szopę na narzędzia — właśnie zakładam inspekty. Trzy szyby były stłuczone. Pewnie obudził mnie brzęk szkła.

Dwa dni później zobaczyłem rano drabinę opartą o ścianę domu pod oknem mojej sypialni. Normalnie trzymam ją między garażem i płotem. Znów nie było śladów próby włamania, ale tym razem się zaniepokoiłem i zgłosiłem oba incydenty na waszym posterunku. Funkcjonariusz Roberts przyszedł się rozejrzeć i poradził, żebym zainstalował system alarmowy. Byłem w trakcie załatwiania sprawy, gdy zginęły mi klucze od domu. W ciągu dnia trzymam je w torbie tenisowej, bo w kieszeni dresu za bardzo by mi ciążyły, ale w zeszły piątek zniknęły. Naprawdę zacząłem się bać, że ktoś chce się do mnie włamać.

Wydawało mi się nawet, że wiem kto — pewien pracownik klubu. Wolałbym nie wymieniać nazwiska. Widzicie, mam w domu sporo pucharów i ten człowiek pytał mnie kiedyś, ile są warte. Umówiłem się ze ślusarzem, że następnego dnia przyjdzie zmienić zamki.

W nocy — było koło trzeciej — obudziłem się. To Nigel ścisnął mnie za ramię. Trzęsąc się ze strachu, wyszeptał: „Chyba ktoś jest w pokoju”. Włączyłem nocną lampkę i zobaczyłem, że na dywaniku po mojej stronie łóżka stoi pan Passmore, z latarką w jednej ręce i nożyczkami w drugiej. Nie podobały mi się te nożyczki — były duże, jak nożyce krawieckie, i wyglądały groźnie. Jak już mówiłem, zawsze śpię nago, Nigel tak samo, i nie miałem w zasięgu ręki niczego, co nadawałoby się do obrony. Spróbowałem zachować spokój. Zapytałem pana Passmo-

174

OL >

re'a, co, do licha, wyprawia. Nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w Nigela, kompletnie zbaraniały. Nigel, który miał bliżej do drzwi, wyskoczył z łóżka i pobiegł na dół zadzwonić na policję. Pan Passmore rozejrzał się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem i powiedział: „Chyba się pomyliłem”. „Chyba tak” — odparłem. „Szukałem mojej żony” — wyjaśnił. „Nie ma jej tutaj — stwierdziłem. — Nigdy jej tu nie było”. Nagle wszystko złożyło się w całość i zrozumiałem, co się działo przez cały ten czas. To znaczy, co się działo w jego głowie. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, częściowo z ulgi, częściowo dlatego, że wyglądał strasznie głupio, stojąc tak z nożyczkami w ręku. „Co zamierzał pan zrobić? — spytałem. — Wykastrować mnie?” „Chciałem ci obciąć kucyk” — odparł. Nie wniosę skargi. Jeśli mam być szczery, wolałbym nie musieć zeznawać w sądzie, bo wtedy sprawa mogłaby trafić do lokalnej prasy. Mogłoby mi to zaszkodzić. Niektórzy członkowie klubu są, niestety, uprzedzeni. Nie wstydzę się, że jestem gejem, ale się z tym nie afiszuję. Mieszkam dość daleko od klubu i nikt stamtąd nie ma pojęcia o moim życiu prywatnym. Nie sądzę, żeby pan Passmore jeszcze mnie niepokoił, a za zbite szyby obiecał zapłacić.

M

Amy

No więc stała się rzecz przeokropna. Żona Laurencea chce separacji. Zadzwonił wczoraj wieczorem, żeby mi o tym powiedzieć. Od razu wiedziałam, że to coś catastrophique, bo zabroniłam mu dzwonić do domu, chyba że sprawa jest naprawdę ważna. Muszę rozmawiać z aparatu w sypialni i Zelda zawsze potem pyta, kto dzwonił i czego chciał, i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby podsłuchiwała przez telefon na dole. Umówiliśmy się, że Laurence dzwoni do mnie do biura w porze lunchu albo ja dzwonię do niego, kiedy jest w swoim mieszkaniu. Wiem, że według ciebie powinnam być bardziej otwarta z Zeldą co do mojej przyjaźni z Laurenceem, ale... Tak, wiem, że tego nie powiedziałaś, Karl, ale to się czuje. No cóż, skoro tak twierdzisz, oczywiście muszę ci wierzyć, ale chyba jest możliwe, że podświadomie tego nie pochwalasz. Jeśli ja mogę tłumić różne rzeczy, to chyba ty też, prawda? A może uważasz się za człowieka absolutnie, całkowicie, totalnie, nadludzko racjonalnego? Przepraszam, przepraszam. Jestem bardzo zdenerwowana, w nocy prawie oka nie zmrużyłam. Nie, zupełnie się tego nie spodziewałam. Jest kompletnie

zdruzgotany. Podobno wmaszerowała do jego gabinetu w piątek wieczorem i oznajmiła, że chce separacji. Tak po prostu. Powiedziała, że nie wytrzyma z nim ani chwili dłużej, że przypomina zombie — tego słowa użyła, zombie. To prawda, bywa czasem trochę distrai, ale z moich doświadczeń wynika, że pisarze już tacy są, no i sądziłam, że przez tyle lat zdążyła się do tego przy-

176

zwyczać, ale widać nie. Powiedziała, że nie mogą się porozumieć i nic ich już nie łączy, i że teraz, kiedy dzieci dorosły i wyprowadziły się z domu, nie ma sensu, żeby dalej ze sobą byli.

Lorenzo przez cały weekend próbował jej to wyperswadować, ale na próżno. Najpierw chyba dowodził, że ich małżeństwu nic nie brakuje, że jest takie samo jak wszystkie inne. Miało to coś wspólnego z powtórzeniem i Kierkegaardem, nie bardzo zrozumiałam, mówił strasznie chaotycznie, biedaczysko. Tak, dostał ostatnio bzika na punkcie Kierkegarda. W każdym razie, kiedy to nie poskutkowało, zmienił taktykę i zaczął obiecywać, że się zmieni: będzie z nią rozmawiał przy posiłkach, interesował się jej pracą, zabierał ją w weekendy na wycieczki i tak dalej, ale powiedziała, że już na to za późno.

Sally. Ma na imię Sally. Widziałam ją tylko parę razy, na przyjęciach wydawanych przez Heartland, i zawsze robiła na mnie wrażenie osoby pełnej rezerwy, zamkniętej w sobie. Lubi sączyć jednego drinka przez cały wieczór i być trzeźwa, kiedy wszyscy dookoła zalewają się w sztok. Chyba utwierdza ją to w przekonaniu, że my, ludzie telewizji, jesteśmy bandą bezwartościowych obiboków. Atrakcyjna kobieta, na sposób noli me tangere. Wysokie kości policzkowe, mocno zarysowany podbródek. Przypomina mi trochę Patricię Hodge, ale jest bardziej wysportowana, bardziej ogorzała. Och. Ciągle zapominam, że nigdy nie chodzisz do teatru i nie oglądasz telewizji. Co ty, do licha, robisz w wolnym czasie? Och, mogłam się domyślić. Czytałeś Kierkegarda? Z tego, co o nim słyszałam, nie jest w moim guście. W guście Laurencea zresztą też nie. Zastanawiam się, co on w nim widzi. Tak, Laurence spytał, czy kogoś ma, ale zaprzeczyła. Zapytałam go, czy Sally może podejrzewać, że coś nas łączy, to znaczy coś więcej niż w rzeczywistości, a to, jak wiesz, jest całkowicie niewinne, ale odparł, że absolutnie nie. Tak, wie, że jesteśmy przyjaciółmi, ale wątpię, żeby zdawała sobie sprawę, jak często się widzujemy

177

poza pracą, i pomyślałam, że może ktoś „zycliwy” ją poinformował, przysłał anonim czy coś, ale Laurence powiedział, że w ogóle o mnie nie wspomniała ani nie oskarżyła go o nic takiego. O Boże. Quel cauchemar!

To chyba oczywiste. Laurence jest moim najlepszym przyjacielem, w każdym razie najlepszym przyjacielem-mężczy-zną. Nie chcę, żeby był nieszczęśliwy. Wiem, że uśmiechasz się teraz cynicznie. Zresztą nie ukrywam, że martwię się również z powodów egoistycznych. Nasz układ bardzo mi odpowiadał. Był intymny, nie będąc... Sama nie wiem. No dobrze, nie będąc seksualnym. Nie, to nie to. Nie chodzi mi o to, że nie był seksualny czy wyłącznie seksualny, tylko że nie psuła go zaborczość ani wzajemne żądania, ani nic takiego. Nasze stosunki nie były jednak pozbawione seksualizmu. Laurence zawsze traktował mnie z... galanterią. Tak, z galanterią. Ale fakt, że jest szczęśliwie żonaty — był szczęśliwie żonaty — i że było to jasne dla nas obojga, rozładowywał całe potencjalne napięcie. Mogliśmy przyjemnie spędzać razem czas, nie zastanawiając się, czy chcemy iść ze sobą do łóżka ani czy chce tego druga strona, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Lubiłam się ubierać na spotkania z Laurenceem — ubieranie się na spotkania z przyjaciółką to zupełnie co innego — ale nie musiałam myśleć o rozbieraniu się dla niego. Nie masz pojęcia, jaka to ulga. Jeśli jesteś niezamężną kobietą i umawiasz się z mężczyzną albo musisz obstawać przy płaceniu za siebie, albo masz nieprzyjemne uczucie, że zaciągasz erotyczny dług, o którego zwrot wierzyciel może się upomnieć w każdej chwili.

Nie, nie mam pojęcia, jak wyglądało jego życie seksualne z Sally. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Tak, opowiedziałam mu o moich doświadczeniach z Saulem, ale mi się nie odwzajemnił. Nie, nie pytałam. Powstrzymywała mnie pudeur. Pudeur. W końcu nadal byli małżeństwem, nie wypadało mi się wtrącać... No dobrze, może nie chciałam o tym usłyszeć, na wypa-

178

dek gdyby okazała się jedną z tych kobiet, które mają wielokrotne orgazmy na zawołanie i potrafią przerobić całą Kamasutrę, stojąc na głowie. Co w tym śmiesznego? W Kamasutrze naprawdę stoi się na głowie? Och, dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nigdy nie udawałam, że nie mam kompleksów na punkcie seksu. W końcu dlaczego tu jestem? Ale nie byłam zazdrosna o Sally. Mogła sobie korzystać z tej części życia Laurence'a i z tej części Laurence'a. Po prostu nie chciałam o tym słuchać. Och, użyłam czasu przeszłego? No tak, faktycznie. Nie, wcale nie myślę, że nasza przyjaźń się skończyła, ale zapewne się zmieni, w sposób, którego nie umiem przewidzieć. Chyba że się pogodzą. Zasugerowałam Laurenceowi, że powinni pójść do poradni małżeńskiej, ale tylko jęknął i powiedział: „Doradzą mi psychoterapię, na którą już chodzę”. Zapytałam go, skąd wie, co powiedzą, i odparł: „Z doświadczenia”. Okazało się, że nie po raz pierwszy Sally poczuła, że ma go dość. Kiedyś wyniosła się z domu na cały weekend i wróciła w momencie, gdy Laurence dzwonił już na policję, bo nie wiedział, co się z nią stało. Przez parę dni nie powiedziała ani słowa, bo dostała zapalenia krtani, włączając się po Malvernach w ulewnym deszczu, ale kiedy odzyskała głos, zaczęła się domagać, żeby poszli do poradni. Właśnie tak Laurence trafił na psychoterapię. Nigdy przedtem o tym nie wspominał. Oczywiście niby dlaczego miałyby to robić, ale przeżyłam lekki wstrząs. Przypuszczam, że nigdy nie mówi się o sobie wszystkiego. No chyba że swojemu psychoanalitykowi...

No więc spotkałam się wczoraj wieczorem z Laurenceem w jego mieszkaniu. Zadzwonił do mnie do pracy i powiedział, że przyjeżdża do Londynu, ale nie chciał jeść na mieście, więc zrozumiałam, że czeka mnie długie, męczące tête à tête. Wstąpiłam po pracy do Fortnuma kupić jakiś quiche i sałatkę.

Laurence zjadł niewiele, ale sporo wypił. Jest bardzo przygnębiony. Oczywiście był przygnębiony już wcześniej, ale teraz naprawdę ma po temu powód. Tak, myślę, że zdaje sobie sprawę z tej ironii.

Sytuacja chez Passmore nie uległa poprawie. Sally przeniosła się do pokoju gościnnego. Wychodzi do pracy wcześniej rano i wraca późno wieczorem, żeby nie musieć rozmawiać z Laurenceem. Twierdzi, że porozmawia z nim w weekend, ale nie da rady jednocześnie rozwiązywać jego problemów i pracować. To chyba źle wróży, że mówi, „jego problemów”, a nie „naszych problemów”, nie sądzisz? Rozumiem jednak, że może nie mieć ochoty rozmawiać z Laurenceem w jego obecnym stanie. Wczoraj po tych czterech godzinach byłam kompletnie finito. Czułam się jak gąbka, którą ściskano tak często, że straciła całą sprężystość. A potem, kiedy powiedziałam, że muszę iść do domu, poprosił, żebym została na noc. Wyjaśnił, że nie chodzi seks, tylko o bliskość. Od ostatniego piątku nie może spać, rzeczywiście ma podkrążone oczy, biedaczek. Powiedział: „Sądzę, że byłoby mi łatwiej zasnąć, gdybym mógł się do ciebie przytulić”.

Było to oczywiście wykluczone. Nawet pomijając kwestię, czy chcę, żeby ktoś się do mnie przytulał, i ryzyko, że wyniknie z tego coś więcej, absolutnie nie mogłam spędzić nocy poza domem bez uprzedzenia. Zelda umarłaby z niepokoju. A gdybym zadzwoniła z jakąś zmyśloną historyjką, natychmiast by mnie przejrzała. Zawsze wie, kiedy kłamię, to jedna z jej najbardziej irytujących cech. A propos Zeldy, dziś rano przy śniadaniu znów okropnie się pokłóciłyśmy. Chodziło o muesli. To znaczy od muesli się zaczęło. Kiedy ostatnim razem robiłam zakupy, nie mieli w Safewayu jej ulubionego gatunku, więc kupiłam inny, i wczoraj stare muesli się skończyły, więc dziś postawiłam na stole te nowe, i Zelda nie chciała ich tknąć, bo zawierają cukier. Minimalną ilość, i to brązowego,

który jest zdrowy, na co zwróciłam jej uwagę, ale nie chciała zjeść nawet jednej łyżki, a że nie je na śniadanie nic innego, tylko pije kawę, poszła do szkoły z pustym żołądkiem, przygotowując mnie o niesamowite poczucie winy, o co jej oczywiście chodziło. W drzwiach wypaliła, że próbuję ją zmusić do jedzenia cukru, bo jest szczupła, a ja jestem gruba, „obrzydliwie gruba”, jak powiedziała. Myślisz, że to prawda? Nie, nie to, że jestem obrzydliwie gruba, wcale nie uważam się za grubą, chociaż chciałabym zrzucić parę funtów. Czy to możliwe, żebym była podświadomie zazdrosna o figurę Zeldy? Och, ty zawsze odbijasz te pytania z powrotem do mnie. Nie wiem. Może troszeczkę. Ale naprawdę nie miałam pojęcia, że w tych cholernych muesli był cukier.

O czym to ja mówiłam? Aha, Laurence. No więc musiałam mu odmówić, chociaż było mi z tego powodu naprawdę przykro. Patrzył na mnie tak smutno, tak błagalnie, jak pies, który chce wejść do domu z deszczu. Zapytałam, czy nie może wziąć proszka nasennego, ale powiedział, że wołałby nie, bo budzi się po nich strasznie przygnębiony, a jeśli stanie się bardziej przygnębiony niż już jest, to może ze sobą skończyć. Uśmiechnął się, kiedy to mówił, żeby pokazać, że żartuje, ale trochę mnie przestraszył. Był w poniedziałek u swojej psychoterapeutki, ale chyba niewiele mu pomogła. Co może być winą samego

Laurencea, bo kiedy spytałam, co mu powiedziała, nie mógł sobie przypomnieć. Nie jestem też pewna, czy zarejestrował cokolwiek z tego, co ja wczoraj mówiłam. Chce tylko wylewać swoją wersję wydarzeń, a nie słuchać konstruktywnych rad. Omal mu nie powiedziałam: powinieneś spróbować analizy, Kochanie, ja nic innego nie robię, pięć razy w tygodniu — wylewam moją wersję wydarzeń, nie dostając żadnych konstruktywnych rad. To tylko mały żart, Karl. Tak, oczywiście wiem, że żarty są ukrytą formą agresji...

181

No więc, jest coraz gorzej. Sally wyprowadziła się z domu i Laurence został tam zupełnie sam. To willa z pięcioma sypialniami, na eleganckim osiedlu na przedmieściach Rummidge. Nigdy tam nie byłam, ale pokazywał mi zdjęcia. Coś takiego agenci handlu nieruchomościami nazywają nowoczesnym domem z charakterem. Nie bardzo wiem, z jakim. Może skrzyżowania wiejskiego dworku z klubem golfowym. Nie w moim guście, ale wygodny i solidny. Odsunięty od ulicy, z długą drogą podjazdem, otoczony mnóstwem drzew i krzewów. Laurence powiedział mi kiedyś: „Jest tam tak cicho, że gdybym miał włosy, słyszałbym, jak rosną”. Tak, jest łasy. Nie mówiłam ci? Żartuje z tego, ale myślę, że go to boli. Tak czy inaczej, serce mi się kraje, że został w tym domu sam jak palec.

Z tego, co rozumiałam, weekend był dość burzliwy. Sally powiedziała, że jest gotowa rozmawiać, ale określiła limit czasu: nie dłużej niż dwie godziny na raz i tylko jedna sesja dziennie. Moim zdaniem brzmi to całkiem rozsądnie, ale Laurence poczuł się urażony. Mówi, że skończyła niedawno kurs zarządzania i usiłuje traktować ich kryzys małżeński jak spór między dyrekcją i pracownikami: porządki, odroczenia, itp. Ostatecznie zgodził się na ten warunek, ale kiedy przyszło do rozmowy i dwie godziny minęły, nie chciał się zamknąć. W końcu mu zagroziła, że jeśli nie przestanie jej molestować, wyprowadzi się z domu i nie wróci, póki on się nie opamięta. Odpalił jej głupio: „Proszę bardzo, wyprowadzaj się, mam to gdzieś”, czy coś w tym stylu, więc rzeczywiście się wyniosła. Nie chciała mu powiedzieć, dokąd idzie, i od tamtej pory się z nim nie skontaktowała.

Laurence jest przekonany, że Sally jednak kogoś ma i że zaaranżowała tę kłótnię, żeby się do niego wyprowadzić. Wydaje mu się nawet, że wie, kto to taki: nauczyciel tenisa z ich klubu. Moim zdaniem to nie w stylu Sally, ale nigdy nic nie wiadomo. Pamiętaj, mówiłam ci, że kiedy Saul poprosił mnie o rozwód,

182

mA

przysięgał na wszystkie świętości, że nikogo nie ma, a potem odkryłam, że sypiał z Janiną od pół roku. Laurence powiedział, że Sally zaczęła brać lekcje tenisa parę miesięcy temu i wkrótce potem ufarbowała włosy. Tak, wiem, że to jeszcze o niczym nie świadczy, ale jest w takim nastroju, że nie da się z nim dyskutować. Powiedział, że nie przyjedzie w tym tygodniu do Londynu, bo ma dużo roboty. Myślę, że ta robota to śledzenie nauczyciela tenisa. Nie podoba mi się to wszystko, ale nie potrafię nie czuć ulgi, pomieszanej z wyrzutami sumienia, że nie będę musiała odbywać dziś wieczorem kolejnej czterogodzinnej sesji poradnictwa małżeńskiego.

Laurence zajmuje nam coraz więcej czasu, prawda? Nie mógłbyś mi poddać innego tematu? Może wolne skojarzenia? Zawsze je lubiłam, a w ogóle już tego nie robimy Dobrze. Matka. Moja matka. W kuchni w Highgate... Popołudniowe słońce wpada przez mleczną szybę okna, rzucając cętki na stół i jej rękę. Ma na sobie jeden z tych staroświeckich kwiecistych fartuchów, które krzyżowało się z tyłu i wiązało z przodu. Siekamy razem jarzyny na potrawkę czy może na zupę... Mam trzynaście, czternaście lat. Niedawno zaczęłam miesiączkować. Uświadamia mnie seksualnie. Jak łatwo jest zajść w ciążę i że muszę bardzo uważać na mężczyzn i chłopców. Mówiąc, cały czas sieka marchewki, jakby chciała poucinać im siusiaki... Ciekawe, dlaczego o tym pomyślałam? Może dlatego, że boję się o Zeldę. Oczywiście już ją uświadomiłam, ale czy powinnam ją zaopatrzyć w środki antykoncepcyjne, czy też potraktowałaby to jako zachętę do swobody seksualnej? Myślisz, że nie o to chodzi? Więc o co? No powiedz, Karl, choć raz sobie pofolguj, daj mi jakąś interpretację. Nie, nic nie mów — już wiem, chodzi o mnie i Laurencea, prawda? O Boże...

183

izm*

No więc, Sally wzięła sobie adwokata. Tak. Laurence dostał od niego list z prośbą, żeby upełnomocnić swojego prawnika do podjęcia dyskusji na temat porozumienia separacyjnego. Sally dołączyła pierwszą propozycję. Mają odwiedzać swój klub sportowy w inne dni, żeby uniknąć krępujących spotkań. Okazuje się, że Laurence przychodzi tam obserwować jej lekcje tenisa. Sally mówi, że ją to rozprasza. Wcale się nie dziwię. Ale oczywiście tylko utwierdziło to Laurence'a w przekonaniu, że Sally ma coś do ukrycia w sprawie nauczyciela tenisa. Powiedział swojemu prawnikowi, żeby jej powiedział, że jeśli chce żyć osobno, będzie się musiała utrzymywać z własnej pensji, plus może sobie odebrać swój wkład w ich oszczędności, który oczywiście nie był zbyt duży w porównaniu z tym, co w ostatnich latach zarobił Laurence. Myślę, że to zły znak, że już się kłóć o pieniądze i zatrudnili adwokatów, właśnie wtedy sytuacja między Saulem i mną zrobiła się naprawdę nieprzyjemna. O Boże, mam w związku z tym wszystkim okropne uczucie déjà vu...

No więc, jest coraz gorzej. Laurence otrzymał sądowy zakaz przychodzenia do collegeu Sally czy na uniwersytet, tak się chyba teraz nazywa, Uniwersytet Volta albo Watta, w każdym razie coś z elektrycznością. Adwokat Sally odpisał, że jej zdaniem należy jej się więcej niż to, co fizycznie wniosła do ich wspólnego majątku, bo przez lata utrzymywała Laurencea ze swoich nauczycielskich zarobków, kiedy starał się przebić jako scenarzysta. Chce dostać połowę. Laurence wpadł w furję, pognął na uniwersytet, dopadł Sally pod jej gabinetem i urządził publiczną awanturę. Powiedziała mu, że stracił rozum. Cóż, może rzeczywiście. Biedaczysko. Tak więc Sally wystąpiła o ograniczenie Laurence'owi swobody ruchów i jeśli jeszcze raz tam pójdzie, może zostać aresztowany. Ściśle biorąc, nie wolno

184

Jt >

mu się pojawić w promieniu jednej mili od uniwersytetu. To irytuje go najbardziej, bo oznacza, że nie może jej śledzić po wyjściu z pracy, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszka. Wziął pod obserwację dom nauczyciela tenisa, ale jak dotąd nie miał szczęścia. Mówi, że ich przyłapanie, to tylko kwestia czasu. Chyba ma na myśli przyłapanie in flagranti. Bóg jeden wie, co zamierza zrobić, jeśli faktycznie mu się to uda. Gdyby doszło do konfrontacji, z nauczycielem tenisa nie miałyby wielkich szans...

No więc, wygląda na to, że Sally jednak nie ma romansu, w każdym razie nie z nauczycielem tenisa. Okazało się, że jest gejem. Tak. Cóż, muszę przyznać, że sama ledwo powstrzymałam się od śmiechu, kiedy Laurence mi to oznajmił. Nie, przez telefon. Nie wiem, jak się dowiedział, nie rozwijał tematu, ale robił wrażenie zupełnie pewnego. Wydawał się też bardzo przygnębiony, biedaczek. Póki podejrzewał nauczyciela, miał na kogo skierować swój gniew i urazę. Nie można nienawidzić kogoś, kogo się nie zna. Tak czy inaczej, chyba zaczyna wierzyć, że Sally jednak mówiła prawdę — o tym, dlaczego chce separacji — że po prostu nie mogła z nim dłużej wytrzymać. Nie wpłynęło to najlepiej na jego poczucie własnej wartości. Pamiętam, że kiedy się dowiedziałam o Janinę, byłam nieprzytomnie wściekła, ale też troszeczkę mi ulżyło, bo to oznaczało, że nie muszę się poczuwać do winy za rozpad naszego małżeństwa. W każdym razie nie do całej.

Drugą przykrą dla Laurencea nowością jest fakt, że o wszystkim wiedzą już jego dzieci. Myślę, że uznał to za coś w rodzaju Rubikonu. Póki dzieci nic nie wiedziały, on i Sally mogli się jeszcze pogodzić bez ujmy dla nikogo, bez utraty twarzy. Kiedy Sally się wyprowadzała, ostatnią rzeczą, którą jej powiedział — mówił mi, że biegł za jej samochodem do bramy

185

i walił w szybę, żeby ją odkręciła — ostatnią rzeczą, którą powiedział, było: „Nie mów Jane i Adamowi”. Oczywiście prędzej czy później musieli się dowiedzieć. Sally zawiadomiła ich pewnie dosyć szybko, ale Laurence dopiero niedawno odkrył, że wiedzą. Oboje do niego dzwonili. Bardzo uważają, żeby nie brać niczyjej strony, ale przede wszystkim uderzyło go to, że nie robią wrażenia strasznie zmartwionych ani nawet strasznie zaskoczonych. Dla mnie jest oczywiste, że Sally zwierzała im się ze swoich odczuć już od jakiegoś czasu, i byli przygotowani na to, co się stało. Chyba zaczyna to również docierać do Laurencea. „Czuję się tak, jakbym żył we śnie — powiedział — i właśnie się obudził. Ale to jawa jest prawdziwym koszmarem”. Biedny Lorenzo. A propos snów, zeszłej nocy śniło mi się coś bardzo dziwnego...

No więc, stało się, wiedziałam, że się stanie, czułam, że ten moment się zbliża. Laurence chce ze mną spać. Już nie po to, żeby się przytulać. Chodzi o seks. Zwierzę o podwójnym grzbiecie. Saul używał tego określenia, nie udawaj, że nigdy go nie słyszałaś. To Szekspir, nie pamiętam, która sztuka, ale na pewno Szekspir. Moim zdaniem nie bardziej dziwaczne niż większość innych wyrażeń. Na przykład „spać z kimś”. Znałam kiedyś dziewczynę, miała na imię Muriel, która mówiła, że spała ze swoim szefem, kiedy dała mu się przelecieć na tylnym siedzeniu jego jaguara podczas przerwy na lunch. Nie sądzę, żeby się specjalnie wyspali.

Laurence poruszył ten temat wczoraj wieczorem przy kolacji. Powinnam się była czegoś domyślić, kiedy zabrał mnie do Rules, zamiast do naszej trattorii, i zachęcił, żebym zamówiła homara. Dobrze, że jedliśmy wcześniej i restauracja była na wpół pusta, bo inaczej ludzie pospadaliby z krzesel, starając się podsłuchać naszą rozmowę. Powiedział, że nie próbował do-

186

¿RI ir

ąd ze mną romansować wyłącznie dlatego, że wierzy w wierność małżeńską. Wtrąciłam tout de suite, że całkowicie to rozumiem i szanuję go za to. Odparł, że to bardzo wielkodusznie z mojej strony, ale uważa, że w pewnym sensie mnie wykorzystywał, ciesząc się moim towarzystwem bez żadnych zobowiązań, i że teraz, kiedy Sally od niego odeszła, nie ma powodu, abyśmy się dłużej hamowali. Powiedziałam, że nie czuję się wykorzystywana i że wcale się nie hamuję. Oczywiście nie tak prosto z mostu. Spróbowałam mu wyjaśnić, że cenię nasz związek właśnie dlatego, że nie ma w nim żadnych haczyków seksualnych, a dzięki temu żadnego napięcia, niepokoju i zazdrości. Wyraźnie zmarkotniał i spytał: „Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz?” Odrzekłam: „Skarbie, nie pozwoliłam sobie kochać cię w ten sposób”. A on na to: „Teraz już możesz”. Więc powiedziałam: „Przypuśćmy, że sobie pozwolę, a Sally i ty się zjeździecie, co wtedy?” Odparł bardzo ponurym tonem, że jest to absolutnie niemożliwe. Stosunki między nimi pogarszają się z każdym dniem. Sally mówi już o rozwodzie, ponieważ Laurence nie chce uzgodnić warunków finansowych dobrowolnej separacji, co jest z jego strony bardzo głupie. Jego prawnik powiedział, że w przypadku rozwodu sąd przyznałby Sally połowę ich wspólnego majątku i alimenty wysokości do jednej trzeciej ich łącznych dochodów. Laurence uważa, że skoro go opuściła, nie należy jej się nic. Listy kursują między adwokatami tam i z powrotem. A teraz Laurence chce ze mną spać.

Więc co mam zrobić? Och, wiem, że mi nie powiesz, to tylko pytanie retoryczne. Z tym że pytanie jest retoryczne, kiedy odpowiedź jest oczywista, prawda? A ja nie znam odpowiedzi. Obiecałam Laurenceowi, że się nad tym zastanowię, i zastanawiałam się, od wczoraj o niczym innym nie myślę, ale nie wiem, co robić, naprawdę nie wiem. Bardzo lubię Laurence'a i chciałabym mu pomóc przetrwać ten kryzys. Zdaję sobie

187

r

sprawę, że on po prostu szuka pociechy, i żałuję, że nie jestem taka jak te macierzyńskie kobiety o złotym sercu, które w filmach wspaniałomyślnie oddają się miłym facetom na każde skinienie. Na szczęście Laurence pozostał cudownie galant. Kiedy Rules zaczęło się zapełniać ludźmi, którzy wyszli z teatrów, wróciliśmy do jego mieszkania i jeszcze trochę porozmawialiśmy, ale nawet nie próbował się do mnie dobierać. Za to kiedy mnie odprowadzał, zdarzyła się dziwna rzecz. Zawsze zjeżdża ze mną na dół i wsadza mnie do taksówki. Kiedy otworzyliśmy drzwi na ulicę, we wnęce leżał w śpiworze jeden z tych

młodych bezdomnych, których wszędzie dziś pełno. Żeby się wydostać, musieliśmy praktycznie dać krok nad nim. Ja po prostu go zignorowałam, co wydawało się najbezpieczniejsze, ale Laurence powiedział mu „cześć”, jakby w tym, że ten mężczyzna, właściwie chłopak, tam leży, nie było nic niestosownego, jakby go skądś znał. Kiedy staliśmy na chodniku, rozglądając się za taksówką, syknęłam do Laurencea: „Kto to jest?”, a on powiedział: „Grahame”. Jakby był jego sąsiadem czy kimś takim. Nadjechała taksówka i nie zdążyłam go zapytać o nic więcej. Chyba mi się to potem śniło w nocy...

No cóż, fakt, że użyłam ostatnim razem tego określenia Saula, zwierzę o podwójnym grzbiecie, i że odniosłam je do Laurencea, mógł o czymś świadczyć. Czy do tego zmierzałeś? Że boję się współżycia z Laurenceem, bo współżycie z Saulem było taką katastrofą? Ale czy to tchórzostwo, czy zdrowy rozsądek?

Wiem, że twoim zdaniem to nienaturalne, że od rozwodu z nikim nie spałam. Tak, wiem, że nie powiedziałaś tego wprost — czy kiedykolwiek powiedziałaś coś wprost? Ale umiem czytać między wierszami. No więc, na przykład, określiłaś mój związek z Laurenceem jako coś w stylu mariage

188

blanc. Jestem prawie pewna, że to ty tak powiedziałaś, nie ja. W każdym razie, doskonale pamiętam, jak zasugerowałaś, że nasz związek stanowi dla mnie pewnego rodzaju alibi. A ja odparłam, że łączy nas tak bliska więź, że pójdzie do łóżka z kimś innym równałoby się zdradzie. Co jest prawdą.

Oczywiście chodzi też o Zeldę. Czy jeśli zdecyduję się przespać z Laurenceem, ona się o tym dowie? Czy uda mi się to przed nią ukryć? Czy powinnam to przed nią ukryć? Czy dowiedziawszy się o tym, natychmiast rzuciłaby się w ramiona jakiegoś lubieżnego pryszczatego wyrostka? Napomknęłaś kiedyś, że nie chcę przyjąć do wiadomości faktu, że prędzej czy później Zelda zacznie uprawiać seks. Że póki jest niepełnoletnia, mogę sobie tłumaczyć, że strzegę jej dziewictwa jako odpowiedzialna matka, ale w końcu dorosnie i zechce pójść z kimś do łóżka i w żaden sposób nie będę mogła temu zapobiec, więc lepiej, żebym się z tym pogodziła, ale nie będę potrafiła się z tym pogodzić, jeśli sama nie będę miała udanego współżycia seksualnego. Więc może to niebo zsyła mi okazję, żebym — jak ty byś to określił — znów mogła się stać w pełni kobietą, nie sądzisz?

Biorę pod uwagę coś jeszcze. Możliwość małżeństwa. Jeśli Sally i Laurence się rozwiodą, byłoby w pewnym sensie logiczne, żebyśmy my się pobrali. Nie, nie sądzę, inaczej by o tym wspomniał, kiedy próbował mnie uwieść tamtego wieczoru. Może to dlatego zabrał mnie do Rules, bo padrona włoskiej restauracji, do której zwykle chodzimy, zawsze wygłasza hymny pochwalne na cześć małżeństwa i rzuca aluzje, że Lorenzo powinien zrobić ze mnie uczciwą kobietę — nie wie, że jest żonaty. Myślę, że on skrycie lub nieświadomie nadal marzy o pojednaniu z Sally. Gorzko się skarży na jej postępowanie, ale sądzę, że gdyby się zgodziła dać ich małżeństwu jeszcze jedną szansę, popędziłby do niej w podskokach. Nie mam co do tego żadnych złudzeń. Ale jeśli Sally naprawdę zamierza

189

się z nim rozwieść, jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, jestem prawie pewna, że wówczas Laurence będzie się chciał ponownie ożenić. Rozumiem, jak pracuje jego umysł, lepiej niż on sam. Należy do mężczyzn, którzy się żenią. A z kim miałby się ożenić, jeśli nie ze mną?

Próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było. Zelda mogłaby na początku trochę protestować, ale sądzę, że z czasem by go zaakceptowała. Dobrze by jej zrobiło, gdyby w domu był dorosły mężczyzna, i mnie też. Widzę w myślach nieco różowy, zamglony obraz nas trojga w kuchni: przy stole Laurence pomaga Zeldzie odrabiać lekcje, a ja uśmiecham się życzliwie znad antracytowej kuchenki. Nie mam takiej kuchenki, więc pewnie to znaczy, że chciałam się przeprowadzić. Niezależnie od tego ile by Sally dostała przy rozwodzie, Laurence nadal będzie całkiem zamożny. Wiesz, jak to jest, kiedy już się puści wodze fantazji: niezobowiązująco rozpatrujesz możliwość wyjścia za mąż, a zanim się obejrzyś, wybierasz materiał na zasłony do waszego letniego domku w dorzeczu Dordogne. Ale przyszło mi do głowy, że gdyby Laurence miał któregoś dnia wystąpić z bukietem róż, dobrze by było zawczasu wiedzieć, czy... no wiesz, odpowiadamy sobie pod względem fizycznym, nie uważasz? Nie?

Zresztą na pewno nie byłoby to przykre doświadczenie. Laurence jest bardzo czuły i delikatny. Saul zawsze mi w łóżku rozkazywał. Zrób to, zrób tamto, szybciej, wolniej. Reżyserował nasze zbliżenia, jakbyśmy kręcili film pornograficzny. Z Laurence'em by tak nie było. Nie wymagałby ode mnie żadnych perwersji — przynajmniej nie sądzę. Tak, Karl, wiem, że to pojęcie subiektywne...

No więc, widziałeś ten artykuł w najnowszym „Public In-terest”? Tak też sądziłam, ale wszyscy inni ludzie, których

190

znam, czytają go z lubością, udając, oczywiście, że nim gardzą. Jest tam rubryka plotek o mediach zatytułowana „Poza kamerą”. Jakimś sposobem wywęszyli historię Laurence'a i nauczyciela tenisa. Tak. Otóż Laurence włamał się w środku nocy do jego domu, mając nadzieję, że przyłapie go z Sally, i zastał go w łóżku z mężczyzną. Wyobrażasz sobie? Nie, nie miałam pojęcia, dowiedziałam się dopiero z tego szmatławca. Wczoraj rano Harriet przyniosła do biura najnowszy numer i bez słowa rozłożyła go przede mną na biurku, otwarty na stronie z „Poza kamerą”. Omal nie umarłam, kiedy to przeczytałam. Potem zadzwoniłam do Laurence'a, ale już wiedział od swojego agenta. Mówi, że w zasadzie wszystko się zgadza, z tym że nie miał w ręku łomu, tylko nożyczki. Dobre pytanie. Podobno zamierzał obciąć facetowi kucyk. Całe szczęście, że nie odkryli tego szczegółu. Nie trzeba dodawać, że artykuł był okrutną kpinią. Tubby Passmore, owłosiony inaczej scenarzysta sitcomu Sąsiedzi, znalazł się niedawno w sytuacji zabawniejszej od wszystkiego, co sam wymyślił... Mniej więcej w tym stylu. I zamieścili jego karykaturę jako — no jak mu tam — tego greckiego boga, który miał za żonę Wenus i przyłapał ją w łóżku z Marsem — Wulkan, tak się nazywał. Była zrobiona na stare malarstwo i pod spodem napisali „według Tycjana” czy Tintoretta, czy kogoś. Biedny Lorenzo w tunice, bardzo gruby i łysy, nauczyciel tenisa i jego przyjaciel całkiem nadzy, spleceni w miłosnym uścisku na łóżku, wszyscy trzej z baraniami minami. W sumie było to całkiem dowcipne, jeśli nie dotyczyło cię osobiście. Laurence nie wie, w jaki sposób rzecz trafiła do prasy. Nauczyciel tenisa nie wniósł przeciw niemu skargi, bo chciał utrzymać swoje życie prywatne w tajemnicy, więc nie mógł być informatorem. Na jego szczęście nie podali jego nazwiska. Ale w sprawę była wmieszana policja, więc pewnie jakiś gliniarz sprzedał tę historię „P.I.” Laurence jest zdruzgotany. Uważa, że cały świat się z niego śmieje. Nie ma odwa-

191

gi pokazać się u Groucha ani w swoim klubie sportowym, w żadnym miejscu, gdzie ludzie go znają. Najbardziej chyba dotknęła go ta karykatura. Sprawdził mit o Wenus, Marsie i Wulkanie i odkrył, że Wulkan był kulawy. Uznał to za dia-bolicznie sprytne pociągnięcie, chociaż moim zdaniem był to zwykły zbieg okoliczności. Tak, Laurence ma chore kolano, nie mówiłam ci? Bez żadnego konkretnego powodu co jakiś czas chwyta go w stawie rozdzierający ból. Przeszedł operację, ale mu nie pomogła. Jestem pewna, że to psychosomatyczne. Spytałam go, czy pamięta jakieś traumatyczne wydarzenie z dzieciństwa związane z kolaniem, ale mówi, że nie. A propos, przypomniał mi się wczoraj wypadek, który przeżyłam jako mała dziewczynka...

No więc, powiedziałam Laurenceowi, że się zgadzam. Pójść z nim do łóżka, rzecz jasna. Owszem. Przez tę historię z „Public Interest” pogrążył się w takiej depresji, że poczułam się w obowiązku coś zrobić, żeby go podnieść na duchu. Nie, oczywiście nie jest to mój jedyny motyw. Tak, możliwe, że zdecydowałam się już wcześniej. No, prawie. Sprawa „P.I.” po prostu przeważyła szalę. Więc biorę z pracy dwa dni wolnego i robimy sobie długi weekend. Nie ten, następny. Wyjeżdżamy w czwartek wieczorem, wracamy w poniedziałek po południu. Nie przyjdę więc na sesję piątkową i poniedziałkową. Tak, wiem, że będę musiała za nie zapłacić, Karl, pamiętam tę małą mówkę, którą wygłosiłeś, kiedy zaczynaliśmy. Cóż, jeśli wyczuwasz w moim tonie nutę wrogości, to pewnie się nie mylisz. Zważywszy, że w ciągu trzech lat nie opuściłam prawie żadnej wizyty, chyba mógłbyś ten jeden raz zrezygnować z honorarium, tym bardziej że nie robię tego dla przyjemności. Dla ratowania zdrowia psychicznego Laurencea. Przypuszczam, że zapłaciłby za mnie, gdybym go poprosiła, ale pewnie byś tego nie pochwalił, prawda?

192

>

Jeszcze nie wiem, załatwia to Laurence. Powiedziałam, że wszystko mi jedno, byle za granicę, i raczej gdzieś, gdzie jest ciepło. Uznałam, że musimy wyjechać. Mój dom nie wchodzi, rzecz jasna, w rachubę, a jego mieszkanie też nie byłoby odpowiednie, z pewnością nie na pierwszy raz. Jest bardzo małe i czasem masz uczucie, że cały obskurny West End napiera na ściany i okna, próbując się wedrzeć do środka: zapachy z restauracji, hałas ruchu ulicznego, turyści, bezdomni... Tak, zapytałam Laurencea o tego młodego włóczęgę. Podobno zaczął koczować w jego bramie parę tygodni temu. Laurence usiłował go przepędzić, ale skończyło się na tym, że typowo po Laurencjańsku zaprosił go do siebie na herbatę. Złe posunięcie. Potem dał mu pieniądze na nocleg. Bardzo złe posunięcie. Oczywiście chłopak szybko wrócił, licząc na dalszą lar-gesse. Laurence twierdzi, że nie dał mu już więcej pieniędzy, ale niewątpliwie zrezygnował z prób pozbycia się go. Poradziłam mu, żeby wezwał policję, ale nie chciał. „On nie robi nic złego — powiedział. — I odstręcza złodziei”. Co w pewnym sensie może być prawdą. Przez większość czasu mieszkania stoją puste. Podejrzewam jednak, że Laurence pozwala mu zostać, bo jest samotny Laurence jest samotny. Myślę, że chce chociaż móc kogoś pozdrowić, kiedy wchodzi i wychodzi, kogoś,

kto nie czytuje „Public Interest”. A propos, zeszłej nocy miałam sen o tej karykaturze. Ja byłam Wenus, Saul Marsem, a Laurence Wulkanem.

No i niestety jedziemy na Teneryfę. Laurence poszedł do biura podróży i poprosił, żeby mu doradzili jakąś ciepłą zagranicę, ale nie za daleko, i oto, co wymyślili. Teraz żałuję, że nie załatwiłam tego sama. Laurence zupełnie się do takich rzeczy nie nadaje. Ich wakacje zawsze organizowała Sally. Wyspy Kanaryjskie brzmią ładnie, mam na myśli nazwę, ale nie sły-

193

szłam na ich temat dobrego słowa od nikogo, kto tam rzeczywiście był. A ty? Czy tam byłeś. Tak też sądziłam. Harriet pojechała kiedyś na Gran Canarię i mówiła, że było upiornie, chociaż wczoraj próbowała się tego wyprzeć, żeby mnie nie dobijać. Może Teneryfa jest przyjemniejsza. Zresztą to tylko kilka dni i przynajmniej będzie ciepło.

Powiedziałam Zeldzie, że wyjeżdżam służbowo — Laurence umieścił akcję jednego odcinka Sąsiadów na Kanarach, ma to być historia o wczasach, i musimy zaangażować paru tubylców. Prawdę mówiąc, to niezbyt wiarygodne alibi. Nie idea Wysp Kanaryjskich jako taka, bo rzeczywiście kręcą czasem jakiś odcinek w plenerach i Laurenceowi nawet spodobał się pomysł z wczasami, już sobie wyobraża, jak Springfieldowie budzą się pierwszego dnia w swoim pokoju hotelowym, zachwyceni, że na dwa tygodnie uwolnili się od Davisów, po czym widzą ich jedzących śniadanie na sąsiedniej werandzie, i może faktycznie coś takiego napisze, jeżeli powstanie następna seria — ale jeśli wiesz cokolwiek o mojej branży, jest zupełnie nieprawdopodobne, żebym musiała tam jechać kompletować obsadę, zwłaszcza na tym etapie. Zelda przyjęła wiadomość, wykazując podejrzany brak podejrzliwości. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż wie, że w tej wycieczce chodzi o coś więcej niż telewizja, ale muszę powiedzieć, że jest słodka jak miód. Doradziła mi nawet, jakie mam wziąć ubrania. Pomyślałam, że to dziwaczne odwrócenie ról — ona pomaga przygotować trousseau mnie. Zgodziłam się, żeby spędziła weekend u swojej przyjaciółki Sereny, co wprawiło ją w dobry nastrój. A matka Sereny to rozsądna kobieta, więc nie muszę się denerwować, że coś zbroją. W sumie raczej się cieszę na ten wyjazd. Parę dni dolce vita w słońcu dobrze mi zrobi.

194

No więc, krótko mówiąc, jako rozpustny weekend była to katastrofa. Jako wakacje właściwie też, z początku. Byłeś kiedyś na Teneryfie? Tak, mówiłeś mi, pamiętam. Cóż, gdybym miała do wyboru syberyjskie kopalnie soli i czterogwiazdkowy hotel w Playa de las Americas, bez wahania pojechałabym na Syberię. Playa de las Americas to nazwa kurortu, w którym się zatrzymaliśmy. Laurence wybrał go z folderu biura podróży, bo jest blisko lotniska, a mieliśmy przylecieć późnym wieczorem. Na pozór sensowna decyzja, ale okazało się, że to najbardziej upiorne miejsce, jakie można sobie wyobrazić. Oczywiście playa to po hiszpańsku plaża, ale nie ma tam plaży, w każdym razie nie ma czegoś, co ja nazywam plażą. Tylko pasek czarnego błota. Wszystkie plaże na Teneryfie są czarne, wyglądają jak fotograficzne negatywy. Cała wyspa jest zasadniczo olbrzymią, bryłą koks, a plaże są zrobione z kokowego pyłu. Rozumiesz, pochodzenie wulkaniczne. Pośrodku wyspy sterczy nawet cholernie wielki wulkan. Szkoda, że jest nieczynny, bo mógłby wybuchnąć i zrównać Playa de las Americas z ziemią. Może

wtedy byłoby warto ją zwiedzać, jak Pompeje. Malownicze betonowe ruiny z turystami zwęglonymi w trakcie paradowania w mokrych T-shirtach i żłopania sangrii.

Podobno jeszcze kilka lat temu był to tylko szmat skalistego, jałowego wybrzeża, ale jacyś inwestorzy postanowili stworzyć tam kurort, i tak powstało Blackpool nad Atlantykiem. Przez jego środek biegnie krzykliwa arteria o nazwie Avenida Litoral, stale zapchana samochodami i zabudowana po obu stronach najbardziej wulgarnymi barami, kawiarniami i dyskotekami, jakie w życiu widziałeś, które na okrągło atakują twoje zmysły ogłuszającą muzyką, migającymi światłami i zapachem smażeniny, a oprócz tego nie ma tam nic, tylko wie-

195

łopiętrowe hotele i domy z apartamentami do wynajęcia. To betonowy koszmar, prawie bez drzew i trawy.

Nie od razu do nas dotarło, w co się wpakowaliśmy, bo kiedy samolot wylądował, było już ciemno, a taksówka z lotniska wiozła nas trasą, która wydała mi się podejrzanie okrężna, ale teraz myślę, że może kierowca chciał nam chwilowo oszczędzić widoku Avenida Litoral w całej jej krasie. Podczas jazdy wymieniliśmy tylko kilka uwag o temperaturze i duchocie. Nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać, bo zanim dotarliśmy do Playa de las Americas, nic nie było widać, a to, co w końcu zobaczyliśmy, nie zachęcało do komentarzy: opuszczone place budów i nieruchome dźwigi, domy mieszkalne z ciemnymi oknami i wywieszkami De Venta, a potem długa aleja hoteli. Wszystkie były zbudowane z żelazobetonu, skąpane w anemicznym, żółtym świetle ulicznych latarni, i wszystkie wyglądały tak, jakby je postawiono tanim kosztem przed dwoma tygodniami. Czułam, że Laurence coraz bardziej się kuli w swoim kącie z tyłu samochodu. Oboje już wiedzieliśmy, że to Koszmarowo, ale nie mieliśmy odwagi tego przyznać. Od momentu wylądowania byliśmy straszliwie skrępowani: świadomość, co przyjechaliśmy tu zrobić, i pragnienie, by wypadło to jak najlepiej, sprawiły, że baliśmy się pisnąć choćby słowo o rozczarowaniu.

Pocieszałam się, że przynajmniej hotel będzie w porządku. Czterogwiazdkowy, zapewnił mnie Laurence. Ale cztery gwiazdki na Teneryfie to nie to samo co cztery gwiazdki w Anglii. To tylko odrobinę lepiej niż klasa turystyczna. Wolę nie myśleć, jak wygląda na Teneryfie hotel jednogwiazdkowy. Serce mi się ścisnęło — a było już chyba wielkości orzecha włoskiego — gdy po wejściu do hallu zobaczyliśmy posadzkę z płytek PCW, obite skajem kanapy i zakurzone fikusy usychające w ostrym świetle jarzeniówek. Laurence zameldował nas w recepcji, poszliśmy za boyem do windy i w milczeniu wjechaliśmy na górę.

196

c

Nasz pokój okazał się skromny i funkcjonalny, nawet czysty, ale wypełniony silnym zapachem środków dezynfekcyjnych. Były w nim dwa pojedyncze łóżka. Laurence popatrzył na nie z konsternacją i powiedział boyowi, że zarezerwował pokój z podwójnym łóżkiem. Boy odparł, że wszystkie pokoje są takie same. Laurence skulił się jeszcze bardziej, jeśli to możliwe. Kiedy boy wyszedł, przeprosił mnie żałośnie i przysiągł, że po powrocie rozprawi się z biurem podróży. Zapewniłam go skwapliwie, że nic się nie stało, i rozsunęłam szklane drzwi, żeby wyjść na mały balkonik. W dole rozpościerał się basen

kąpielowy — nieokreślonego kształtu, jak kleks w teście Ror-schacha, udekorowany drzewami palmowymi i sztucznymi skałkami. Podświetlona od spodu woda lśniła w ciemności jaskrawym błękitem. Basen był jedyną choć trochę romantyczną rzeczą, jaką do tej pory widzieliśmy, ale efekt psuł bijący od niego potężny odór chloru i basowe dudnienie czynnej w najlepsze dyskoteki. Zamknęłam okiennice, żeby się od tego wszystkiego odciąć, i włączyłam klimatyzację. Laurence zsuwał łóżka razem, robiąc okropny hałas, bo ich nogi piszczwały na płytkach. Wyszło przy tym na jaw, że pokój wcale nie jest taki czysty, jak się w pierwszej chwili wydawało, bo za i pod nocnymi szafkami leży kurz, i że przewody nocnych lampek nie sięgają w nowym położeniu do kontaktów, więc ostatecznie ustawił łóżka tak jak były. Odetchnęłam z ulgą, bo w tej sytuacji mogłam śmiało zaproponować, żebyśmy od razu poszli spać. Było późno, umierałam ze zmęczenia i czułam się mniej więcej tak seksowna jak worek brukselki. Myślę, że Laurence też, bo zgodził się dość chętnie. Skorzystaliśmy z łazienki, zachowując dekorum, jedno po drugim, a potem pocałowaliśmy się niewinnie i położyliśmy do łóżek. Przez cienkie prześcieradło natychmiast poczułam, że materac jest powleczony plastikiem. Wyobrażasz sobie? Myślałam, że takie materace daje się tylko małym dzieciom i popuszczają-

197

cym starszkom. Bynajmniej — klientom biur podróży także. Czuję, Karl, że siedzisz jak na szpilkach — chcesz wiedzieć, czy w końcu to zrobiliśmy, prawda? Cóż, będziesz się musiał uzbroić w cierpliwość. To moja historia i opowiem ją po mojemu. Naprawdę? Już? W takim razie do jutra.

No i jak myślisz, co się wydarzyło? Nigdy byś nie zgadł. Sally wprowadziła się z powrotem do ich domu w Rummidge i oświadczyła, że zamierza zostać, prowadząc oddzielne gospodarstwo. Owszem, tak się to nazywa, „oddzielne gospodarstwo”, to przyjęty termin prawny. Oznacza, że do czasu zawarcia porozumienia małżeństwo mieszka pod jednym dachem, ale nie gospodaruje razem. Nie żyje we wspólnocie. Kiedy Laurence wrócił wczoraj do Rummidge — przenocował w swoim londyńskim mieszkaniu — Sally już na niego czekała, z wypisaną na maszynie listą propozycji co do podziału domu: kto ma zająć którą sypialnię, w jakich godzinach mogą korzystać z kuchni, a w jakie dni używać pralki — powiedziała bez ogródek, że nie będzie praczyć rzeczy Laurencea. Zaanektowała już główną sypialnię z przyległą łazienką i zmieniła zamek w drzwiach. Laurence odkrył, że wszystkie jego garnitury, koszule i tak dalej zostały starannie przeniesione do pokoju gościnnego. Jest potwornie wściekły, ale jego adwokat mówi, że nic na to nie poradzi. Sally wybrała dobry moment. Zapytała, czy może wpaść w weekend po jakieś ubrania, a Laurence powiedział proszę bardzo, w każdej chwili, bo wyjeżdża. Sally ma oczywiście własne klucze. Ale zamiast cokolwiek zabrać, wprowadziła się z powrotem — kiedy go nie było i nie mógł temu zapobiec. Nie, Sally nie wie, że był ze mną na Teneryfie. I nie może się dowiedzieć.

A tak, na czym skończyłam? No więc, jak już powiedziałam, pierwszej nocy nic się nie wydarzyło, spaliśmy w osobnych

198

łóżkach — do późna, mimo materaców dla popuszczających, bo byliśmy oboje strasznie zmęczeni. Śniadanie zamówiliśmy do pokoju. Nie było zbyt zachęcające: sok pomarańczowy z puszki, kłapciate croissanty o smaku tektury, dżem i marmolada w małych plastikowych pojemniczkach — jednym

słowem, samolotowy posiłek na ziemi. Spróbowaliśmy go zjeść na naszym balkoniku, ale słońce zagnało nas z powrotem do środka — grzało już nadspodziewanie mocno, a balkon wychodził na wschód i nie miał markizy ani parasola. Więc zjedliśmy w pokoju, przy zamkniętych okiennicach. Laurence jeszcze raz przeczytał „Evening Standard”, który kupił poprzedniego dnia w Londynie. Chciał się nim ze mną podzielić, ale uważałam, że czytanie przy śniadaniu jest w tych okolicznościach niezupełnie *comme il faut*. Kiedy delikatnie na ten temat zażartowałam, ze zdumienia zmarszczył brwi i powiedział: „Ale ja zawsze czytam gazetę przy śniadaniu”, takim tonem, jakby wygłaszał fundamentalne prawo wszechświata. To niesamowite, że kiedy musisz z kimś dzielić przestrzeń życiową, natychmiast zaczynasz widzieć tę osobę w zupełnie innym świetle i drażnią cię rzeczy, których się w ogóle nie spodziewałeś. Przypomniało mi to moje pierwsze miesiące po ślubie. Pamiętam, jaka byłam wstrząśnięta faktem, że Saul wychodzi z ubikacji, zostawiając w muszli smugi gówna, jakby nikt mu nigdy nie wyjaśnił, do czego służy szczotka klozetowa, ale oczywiście minęły lata, zanim zdobyłam się na to, żeby zwrócić mu uwagę. Prawdę powiedziawszy, korzystanie ze wspólnej ubikacji na Teneryfie też było drobnym koszmarem, ale lepiej to przemilczę.

Zdecydowaliśmy, że tego pierwszego ranka poleniuchujemy przy... Och, naturalnie, chciałbyś o tym usłyszeć, prawda? Otóż łazienka nie miała okna, jak w większości hoteli, a wentylator chyba nie działał, w każdym razie nie robił żadnego hałasu, więc zadbałam o to, żeby po śniadaniu skorzystać z ubi-

199

kacji pierwsza. Jeśli pamiętasz nasze dyskusje o przyuczaniu do nocnika, nie powinno cię zaskoczyć, że — jak by to powiedzieć — że kiedy udaje mi się zrobić kupę, stolce są dość małymi, twardymi, zbitymi bobkami. Na pewno chcesz, żebym mówiła dalej? No więc, chodzi o to, że klozet na Teneryfie nie mógł sobie z nimi poradzić. Kiedy szarpnęłam łańcuszkiem, zatańczyły wesoło w muszli jak brązowe gumowe piłeczki i nie zniknęły. Szarpnęłam jeszcze raz i jeszcze raz, a one wciąż wypływały na wierzch. Mówić tu o powrocie rzeczy wypartych. Dostałam białej gorączki. Po prostu nie mogłam wyjść z łazienki, póki się ich nie pozbędę. Widok cudzych gówienek pływających w muszli klozetowej nie należy do przyjemnych, a już na pewno może ostudzić romantyczne zapały. Nie potrafiłabym się wytłumaczyć Laurenceowi ani go przeprosić czy jakoś zażartować. Na to trzeba przeżyć z kimś co najmniej pięć lat w małżeństwie. W sumie wystarczyłoby chludnąć do muszli porządny kubeł wody, ale jedyny pojemnik w łazience był dziurkowanym plastikowym koszem na śmieci. W końcu pozbyłam się moich pigułek, upychając je pojedynczo szczotką klozetową, ale nie jest to doświadczenie, którego chciałabym zakosztować powtórnie.

Jak już mówiłam, zdecydowaliśmy, że pierwszego ranka poleniuchujemy przy basenie. Ale kiedy zeszliśmy na dół, wszystkie leżaki były już pozajmowane przez amatorów raka skóry. Laurence ma bardzo jasną cerę, a na torsie niesamowitą ilość włosów, które wchłaniają olejek do opalania jak bibuła, ale przepuszczają wszelkie szkodliwe promienie. Ja opalam się bez problemu, ale przeczytałam ostatnio tyle mrozących krew artykułów o konsekwencjach tej przyjemności, że teraz boję się wystawić na słońce choćby cal kwadratowy ciała. Jedynym kawałkiem cienia był wytłumiony trawniczek tuż pod ścianą hotelu, całe mile od basenu. Pomęczyliśmy się tam jakiś czas na ręcznikach i zaczęła wzbierać we mnie uraza do ludzi, którzy zajęli

leżaki, kładąc na nich swoje rzeczy, a potem spłynęli na późne śniadanie. Rzuciłam pomysł, żebyśmy zarekwirowali dwa z tych opuszczonych leżaków, ale Laurence nie chciał. W takich sprawach mężczyźni są okropnymi tchórzami. Więc zrobiłam to sama. Wypatrzyłam dwa przykryte ręcznikami leżaki stojące obok siebie pod palmą, zdjęłam ręcznik z jednego i ułożyłam się wygodnie. Mniej więcej po dwudziestu minutach zjawiała się jakaś kobieta i spiorunowała mnie wzrokiem, ale udałam, że śpię, więc zabrała obydwie ręczniki i odeszła, a wtedy Laurence przydreptał do mnie nieśmiało i zajął drugi leżak.

To małe zwycięstwo poprawiło mi humor, ale na krótko. Nie pływam najlepiej, Laurence musi uważać na swoje kolano, a basen, który z balkonu wyglądał całkiem przyzwoicie, okazał się dość nieprzyjemnym kąpieliskiem: miał zły kształt, był nabitý rozwrzeszczanymi dziećmi i cuchnął chlorem. Słyszałam, że to nie sam chlor wydziela ten zapach, tylko jego reakcja chemiczna z moczem, więc smarkacze musieli sikać do wody ile sił w pęcherzach, i ciągle chodzili do automatu z colą, żeby nabrać paliwa. Wykąpaliśmy się raz i potem mogliśmy już tylko czytać, ale naszych leżaków nie zaprojektowano do czytania, były z tych tanich, które nie dają się regulować. Metalowy stelaż jest wygięty przy końcu do góry, ale nie na tyle, żeby podeprzeć ci głowę na odpowiedniej wysokości, więc musisz trzymać książkę w powietrzu i po jakichś pięciu minutach zaczynają ci mdleć ręce. Ja wzięłam ze sobą *Opętanie* A. S. Byatt, a Lorenzo książkę Kierkegarda pod tytułem *Bojaźń i drżenie*. Moim zdaniem nie była to najstosowniejsza lektura na tę okazję. Inni goście hotelowi czytali Danielle Steel, Jeffreya Archera i angielskie pisma ilustrowane, co dawało jakieś pojęcie o tym, kim są. Większość wyglądała mi na robotników z fabryki samochodów w Luton, ale nie odważyłam się tego powiedzieć, bo Laurence oskarżyłby mnie o stołeczny snobizm.

m

Nie przywieźliśmy z domu ręczników kąpielowych, sądząc, że w czterogwiazdkowym hotelu je dają, ale w tym nie dawali, dostaliśmy tylko po jednym niedużym ręczniczku na osobę, więc postanowiliśmy pójść na spacer i zrobić małe zakupy. Potrzebowaliśmy też czegoś na głowę i gumowych kłapek, bo beton wokół basenu rozgrzał się już nie do wytrzymania. Więc ubraliśmy się i wyszliśmy na południowe słońce, którego promienie odbijały się od chodnika i ścian domów z apartamentami do wynajęcia jak wiązki laserowe. Według hotelowego planu miasta byliśmy tylko parę przecznic od morza, więc stwierdziliśmy, że pójdziemy w tamtą stronę i poszukamy sklepu plażowego, ale nie znaleźliśmy ani sklepu, ani plaży, tylko niski murek na końcu ślepej uliczki, a za nim wąski pasek czegoś, co wyglądało jak mokry żużel. Zawróciliśmy do głównej ulicy, przy której było małe centrum handlowe, z jakiegoś powodu zbudowane pod ziemią, ponury tunel pełen kiosków sprzedających tandetne pamiątki i artykuły turystyczne. Ze wszystkiego krzyczały napisy „Tenerifa”, a nie miałam ochoty kupować ręcznika, z którym za skarby świata nie pokazałabym się publicznie po powrocie do domu, więc ruszyliśmy w stronę śródmieścia, żeby zobaczyć, czy uda nam się znaleźć lepiej zaopatrzone sklepy. Przeszliśmy tak dobrą milę, niemal cały czas w słońcu. Spacer najpierw był nudny, potem stał się okropny. Najgorsze wrażenie zrobił na mnie kawałek Avenida Litoral o nazwie Veronicas, gdzie stłoczyły się bary, kluby i restauracje oferujące paellę z frytkami

i fasolę na grzance. Niektóre lokale starały się przyciągnąć klientów muzyką dyskotekową, grzmiącą z wywieszonych na zewnątrz głośników, w innych poinstalowano telewizory i puszczano z kaset wideo, na cały regulator, stare angielskie sitcomy. Było to jakby podsumowanie totalnego absurdu wakacji w Playa de las Americas. Oto ci wszyscy Angole, siedzący na wygasłym wulkanie pośrodku morza, dwa tysiące mil od domu, płacący za

202

oglądanie starych odcinków Owsianki, Tylko głupców i koni i Jeszcze się nie zagrzało, mamo. „Czy kiedykolwiek widziałeś coś równie żałosnego?” — zapytałam Laurence'a i w tym momencie stanęliśmy przed barem, w którym pokazywano Sąsiadów. Obawiam się, że nie mieli zbyt wysokiego wskaźnika oglądalności. Ściśle biorąc, widzów było tylko czworo: kobieta i mężczyzna w średnim wieku, wyglądający jak gotowane kraby, i dwie ponure młode dziewczyny z punkowymi fryzurami. Oczywiście Laurence musiał wejść do środka. Nie poznałam dotąd scenarzysty, który by potrafił odwrócić wzrok od telewizora, kiedy leci coś, co napisał. Zamówił piwo dla siebie i gin z tonikiem dla mnie, a potem siedział jak zahipnotyzowany, z błogim wyrazem twarzy niczym ojciec, który ogląda na domowym wideo, jak jego ukochany synek stawia pierwsze kroki. Nie zrozum mnie źle, nie znajdziesz większej wielbicielki twórczości Laurence'a niż ja, ale nie polecałam na Wyspy Kanaryjskie po to, żeby siedzieć w barze i oglądać złote przeboje z Sąsiadów. Mogłam zrobić tylko jedną rzecz, więc ją zrobiłam. Łyknęłam mój gin z tonikiem i zamówiłam następny, podwójny. Laurence wziął drugie piwo, zjedliśmy na spółkę pizzę z mikrofalówki, a do kawy wypiliśmy po brandy. Potem Laurence zaproponował powrót do hotelu na sjęstę. W taksówce objął mnie ramieniem, więc domyśliłam się, o jaki rodzaj sjęsty mu chodzi. Och, czas minął? W takim razie do jutra. Tak, jasne, że słyszałam o Szeherezadzie, bo co?

No więc, całe szczęście, że się wstawiłam, bo inaczej chyba-bym umarła z zakłopotania. Mogłam albo się śmiać, albo płakać, a że wypłam parę drinków, więc się śmiałam. Dostałam czkawki już podczas przygotowań do naszej sjęsty, kiedy zobaczyłam, jak Laurence zakłada na kolano ochraniacz. Był ja-skrawoczerwony, zrobiony z takiego gąbczastego, rozciągliwe-

203

go materiału, jak kostiumy do nurkowania, i miał otwór, przez który wystawała rzepka. Wyglądało to szczególnie komicznie, kiedy Laurence zdjął wszystko inne. Moja reakcja trochę go zaskoczyła. Widocznie zawsze nosił ochraniacz, gdy kochał się z Sally. Kiedy do tego włożył na łokieć elastyczną opaskę, omal nie dostałam hysterii. Wyjaśnił, że miał ostatnio nawrót łokcia tenisisty i nie chce ryzykować. Zastanawiałam się, czy włoży coś jeszcze, może nagolenniki albo kask rowerowy. Prawdę powiedziawszy, nie byłby to wcale głupi pomysł, bo łóżko było tak wąskie, że podczas gry wstępnego mógł się z niego zwalić. Gra wstępna polegała na lizaniu i gaskaniu mnie po całym ciele. Po prostu zamknęłam oczy i pozwoliłam mu myszkować. Było to całkiem miłe, ale łaskoczące, i ciągle chichotałam, kiedy chyba powinnam była jęczeć. Potem się okazało, że ze względu na swoje kolano chce się położyć na plecach, a ja mam usiąść na nim

okrakiem i pokierować najbardziej podstępna częścią procedury. Pewna aktorka powiedziała mi kiedyś, że ciągle jej się śni, że jest na scenie, nie zna sztuki, w której gra, i musi się domyślać, co ma mówić i robić, z tego, co mówią i robią inni. Miałam wrażenie, że zastępuję Sally w podobnych okolicznościach. Nie wiem, co ona sądzi o tej roli, ale ja czułam się jak skrzyżowanie prostytutki z pielęgniarką ortopedyczną. Zachowałam się jednak dzielnie i trochę na nim poskakałam, aż w końcu stęknął i wtedy zsunęłam się na bok. Ale okazało się, że stękał, bo nie mógł dojść. „Może odrobinę za dużo wypieś podczas lunchu, skarbie” — zasugerowałam. „Może — odparł ponurym tonem. — A tobie było dobrze?” Oczywiście powiedziałam, że było cudownie, choć jeśli mam być szczerą, większą przyjemność sprawia mi długa, gorąca kąpiel po ciężkim dniu pracy albo pierwszorzędną belgijską czekoladką z filiżanką świeżo zmielonej kolumbijskiej kawy. Naprawdę.

Pospaliśmy jakąś godzinę, a potem każde wzięło prysznic i wypiliśmy herbatę na naszym balkonie, z którego zniknęło

204

% li

już słońce, i czytaliśmy książki, aż można było zejść do baru na przedkolacyjnego drinka. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy, bo większość rzeczy, które przychodziły nam do głowy, w każdym razie, które mi przychodziły do głowy, nie nadawała się do powiedzenia, zwłaszcza że mieliśmy tam być jeszcze trzy dni, mianowicie jakie to okropne miejsce i jaką katastrofą okazuje się cały ten wyjazd. Byliśmy w hotelu na warunkach demi-pension. Kiedy się wprowadzaliśmy, wręczono nam małe kupony, które musiałeś oddawać przy wejściu do jadalni, olbrzymiej stodoły, gdzie dobre czterysta osób na-pychało się z takim zapałem, jakby występowały w telewizyjnym turnieju jedzenia na czas. Sam sobie brałeś hors d'oeuvres i deser, a danie główne przynosili ci do stolika. Do wyboru był kurczak chasseur i smażona ryba w tartej bułce. Potrawy miały standard stołówek w BBC, były jadalne, ale bez smaku. Wzięliśmy butelkę czerwonego wina, ale piłam głównie ja, bo Laurence zbierał siły do późniejszego występu. Nie można powiedzieć, żeby rozluźniło to atmosferę. Wybraliśmy się na spacer i znów doszliśmy nad brzeg morza, popatrzeć, jak fale zalewają żużel. Potem nie pozostało nam właściwie nic innego, jak pójść do łóżka. Alternatywą był powrót do miasta, a jak Veronicas będzie wyglądało w nocy, mogłam sobie wyobrazić aż nadto łatwo. Więc znów się kochaliśmy i znów zdarzyło się to samo. Laurence miał erekcję, ale nie mógł, jak to się mówi, trysnąć, mimo że podskakiwałam na nim bardzo energicznie. Strasznie się tym przejął, chociaż stwierdziłam, że nic nie szkodzi, szczerze mówiąc, byłam szczęśliwa, nigdy nie lubiłam tego późniejszego powolnego wyciekania w koszulę nocną. Powiedział: „Coś musi być ze mną nie w porządku”. Odparłam: „To nie ty, to ten upiorny hotel i okropne miejsce, zrobiłyby impotentą z każdego”.

Po raz pierwszy od przyjazdu powiedziałam, co naprawdę myślę i Laurence odebrał to jak policzek. „Przepraszam —

205

W

bąknął sztywno. — Zrobiłem, co mogłem”. „Oczywiście, chéri — odrzekłam. — Nie mam do ciebie

pretensji. Winne jest to głupie biuro podróży. Ale dlaczego nie przeniesiemy się gdzieś, gdzie będzie przyjemniej?" „Nie możemy — odparł. — Zapłaciłem za wszystko z góry". Najwyraźniej uważał, że zobowiązaliśmy się kontraktem do spędzenia tam całych czterech dni. Musiałam go przekonywać dłuższą chwilę, że spokojnie możemy sobie pozwolić — on mógł na pewno — na stratę pieniędzy za pozostałe trzy. Zupełnie, jakby duchy jego rodziców wróciły z zaświatów, żeby nie dopuścić do tak skandalicznego marnotrawstwa. „Tak czy inaczej — powiedział — w Playa de las Americas jest tylko jeden hotel pięciogwiazdkowy i wszystkie pokoje są tam zajęte. Biuro podróży sprawdzało". „Muszą być zajęte non stop — odparłam. — Jak ktoś wydebił w Playa de las Americas pięciogwiazdkowy hotel, zabarykadował się pewnie w pokoju i w ogóle nie wychodzi. Ale są chyba jakieś pięciogwiazdkowe hotele w innych miejscowościach?" „Jak byśmy się do nich dostali?" — zapytał Laurence. „Wynajętym samochodem, skarbie" — powiedziałam, czując się tak, jakbym rozmawiała z dzieckiem.

Tak więc, objąwszy ster, wyciągnęłam nas z tej paskudnej dziury nazajutrz po śniadaniu. Laurence chciałby się wymknąć z hotelu cichaczem, ale musieliśmy zapłacić za różne dodatki, więc miałam satysfakcję powiedzenia w recepcji, dlaczego wyjeżdżamy. Nie, żeby się tym przejęli. Wypożyczyliśmy w Avi-sie klimatyzowany samochód i pojechaliśmy w górę wybrzeża do stolicy, Santa Cruz. W życiu nie widziałam tak jałowego i nudnego krajobrazu, zupełnie jak powierzchnia Księżyca podczas fali upałów. Santa Cruz okazało się jednak całkiem miłym miasteczkiem, trochę zapyziałym, ale cywilizowanym. Jest tam jeden naprawdę elegancki hotel, z basenem w pięknym, cienistym ogrodzie i przyzwoitą restauracją. Robert Maxwell zjadł w niej swój ostatni posiłek, zanim rzucił się z jachtu

206

do morza. Gdyby zrobił to w Playa de las Americas, nie byłoby wszystkich tych spekulacji na temat powodów. Te parę dni w Santa Cruz było bardzo przyjemne. W hotelu dali nam olbrzymi, wysoki apartament z marmurową łazienką z oknem, które się otwierało, i wielkim podwójnym łóżkiem, w którym przytulaliśmy się do siebie i zasypialiśmy jak niemowlęta. Nie robiliśmy nic innego. Powiedziałam Laurenceowi: nie ryzykujmy kolejnej débâcle, mój drogi, skoro jest teraz tak miło, i zgodził się całkiem chętnie. Widzisz, doszłam do wniosku, że nie wyjdę za Laurence'a, nawet gdyby mnie o to poprosił, i że nie chcę utrzymywać z nim stosunków seksualnych ani, prawdę powiedziawszy, z nikim. Stwierdziłam, że do końca życia mogę się obejść bez seksu, serdeczne dzięki. Zdałam sobie sprawę, jaka byłam głupia, na okrągło analizując moje małżeństwo z Saulem, zastanawiając się, gdzie popełniłam błąd, dlaczego nie potrafiłam go zadowolić, kiedy naprawdę liczy się tylko to, co zadowala mnie, a oddanie się cielesnie do dyspozycji następnego mężczyzny nie należy do tej kategorii. Mam nadzieję, że uda nam się z Laurenceem wrócić do poprzedniego, niewinnego i towarzyskiego układu, ale jeśli nie, tant pis.

Więc w gruncie rzeczy mój rozpustny weekend wcale nie był taką katastrofą. Naprawdę sądzę, że pomógł mi zobaczyć wiele spraw jaśniej. Zrozumiałam, że wszystko jest ze mną w porządku. Mogę zaakceptować siebie taką, jaka jestem. Nie potrzebuję seksu. Nie potrzebuję mężczyzny. I nie potrzebuję ciebie, Karl, już nie. Tak. To koniec mojej analizy. Mówiłeś mi, że będę wiedziała. I wiem. To była nasza ostatnia sesja. Tak.

Żegnaj, Karl. Wyleczyłam się.

✓ >

*

Louise

Stella?... Mówi Louise... Cześć!... Och, świetnie. A ty?... Oj. Więc dobrze mi się wydawało, że na sekretarce miałaś przygnębiony głos... Słuchaj, przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej, ale byłam potwornie zajęta... Spotkania, spotkania, spotkania... Tak, to ten sam film, tylko teraz nazywa się Serpentyzna. Wiesz, co mówią o Hollywood, że wszystko zabiera tu albo pięć minut, albo pięć lat, i to paskudztwo zapowiada się na pięcioletni wrzód na dupie. Ale mniejsza, dlaczego jesteś w dołku?... Aha... Aha... Tak myślałam... Posłuchaj, skarbie, teraz mi nie podziękujesz za to, co powiem, ale naprawdę będzie ci lepiej bez niego... To prawda, nigdy go nie lubiłam, ale czy nie miałam racji? Czy ci nie powiedziałam: nie ufaj mężczyźnie, który nosi na szyi złoty krzyżyk?... On cię wykorzystał, kochanie... Jak tylko zapłacił za jego leczenie kanałowe i kurs aktorski, rzucił cię... To normalne, że tak się teraz czujesz, ale dojdiesz do siebie, wierz mi, też to przechodziłam. Zaczekaj chwilę, mam drugi telefon. Nie rozłączaj się...

Już. To był Nick, z Nowego Jorku, chciał się tylko zameldować... Tak, na parę dni. Ma klienta, który wystawia sztukę w teatrze off-Broadway. Słuchaj, Stella, chcesz na chwilę zapomnieć o swoich problemach? Opowiem ci przedziwną historię, która mi się wczoraj zdarzyła... No to zdejmij buty, połóż nogi wyżej i nadstaw uszu... Było koło szóstej wieczorem. Właśnie wróciłam z zebrania w Global Artists, wzięłam prysznic, przebrałam się i myślę, czy zrobić sobie coś do żarcia czy

208

I -

może zamówić sushi z Expressu, kiedy dzwoni telefon i słyszę w słuchawce brytyjski akcent: „Halo, Louise, tu Laurence Passmore”. Laurence Passmore? Nie kojarzę ani nazwiska, ani głosu. Więc mówię: „Słucham?”, możliwie neutralnym tonem, a facet chichocze nerwowo i odpowiada: „Chyba disc jockeye nazywają coś takiego odkurzonym przebojem”. „Czy my się znamy?” — pytam i przez jakąś minutę panuje niezręczna cisza, a potem on mówi: „Sąsiedzi? Cztery lata temu?” i wreszcie zaskakuje. To gość, który napisał oryginalną brytyjską wersję Po sąsiedzku... U nich nazywało się to Nasi sąsiedzi. Kiedy pracowałam dla Mediamaxu, kupili prawa i autor przyleciał z Anglii jako konsultant pilota, i ja się nim opiekowałam. Ale „Laurence” brzmiał jakoś obco. „Nie miałaś wtedy inaczej na imię?” — spytałam. „Tubby” — odparł. „Tubby Passmore, oczywiście” — zawołałam. Od razu rozjaśniło mi się w głowie: po pięćdziesiątce, tysawy, krępy. Trochę nieśmiały, ale miły. „Szczerze mówiąc, nigdy nie lubiłem tego przezwiska — stwierdził — ale chyba jestem na nie skazany”. „Cześć — powiedziałam. — Miło, że dzwoniś. Co za interes sprowadza cię do LA?” „Właściwie nie przyjechałem w interesach” — odparł. Angole strasznie często mówią „właściwie”, zauważyłaś? „Na wakacje?” — zapytałam, myśląc, że jest w

drodze na Hawaje czy gdzieś. „Coś w tym rodzaju — powiedział i dodał: — Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś dziś ze mną na kolację”.

Cóż, w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto byłoby to wykluczone. W zeszłym tygodniu wychodziliśmy z Nickiem co wieczór. Co wieczór. Ale Nick wyjechał i nie miałam żadnych planów, więc pomyślałam, a co tam, czemu nie? Wiedziałam, że nic się na tej randce nie wydarzy... Bo kiedy był tutaj poprzednim razem, wystartowałam do niego i nie chciał... Tak... No wiesz, akurat rozstałam się z Jedem i byłam trochę samotna. On też. Ale dał mi kosza, w jak najmiły sposób, bo kochał swoją żonę... Owszem, Stello, tacy mężczyźni

209

istnieją, w każdym razie w Anglii... Kiedy przyjął zaproszenie, mało nie wyskoczył ze skóry. Powiedział, że zatrzymał się w Beverly Wilshire. Pomyślałam sobie, że facet, który na własny koszt mieszka w Beverly Wilshire, jest w moim typie. Zaczęłam się zastanawiać, czy mam wystarczające przebicie, żeby od ręki załatwić dla nas stół u Mortona, ale powiedział: „Chciałbym pójść do tej rybnej restauracji, w której kiedyś byliśmy, przy plaży w Venice”. Nie kojarzyłam, o jaką restaurację mu chodzi, a on nie pamiętał nazwy, ale stwierdził, że ją pozna, więc się zachowałam i powiedziałam, że nas tam zawiozę. Nie przepadam za Venice, ale pomyślałam, że może to i lepiej, że nie zobaczą mnie u Mortona z nieznanym angielskim scenarzystą telewizyjnym — umówmy się, facet nie jest Tomem Stoppardem czy Christopherem Hamptonem ani nikim takim.

Więc włożyłam coś prostego i o umówionej godzinie podjechałam do Beverly Hills po Tubby ego Passmorea. Kręcił się przy drzwiach, więc nie wysiadłam z wozu, tylko zatrąbiłam i pomachałam mu ręką. Potrzebował jakichś dziesięciu minut, żeby mnie zauważyć. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałam, może tylko przytył parę funtów: wielki, kartoflo-waty nos i wianuszek dziecinnych włosków opadających na kołnierz marynarki. Miły uśmiech. Ale nie mogłam pojąć, dlaczego, u licha, chciałam z nim wtedy iść do łóżka. Wsiadł, powiedziałam: „Witaj w LA” i wyciągnęłam rękę, akurat kiedy robił wypad do mojego policzka, więc powstało małe zamieszanie, ale pokryliśmy je śmiechem. Powiedział niemal oskar-życielskim tonem: „Zmieniłaś samochód”. Roześmiałam się i odparłam: „No pewnie. Odkąd tu byłeś, miałam co najmniej pięć wozów”... Nie, to mercedes. Zamieniłam BMW na białego mercedesa z czerwoną skórzaną tapicerką. Wygląda świetnie. Zaczekaj chwilę, mam drugi telefon...

Kurwa, kurwa, kurwa... Przepraszam, po prostu głośno myślę. Dzwonił Lou Renwick z Global Artists. Nasz gwiazdor

210

nie podpisze umowy, jeśli reżyserem nie będzie jego kumpel, a ostatni film jego kumpla był jednym wielkim gównem. Ci ludzie to takie dupki. Wszystko jedno, nie popuszczę. Mam w tym procenty... Tak, ja kupiłam prawa do książki. Na czym skończyłam?... A tak, no więc przyjeżdżamy do Venice i chodzimy tam i z powrotem wzdłuż plaży, lawirując między sur-fiarzami, rolnikami, uprawiaczami joggingu i wyprowadza-czami psów, i szukamy tej restauracji, i w końcu wydaje mu się, że ją znalazł, ale ma złą

nazwę i nie jest zwykłą restauracją rybną, tylko knajpą tajską. Ale kiedy pytamy w środku, mówią, że działają dopiero od roku, więc uznajemy, że to chyba ta. Zresztą mnie też coś się zaczyna przypominać.

Tubby chciał usiąść na zewnątrz, chociaż było trochę chłodno i byłam za lekko ubrana na kolację al fresco... Och, w bluzkę bez rękawów i tę czarną bawełnianą spódnicę ze złotymi guzikami, którą kupiłam rok temu w twoim sklepie. Powiedział, że kiedy poprzednio jedliśmy w Venice, był cudowny zachód słońca, ale wczoraj, jak pamiętasz, było pochmurno, więc siedzenie na dworze nie miało specjalnego sensu, mimo to nalegał. Potem, kiedy kelner spytał, czy się czegoś napijemy, spojrzał na mnie i powiedział: „Whiskey sour, prawda?” Roześmiałam się i odrzekłam, że nie piję już koktajli, poproszę tylko wodę mineralną, na co jakoś dziwnie posmutniał. „Ale napijesz się wina?” — zapytał z niepokojem, i odparłam, że może kieliszek. Zamówił butelkę Napa Valley Chardonnay, co wydało mi się ciut oszczędne jak na faceta, który mieszka w Beverly Wilshire, ale nic nie powiedziałam.

Całą drogę do Venice trajkotałam o Serpentyńce, bo ostatnio o niczym innym nie myślę, no i pewnie chciałam się trochę popisać, dać mu do zrozumienia, że jestem teraz najprawdziwszym producentem filmowym, a nie zwykłym szefem działu w telewizji. Toteż kiedy zamówiliśmy jedzenie, uznałam, że powinnam wreszcie oddać mu głos. „No więc, co u cie-

211

bie słyszeć?” — spytałam i zaczęło się. Kojarzysz ten moment w filmach katastroficznych, kiedy ktoś otwiera przypadkiem jakieś drzwi na statku i miliony ton morskiej wody zbijają go z nóg? Tubby wydał westchnienie, które bardziej przypominało jęk, i z jego ust popłynęła opowieść o łańcuchu nieszczęść. Powiedział, że żona chce się z nim rozwieść, spółka telewizyjna chce mu odebrać jego serial, a w dodatku ma chroniczny uraz kolana. Podobno żona opuściła go zniecka, a po dwóch tygodniach wróciła do domu i prowadzą teraz tak zwane „oddzielne gospodarstwa”. Co znaczy, że nie tylko mają oddzielne sypialnie, lecz także muszą korzystać z kuchni i pralki na zmianę. Zdaje się, że brytyjskie prawo rozwodowe przywiązuje wielką wagę do prania... Tak. Tubby mówi, że gdyby świadomie uprała mu skarpetki, jej pozew straciłby ważność. Jest to mało prawdopodobne, bo nawet się do siebie nie odzywają, kiedy spotkają się na schodach. Posyłają sobie memoranda, jak Korea Północna i Południowa... Nie. Podejrzewa, że jest ktoś inny, ale ona mówi, że po prostu nie chce być dłużej jego żoną. Ich dzieci są już dorosłe... Nauczycielką w collegeu czy kimś takim. Tubby powiedział, że kompletnie go tym zastrzeżiła... Prawie trzydzieści lat — wyobrażasz sobie? Nie sądziłam, że zostali na świecie jacyś ludzie, oprócz staruszków w Złotej Jesieni, którzy są ze sobą od trzydziestu lat. Najbardziej chyba wkurzyło go to, że przez cały ten czas ani razu jej nie zdradził. „Nie, żeby mnie nie kusiło — powiedział. — Sama o tym wiesz, Louise”. I posłał mi długie, czułe spojrzenie tych swoich bladoniebieskich, przekrwionych oczu.

Mówię ci, dostałam gęsiej skórki na całym ciele, i to nie dlatego, że od oceanu zawiął wiatr. Nagle zdałam sobie sprawę, o co chodzi w tej randce. Dotarło do mnie, że właśnie w tej restauracji próbowałam go uwieść te cztery czy ile tam lat temu... Tak! Wszystko zaczęło mi przelatywać przez głowę jak retro-spekcja w starym film noir. Zjedliśmy miłą kolację z butelką

212

wina i między daniami wymknęłam się do toalety na małego sztacha... Tak, w tamtych czasach zażywałam. Zawsze miałam w torebce działkę głównej kolumbijskiej uprawy eksportowej. Ale Tubby nie bawił się w te rzeczy. Kiedy na przyjęciu ktoś proponował mu kokę, myślał, że chodzi o napój. Sądził, że „na-ćpać się” znaczy za dużo zjeść. Bał się nawet zapalić trawkę, więc nie puściłam farby, że wącham kokainę. Dziwne, że się nie domyślił, po tym jak się śmiałam z jego angielskich żarcików. Tak czy inaczej, byłam nawalona i napalona, a naprzeciwko siedział miły, schludny Anglik, który wyraźnie na mnie leciał, ale był zbyt porządny albo zbyt nieśmiały, żeby coś z tym zrobić, więc przejęłam inicjatywę. Podobno powiedziałam, że chciałabym zabrać go do domu i pieprzyć się do upadłego... Tak, dokładnie zacytował moje słowa. Miał je wyryte w pamięci. Teraz rozumiesz? Cała ta randka była reprzyzą tamtej. Restauracja w Venice, stolik na dworze, Napa Valley Char-donnay. To dlatego tak się zmartwił, że zmieniałam samochód, że restauracja rybna stała się restauracją tajską i że nie piję już whiskey sour. To dlatego się uparł, żebyśmy usiedli na zewnątrz. Starał się odtworzyć okoliczności tamtego wieczoru sprzed czterech lat możliwie najdokładniej we wszystkich szczegółach. We wszystkich szczegółach oprócz jednego... Właśnie! Teraz, kiedy opuściła go żona, chciał skorzystać z mojej propozycji. Przyleciał aż z Anglii specjalnie w tym celu. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że w tym czasie moja sytuacja mogła się zmienić, nie mówiąc już o nastroju. Chyba w jego wyobraźni nadal siedziałam przy tym stoliku nad oceanem, wpatrując się tęsknie w horyzont, czekając, aby powrócił, zwolniony z przysięgi małżeńskiej, i porwał mnie w ramiona. Chwileczkę, mam drugi telefon...

Już. Jak myśmy żyli, zanim wynaleziono dwuliniowe aparaty? Dzwonił agent Glorii Fawn. Odrzuciła rolę w Serpentyńce. Też mi nowina, pewnie nawet nie pokazał jej scenariusza.

213

4,-

Och, pieprzę ich wszystkich... A tak, więc jak mówiłam, naprawdę mnie zamurowało, że facet przeleciał sześć tysięcy mil, bo zmienił zdanie co do propozycji sprzed czterech lat. Zupełnie jakbyś poprosiła kogoś o sól, a on cztery lata później zjawił się z solniczką. Tak czy owak, pomyślałam sobie, że im szybciej ściągnę go na ziemię, tym lepiej, więc kiedy chciał mi dolać wina, przykryłam kieliszek dłonią i powiedziałam, że się ograniczam, bo próbuję zająć w ciężę i jeśli mi się to uda, będę musiała całkiem przestać pić... Tak. Stwierdziłam, że już pora. Mój biologiczny zegar tyka, Nick o niczym innym nie marzy... Dzięki, Stella. Liczę na ciebie w kwestii eleganckich strojów ciężowych. W każdym razie, po tym tekście Tubby Passmore odstawił butelkę, ale nadal nic nie kapował. Chyba przez moment myślał, że chcę mieć dziecko z nim... Możesz się śmiać, ale facet jest nie z tej planety, mówię ci. Więc wyjaśniłam, że jestem z Nickiem, i wtedy, w jednej chwili, skurczył się jak przekłuty balonik. Myślałam, że zacznę płakać do swojej zupy krewetkowej. Zapytałam go: „Co się stało?”, chociaż świetnie wiedziałam, a on zacytował mi Kierkegaarda... Jakiś skandynawski filozof... Powiedział: „Najstraszniejsza rzecz, jaka może człowieka spotkać, to stanie się śmiesznym we własnych oczach w kwestii zasadniczej wagi”... Tak. Później to sobie zapisałam.

Cóż, jak łatwo się domyślić, wieczór był popsuty na amen. Tubby pił za nas dwoje, ja za nas dwoje mówiłam. Było mi faceta naprawdę żal, więc powiedziałam mu o prozacu. Możesz mi wierzyć albo nie, nigdy o nim nie słyszał. Potrząsnął głową i stwierdził, że nie bierze środków uspokajających. „Miałem

kiedyś przykre doświadczenie z valium" — powiedział. Valium! Wyobrażasz sobie? Ten człowiek żyje w farmaceutycznej epoce kamienia. Wyjaśniłam mu, że prozac nie jest środkiem uspokajającym ani zwykłym antydepresantem, tylko zupełnie nowym lekiem-cud. Nawijałam jak agent reklamowy... Jasne,

214

»

->

skarbie, a ty nie? Myślałam, że robi to całe Hollywood... Nick i ja jesteśmy jego fanami. Przyczepiliśmy do ściany w kuchni wykres, który nam mówi, kiedy mamy zażywać nasze zielo-no-białe kapsułki. Prozac zmienił moje życie... Nie, nie cierpiałam na depresję, nie musisz być w depresji, żeby go brać. Na przykład cudownie dodaje ci pewności siebie. Bez niego nigdy bym się nie odważyła odejść z Mediamaxu... Tak, czytałam ten artykuł w „Timie”, ale nic takiego mi się nie zdarzyło. Powinnaś spróbować, Stella, naprawdę... No cóż, przynajmniej, jest jeden efekt uboczny. Prozac utrudnia osiągnięcie orgazmu. Ale nie masz w tej chwili kochankę, więc co ci zależy?... Oczywiście, że nie, Stella, ale przynajmniej poczułabyś się lepiej... Jak uważasz, skarbie, każdy ma własne sposoby na wychodzenie z dołka... Och, odwiozłam go do Beverly Wilshire i po drodze usnął. Albo załatwił go alkohol, albo zmiana czasu, albo rozczarowanie, albo wszystko naraz. Portier otworzył mu drzwi, pocałowałam go w policzek, wypchnęłam z samochodu i popatrzyłam, jak wczłapuje do hallu. Było mi go żal, ale co mogłam zrobić?... Nie wiem, pewnie wsiądzie w pierwszy samolot do Londynu... Naprawdę?... Czyja wiem. Mogę go spytać, jeśli chcesz.... Jesteś pewna, że to dobry pomysł, Stella?... Skoro tak twierdzisz. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie umawiam cię z angielskim odpowiednikiem Warrena Beatty?... Och, jest bardzo czysty, o to możesz się nie martwić. Zaraz do niego zadzwonię i powiem, że mam superatrakcyjną wolną przyjaciółkę, która marzy o tym, żeby go poznać... Zdzwonimy się.

Ollie

Cześć, George, co słyhać w Sprawach Bieżących? To świetnie. Och, jakoś ciągnę, ale ledwo ledwo. Z chęcią, dobrze mi robi. Bass z beczki. Niech będzie duży. Dzięki. Tak, mam fatalny dzień. Moja sekretarka jest chora, nawalił nam faks, BBC sprzątnęło mi sprzed nosa pewien kanadyjski serial, a jakiś pieprzony adwokat chce nas skarżyć, bo ma takie samo nazwisko jak skorumpowany prawnik w tym odcinku Patrołu drogowego — widziałeś go? Nie, dwa tygodnie temu. Ach, dziękuję, Gracie. I paczkę chipsów bekonowych. Nie, nie, George, pozwól mi zapłacić za chipsy. No dobrze, skoro nalegasz. Dzięki, Gracie. Zdrówko, George. Ach. Tego mi było trzeba. Co? Och, pewnie damy mu w łapę parę kawałków, na dłuższą metę wyjdzie to taniej. Usiądziemy? Tam, w kącie. W tym lokalu trzeba siedzieć plecami do ściany, mniejsza szansa, że ktoś cię podsłucha. Tak lepiej. Poczęstuj się chipsem. Jeśli mi się uda paskudztwo otworzyć. Powinni wynaleźć jakiś przyrząd do otwierania tych plastikowych torebek, coś kieszonkowego, w rodzaju obcinarki do cygar. Kiedyś opatentuję ten pomysł i zbiję majątek. Aj! Teraz rozumiesz? Albo w ogóle nie chcą się otworzyć, albo pękają pośrodku i cała zawartość ląduje ci na kolanach. Ale częstuj się. Niedawno widziałem w pubie, jak jeden facet, przysięgam na Boga, stoczył z

paczką chipsów Waltona regularną walkę. Złamał sobie paznokieć, próbując ją rozedrzeć, omal nie stracił zęba, próbując ją przegryźć, i w końcu z desperacji podpalił ją zapalniczką. Wcale nie żartuję. Chy-

216

ba chciał stopić róg torebki, ale sfajczyła się cała, ziuuu, opaliła facetowi brwi i zatrula powietrze smrodem oleju od frytek. Poważnie. I teraz, gdybyśmy chcieli to puścić w telewizji, nie moglibyśmy powiedzieć „chipsy Waltona”, bo rzuciliby się na nas jak wściekłe psy, i w sumie mieliby rację, ale do czego to podobne, żebyś musiał sprawdzać nazwiska wszystkich cholernych adwokatów w kraju, nim zatwierdzisz scenariusz do produkcji. Niezłe to piwo.

Tak, to naprawdę fatalny dzień. Do tego wszystkiego widziałem się z Tubbym Passmore'em. Kompletny szajbus. Mam z nim w tej chwili krzyż pański. Chyba wiesz o Debbie Rad-clifFe? Och, myślałem, że Dave Treece wprowadzi cię w temat. No więc zatrzymaj to dla siebie, ale Debbie odchodzi z Sąsiadów. Tak. Jeszcze jak poważny. Jej umowa wygasa z końcem bieżącej serii i nie chce jej przedłużyć za żadne pieniądze, głupia krowa. Nie mam pojęcia, mówi, że zamierza wrócić na scenę. Naprawdę? Skąd mógłbym wiedzieć, nigdy nie chodzę do teatru, chyba że muszę. Nie cierpię tego. Czuję się, jakby mnie przywiązano do fotela przed telewizorem, w którym leci tylko jeden kanał. W dodatku nie można rozmawiać, nie można jeść, nie można pić, nie można iść się odlać, nie można nawet założyć nogi na nogę, bo nie ma miejsca. I bulisz za tę przyjemność dwadzieścia funtów. Tak czy inaczej, Debbie jest nieugięta, więc musimy wypisać jej rolę z serialu. Jak wiesz, nadal ma świetną oglądalność. Absolutnie. Przynajmniej jedna, prawdopodobnie dwie albo trzy. Więc poprosiliśmy Tubby ego, żeby przeredagował parę ostatnich odcinków bieżącej serii i jakoś usunął Priscillę, no wiesz, postać, którą gra Debbie, żebyśmy w serii następnej mogli wyswatać Edwarda z nową kobietą. Podrzuciliśmy mu parę pomysłów, ale nie chciał się zgodzić na żaden. Powiedział, że może ją tylko zabić. W wypadku samochodowym albo na stole operacyjnym, obojętne. Tak, w głowie się nie mieści, prawda? Cały cholerny kraj wyptała-

217

by sobie oczy. Debbie musi odejść w taki sposób, żeby widzowie się nie zmartwili, to chyba oczywiste. Nie zrozum mnie źle, nie twierdzę, że sprawa jest prosta. Ale jeśli te dwadzieścia siedem lat pracy w telewizji czegoś mnie nauczyło, to tego, że zawsze jest jakieś wyjście. Nieważne, gdzie powstał problem, czy chodzi o scenariusz, czy o obsadę, czy o plenery, czy o budżet, zawsze jest jakieś wyjście — jeśli porządnie ruszysz głową. Kłopot w tym, że większość ludzi jest za leniwa. Tylko nazywają to integralnością. Tubby powiedział, że wolałby zobaczyć, jak serial schodzi z anteny, niż naruszyć integralność swoich bohaterów. Słyszałeś kiedyś podobną bzdurę? To jest sitcom, na litość boską, nie jakiś pieprzony Ibsen. Mam obawy, że Tubby popadł w manię wielkości, jego najnowszy pomysł... A tak, na szczęście odkryliśmy, że jeśli Tubby odmówi napisania kolejnej serii, zgodnie z kontraktem możemy zatrudnić innego scenarzystę. Tak. Ale to ostateczność. Wolelibyśmy Tubby ego. Och, pieprzę jego prawa moralne, George! Po prostu on zrobiłby to lepiej niż ktokolwiek inny, gdyby tylko zechciał się postarać. W tej chwili sprawa jest w zawieszeniu. Ma pięć tygodni, żeby znaleźć jakiś rozsądny sposób na pozbycie się Debbie albo bierzemy innego scenarzystę. Nie wiem, nie jestem najlepszej myśli. Ostatnio Tubby niezupełnie chodzi po ziemi. Ma cholerne kłopoty osobiste. Wiesz, że opuściła go żona? Tak. Zadzwonił do mnie któregoś wieczoru, do domu, bardzo późno. Był chyba trochę pijany — no wiesz, ciężko

oddychał i robił długie przerwy między słowami. Oznajmił, że ma pomysł na wypisanie Debbie z serialu. „A gdyby tak — powiedział — a gdyby tak Priscilla po prostu odeszła od Edwarda bez uprzedzenia? A gdyby tak po prostu oświadczyła mu w ostatnim odcinku, że nie chce być dłużej jego żoną? Nie chodzi o innego mężczyznę. Po prostu już go nie kocha. Już go nawet nie lubi. Mówi, że życie z nim przypomina życie z zombie. Więc postanowiła go opuścić”. Powiedziałem mu: „Nie

218

bądź śmieszny, Tubby. Nikt w coś takiego nie uwierzy. To żadna motywacja”. „Naprawdę?” — spytał i odłożył słuchawkę. A potem się dowiaduję, że rzuciła go żona. Widziałeś ten artykuł w „Public Interest”? No właśnie, w tym cała rzecz. Nie chodziło o innego mężczyznę. Facet był gejem. Wygląda na to, że żona Tubby ego odeszła, bo — jak powiedział — po prostu nie chciała z nim dłużej być. Bardzo się tym przejął. Co jest zresztą całkiem naturalne. Napijesz się jeszcze? To samo? Co to było, firmowe czerwone? Och, Saint Emilion, racja. Naprawdę uważasz, że jest warte tej ceny? Nie, nie, dostaniesz swoje Saint Emilion, George. Nigdy nie twierdziłem, że znam się na winach. Sto czy dwieście? Ja powtórzę piwo, małe, muszę dziś jeszcze popracować. Och, słusznie. Wezmę sobie pasztecik, a ty? Z kurczakiem i pieczarkami, dobrze.

Proszę bardzo. Dwieście gramów Saint Emilion. Zawołają nas, jak paszteciki będą gotowe. Mamy dziewiętnastkę. Byłem niedawno w pubie, gdzie zamiast tych szatnianych numerków dają karty do gry. Barmanka woła „królowa kier” albo „dziesiątka pik” czy co tam. Sprytny pomysł, moim zdaniem. Zawsze gubię te małe dinksy i zapominam, jaki miałem numer. Aha, twój pasztecik kosztował funt dwadzieścia pięć. Och, dzięki. Nie mam więcej drobnych, będę ci krewny dziesięć penów, zgoda? Zdrówko. A tak, no więc, umówił się ze mną na dziś rano. Myślałem, że może go olśniło, jak wyeliminować postać Debbie, ale gdzie tam. Okazało się, że chce spróbować swoich sił w regularnym dramacie. Tak. Nie uwierzysz, George. Chce zrobić serial o jakimś Kikkigardzie. Och, tak się to wymawia? Więc słyszałeś o nim? Tak, zgadza się, duński fi-ozof. Co jeszcze o nim wiesz? Ja przed rozmową z Tubbym nie wiedziałem nawet tyle. Kompletnie zbaraniałem, A — że zainteresował się takim tematem, B — że pomyślał, że zainteresuje nim nas. Spytałem go bardzo powoli: „Chcesz napisać dla Heartland Television scenariusz serialu dramatycznego

219

o duńskim filozofie?” Rozumiesz, gdyby powiedział, że chodzi o serial o duńskich parówkach, nie zabrzmiałoby to bardziej idiotycznie. A on po prostu skinął głową. Jakoś mi się udało nie parsknąć mu śmiechem w twarz. Już nieraz to przechodziłem ze scenarzystami od komedii. Wszystkim w końcu przewraca się w głowie. Chcą zrezygnować z publiczności w studiu albo pisać o problemach społecznych. Parę tygodni temu Tubby wtrzyknął do scenariusza wzmiankę o aborcji. Wyobrażasz sobie — aborcja w sitcomie! Wtedy musisz albo ich udobruchać, albo odesłać do diabła. Nadal mam nadzieję, że Tubby się opamięta co do Sąsiadów, więc spróbowałem go udobruchać. Powiedziałem: „Dobra, Tubby, sprzedaj mi ten pomysł, streść intrygę”.

No więc, intrygi nie miało to praktycznie żadnej. Ten cały, jak mu tam, Kierkegaard, był synem bogatego kopenhaskiego kupca. Czas akcji — epoka wiktoriańska, wczesna. Stary był smutnym kutasem, zżeranym przez poczucie winy, i także wychował swoje dzieci, w duchu bardzo surowego protestantyzmu. Jako

młody człowiek Kierkegaard trochę sobie poszalał. „Uważa się, że mógł raz pójść do burdelu” — powiedział Tubby. „Tylko raz?” — zapytałem. — „Czuł się potem okropnie winny — odparł Tubby. — Było to prawdopodobnie jego jedyne doświadczenie seksualne. Później zaręczył się z dziewczyną imieniem Regina, ale zerwał zaręczyny”. „Dlaczego?” — zapytałem. „Uznał, że nie byłiby ze sobą szczęśliwi — wyjaśnił. — Kierkegaard cierpiał na poważną depresję, jak jego ojciec”. „Widzę, Tubby, że nie będzie to serial komediowy” — powiedziałem. „Nie — odparł, bez cienia uśmiechu. — To bardzo smutna historia. Kiedy zerwał zaręczyny, czego nikt nie mógł zrozumieć, wyjechał na jakiś czas do Berlina i napisał tam książkę pod tytułem Albo-albo. Potem wrócił do Kopenhagi, mając cichą nadzieję, że pogodzi się z Regimą, ale ona zaręczyła się już z kimś innym”. Umilkł i popatrzył na

220

mnie tak żałośnie, jakby była to największa tragedia w historii świata. „No dobrze — powiedziałem. — A co robił potem?” „Napisał dużo książek — odparł Tubby. — Z racji swojego wykształcenia mógł zostać pastorem, ale nie zgadzał się z traktowaniem religii jako kariery. Na szczęście odziedziczył po ojcu znaczny majątek”. „Z tego, co mówisz, było to jedyne szczęście, jakie go spotkało” — stwierdziłem. Och, powiedziała dziewiętnaście, George? Tutaj, skarbie, to my. Jeden z wołowiną i nerką, jeden z kurczakiem i pieczarkami, zgadza się. Cudownie. Dzięki. Szybka obsługa. Oczywiście podgrzali je w mikrofalówce. Lepiej uważaj przy pierwszym gryzie, te cholerne paszteciki mogą poparzyć człowiekowi język. Są w środku gorętsze, niż się wydają. Mm, niezły. A twój? To dobrze. No i tak. Tubby Passmore, wiem. Spytałem go, czy Kierkegaard zdobył sławę za życia. „Nie — odparł. — Jego książki uważano za dziwne i niezrozumiałe. Wyprzedził swoją epokę. Był prekursorem egzystencjalizmu. Występował przeciwko holistycznemu idealizmowi Hegla”. „To mi nie brzmi jak temat na serial rozrywkowy nadawany w porze najlepszej oglądalności, Tubby” — zauważyłem. „Książki potraktowałbym pobieżnie — stwierdził. — Skupiłbym się na jego miłości do Reginy. Nie potrafił o niej zapomnieć, nawet kiedy wyszła za mąż”. „I co się stało? — zapytałem. — Miał z nią romans?” Moja sugestia wyraźnie go zgorszyła. „Nie, nie — odparł. — Widywał ją w różnych miejscach w Kopenhadze, w tamtych czasach była to dziura, ale nigdy więcej z nią nie rozmawiał. Pewnego razu spotkali się twarzą w twarz w kościele i myślał, że ona coś powie, ale nie powiedziała i on też się nie odezwał. Byłaby to wspaniała scena — ciągnął. — Olbrzymie emocje, nie pada ani jedno słowo. Same zbliżenia. I oczywiście muzyka”. Podobno wtedy mieli największą szansę znowu się zejść. Kiedy Kierkegaard poprosił jej męża o zgodę na korespondencję z nią, został załatwiony odmownie. „Ale kochał ją do

221

końca życia — powiedział Tubby — Zapisał jej w testamencie wszystko, co posiadał, aczkolwiek kiedy umierał, było tego niewiele”. Spytałem, na co umarł. „Na zapalenie płuc — odparł. — Ale według mnie zabiło go złamane serce. Stracił wolę życia. Nikt nie rozumiał jego cierpienia. Gdy leżał na łożu śmierci, jego wuj powiedział, że cała choroba mu przejdzie, jeśli tylko przestanie się garbić. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata, kiedy umarł”. Zapytałem, czym gość się zajmował oprócz pisania książek. Odpowiedź brzmiała, właściwie niczym, poza tym, że jeździł powozem na wieś. Odezwałem się: „Gdzie jest napięcie, Tubby? Gdzie suspens?” Zrobił wielkie oczy. „To nie jest thriller” — powiedział. „Ale

twojemu bohaterowi musi coś zagrażać" — nalegałem. „No cóż — odparł — w pewnym momencie zaatakowało go jakieś pismo satyryczne. Bardzo przez to cierpiał. Żartowali z jego spodni". „Z jego spodni?" — spytałem. Mówię ci, George, przez cały czas walczyłem ze sobą, żeby zachować powagę. „Tak, wydrukowali jego karykatury, na których miał jedną nogawkę krótszą". Jak tylko powiedział „karykatura", przypomniał mi się ten rysunek w „Public Interest" i od razu mnie oświeciło. Tak. Facet zaczął się jakoś dziwnie identyfikować z tym całym Kierkegaardem, co jest pewnie związane z jego problemami małżeńskimi. Ale siedziałem cicho. Podsumowałem tylko tę historię, tak jak mi ją sprzedał. „Dobrze, Tubby, chcę się upewnić, czy wszystko kapuję — powiedziałem. — Mamy dziewiętnastowiecznego duńskiego filozofa, który zaręcza się z laską imieniem Regina, z niejasnych powodów zrywa zaręczyny, ona wychodzi za innego faceta, nigdy więcej ze sobą nie rozmawiają, on żyje jeszcze dwadzieścia parę lat i pisze książki, których nikt nie rozumie, w końcu umiera i sto lat później zostaje okrzyknięty ojcem egzystencjalizmu. Naprawdę uważasz, że jest to materiał na serial telewizyjny?" Zastanowił się chwilę, a potem powiedział: „Może długi metraż byłby lepszy". „Dużo

222

lepszy — przytaknąłem. — Ale, oczywiście, to nie mój resort. Musiałbyś porozmawiać z Alekiem Woosnamem". Uznałem, że to całkiem sprytnie posunięcie, odesłać go, żeby potruł o Kierkegaardzie Alecowi. Nie, jasne, że Alec tego nie kupi, nie żartuj! Ale podpuści Tubby ego, jeśli go poproszę. Każe mu napisać wstępną wersję scenariusza, pogadać z ludźmi z Channel Four i tak dalej. Jeśli udamy zainteresowanie Kierkegaardem, może pójdzie nam na rękę z rolą Debbie w Sąsiadach. Nie, nie ma redaktora. Po pierwszej serii uznaliśmy, że to zbyt techniczne. Składa scenariusze bezpośrednio mnie i Halowi i pracujemy nad nimi razem. Nie sądzę, żeby był zachwycony, gdybyśmy znów mu kogoś przydzielili. Ale jest to jakaś myśl, George, zdecydowanie jakaś myśl. Jeszcze jedno? Czy ja wiem, właściwie nie powinienem, ale po tym paszteciku okropnie mnie suszy, musieli go przesolić. Och, niech będzie duże. Dzięki.

Samantha

Hetty, kochanie, jak się czujesz? O rany, chyba nie muszę pytać. Biedactwo. Masz szczękę spuchniętą jak dynia. Pewnie jesteś zdziwiona, że mnie widzisz. Zadzwoiłam do ciebie i twoja współlokatorka powiedziała mi, że tu jesteś, a że byłam w okolicy, pomyślałam, że wpadnę, chociaż to nie pora odwiedzin. Chyba mnie nie wyrzuca, co? W ogóle nie możesz mówić? Ojej, straszna szkoda. Miałam taką ochotę na miłą pogawędkę. No trudno, będziesz po prostu kiwać i kręcić głową, kochanie, i grać oczami jak dobra aktorka telewizyjna. Przyniosłam ci winogrona, gdzie je położyć? Tutaj? Są myte, więc się częstuj. Nie? Nie możesz nic jeść? Zęby mądrości to przekleństwo. Krzywo ci rósł? Dwa? Nic dziwnego, że tak marnie wyglądasz. Mmm... są pyszne. Bez pestek. A gdybym zdjęła ci skórę...? Nie? Jak uważasz. Bardzo cierpisz? Pewnie cię na-faszerowali środkami przeciwbólowymi. Jak tylko przestaną działać, musisz zażądać następnych. W szpitalach okropnie ich skąpią, są zdania, że ból oznacza poprawę. Czyli muszę mówić za nas dwie. Na szczęście mam o czym. Właśnie wróciłam z najdziwniejszego weekendu w moim życiu i umieram z niecierpliwości, żeby opowiedzieć o nim komuś spoza pracy. Ale przede wszystkim, mam nowe zajęcie w Heartland, prawdziwe zajęcie. Od zeszłego tygodnia jestem redaktorem w dziale scenariuszy. Zasadniczo polega to na tym, że czytasz pierwsze wersje tekstów, robisz uwagi i

sugestie, i ogólnie biorąc, pełnisz rolę bufora między scenarzystą i producentem albo

224

reżyserem. Pamiętasz, byłam opiekunką tego gówniarza Marka Harringtona z Sąsiadów? No więc teraz pracuję z autorem scenariusza, Tubbym Passmoreem. Rób sobie miny, Hetty, ale trzynaście milionów ludzi nie może się mylić, nie w telewizji. Tubby sam o mnie poprosił. Poznałam go dzięki tej opiece nad Markiem — spotykaliśmy się na próbach, w bufecie i tak dalej. Zawsze był bardzo uprzejmy, ale raczej nieśmiały. Zaliczyłam go do roślinożerców. Nie wiem, czy wiesz, ale według mnie istnieją dwa rodzaje mężczyzn — roślinożercy i mięsożercy. Chodzi mi o sposób, w jaki na nas patrzą. Przez te moje piersi przyciągam dużo spojrzeń. Pamiętam, Hetty, jak mówiłaś w szkole, że byłabyś gotowa zabić, żeby mieć takie same, ale ja naprawdę oddałabym wszystko za taką figurę jak twoja. Poważnie. Na płaskich kobietach o wiele lepiej leżą ubrania. Oczywiście nie jesteś całkiem płaska, skarbie, ale rozumiesz, co mam na myśli. W każdym razie, jedni mężczyźni po prostu przyglądają ci się z uznaniem, jakbyś była jakąś rzeźbą czy czymś, i to są roślinożercy, chcą tylko napaść oczy, a drudzy patrzą w taki sposób, jakby mieli ochotę zedrzyć z ciebie ciuchy i zatopić ci zęby w ciele, i to są mięsożercy. Jake Endicott jest mięsożercą. To mój agent. Tubby ego zresztą też. I Ollie Silvers, producent Sąsiadów. Kiedy pewnego dnia rozmawiałam z Tubbym o moich pisarskich ambicjach, stwierdził, że powinnam poprosić Olliego o parę scenariuszy do przeczytania i oceny, no wiesz, z tych niezamówionych, takiej makulatury. Poszłam się z nim zobaczyć ubrana w moją kremową lnianą garsonkę bez bluzki i przez całą rozmowę usiłował mi zajrzeć w dekolt, żeby sprawdzić, czy mam coś pod spodem. Wyszłam z jego gabinetu z plikiem scenariuszy. Widzę w twoich oczach dezaprobatę, Hetty, ale obawiam się, że mam do tego całkowicie postfeministyczny stosunek. Według mnie kobiety popełniają wielki błąd, robiąc tyle hałasu o molestowanie seksualne. To prowadzi do jednostronnego rozbrojenia. Żyjemy w świecie mężczyzn i musi-

225

9

my używać wszystkich sposobów i środków, jakimi dysponujemy. Chyba nie powinnaś tak mocno kręcić głową, skarbie, jeszcze ci się poprują szwy. Może w administracji państwowej wygląda to inaczej, nie wiem. Jak mówię, myślałam, że Tubby jest zaprzysięgłym roślinożercą. Jeśli siedzieliśmy przy jednym stoliku w bufecie czy w barze, gawędził ze mną po ojcowsku i nigdy się do mnie nie przystawiał, nawet żartem. Ścisłe biorąc, jest w takim wieku, że mógłby być moim ojcem. Raczej tęgi, jak wskazuje przezwisko. Łysawy. Duża, jajowata głowa. Przypomina mi Humpty'ego Dumptyego z obrazków w egzemplarzu Alicji w Krainie Czarów, który miałam jako dziecko. Przyznam się bez bicia, byłam dla niego miła z czystej interesowności. Boże, muszę przestać jeść twoje winogrona. Jeszcze tylko jedno. No więc, jak już mówiłam, Tubby zawsze wydawał się całkowicie odporny na moje wdzięki, co nawet mnie trochę drażniło, ale nieoczekiwanie wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Było to po tym, jak rozpadło się jego małżeństwo — zapomniałam ci powiedzieć, jakiś miesiąc czy dwa temu opuściła go żona. Krążyło mnóstwo plotek — że okazała się lesbijką, że wyjechała do aśramy albo że zastała go w łóżku z

nauczycielem tenisa. Wszystkie wysane z palca, jak się później dowiedziałam. Przez parę tygodni prawie go nie widywaliśmy. Aż pewnego dnia zjawił się na próbie, w obskurnej norze Heartlandu w Pimlico, i natychmiast do mnie wystartował. Bez żadnego ostrzeżenia. Pamiętam, jak popchnął wahadłowe drzwi i stał w progu, rozglądając się po sali, póki mnie nie wypatrzył, a potem podszedł prosto do mnie i klapnął na sąsiedni fotel, ledwo racząc powiedzieć dzień dobry Halowi Lipkinowi, to reżyser, i aktorom. Deborah Radcliffe uśmiechnęła się do niego, ale minął ją jak powietrze, czym nie była zbyt zachwycona. Widziałam, że posyła nam mordercze spojrzenia. Tubby wyglądał koszmarnie. Błady. Nieogolony. Wymięte ubranie. Okazało się, że właśnie wrócił z LA i przy-

226

jechał na próbę prosto z Heathrow. Stwierdziłam, że dowodzi to wielkiego poświęcenia, i wytrzeszczył na mnie oczy, jakby nie rozumiał, o czym mówię, więc dodałam: „No wiesz, że przyszedłeś na próbę, chociaż musisz być wykończony”. „Och, do diabła z próbą” — odparł i niemal jednym tchem zapytał, czy pójdę z nim wieczorem na kolację. Byłam wprawdzie umówiona z Jamesem do kina, ale machnęłam na to ręką. Rozumiesz, jeśli sławny, przynajmniej w kategoriach telewizyjnych, scenarzysta zaprasza na kolację takie zero jak ja, to idziesz. Jeśli nie chcesz być zerem do końca życia, idziesz. Tak to działa, skarbie, wierz mi. Nawiasem mówiąc, James myśli, że spędziłam ten ostatni weekend u mojej babci w Torquay, pamiętaj o tym, gdybyś go przypadkiem spotkała, dobrze? No więc Tubby zabrał mnie do Gabriellogo, takiej małej włoskiej restauracji w Soho. Najwyraźniej był stałym klientem, bo przyjęli go z otwartymi ramionami, jak marnotrawnego syna — cały personel oprócz żony właściciela, która z jakiegoś powodu spoglądała na mnie wilkiem. Tubby napawał się ich atencją, póki ta kobieta nie podeszła do nas, żeby położyć na stoliku pieczywo, i nie odezwała się, patrząc na mnie: „To pana córka, signor Passmore?” Tubby strasznie poczerwieniał i zaprzeczył, a wtedy ona spytała: „Jak się czuje signora Amy?” Tubby poczerwieniał jeszcze bardziej i odparł, że od jakiegoś czasu jej nie widział, a ta wścibska stara małpa uśmiechnęła się z widoczną satysfakcją i odplynęła do kuchni. Tubby wyglądał jak Humpty Dumpty po upadku z muru. Bąknął, że czasem jada tutaj z Amy Porteus, kierowniczką obsady Sąsiadów. Spotkałam ją parę razy. Niska brunetka przy kości, chyba dobrze po czterdziestce, zawsze trochę za bardzo odstawiona i zlana perfumami. Zażartowałam, że najwyraźniej nie ma zwyczaju sprowadzać tu tabunów młodych kobiet. Mruknął, że nie, rzeczywiście, i spytał, czy się czegoś napiję. Wzięłam Campari z wodą sodową, a on samą wodę. Streściłam mu mój

227

pomysł na soap; cały czas kiwał głową i na koniec powiedział, że brzmi to interesująco, ale miałam wrażenie, że wcale mnie nie słuchał. Co, kochanie, czegoś nie rozumiesz? Pokaż to. Och! Nie na zupeł, na soap, no wiesz, jak Eastendersi*, tyle że mnie chodzi raczej o Westendersów. Spytałam go, czy był w LA w interesach, i powiedział: „Częściowo”, ale nie wyjaśnił, na czym polegała ta druga część. Podali nam zupełnie przyzwoite żarcie i Tubby zamówił butelkę Chianti, które miało być nadzwyczajne, ale prawie go nie tknął, bo, jak powiedział, z powodu zmiany strefy czasowej bał się, że mógłby usnąć. Przy kawie dość niezdarne skierował rozmowę na seks. „Nie masz pojęcia — zaczął — jak w czasach mojej młodości musieliśmy tłumić popęd seksualny. Porządne dziewczyny po prostu nie uprawiały seksu, więc porządni

chłopcy nie mogli, na ogół. Kraj był pełen dwudziestopięcioletnich dziewcząt obojga płci. Przypuszczam, że trudno ci w to uwierzyć. Ty pewnie bez namysłu przespałabyś się z kimś, kto ci się podoba, prawda?" Odparłam... Co? Och, racja, będę mówiła ciszej. Te łóżka stoją dość blisko siebie, nie uważasz? Co jej jest? Pokaż to. Wyrostek? Nie. Histerektomia? Naprawdę? Brawo, kochanie. Wiesz co, wychodzi nam z tego całkiem niezła gra salonowa.

No więc odparłam, że musiałabym tego kogoś naprawdę lubić, a on popatrzył na mnie czule i spytał: „Czy naprawdę mnie lubisz, Samantha?" Przyznam, że byłam trochę zaskoczona szybkością, z jaką dotarliśmy do tego punktu. Zupełnie jakby zabrał mnie na przejażdżkę jednym z tych samochodów z silnikiem turbo, które wyglądają jak nieszkodliwe wozy rodzinne, a rozpędzają się do sześćdziesięciu mil w ciągu jakichś trzech sekund. Roześmiałam się moim specjalnym śmiechem a la małeńkie dzwoneczki i powiedziałam, że zabrzmiało to

* Eastenders — serial telewizyjny o rodzinie mieszkańców East Endu, wschodniej, robotniczej dzielnicy Londynu.

228

jak pytanie wprowadzające. Bardzo posmutniał i wykrztusił: „Więc mnie nie lubisz?" Odparłam, że wręcz przeciwnie, bardzo go lubię, ale uważam, że jest zmęczony i śpiący i nie bardzo wie, co robi i mówi, i nie chcę go wykorzystywać. Dumał nad tym przez chwilę, marszcząc brwi, i pomyślałam, Samantha, spieprzyłaś sprawę, ale na szczęście mój Humpty Dumpty w końcu się uśmiechnął i powiedział: „Masz absolutną rację. Może zjesz deser? Daję tu całkiem niezłe tiramisu". Nalał sobie pełen kieliszek wina, wypił go jednym haustem, jakby nadrabiał stracony czas, i zamówił drugą butelkę. Przez resztę wieczoru rozprawił o piłce nożnej, którą niespecjalnie się interesuję, ale Bogu dzięki prawie skończyliśmy. Złapał mi pod restauracją taksówkę, z góry zapłacił kierowcy dychę za kurs i po ojcowsku pocałował mnie w policzek. Ach, jedzie podwieczorek. Możesz pić z filiżanki? To dobrze. Chciałam powiedzieć, że jeśli nie, wypiję za ciebie. A mogę wziąć twoje herbatniki? Szkoda, żeby się zmarnowały. Mmm, kremowe markizy, moje ulubione. To fatalnie, że nie możesz jeść.

Na czym skończyłam? A tak, no więc parę dni później dostałam wiadomość, że Ollie Silvers chce się ze mną zobaczyć w londyńskim biurze Heartlandu. Cały rano medytowałam, co mam włożyć, a czego nie wkładać, zupełnie niepotrzebnie, jak się potem okazało, bo zaproponował mi tę pracę z miejsca. Był z nim Hal Lipkin. Siedzieli na dwóch końcach długaśnej kanapy i odzywali się na zmianę. „Być może zauważyłaś, że pan Passmore zachowuje się ostatnio trochę dziwnie" — powiedział Ollie. „Jego małżeństwo przeżywa kryzys" — powiedział Hal. „Bardzo się tym przejmuję" — powiedział Ollie. „Martwimy się o niego" — powiedział Hal. „Martwimy się też o Sąsiadów" — powiedział Ollie. „Chcielibyśmy nakręcić kolejną serię" — powiedział Hal. „Ale napotkaliśmy pewną przeszkodę" — powiedział Ollie. Nie mogę ci zdradzić, co to za przeszkoda, kochanie, bo zobowiązali mnie do dyskrecji.

229

Wiem, że nie zadajesz się z dziennikarzami, ale wszystko jedno. Nie powinnam była ci mówić, że w ogóle jest jakiś problem. To ściśle tajne łamane przez poufne. Zasadniczo chcę, żeby Tubby przeredagował parę

ostatnich scenariuszy bieżącej serii, bo w serii następnej ma się pojawić nowa postać. „Ale Tubby jakoś nie może się skupić nad tą sprawą” — powiedział Hal. „Więc uznaliśmy, że potrzebuje redaktora” — powiedział Ollie. „Opiekuna i krytyka w jednej osobie” — powiedział Hal. „Kogoś, kto dopilnuje, żeby nie wstał od maszyny, póki nie skończy” — powiedział Ollie. „Zasugerowaliśmy to Tubbyemu” — powiedział Hal. „I poprosił o ciebie” — powiedział Ollie. Przez cały ten czas nie dali mi wtrącić słówka — przenosiłam tylko wzrok z jednego na drugiego jak kibic na Wimbledonie. Ale teraz obaj zamilkli, jakby czekali na moją reakcję. Oznajmiłam, że mi to pochlebia. „I powinno” — powiedział Ollie. „Wolelibyśmy kogoś z większym doświadczeniem” — powiedział Hal. „Ale te recenzje, które dla mnie napisałaś, były bardzo inteligentne” — powiedział Ollie. „I spędziłaś tyle czasu na próbach, że musisz znać serial od podszewki” — powiedział Hal. „To prawda — wtrąciłam. — Pewnie dlatego pan Passmore zaproponował moją osobę”. Ollie omiół mnie łakomym spojrzeniem mięsożercy i mruknął: „Pewnie tak”. Oczywiście nie wiedział, że zaledwie parę dni wcześniej Tubby zabrał mnie na kolację i robił mi awanse.

Przyjęłam, naturalnie, że ta protekcja jest ze strony Tubby ego drugą, trochę subtelniejszą próbą zaciągnięcia mnie do łóżka. Nie byłam więc zaskoczona, że pierwsze, co zrobił, gdy podjęłam pracę, to zaproponował mi wyjazd na weekend. Zadzwoiłam do niego z mojego nowego pokoju, a właściwie z mojego nowego biurka w pokoju, który dzielę z dwiema innymi dziewczynami. Wszystkie trzy redagujemy scenariusze — z jakiegoś powodu redaktorzy prawie zawsze są kobietami. Jak położne. Powiedziałam: „Cześć, mówi Samantha, pewnie

230

już wiesz, że jestem twoim nowym redaktorem”, a on odparł: „Tak, bardzo się cieszę, że przyjąłaś tę posadę”. Nie przyznałam się, że wiem, że mnie zaprotegował. „Kiedy się spotkamy?” — zapytałam, a on na to: „Pojeźdź ze mną w ten weekend do Kopenhagi”. „Po co?” — zapytałam. „Muszę zrobić rozpoznanie” — odparł. „Co Kopenhaga ma wspólnego z Sąsiadami?” — zdziwiłam się, a on na to: „Nic. Piszę scenariusz do filmu

0 Kierkegaardzie, Ollie ci nie mówił?” Odparłam, że nie, Ollie chyba o tym nie wspominał, ale naturalnie z przyjemnością pomogę mu w czym tylko sobie życzy. Powiedział, że zarezerwuje bilety na samolot i pokoje w hotelu i zadzwoni do mnie, żeby uzgodnić szczegóły. Podobało mi się, że użył liczby mnogiej, „pokoje”. Oczywiście wiedziałam, w co się pakuję, ale dziewczyna ma swoją dumę. Nie musisz tak na mnie patrzeć, Hetty.

Jak tylko się rozłączył, zadzwoniłam do Olliego i powiedziałam, że Tubby najwyraźniej myśli, że mam mu pomagać w pracy nad filmem o Kierkegaardzie, a nie nad Sąsiadami. Chyba wiesz, kim jest Kierkegaard, kochanie? A raczej, kim był? Jasne, że wiesz, studiowałaś w Oxfordzie PPE*. Przepraszam. Przyznam ci się, że ja przed tym weekendem nie miałam bladego pojęcia, kto to taki, ale teraz wiem o nim więcej, niżbym chciała. Dość nietypowy temat na film telewizyjny, chyba się ze mną zgodzisz. Aha, na wypadek, gdybyś myślała, że przekręcłam jego nazwisko, to właśnie tak się je wymawia po duńsku, Kierkegoud, jak ser gouda. No więc kiedy oznajmiłam Olliemu, że Tubby chce mnie zabrać do Kopenhagi,

1 wyjaśniłam po co, Ollie westchnął, mruknął coś pod nosem, pstryknął zapalniczką, przypalając sobie cygaro, a potem powiedział: „Samantha, posłuchaj mnie, skarbie, pojeźdź z nim, spróbuj go

udobruchać, zalicz tego Kierkegarda, udawaj, że

* Philosophy, Politics and Economics — filozofia, nauki polityczne i ekonomia, najbardziej prestiżowy kierunek studiów oksfordzkich.

231

o to chodzi, ale przy każdej okazji przypominaj mu o Sąsiadach, dobrze?" Obiecałam, że się postaram.

Byłaś kiedyś w Kopenhadze? Ja do tego weekendu też nie. Miłe miasto, ale odrobinę nudne. Bardzo czyste, bardzo ciche — w porównaniu z Londynem prawie nie ma tam samochodów. Podobno jako pierwsi w Europie zamknęli centrum handlowe dla ruchu kołowego. W pewnym sensie podsumowuje to Duńczyków Są okropnie ekologiczni i energooszczędni. Zatrzymaliśmy się w luksusowym hotelu, ale grzali tak marnie, że w pokoju było niemal zimno, a na stole leżał kartonik z prośbą, żeby goście pomagali chronić zasoby naturalnie Ziemi, ograniczając ilość prania. Kartonik jest z jednej strony czerwony, a z drugiej zielony, i jeśli go zostawisz zieloną stroną do góry, zmieniają ci pościel tylko co trzeci dzień, a ręczników nie zmieniają wcale, chyba że je rzucisz na podłogę w łazience. Wszystko to jest bardzo rozsądne i odpowiedzialne, ale odbiera człowiekowi połowę przyjemności. Nie zrozum mnie źle, dbam o środowisko jak wszyscy, na przykład zawsze kupuję szampon w butelkach, które się biodegrują, ale jeśli mieszkam w luksusowym hotelu, chcę spać co noc w świeżo wy-krochmalonej pościeli i używać świeżego ręcznika za każdym razem, kiedy biorę prysznic. Więc mój kartonik leżał czerwoną stroną do góry przez cały weekend, a gdy spotykałam w korytarzu sprzątaczkę, unikałam jej wzroku.

Polecieliśmy z Heathrow w piątek wieczorem — klasa klubowa, tylko to, co najlepsze, kochanie, gorący posiłek z prawdziwymi sztuczkami i tyle alkoholu, ile dasz radę w siebie wlać przez dwie godziny. Wypiłam całkiem sporo szampana i pewnie w efekcie za dużo mówiłam, w każdym razie kobieta siedząca przed nami wciąż się odwracała i piorunowała mnie wzrokiem, ale Tubby chyba dobrze się bawił. Zanim jednak dotarliśmy do hotelu, poczułam się ździebko zmęczona i spytałam, czy będzie miał coś przeciwko temu, żebym poszła

232

prosto do łóżka. Był jakby trochę rozczarowany, ale odparł z galanterią, ależ skąd, świetny pomysł, on zrobi to samo i rano będziemy wypoczęci. Więc rozstaliśmy się bardzo przyzwoicie w korytarzu pod drzwiami mojego pokoju, na oczach boya. Padłam na łóżko i natychmiast usnęłam.

Nazajutrz było słonecznie, idealna pogoda na zwiedzanie. Tubby też nigdy nie był w Kopenhadze. Chciał się wczuć w atmosferę miasta i poszukać ewentualnych plenerów. Nie brak tam dobrze zachowanych budynków z osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku, ale wszystko psują współczesne znaki drogowe, wiaty, ławki i tak dalej. Znaleźliśmy malowniczy dok o nazwie Nyhavn, z prawdziwymi starymi statkami, ale w prawdziwych starych domach na nabrzeżu mieściły się nowomodne restauracje i hotele turystyczne. „Pewnie skończy się na tym, że nakręcimy film zupełnie gdzie indziej — powiedział Tubby. — Gdzieś nad Bałtykiem albo Morzem Czarnym”. Zjedliśmy lunch w restauracji ze szwedzkim stołem i widokiem na dok, a potem poszliśmy do Muzeum Miejskiego, gdzie mają gabinet Kierkegarda.

Tubby bardzo się na zapas podniecił i chyba nie spotkał go zawód, ale mnie owszem. Była to mała awantura jak na muzeum salka, mniej więcej trzydzieści na piętnaście stóp, z paroma sfatygowanymi meblami i półtuzinem przeszklonych gablot, w których wyłożono pamiątki po Kierkegaardzie — fajki, szkło powiększające, trochę rycin i książek. W sklepie ze starociami nawet byś na takie rzeczy nie spojrziała, ale Tubby ślęczał nad nimi, jakby to były święte relikwie. Najbardziej zainteresował go portret narzeczonej Kierkegaarda, Reginy. Byli ze sobą zaręczeni przez jakiś rok, po czym Kierkegaard ją rzucił, ale — jak twierdzi Tubby — do końca życia tego żałował. Portret był małym olejem przedstawiającym młodą kobietę w wydekolowanej zielonej sukni, z ciemnozielonym szalem na ramionach. Tubby wpatrywał się w niego jak sroka w gnato-

233

bre pięć minut. „Jest podobna do ciebie” — stwierdził w końcu. „Tak myślisz?” — spytałam. Miała ciemnobrązowe oczy i także włosy, więc chyba chodziło mu o jej cycki. Chociaż, mówiąc uczciwie, z ust i podbródka faktycznie trochę mnie przypominała. Na jej wargach błędził uśmiech, w oczach tliły się iskiereki, w sumie wyglądała na dość wesołą osobę. Czego nie można było powiedzieć o Kierkegaardzie, sądząc z rysunku, który leżał w tej samej gablocie: chudy, wygięty do tyłu, długonosy stary piernik w cylindrze, niosący pod pachą, jak karabin, zamknięty parasol. Tubby wyjaśnił, że to karykatura zamieszczona w gazecie, kiedy Kierkegaard był po czterdziestce, i pokazał mi jego portret z młodości, narysowany przez przyjaciela. Fakt, na nim wyglądał całkiem przystojnie, ale karykatura wydała mi się jakoś bardziej wiarygodna. Wygięli go tak, bo cierpiał na skrzywienie kręgosłupa. Miał zwyczaj pisać, stojąc przy pulpicie, który był jednym z eksponowanych mebli. Tubby postąpił przy nim chwilę, skrobiąc w reporterskim notesie, który ze sobą przywiózł, i mała Niemeczka, która właśnie weszła z rodzicami do sali, spojrziała na niego i zapytała ojca: „Ist das Herr Kierkegaard?” Roześmiałam się, bo trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do Kierkegaarda. Tubby usłyszał mój śmiech i spytał, co się stało. Kiedy mu powiedziałam, pokraśniał z zadowolenia. Ma absolutną obsesję na punkcie Kierkegaarda, a zwłaszcza jego związku z tą całą Reginą. Był tam jeszcze jeden mebel, pod przeciwległą ścianą, jakby szafka, wysoka na pięć stóp. Tubby wyczytał w przewodniku po muzeum, że Kierkegaard zamówił ją specjalnie na pamiątki po Reginie. Podobno go błagała, żeby nie zrywał zaręczyn, i powiedziała, że byłaby szczęśliwa, mogąc z nim spędzić resztę życia, nawet gdyby musiała mieszkać w małej szafce, głupia krowa. „Właśnie dlatego w środku nie ma półek — stwierdził Tubby. — Żeby się zmieściła”. Przysięgam, miał łzy w oczach, kiedy mi to czytał z przewodnika.

234

Kolację zjedliśmy w restauracji hotelowej: prosta kuchnia, ale doskonałe składniki, głównie ryby, znakomicie przyrządzone. Ja wzięłam pieczonego turbotę. Nudzę cię, skarbie? To dobrze, miałam wrażenie, że oczy ci się zamykają. Przy stole wciąż usiłowałam skierować rozmowę na Sąsiadów, a Tubby wciąż wracał do Kierkegaarda i Reginy. Zaczynałam już mieć naprawdę dość tego tematu. Poza tym strasznie chciałam zobaczyć jakieś nocne życie. No wiesz, Kopenhaga ma opinię bardzo swobodnego miasta, z mnóstwem seks shopów, kin porno, pokazów seksu na żywo i tak dalej. Na razie nic takiego nie wpadło mi w oko, ale musiały gdzieś być. Ja też zamierałam zrobić małe rozpoznanie, do moich Westendersów. Ale kiedy zaczęłam o tym napomykać, Tubby jakoś dziwnie powoli kojarzył, niemal jakby

nie chciał mnie zrozumieć. Pomyślałam, że może ma w planie prywatny seks na żywo w wykonaniu nas dwojga, ale też nie. Mniej więcej piętnaście po dziesiątej ziewnął i powiedział, że był to długi dzień, więc może powinniśmy się położyć. Byłam zdumiona — i, muszę przyznać, trochę urażona. No wiesz, nie, żebym naprawdę na niego leciała, ale spodziewałam się jakichś konkretniej szych dowodów tego, że on leci na mnie. Nie mieściło mi się w głowie, że przywiózł mnie do Kopenhagi wyłącznie po to, by rozmawiać o Kierkegaardzie.

Następnego dnia była niedziela i Tubby się uparł, żebyśmy poszli do kościoła, bo tak by zrobił Kierkegaard. Podobno był bardzo religijny, w ekscentryczny sposób. Więc wysłuchaliśmy niesamowicie ponurego luterańskiego nabożeństwa, oczywiście w całości po duńsku, przez co było to jeszcze bardziej nudne niż kaplica w szkole, jeśli to możliwe. Po lunchu pojechaliśmy zobaczyć grób Kierkegarda. Leży na cmentarzu, który jest jakieś dwie mile od centrum. Wyobraź sobie, jego nazwisko znaczy po duńsku „cmentarz”, więc, jak zauważył Tubby, poszliśmy na kierkegard odwiedzić Kierkegarda. Był to chyba je-

235

dyny żart, na jaki się zdobył przez całe popołudnie. Cmentarz wyglądał dość miło, są tam klomby i aleje wysadzone drzewami, według przewodnika mieszkańcy Kopenhagi traktują go w ładną pogodę jak park, urządzają sobie pikniki i w ogóle, ale kiedy my tam byliśmy, padał deszcz. Mieliśmy trochę kłopotów z odnalezieniem grobu, a kiedy go w końcu znaleźliśmy, przeżyłam lekki zawód, jak wcześniej w muzeum. Jest to mały zagon ziemi ogrodzony żelazną barierką, pośrodku stoi nagrobek ojca Kierkegarda i o ten nagrobek opierają się dwie kamienne tabliczki, na których są wyryte imiona jego żony i dzieci, z Sorenem włącznie. Właśnie tak Kierkegaard ma na imię, Soren, z tym śmiesznym przekreślonym duńskim „o”. Ale pewnie już to wiedziałaś, prawda? Przepraszam, kochanie. Staliśmy tam w deszczu kilka minut, zachowując pełne szacunku milczenie. Tubby zdjął kapelusz, krople wody spływały mu z łysiny na twarz i skapywały z nosa i podbródka. Nie mieliśmy parasola, więc wkrótce przemokłam i zrobiło mi się zimno, ale Tubby nalegał, żebyśmy poszukali grobu Reginy. Wyczytał gdzieś, że jest pochowana na tym samym cmentarzu. Na tablicy przy wejściu było coś w rodzaju spisu wszystkich grobów, ale Tubby zapomniał, jak Regina nazywała się po mężu, więc musiał przepatrywać kolumnę po kolumnie, póki nie dotarł do Reginy Schlegel. „To ona!” — zawołał i popędził szukać kwatery — 58D czy ile tam — ale nie mógł jej znaleźć. Nie są najlepiej oznaczone, a nie mieliśmy kogo spytać, bo była niedziela i lał deszcz, i na cmentarzu nie było psa z kulawą nogą, i zaczynałam już mieć naprawdę dość tego taplania się po kałużach w mokrym ubraniu, z wodą w butach i za kołnierzem, i powiedziałam, że chcę jechać do hotelu, a Tubby odparł, dosyć ostro, w porządku, jedź, i dał mi pieniądze na taksówkę, więc pojechałam. Wzięłam długą, gorącą kąpiel, wytarłam się dwoma świeżymi ręcznikami i rzuciłam obydwa na podłogę, zamówiłam do pokoju herbatę, strzeliłam

236

sobie miniaturkę wiśniówki z barku i trochę poprawił mi się humor. Tubby wrócił jakieś dwie godziny po mnie, zmoknięty do nitki i przygnębiony, bo nie udało mu się znaleźć grobu Reginy, a nie mogliśmy pojechać na cmentarz jeszcze raz nazajutrz i kogoś spytać, bo odlatywaliśmy wcześniej rano.

Wieczór wyglądał tak samo jak poprzedniego dnia: kolacja w restauracji hotelowej i sugestia Tubbyego,

żebyśmy poszli spać wcześniej — i osobno. Nie mogłam w to uwierzyć. Zaczęłam myśleć, że może coś jest ze mną nie w porządku, na przykład mam nieświeży oddech, ale sprawdziłam to, szykując się do łóżka, i był słodki i przyjemny. Potem rozebrałam się do naga i stanęłam przed lustrem, ale też nie dopatrzyłam się niczego złego, pomyślałam nawet, że gdybym była mężczyzną, nie mogłabym utrzymać rąk z daleka od siebie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Szczerze mówiąc, zaczynałam być nieźle podniecona, z czystej frustracji, i ani trochę nie chciało mi się spać, więc postanowiłam obejrzeć film dla dorosłych na hotelowym kanale wideo. Wyjęłam z barku małego szampana, usadowiłam się w szlafrocжку przed telewizorem i pstryknęłam guzik. I, moja droga, cóż za niespodzianka! Nie wiem, czy widziałaś któryś z tych filmów w angielskim hotelu. Nie? No więc niczego nie straciłaś, wierz mi. Włączałam je sobie czasem, ot tak, dla zabawy, kiedy nocowałam w Rummidge Post House jako opiekunka małego Harringtona. Do moich obowiązków należało między innymi pilnowanie, żeby on ich nie oglądał. Był zawsze okropnie rozgoryczony, bo obsługa zamykała mu telewizor na kłódkę. Właściwie w normalnej telewizji można zobaczyć rzeczy równie, a nawet bardziej obsceniczne, jedyna różnica polega na tym, że te tak zwane filmy dla dorosłych składają się wyłącznie ze scen kopulacji, wyglądają nieprawdopodobnie tandetnie, są nieprawdopodobnie źle zagrane i mają nieprawdopodobnie głupią fabułę. A w dodatku są strasznie krótkie i pełne nieskładnych skoków montażowych,

237

bo wszystkie naprawdę świńskie kawałki wycina hotelowa cenzura. Miałam nadzieję, że duńskie filmy okażą się trochę bardziej śmiałe, ale nie byłam przygotowana na najprawdziwszą pornografię, którą zobaczyłam. Włączyłam się w trakcie filmu i w łóżku leżało dwóch nagich facetów i jedna dziewczyna. Obaj faceci mieli niesamowicie wielkie członki i jednemu dziewczyna robiła fellatio, tak energicznie, jakby zależało od tego jej życie, a drugi ciupciał ją od tyłu, no wiesz, na pieska. Nie mogłam uwierzyć własnym...

Co? Och. Przepraszam, ale nie mówiłam do pani. To nie moja wina, że ma pani wyjątkowo dobry słuch. Jeśli rzeczywiście nie interesują pani cudze rozmowy, proszę włożyć te słuchawki i włączyć sobie radio.

Phi! Co za bezczelność. Przykro mi z powodu jej histerek-tomii i w ogóle, ale nie musiała być arogancka. Przecież nie mówiłam aż tak głośno, prawda? Och, dobrze, Hetty, przysunę krzesło bliżej łóżka i będę ci szeptać do ucha, w porządku? No więc pieprzyli się w tym trójkącie jak szaleni i po jakichś dziesięciu minutach wszyscy mieli potężny orgazm — naprawdę, Hetty, nie zmyślam. Faceci na pewno, bo wyciągnęli fujary i strzelali spermą na wszystkie strony, a dziewczyna wcierała ją sobie w policzki, jakby to był krem pielęgnacyjny. Dobrze się czujesz, kochanie? Jakoś tak zbladłaś. Godzina? Jest... o rany, już w pół do czwartej. Muszę lecieć, ale najpierw dokończę ci tę historię. Dalszy ciąg filmu wyglądał podobnie. W następnej scenie pokazano, jak dwie nagie dziewczyny, biała i Murzynka, na zmianę się liżą, ale nie były prawdziwymi lesbijkami, bo dwaj faceci z poprzedniej sceny podglądali je przez okno, a potem weszli i wynikła z tego kolejna orgia. Nie ukrywam, zrobiło mi się już zupełnie mokro w dziurce i byłam rozpalona od czubka głowy do pięt. Jak żyję, nie miałam takiej chcicy. Po prostu wychodziłam z siebie. W tym momencie przespałabym się z każdym, a co dopiero z miłym, schludnym angielskim scenarzystą, który, jak sądziłam, przywiózł mnie do Ko-

238

penhagi dokładnie w tym celu. Doszłam do wniosku, że powstrzymuje go wyłącznie nieśmiałość. Powinnam do niego zadzwonić, powiedzieć, że znalazłam w hotelowej telewizji ten zdumiewający film, i zaprosić go na wspólne oglądanie. Pomyślałam sobie, że wystarczy parę minut tego seansu, ze mną siedzącą obok w szlafroczku, pod którym nie miałam zupełnie nic, i po jego nieśmiałości nie będzie śladu. Powinnam chyba dodać, że wytrąbiłam już całą butelkę szampitra i byłam nie tylko podniecona, lecz także dość beztrocka. Tubby podniósł słuchawkę po dłuższej chwili, więc powiedziałam, że mam nadzieję, że go nie obudziłam. Nie, odparł, oglądał telewizję, ściszył głos, zanim odebrał telefon. Ale nie ściszył go wystarczająco. Rozpoznałam w tle brzęczenie dyskotekowej muzyki i słabe jęki i stęki. W tych filmach nie ma zbyt dużo dialogów — niewiele pracy dla redaktora. Parsknęłam śmiechem i powiedziałam: „Chyba oglądamy ten sam program”. Wymamrotał coś, najwyraźniej okropnie zawstydzony, a ja ciągnęłam: „Czy nie byłoby przyjemniej, gdybyśmy obejrżeli go razem? Może byś do mnie przyszedł?” Milczał przez chwilę, a potem powiedział: „Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł”. „Dlaczego?” — zapytałam, a on odparł: „Po prostu nie”. Przepychaliśmy się tak jakiś czas, aż w końcu straciłam cierpliwość i wybuchnęłam: „Na litość boską, co z tobą? W zeszłym tygodniu w tej włoskiej restauracji wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że masz na mnie ochotę, a teraz, kiedy sama ci włożę do łóżka, robisz jakieś ceregiele. Po co mnie tu przywozisz, jeśli nie chcesz się ze mną przespać?” Znów chwilę pomilczał, a potem powiedział: „Masz zupełną rację, rzeczywiście dlatego zaproponowałem ci tę wycieczkę, ale po przyjeździe stwierdziłem, że nie mogę tego zrobić”. „Dlaczego?” — zapytałam. „Przez Kierkegarda” — odparł. Uznałam, że to strasznie zabawne i zażartowałam: „Nic mu nie powiemy”. A on na to: „Nie, mówię poważnie. Może w piątek, gdybyś nie była taka zmęczona...” „Chcesz powiedzieć pijana” — sprosto-

239

wałam. „Wszystko jedno — mruknął. — Ale kiedy zacząłem zwiedzać Kopenhagę i myśleć o Kierkegardzie, a zwłaszcza kiedy poszliśmy zobaczyć ten gabinet w muzeum, miałem wrażenie, że czuję jego obecność, że, jak jakiś duch albo anioł stróż, mówi do mnie: Nie wykorzystuj tej młodej dziewczyny. Widzisz, on miał obsesję na punkcie młodych dziewczyn”. „Ale ja chcę zostać wykorzystana — jęknęłam — Przyjdź i wykorzystaj mnie, w takiej pozycji, w jakiej tylko zapragniesz. Spójrz teraz na ekran. Chciałbyś tak? Zrobię to z tobą”. Nie powiem ci, co to było, kochanie, mogłabyś się zgorszyć. „Nie wiesz, co mówisz — odparł. — Rano byś tego żałowała”. „Wcale nie — zaprzeczyłam. — A zresztą, skoro jesteś taki cnotliwy, dlaczego oglądasz ten świński film? Czy Kierkegaard by to pochwalił?” „Prawdopodobnie nie — stwierdził. — Ale nie robię krzywdy nikomu innemu”. „Tubby — szepnęłam, przybrawszy mój najbardziej uwodzicielski ton — pragnę cię. Potrzebuję cię. Teraz. Przyjdź. Weź mnie”. Westchnął żałośnie i powiedział: „Nie mogę. Przyniosłem już sobie ręcznik z łazienki”. Minęła sekunda albo dwie, nim zaskoczyłam. „Cóż, mam nadzieję, że zostawisz go na podłodze, żeby nie trafił się następnemu gościowi” — syknęłam i z hukiem rzuciłam słuchawkę. Wyłączyłam telewizor, połknęłam proszek nasenny, popiłam go miniaturką szkockiej i usnęłam. Kiedy się rano obudziłam, dostrzegłam zabawną stronę całej tej historii, ale Tubby najwyraźniej nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Wyszedł z hotelu wcześniej, żeby poszukać grobu Reginy, i w recepcji, razem z biletem lotniczym, czekała na mnie wiadomość, że zostaje w Kopenhadze jeszcze jeden dzień. Co o tym wszystkim sądzisz? Och, zapomniałam, nie możesz mówić. Nie szkodzi, i tak już muszę lecieć. O rany, zjadłam ci wszystkie winogrona. Przyjdę jutro i przyniosę następne.

Nie? Myślisz, że już cię wypuszczą? Naprawdę? W takim razie zadzwonię do ciebie do domu. Pa, kochanie. Miło mi się z tobą gawędziło.

240

Sally

Zanim zaczniemy, doktor Marples, chciałabym ustalić cel tego spotkania, żeby nie było nieporozumień. Zgodziłam się na rozmowę z panią, ponieważ chcę, aby Tubby przyjął do wiadomości, że nasze małżeństwo się skończyło. Chciałabym pani pomóc pomóc jemu pogodzić się z tym. Nie interesują mnie negocjacje w sprawie pojednania. Mam nadzieję, że jest to jasne. Dlatego napisałam w liście, że spotkam się z panią tylko sam na sam. Etap, na którym poradnictwo małżeńskie może coś dać, mamy już za sobą, od dawna. Zupełnie pewna. Tak, próbowaliśmy tego kiedyś — Tubby pani nie mówił? Cztery czy pięć lat temu. Kobieta, nie pamiętam jej nazwiska, z naszej rejonowej poradni. Po kilku tygodniach rozmów z nami dwójkiem zaleciła Tubby emu psychoterapię. O tym chyba pani powiedział? Tak, doktor Wilson. Tubby chodził do niego przez jakieś sześć miesięcy i wydawało się, że jego depresja ustąpiła. Nasze stosunki się poprawiły, nie wróciliśmy do poradni. Ale nim minął rok, było z nim jeszcze gorzej niż przedtem. Stwierdziłam, że już nigdy się nie zmieni i że powinnam tak zorganizować sobie życie, aby jego humory jak najmniej mnie dotykały. Rzuciłam się w wir pracy. Bóg wie, że nie brakowało mi zajęć. Nauczanie, badania, administracja — komitety, grupy robocze, układanie programów i tak dalej. Moi koledzy narzekają na biurokratyzację szkolnictwa wyższego, ale ja dosyć lubię papierkową robotę. Zdaję sobie sprawę, że nie dokonam wstrząsających odkryć naukowych, za późno zaczęłam,

241

ale jestem dobra w zarządzaniu. Moja dziedzina to psycholin-gwistyka, akwizycja języka u dzieci. Miałam parę publikacji. Naprawdę? On nic z tego nie rozumie, więc łatwo mu zaimponować. Tubby nie jest żadnym intelektualistą. Przyznaję, ma wspaniałe ucho do języka, to oczywiste, ale nie potrafi o nim myśleć abstrakcyjnie. Kieruje się wyłącznie intuicją. Tak więc, zajęłam się pracą. Nie myślałam wtedy jeszcze o rozwodzie. Odebrałam bardzo konwencjonalne wychowanie, mój ojciec był pastorem Kościoła anglikańskiego, i zawsze uważałam, że rozwód przynosi człowiekowi ujmę. W pewnym sensie jest przyznaniem się do porażki, a ja nie lubię doznawać porażek, cokolwiek robię. Wiedziałam, że inni ludzie — nasi przyjaciele, krewni, nawet nasze dzieci — oceniają nasze małżeństwo jako bardzo udane. Przetrwało tyle czasu bez żadnych widocznych niepokojów i nasz standard życiowy niesłychanie się podniósł dzięki sukcesom Tubby ego. Mieliśmy wielki dom w Hollywell, mieszkanie w Londynie, dwa samochody, wakacje w luksusowych hotelach i tak dalej. Dzieci skończyły studia i dobrze się urządziły. Myślę, że większość ludzi nam zazdrościła. Byłoby mi bardzo ciężko — i w ciągu ostatnich tygodni było ciężko — odrzucić te pozory. Zapewne bałam się również goryczy i złości, które wydają się nieodłącznie związane z rozwodem. Widzieliśmy tego sporo wśród naszych znajomych. Sądziłam, że jeśli będę maksymalnie zajęta w pracy, zdołam tolerować humory Tubby ego w domu. Przynosiłam też robotę do domu, jako dodatkową osłonę. Była murem, za którym mogłam się schronić. Sądziłam, że póki lubimy robić jakieś rzeczy razem, na przykład grać w tenisa i w golfa, i nadal regularnie uprawiamy seks, nasze małżeństwo ma szansę przetrwać. Tak, czytałam kiedyś artykuł, który wywarł na mnie duże wrażenie, mówiący, że kryzys małżeński po pięćdziesiątce, to znaczy, kiedy małżonkowie są po pięćdziesiątce, nie

po pięćdziesięciu latach małżeństwa, jest prawie zawsze spowodowany tym, że jedna

242

strona traci zainteresowanie seksem. Więc starałam się temu zapobiec. No wie pani, jeśli Tubby nie występował z inicjatywą, ja to robiłam. Najlepszy moment był zawsze po sporcie, kiedy oboje czuliśmy się zrelaksowani. Myślałam, że sport, seks i wygodny styl życia wystarczą, abyśmy przetrzymali trudną pięćdziesiątkę — tak był zatytułowany ten artykuł, teraz sobie przypominam, „Trudna pięćdziesiątka”.

Cóż, pomyliłam się. To nie wystarczyło. Kontuzja kolana, której uległ Tubby, oczywiście nie ułatwiła sprawy. Rozdzieliła nas, jeśli chodzi o sport — przestał być dla mnie równym przeciwnikiem — i odbiła się na seksie. Po operacji przez wiele tygodni, wręcz miesięcy, unikał współżycia, a potem zawsze wydawał się bardziej dbać o bezpieczeństwo swojego kolana niż naszą wspólną przyjemność. Kiedy stało się oczywiste, że operacja nic nie dała, wpadł w jeszcze większą depresję niż przedtem. Przez ostatni rok był po prostu nie do zniesienia, zupełnie zamknął się w sobie, nie słuchał, co się do niego mówi. Pewnie musi słuchać swojego agenta i producenta i tak dalej, inaczej nie mógłby funkcjonować, ale nie słuchał mnie. Nie ma pani pojęcia, jakie to irytujące, kiedy mówi się do kogoś kilka minut, a on kiwa głową i przytakuje, po czym wychodzi na jaw, że nie dotarło do niego ani jedno słowo. Czułam się jak kompletna idiotka. Zupełnie jakbym pisała w czasie lekcji na tablicy i odwróciwszy się, stwierdziła, że wszyscy uczniowie po cichu wyszli z klasy i od nie wiem jak dawna mówiłam do siebie. Miarka się przebrała, kiedy mu powiedziałam, że Jane dzwoniła, że jest w ciąży — Jane to nasza córka — i że postanowili z jej chłopakiem wziąć w lecie ślub, a on mruknął: „Tak? To świetnie”, i z powrotem wsadził nos w tego cholernego Kierkegaarda. Nie uwierzy pani, nawet kiedy zebrałam się w sobie, żeby mu powiedzieć, że mam dość i chcę separacji, też z początku mnie nie słuchał.

Och, obawiam się, że nie potrafię traktować jego zaintere-

243

sowania Kierkegaardem poważnie. Mówiłam pani, Tubby nie jest intelektualistą. To tylko chwilowe dziwactwo, coś do imponowania ludziom. Może mnie. Może sobie samemu. Wybieg, do którego się ucieka, aby uszlachetnić swoją banalną małą depresję jako egzystencjalny lęk. Nie, nie czytałam, ale z grubsza wiem, o co mu chodzi. Mój ojciec cytował go czasem w kazaniach. Już nie, ale jako dzieci oczywiście musieliśmy, w każdą niedzielę, rano i wieczorem. Chyba to dlatego jego obsesja na punkcie Kierkegaarda wydaje mi się niedorzeczna. Odebrał całkowicie świeckie wychowanie, nie wie o religii absolutnie nic, podczas gdy ja nią żyłam i uwolniłam się od niej. Było to bolesne, zapewniam panią. Latami ukrywałam przed ojcem, że już nie wierzę. Myślę, że złamałam mu serce, kiedy w końcu się do tego przyznałam. Może za długo zwlekałam z powiedzeniem mu, co naprawdę czuję, tak samo jak w przypadku Tubbygo i naszego małżeństwa.

Cóż, mogłabym odpowiedzieć, że to nie pani sprawa, prawda? Ale nie, nie ma nikogo innego. Przypuszczam, że Tubby zamęczał panią swoimi paranoicznymi fantazjami. Wie pani o jego absurdalnych podejrzaniach co do mojego nauczyciela tenisa? Biedak, od tamtej pory nie mogę spojrzeć mu w oczy, nie mówiąc już o braniu lekcji. Naprawdę nie wiem, dlaczego Tubby oszalał z zazdrości. No dobrze, wiem,

dlatego, że nie potrafił uznać, że on sam jest odpowiedzialny za rozpad naszego małżeństwa. Musiała to być wina kogoś innego, moja albo mojego urojonego kochanka. Byłoby o wiele lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby spokojnie pogodził się z sytuacją. Zależało mi tylko na polubownym rozstaniu i sensownym porozumieniu finansowym. To on doprowadził do wojny, z adwokatami, nakazami sądowymi, oddzielnym gospodarowaniem w jednym domu i tak dalej. Mógł sobie oszczędzić mnóstwa niepotrzebnego bólu i kosztów, po prostu zgadzając się na rozwód i uczciwy podział majątku. Nie. Chyba jest w swoim

244

4f _

londyńskim mieszkaniu. Nie widziałam go od kilku tygodni. Ciągłe przychodzą rachunki i przesyłam mu je, ale ich nie płaci, co nie jest w porządku. Byłam zmuszona uregulować część sama, żeby nie wyłączyli mi gazu i prądu. Nazajutrz po moim odejściu podle wybrał większość pieniędzy z naszego wspólnego konta, a lokaty terminowe są na jego nazwisko, więc muszę pokrywać wszystkie wydatki, łącznie z honorarium adwokata, z własnej pensji. Naprawdę ledwo wiązę koniec z końcem.

Nie, nie nienawidzę go, mimo jego zachowania. Współczuję mu. Ale nie mogę już nic dla niego zrobić. Musi sobie pomóc sam. Ja muszę zadbać o moje potrzeby. Nie jestem kobietą bez serca. Tubby mnie tak przedstawia, ale to nieprawda. Nie jest to dla mnie łatwe, wszyscy ci adwokaci i tak dalej. Ale skoro już się odważyłam zrobić ten krok, muszę doprowadzić rzecz do końca. To ostatni moment, kiedy jeszcze mogę ułożyć sobie życie. Tak, jestem parę lat młodsza od Tubby ego.

To było tak dawno temu. Byliśmy zupełnie innymi ludźmi. Odrabiałam praktykę nauczycielską w elementarce w Leeds i Tubby zjawiał się tam pewnego dnia z trupą teatralną, która objeżdżała szkoły. Piątka młodych ludzi, początkujących aktorów, którym nie udało się zaczepić w żadnym teatrze, utworzyła zespół i jeździła po kraju starym mikrobusem, ciągnąc przyczepę pełną rekwizytów. Wystawiali skrócone wersje Szekspira dla starszych uczniów i udratyzowane baśnie dla młodszych. Szczerze mówiąc, nie byli zbyt dobrzy, ale braki techniczne nadrabiali entuzjazmem. Kiedy skończyli swój występ w szkolnej auli i dzieci rozeszły się do domów, zaprosiliśmy ich do pokoju nauczycielskiego na herbatę i ciastka. Ich życie wydało mi się okropnie cygańskie i ekscytujące. W porównaniu, moje było bardzo przykładowe i monotonne. Studiowałam anglistykę w Royal Holloway, żeńskim filialnym collegeu Uniwersytetu Londyńskiego zagubionym w bogatym Surrey. Rodzice nie życzyli sobie, abym poszła do collegeu koedukacyj-

245

nego, jeśli będę mieszkać poza domem, a nie dostałam się do Oxfordu ani Cambridge, więc pozostało mi Royal Holloway albo uniwersytet w Leeds. Wolałam Holloway, bo bezwzględnie chciałam się wynieść z domu, ale na specjalizację wróciłam do Leeds, żeby zaoszczędzić pieniędzy. Wybrałam nauczanie początkowe, co robiło niewielu absolwentów wyższych uczelni, bo nie miałam ochoty użerać się z łobuzerią w państwowym powszechniaku wypierającym wówczas liceum, do jakiego sama chodziłam*.

W tamtych czasach nosiłam pastelowe kompleciki, plisowane spódnice do pół tydki, praktyczne buty i prawie się nie malowałam. Ci młodzi aktorzy ubierali się w ciemne swetry z dziurami, mieli długie, tłuste włosy i dużo palili. Było tam trzech chłopaków i dwie dziewczyny i, jak powiedział mi Tubby, przez oszczędność na ogół spali wszyscy razem w mikrobusie. Któregoś razu zaparkował go na szczycie wzgórza i nie zaciągnął porządnie hamulca, i mikrobus stoczył się powoli na dół, pod sam posterunek policji. Opowiedział mi tę historię w tak zabawny sposób, że roześmiałam się na głos. Chyba właśnie to mnie w nim pociągnęło — że umiał mnie pobudzić do spontanicznego, radosnego śmiechu. W mojej rodzinie śmiano się z grzeczną rezerwą albo — my, dzieci — kpiąco i sarkastycznie. Przy Tubbym wybuchalam śmiechem, zanim się obejrzałam. Gdybym miała spróbować ująć w jednym zdaniu, co było nie tak z naszym małżeństwem przez ostatnie lata — dlaczego nic mi ono nie dawało, ani szczęścia, ani uczucia „cieszę-się-że-żyję” — powiedziałabym, że po prostu Tubby przestał mnie pobudzać do śmiechu. Zakrawa to

* Przed reformą szkolnictwa państwowego w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych po ukończeniu w wieku lat 11 junior school uczeń mógł pójść, w zależności od wyniku specjalnego egzaminu, do grammar school przygotowującej do wyższych studiów lub do secondary modern nie dającej tej możliwości. Zastąpiono je comprehensive school, powszechną szkołą ogólnokształcącą.

246

na ironię, prawda, kiedy pomyśleć, że co tydzień rozśmiesza miliony ludzi swoim serialem telewizyjnym. Ale, niestety, nie mnie. Mnie to w ogóle nie śmieszy. W każdym razie tego pierwszego dnia dość bezczelnie poprosił mnie o telefon, a ja dość beztrudnie mu go dałam. Spotkaliśmy się kilka razy, kiedy występował z przyjaciółmi w okolicach Leeds, wieczorem w pubach. W pubach! Zanim poznałam Tubbygo, prawie w ogóle nie chodziłam do pubów. Nie zaprosiłam go do domu. Wiedziałam, że nie spodobałby się moim rodzicom, chociaż nigdy nie przyznaliby, dlaczego. Bo był niechlujny i nie-dokształcony i mówił jak cockney. Chyba pani wie, że zakończył edukację, mając szesnaście lat? Więc pani mówię. Po ele-mentarce zdał do liceum, ale nie umiał się dopasować, zawsze był najgorszy w klasie. Nie wiem — chyba połączenie jego charakteru, złego nauczania i braku zachęty ze strony rodziców. Klasa robotnicza — bardzo porządni ludzie, ale nie przywiązujący wielkiej wagi do wykształcenia. No więc, Tubby rzucił szkołę najszybciej jak mógł i zaczął pracować jako goniec u im-presaria teatralnego — właśnie w ten sposób zainteresował się sceną. Po wojsku poszedł do szkoły dramatycznej i próbował zrobić karierę aktorską. Wtedy go poznałam. Grał wszystkie role komediowe w repertuarze mikrobusowego zespołu i adaptował dla nich baśnie. Z czasem odkrył, że lepiej mu idzie pisanie niż granie. Po wyjeździe trupy z Yorkshire pozostaliśmy w kontakcie. Latem pojechałam do Edynburga, gdzie wystawiali jakąś sztukę na Festiwalu — oczywiście w ramach Fringe* — i rozdawałam ulotki i programy, nie powiedziawszy o niczym rodzicom. Potem, wbrew ich życzeniom, pierwszą nauczycielską posadę znalazłam w Londynie, bo tam mieszkał Tubby. Mikrobusowa trupa zbankrutowała i wiązał jakoś

* Bardziej awangardowa i swobodna część dorocznego Międzynarodowego Festiwalu w Edynburgu.

247

koniec z końcem, pracując na zlecenia w biurze, a w wolnym czasie pisał dowcipy dla kabaretowego komika. Zostaliśmy parą. W końcu musiałyśmy przywieźć go na weekend do domu i przedstawić rodzinie. Wiedziałyśmy, że będzie to koszmar, i był.

Mój ojciec miał prebendę na bliskim przedmieściu Leeds, mocno podupadłym z biegiem lat. Kościół był olbrzymi, neogotycki, ze szczerbią cegły. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się zapełnił. Został zbudowany na wzgórzu za pieniądze bogatych przemysłowców i kupców, którzy mieszkali niegdyś w otaczających go dużych kamiennych willach górujących nad ich fabrykami i magazynami i ulicami szeregowych robotniczych domków u stóp wzgórza. Kiedy ojciec objął parafię, część tych rezydencji znajdowała się jeszcze w rękach pierwotnych właścicieli, ale w latach pięćdziesiątych większość podzielono na mieszkania albo wynajęto wielopokoleniowym i wielodzietnym azjatyckim rodzinom. Ojciec był człowiekiem sumiennym, miał jak najlepsze intencje, czytał „Guardiana”, gdy jeszcze nazywał się „Manchester Guardian”, i dokładał wszelkich starań, aby Kościół reagował na potrzeby parafii, ale parafia przypominała sobie o Kościele tylko z okazji ślubów, chrztów i pogrzebów. Matka lojalnie wspierała ojca, oszczędnie gospodarując jego mizerną pensją, aby wychować dzieci jak przystało na klasę średnią. Było nas czworo, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Ja byłam druga z kolei. Wszyscy uczęszczaliśmy do miejscowych niekoedukacyjnych szkół, ale wyrastaliśmy pod pewnego rodzaju kulturowym kloszem, w izolacji od naszych rówieśników. Nie mieliśmy telewizora, po części dlatego, że ojciec się temu sprzeciwiał, ale również dlatego, że nie było nas stać. Do kina chodziliśmy tak rzadko, że intensywność tego przeżycia wytrącała mnie z równowagi i wręcz napełniała lękiem. Mieliśmy gramofon, ale płyty tylko z muzyką poważną. Wszyscy nauczyliśmy się grać na instrumentach, choć żadne z nas nie miało talentu, i czasem siadaliśmy całą

248

rodziną i brnęliśmy przez jakiś utwór kameralny, robiąc hałas, który pobudzał psy sąsiadów do wycia. Byliśmy abstynentami — znowu, tyleż dla zasady, co z oszczędności. I strasznie się sprzeczałyśmy. Główną rodzinną rozrywką było dogryzanie sobie nawzajem, zwłaszcza przy stole.

Wszystko to wprawiło Tubbyego w kompletne osłupienie. Po pierwsze, nie był przyzwyczajony do rodzinnych posiłków. Z wyjątkiem lunchów w niedziele i święta bardzo rzadko siadał do stołu razem z matką, ojcem i bratem. Kiedy mieszkał w domu, on, jego ojciec i jego brat jadal oddzielnie, o różnych porach, a pani Passmore jeszcze kiedy indziej. Gdy przychodzili wieczorem z pracy czy ze szkoły, pytała, na co mają ochotę, a potem to gotowała i obsługiwała ich, jakby prowadziła restaurację, a oni jedli, czytając gazetę albo książkę opartą o solniczkę. Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy pierwszy raz tam poszłam.

Jemu nasze domowe zwyczaje wydały się równie dziwaczne, „archaiczne jak Saga rodu Forsyteów”, powiedział mi kiedyś: siadanie do stołu en famille dwa albo trzy razy dziennie, modlitwa przed posiłkiem i po nim, płócienne serwetki, które skończywszy jeść, musiałyś z powrotem włożyć w swoje kółko, żeby oszczędzić na praniu, i odpowiednie sztucce, choćby najbardziej wyszczerbione i zmatowiałe, łyżki do zupy do zupy, widelce do ryby do ryb i tak dalej. Jadaliliśmy dość podle i skąpo, jeśli już trafiło się coś smaczniejszego, ale z zachowaniem dekorum. Biedny Tubby był w ten pierwszy weekend kompletnie zdezorientowany. Zaczął jeść, nim wszyscy sobie nałożyli, użył łyżeczki deserowej do zupy i łyżki do zupy

do deseru i popełnił całą masę innych faux pas, na które mój młodszy brat i siostra reagowali złośliwym chichotem. Najbardziej jednak zdumiała go zaciętość toczonej przy stole rozmowy. Nie, żebyśmy naprawdę o czymś dyskutowali. Ojciec sądził, że zachęca nas do samodzielnego myślenia, ale w rzeczywistości

249

rodziną i brnęliśmy przez jakiś utwór kameralny, robiąc hałas, który pobudzał psy sąsiadów do wycia. Byliśmy abstynentami — znowu, tyleż dla zasady, co z oszczędności. I strasznie się sprzecaliśmy. Główną rodzinną rozrywką było dogryzanie sobie nawzajem, zwłaszcza przy stole.

Wszystko to wprawiło Tubbyego w kompletne osłupienie. Po pierwsze, nie był przyzwyczajony do rodzinnych posiłków. Z wyjątkiem lunchów w niedziele i święta bardzo rzadko siadał do stołu razem z matką, ojcem i bratem. Kiedy mieszkał w domu, on, jego ojciec i jego brat jadali oddzielnie, o różnych porach, a pani Passmore jeszcze kiedy indziej. Gdy przychodzili wieczorem z pracy czy ze szkoły, pytała, na co mają ochotę, a potem to gotowała i obsługiwała ich, jakby prowadziła restaurację, a oni jedli, czytając gazetę albo książkę opartą o solniczkę. Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy pierwszy raz tam poszłam.

Jemu nasze domowe zwyczaje wydały się równie dziwaczne, „archaiczne jak Saga rodu Forsyteów”, powiedział mi kiedyś: siadanie do stołu en famille dwa albo trzy razy dziennie, modlitwa przed posiłkiem i po nim, płócienne serwetki, które skończywszy jeść, musiałeś z powrotem włożyć w swoje kółko, żeby oszczędzić na praniu, i odpowiednie sztucce, choćby najbardziej wyszczerbione i zmatowiałe, łyżki do zupy do zup, widelce do ryby do ryb i tak dalej. Jadaliśmy dość podle i skąpo, jeśli już trafiło się coś smaczniejszego, ale z zachowaniem dekorum. Biedny Tubby był w ten pierwszy weekend kompletnie zdezorientowany. Zaczął jeść, nim wszyscy sobie nałożyli, użył łyżeczki deserowej do zupy i łyżki do zupy do deseru i popełnił całą masę innych faux pas, na które mój młodszy brat i siostra reagowali złośliwym chichotem. Najbardziej jednak zdumiała go zaciętość toczonej przy stole rozmowy. Nie, żebyśmy naprawdę o czymś dyskutowali. Ojciec sądził, że zachęca nas do samodzielnego myślenia, ale w rzeczywistości

249

istniały bardzo ściśle granice tego, co wolno było powiedzieć. Na przykład nie mogliśmy kwestionować istnienia Boga ani kościelnych dogmatów, ani nierozzerwalności małżeństwa. My, dzieci, bardzo szybko się znaleźliśmy w tych ograniczeniach i obracaliśmy rozmowę w rodzaj gry, której celem było zdyskredytowanie kogoś z rodzeństwa w oczach pozostałych członków rodziny. Jeśli, na przykład, źle użyłeś jakiegoś słowa albo zrobiłeś błąd rzeczowy, reszta natychmiast spadała na ciebie jak stado sępów. Tubby zupełnie nie potrafił sobie z tym poradzić. Oczywiście dużo później wykorzystał to wszystko w Sąsiadach. Pierwowzorem Springfieldów i Davisów są zasadniczo nasze rodziny, mutatis mutandis. Springfieldowie mają całkowicie świecki światopogląd, ale ta mieszanka wysokich norm moralnych i krytykanctwa, ich skrywany snobizm i uprzedzenia, wszystko to sięga wrażeń, jakie Tubby wyniósł z pierwszych kontaktów z moją rodziną, podczas gdy Davisowie są bardziej hałaśliwą, trochę usentymentalnioną wersją Passmoreów, z dodatkiem wuja Berta i ciotki Dolly. Przypuszczam, że właśnie

dlatego nigdy tego serialu nie lubiłam. Wywołuje zbyt wiele bolesnych wspomnień. Najbardziej upiorny był chyba nasz ślub — dwa komplety zupełnie różnych krewnych zgrzytające

0 siebie nawzajem.

Dlaczego za niego wyszłam? Myślałam, że jestem w nim zakochana. No dobrze, pewnie byłam. Czym jest miłość, jeśli nie przekonaniem, że się kocha? Trwałam w stanie ostrożnego buntu przeciwko mojemu wychowaniu i małżeństwo z Tubbym było sposobem dowiedzenia własnej niezależności.

1 oboje rwaliśmy się do seksu — chcąc zaspokoić normalny hormonalny apetyt młodości — ale nie byłam aż tak zbuntowana, żeby pójść z nim do łóżka bez ślubu. No i Tubby rzeczywiście miał w tamtych czasach nieodparty wdzięk. Wierzył w siebie, w swój talent i zaraził mnie tą wiarą. Ale przede wszystkim był zabawny. Pobudzał mnie do śmiechu.

250

CZĘŚĆ TRZECIA

Wtorek, 25 maja. Platany za oknem pokryły się zielenią: dosyć to przygaszona, anemiczna zieleń, bez żadnych kwiatów. Daleko im do kasztanowców z kremowymi fallicznymi świecznikami, rosnących pod moim gabinetem w Hollywell. Nie biegają też po ich gałęziach wiewiórki, ale trudno się temu dziwić. Powinienem być zadowolony — jestem zadowolony — że w ogóle rosną tu jakieś drzewa, zważywszy na zanieczyszczenie w centrum Londynu. Między Brewer i Regent Street biegnie wąska, niepozorna przecznica Air Street* i ilekroć widzę tabliczkę z nazwą, uśmiecham się do siebie. Uśmiecham, a nie śmieję, bo jest nieodmiennie zakorkowana samochodami, które pompują do atmosfery rakotwórcze spaliny, i jeśli nie trzeba, lepiej nie otwierać ust. Air Street. Nie wiem, kto ją tak ochrzcił, ale można by zbić majątek, sprzedając tam powietrze w butelkach.

Odkąd przeniosłem się do londyńskiego mieszkania na stałe, czuję się w nim jak w klatce. Tęsknię za czystym powietrzem Hollywell, za wiewiórkami bawiącymi się w berka w ogrodzie, za dzienną ciszą podmiejskich uliczek, gdzie najgłośniejszym dźwiękiem o tej porze roku jest warkot dalekiej kosiarki lub „puk-puk” meczu tenisowego. Ale nie mogłem już nerwowo

* Air Street (ang.) - ulica Powietrza.

253

4 ~ *

wytrzymać dzielenia domu z Sally Mijania jej z kamienną twarzą na schodach albo w hallu; komunikowania się za pomocą lakonicznych, oskarżycielskich karteczek (Jeśli już musisz moczyć pranie, zabieraj je, proszę, przed moim dniem korzystania z pralni; Ostatnio ja kupiłam płyn do zmywarki, więc bądź łaskaw go odkupić następnym razem); uciekania, gdy otwierała drzwi jakiemuś sąsiadowi albo dostawcy, żebyśmy nie musieli odezwać się do siebie przy nich; podnoszenia słuchawki, żeby zadzwonić, i rzucania jej, jakby parzyła, bo Sally rozmawiała z drugiego aparatu, i walczenia potem z pokusą, żeby przycisnąć guzik i posłuchać... Człowiek, który wymyślił całe to „oddzielne gospodarstwo”, miał

skłonności sadystyczne — albo skrzywione poczucie humoru. Kiedy opisałem sytuację Jakeowi, powiedział: „Wiesz co, to świetny materiał na sitcom”. Od tamtej pory z nim nie rozmawiam.

Dziwnie się czuję, pisząc znowu ten dziennik. Jest w nim spora luka. Po tym, jak Sally zastrzeliła mnie wiadomością, że chce separacji (czy można zastrzelić wiadomością? Jeśli tak, był to strzał armatni) — po tym, jak Sally wpadła do mojego gabinetu w tamten piątkowy wieczór i oznajmiła, że chce separacji, przez wiele tygodni byłem zbyt przygnębiony, aby pisać cokolwiek, nawet dziennik. Nie posiadałem się z zazdrości, gniewu i rozpacz. (To jest dobre wyrażenie: „nie posiadać się z czegoś”; twoje negatywne uczucia są tak silne, że nie jesteś już panem siebie, nie należysz do siebie, tylko do nich.) Potrafiłem myśleć wyłącznie o tym, jak się odegrać na Sally: robiąc trudności z pieniędzmi; usiłując wytropić i zdemaskować kochankę, którego według mnie miała; i samemu nawiązując z kimś romans. Ciekawe, dlaczego sądziłem, że to ostatnie by ją obeszło? W każdym razie, nawet gdyby mi się udało, musiałbym to ukryć przed Sally, bo inaczej mogłaby szybko

254

uzyskać rozwód z powodu zdrady małżeńskiej. Gdybym miał spróbować rozplatać zasuptane i wystrzępione sznurki moich ówczesnych motywów, musiałbym powiedzieć, że chciałem nadrobić stracone skoki w bok.

Najbardziej bolesne w deklaracji niepodległości Sally było oczywiście to, że skreśliła mnie jako człowieka, i nieodparty wniosek, że te wspólne trzydzieści lat, czy też spora ich część, nie miało dla niej żadnej wartości, żadnego znaczenia. Po jej odejściu z domu siedziałem na podłodze w living roomie obłożony rodzinnymi albumami, których nie oglądałem od lat, przewracając kartki ze łzami w oczach. Jakże bolesny był widok tych zdjęć! Sally i dzieci uśmiechające się do obiektywu z leżaków, wózków, huśtawek, piaskowych zamków, brodzików, basenów kąpielowych, siodełek rowerów, siodeł kucyków, pokładów promów i podwórek francuskich pensjonatów. Z roku na rok dzieci były wyższe i męźniejsze, a Sally przybywało zmarszczek i siwych włosów, ale zawsze wyglądała na zdrową i szczęśliwą. Tak, szczęśliwą. Chyba aparat nie mógł kłamać? Pochlipywałem, ocierałem łzy, wydmuchiwałem nos i wpatrywałem się w barwne odbitki Kodaka, próbując dostrzec w twarzy Sally jakąś zapowiedź przyszłego rozczarowania. Ale jej oczy były zbyt małe, nie mogłem w nie spojrzeć, a tylko one wyrażają, co ktoś naprawdę myśli. Może całe nasze „szczęśliwe małżeństwo” było złudzeniem, uśmiechem do obiektywu.

Kiedy już zwątpisz w swoje małżeństwo, zaczynasz wątpić w swoje poczucie rzeczywistości. Sądziłem, że znam Sally — i nagle odkryłem, że nie. Więc może nie znałem siebie. Może nie znałem niczego. Był to tak przerażający wniosek, że uciekłem przed nim i schroniłem się w gniewie. Zrobiłem z Sally potwora. Obciążyłem ją całą winą za rozpad naszego małżeństwa. Nawet jeśli miała trochę racji, narzekając na mój egocentryzm, humorzastość, roztargnienie etc., etc. (przynaję, z wiadomością o ciąży Jane naprawdę się skompromitowałem),

255

uzyskać rozwód z powodu zdrady małżeńskiej. Gdybym miał spróbować rozplatać zasuptane i

wystrzępione sznurki moich ówczesnych motywów, musiałbym powiedzieć, że chciałem nadrobić stracone skoki w bok.

Najbardziej bolesne w deklaracji niepodległości Sally było oczywiście to, że skreśliła mnie jako człowieka, i nieodparty wniosek, że te wspólne trzydzieści lat, czy też spora ich część, nie miało dla niej żadnej wartości, żadnego znaczenia. Po jej odejściu z domu siedziałem na podłodze w living roomie obłożony rodzinnymi albumami, których nie oglądałem od lat, przewracając kartki ze łzami w oczach. Jakże bolesny był widok tych zdjęć! Sally i dzieci uśmiechające się do obiektywu z leżaków, wózków, huśtawek, piaskowych zamków, brodzików, basenów kąpielowych, sioდეtek rowerów, sioდეł kucyków, pokładów promów i podwórek francuskich pensjonatów. Z roku na rok dzieci były wyższe i męźniejsze, a Sally przybywało zmarszczek i siwych włosów, ale zawsze wyglądała na zdrową i szczęśliwą. Tak, szczęśliwą. Chyba aparat nie mógł kłamać? Pochlipywałem, ocierałem łzy, wydmuchiwałem nos i wpatrywałem się w barwne odbitki Kodaka, próbując dostrzec w twarzy Sally jakąś zapowiedź przyszłego rozczarowania. Ale jej oczy były zbyt małe, nie mogłem w nie spojrzeć, a tylko one wyrażają, co ktoś naprawdę myśli. Może całe nasze „szczęśliwe małżeństwo” było złudzeniem, uśmiechem do obiektywu.

Kiedy już zwątpisz w swoje małżeństwo, zaczynasz wątpić w swoje poczucie rzeczywistości. Sądziłem, że znam Sally — i nagle odkryłem, że nie. Więc może nie znałem siebie. Może nie znałem niczego. Był to tak przerażający wniosek, że uciekłem przed nim i schroniłem się w gniewie. Zrobiłem z Sally potwora. Obciążylem ją całą winą za rozpad naszego małżeństwa. Nawet jeśli miała trochę racji, narzekając na mój egocentryzm, humorzastość, roztargnienie etc., etc. (przynaję, z wiadomością o ciąży Jane naprawdę się skompromitowałem),

255

■P

nie dawało jej to jeszcze podstaw do odejścia. Musiał być inny powód, mianowicie inny mężczyzna. Miałem na poparcie tej hipotezy mnóstwo przykładów zdrady w kręgu naszych znajomych. A przy naszym trybie życia Sally mogłaby bez trudu ukryć swój romans: spędzałem dwa dni w tygodniu w Londynie i nie miałem zielonego pojęcia o jej pracy. Najbardziej złościło mnie to, że sam nie wykorzystałem tej sytuacji. Ale „złość” nie jest odpowiednim słowem. Rozgoryczenie lepiej tu pasuje — zawiera w sobie jednocześnie smutek, urazę i chęć zemsty. Czułem rozgoryczenie na myśl o wszystkich tych kobietach, które tak łatwo mógłbym mieć w trakcie mojej kariery zawodowej, zwłaszcza w ostatnich latach, gdybym nie postanowił być wierny Sally: aktorki i asystentki produkcji, dziewczyny od reklamy i sekretarki — wszystkie podatne na mana popularnego scenarzysty. Amy powiedziała mi kiedyś, że według Freuda pisarzy napędzają trzy pragnienia: sławy, pieniędzy i miłości kobiet (lub mężczyzn, jak sądzę, zależnie od upodobań, chociaż wątpię, by Freud brał pod uwagę pisarki i pisa-rzy-gejów). Dążyłem do zaspokojenia dwóch pierwszych pragnień, ale z pobudek moralnych całkowicie zrezygnowałem z trzeciego. I jaka czekała mnie nagroda? Pójście w odstawkę, gdy zrobiłem swoje, gdy moje możliwości seksualne zaczęły maleć.

Ta ostatnia myśl zasiała we mnie popłoch. Ile lat mi zostało na nadrobienie straconych okazji? Przypomniałem sobie, co napisałem w dzienniku kilka tygodni wcześniej: Nie możesz uczcić swojego ostatniego stosunku, bo kiedy go odbywasz, nie wiesz, że jest ostatni; a kiedy się przekonasz, że był, prawdopodobnie nie będziesz już pamiętał, jak wyglądał. Spróbowałem sobie przypomnieć, kiedy Sally i ja ostatni raz się kochaliśmy, i nie mogłem. Przejrzałem dziennik i znalazłem to pod sobotą, 27 lutego. Nie zanotowałem żadnych szczegółów, oprócz tego, że Sally była wyraźnie zaskoczona moją propozycją i raczej

256

bierna. To podsyciło moje podejrzenia. Cofnąłem się do rozmowy z chłopakami w klubie tenisowym: Pilnuj swojej pani, Tubby... Podobno jest też dobry w innych rzeczach... Z całą pewnością ma do tego sprzęt... Rozwiązanie zagadki zabłysło mi w głowie jak rakietka. Brett Sutton, oczywiście! Lekcje tenisa, nowe stroje sportowe, nagła decyzja, by farbować włosy. Wszystko układało się w całość. Niczym na ekranie pornograficznego kina, widziałem w myślach jaskrawe obrazy Sally leżącej nago na kozetce w klubowym pokoju pierwszej pomocy i w ekstazie odrzucającej głowę do tyłu, gdy Brett Sutton posuwa ją swoim olbrzymim kutasem.

Odkryłem, że myliłem się co do Brett Suttona. Ale potrzeba przespania się z kimś samemu, jak najszybciej — aby się zemścić na Sally, aby wynagrodzić sobie dotychczasową powściągliwość, aby odzyskać pewność siebie — nie dawała mi spokoju. Oczywiście najpierw pomyślałem o Amy. Od ładnych paru lat nasza przyjaźń miała wszelkie znamiona romansu — sekretność i regularność spotkań, dyskretne kolacje w restauracjach, potajemne rozmowy telefoniczne, obopólne zwierzenia — wszystko oprócz seksu. Nie przekraczałem tego progu przez zbędną, jak się okazało, lojalność wobec Sally. Teraz opory moralne straciły sens. Tak przekonywałem sam siebie w owym czasie, bezpośrednio po strzale armatnim. Nie zastanowiłem się jednak nad dwiema rzeczami: a) czy naprawdę pożądam Amy, b) czy Amy pożąda mnie. Na Teneryfie

stwierdziliśmy, że odpowiedź na oba pytania brzmi: „nie”.

✓ >

"frISiSîZÔîZiiift-ùii-ùii

Środa, 26 maja. Rano przyszły listy od Jane i Adama. Nie miałem ochoty ich otwierać — ścisnęło mnie w dołku, gdy tylko rozpoznałem charakter pisma na kopertach — ale nie mogłem się na niczym skupić, póki tego nie zrobiłem. Obydwa

257

były krótkie, zawierały pytania o moje samopoczucie i zaproszenia do odwiedzin. Podejrzewam życzliwą znowę: to, że przyszły jednego dnia, nie może być zbiegiem okoliczności.

Widziałem się z nimi, oddzielnie, po tym jak Sally odeszła z domu, ale zanim się z powrotem wprowadziła. Z Adamem zjadłem któregoś dnia lunch w Londynie, a potem pojechałem do Swanage, żeby spędzić weekend z Jane i Gusem. Obydwa spotkania wypadły dość niezręcznie. Na lunch z Adamem wybrałem restaurację, w której nigdy przedtem nie byłem, żeby mnie nie rozpoznano. Okazała się zatłoczona, a stoliki stały blisko siebie, więc nie mogliśmy swobodnie pogadać, nawet gdybyśmy chcieli, i musieliśmy się posługiwać eliptycznym szyfrem. Jeśli ktoś nas podsłuchiwał, pomyślał pewnie, że komentujemy jakieś nieudane przyjęcie, a nie rozpad małżeństwa

0 trzydziestoletnim stażu. Ale i tak było to lepsze niż weekend w Swanage, kiedy Gus wciąż taktownie zostawiał mnie z Jane samego, żebyśmy mogli porozmawiać „jak ojciec z córką”, na co żadne z nas nie miało specjalnej ochoty, bo nigdy w ten sposób nie rozmawialiśmy i nie wiedzieliśmy, jak to się robi. Jane zawsze mnie tylko żartobliwie łąła, krytykując moje nieekologiczne formy konsumpcji, jak butelkowana woda mineralna, kolorowe spinacze i drewniane półki na książki albo seksistowskie żarty w Sąsiadach. Była to gra, w którą graliśmy, częściowo dla rozrywki innych.

W niedzielę po południu Jane i ja spacerowaliśmy z ich psem po półksiężycowatej plaży, wymieniając luźne uwagi o pogodzie, przypliwie i surfingowcach w zatoce. Dziecko ma się urodzić w październiku. Spytałem Jane, jak się czuje w związku z ciążą, i odparła, że dzięki Bogu okres porannych mdłości ma już za sobą; ale ten temat też się nie kleił, może dlatego, że kojarzył się nam obojgu z rozstrzygającą kłótnią między Sally

1 mną. W drodze powrotnej, kiedy byliśmy już prawie pod domem, Jane powiedziała nagle: „Dlaczego nie dasz mamie,

258

ile chce? Przecież połowa dochodów zupełnie ci wystarczy na życie”. Wyjaśniłem, że chodzi o zasadę. Sally nie może odejść ode mnie ot dlatego, że wydają jej się trudny we współżyciu, i oczekiwać, że nadal będę ją utrzymywał na poziomie, do jakiego przywykła. „To znaczy, że jej płaciłeś za znoszenie twoich humorów?” — spytała Jane. „Nie, skądże” — odparłem. Ale chyba w pewnym sensie Jane miała rację, chociaż sam tak bym tego nie ujął. To bystra dziewczyna. Powiedziała: „Uważam, że całe te pieniądze, które zarobiłeś na Sąsiadach, miały zły wpływ na was oboje. Ty martwiłeś się bardziej, niż kiedy było wam ciężko. A mama stała się zazdrosna”. Nigdy przedtem nie pomyślałem, że Sally może mi zazdrościć sukcesów.

Chociaż i Jane, i Adam starali się zachować neutralność, czułem, że w głębi duszy oboje trzymają stronę Sally, więc po tych dwóch spotkaniach już się z nimi nie kontaktowałem. Zresztą knułem wyjazd z Amy na Teneryfę i bałem się, że mogą to odkryć i wydać mnie Sally.

Z pewnością popełniłem fatalny błąd, wybierając Teneryfę, ale, po prawdzie, całe to przedsięwzięcie było z góry skazane na niepowodzenie. Spotykając się z Amy w sekrecie i nie pozwalając sobie na nic bardziej intymnego niż przyjacielski pocałunek czy uścisk, oblekłem ją w pewien urok, urok zakazanego, poniechanego. Kiedy zobaczyłem ją nagą na łóżku, była po prostu pulchną, małą kobietką z bardzo owłosionymi nogami, czego dotąd nie zauważyłem, bo zawsze nosiła pończochy albo rajstopy. Poza tym

jej ciało wyraźnie straciło już jędrność. Nie mogłem nie stwierdzić, że wygląda gorzej niż Sally i że cała moja strategia wzięła w łeb. Co, do licha, robiłem w tym gównianym hotelu w okropnym kurorcie z kobietą znacznie mniej pociągającą niż marnotrawna żona, na której chciałem się zemścić? Nic dziwnego, że Teneryfa była erotyczną klęską. Gdy tylko wróciłem do Anglii — a nawet wcześniej — zacząłem przeglądać pamięciową listę znajomych ko-

259

biet w poszukiwaniu ewentualnej partnerki, która byłaby młodsza i bardziej atrakcyjna niż Amy. Znalazłem Louise.

Po paru dniach znów siedziałem w samolocie, tym razem lecącym do Los Angeles. Kolejne fiasko. A nawet podwójne fiasko, jeśli liczyć randkę w ciemno ze Stellą, którą Louise mi naraziła, gdy sama rozwiąła moje nadzieje. Idiotyczne nadzieje. Już kupując bilet do LA (otwarty, business class; kosztował majątek, ale chciałem dotrzeć na miejsce w dobrej formie), wiedziałem, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby po tylu latach Louise nadal była wolna i chętna, ale ze strachu przed porażką nie dopuściłem tej myśli do siebie. Zupełnie jak Kierkegaard, który wrócił do Kopenhagi rok po zerwaniu narzeczeństwa, rojąc naiwnie, że Regina wciąż go opłakuje, i odkrył, że zaręczyła się ze Schlegelem. Powab Louise polegał właśnie na tym, że była kimś, kogo mogłem mieć w przeszłości i głupio, przekornie się wyrzekłem. To pokusa Powtórzenia, nadzieja, że Louise ponownie mi się ofiaruje, dzięki czemu jej wzięcie będzie podwójnie słodkie, skłoniły mnie do przelecenia tych paru tysięcy mil.

Natomiast Stella była tylko potencjalną partnerką na jedną noc. Musiałem czekać całą dobę na najbliższy samolot do Londynu, więc kiedy Louise zadzwoniła nazajutrz po naszej wyprawie do Venice i powiedziała, że ma przyjaciółkę, która marzy o tym, by mnie poznać, zgodziłem się. Spotkaliśmy się w hallu Beverly Wilshire i zabrałem ją na kolację do absurdalnie drogiej hotelowej restauracji. W pierwszej chwili wydała mi się dość atrakcyjna: blondynka, szczupła, odstawiona na wysoki połysk. Mrużyłem oczy od blasku jej zębów, żelu do włosów, lakieru do paznokci i biżuterii. Ale jej uśmiechy trwały ułamek sekundy za długo, żeby mogły być naturalne, a napięcie skóry twarzy pod grubą warstwą pudru sugerowało mały lifting. Bez owijania w bawełnę, już przy margeritach w barze, powiedziała: „Wiem od Louise, że mamy ze sobą dużo

260

wspólnego: oboje zostaliśmy wystawieni do wiatru i oboje chcemy pójść z kimś do łóżka, zgadza się?" Roześmiałem się z zażenowaniem i spytałem, czym się zajmuje. Okazało się, że ma butik przy Rodeo Drive, gdzie Louise czasem robi zakupy. Kiedy usiedliśmy przy stoliku, zaskoczyła mnie pytaniem, czy badałem się na HIV. Odparłem, że nie wydawało mi się to konieczne, bo zawsze byłem wierny mojej żonie. „Tak, Louise mi mówiła — oświadczyła Stella. — Ale co z twoją żoną? Czy ona była wierna tobie?" Powiedziałem, że tak sądzę, i spytałem, co chciałaby zjeść. „Wezmę sałatkę cesarską i filet mignon, bardzo krwisty. Nie gniewasz się, że tak cię wypytuję, Tubby?" „Ależ skąd" — odparłem uprzejmie. „Uważam, że najlepiej wyjaśnić te sprawy na wstępie i potem mieć spokojną głowę. A po odejściu żony? Byłeś z kimś?" „Tylko raz — powiedziałem. — Z moją starą przyjaciółką". „Oczywiście użyłeś prezerwatywy?" „Oczywiście" — skłamałem. W rzeczywistości Amy założyła kapturek. Stella chyba

wyczuła, że kłamię. „Masz teraz prezerwatywy?” — zapytała, gdy przyniesiono nam sałatki. „Nie przy sobie” — odparłem. „Miałam na myśli w pokoju”. „Na pewno są w barku — zaimprovizowałem. — Jest bardzo dobrze zaopatrzony”. „Nie ważne, ja mam kilka” — powiedziała Stella bez cienia uśmiechu. Kiedy przy filet mignon zaczęła mówić o rękawiczkach z lateksu i dentystycznych ślinochro-nach, przestraszyłem się. Skoro tak nalega na bezpieczny seks, pomyślałem, musi mieć po temu powody. I pierwszy raz w życiu odegrałem ostry atak niedowładu wewnętrznego kolana, wijąc się na krześle z, choć sam to mówię, bardzo przekonująco wykrzywioną twarzą. Goście przy sąsiednich stolikach poważnie się zaniepokoiili. Maître skinął na kelnerów i dwaj wynieśli mnie do hallu. Przeprosiłem Stellę, wytłumaczyłem się i poszedłem do łóżka sam. Prosiła, żebym zadzwonił następnego dnia, ale następnego dnia wsiadłem w pierwszy samolot z LAX na Heathrow.

261

Przelatywaliśmy chyba nad polarnymi lodami, gdy jako wizja seksualnej obietnicy ukazała mi się Samantha. Dlaczego nie pomyślałem o niej wcześniej? Była młoda, pociągająca i stawała na głowie, żeby zaskarbić sobie moje względy. Co więcej, promieniowała zdrowiem i higieną, i była bardzo inteligentna. Na pewno uprawiała wyłącznie bezpieczny seks. Tak, zdecydowanie była najlepszą kandydatką do pomocy w przeprowadzeniu dowodu, że nadal jestem mężczyzną. Nie mogłem się doczekać lądowania na Heathrow. Zmęczony, brudny i nieogolony, wskoczyłem w taksówkę i pojechałem prosto do studia, bo wiedziałem, że ją tam znajdę.

Nie byłem zdziwiony, gdy moja pierwsza niezdarna próba podboju się nie powiodła, zwłaszcza że signora Gabrielli robiła wszystko, aby mi przeszkodzić. Ale kiedy parę dni później Ollie zasugerował, że powinienem mieć redaktora, dostrzegłem swoją szansę i zażądałem Samanthy. Dziewczyna bardzo dobrze rozumiała, jaką jej wyświadczyłem przysługę, i była gotowa się odwdzińczyć w tradycyjny showbiznesowy sposób. Popełniłem jednak fatalny błąd, to znaczy fatalny dla moich seksualnych zamiarów, planując uwiedzenie na Kopenhagę. Próbowałem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: połączyć małe kierkegaardowskie rozpoznanie z upragnioną poza-mażeńską kopulacją w luksusowym hotelu, gdzieś blisko, ale na tyle daleko, żeby nie spotkać nikogo znajomego. Powinienem być wiedzieć, że są to misje nie do pogodzenia. Powinienem być się domyślić, jak podziąła na mnie spacer po bruku, po którym półtora wieku temu chodził Kierkegaard, ujrzenie na własne oczy ulic, placów i budynków, które dotąd były tylko pustymi nazwami, jak Nytorv, Norregade, Borgerdydscole, i widok wzruszających, skromnych pamiątek po S.K. w Bymu-seum: jego fajek, jego portfela, szkła powiększającego z futerałem zrobionym przez Reginę; okrutnej karykatury w „Korsarzu”; i portretu Reginy — rumianej, hożej, z pełnymi wargami-

262

mi, które jakby miały rozchylić się za moment w uśmiechu — ewidentnie namalowanego w szczęśliwych czasach, nim Kierkegaard zerwał ich zaręczyny A potem pisanie przy jego pulpicie! Doznałem niesamowitego uczucia, że w jakiś sposób jest obecny na sali, zagląda mi przez ramię.

W rezultacie zacząłem się jakoś dziwnie ociągać z dopięciem erotycznego celu tej podróży, a kiedy piękna Samantha zuchwale zaoferowała mi wszystkie swoje bujne wdzięki, nie potrafiłem z tego skorzystać. Coś

mnie powstrzymało i nie był to strach przed impotencją czy urażeniem sobie kolana. Nazwijcie to sumieniem. Nazwijcie to Kierkegaardem. Na jedno wychodzi. Myślę, że Kierkegaard jest tym chudzielcem, który próbował się ze mnie wydostać, i w Kopenhadze wreszcie mu się udało.

Kiedy Kierkegaard odkrył, że Regina zaręczyła się ze Schlegel, i zdał sobie sprawę, że stracił ją bezpowrotnie, napisał w dzienniku: ...miałem takie odczucie: albo rzucasz się w dziką rozpustę, albo w bezwzględną religijność. Moja szaleńcza, idiotyczna seksualna odyseja po odejściu Sally, rozpaczliwe próby zaciągnięcia do łóżka kolejno Amy, Louise, Stelli i Samantha, były przymiarką do dzikiej rozpusty. Ale kiedy nic z tego nie wyszło, religia nie była dla mnie alternatywą. Żeby sobie ulżyć, mogłem się tylko brandzłować i pisać. To samo zresztą przez długi czas robił Kierkegaard — pisał. (Może się też brandzłował, nie byłbym tym specjalnie zaskoczony.) Dopiero jego późne książki, te, które wydał pod własnym nazwiskiem, można określić jako „bezwzględnie religijne”, i szczerze mówiąc, odrzuca mnie od nich. Wystarczą same tytuły: większość to Rozprawy pouczające. Utwory opatrzone dziwacznymi pseudonimami, jak Wiktor Eremita, Constantin Constantius czy Johannes de Silentio, zwłaszcza te, które powstały bezpośrednio po zerwaniu z Regimą, są zupełnie inne i dużo bardziej interesujące: Kierkegaard próbuje dojść do siebie po tym, co prze-

263

żył, pogodzić się z konsekwencjami swoich wyborów, przedstawiając fakty okrężnie, pośrednio, jako fikcję, ukrywając się za maskami. Tym samym impulsem kierowałem się, pisząc moje monologi. Monologi dramatyczne, tak się chyba nazywają, bo są zaadresowane do drugiej osoby, której kwestie tylko zasugerowałem. Tyle pamiętam z lekcji angielskiego w piątej klasie. Musieliśmy się nauczyć na pamięć wiersza Browninga, Moja ostatnia księżna:

A ten obraz to portret mojej ostatniej księżnej: Wyszła na nim jak żywa. Doprawdy potężny Talent ma nasz Fra Pandolf... *

Księżę był szalonym, zazdrosnym mężem, który zamordował swoją żonę. Oczywiście ja nigdy nie zamordowałbym Sally, ale były chwile, kiedy miałem wielką ochotę ją uderzyć.

W pewnym sensie był to pomysł Alexandry, chociaż nie miała pojęcia, jaki potok słów wyzwoli jej sugestia, ani jaką przyjmie on formę. Poszedłem do niej w stanie tępej rozpaczki jakiś tydzień po powrocie z Kopenhagi. Wyrzekłem się rozpusty, ale nadal byłem przygnębiony. Zupełnie jak z gospodarką: w dniu, gdy wróciłem z Danii (ostatnim samolotem — odszukanie grobu Reginy zajęło mi ładnych parę godzin; okazał się płaską płytą dość żałośnie zarośniętą zielskiem, ale w końcu jej prawdziwym pomnikiem są dzieła Kierkegarda), rząd ogłosił, że recesja oficjalnie się skończyła, lecz nikt nie widział żadnej różnicy; produkcja mogła wzrosnąć o 0,2 procenta, ale miliony ludzi dalej nie miały pracy, a setki tysięcy tkwiły

* R. Browning, Moja ostatnia księżna, tłum. S. Barańczak, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1993, s. 330.

264

w pułapce negatywnego bilansu. Zaszyłem się w mieszkaniu. Nie chciałem wychodzić ze strachu, że spotkam kogoś znajomego. (Oczywiście z wyjątkiem Grahamea. Kiedy nie mogę już znieść samotności, zapraszam go na herbatę albo kakao i pogawędkę. Zawsze jest wieczorem w bramie, mniej więcej od dziewiątej, a czasem także w ciągu dnia. Stał się jakby zewnętrznym lokatorem.) Byłem przekonany, że wszyscy moi przyjaciele i znajomi bez przerwy o mnie myślą i rozmawiają, zaśmiewając się z rysunku w „Public Interest”. Kiedy wybrałem się do Rummidge na wizytę u Alexandry, pojechałem drugą klasą i włożyłem ray-bany, żeby nie rozpoznali mnie konduktorzy. Byłem pewien, że oni też czytają „Public Interest”.

Zapytałem Alexandrę o prozac. Zdziwiła się. „Myślałam, że jesteś przeciwny leczeniu farmakologicznemu” — powiedziała. „Tak, ale ma to być coś zupełnie nowego — odparłem. — Nie powoduje uzależnienia, nie daje efektów ubocznych. Tak poprawia samopoczucie, że w Stanach biorą go nawet ci, którzy nie cierpią na depresję”. Alexandra oczywiście wiedziała wszystko o prozacu i zrobiła mi techniczny wykład na temat jego działania, coś o neurotransmiterach i inhibitorach wychwyty zwrotnego serotoniny. Nic z tego nie rozumiałem i poprosiłem, żeby mówiła po ludzku. Okazało się, że podchodzi do prozacu nieufnie. „To nieprawda, że nie daje efektów ubocznych — powiedziała. — Nawet jego zwolennicy przyznają, że ogranicza zdolność do przeżywania orgazmu”. „Cóż, efekt uboczny już mam — stwierdziłem — więc równie dobrze mogę brać lek”. Alexandra odstłoniła swe duże zęby w najszerszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek u niej widziałem. „Lekarze donoszą o poważniejszych rzeczach — odparła, przybrawszy znów wyraz powagi. — Pacjenci mają halucynacje, okaleczają się. Jakiś morderca twierdził nawet, że zabił, będąc pod wpły-

265

wem prozacu”. „Moja znajoma o niczym takim nie wspominała — westchnąłem. — Powiedziała mi tylko, że człowiek czuje się lepiej niż dobrze”. Alexandra przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu swoimi łagodnymi, brązowymi oczyma. „Przepiszę ci prozac, jeśli naprawdę tego chcesz — oświadczyła w końcu. — Ale musisz zdawać sobie sprawę, czym to grozi. Nie mówię o działaniu ubocznym, mówię o działaniu. Leki tej kategorii zmieniają ludziom osobowość. Są dla umysłu tym, czym dla ciała operacja plastyczna. Prozac może ci przywrócić poczucie własnej wartości, ale będzie to poczucie innego ja”. Zastanowiłem się chwilę. „Więc co mi radzisz? — spytałem.

Alexandra poradziła, żebym napisał, co moim zdaniem mówią i myślą o mnie inni. Zorientowałem się, naturalnie, o co jej chodzi. Uważała, że to nie rzeczywiste opinie innych ludzi tak mnie przygnębiają, tylko moje własne wyobrażenie o nich. Kiedy skupię się na pytaniu „Co ludzie naprawdę o mnie myślą?” i jasno na nie odpowiem, wtedy zamiast projektować mój brak poczucia własnej wartości na innych i pozwalać mu rykoszetować na sobie, będę zmuszony przyznać, że ludzie wcale mnie nie nienawidzą ani mną nie gardzą, lecz żywią dla mnie szacunek, współczują mi, a nawet mnie lubią. Ale niezupełnie tak to wyszło.

Będąc takim pisarzem, jakim jestem, nie potrafiłem po prostu streścić opinii innych ludzi o mnie, musiałem im pozwolić mówić własnymi słowami. I to, co powiedzieli, nie było zbyt pochlebne. „Byłeś dla siebie bardzo surowy” — stwierdziła Alexandra, gdy wreszcie zobaczyła, co napisałem. Zajęło mi to parę

tygodni — trochę mnie poniosło — i wysłałem jej monologi, dość grubą paczkę, dopiero w zeszłym tygodniu. Wczoraj pojechałem do Rummidge usłyszeć werdykt. „Są bardzo zabawne, bardzo wnikliwe — powiedziała, przerzucając plik kartek formatu A4, i jej blade, nie umalowane wargi rozchyliły się w uśmiechu, jakby na wspomnienie lektury. — Ale

266

byłeś dla siebie bardzo surowy". Wzruszyłem ramionami i odparłem, że starałem się uczciwie spojrzeć na siebie oczami innych. „Ale na pewno dużo z tego zmyśliłeś". Wcale nie tak dużo, powiedziałem.

Oczywiście byłem zmuszony podeprzeć się wyobraźnią. Na przykład nie widziałem policyjnego oświadczenia Brett Sut-ona, ale sam musiałem takowe złożyć i dostałem jego kopię, więc orientowałem się, jaką ma formę, a nie było trudno się domyślić Suttonowej wersji wydarzeń. Co do Amy, chociaż zawsze utrzymywała swoje sesje z Karlem Kissesem w tajemnicy, wiedziałem, że będzie zdawać mu codziennie relację z rozwoju naszych stosunków po strzale armatnim Sally, i miałem mnóstwo okazji, by poznać jej sposób myślenia i mówienia. Większość rzeczy, które opowiada Karlowi w monologu, opowiedziała kiedyś mnie: wspomnienie matki siekającej marchew w trakcie uświadamiania jej seksualnie, sen o rysunku w „Public Interest" ze mną jako Wulkanem i Saulem jako Marsem. Fragment o jej kłopotach ze spłuczką w hotelu w Playa de las Americas był ekstrapolacją odgłosów, jakie dobiegły mnie z łazienki. Zakończenie jest może trochę za zgrabne, ale nie mogłem się powstrzymać. Amy rzeczywiście wróciła do Anglii, tryskając energią i pewnością siebie i twierdząc, że da Karlowi congé, lecz po jakimś czasie podjęła analizę na nowo. A tak w ogóle, to rzadko ją teraz widuję. Poszliśmy raz czy dwa na kolację, ale jakoś nie mogliśmy odbudować naszego dawnego, przyjacielskiego układu. Za bardzo krępowały nas wspomnienia z Teneryfy.

Nie mam pojęcia, czy Louise rzeczywiście opisała Stelli nasze spotkanie tak szczegółowo, ale na pewno rozmawiała z nią przez telefon. Mogła rzucić palenie, picie i narkotyki (oprócz prozacu), ale jest nałogową telefoniarą. W restauracji w Venice cały czas trzymała swój tycki japoński komórkowiec obok talerza i wciąż przerywała mi bolesne zwierzenia, żeby odbierać

267

i wykonywać telefony w sprawie swojego filmu. Ollie był łatwy. Zdarzało mi się utknąć z nim w barze dziesiątki razy. Istotnie pozwoliłem sobie na trochę swobody z Samanthą. Mówiła mi — nie pamiętam już kontekstu — że jakaś jej znajoma ma kłopoty z krzywo rosnącymi zębami mądrości, ale wizyta w szpitalu była od początku do końca moim wymysłem. Spodobała mi się koncepcja bezradnego, niemego słuchacza, który nie może powstrzymać potoku głośnej opowieści o naszym niedoszłym rozpustnym weekendzie w Kopenhadze. Sa-mantha to bystra dziewczyna, ale delikatność nie jest jej mocną stroną.

Najtrudniejszy do napisania był monolog Sally. Nie pokazałem go Alexandrze, bo mogłaby pomyśleć, że umieszczając w nim i ją, pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Wiem, że zaprosiła Sally na rozmowę, bo pytała, czy nie mam nic przeciwko temu (odparłem, że nie); i Sally chyba zgodziła się przyjść, ale Alexandra nie powtórzyła mi, co powiedziała, więc przypuszczam, że nie było to miłe. Spojrzenie na rozpad naszego małżeństwa oczami Sally bolało mnie niemal fizycznie. Dlatego monolog przechodzi w połowie w

strumień wspomnień o początkach naszej znajomości. Ale to też było bolesne: przeżywanie na nowo tych dni nadziei, obietnicy i śmiechu. Najbardziej przykrą rzeczą, jaką Sally mi powiedziała podczas tego długiego, koszmarnego weekendu przed swym odejściem, weekendu kłótni, błagań i wzajemnych wyrzutów, było: „Już mnie nie pobudzasz do śmiechu”. Wtedy zrozumiałem, naprawdę zrozumiałem, że ją straciłem.

Czwartek, 27 maja, 10 rano. Napisanie wczorajszego ustępu zajęło mi cały dzień. Pracowałem bez przerwy, nie licząc pięciu minut, kiedy wyskoczyłem do Pret A Manger po kanapkę

268

* *

z krewetkami i awockado, którą zjadłem przy komputerze. Miałem masę zaległości do odrobienia.

Skończyłem koło siódmej; byłem zmęczony, głodny i spragniony. Kolano też dawało mi się we znaki: długie siedzenie w jednej pozycji mu nie służy. (Dlaczego „we znaki”? Tym razem słownik nic nie wyjaśnia.) Wszedłem, żeby rozprostować nogi i coś przetrącić. Był piękny, ciepły wieczór. Wokół stacji metra Leicester Square, jak zawsze o tej porze dnia, a bez względu na porę roku, roiło się od młodych ludzi. Wypływają z podziemi nieprzerwanym strumieniem i rozlewają się po chodniku pod Hipodromem, w niedbałych strojach, z wyrazem oczekiwania na twarzach. Na co liczą? Gdyby ich zapytać, większość nie umiałaby chyba odpowiedzieć. Na jakąś przygodę, jakieś spotkanie, jakąś cudowną odmianę losu. Niektórzy, oczywiście, są z kimś umówieni, i widzę, jak się rozpromieniają, gdy dostrzegą swojego chłopaka czy dziewczynę. Całują się, nie zwracając uwagi na grubego łysola w skórzanej kurtce, który mija ich wolnym krokiem z rękami w kieszeniach, i odchodzą, objęci, do jakiejś restauracji albo kina, albo baru tętniącego głośnym rockiem. Na tym samym rogu spotykałem się w narzeczeńskich czasach z Sally. Teraz kupuję „Standard”, żeby mieć co czytać przy kolacji w chińskiej knajpie na Lisie Street.

Złą stroną samotnych posiłków, jedną ze złych stron, jest to, że zwykle zamawiasz za dużo i jesz za szybko. Kiedy wróciłem z restauracji bekając, ze wzdętym brzuchem — ledwo minęła 8.30 i nadal było widno. Ale Grahame rozkładał się już w bramie na noc. Zaprosiłem go, żeby obejrzał ze mną drugą połowę finału Pucharu Europy między AC Milan i Marsylią. Marsylia wygrała 1:0. Dobry mecz, chociaż trudno wykrzesać z siebie entuzjazm, gdy nie gra żadna brytyjska drużyna.

269

Pamiętam, jak Manchester United zdobył Puchar Europy za czasów Georgea Besta. Szaleństwo. Spytałem Grahamea, czy to sobie przypomina, ale oczywiście nie było go wtedy na świecie.

Grahame ma szczęście, że nadal zajmuje bramę. Herr Bohl, ten szwajcarski biznesmen, który jest właścicielem mieszkania numer 5, sprzeciwił się jego obecności i chciał wezwać policję. Poprosiłem, aby pozwolił mu zostać, argumentując, że utrzymuje bramę w czystości i uniemożliwia przechodniom

wrzucanie do niej śmieci, a pijanym używanie jej jako nocnej toalety, co zwykli robić często i obficie. To sprytne odwołanie do szwajcarskiej obsesji na punkcie higieny odniosło skutek. Herr Bohl musiał przyznać, że odkąd Grahame się wprowadził, brama pachnie znacznie lepiej, i zrezygnował z wzywania policji.

Nie bez znaczenia był fakt, że sam Grahame zawsze jest czysty i ani trochę nie pachnie. Długi czas intrygowało mnie to, aż w końcu odważyłem się spytać, jak to robi. Uśmiechnął się chytrze i powiedział, że zdradzi mi pewien sekret. Następnego dnia zaprowadził mnie w jedno miejsce na Trafalgar Square, gdzie były po prostu drzwi w ścianie — musiałem je mijać dziesiątki razy, w ogóle ich nie zauważając. Grahame wystukał szyfr zamka elektronicznego, usłyszałem brzęczyk i drzwi się otworzyły. Za nimi krył się podziemny labirynt pomieszczeń, gdzie można dostać jedzenie, pograć w gry, wykąpać się pod prysznicem i skorzystać z pralni. To coś w rodzaju schroniska dla młodych bezdomnych. Są tam nawet szlafroki, więc jeśli masz tylko jedno ubranie, możesz usiąść i zaczekać, aż się wypierze i wysuszy. Wszystko razem przypominało mi trochę salę klubową Pullmana na Euston. Posłałem później datkę organizacji, która prowadzi to miejsce. Dzięki świadomości, że istnieje, czuję się odrobinę mniej winny, gdy pomyślę, że Grahame sypia w bramie. Bogacz w swoim zamku, biedak u jego wrót...

270

Właściwie nie ma powodu, bym w ogóle czuł się winny. Grahame sam wybrał życie na ulicy. Z dość nieciekawego zestawu możliwości, przyznaję, ale chyba nigdy nie było mu lepiej — a już na pewno nigdy nie był tak niezależny. „Jezdem panem mego losu” — oświadczył z powagą któregoś dnia. Było to jedno z tych zdań, które gdzieś widział i zapamiętał, nie mając pojęcia, kto jest autorem. Sprawdziłem je w słowniku cytatów. Pochodzi z wiersza W. E. Henleya:

Nie lękam się trąb siedmiu głosu, Ni kary w księdze zapisanej, Sam jestem panem mego losu I duszy mojej kapitanem.

Też bym tak chciał.

11.15. Przed chwilą dzwonił Jake. Nie odebrałem telefonu, posłuchałem tylko, jak zostawia wiadomość na sekretarce. Próbował mnie zwabić na lunch do Groucha. Zaczyna panikować, bo zbliża się termin, po którym Heartland może zatrudnić do Sąsiadów innego scenarzystę. Cóż, niech sobie zatrudnia. Dużo bardziej niż Priscilla i Edward interesują mnie teraz Regina i Soren. Zrozumiałem jednak, że Ollie Silvers nie wyprodukuje filmu o Kierkegaardzie, choćbym włożył w Sąsiadów nie wiem ile pracy, więc po co miałbym się wysilać?

Grahame był pod wrażeniem, gdy się dowiedział, że jestem scenarzystą telewizyjnym, ale kiedy wymieniłem nazwę serialu, mruknął: „A, to”, wyraźnie pogardliwym tonem. Pomyślałem, że jest ciut nietaktowny, zwłaszcza że żłopał wtedy moją herbatę i opychał się ciastem marchewkowym z Pret A Manger. „W sumie może być — dodał. — Jak ktoś lubi takie rzeczy”. Poprosiłem, żeby wyjaśnił, dlaczego sam ich nie lubi. „Taki serial nie jest prawdziwy, nie? — odparł. — No wie pan, co ty-

271

dzień w którejś rodzinie wybucha wielka awantura, ale przed końcem odcinka wszyscy się godzom i znowu som słodcy jak miód. Nic się nigdy nie zmienia. Nikomu nie dzieje się krzywda. Nikt nikogo nie bije. Dzieci nie uciekajom z domu". „Alice raz uciekła" — zauważyłem. „Tak, na dziesięć minut" — stwierdził. Miał na myśli czas ekranowy, ale nie zaprotestowałem. Przyznałem mu rację.

2.15 po południu. Wyszedłem do pubu na lunch i po powrocie zastałem na sekretarce wiadomość od Samantha: ma pomysł, jak rozwiązać problem Priscilli-Debbie, i chce go ze mną przedyskutować. Powiedziała, że wróci do biura przed trzecią, co jak na przerwę na lunch wydało mi się przesadą, ale dzięki temu mogłem do niej zadzwonić i zostawić wiadomość na jej sekretarce, żeby przelała swój pomysł na papier i wysłała mi pocztą. Ostatnio kontaktuję się z ludźmi wyłącznie przez automatyczną sekretarkę albo listownie. Pozwala mi to kontrolować tematy rozmów i unikać pytania „Jak się masz?" Kiedy samotność wyjątkowo mi dokuczy, dzwonię do informacji bankowej i sprawdzam stan moich kont z pomocą dziewczyny, której nagrany głos podaje mi komendy. Jest bardzo miła i nie pyta, jak się mam. Chociaż jeśli się pomylę, mówi: „Przepraszam, chyba coś jest nie w porządku". Święta prawda, kochanie, odpowiadam.

Tylko gdy piszę, czuję się dobrze. Zapominam wtedy o wszystkich strapieniach, wszystkich cierpieniach, zatapiam się w myślach i jestem szczęśliwy — dziennik Kierkegaarda, 1847. Kiedy pisałem monologi, nie byłem może szczęśliwy, ale przynajmniej zajęty, pochłonięty, zainteresowany. Zupełnie jakbym pracował nad scenariuszem. Miałem zadanie do wykonania i wykonywanie go sprawiało mi satysfakcję. Teraz, gdy już się z nim

272

« V

uporałem i mniej więcej uzupełniłem dziennik, jestem niespokojny, podenerwowany, spięty, nie potrafię się na niczym skupić. Nie mam żadnego cełu oprócz pilnowania, żeby Sally nie dobrała się do moich pieniędzy, i nawet na tym już mi tak bardzo nie zależy. Muszę jechać jutro do Rummidge na spotkanie z adwokatem. Mógłbym mu kazać rzucić ręcznik, jak najszybciej załatwić rozwód i dać Sally, ile chce. Ale czy wtedy poczułbym się lepiej? Nie. To kolejna sytuacja typu albo-albo. Cokolwiek zrobię, będę tego żałował. Rozwódź się, będziesz tego żałował, nie rozwódź się, będziesz tego także żałował. Rozwódź się lub się nie rozwódź, będziesz i tego wciąż i tego żałował.

Może mam nadzieję, że jeszcze się z Sally pogodzimy, że moje życie wróci do normy, że wszystko będzie jak dawniej, Może mimo napadów złości, ataków płaczu i prób zemsty — albo właśnie z ich powodu — nie poddałem się jeszcze prawdziwej rozpacz. B mówi do A: ...by naprawdę rozpaczać, trzeba tego naprawdę chcieć; jeśli się tego rzeczywiście pragnie, wówczas faktycznie już wyszło się poza rozpacz. Jeśli się rzeczywiście wybrało rozpacz — wówczas naprawdę wybrało się to, co się wybiera, opierając się na niej, mianowicie dokonało się wyboru swojej wiecznej wartości, wyboru samego siebie*. Można chyba powiedzieć, że dokonałem wyboru samego siebie, gdy zrezygnowałem z terapii prozakiem, ale wówczas nie wyglądało to na akt egzystencjalnego samopotwierdzenia. Prędzej na gest schwytanego przestępcy, który podstawia ręce do skucia.

5.30. Nagle przyszło mi do głowy, że skoro już jadę do Rummidge, mógłbym spróbować to połączyć z jakąś terapią. Wykonałem parę telefonów. Roland był zajęty, ale Dudley upchnął mnie na popołudnie. Do panny Wu nie zadzwoniłem. Nie wi-

* Albo-albo, t. 2, s. 286.

273

działem jej od tamtego piątku, gdy Sally strzeliła ze swojej armaty. Nie miałem ochoty. Panna Wu nie jest temu winna. To kwestia skojarzeń: akupunktura i rozpad mojego życia.

9.30. Dziś zjadłem kolację w restauracji indyjskiej i wróciłem do domu koło dziewiątej, dodatkowo zanieczyszczając stołeczne powietrze wybuchowymi, aromatycznymi pierdnięciami. Grahame powiedział mi, że jakiś mężczyzna naciskał mój dzwonek. Kiedy go opisał, zorientowałem się, że był to Jake. „Pana przyjaciel?” — spytał Grahame. „Tak jakby” — odparłem. „Pytał się, czy pana ostatnio widziałem. Nie podał zbyt korzystnego opisu”. Oczywiście spytałem, jaki opis podał. „Grubawy, łysy, przygarbiony”. Ten ostatni epitet trochę mną wstrząsnął. Nie zauważyłem dotąd, żebym się garbił. To musi być skutek depresji. Wyglądasz tak, jak się czujesz. Nie sądzę, aby to tylko wypadek w dzieciństwie odkształcił kręgosłup Kierkegaardowi. „Co mu powiedziałeś?” — spytałem. „Nic mu nie powiedziałem” — odparł Grahame. „I dobrze — stwierdziłem. — I bardzo dobrze”.

ftftüzftftiZütürft-tititiit

Piątek, 28 maja, 7.45 wieczorem. Przed chwilą wróciłem z Rummidge. Pojechałem burżuochodem, żeby się trochę przewietrzył: trzymam go teraz w garażu niedaleko Kings Cross i prawie wcale nie używam. Ale jazda M1 nie należała dziś do przyjemności. Na drodze wysypały się pacholki, jak krosty choremu na szkarlatynę. Między węzłem 9 i 11 zamknięto dla ruchu jedno pasmo i powstał pięciomilowy korek. Spóźniłem się więc na spotkanie z Dennisem Shorthouseem, specjalistą od spraw rozwodowych i rodzinnych w mojej firmie prawniczej, Dobson & McKittrick. Przed odejściem Sally nigdy nie miałem z nim do czynienia. Jest wysoki, siwowłosy i szczupły, ma pobrużdżoną, sępią twarz i prawie się nie rusza z za swego

ogromnego, przeraźliwie schludnego biurka. Jak niektórzy lekarze zachowują przesadną higienę, być może w obawie przed infekcją, tak Shorthouse zdaje się odgradzać tym biurkowym kordonem sanitarnym od problemów klientów. Trzyma na nim tacki na dokumenty do załatwienia i dokumenty załatwione, obie zawsze puste, nietknięty piórem bibularz i elektroniczny zegar jak taksometr dyskretnie zwrócony w twoją stronę, żebyś widział, ile cię kosztują jego rady.

Dostał list, w którym adwokat Sally grozi wystąpieniem o rozwód z uwagi na nieracjonalne zachowanie. „Jak pan wie, zdrada małżeńska i nieracjonalne zachowanie to jedyne podstawy do natychmiastowego orzeczenia rozwodu” — powiedział. Zapytałem, co się w tym nieracjonalnym zachowaniu mieści. „Bardzo dobre pytanie” — odparł, pochylając się nad biurkiem, tak starannie wypolerowanym, że odbijało jego uśmiech. Wdał się w skomplikowany wywód, ale niestety szybko przestałem uważać i nagle zdałem sobie sprawę, że umilkł i patrzy na mnie wyczekująco. „Mógłby pan to powtórzyć?” — poprosiłem. Jego uśmiech stał się odrobinę wymuszony. „Co mam powtórzyć?” — zapytał. „Tę ostatnią rzecz” —

odpartem, nie mając pojęcia, jak długo perorował. „Spytałem, na jakie nieracjonalne zachowanie pani Passmore mogłaby się ewentualnie poskarżyć w sądzie”. Zastanowiłem się chwilę. „Czy liczyłoby się, że jej nie słuchałem, gdy do mnie mówiła?” „Możliwe — odrzekł. — To by zależało od sędziego”. Odniosłem wrażenie, że gdyby sądził mnie Shorthouse, nie miałbym wielkich szans. „Czy kiedykolwiek uderzył pan żonę?” — spytał. „Broń Boże!” — zawołałem. „A upijanie się, obraza słowna, napady zazdrości, fałszywe oskarżenia i tym podobne rzeczy?” „Dopiero kiedy ode mnie odeszła” — stwierdziłem. „Nie słyszałem tego — mruknął. Pomilczał chwilę i przystąpił do podsumowania: — Nie sądzę, aby pani Passmore zdecydowała się wnieść pozew umotywowany nieracjonalnym zachowaniem. Nie przy-

275

#

sługuje jej pomoc finansowa, a gdyby przegrała, koszty byłyby znaczne. Poza tym znalazłaby się w punkcie wyjścia, jeśli chodzi o rozwód. Grozi panu pozwem, żeby wymusić porozumienie. Myślę, że nie ma się pan o co martwić”. Shorthouse uśmiechnął się triumfująco, wyraźnie zadowolony z tej analizy. „Czy to znaczy, że moja żona nie dostanie rozwodu?” — zdziwiłem się. „Och, w końcu go oczywiście dostanie, z powodu trwałego rozkładu pożycia. Chodzi o to, ile pan chce kazać jej czekać”. „I ile jestem gotów panu zapłacić za opóźnienie sprawy?” — spytałem. „Dokładnie tak” — odparł, spoglądając na zegar. Powiedziałem mu, żeby dalej opóźniał.

Potem pojechałem do Dudleya. Parkując pod jego domem, wspomniałem tęsknie poprzednie wizyty, gdy moim jedynym problemem było bliżej nieokreślone złe samopoczucie. Kiedy dzwoniłem do drzwi, gigantyczny odrzutowiec przeleciał mi nad głową z takim grzmotem, że skuliłem się w sobie i zatkałem uszy. Dudley powiedział, że to nowa linia do Nowego Jorku. „Przyda się panu, w pana branży, prawda? — dodał. — Nie będzie pan już musiał latać z Heathrow”. Dudley ma raczej przesadne wyobrażenie o blaskach życia scenarzysty telewizyjnego. Odpartem, że tak czy owak mieszkam teraz w Londynie i wyjaśniłem dlaczego. „Pewnie nie ma olejku, który pomaga na rozpad małżeństwa, co?” — powiedziałem. „Mogę dać panu coś na stres” — zaproponował. Spytałem, czy może się zająć moim kolanem, bo paskudnie mi dokuczało na M1. Po-stukał w komputer i stwierdził, że spróbuje lawendy, która jest dobra i na bóle, i na stres. Wyjął flakonik ze swojej dużej, okutej walizki na olejki eteryczne i dał mi do powąchania.

Nie sądzę, aby Dudley kiedykolwiek przedtem potraktował mnie lawendą, bo jej zapach nasunął mi niesamowicie żywe wspomnienie Maureen Kavanagh, mojej pierwszej dziewczyny-

276

ny. Maureen pojawiała się w mej pamięci, odkąd zacząłem pisać ten dziennik, niczym postać, która majaczy niewyraźnie na skraju dalekiego lasu, chodzi między drzewami, wynurza się z cienia i znów w nim znika. Lawenda wywabiła ją na otwartą przestrzeń — lawenda i Kierkegaard. Parę tygodni temu zanotowałem, że symbol podwójnego „a” we współczesnym duńskim, jedno „a” z kółeczkiem u góry, z czymś mi się kojarzy, ale nie mogę sobie przypomnieć z czym. No więc był to charakter pisma Maureen.

Zamiast kropkami, wykańczała „i” małymi kółkami, które tworzyły jakby szlaczki nad linijkami dużych okrągłych liter. Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy. Korespondowaliśmy ze sobą, chociaż widywaliśmy się co rano na przystanku tramwajowym, po prostu dla przyjemności. Ja pisałem namiętne listy miłosne, ona odpowiadała nieśmiało, krótkimi liścikami, które rozczarowywały swą banalnością: Po podwieczorku umyłam głowę, a później pomogłam mamie prasować. Słuchałeś w radiu Tonyego Hancocka? Pękaliśmy ze śmiechu. Używała fiołkowej papeterii od Woolwortha, naperfumowanej lawendą. Zapach olejku Dudleya wszystko mi przypomniał — nie tylko charakter pisma Maureen, ale ją całą. Maureen. Moja pierwsza miłość. Moja pierwsza pierś.

Po powrocie znalazłem w skrzynce list od Samantha z jej pomysłem na wypisanie Debbie z Sąsiadów: w ostatnim odcinku Priscilla wpada na rowerze pod ciężarówkę i ginie na miejscu, ale powraca jako duch, widoczny tylko dla Edwarda, i namawia go, żeby poszukał sobie nowej partnerki. Niespecjalnie oryginalne, ale otwiera jakieś możliwości. Musicie przyznać, dziewczyna jest bystra. Gdybym był w innym nastroju, może spróbowałbym coś z tym zrobić. Ale w tej chwili mogę myśleć wyłącznie o Maureen. Czuję, że nachodzi mnie nieprzeparte pragnienie, aby o niej napisać.

277

Maureen: Wspomnienie

Istnienie Maureen Kavanagh dotarło do mojej świadomości, gdy miałem piętnaście lat, ale minął prawie rok, nim udało mi się z nią porozmawiać i odkryć, jak ma na imię. Widywałem ją w każdy zwykły dzień rano, czekając na tramwaj, którym pokonywałem pierwszy odcinek uciążliwej trzyetapowej podróży do szkoły. Było to liceum Lambeth Merchants, do którego, popchnięty w najlepszej intencji przez dyrektora elementarki, dostałem się, niestety, po egzaminie końcowym. Napisałem „niestety”, bo teraz uważam, że byłbym szczęśliwszy i dzięki temu więcej bym się nauczył w skromniejszej, pośledniejszej instytucji. Posiadałem wrodzoną inteligencję, ale brak odpowiedniego społecznego i kulturalnego zaplecza nie pozwolił mi naprawdę skorzystać z edukacyjnej oferty Lambeth Merchants. Była to stara fundacja, obsesyjnie szczytująca się swą historią i tradycją. Oprócz uczniów, którzy płacili czesne, przyjmowała jako stypendystów śmietankę z egzaminów i stylizowała się na klasyczną angielską szkołę publiczną, z „domami” (choć nie prowadziła internatu), kaplicą, szkolnym hymnem po łacinie i licznymi skomplikowanymi rytuałami. Mieściła się w neogotyckich budynkach ze szerniącej cegły, ozdobionych wieżyczkami i blankami, miała główną salę zgromadzeń i witraże w kaplicy, a nauczyciele nosili togi. Czułem się tam źle i źle się uczyłem: przez większość mojej szkolnej kariery zajmowałem ostatnie miejsce w klasie. Rodzice nie byli w stanie pomagać mi w lekcjach i nie pilnowali, bym je odrabiał. Wieczory spędzałem, słuchając komediowych audycji w radiu (moja klasyka to ITMA, Much Binding in the Marsh, Take It From Here i The Goon Show, nie Eneida i Dawid Copperfield) albo grając na ulicy w piłkę nożną czy krykieta z kolegami, którzy chodzili do miejscowej szkoły średniej. W Lambeth Merchants popierano sport — mieliśmy nawet szkolną reprezentację — ale zimową grą było rugby, którego nienawidziłem, a

278

działem, słuchając komediowych audycji w radiu (moja klasyka to ITMA, Much Binding in the Marsh, Take It From Here i The Goon Show, nie Eneida i Dawid Copperfield) albo grając na ulicy w piłkę nożną czy krykieta z kolegami, którzy chodzili do miejscowej szkoły średniej. W Lambeth Merchants popierano sport — mieliśmy nawet szkolną reprezentację — ale zimową grą było rugby, którego nienawidziłem, a

krykieta celebrowano z nieznośną pompą. Sukcesy odnosiłem wyłącznie jako komik w dorocznych przedstawieniach teatralnych. Poza tym dawano mi do zrozumienia, że jestem głupi i nieokrzesany. Byłem pośmiewiskiem całej klasy i stałem obiektem sarkazmu nauczycieli. Często karano mnie biciem. Miałem zamiar zakończyć edukację na egzaminach „O” level*, których nie spodziewałem się zdać.

Maureen chodziła do prowadzonej przez zakonnice szkoły Najświętszego Serca w Greenwich, też dzięki dobremu wynikowi egzaminu po elementarce. Z Hatchford, gdzie oboje mieszkaliśmy, odbywała równie niewygodną podróż jak ja, tylko w przeciwnym kierunku. Kiedy Hatchford zostało zbudowane, pod koniec dziewiętnastego wieku, w miejscu, gdzie dolina Tamizy spotyka się z pierwszymi wzgórzami Surrey, było atrakcyjnym dalekim przedmieściem Londynu, ale jeszcze przed naszym urodzeniem stało się podupadającą dzielnicą miejską. Maureen mieszkała na szczycie jednego ze wzgórz, w ogromnej wiktoriańskiej willi, którą podzielono na kilka lokali. Jej rodzina zajmowała suterrenę i parter. My mieliśmy mały szeregowy domek przy Albert Street, przecznicy od biegnącej u stóp wzgórza głównej drogi, którą jeździły tramwaje. Mój ojciec był motorniczym.

* Pierwszy z dwóch egzaminów zdawanych przez uczniów szkół średnich, z wybranych przedmiotów, zwykle w wieku 16 lat. Drugi, „A” level, składany dwa lata później, jest warunkiem dostania się na studia.

279

Była to ciężka praca. Musiał stać osiem godzin dziennie przy korbie, na otwartej platformie; naciskanie hamulców wymagało dużej siły fizycznej. W zimie wracał do domu tak przemarznięty i wycieńczony, że ledwo mógł wymówić słowo, nim odtajał przy kominku w living roomie. W innych dzielnicach Londynu widywałem czasem tramwaje nowego typu, opływowe i całkowicie zamknięte, ale ojciec zawsze prowadził wysłużone, otwarte na obu końcach przedwojenne maszyny, które telepały się od przystanku do przystanku, zgrzytając, szczękając i jęcząc. Te czerwone, piętrowe tramwaje, z pojedynczym przednim światłem, które jarzyło się we mgle jak kaprawe oko, z brzęczącymi dzwonekami, mosiężnymi poręczami i drewnianymi ławkami wygładzonymi przez niezliczone dłonie i tyłki, z piętrem, które cuchnęło papierosowym dymem i wymiocinami, z okutymi szalikami motorniczymi o poszarzałych twarzach i dziarskimi konduktorami w mitenkach, stanowią nieodłączną część moich wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości.

W każdy dzień szkoły łapałem mój pierwszy tramwaj na tak zwanym Skrzyżowaniu Pięciu Dróg. Zwykle czekać nie na przystanku, lecz na rogu tuż przed nim, pod kwiaciarnią, skąd mogłem dostrzec tramwaj, gdy tylko wyjechał zza dalekiego zakrętu, kotyszając się na szynach niczym galeon na falach. Odwróciwszy głowę o jakieś trzydzieści stopni, mogłem też objąć wzrokiem długi prosty spadek Beecher's Road. Maureen zawsze pojawiała się na szczycie o tej samej porze, za pięć ósma, i po trzech minutach była na dole. Mijała mnie, przechodziła przez jezdnię i szła jeszcze kilka jardów, na przystanek tramwaju jadącego w przeciwną stronę niż mój. Obserwowałem ją jawnie, gdy była daleko, i ukradkiem, gdy się zbliżyła, niby to wypatrując tramwaju. Gdy już mnie minęła, szedłem wolnym krokiem na przystanek i przyglądałem się, jak stoi plecami do mnie po drugiej stronie ulicy. Czasem zdobywałem się na od-

* Ir

wrócenie głowy w udawanym znudzeniu lub zniecierpliwieniu spóźnieniem tramwaju i zerkaniem na nią, jakby przypadkiem, gdy dochodziła do rogu. Zazwyczaj miała spuszczone wzrok, ale raz się zdarzyło, że patrzyła przed siebie, i nasze oczy się spotkały. Spąsowiata i szybko wbiła spojrzenie w chodnik. Myślę, że zaparło mi dech na dobre pięć minut.

Ciągnęło się to wiele miesięcy. Może rok. Nie wiedziałem, kim jest, nie wiedziałem o niej nic prócz tego, że jestem w niej zakochany. Była piękna. Zapewne mniej wrażliwy albo bardziej zblazowany obserwator nazwałby ją raczej „ładną” lub „atrakcyjną”, oceniając, że ma trochę za krótką szyję i trochę za grubą talię, aby zasłużyć na najwyższą pochwałę, ale dla mnie była piękna. Nawet w szkolnym mundurku — kapelusz jak miska do puddingu, gabardynowy płaszcz i plisowany bez-rękawnik, wszystko w zgaszonym, przygnębiającym odcieniu granatu — była piękna. Nosila kapelusz nieco zawadiacko, a może to naturalna sprężystość jej kasztanowatych włosów spychała go do tyłu, tak że rondo obramowywało twarz, która miała kształt serca i chwytala za serce: duże, ciemnobrązowe oczy, mały, zgrabny nos, pełne usta, podbródek z dołeczkami. Czy można opisać piękno? To beznadziejne jak przesuwanie z miejsca na miejsce elementów portretu pamięciowego. Włosy miała długie i faliste, zaczesane za uszy i na wysokości karku zebrane spinką w luźny koński ogon, który sięgał jej do połowy pleców. Nie zapinała płaszcza, podwijala rękawy, aby odstąpić mankiety białej bluzki, i zawiązywała pasek z tyłu. Dowiedziałem się później, że ona i jej koleżanki całymi godzinami wymyślały takie drobne modyfikacje stroju, usiłując obejść surowe szkolne przepisy. Nosila książki w torbie na zakupy, która nadawała jej kobiecie, dorosły wygląd: mój duży skórzany tornister wydawał się w porównaniu dziecinny.

Myślałem o niej wieczorem przed zaśnięciem i rano po obudzeniu. Jeśli, co się czasem zdarzało, nie pojawiła się na szczy-

",» 9ĘŚ

—

cie Beecher's Road o zwykłej porze, przepuszczałem mój tramwaj, bo wolałem ponieść konsekwencje spóźnienia do szkoły (dwa uderzenia trzcinką) niż wyrzec się jej widoku. Żywiłem dla niej najczystsze, najbardziej bezinteresowne uwielbienie. Byliśmy Dantem i Beatrycze w podmiejskim wydaniu. Nikt nie znał mojej tajemnicy i nie zdradziłbym jej nawet na torturach. Szalała we mnie wówczas typowa hormonalna burza wieku dojrzewania, z gradem fizycznych przeobrażeń i doznań, których nie potrafiłem opanować ani nazwać — jak erekcje, nocne zmary, kiełkujący zarost i tak dalej. W Lambeth Merchants nie było lekcji wychowania seksualnego, a moi rodzice, głęboko przesiąknięci represyjnym purytywizmem „porządnej” klasy robotniczej, nigdy nie poruszali tego tematu. Oczywiście po szkolnym boisku krążyły typowe sprośne żarty i przechwałki, bogato ilustrowane na ścianach wychodków, ale trudno było uzyskać podstawowe informacje od kogoś, kto zdawał się coś wiedzieć, nie ujawniając własnej wstydlivej ignorancji. Pewnego dnia kolega, któremu ufałem, uświadomił mnie, gdy wracaliśmy z nielegalnego

lunchu w pobliskiej frytkami — „Jak ci stanie, wsadzasz go dziewczynie w dziurę i sie spuszczasz” — lecz akt ten, choć rozpałała mnie myśl o nim, wydawał mi się brzydki i brudny i nie chciałem go kojarzyć z aniołem, który zstępował codziennie rano ze szczytu Beecher's Road.

Oczywiście marzyłem o tym, by poznać obiekt mej niemej adoracji i wciąż się zastanawiałem, jak mógłbym nawiązać z nią rozmowę. Najprościej, myślałem sobie, byłoby uśmiechnąć się któregoś ranka i powiedzieć jej „dzień dobry”, gdy będzie mnie mijała. Nie byliśmy przecież zupełnie sobie obcy — to całkiem normalna rzecz, pozdrowić kogoś, kogo spotykasz regularnie na ulicy, nawet jeśli nie wiesz, jak się nazywa. Najgorsze, co mogło się zdarzyć, to że mnie zignoruje i pójdzie dalej, nie odpowiadając na pozdrowienie. Ale myśl o tym najgorszym przejmowała mnie dreszczem. Co bym zrobił następnego dnia?

282

I jeszcze następnego? Póki jej nie zagadnę, nie może mnie odtrącić, i moja miłość jest bezpieczna, choć nieodwzajemniona. Spędziłem wiele godzin, wyobrażając sobie bardziej dramatyczne i pewne sposoby zawarcia znajomości — na przykład wyciągam ją w ostatniej chwili spod kół rozpędzonego tramwaju albo bronię przed jakimś bandytą szukającym okazji do kradzieży lub gwałtu. Ale przechodząc przez jezdnię zawsze wykazywała godną podziwu ostrożność, a Hatchford

O godzinie ósmej rano raczej nie roilo się od bandytów (był w końcu rok 1951, gdy nawet w nocy samotne kobiety czuły się bezpieczne na dobrze oświetlonych ulicach Londynu).

Wydarzenie, które wreszcie pozwoliło nam się zaznajomić, było znacznie mniej heroiczne niż te urojone scenariusze, ale wówczas wydało mi się niemal cudem, jakby jakieś życzliwe bóstwo, świadome mego skrytego pragnienia, by poznać tę dziewczynę, straciło w końcu cierpliwość, porwało ją w powietrze i cisnęło na ziemię u moich stóp. Tego dnia pojawiła się na szczycie Beecher's Road później niż zwykle i widziałem, że się spieszy. Co jakiś czas puszczała się biegiem — tym rozczulającym dziewczęcym biegiem z poruszaniem nogami od kolan w dół i wyrzucaniem pięt na zewnątrz — po czym, jako że ciążyła jej torba z książkami, na chwilę zwalniała tempo do żwawego marszu. W tym pośpiechu i wzburzeniu wydała mi się piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Kapelusz zsunął jej się na plecy, przytrzymująca go wąska gumka wbiła w szyję, koński ogon huśtał się na boki, a piersi pod białą bluzką

1 bezrękawnikiem falowały podniecająco. Przyglądałem się jej dłużej niż zwykle, póki tylko starczyło mi odwagi, lecz by nie pomyślała, że bezczelnie się gapię, musiałem w końcu odwrócić głowę i udać, że wypatruję tramwaju — który zresztą akurat nadjeżdżał.

Nagle usłyszałem okrzyk i zobaczyłem ją, rozciągniętą u moich stóp, wśród rozsypanych po chodniku książek. Widocznie,

283

gdy znów ruszyła biegiem, zaczepiła czubkiem buta o krawędź wystającej płytki chodnikowej, potknęła się i upadła, puszczając torbę. Podniosła się błyskawicznie, nim zdążyłem wyciągnąć moją męską dłoń, ale mogłem jej pomóc pozbierać książki i nawiązać rozmowę. „Nic ci się nie stało?” — spytałem. „Yhm — wymamrotała, ssąc obtarty kłykieć. — Niezdara”. Ten epitet bezsprzecznie zaadresowała do siebie, nie do mnie. Była wściekle zarumieniona. Minął nas mój tramwaj, koła zazgrzytały na szynach, gdy wchodził w zakręt. „Uciekł ci” — powiedziała. „Nic nie szkodzi” — odparłem, nieprzytomny z radości, bo było oczywiste, co te słowa znaczą: że przez ostatnie miesiące obserwowała mnie równie uważnie jak ja ją. Podniosłem kilka arkuszy papieru kancelaryjnego pokrytych dużymi, okrągłymi literami, wszystkie „i” z małymi kółkami zamiast kropek, i podałem jej. „Dzięki” — bąknęła, wpychając je do torby, i odeszła szybkim krokiem, lekko utykając.

Zdążyła na swój tramwaj — widziałem, jak wchodzi po schodkach na piętro, gdy kilka chwil później mnie mijał. Tym, że mój tramwaj odjechał beze mnie, nie przejąłem się wcale. Rozmawiałem z nią! Prawie jej dotknąłem. Plułem sobie w brodę, że nie byłem dostatecznie szybki, aby pomóc jej wstać, ale głupstwo: nawiązaliśmy kontakt, zamieniliśmy kilka słów i wyświadczyłem jej przysługę, zbierając rozsypane książki i papiery. Odtąd będę mógł się do niej co rano uśmiechać i mówić jej „dzień dobry”. Gdy napawałem się tą podniecającą perspektywą, coś mi błysnęło w rymsztoku: była to skuwka pióra kulkowego, które najwyraźniej wyleciało jej z torby. Dopadłem go, nie posiadając się z radości, i schowałem do wewnętrznej kieszeni, na sercu.

Pióra kulkowe były w tamtych czasach pewną nowością i kosztowały przeraźliwie drogo, toteż wiedziałem, że dziewczyna ucieszy się z jego odzyskania. W nocy spałem z nim pod poduszką (ciekło i zostawiło na poszewce i prześcieradle nie-

284

bieskie plamy, za co matka zrobiła mi awanturę, a ojciec dał w ucho) i następnego ranka byłem na moim posterunku pod kwaciarnią pięć minut przed czasem, żeby nie przegapić właścicielki. Ona również pojawiła się na szczycie Beechers Road trochę wcześniej i ruszyła w dół powoli, ze świadomą rozważą, ostrożnie stawiając stopy i patrząc na chodnik — nie, byłem tego pewien, w obawie, że znów się potknie, lecz dlatego, iż wiedziała, że ją obserwuję, że czekam na nią. Owe minuty, gdy schodziła ku mnie ze wzgórza, były pełne dramatycznego napięcia. Zupełnie jak w tej cudownej scenie pod koniec Trzeciego człowieka, kiedy dziewczyna Harryego Lime'a idzie w stronę Hollyego Martina zimną cmentarną aleją, z tym że ona mija go bez jednego spojrzenia, a ta dziewczyna nie mogła mnie minąć, ponieważ miałem bezbłędny pretekst, aby ją zatrzymać i zagadnąć.

Zbliżywszy się, udała zainteresowanie stadem szpaków, które krążyło nad spółdzielczą piekarnią, lecz gdy znalazła się kilka jardów ode mnie, odwróciła głowę i posłała mi nieśmiały uśmiech. „Uhm, chyba je wczoraj upuściłaś” — wykrztusiłem, szybkim ruchem wyciągając pióro z kieszeni. Jej oczy rozbłyły radością. „Och, strasznie ci dziękuję — powiedziała, przystając, i wzięła je ode mnie. — Myślałam, że je zgubiłam. Wróciłam tu wczoraj po południu i szukałam, ale nie mogłam go znaleźć”. „Nie mogłaś, bo ja je miałem” — odrzekłem i obydwójce roześmieliśmy się głupkowato. Zauważyłem, że marszczy nos jak królik. „Jeszcze raz dzięki” — rzuciła, ruszając dalej. „Gdybym wiedział, gdzie mieszkasz, odniósłbym ci je do domu” — dodałem, rozpaczliwie pragnąc ją zatrzymać. „Najważniejsze, że je odzyskałam — odparła,

robiąc krok do tyłu. — Nie przyznałam się mamie, że mi zginęło". Uraczyła mnie jeszcze jednym zachwycającym króliczym uśmiechem, odwróciła się na pięcie i zniknęła za rogiem. Nadal nie wiedziałem, jak ma na imię.

285

Nie minęło jednak dużo czasu, zanim się dowiedziałem. Każdego ranka po tym opatrnościowym upadku uśmiechałem się i mówiłem jej „dzień dobry”, gdy mnie mijala, a ona czerwieniła się, uśmiechała i odpowiadała „dzień dobry”. Wkrótce zacząłem dodawać do tego powitania jakąś starannie przemyślaną uwagę o pogodzie albo pytanie, jak działa jej pióro, albo skargę na spóźniający się tramwaj, co zmuszało ją do odpowiedzi, i pewnego dnia zatrzymała się na rogu pod kwiaciarnią na prawdziwą rozmowę. Spytałem, jak ma na imię. „Maureen”. „A ja Laurence”. „Odwróćcie mnie — wypaliła, i zachichotała, widząc moje zakłopotanie. — Nie znasz historii świętego Wawrzyńca”? Potrząsnąłem głową. „Został zamęczony przez powolne przypiekanie na ruszcie — wyjaśniła. — Powiedział: «Odwróćcie mnie, ta strona już się upiekła»”. „Kiedy to było?” — spytałem, krzywiąc się współczująco. „Nie wiem dokładnie — odparła. — Chyba w czasach rzymskich”.

Ta groteskowa i trochę niesmaczna anegdota, opowiedziana najspokojniej w świecie, była dla mnie pierwszym sygnałem, że Maureen jest katoliczką. Potwierdzenie uzyskałem następnego dnia, gdy podała mi nazwę swojej szkoły. Już wcześniej zauważyłem na jej blezerze emblemat z wyhaftowaną czerwoną i złotą nicią sercem, ale nie zdawałem sobie sprawy z jego religijnego znaczenia. „To Najświętsze Serce Jezusa” — powiedziała, skłaniając lekko głowę, jakby przez szacunek. Te pobożne wzmianki o rusztach i sercach, budzące niestosowne skojarzenia z kuchnią i podrobami, przypomniały mi o moim dziecięcym strachu przed obmyciem w Krwi Baranka i poczułem się trochę nieswojo, ale nadal gorąco pragnąłem, by Maureen została moją dziewczyną.

Nigdy przedtem nie miałem dziewczyny i nie byłem pewien, jak zacząć, ale wiedziałem, że zakochane pary często chodzą ra-

* Laurence to angielski odpowiednik imienia Wawrzyniec.

286

zem do kina, bo wystawałem z nimi w kolejkach pod lokalnym Odeonem i widywałem, jak się całują w tylnych rzędach. Toteż pewnego dnia, gdy Maureen przystanęła pod kwiaciarnią, zebrałem się na odwagę i spytałem, czy pójdzie ze mną w weekend do kina. Zarumieniła się, jednocześnie uradowana i stropiona. „Nie wiem. Musiałabym spytać rodziców” — odparła.

Następnego ranka pojawiła się na szczycie Beecher s Road w towarzystwie mężczyzny, który miał co najmniej sześć stóp i, jak mi się wydało, był szeroki jak dom. Domyśliłem się, że to jej ojciec — majster w miejscowej firmie budowlanej, jak mi powiedziała — i ogarnął mnie niepokój. Bałem się nie tyle fizycznego ataku, ile upokarzającej publicznej sceny. Maureen najwyraźniej też, bo szła jak na ścięcie, powłócząc nogami i ze zwieszoną ponuro głową. Kiedy się zbliżyli, utkwilem wzrok w długiej

perspektywie ulicy, ze lśnięcymi torami tramwajowymi, które znikwały w nieskończoności, łudząc się nadzieją, że pan Kavanagh tylko odprowadza Maureen i zignoruje mnie, jeśli nie będę próbował się z nią przywitać. Nic z tego. Olbrzym w granatowym waciaku stanął po chwili nade mną.

— Ty jesteś tym nicponiem, który zaczepia moją córkę? — spytał z silnym irlandzkim akcentem.

— Słucham? — powiedziałem, próbując zyskać na czasie. Zerknąłem na Maureen, ale nie udało mi się pochwycić jej wzroku. Miała czerwoną twarz i wyglądała tak, jakby wcześniej płakała.

— Tato! — szepnęła żałośnie.

Młoda sprzedawczyni, układająca kwiaty w wiaderkach pod sklepem, przerwała pracę, aby popatrzeć na ten spektakl.

Pan Kavanagh szturchnął mnie w pierś olbrzymim palcem wskazującym, zrogowaciałym i twardym jak policyjna pałka.

— Moja córka to porządna dziewczyna. Nie będzie mi rozmawiać z obcymi chłopakami na rogach ulic, rozumiesz?

Skinąłem głową.

287

— Lepiej, żebyś rozumiał. Jazda do szkoły.

To ostatnie zdanie było zaadresowane do Maureen, która poczłapała na przystanek, żegnając mnie rozpaczliwym, przeproszającym spojrzeniem. Pan Kavanagh skierował tymczasem uwagę na mój szkolny blezer, purpurowe obrzydlistwo ze srebrnymi guzikami, i wlepił oczy w wyszyte na kieszonce skomplikowane godło z łacińską dewizą.

— Do jakiej szkoły chodzisz?

Powiedziałem mu i chyba mimo wszystko zrobiło to na nim wrażenie.

— Lepiej zachowuj się jak należy, bo pójdę na skargę do twojego dyrektora — oświadczył, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem pod górę. Ja zostałem tam, gdzie byłem, i z bijącym sercem patrzyłem ku wylotowi ulicy, póki nie nadjechał mój tramwaj.

Oczywiście ten incydent jeszcze bardziej zbliżył nas do siebie. Staliśmy się dwojgiem kochanków „przez gwiazdy wyklętych”*, spotykających się mimo zakazu jej ojca. Nadal zamienialiśmy co rano kilka słów, tyle że teraz roztropnie czekałem za rogiem, niewidoczny dla oczu mogących obserwować Pięć Dróg ze szczytu Beecher's Road. Z czasem Maureen namówiła matkę, aby pozwoliła mi ich odwiedzić w niedzielne popołudnie, kiedy ojciec był poza domem, i przekonała się, że nie jestem takim wystającym na rogach ulic łobuzem, jakiego sobie wyobrazili, gdy ich córka spytała, czy może pójść ze mną do kina. „Włóż szkolny blezer” — doradziła mi przebiegle Maureen. Tak więc, wprawiając moich rodziców w zdumienie, a kolegów w oburzenie, zrezygnowałem z meczu w Charlton, włożyłem blezer, którego nigdy

nie nosiłem w weekendy, i poszedłem na wzgórze do domu Maureen. Pani Kavanagh dała mi filiżankę herbaty i kawałek razowca własnego wypieku

* Aluzja do Romea i Julii. 288

w swojej dużej, mrocznej, zagraconej kuchni w suterenie i taksując mnie wzrokiem, wzięła na ręce niemowlę, żeby odbiło mu się po jedzeniu. Była przystojną, czterdziestoparoletnią kobietą z figurą zniszczoną macierzyństwem. Włosy miała długie jak córka, ale przyprószone już siwizną i upięte w nieporządny kok z tyłu głowy. Podobnie jak mąż mówiła z irlandzkim akcentem, choć Maureen i jej rodzeństwo mieli moją, południowolondyńską wymowę. Maureen była najstarszym dzieckiem i oczkiem w głowie rodziców. Jej stypendium do szkoły Najświętszego Serca było dla nich przedmiotem szczególnej dumy i fakt, że chodziłem do liceum, przemawiał naturalnie na moją korzyść. Przeciwnie przemawiało to, że byłem chłopcem i niekatolikiem, a więc z definicji stanowiłem zagrożenie dla cnoty Maureen.

— Dobrze ci z oczu patrzy — powiedziała pani Kavanagh. — Ale uważamy z mężem, że Maureen jest za młoda na spotkanie się z chłopcami. Musi odrabiać lekcje.

— Nie co wieczór, mamó — zaprotestowała Maureen.

— Masz już w niedzielę klub młodzieży — zauważyła pani Kavanagh. — W twoim wieku tyle życia towarzyskiego zupełnie wystarczy.

Spytałem, czy mógłbym wstąpić do tego klubu.

— To klub parafialny — odrzekła pani Kavanagh. — Trzeba być katolikiem.

— Wcale nie, mamó — wtrąciła Maureen. — Ojciec Hieronim powiedział, że niekatolicy też mogą przychodzić, jeśli interesują się Kościołem.

Spojrzała na mnie i oblała się rumieńcem.

— Ja bardzo się interesuję — zapewniłem szybko.

— Naprawdę? — Pani Kavanagh przyjrzała mi się sceptycznie, ale wiedziała, że wyprowadziliśmy ją w pole. — Cóż, jeśli ojciec Hieronim nie ma nic przeciwko temu, to ja też nie.

289

Rzecz jasna wcale nie interesowałem się katolicyzmem ani, prawdę powiedziawszy, żadną inną religią. Moi rodzice nie chodzili do kościoła i święcili dzień święty tylko w ten sposób, że zabraniali mnie i mojemu bratu bawić się w niedzielę na ulicy W Lambeth Merchants nominalnie obowiązującej anglikanizm, lecz modlitwy i pieśni na porannym zgromadzeniu oraz okazjonalne nabożeństwa w kaplicy

wydawały się raczej formą pielęgnowania szkolnej tradycji niż wyrazem jakiegokolwiek idei moralnej czy teologicznej. Było dla mnie niepojęte, że istnieją ludzie, jak Maureen i jej rodzina, którzy dobrowolnie skazują się na takie nudziarstwo w każdy niedzielny ranek, kiedy mogliby sobie dłużej pospać. Niemniej byłem gotów udać uprzejme zainteresowanie religią Maureen, jeśli za taką cenę mogłem uzyskać zgodę na spotkanie się z nią.

Tak więc w najbliższą niedzielę wieczorem przyszedłem pod miejscowy kościół rzymskokatolicki, przysadzisty ceglany budynek z olbrzymią figurą Matki Boskiej na dziedzińcu. Miała wyciągnięte ręce, a wyryty na cokole napis brzmiał: „Jam jest Niepokalane Poczęcie”. Nabożeństwo jeszcze trwało, więcostałem chwilę w kruchcie, słuchając łacińskich pieśni i szemrzących modlitw, wdychając silny słodki zapach, w którym domyśliłem się kadzidła. Nagle rozległ się ostry brzęk dzwonek i zerknąłem przez drzwi w stronę ołtarza. Było na co popatrzeć. W środku płonęły dziesiątki wysokich, cienkich świec, a ksiądz, ubrany w bogato haftowaną białą-złotą szatę, podnosił do góry jakiś przedmiot lśniący odbitym światłem: biały krążek w szklanej kasetce, wokół której sterczały złote pręciki przypominające promienie słoneczne. Trzymał to coś przez haftowaną szarfę, którą miał na szyi, jakby nóżka była gorąca albo radioaktywna. Wszyscy ludzie, a było ich zdumiewająco dużo, klęczeli z pochylonymi głowami. Maureen wyjaśniła mi później, że biały krążek to poświęcona hostia i że katolicy wierzą, iż jest to ciało Chrystusa, ale mnie cały ten obrządek wy-

290

dał się bardziej pogański niż chrześcijański. Również śpiewy brzmiały dziwnie. Zamiast porywających hymnów, do jakich przywykłem w szkole (najbardziej lubiłem Być pielgrzymem), zawadzono powolne, jakby pogrzebowe pieśni, całkowicie dla mnie niezrozumiałe, ponieważ nigdy nie byłem dobry z łaciny. Musiałem jednak przyznać, że nabożeństwo miało atmosferę, jakiej nie odczuwałem w szkolnej kaplicy.

Od początku spodobało mi się w katolikach to, że nie mieli w sobie nic świętoszkowatego. Kiedy wierni wylegli z kościoła, witali się, częstowali papierosami, żartowali i gawędzili jak po wyjściu z kina albo nawet z pubu. Maureen pojawiła się w towarzystwie matki, obie miały na głowach chusteczki. Pani Kavanagh zaczęła rozmawiać z jakąś kobietą w kapeluszu. Maureen dostrzegła mnie i zbliżyła się z uśmiechem. „Widzę, że trafiłeś” — powiedziała. „A jeśli twój tata zobaczy, że rozmawiamy?” — zapytałem niespokojnie. „Och, on nigdy nie przychodzi na Adorację — odparła, rozwiązując chustkę i potrząsając włosami. — Dzięki Bogu”. Nie uderzyła mnie paradoksalność tego zwrotu, ponieważ całą moją uwagę pochłonęły jej włosy. Nigdy dotąd nie widziałem ich rozpuszczonych, opadających lśnącymi falami na ramiona. Wydała mi się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Zarumieniła się pod moim spojrzeniem i powiedziała, że musi mnie przedstawić ojcu Hieronimowi. Pani Kavanagh tymczasem gdzieś zniknęła.

Ojciec Hieronim był młodszym z dwóch księży, którzy kierowali parafią, ale bynajmniej nie był już młody. Wyglądał zupełnie inaczej niż nasz szkolny kapelan i wszyscy duchowni, z którymi się dotychczas zetknąłem. Nie przypominał nawet samego siebie z ołtarza — bo to on odprawiał nabożeństwo, które skończyło się przed chwilą. Był wychudłym, siwowłosym du-blińczykiem z poplamionymi nikotyną palcami i skaleczeniem na brodzie, zalepionym strzępkami papieru toaletowego. Miał na sobie czarną, sięgającą zdartych butów sutannę z głębokimi

kieszeniami, w których trzymał przybory do skręcania papierosów. Zapalił takiego skręta, dając pirotechniczny pokaz płomieni i isker. „Więc chcesz wstąpić do naszego klubu młodzieży, chłopcze?” — zapytał, strząsając z sutanny drobinki tytoniu. „Bardzo, proszę pana” — odparłem. „W takim razie powinieneś mówić mi ojcie”. „Dobrze, proszę pana. To znaczy, ojcie” — wyjąkałem. Ojciec Hieronim uśmiechnął się, pokazując nieprzyjemną szczerbę w pożółkłych i krzywych zębach. Zadał mi jeszcze kilka pytań o miejsce zamieszkania i szkołę. Nazwa Lambeth Merchants wywołała pożądany efekt i zostałem przyjęty, na próbę, do klubu młodzieży parafii Niepokalanego Poczęcia.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Maureen musiała mi wyjaśnić, było wezwanie jej kościoła. Sądziłem, że nawiązuje ono do dziewictwa Maryi w momencie narodzin Jezusa, tymczasem okazało się, że chodzi o to, iż sama Maryja została poczęta „bez plamy grzechu pierworodnego”. Język katolicyzmu wydał mi się bardzo dziwny, przede wszystkim dlatego, że zawierał słowa, jak „dziewica”, „poczęcie” czy „łono”, które w zwykłej rozmowie, w moim domu na pewno, zostałyby uznane za nieprzyzwoite. Ledwo mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy Maureen powiedziała, że musi iść w Nowy Rok na mszę, bo jest Święto Obrzezania. „Jakie święto?” „Obrzezania”. „Czyjego obrzezania?” „Pana Jezusa, oczywiście. Kiedy był Dzieciątkiem, Najświętsza Panna i Józef zanieśli go do świątyni i został obrzezany. Był to taki żydowski chrzest”. Roześmiałem się niepewnie. „Wiesz, co to jest obrzezanie?” Maureen zarumieniła się i zachichotała, marszcząc nos. „Jasne”. „Więc co?” „Nie powiem ci”. „Bo nie wiesz”. „Właśnie że wiem”. „Założę się, że nie wiesz”. Ciągnąłem tę lubieżną indagację, aż wypaliła, że obrzezać to „odciąć kawałek skóry z końca siusiaka dziecka”. Mój własny siusiak stał już wtedy na baczność, ale wracaliśmy z niedzielnego wieczorku klubu młodzieży i na szczęście miałem na sobie płaszcz.

Klub spotykał się dwa razy w tygodniu w przylegającej do kościoła ochronce: w środy na gry, głównie ping-ponga, a w niedziele na „wieczorek”. Wieczorek składał się z tańców do muzyki z płyt oraz konsumpcji kanapek i napoju pomarańczowego lub herbaty, przygotowanych przez pracujące na zmianę zespoły dziewcząt. Do chłopców należało przenoszenie ławek pod ściany przed zabawą i ustawianie ich z powrotem w rzędach po jej zakończeniu. Korzystaliśmy z dwóch sal, na co dzień oddzielonych składanym parawanem. Podłoga była ze zdeptanych, niepastowanych desek, na ścianach wisały dziecięce rysunki i pomoce szkolne, lampy dawały nikłe, lecz nie nastrojowe światło, mieliśmy jednogłośnikowy monofoniczny gramofon i kolekcję porysowanych siedemdziesiątek ósemek. Ale dla mnie, dopiero wylęgającego się z poczwarki chłopięctwa, klub młodzieży był miejscem podniecających i wyrafinowanych przyjemności.

Nauczyła mnie tańczyć pewna matrona z parafii, przychodząca w wieczory gier (Maureen rzadko udawało się wtedy wyrwać z domu), aby udzielać bezpłatnych lekcji, i ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że jestem w tym dobry. „Mocno trzymaj partnerkę!” brzmiało pierwsze polecenie pani Gaynor i chętnie je spełniałem, zwłaszcza kiedy moją partnerką była Maureen. Rzecz jasna tańczyłem głównie z nią, ale regulamin klubu zabraniał łączenia się w stałe pary, a dzięki moim parkietowym talentom miałem spore powodzenie, gdy „panie prosiły panów”. Były to oczywiście tańce towarzyskie — quickstep, fokstrot i walc — plus kilka ludowych, dorzuconych dla urozmaicenia. Płásaliśmy przy sztywnawej muzyce Victora

Sylvestra i Harry ego Roya i na okrasę przy przebojach Nat King Cole a, Frankiego Lainea, Guya Mitchella i innych popularnych wówczas wokalistów. Najbardziej lubiliśmy Twelfth Street Rag Pee Wee Hunta, ale nie wolno nam było swingować — ojciec Hieronim wyraźnie tego zakazał — a wicie się, kołysanie i ska-

293

kanie solo, które uchodzą za taniec obecnie, znajdowały się jeszcze w łonie czasu, oczekując na swe narodziny w latach sześćdziesiątych. Kiedy zaglądam dziś do dyskoteki albo nocnego klubu odwiedzanego przez młodzież, zaskakuje mnie kontrast między erotyzmem atmosfery — blade, niesamowite światła, orgazmiczne pulsowanie muzyki, obciste, prowokacyjne stroje — i dotykowym zubożeniem samego tańca. Pewnie mają tyle fizycznego kontaktu potem, że nie potrzebują go na parkiecie, ale z nami było na odwrót. Taniec oznaczał, że — nawet w przykościelnym klubie młodzieży — mogłeś publicznie trzymać dziewczynę w ramionach, być może dziewczynę, której nigdy przedtem nie spotkałeś, ocierać się udami o jej uda przez warstwy szeleszczących halek, czuć ciepło jej piersi, wdychać aromat perfum za jej uszami albo zapach szamponu bijący ze świeżo umytych włosów, które łaskotały cię w policzek. Oczywiście musiałeś udawać, że wcale nie o to chodzi, i gawędzić o pogodzie, muzyce czy czymkolwiek, ale koncesja na doznania fizyczne była spora. Wyobraźcie sobie przyjęcie koktajlowe, na którym wszyscy goście się onanizują, pozornie zajęci sączeniem białego wina i omawianiem najnowszych książek i sztuk, a będziecie mieli jakieś pojęcie o tym, czym był taniec dla nastolatków we wczesnych latach pięćdziesiątych.

Trzeba przyznać, że ojciec Hieronim robił, co mógł, aby tłumić ogień żądz, obstając przy rozpoczynaniu wieczoru od nużącej recytacji dziesięciu „Zdrowaś Mario” pod rząd, czyli tak zwanej „tajemnicy świętego różańca” — z pewnością było tajemnicą dla mnie, co komu daje takie monotonne klepanie słów. I kręcił się później po sali, obserwując tańczących i pilnując, aby wszystko odbywało się przyzwoicie. Regulamin klubu zawierał nawet przepis — nazywany Paragrafem Piątym i będący przedmiotem naszych umiarkowane pikantnych żartów — że między partnerami zawsze musi być widać prześwit, ale nie przestrzegano go zbyt sztywno. Zresztą ojciec Hieronim

294

wychodził zazwyczaj przed ostatnim walcem (plotka głosiła, że pił na plebanii whisky i grał w wista z kolegami). Gasiliśmy wtedy niektóre światła i co odważniejsze pary tańczyły policzek przy policzku albo przynajmniej pierś w pierś. Naturalnie zawsze się starałem, aby moją partnerką była wówczas Maureen. Nie tańczyła zbyt dobrze i w parze z innymi chłopcami wyglądała czasem naprawdę niezgrabnie, ale nic a nic mi to nie przeszkadzało. Pozwalała się prowadzić i śmiała się zachwycona, gdy obracałem ją raz za razem pod koniec płyty, tak że wirowały jej spódnice. Miała na te niedzielne wieczorki dwa stroje: czarną spódniczkę z tafty, którą nosiła z różnymi bluzkami, i białą sukienkę w różowe róże, ciasno opinającą

piersi, które były kształtne i dobrze rozwinięte jak na jej wiek.

Pozostali członkowie klubu szybko mnie zaakceptowali, zwłaszcza że dołączyłem do jego drużyny piłkarskiej, grającej w niedzielne popołudnia z innymi parafiami południowego Londynu. Niektóre miały równie dziwaczne nazwy jak nasza, więc padały wyniki w rodzaju „Niepokalane Poczęcie 2, Najświętsza Krew 1” albo „Nieustająca Pomoc 3, Czterdziestu Męczenników 0”. Grałem na prawej pomocy z tak dobrym skutkiem, że w tamtym sezonie zdobyliśmy mistrzostwo ligi, a ja zostałem królem strzelców, z dwudziestoma sześcioma golami na koncie. Menedżer jednej z konkurencyjnych drużyn dowiedział się, że nie jestem katolikiem, i złożył oficjalny protest, że nie powinienem być dopuszczony do rozgrywek. Przez jakiś czas zanosilo się na to, że stracimy puchar, ale kiedy zagroziliśmy, że wycofamy się z ligi, pozwolono nam go zatrzymać.

Graliśmy na dziobatych, spadzistych boiskach w publicznych parkach, dojeżdżaliśmy na miejsce tramwajem lub autobusem i przebieraliśmy się w ponurych, wilgotnych barakach z ubikacją i umywalką z zimną wodą, jeśli dopisało nam szczęście, ale nigdy z prysznicami. W drodze do domu błoto

295

twardniało mi na kolanach i siedząc później w wannie, powoli prostowałem nogi i udawałem, że moje kolana są dwiema wulkanicznymi wyspami pogrążającymi się w oceanie. Kiedy zniknęły, z parującą brudnej wody wycierał, niczym podstępny wąż morski, mój przekrwiony penis, bo myślałem o Maureen, która w tym samym czasie myła głowę, przygotowując się do wieczorku. Powiedziała mi, że zwykle robi to podczas kąpieli, ponieważ jest jej trudno dobrze splukać włosy nad umywalką. Wyobrażałem sobie, jak siedzi w ciepłych mydlinach, napełnia emaliowany dzbanek wodą z kranu, polewa nią sobie głowę i długie pukle przyklejają jej się do piersi jak syrenie na obrazku, który kiedyś widziałem.

Maureen i inne dziewczęta z klubu młodzieży przychodziły na te niedzielne mecze, aby nam kibicować. Kiedy strzeliłem gola, szukałem jej wzrokiem za boczną linią, wracając truchtem na środek boiska ze skromną, obojętną miną, którą przejąłem od Charliego Vaughana, środkowego napastnika Charl-ton Athletic, i otrzymywałem uśmiech pełen uwielbienia. Pamiętam zwłaszcza jednego gola, którego zdobyłem efektowną główką, chyba w meczu z Matką Boską Nieustającej Pomocy z Brickley, sąsiedniej parafii, a więc czymś w rodzaju lokalnego derby. Szczerze mówiąc, był to czysty fuks, bo nigdy dobrze nie główkowałem. Remisowaliśmy 2:2 w ostatnich minutach gry. Zebrałem piłkę z wykopu naszego bramkarza, okiwałem paru przeciwników i podałem do prawego skrzydłowego. Wołaliśmy go Jenksy, a nazywał się Jenkins: niski, przedwcześnie pomarszczony na twarzy, wiecznie przygarbiony chłopak, który wypalał woodbinea nie tylko przed meczem i po nim, lecz także w przerwie, a nawet pociągał papierosy widzów podczas zastojów w grze. Wbrew pozorom był niesamowicie szybki, zwłaszcza biegnąc z górki, jak tym razem. Pomknął po skrzydle w stronę rogu i podał piłkę bez patrzenia, jak to miał w zwyczaju, pragnąc się jej pozbyć, nim dogoni go obrońca.

296

Kiedy wpadłem na pole karne, znalazła się przede mną, mniej więcej na wysokości mojego pasa.

Rzuciłem się do przodu i szczęśliwym trafem przyjąłem ją na środek czoła. Śmignęła do siatki jak rakietka, zanim bramkarz zdążył się ruszyć. Fakt, że w bramce była siatka (niewiele boisk, na których graliśmy, miało takie luksusy), jeszcze wzmógł moją satysfakcję. Przeciwnicy wytrzeszczyli na mnie oczy. Koledzy z drużyny pomogli mi wstać i klepali mnie po plecach. Maureen i pozostałe dziewczęta z Niepokalanego Poczęcia skakały za boczną linią, wiwatując jak szalone. Nie sądzę, abym kiedykolwiek potem przeżył chwilę takiego uniesienia. Tego samego wieczoru, odprowadziwszy Maureen do domu po klubowym wieczorku, po raz pierwszy dotknąłem jej nagiej piersi.

Doszło do tego mniej więcej rok po tym, jak pierwszy raz się do niej odezwałem. Posuwaliśmy się w fizycznej zażyłości powoli, nieskończenie małymi krokami, z kilku powodów: mojego niedoświadczenia, niewinności Maureen i podejrzliwego nadzoru jej rodziców. Państwo Kavanagh byli bardzo surowi, nawet jak na ówczesne normy. Nie mogli nam zabronić spotkania w klubie młodzieży ani mieć mi za złe, że odprowadzam potem Maureen do domu, lecz nie pozwalali jej wychodzić ze mną samej do kina ani gdziekolwiek indziej. Nie wolno jej też było mnie odwiedzać ani przyjmować u siebie pod ich nieobecność, gdy w sobotnie wieczory wybierali się do irlandzkiego klubu w Peckham, a ona zostawała pilnować młodszego rodzeństwa. Oczywiście nadal spotykaliśmy się co rano na przystanku (tyle że był to już przystanek autobusowy: zaczęto wycofywać londyńskie tramwaje z użytku, zrywano szyny i kładziono na ulicach asfalt — mój ojciec dostał posadę w zajezdni i nie narzekał) i oboje wychodziliśmy z domu wcześniej, aby mieć więcej czasu na rozmowę. Wręczałem Maureen listy miłosne do przeczytania w drodze do szkoły — powiedziała mi, żebym nie wysyłał ich pocztą, bo rodzice na

297

pewno prędzej czy później któryś przechwycą. Ja poprosiłem, żeby wysyłała swoje, bo otrzymywanie prywatnej korespondencji, zwłaszcza w fiołkowych kopertach pachnących lawendą, wydawało mi się dorosłe i miałem satysfakcję, gdy mój młodszy brat pękał z ciekawości. Nie musiałem się raczej obawiać, że mamę czy ojca zainteresuje ich treść, całkowicie zresztą niewinna. Były pisane dużymi, okrągłymi literami, z kółeczkami nad „i” zamiast kropek. Wzorowała się chyba na reklamach piór kulkowych i obrywała za tę manierę w szkole. Poza porannymi spotkaniami na przystanku mogliśmy się widywać wyłącznie na imprezach klubu młodzieży: zabawach tanecznych, wieczorach gier, meczach piłkarskich i okazjonalnych letnich wycieczkach za miasto.

Być może właśnie te ograniczenia sprawiły, że nasze uczucie przetrwało tak długo. Nie mieliśmy kiedy się sobą znudzić, a zwalczając sprzeciw rodziców Maureen, czuliśmy się jak bohaterowie głęboko romantycznej tragedii. Nat King Cole wyrażał to wszystko za nas piosenką Zbyt młodzi, obracając w ustach samogłoski niczym cukierki, przy akompaniamencie słodkich jak ulepek smyczków i jęśliwych akordów fortepianu:

Mówię nam, że jesteśmy zbyt młodzi,

Zbyt młodzi, by naprawdę kochać.

Mówią, że dla nas miłość

To tylko zasłyszane słowo,

Którego znaczenia nie znamy.

Lecz nie jesteście zbyt młodzi, by wiedzieć,

że ta miłość zwycięży czas...

Był to nasz ulubiony utwór i zawsze tańczyłem z Maureen, kiedy ktoś puścił go na gramofonie.

Byliśmy sami właściwie tylko wtedy, gdy odprowadzałem ją do domu po niedzielnych zabawach w klubie. Początkowo, zakłopotany i niepewny, jak mam się zachowywać w tej no-

298

wej sytuacji, człapałem z rękami w kieszeniach dobry jard od Maureen. Lecz któregoś zimnego wieczoru, ku mojej nieopisanej radości, przysunęła się do mnie, jakby chcąc się ogrzać, i wsunęła mi dłoń pod ramię. Spuchłem z dumy posiadacza. Teraz naprawdę była moją dziewczyną. Idąc, szczebiotała jak kanarek — o ludziach z klubu młodzieży, o koleżankach i nauczycielach, o rodzinie i rozgałęzionej siatce krewnych w Irlandii, a nawet Ameryce. Ilekroć się spotkaliśmy, Maureen miała dla mnie mnóstwo nowin, plotek, anegdot. Były to rzeczy banalne, ale słuchałem ich oczarowany. Starałem się zapominać o mojej własnej szkole, gdy tylko znalazłem się za bramą, a moja rodzina wydawała mi się mniej interesująca niż jej, więc byłem zadowolony, że mówi za nas dwoje. Czasem jednak pytała mnie o moich rodziców i wcześniejsze życie i prosiła, bym opowiadał, jak przez długie miesiące wypatrywałem jej co rano na Skrzyżowaniu Pięciu Dróg, nie śmiąc nawiązać rozmowy.

Nawet po tym, jak wzięła mnie pod rękę w drodze powrotnej z klubu młodzieży, minęło wiele tygodni, zanim odważyłem się pocałować ją na pożegnanie. Był to niezdamny, partacki całus, bardziej w policzek niż w usta, ale odwzajemniła go z zapałem. Zaraz potem mi się wyrwała, szepcząc „dobranoc”, i wbiegła po schodkach na ganek; lecz gdy pojawiła się nazajutrz na przystanku tramwajowym, błyszcząły jej oczy i nowy łagodny uśmiech rozświetlał twarz, i zrozumiałem, że to przeżycie było dla niej równie doniosłe jak dla mnie.

Musiałem się nauczyć całować, tak jak nauczyłem się tańczyć. W naszej zdominowanej przez mężczyzn rodzinie wszelkie dotykanie było niemal tabu, natomiast w domu Maureen należało do zwyczaju, że wszystkie dzieci, nawet chłopcy, całują rodziców na dobranoc. Oczywiście było to zupełnie co innego niż całowanie mnie, ale tłumaczyło naturalność, z jaką Maureen podnosiła twarz do mojej twarzy, swobodę, z jaką

299

osuwala mi się w ramiona. Jakże upajające były te pierwsze uściski! Co takiego jest w młodzieńczym całowaniu? Myślę, że daje ono przedsmak seksu, bo wargi i usta dziewczyny są jak sekretne wnętrza jej ciała: różowe, wilgotne i miękkie. To, co nazywaliśmy francuskim pocałunkiem, wpychanie sobie

nawzajem języków w usta, z pewnością imituje stosunek. Minęło jednak dużo czasu, nim posunęliśmy się z Maureen tak daleko. Przez wiele miesięcy wystarczyło nam, że się po prostu całujemy, przytuleni do siebie, z zamkniętymi oczami, wstrzymując oddech przez długie minuty.

Robiliśmy to w półmroku pod gankiem domu Maureen, w imię prywatności znosząc zapachy, które dolatywały z pobliskich pojemników na śmieci. Wystawaliśmy tam w każdą pogodę. Kiedy padało, Maureen trzymała nad nami swoją parasolkę. Kiedy było zimno, rozpiniałem kołki mej budrysówki (nowy nabytek, w którym dumnie paradowałem w weekendy) i rozsuwałem poły płaszcza Maureen, aby przyciągnąć ją do siebie jak najbliżej. Pewnego wieczoru odkryłem, że na plecach sukienki w róże brakuje guzika i wsunąwszy dłoń w szparę, dotknąłem nagiej skóry między łopatkami. Maureen zadrżała i trochę szerzej rozchyliła wargi, przyciskając je do moich. Kilka tygodni później sforsowałem przód jej bluzki i przez śliską satynową halkę pogłaskałem brzuch. I tak to szło. Cał po cał poznałem jej ciało, terytorium dziewicze w każdym znaczeniu tego słowa. Maureen była czuła i uległa, chciała być kochana, kochała być pieszczona, ale nie miała odrobiny świadomości seksualnej. Musiała często czuć przez ubranie mój nabrzmiały członek, ale nigdy o tym nie wspominała ani nie zdradzała żadnych oznak zakłopotania. Może sądziła, że dorosłe „siusiaki” są ciągle twarde jak kość. Erekcje stanowiły większy problem dla mnie. Kiedy musieliśmy się pożegnać (było niebezpiecznie zwlekać z tym dłużej niż dziesięć czy piętnaście minut, bo pan Kavanagh wiedział, o której

300

i*

godzinie klubowe wieczorki się kończą, i czasem wychodził na ganek, aby wypatrywać córki; kuliliśmy się wtedy, na poły przestraszeni, na poły rozbawieni, tuż pod nim), czekałem, aż Maureen wbiegnie na schodki i wejdzie do domu, po czym odchodziłem sztywnym krokiem, lekko pochylony do przodu, jakbym szedł na szczudłach.

Maureen musiała chyba sama odczuwać seksualne podniecenie, ale wątpię, by je jako takie rozpoznawała. Była z natury bardzo czysta, choć wcale nie pruderyjna. Nie gorszyły jej sprośne dowcipy, bo ich nie rozumiała. Mówiła, że kiedy dorośnie, chce wyjść za mąż i mieć dzieci, ale najwyraźniej nie kojarzyła tego z seksem. Niemniej uwielbiała być całowana i przytulana. Mruczała w moich ramionach jak kotka. Nie sądzę, aby taka zmysłowość i niewinność mogły ze sobą współistnieć w dzisiejszych czasach, gdy nastolatki są wystawione na taki zalew seksualnych treści i obrazów. Mniejsza o pisma i kasety soft-porno dostępne we wszystkich kioskach i wypożyczalniach przy głównych ulicach — przeciętny film „od lat piętnastu” zawiera takie sceny i słowa, że czterdzieści lat temu męska część publiczności spuściłaby się w spodnie, a autorzy i dystrybutorzy trafili za kratki. Nic dziwnego, że teraz dzieciaki chcą uprawiać seks, gdy tylko zaczną być do tego zdolne. Ciekawe, czy w ogóle zwracają sobie głowę całowaniem, nim ściągną majtki i wskoczą do łóżka.

Ja byłem mniej „czysty” niż Maureen, lecz wcale nie bardziej doświadczony. Chociaż wyobrażałem sobie mgliście, zwłaszcza przed zaśnięciem, jak się z nią kocham i często miałem przez to potem mokre sny, nie zamierzałem jej uwieść i z pewnością odstawiłbym okropną fuserkę, gdybym spróbował. Mój cel był bardzo skromny — dotknąć jej nagich piersi. Ale jego osiągnięcie też stanowiło swego rodzaju

uwiedzenie.

Ledwo wskórałem tyle, że delikatnie ująłem w dłoń jedną pierś pod bluzką i wyczułem koniuszkami palców, niczym li-

301

m

tery alfabetu Braillea, szwy stanika, a odezwało się jej katolickie sumienie. Teraz myślę, że i tak milczało bardzo długo. Wstrząsnęły nim szkolne rekolekcje — trzy dni kazań, nabożeństw i przymusowego milczenia. Odprawiający je ksiądz (Maureen powiedziała mi, że był zwalisty i siwobrody jak Bóg Ojciec na obrazach, z przenikliwymi oczami, które zdawały się zaglądać ci w samą duszę) przemówił do uczennic piątej klasy w obecności ponuro kiwającej głową matki przełożonej na temat Świętej Czystości i przeraził je wszystkie śmiertelnie okropnymi konsekwencjami profanacji Przybytków Ducha Świętego, jak nazwał ich ciała. „Jeśli któraś z zebranych tu dziewcząt — zagrzmiał, i Maureen twierdziła, że patrzył wtedy prosto na nią — sprawi swym ubiorem lub zachowaniem, że jakiś chłopiec popełni grzech nieczystości myślą, słowem lub uczynkiem, będzie winna tego grzechu na równi z nim. A nawet bardziej, ponieważ mężczyznom jest trudniej niż kobietom zapanować nad cielesnym pożądaniem”. Potem musiały się u niego wyświadczać i wypytał je szczegółowo, co pozwalały chłopcom robić ze swymi Przybytkami Ducha Świętego. Teraz jest dla mnie oczywiste, że był starym świntuchem, którego podniecało wtykanie nosa w seksualne uczucia i doświadczenia wrażliwych, dorastających dziewcząt i doprowadzanie ich do płaczu. W każdym razie doprowadził do płaczu Maureen. Ja również to zrobiłem, gdy mi powiedziała, że nie mogę jej już „tam” dotykać.

Gdybym miał wskazać jakiś zasadniczy element religii katolickiej, który utwierdził mnie w zamiarze pozostania protestantem lub ateistą (nie byłem do końca pewien, czy naprawdę wierzę), byłaby nim spowiedź. Od czasu do czasu Maureen próbowała mnie zainteresować swoim wyznaniem i wiedziałem bez mówienia, że gorąco pragnie, abym się za jej pośrednictwem -

302

twem nawrócić. Roztropnie pokazywałem się czasem na Adoracji w niedzielę wieczorem, aby podtrzymać ją w nadziei i uzasadnić swą przynależność do klubu młodzieży, ale po paru podejściach zacząłem unikać mszy. Była odprawiana głównie po łacinie (przedmiot, który wyjątkowo zatruwał mi życie w szkole, nim pozwolono mi go zastąpić plastyką), przez księdza zwróconego tyłem do parafian, i zdawała się nudzić pozostałych wiernych tak samo jak mnie, bo wielu odmawiało w jej trakcie różaniec — chociaż, Bóg mi świadkiem, różaniec był jeszcze bardziej nudny, a niestety stanowił część Adoracji. Nic dziwnego, że katolicy wylęgali z kościoła w tak dobrym humorze, rozmawiając, śmiejąc się, otwierając paczki

papierosów: po prostu doznawali ulgi po niemal przechodzącej ludzką wytrzymałość nudzie wewnątrz. Jedynym wyjątkiem była wigilijna Pasterka, którą ożywiało śpiewanie kolęd i emocje przebywania poza domem o tak późnej porze. Inne aspekty religii katolickiej: wstrząsająco realistyczne obrazy i rzeźby Ukrzyżowania w kościele, rzędy kapiących wotywnych świec, niejedzenie mięsa w piątki, wyrzekanie się słodczy w Wielkim Poście, modły do Św. Antoniego, kiedy się coś zgubiło, i uzyskiwanie „odpustów” jako swego rodzaju polisy ubezpieczeniowej na przyszłe życie, robiły na mnie wrażenie dziwacznych przesądów. Ale spowiedź należała do zupełnie innej kategorii.

Pewnego dnia, gdy z jakiegoś powodu przyszliśmy do kościoła sami — chyba Maureen zapalała świecę w takiej czy innej „intencji”, być może mojego nawrócenia — zjrzałem do stojącego pod ścianą kredensowatego konfesjonału. Z jednej strony były drzwiczki opatrzone nazwiskiem księdza, z drugiej zasłona. Odsunąwszy zasłonę, zobaczyłem wyściełany klęcznik i mały kwadrat drucianej siatki, przez którą szeptało się grzechy księdzu. Na samą myśl o tym ścierpła mi skóra. Prawdziwa ironia losu, zważywszy, jak uzależniłem się później od

303

psychoterapii, ale dla nastolatka nie ma nic bardziej odpychającego niż idea zwierzenia się osobie dorosłej ze swych najskrytszych i najwstydlivszych tajemnic.

Maureen próbowała zwalczyć moje uprzedzenia. Religia była jej ulubionym przedmiotem. Dostała się do swojej szkoły i radziła w niej sobie raczej dzięki ciężkiej pracy niż wrodzonej inteligencji i wkuwanie katechizmu na pamięć odpowiadało jej zdolnościom. „Nie spowiadasz się księdzu, tylko Bogu”. „Więc dlaczego nie można wyznać mu grzechów bezpośrednio, w modlitwie?” „Bo nie byłby to sakrament”. Straciwszy teologiczny grunt pod nogami, mruknąłem coś sceptycznie. „Zresztą — ciągnęła Maureen — ksiądz nie wie, kim jesteś. W konfesjonale jest ciemno”. „A jeśli pozna cię po głosie?” — spytałem. Maureen przyznała, że z tego powodu stara się nie chodzić do ojca Hieronima, ale podkreśliła, że nawet jeśli ksiądz pozna kogoś po głosie, nie wolno mu się z tym zdradzić ani pod żadnym pozorem ujawnić, co mu się wyznało, bo obowiązuje go tajemnica spowiedzi. „Nawet jeśli ktoś popełnił morderstwo?” Nawet wtedy, zapewniła mnie, ale był tu pewien kruczek: „Nie udzieli ci absencji, jeśli nie obiecasz, że sam się zgłosisz na komisariat”. Co to jest absencja, spytałem, mówiąc przez pomyłkę „ablucja”. Maureen zachichotała, po czym wdała się w długi, chaotyczny wywód o przebaczeniu, łasce, pokucie, czyśćcu i czasowej karze, z którego zrozumiałem nie więcej, niż gdyby dotyczył zasad gry w brydża. Zapytałem ją kiedyś, na początku naszej znajomości, jakie grzechy sama wyznaje, i naturalnie nie chciała mi powiedzieć. Opowiedziała mi jednak o spowiedzi rekolekcyjnej: jak ksiądz stwierdził, że kiedy jej dotykam, oboje grzeszymy, że nie wolno mi tego więcej robić i że aby unikać „okazji do grzechu”, mamy przestać się przytulać pod gankiem, gdy odprowadzam ją do domu, i po prostu podawać sobie ręce lub co najwyżej całować się raz w policzek.

304

W

Zdegustowany takim biegiem sprawy, ze wszystkich sił starałem się go odwrócić. Protestowałem, argumentowałem i błagałem; byłem wymowny, wzruszający i przebiegły. I, rzecz jasna, w końcu wygrałem. Chłopak zawsze wygrywa takie zmagania, jeśli dziewczyna nie chce ryzykować, że go straci, a Maureen nie chciała. Niewątpliwie oddała mi serce dlatego, że pierwszy o nie poprosiłem. Ale byłem też wtedy całkiem przystojny. Nie dorobiłem się jeszcze przezwiska Tubby i miałem włosy — w dodatku bujne i blond — które zaczesywałem do tyłu w fale i usztywniałem brylantyną. Byłem również najlepszym tancerzem w klubie i gwiazdą drużyny piłkarskiej. Takie rzeczy mają dla młodych dziewcząt większe znaczenie niż wyniki egzaminów i perspektywy zawodowe. Oboje przystąpiliśmy tego roku do egzaminów „O” level. Maureen zdała jako tako pięć przedmiotów, dość, aby przejść do szóstej klasy; ja oblałem wszystko oprócz literatury angielskiej i plastyki, rzuciłem szkołę i odpowiedziałem na ogłoszenie w „Evening Standard”, zacząłem pracować u znanego impresaria teatralnego z West Endu. Byłem zwykłym gościem, który frankuje i zanoszą na pocztę listy, wyskakuje po kanapki dla personelu i tak dalej, ale spływało na mnie coś ze splendoru branży. Sławni aktorzy i aktorki, przechodzący przez nasze obskurne biuro nad teatrem przy Shaftesbury Avenue w drodze do sanktuarium gabinetu szefa, uśmiechali się i zamieniali ze mną parę słów, gdy brałem od nich okrycia czy podawałem kawę. W mig przyswoiłem sobie język show-biznesu i jak wszyscy przeżywałem emocje huśtawki przebojów i kłap. Maureen musiała się orientować, że w tych artystycznych kręgach szybko dojrzewam i że się od niej oddalam. Dostawałem czasem wejściówki na przedstawienia, ale nie było szans, aby państwo Kavanagh kiedykolwiek ją ze mną puścili. Nie widywaliśmy się już co rano na przystanku tramwajowym, bo teraz jeździłem kolejką Southern Electric ze stacji Hatchford na Charing Cross. Nasze

spotkania w niedzielę i powroty z klubowych wieczorków stały się więc jeszcze bardziej cenne. Nie mogła mi odmawiać swoich pocałunków zbyt długo. Zacząłem ją znów zwabiać w półmrok u stóp schodów ganku i cał po cał udyślałem utracone tereny jej ciała.

Nie wiem, jaką umowę zawarła z Bogiem czy ze swym sumieniem — i przezornie nie pytałem o to. Wiedziałem, że raz w miesiącu chodzi do spowiedzi i co tydzień do komunii, i że rodzice zaczęliby coś podejrzewać, gdyby odstąpiła od tej rutyny; wiedziałem też, bo kiedyś mi to wyjaśniła, że nie można dostać absencji, jeśli się nie przyrzeknie poprawy, i że przyjęcie komunii w stanie grzechu jest kolejnym grzechem, jeszcze gorszym niż pierwszy. Być może wykorzystywała jako furtkę rozróżnienie między dużymi i małymi grzechami. Duże grzechy nazywano śmiertelnymi. Nie pamiętam, jak się nazywały małe, ale można było przystąpić do komunii, nie będąc z nich rozgrzeszonym. Obawiam się jednak, iż biedaczka myślała, że dotykanie piersi jest grzechem śmiertelnym i że grozi jej piekło, gdyby umarła bez spowiedzi.

Jej wygląd i zachowanie uległy w tym okresie subtelnym zmianom, choć pewnie ja jeden to zauważyłem. Zniknęła gdzieś dawna pulchność, wzrok stał się roztargniony, a uśmiech blady. Ucierpiła nawet jej cera: skóra straciła blask, wokół ust od czasu do czasu wyskakiwały pryszczki. Ale co najważniejsze, pozwalała mi na więcej niż kiedykolwiek przedtem, jakby porzuciła wszelką nadzieję na bycie dobrą albo, jak sama by to ujęła, na stan łaski, i dalsza obrona przed moimi zakusami nie miała już sensu. Gdy pewnej ciepłej wrześniowej nocy rozpiąłem jej bluzkę i odczepiłem, z najwyższą ostrożnością i delikatnością, jak włamywacz rozpracowujący zamek, sprzączkę biustonosza, nie napotkałem żadnego oporu i nie

usłyszałem ani jednego słowa protestu. Po prostu stała w ciemności, obok pojemników na śmieci, bierna i lekko drżąca niczym jagnię

306

przyprowadzone na rzeź. Nie miała na sobie halki. Wstrzymując oddech, uwolniłem jedną pierś, lewą, z miseczki. Wpadła mi w dłoń jak dojrzały owoc. Boże! Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie przeżyłem doznania, które dorównywałoby temu pierwszemu dotknięciu młodej piersi Maureen — tak miękkiej, tak gładkiej, tak jędrnej, tak sprężystej, w tak tajemniczy sposób urągającej prawu ciężenia. Uniósłem ją o centymetr i zważyłem w stulonej dłoni, po czym delikatnie opuściłem rękę, by obejmowała, lecz nie podtrzymywała. To, że pierś nadal sobie wisi, dumna i napięta, wydawało mi się równie cudownym zjawiskiem jak krążenie Ziemi w kosmosie. Ponownie zważyłem i lekko ścisnąłem pierś, która spoczywała w mojej dłoni niczym nagi cherubinek. Nie wiem, jak długo tam staliśmy, nie odzywając się do siebie, prawie nie oddychając, zanim Maureen wyszeptwała: „Muszę już iść”, wykręciła ręce do tyłu, żeby zapiąć stanik, i wbiegła po schodkach.

Od tamtego wieczoru nasze pocałunkowe sesje już zawsze obejmowały dotykanie jej nagich piersi pod ubraniem. Był to punkt kulminacyjny rytuału, jak podnoszenie przez księdza lśniącej monstrancji podczas Adoracji. Poznałem kształt piersi Maureen tak dobrze, że mógłbym je wymodelować w gipsie z zamkniętymi oczyma. Stanowiły niemal idealne półkule, zakończone drobnymi, sterczącymi sutkami, które twardniały mi pod palcami jak maciupęńkie członki. Jakże pragnąłem je również zobaczyć i pocałować, i possać, i ukryć twarz w ciepłej dolinie między nimi! Zaczynałem też snuć rojenia o dolnych partiach jej ciała i bezwstydnie rozważać możliwość wsadzenia jej ręki w majtki. Naturalnie niewiele mogłem zdziałać, stojąc w ciemnościach na dworze. Musiałem coś wykombinować, żeby znaleźć się z nią sam na sam gdzieś pod dachem. Próbowałem obmyślić jakiś podstęp, gdy nagle i niespodziewanie moje plany wzięły w łeb. Któregoś wieczoru kiedy ją odprowadzałem, zatrzymała się pod latarnią w pewnej odległo-

307

ści od domu i powiedziała, patrząc na mnie z powagą i kręcąc w palcach lok włosów, że całowanie i wszystko, co mu towarzyszy, musi się skończyć. Powodem była bożonarodzeniowa szopka w klubie młodzieży.

Pomysł wystawienia szopki wyszedł od Bedy Harringtona, prezesa klubu. Nie słyszałem dotąd o nikim, kto nazywałby się Beda, i kiedy mi go przedstawiono, spytałem zupełnie poważnie czyjego imię pisze się B-e-a-d, jak w różańcu*. Najwyraźniej pomyślał, że się z niego nabijam, i poinformował mnie chłodno, że Beda to imię brytyjskiego świętego, mnicha zwanego Bedą Czcigodnym. Beda Harrington również cieszył się sporą dozą czci, zwłaszcza ze strony dorosłych parafian. Był rok czy dwa starszy ode mnie i Maureen i kończył właśnie na samych piątkach Św. Alojzego, lokalne liceum katolickie. Zapewnił już sobie miejsce w Oxfordzie, gdzie zamierzał studiować literaturę — albo, jak sam mówił, popisując się swym wyższym wtajemniczeniem, filologię angielską. Był wysoki i miał wydłużoną, chudą twarz, której bladość

podkreślały jeszcze ciężkie okulary w rogowej oprawie i szczeciniaste czarne włosy, zawsze z przedziałkiem w niewłaściwym miejscu, przez co albo mu sterczały, albo opadały na oczy. Mimo swych zdolności intelektualnych Beda Harrington był pozbawiony talentów, które w klubie młodzieży ceniono najbardziej. Nie tańczył i nie grał w piłkę ani nie uprawiał żadnego innego sportu. W szkole miał stałe zwolnienie z wuefu z powodu krótkowzroczności, a co do tańca, twierdził, że po prostu go to nie interesuje. Moim zdaniem przeciwnie, bardzo interesowała go sposobność wejścia w kontakt fizyczny z dziewczętami, ale wiedział, że ze swoimi pająkowatymi nogami i olbrzymimi stopami nigdy nie

* Bead — koralik, wymawia się tak samo jak imię Bede — Beda. 308

będzie dobrym tancerzem i nie chciał narażać się na śmieszność. Beda Harrington musiał celować we wszystkim, co robił. Dał się więc wybrać na prezesa klubu i rozstawiał jego członków po kątach. Wydawał klubową gazetkę — niezbyt czytelny, odbijany na powielaczu periodyk zawierający głównie jego własne artykuły, i od czasu do czasu narzucał niechętnym klubowiczom imprezy o charakterze intelektualnym, jak dyskusje i quizy, w których mógł błyszczeć. Niedzielne wieczorki spędzał, konferując z ojcem Hieronimem albo marszcząc brwi nad księgą rachunkową klubu, albo siedząc samotnie na przechylonym do tyłu krześle, z rękami w kieszeniach i wyciągniętymi na pół sali nogami, obserwując tłumek tańczących z bladym uśmiechem wyższości jak nauczyciel, który pobłaża dziecinnyemu rozrywkom swoich podopiecznych. Wzrok miał jednak dziwnie tęskny i czasem mi się wydawało, że spogląda łakomie na Maureen, kołysząc się do taktu w moich ramionach.

Szopka była typowym przykładem autopromocji Bedy Harringtona. Mało że napisał do niej scenariusz — reżyserował ją, występował w niej, zaprojektował scenografię, wybrał muzykę i zajął się praktycznie całą resztą, oprócz szycia kostiumów, które to zadanie poruczył uwielbiającej go matce i nieszczęsnym siostram. Miała zostać wystawiona trzykrotnie w tygodniu przedświątecznym, w klubie, a potem raz w katolickim domu starców, szóstego stycznia, w Trzech Króli — święto Objawienia Pańskiego, jak nas poinformował z właściwą sobie pedanterią na pierwszej próbie.

Próba ta odbyła się w którejś klubowej środe na początku listopada i poszedłem na nią, żeby pilnować Maureen. Beda Harrington wziął ją na stronę na niedzielny wieczorek, gdy tańczyłem z kimś innym, i zaproponował, by kandydowała do roli Maryi. Potraktowała to jako ogromne wyróżnienie i nie udało mi się jej nakłonić do rezygnacji, więc pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli do niej dołączę. Beda zdziwił się i niespe-

309

cialnie ucieszył na mój widok. „Nie sądziłem, że gustujesz w takich rzeczach — powiedział. — I jeśli mam być szczerzy, nie jestem pewien, czy to właściwe, aby w parafialnej szopce wystąpił niekatolik. Musiałbym zapytać ojca Hieronima”.

Nie było dla mnie zaskoczeniem, że w roli Józefa Beda obsadził samego siebie. Przypuszczam, że gdyby tylko mógł, zagrałby wszystkich Trzech Króli i archanioła Gabriela na dodatek. Maureen została szybko zatwierdzona jako Maryja. Przerzuciłem odbity na powielaczu scenariusz, szukając odpowiedniej roli. „A

co z Herodem? — spytałem. — Chyba nie trzeba być katolikiem, żeby go zagrać?" „Możesz spróbować, jeśli chcesz" — zgodził się niechętnie Beda.

Odegrałem scenę, w której Herod uświadamia sobie, że Trzej Królowie nie wrócą, aby mu powiedzieć, gdzie znaleźli małego Mesjasza, o co ich obłudnie poprosił, udając, że sam chce złożyć mu hołd, i bezlitośnie rozkazuje pozabijać wszystkie niemowlęta płci męskiej w okolicach Betlejem. Jak wcześniej wspomniałem, jedyną rzeczą, która dobrze szła mi w szkole, było granie. Wypadłem rewelacyjnie. Kiedy skończyłem, zerwały się brawa, i Beda nie mógł mi nie dać tej roli. Maureen patrzyła na mnie z uwielbieniem: nie tylko byłem najlepszym tancerzem i królem strzelców, okazałem się także wybitnym aktorem. Ona sama, mówiąc szczerze, nie nadawała się na aktorkę. Jej głos był zbyt cichy, a gesty zbyt nieśmiałe, aby docierały za rampę. (To oczywiście przenośnia: nie mieliśmy żadnej rampy. Za całe oświetlenie sceny służył rząd biurowych lamp z kolorowymi żarówkami.) Ale jej rola wymagała głównie łagodnej i pogodnej urody, więc nie musiała dużo mówić ani robić.

Całkiem dobrze się bawiłem podczas pierwszych tygodni prób. Największą przyjemność sprawiało mi drażnienie Bedy Harringtona i podkopywanie jego autorytetu. Krytykowałem jego reżyserię, sugerowałem poprawki do scenariusza, bez

30

cialnie ucieszył na mój widok. „Nie sądziłem, że gustujesz w takich rzeczach — powiedział. — I jeśli mam być szczery, nie jestem pewien, czy to właściwe, aby w parafialnej szopce wystąpił niekatolik. Musiałbym zapytać ojca Hieronima".

Nie było dla mnie zaskoczeniem, że w roli Józefa Beda obsadził samego siebie. Przypuszczam, że gdyby tylko mógł, zagrałby wszystkich Trzech Króli i archanioła Gabriela na dodatek. Maureen została szybko zatwierdzona jako Maryja. Przerzuciłem odbity na powielaczu scenariusz, szukając odpowiedniej roli. „A co z Herodem? — spytałem. — Chyba nie trzeba być katolikiem, żeby go zagrać?" „Możesz spróbować, jeśli chcesz" — zgodził się niechętnie Beda.

Odegrałem scenę, w której Herod uświadamia sobie, że Trzej Królowie nie wrócą, aby mu powiedzieć, gdzie znaleźli małego Mesjasza, o co ich obłudnie poprosił, udając, że sam chce złożyć mu hołd, i bezlitośnie rozkazuje pozabijać wszystkie niemowlęta płci męskiej w okolicach Betlejem. Jak wcześniej wspomniałem, jedyną rzeczą, która dobrze szła mi w szkole, było granie. Wypadłem rewelacyjnie. Kiedy skończyłem, zerwały się brawa, i Beda nie mógł mi nie dać tej roli. Maureen patrzyła na mnie z uwielbieniem: nie tylko byłem najlepszym tancerzem i królem strzelców, okazałem się także wybitnym aktorem. Ona sama, mówiąc szczerze, nie nadawała się na aktorkę. Jej głos był zbyt cichy, a gesty zbyt nieśmiałe, aby docierały za rampę. (To oczywiście przenośnia: nie mieliśmy żadnej rampy. Za całe oświetlenie sceny służył rząd biurowych lamp z kolorowymi żarówkami.) Ale jej rola wymagała głównie łagodnej i pogodnej urody, więc nie musiała dużo mówić ani robić.

Całkiem dobrze się bawiłem podczas pierwszych tygodni prób. Największą przyjemność sprawiało mi drażnienie Bedy Harringtona i podkopywanie jego autorytetu. Krytykowałem jego reżyserię,

sugerowałem poprawki do scenariusza, bez

310

cialnie ucieszył na mój widok. „Nie sądziłem, że gustujesz w takich rzeczach — powiedział. — I jeśli mam być szczery, nie jestem pewien, czy to właściwe, aby w parafialnej szopce wystąpił niekatolik. Musiałbym zapytać ojca Hieronima”.

Nie było dla mnie zaskoczeniem, że w roli Józefa Beda obsadził samego siebie. Przypuszczam, że gdyby tylko mógł, zagrałby wszystkich Trzech Króli i archanioła Gabriela na dodatek. Maureen została szybko zatwierdzona jako Maryja. Przerzuciłem odbity na powielaczu scenariusz, szukając odpowiedniej roli. „A co z Herodem? — spytałem. — Chyba nie trzeba być katolikiem, żeby go zagrać?” „Możesz spróbować, jeśli chcesz” — zgodził się niechętnie Beda.

Odegrałem scenę, w której Herod uświadamia sobie, że Trzej Królowie nie wrócą, aby mu powiedzieć, gdzie znaleźli małego Mesjasza, o co ich obłudnie poprosił, udając, że sam chce złożyć mu hołd, i bezlitośnie rozkazuje pozabijać wszystkie niemowlęta płci męskiej w okolicach Betlejem. Jak wcześniej wspomniałem, jedyną rzeczą, która dobrze szła mi w szkole, było granie. Wypadłem rewelacyjnie. Kiedy skończyłem, zerwały się brawa, i Beda nie mógł mi nie dać tej roli. Maureen patrzyła na mnie z uwielbieniem: nie tylko byłem najlepszym tancerzem i królem strzelców, okazałem się także wybitnym aktorem. Ona sama, mówiąc szczerze, nie nadawała się na aktorkę. Jej głos był zbyt cichy, a gesty zbyt nieśmiałe, aby docierały za rampę. (To oczywiście przenośnia: nie mieliśmy żadnej rampy. Za całe oświetlenie sceny służył rząd biurowych lamp z kolorowymi żarówkami.) Ale jej rola wymagała głównie łagodnej i pogodnej urody, więc nie musiała dużo mówić ani robić.

Całkiem dobrze się bawiłem podczas pierwszych tygodni prób. Największą przyjemność sprawiało mi drażnienie Bedy Harringtona i podkopywanie jego autorytetu. Krytykowałem jego reżyserię, sugerowałem poprawki do scenariusza, bez

przerwy improwizowałem nowe sceny i popisywałem się wyniesioną z pracy wiedzą teatralną, sypiąc na prawo i lewo terminami technicznymi, które były mu obce. Powiedziałem też, że tytuł szopki, *Owoc żywota** (nawiązanie do „Zdrowaś Mario”), kojarzy mi się z „Fruit of the Loom” na metkach moich podkoszulków, co wzbudziło taką wesołość, że był zmuszony go zmienić na *Opowieść o Bożym Narodzeniu*. Błaznowałem okropnie, czytając partię Heroda głosami Tonyego Hancocka i ojca Hieronima, aż pozostali wykonawcy pokładali się ze śmiechu. Jak łatwo się domyślić, Beda przyjmował te wygłupy z dezaprobatą i w pewnym momencie zagroził, że mnie wyrzuci, ale położyłem uszy po sobie i przeprosiłem go. Nie chciałem wylecieć z obsady. Próby nie tylko były niezłą rozrywką, lecz także dostarczały mi dodatkowych okazji do widywania Maureen i odprowadzania jej do domu, okazji, których państwo Kavanagh nie mogli w żaden sposób zawetować. A już na pewno nie chciałem jej zostawić samej w reżyserskiej władzy Bedy Harringtona. Zauważyłem, że jako Józef wykorzystuje każdą sposobność, aby otoczyć Maryję męskim ramieniem w drodze do Betlejem i podczas ucieczki do Egiptu. Byłem przekonany, że bacznie obserwując jego grę, z bladym, ironicznym uśmiechem na twarzy, odbieram mu

wszelką satysfakcję z tych fizycznych zbliżeń; a gdy później wracaliśmy z Maureen do domu, tym bardziej rozkoszowałem się własnymi zmysłowymi przyjemnościami.

Potem Beda zachorował, w nietypowo późnym wieku, na ospę wietrzną, i nie było go przez dwa tygodnie. Przysłał wiadomość, że mamy kontynuować próby pod kierunkiem Petera Marelllo, który grał głównego pasterza. Ale Peter był również kapitanem drużyny piłkarskiej i moim dobrym kolegą. Chętnie mi ustępował we wszystkich kwestiach teatralnych, podobnie

* (Ang.) Fruit of the Womb.

311

•Są

jak inni członkowie zespołu, i zostałem w efekcie tymczasowym reżyserem. Uważałem, że ogromnie ulepszyłem przedstawienie, ale kiedy Beda wrócił, obsypany blaknącymi krostami, nie był zachwycony rezultatem.

Wyrzuciłem nużącą deklamację całej Podróży Trzech Króli T.S. Eliota, którą Beda włożył w usta jednego z nich, i dopisałem dwie duże sceny dla Heroda, oparte na moich wspomnieniach ze szkółki niedzielnej i lekcji religii w liceum. W pierwszej Herod umierał straszliwą śmiercią zjadany przez robaki — zapowiadała się na cudowne widowisko w stylu Grand Guignol* z wykorzystaniem puszkowego spaghetti Heinza jako rekwizytu. Druga była skokiem w przyszłość do ścięcia Jana Chrzciciela na rozkaz Salome. Namówiłem dziewczynę imieniem Josie, aby odtańczyła w trykotach taniec siedmiu zaston. Była wesołą tlenioną blondynką, pracowała u Woolwortha, używała jaskrawoczerwonej szminki i miała opinię równej kumpelki albo latawicy, zależnie od punktu widzenia. Niestety, okazało się, że poplątałem trzech różnych Herodów, więc nie mogłem specjalnie protestować, gdy Beda usunął te, jak je nazwał, „narośla”. Mimo to można śmiało powiedzieć, że Herod wyróżniał się w naszej szopce bardziej niż w jakiegokolwiek innej wersji od czasu misteriów w Wakefield**.

Tymczasem zrobiła się połowa grudnia i ojciec Hieronim, który dotąd dał nam w zasadzie wolną rękę, zapragnął obejrzeć przedstawienie. Może i dobrze się stało, że taniec Salome wyleciał ze scenariusza, bo nawet bez niego nasza szopka była jak na gust księdza za mało pobożna. Żeby oddać sprawiedliwość Bedzie Harringtonowi, starał się zerwać z tradycją de-

* Paryski teatr (1896-1962), słynny z przedstawień operujących efektami grozy.

** Miasto w Yorkshire; tekst cyklu wystawianych tam w Średniowieczu dramatów religijnych zachował się, jako jeden z nielicznych, do naszych czasów.

wocyjnych laurek i napisać coś bardziej nowoczesnego albo, jak mieliśmy nauczyć się mówić za parędziesiąt lat, „relevant-nego”. Na przykład po Zwiastowaniu nazareńscy sąsiedzi żywią wobec Maryi

uprzedzenia, z jakimi spotykały się samotne matki w Anglii, a kłopoty ze znalezieniem miejsca w gospodarstwie w Betlejem nawiązywały pośrednio do współczesnych problemów mieszkaniowych. Ojciec Hieronim zażądał usunięcia wszystkich takich niebiblijnych wstawek. Najbardziej jednak zaniepokoił go duch całego spektaklu. Był zbyt świecki. „Bardziej przypomina to komedię niż szopkę — powiedział, obnażając zęby w cierpkim uśmiechu. — Herod kompletnie usuwa Świętą Rodzinę w cień”. Bada popatrzył na mnie z wyrzutem, ale jego długa twarz wyciągnęła się jeszcze bardziej, gdy ojciec Hieronim zaczął mówić dalej: „To nie wina Laurencea. Jest zdolnym aktorem, stara się, jak może. To wy gracie źle, brakuje wam uduchowienia. Zastanówcie się, o czym jest ta sztuka. Słowo staje się ciałem. Sam Bóg zstępuje z nieba, jako bezbronne dziecko, aby zamieszkać między ludźmi. Pomyślcie, co to znaczyło dla Maryi, że została wybrana na Bożą Rodzicielkę... — tu spojrział przenikliwie na Maureen, która zarumieniła się po same uszy i spuściła wzrok. — Pomyślcie, co to znaczyło dla świętego Józefa, który odpowiadał za bezpieczeństwo Maryi i jej dziecięcia. Pomyślcie, co to znaczyło dla pasterzy, nieszczęsnych biedaków, którym wiodło się niewiele lepiej niż ich trzodzie, kiedy Anioł Pański pojawił się przed nimi i rzekł: «Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan»*. Musicie się stać tymi ludźmi. Nie wystarczy, że będziecie grać swoje role. Musicie się nimi modlić. Powinniście zaczynać każdą próbę modlitwą”.

* Łk 2,10-11.

Ojciec Hieronim perorował w tym tonie jeszcze przez jakiś czas. Była to na swój sposób znakomita przemowa, godna Stanisławskiego. Całkowicie odmienił nią atmosferę prób, na które odtąd regularnie uczęszczał. Aktorzy podchodzili do ról z nową powagą i ofiarnością. Ojciec Hieronim przekonał ich, że muszą szukać natchnienia we własnym życiu duchowym, a jeśli go nie mają, powinni się o nie postarać. Naturalnie odbiło się to na moich stosunkach z Maureen. Po swej publicznej homilii ksiądz przeprowadził z nią na stronie poważną rozmowę. Kiedy siedziała obok niego ze spuszczoneymi oczami i splecionymi dłońmi, kiwając w milczeniu głową, złowieszczo przypominała penitentkę. I rzeczywiście, gdy odprowadzałem ją tego wieczoru do domu, zatrzymała się na rogu swojej ulicy i powiedziała: „Jest już późno, Laurence. Lepiej od razu wejść. Pożegnajmy się”. „Ale tutaj nie możemy się porządnie pocałować” — zaprotestowałem. Milczała przez chwilę, owijając pasmo włosów wokół palca i z powrotem je odwijając. „Nie powinniśmy się już całować — wyszeptła w końcu. — Nie tak jak dotąd. Nie kiedy jestem Najświętszą Panną”.

Może ojciec Hieronim zauważył, że coś mnie łączy z Maureen. Może podejrzewał, że profanuję jej Przybytek Ducha Świętego. Nie wiem. Ale na pewno przemówił jej tego wieczoru do sumienia. Powiedział, jakim wyjątkowym zaszczytem jest dla młodej dziewczyny odtwarzanie postaci Matki Boskiej. Przypomniawszy, że jej własne imię to irlandzka forma Marii. Podkreślił, jak zadowoleni i dumni są niewątpliwie jej rodzice, że została wybrana do tej roli, i jak musi się starać być jej godna, w myśli, mowie i uczynkach. Kiedy Maureen powtórzyła mi niezdarnie jego słowa, usiłowałem obrócić je w żart; na próżno. Potem użyłem rozsądnej perswazji, ściskając jej dłonie i patrząc z przejęciem w oczy; również bez powodzenia. Potem spróbowałem się nadąsać. „No to dobranoc” — mruknąłem, wciskając ręce do

kieszeni płaszcza. „Możesz mnie raz poca-

łować" — powiedziała żałośnie Maureen, podnosząc ku mnie twarz, niebieską w świetle ulicznej latarni. „Tylko raz? Zgodnie z Paragrafem Piątym?" — zakpiłem. „Przestań" — wyszeptała; jej wargi drżały, oczy były pełne łez, „Och, dorośnij, Maureen" — rzuciłem, odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Noc miałem paskudną, bezsenną, a następnego dnia spóźniłem się do pracy, bo zamiast złapać pociąg o zwykłej porze, stałem na Skrzyżowaniu Pięciu Dróg i czekałem na Maureen. Zauważyłem, jak nagle sztywnieje, rozpoznając moją postać, choć była sto jardów ode mnie. Naturalnie ona też źle spała — miała bladą twarz i zapuchnięte powieki. Pogodziliśmy się, nim skończyłem wygłaszać przeprosiny, i odeszła do szkoły sprężystym krokiem, z uśmiechem na ustach.

Byłem pewien, że — jak poprzednio — z czasem przewyżcę jej skrupuły. Myliłem się. Nasze pieścizoty przestały być dla Maureen prywatną kwestią sumienia. Uznała, że pozwalając mi na nie, gdy gra Najświętszą Pannę, dopuściłaby się świętokradztwa, które mogłoby ściągnąć gniew Boży nie tylko na nią samą, lecz także na całą szopkę i wszystkie osoby biorące w niej udział. Nadal mnie kochała, odmawianie mi tych czułości sprawiało jej prawdziwy ból, ale postanowiła zachować czystość do ostatniego przedstawienia. Złożyła nawet taki ślub, poszedłszy do spowiedzi (do starego ojca Malachiasza, proboszcza) i komunii w weekend po interwencji ojca Hieronima.

Gdybym miał odrobinę rozumu czy taktu, pogodziłbym się z sytuacją i spokojnie czekał. Ale byłem młody, arogancki i samolubny. Nie uśmiechała mi się perspektywa cnotliwej Gwiazdki i Nowego Roku, okresu, gdy moim zdaniem człowiek miał prawo oczekiwać większej, nie mniejszej, swobody w tym względzie. Szósty stycznia wydawał się strasznie odległą datą. Zaproponowałem kompromis: żadnych pieścizot do końca pierwszej serii przedstawień, ale złagodzenie zakazu mię-

315

dzy wigilią Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Maureen potrząsnęła głową. „Nie — wyszeptała. — Proszę, nie targuj się ze mną". „No to kiedy? — indagowałem brutalnie. — Jak szybko po ostatnim spektaklu sytuacja wróci do normy?" „Nie wiem — odparła. — Nie jestem pewna, czy to było normalne". „Chcesz powiedzieć, że nigdy?" — zapytałem. Wtedy wybuchnęła płaczem, a ja westchnąłem, przeprosiłem ją i pogodziliśmy się. Do następnego razu.

W tym czasie odbywały się ostatnie gorączkowe próby, więc byliśmy ciągle skazani na swoje towarzystwo. Ale cała obsada goniła już resztkami sił i nerwów, toteż nie sądzę, by ktokolwiek zauważył, że Maureen i ja przeżywamy trudne chwile, może z wyjątkiem Josie, która grała małą rolę żony karczmarza. Już dawno się zorientowałem, że Josie na mnie leci, bo regularnie prosiła mnie na wieczorkach do „białych" tańców, i zdawałem sobie również sprawę, że zazdrości Maureen statusu gwiazdy przedstawienia. Karczmarka była oprócz Heroda jedyną naprawdę niesympatyczną postacią w szopce i to zbliżyło nas do siebie. To oraz wspólna obojętność wobec religijnego fanatyzmu, który ogarnął produkcję, napełniając ją śmiertelną powagą. Kiedy reszta aktorów, pod przewodnictwem ojca Hieronima lub Bedy, odmawiała z namaszczeniem różaniec na początku każdej próby, robiłem do Josie

miny, żeby ją rozśmieszyć. Komplementowałem jej grę i przepytywałem ją z tekstu. A na niedzielnych wieczorkach tańczyłem z nią częściej niż dotąd.

Oczywiście Maureen wszystko to dostrzegała. Widząc niemy ból w jej oczach, miałem czasem wyrzuty sumienia, lecz nie rezygnowałem z okrutnego planu, aby wyrzeć nacisk na jej cnotę, wzbudzając w niej zazdrości. Być może podświadomie pragnąłem zakończyć naszą znajomość. Usiłowałem coś zdławić, zarówno w sobie, jak i w niej. Nazywałem to dziecin-nością, głupotą, naiwnością, ale mógłbym też użyć słowa niewinność. Świat parafialnego klubu młodzieży, pełen takiego

uroku, gdy Maureen mnie weń wprowadziła, teraz wydawał mi się... cóż, parafialny, zwłaszcza w porównaniu ze światem, który poznałem w pracy. Z biurowych plotek o romansach aktorów, teatralnych przyjęciach i załatwianiu ról przez łóżko wyniosłem barwne i podniecające wyobrażenie o seksualnych obyczajach dorosłych i dziewczęco-katolickie skrupuły Maureen co do obmacywania jej cycków (jak mówiło się o nich w biurze) uznałem po prostu za śmieszne. Ciężko mi moje dziewictwo, a wiedziałem już, że Maureen mnie od niego nie uwolni, dopóki się z nią nie ożenię, co było równie mało prawdopodobne jak to, że polecę na Księżyc. Zresztą zaobserwowałem we własnym domu, jak wygląda życie rodzinne przy niskich dochodach, i stwierdziłem, że to nie dla mnie. Marzył mi się swobodniejszy, bardziej dynamiczny styl życia, chociaż nie miałem pojęcia, jaką formę mógłby przybrać.

Kryzys nastąpił po ostatnim spektaklu przed świętami. Sala była pełna. Szopka miała w parafii znakomitą ustną reklamę, a w lokalnej gazecie ukazała się nawet recenzja, krótka, lecz przychylna. Nie była podpisana i podejrzewałbym o jej autorstwo Bedę Harringtona, gdyby recenzent nie wyrażał się szczególnie pochlebnie o moim występie. Myślę, że zakulisowe zmagania między mną i Maureen przydały naszej grze głębi. Mój Herod był mniej żywiołowy niż na początku prób, ale bardziej autentycznie okrutny. Wydawało mi się, że gdy zarządzam rzeź niewiniątek, widzów przenika zbiorowy dreszcz. I było coś tragicznego w Najświętszej Pannie Maureen, nawet w scenie Zwiastowania — jakby — napisał anonimowy recenzent — ujrzała w proroczej wizji Siedem Mieczów Boleści, które miały przeszyć jej serce w następnych latach". (Może to ojciec Hieronim był autorem recenzji.)

Nie mieliśmy prawdziwego przyjęcia dla obsady po ostat-

317

nim przedświątecznym spektaklu, ale dziewczyna Petera Martello, Anne, nasza inspicjentka, przygotowała kakao, czekoladowe herbatniki i chipsy, które czekały na nas, gdy zdjęliśmy kostiumy, zmyliśmy charakteryzację oraz rozebraliśmy i schowaliśmy dekoracje. Ojciec Hieronim udzielił nam błogosławieństwa, złożył gratulacje i wyszedł. Byliśmy zmęczeni, ale triumfowaliśmy i nie mieliśmy ochoty gasić zbiorowej euforii, rozchodząc się do domów. Nawet Maureen była szczęśliwa. Jej rodzice i rodzeństwo obejrzeni przedstawienie drugi raz i słyszała, jak ojciec krzyczy z końca sali „Brawo!”, gdy wywołano nas przed kurtynę. Ja wybiłem rodzinie z głowy ponowne przyjęcie, ale mama widziała premierę i orzekła, że było „bardzo ładnie, chociaż trochę za głośno” (miała na myśli muzykę, zwłaszcza

Galop walkirii, stanowiący tło ucieczki do Egiptu), a mój brat, który jej towarzyszył, patrzył na mnie następnego dnia niemal z szacunkiem. Beda Harrington, upojony sukcesem, snuł ambitne plany wystawienia Pasji w najbliższą Wielkanoc. Jeśli dobrze pamiętam, miała być napisana białym wierszem, z mówionymi rolami dla narzędzi męki — krzyża, gwoździ, korony cierniowej itd. W przypiływie wielkoduszności zaproponował mi rolę bicza bez formalnego przesłuchania. Powiedziałem, że się zastanowię.

Rozmowa zesłała na świąteczne plany i wybrałem ten moment, aby oznajmić, że szef dał mi cztery darmowe bilety na spektakl Dziewczynki w lasku w teatrze Prince of Wales w drugi dzień świąt. Właściwie miałem zabrać rodzinę, ale licho mnie podkuśiło, żeby zaimponować towarzystwu wspaniałomyślnym gestem i jednocześnie wystawić Maureen na próbę. Spytałem Petera i Annę, czy chcieliby z nami pójść. Zgodzili się ochoczo, ale Maureen, tak jak przypuszczałem, powiedziała, że rodzice jej nie puszczą. „Co, nawet w święta?” — zapytałem. Spojrzała na mnie, błagając wzrokiem, bym jej publicznie nie upokarzał. „Znasz ich” — powiedziała. „Szkoda — mruk-

318

nąłem, świadom, że Josie nadstawia uszu. — Ktoś jest chętny?” „Och, ja pójdę, uwielbiam komedie! — zawołała natychmiast Josie. I dodała: — Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Maureen?” „Nie, skądże” — szepnęła Maureen, mieniąc się na twarzy. Równie dobrze mógłbym wziąć sztylet, który nosiłem u pasa jako Herod, i wbić jej go w serce.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, którą przerwałem, wspominając, jak w scenie przy żłóbku omal nie doszło do katastrofy z powodu obsuwającego się tła, i wkrótce pochłonęła nas hałaśliwa i wesoła rekapitulacja całego przedstawienia. Maureen milczała, a kiedy się za nią rozejrzałem, już jej nie było. Wysła, nie żegnając się z nikim. Wracalem do domu sam, w ponurym nastroju, kopiąc puszkę po tytoniu. Nie byłem specjalnie zadowolony z siebie, ale jakoś sobie wmówiłem, że Maureen zepsuła mi Boże Narodzenie. Nie poszedłem z nią na Pasterkę, jak wcześniej zamierzałem. Pierwszy dzień świąt spędziłem w domu, w typowym klaustrofobicznym marazmie. Drugiego dnia odbyłem planowaną wyprawę do teatru, okłamawszy rodziców, że mam tylko jeden bilet, i umówiwszy się z Josie, Peterem i Anne na Charing Cross. Josie była ubrana jak dziwka i zalatywało od niej tanimi perfumami. W antrakcie bezczelnie poprosiła o gin z sokiem pomarańczowym, co omal mnie nie zrujnowało, i śmiała się ochryple ze wszystkich słonych dowcipów, wprawiając Petera i Anne w zakłopotanie. Po spektaklu odprowadziłem ją do domu (mieszkała z rodziną w kwaterunkowej kamienicy) i objąłem w ciemnościach pod schodami, gdzie zaciągnęła mnie bez żadnych wstępów. Wepchnęła mi język do gardła i zacisnęła sobie moją dłoń na piersi, opancerzonej sztywnym, spiczastym stanikiem. Nie wątpiłem, że pozwoliłaby mi na więcej, ale jakoś odeszła mnie ochota. Jej perfumy nie do końca tłumiły bijącą spod pach woń nieświeżego potu i miałem już dość jej bezmyślnej paplaniny i piskliwego śmiechu.

319

1

Następnego dnia dostałem list od Maureen, nadany w Wigilię. Stwierdziła w nim, że będzie lepiej, jeśli na jakiś czas przestaniemy się widywać, nie licząc ostatniego pokazu szopki. Był napisany jej okrągłym, dziewczęcym charakterem, na tym samym co zawsze fiołkowym papierze, ale wszystkie „i” miały normalne kropki, a nie baniaste kółeczka. Zamiast odpowiedzieć Maureen, wysłałem list do Bedy Harringtona, aby go zawiadomić, że nie mogę zagrać w ostatnim przedstawieniu i polecić Petera Marello jako nowego Heroda. Już nigdy nie poszedłem do klubu młodzieży i wystąpiłem z drużyny piłkarskiej. Brakowało mi ruchu i chyba właśnie wtedy zacząłem się powiększać w pasie, tym bardziej że zasmakowałem mi piwo. Zaprzyjaźniłem się z młodym człowiekiem imieniem Nigel, pracującym w kasie teatru, nad którym mieściło się nasze biuro, i on wprowadził mnie do paru pubów w Soho. Spędzaliśmy razem dużo czasu, ale minęło wiele miesięcy, zanim się zorientowałem, że ma skłonności homoseksualne. Dziewczęta w biurze sądziły, że ja pewnie też, więc daleko z nimi nie zaszedłem. Straciłem cnotę dopiero w wojsku, odbywając służbę zasadniczą — był to szybki numerek na stojaka pod murem parku pojazdów, z pijaną babką z żeńskiego korpusu.

W miesiącach po wystawieniu szopki widywałem czasem Maureen na ulicy lub w autobusie, ale nie podchodziłem do niej. Jeśli ona też mnie widziała, nie pokazywała tego po sobie. W moich oczach wyglądała coraz bardziej dziewczęco i pospolicie, wiecznie w tym samym granatowym płaszczu i tej samej fryzurze. Raz, tuż po tym, jak dostałem wezwanie do wojska, spotkaliśmy się twarzą w twarz w sklepie chemicznym — ja wchodziłem, ona wychodziła. Zamieniliśmy kilka niezręcznych słów. Spytałem ją o szkołę. Powiedziała, że myśli o poświęceniu się pielęgniarstwu. Spytała mnie o pracę. Odparłem, że idę do wojska i mam nadzieję stacjonować za granicą i trochę użyć życia.

320

Ostatecznie zostałem kancelistą i wylądowałem w północnych Niemczech, gdzie pola buraków ciągnęły się po horyzont, a zimą było tak zimno, że raz rozpląkałem się na warcie i łyzy zamarzyły mi na policzkach. Jedyną moją ucieczką od śmiertelnej wojskowej nudy było występowanie w akademiach, pantomimach, przebierankach i tym podobnych bazowych spektaklach, oraz pisanie do nich scenariuszy. Wyszedłem do cywila z mocnym postanowieniem zrobienia kariery w jakiejś dziedzinie show-biznesu. Dostałem się do jednej z mniej prestiżowych londyńskich szkół teatralnych i żyłem ze skromnego stypendium, dorabiając wieczorami w pubach. Nie widywałem Maureen, kiedy przyjeżdżałem do Hatchford, aby odwiedzić rodziców. Raz wpadłem na Petera Marello i on mi powiedział, że poszła do szkoły pielęgniarstwa, a jej rodzina wyprowadziła się do innej części Londynu, gdy służyłem w wojsku. Było to trzydzieści pięć lat temu. Od tamtej pory jej nie widziałem ani nie miałem o niej żadnych wiadomości.

r1

✓

Niedziela, 6 czerwca. Napisanie tego wspomnienia zajęło mi cały tydzień, a nie robiłem praktycznie nic innego. Wydrukowałem ostatnie strony wczoraj o dziesiątej wieczorem, a potem wyszedłem rozprostować nogi i kupić niedzielne gazety. Kolporterzy wyladowywali je z furgonetki wprost na chodnik

pod stacją metra Leicester Square, jak rybacy, którzy sprzedają na nadbrzeżu świeży połów, rozrywali paczki z różnymi sekcjami — wiadomości, sport, biznes, kultura — i pospiesznie składali egzemplarze dla klientów wyciągających ręce z pieniędzmi. Zawsze czuję miły dreszczyk, gdy kupuję jutrzejsze gazety dzisiaj: mam złudzenie, że podglądam przyszłość. Tym razem jednak chciałem po prostu nadrobić zaległości z minionego tygodnia. Niewiele się zmieniło w szerokim świecie. Jedenaście osób zostało zabitych, gdy bośniaccy Serbowie ostrzelali z moździerzy stadion piłkarski w Sarajewie. Dwudziestu pięciu żołnierzy ONZ zginęło w Somalii w zasadzce zastawionej przez oddziały generała Aidida. John Major ma najniższy wskaźnik popularności spośród wszystkich brytyjskich premierów, odkąd wymyślono sondaże. Zaczynam mu niemal współczuć. Może jest to chytry podstęp torysów, aby zyskać głosy wyborców o niskim poczuciu własnej wartości?

W zeszłym tygodniu nie kupowałem żadnych gazet, bo nie chciałem się rozpraszać. Prawie nie słuchałem też radia ani nie oglądałem telewizji. Zrobiłem wyjątek dla środowego meczu Anglia-Norwegia i żałowałem tego. Co za upokorzenie.

322

«

Pokonani 2:0 przez bandę amatorów i prawdopodobnie wyeliminowani z Mistrzostw Świata. Powinno się ogłosić żałobę narodową i zesać Grahama Taylora do kopalni. (Zorganizowałyby pewnie skutych z nim więźniów w formację 3-5-2 i wpadaliby na siebie jak angielscy piłkarze.) Przez ten wynik nie mogłem się skupić nad moim wspomnieniem dobre pół dnia.

Nie sądzę, abym kiedykolwiek przedtem spłodził coś takiego. Może będzie jeszcze ze mnie powieściopisarz. Wspomnienie nie ma żadnego adresata. Zamiast przedstawić tę historię, jakbym ją opowiadał przyjacielowi albo przygodnemu słuchaczowi w pubie, starałem się odtworzyć autentyczne wydarzenia dla siebie samego, słowami, które odmalowałyby je najwierniej. Dużo poprawiałem. Oczywiście zawsze to robię — pisanie scenariuszy to głównie wprowadzanie poprawek — ale w odpowiedzi na uwagi innych osób. Tym razem byłem jedynym czytelnikiem i jedynym krytykiem i poprawiałem tekst na bieżąco. Zrobiłem też coś, co mi się nie zdarzyło, odkąd kupiłem sobie pierwszą elektryczną maszynę — napisałem pierwsze wersje wszystkich części ręcznie. Wydało mi się to jakoś bardziej naturalne, żeby spróbować odtworzyć przeszłość z długopisem w dłoni, a nie bębniąc w klawiaturę. Długopis jest narzędziem, jak szpadel albo wiertło, przecina splątane korzenie, sonduje pokłady pamięci. Dialogi wzięłem naturalnie z głowy. To wszystko zdarzyło się czterdzieści lat temu i nie mam żadnych notatek. Sądzę jednak, że emocje oddałem wiernie, a to jest najważniejsze. Mimo to nie potrafię zostawić tekstu w spokoju: ciągle biorę wydruk do ręki, czytam go na nowo, przerabiam, poprawiam, zamiast wreszcie posprzątać mieszkanie.

Kuchnia wygląda jak chlew, wszędzie stoją piramidy brudnych talerzy i pojemników po daniach na wynos, w pokoju na stoliczku do kawy leży sterta nieotwartej poczty, a sekretarka przestała nagrywać wiadomości, bo kaseta jest pełna. Kiedy

Grahame przyszedł na mecz, był absolutnie zdegustowany stanem mieszkania. Ma wyższe normy gospodarskie niż ja — czasem pożycza ode mnie szufelkę i szczotkę, żeby zamieść swój kwadrat marmurowej posadzki w bramie. Obawiam się jednak, że dni jego rezydentury są policzone. Dwaj amerykańscy akademicy spod piątki przyjechali na wakacje i często urządzają przyjęcia. Co zrozumiałe, nie chcą mieć w bramie włóczęgi, nad którym ich goście muszą skakać, wchodząc i wychodząc. Powiedzieli mi wczoraj w windzie, że zamierzają wezwać policję. Próbowałem argumentować, że Grahame nie jest zwykłym włóczęgą, ale chyba ich nie przekonałem. On nie dopomaga swojej sprawie, wyrażając się o nich z pogardą per „te pedały”.

Kiedy tak na okrągło czytam wspomnienie, przytłacza mnie poczucie straty. Straty nie tylko miłości Maureen, lecz także niewinności — jej i mojej własnej. Dotychczas ilekroć o niej myślałem — a nie zdarzało się to zbyt często — uśmiechałem się w duchu z sympatią, ale trochę krzywo: miła smarkuła, pierwsza dziewczyna, jacy byliśmy oboje naiwni, przeszło-mi-nęło i tak dalej. Dopiero rekonstruuując historię naszej znajomości ze wszystkimi szczegółami, uświadomiłem sobie, jaką potworną rzecz zrobiłem przed laty. Gruboskórnie, samolubnie, niezastuzenie, złamałem serce młodej dziewczyny.

Oczywiście doskonale zdaję sobie sprawę, że nie myślałbym o tym w ten sposób, gdybym nie odkrył ostatnio Kierkegaarda. To naprawdę bardzo kierkegaardowska historia. Przypomina Dziennik uwodziciela i związek samego K. z Reginą. Maureen--Regine: ich imiona wręcz się rymują.

Regina stawiała jednak większy opór niż Maureen. Kiedy K. odesłał jej pierścioneł, natychmiast pobiegła do jego mieszkania i nie zastawszy go, skreśliła list, w którym błagała, aby

324

jej nie porzucał ...w imię Chrystusa i przez pamięć na twego zmarłego ojca. To było sprytne posunięcie, zmarły ojciec. Kierkegaard uroił sobie, że jak tyle jego rodzeństwa, umrze przed ojcem; toteż kiedy stary kopnął w kalendarz, K. uznał, iż w jakimś mistycznym sensie umarł za niego. Od tego momentu datował swoje religijne nawrócenie. Tak więc list Reginy naprawdę nim wstrząsnął. Mimo to dalej udawał zimnego cynika i złamał dziewczynie serce, fałszywie przekonany, że „będzie szczęśliwszy w nieszczęściu bez niej niż z nią”. Właśnie odszukałem zapis ich ostatniego dialogu:

Poszedłem się z nią rozmówić. Zapytała: Czy nigdy się nie ożenisz? Odrzekłem: Cóż, za jakieś dziesięć lat, gdy już się wy-szumie, wezmę sobie ładną młodą panienkę, żeby nie skapca-nieć. Powiedziała: Przebac mi to, co ci zrobiłam. Odrzekłem: To raczej ja powinienem się modlić o twoje przebaczenie. Powiedziała: Pocałuj mnie. Uczyniłem to, lecz bez serca. Boże miłosierny!

To „pocałuj mnie” było ostatnim sztychem Reginy. Okazał się niecelny, więc złożyła broń.

Kiedy to czytałem, znów mi się przypomniało, jak Maureen podniosła ku mnie swą znękaną twarz, niebieską w ponurym świetle latarni, i powiedziała: „Możesz mnie raz pocałować”, i jak odszedłem. Czy

jeszcze kiedyś wziąłem ją w ramiona, czy też do końca z pogardą odrzucałem propozycję niewinnego pocałunku na dobranoc? Nie zachowałem jej ostatniego listu i nie przypominam sobie, co dokładnie napisała, ale słowa na pewno były dość banalne, jak zawsze. Zapamiętałem nie to, co mi mówiła, lecz ją samą: blask jej oczu, rozhuśtany koński ogon, jak uśmiechając się, marszczyła nos... Szkoda, że nie mam już jej zdjęcia, które zwykłem nosić w portfelu, czarno-białej wakacyjnej fotki zrobionej w Irlandii, gdy miała piętnaście lat. Stała tam oparta o pobieloną ścianę, mrużąc oczy od słońca,

a wiatr przyklejał jej bawełnianą spódnicę do nóg. Zdjęcie wygniotło się i zatłuściło od ciągłego dotykania, i po naszym rozstaniu wyrzuciłem je. Pamiętam, jak niemal rozeszło mi się w palcach, bo papier stracił cały połysk i sprężystość, i jak patrzyłem na fragmenty wizerunku Maureen rozsypane na dnie kosza. Mam ją jeszcze na fotografiach schowanych w pudełku po butach gdzieś na strychu domu w Hollywell, razem z innymi pamiątkami z młodości. Nie jest ich zbyt wiele, bo żadne z nas nie miało wtedy aparatu: ot, kilka zdjęć zrobionych przez kogoś na klubowych rajdach i grupowy portret obsady szopki. Gdybym mógł być pewien, że trafię na moment, kiedy Sally nie ma w domu, chętnie pojechałbym jutro do Hollywell i ich poszukał.

6.30 wieczorem. Krótco po tym, jak wystukałem powyższe zdanie i wyłączyłem komputer, kiedy podwijałem rękawy, żeby się zabrać do zmywania, przyszedł mi do głowy pewien pomysł: zamiast przetrząsać strych w poszukiwaniu zdjęć Maureen, może spróbowałbym odnaleźć ją samą? Im dłużej o tym myślę, a przez całe popołudnie nie myślałem właściwie o niczym innym, tym bardziej mnie to korci. Trochę się boję, bo nie mam pojęcia, jak zareaguje, jeśli uda mi się ją odszukać, ale z drugiej strony, ten dreszczyk jest przyjemny. Nie wiem, gdzie teraz mieszka, ani co się z nią dzieło od naszego ostatniego spotkania w sklepie chemicznym w Hatchford. Mogła chociażby wyjechać za granicę. Ale to nie problem, polecę do Nowej Zelandii, jeśli będzie trzeba. Mogła umrzeć. Tego bym nie zniósł, choć muszę przyznać, że jest to możliwe. Rak. Wypadek samochodowy. Cokolwiek. Mam jednak jakieś dziwne przeczucie, że żyje. Prawdopodobnie jest zamężna. Bez wątplenia jest, taka dziewczyna jak Maureen. Wyszła pewnie za lekarza, jak większość ładnych pielęgniarek, i będąc dobrą ka-

326

toliczką, wytrwała w małżeństwie. Jeśli, oczywiście, nie przestała wierzyć. To się zdarza. Albo nie owdowiała.

Hej, nie mogę sobie robić żadnych nadziei. Jest pewnie tęgą, siwowłosą, bardzo szacowną, trochę nudną, szczęśliwie zamężną kobietą, która mieszka w wygodnym podmiejskim domku, ma w oknach zasłony pasujące do pokrowców na kanapę i fotele, interesuje się głównie wnukami i niecierpliwie czeka na emerycką niżkę kolejową, żeby móc je częściej odwiedzać. Na pewno nie myślała o mnie od wielu lat i nie miałaby zielonego pojęcia, kim jestem, gdybym się pojawił na jej progu. Niemniej to właśnie zamierzam zrobić, pojawić się na jej progu. Jeśli go znajdę.

Poniedziałek, 7 czerwca, 4.30 po południu. UfP. Jestem wykończony i boli mnie kolano. Byłem dziś w

Hatchford. Hatchford mon amour.

Przyszedłem na Charing Cross tuż po dziewiątej i poruszałem się pod prąd porannego szczytu, walcząc z przypiływem poniedziałkowo bladych pasażerów, których fale przepływały przez halę dworcową i wirowały wokół wysepek Tie Racku, Knickerboksu i Sockshopu, zanim wessał je odpływ metra. Mój wracający na przedmieście pociąg był prawie pusty. Ta linia nazywała się kiedyś Southern Electric. Teraz nazywa się Network Southeast, ale praktycznie nic się nie zmieniła, może tylko graffiti w wagonach są dziś liczniejsze i bardziej kolorowe dzięki wynalezieniu flamastra. Vorsprung durch Technik. Usiadłem w drugim wagonie za lokomotywą, żeby mieć w Hatchford blisko do wyjścia ze stacji, rozgarnąłem stopami śmieci na podłodze i wciągnąłem w nozdrza znajomy zapach kurzu i bry-lantyny bijący z tapicerki. Konduktor przeszedł się peronem, zatrzasnął drzwi z taką siłą, że zadzwoniły mi zęby, i elek-

tryczny silnik zajęczał na jałowym biegu, gdy maszynista włączył moc. Pociąg gwałtownie ruszył, z dudnieniem przejechał po moście Hungerford, nad lśniącą w słońcu Tamizą, a potem przetoczył się przez zwrotnice między Waterloo East i London Bridge. Dalej linia prowadzi prosto wiele mil i mknęliśmy, zostawiając za sobą w dole warsztaty samochodowe, magazyny, garaże, składy makulatury i złomu, boiska szkolne i ulice szeregowych domków, nad którymi górował tu i ówdzie wieżowiec z kwaterunkowymi mieszkaniami. Nigdy nie była to trasa widokowa.

Minęły lata, odkąd jechałem tą linią, i dziesięciolecia, odkąd wysiadłem w Hatchford. W 1962 roku do ojca uśmiechnęło się szczęście — po raz pierwszy i ostatni w jego życiu, nie licząc poznania mamy — wygrał dwadzieścia tysięcy funtów na loterii Littlewoods. W tamtych czasach było to dużo pieniędzy, dość, aby mógł przejść na wcześniejszą emeryturę i kupić mały domek w Middleton-on-Sea, niedaleko Bognoru. Od kiedy się tam z mamą przenieśli, nigdy nie miałem potrzeby ani ochoty, by odwiedzić Hatchford. Dziwnie się tam dzisiaj czułem, widząc, niczym we śnie, mieszankę znanego i obcego. W pierwszej chwili byłem zaskoczony, jak mało się zmieniło wokół Pięciu Dróg. Powstały nowe sklepy i nowy system ruchu — miejsce narożnej kwaciarni zajęła wypożyczalnia kaset wideo, spółdzielcza piekarnia awansowała na supermarket, a droga, pełna wysepek i minirond, jest oznakowana strzałkami jak zawiła gra planszowa — ale zarysy ulic i budynków pozostały takie, jakimi je zapamiętałem. Uległ jednak zmianie skład społeczny dzielnicy. W szeregowych domkach przy bocznych uliczkach mieszkają teraz głównie Jamajczycy i Azjaci, o czym się przekonałem, gdy poszedłem rzucić okiem na nasz dawny dom przy Albert Street.

Przesuwane w pionie drewniane okna wymieniono na uchylne, aluminiowe, nad wejściem zamocowano mały oszklony

328

daszek, ale poza tym był to ten sam dom z szarawożółtawej cegły, kryty dachówką, z jardem ogródka od

frontu. W parapecie nadal brakowało kawałka kamienia wyrwanego podczas wojny przez szrapnel. Zapukałem i siwowłosa Jamajczyk odemknął ostrożnie drzwi. Wyjaśniłem, że kiedyś tu mieszkałem, i spytałem, czy mogę wejść się rozejrzeć. Zrobił niepewną minę, jakby podejrzewał — całkiem możliwe — że jestem złodziejem lub oszustem; ale zaraz pojawiła się młoda kobieta, jego córka, która wycierając ręce w fartuch, uprzejmie zaprosiła mnie do środka. Co mnie natychmiast uderzyło, oprócz snujących się w powietrzu ostrych kuchennych zapachów, to jak wąskie i ciemne były schody i korytarz: zapomniałem, że w tych domach praktycznie nie ma światła. Ale wyburzono ścianę między pokojami od frontu i od tyłu, dzięki czemu powstał jasny, obszerny living room. Dlaczego myśmy o tym nie pomyśleli? Przez tyle lat gnietliśmy się w tylnym pokoju, gdzie ledwo można było zrobić krok, nie wpadając na meble albo siebie nawzajem. Powodem był oczywiście zakorzeniony zwyczaj, który nakazywał zawsze trzymać coś — garnitur, serwis do herbaty albo pokój — na „od święta”.

Powiększony living room był urządzony krzykliwie, lecz wesoło, w kolorach żółci, purpury i zieleni. Grał w nim telewizor i dwie małe dziewczynki, mniej więcej trzyletnie bliźniaczki, siedziały na podłodze, ssąc kciuki i oglądając kreskówkę. Obydwa kominki zostały zasłonięte, ich obudowy wypruto ze ścian i pod oknami zainstalowano kaloryfery. Pokój tak mało przypominał to, co zapamiętałem, że nie potrafiłem zaludnić go wspomnieniami. Wyjrzałem na mały skrawek ziemi, który uszlachetniliśmy nazwą „ogród za domem”. Został niemal w całości wybrukowany i częściowo zajmowała go weranda z przezroczystego włókna szklanego. Zobaczyłem też jaskra-woczerwony grill na kółkach i suszarkę do prania zamiast obwisłego, podpartego rozwidlonym kijem sznura, który biegł

dawniej na ukos przez cały ogród. Młoda kobieta powiedziała mi, że jej mąż prowadzi autobus, i uchwyciłem się skwapliwie tej nici wiążącej teraźniejszość z przeszłością. „Mój ojciec prowadził tramwaj” — oświadczyłem. Ale musiałem jej wyjaśnić, co to był tramwaj. Nie zaproponowali, że pokażą mi sypialnie, i nie poprosiłem o to. Wcisnąłem bliźniaczkom do rączek po monecie funtowej, podziękowałem ich matce i dziadkowi, i wyszedłem.

Wróciłem na Skrzyżowanie Pięciu Dróg i zacząłem się wspinać Beecher s Road. Szybko zdałem sobie sprawę, że wyższa część Hatchford uległa yuppiefikacji, prawdopodobnie podczas ożywienia na rynku nieruchomości w latach osiemdziesiątych. Wiele spośród dużych domów, które w czasach mojego dzieciństwa były podzielone na mieszkania, znów miało pojedynczych właścicieli i pewien szyk: mosiężne okucia na drzwiach, wiszące koszyki z kwiatami na gankach i doniczkowe krzewy u stóp schodów. Przez okna dostrzegałem oznaki inteligentnego stylu życia: etniczne kilimy i współczesne grafiki na ścianach, dobrze zaopatrzone grafitowe regały na książki, powyginane stojące lampy, supernowoczesny sprzęt hi-fi. Byłem ciekaw, czy podobny los spotkał Treglowan Road 94, gdzie mieszkała rodzina Maureen. Pierwsza w lewo na szczycie Beecher s Road, potem pierwsza w prawo i znów w prawo. Czy to wspinaczka czy też nadzieja sprawiła, że serce biło mi szybciej, gdy zbliżyłem się do ostatniego zakrętu? Było bardzo mało prawdopodobne, aby rodzice Maureen, zakładając, że jeszcze żyją, nadal tu mieszkali; a gdyby nawet, istniała jedna szansa na milion, że Maureen akurat teraz składa im wizytę. Tak sobie mówiłem, próbując uspokoić tętno. Nie byłem jednak przygotowany na wstrząs, jakiego doznałem, skręciwszy za róg.

Jedna strona ulicy, ta, po której stał dom Maureen, została wyburzona i na tym miejscu zbudowano małe willowe osiedle: tandetne, niewydarzone ceglane pudełka — tak wąskie, że

330

wyglądały jak przepiłowane bliźniaki — z witrażowymi oknami i fałszywymi belkami na fasadach, rozrzucone wzdłuż zakręcającej ślepej uliczki o nazwie Treglowan Close. Po monumentalnej edwardiańskiej kamienicy, w której mieszkali Kava-naghowie, nie pozostał żaden widoczny ślad, ani jedna cegła, ani jeden kamień, ani jedno drzewo. Obliczyłem, że wjazd na osiedle przechodzi dokładnie przez środek tamtej posesji. Obniżenie pod gankiem, gdzie się całowaliśmy, gdzie dotykałem piersi Maureen, zostało zasypane, wyrównane i zalane asfaltem. Poczułem się okradziony, zdezorientowany i całkowicie irracjonalnie wściekły.

Natomiast kościół Niepokalanego Poczęcia nadal stał. Co więcej, prawie się nie zmienił. Matka Boska na dziedzińcu nadal wyciągała ręce z cokołu, jakby sygnalizowała złą piłkę w krykiecie. Wewnątrz były te same ciemne, poplamione ławki, potężne szafy konfesjonałów, wotywne świece ociekające stalaktytami wosku. Zobaczyłem jednak coś nowego: w miejscu, które Philip Larkin nazwał „świętym końcem”, przed rzeźbionym, ozdobionym sterczynami tryptykiem, jaśniejącym niegdyś podczas Adoracji w blasku niezliczonych świec, stał prosty kamienny stół, a u podstawy ołtarzowych schodków nie było już balustrady. Niemłoda kobieta w fartuchu czyściła tam dywan. Kiedy się zbliżyłem, wyłączyła odkurzacz i spojrzała na mnie ciekawie. Spytałem, czy ojciec Hieronim jest jeszcze związany z kościołem. Odparła, że słyszała, jak wspominali o nim starsi parafianie, lecz, o ile jej wiadomo, opuścił Hatchford na długo przed tym, jak ona sama tu przybyła. Wydawało jej się, że zakon posłał go do Afryki jako misjonarza. A ojciec Małachiasz, domyśliłem się, nie żyje. Skinęła głową i wskazała mi tablicę pamiątkową na ścianie. Powiedziała, że proboszczem jest teraz ojciec Dominik i że znajdę go na plebanii. Pamiętałem, że plebania to dom, w którym mieszkają księża, pierwszy za rogiem. Na mój dzwonek drzwi otworzył trzy-

dziesięcioletni mężczyzna w swetrze i dżinsach. Spytałem go, czy zastałem ojca Dominika. „To ja, proszę wejść — odparł i wprowadził mnie do zagraconego living roomu, gdzie w kącie na biurku jarzył się zielenią ekran komputera. — Wie pan coś o arkuszach kalkulacyjnych?” — zapytał. Wyznałem, że nic. „Usiłuję skomputeryzować księgowość parafii — powiedział — ale żeby zrobić to porządnie, koniecznie potrzebuję Windowsów. Czym mogę panu służyć?”

Kiedy wyjaśniłem, że próbuję odszukać kogoś, kto mieszkał w parafii przed czterdziestu laty, potrząsnął z powątpiewaniem głową. „Zakonnicy, którzy kierowali wtedy parafią, byli beznadziejnymi urzędnikami. Jeśli mieli jakieś akta dotyczące wiernych, zabrali je ze sobą na odchodnym. Wszystko, co mi zostało w charakterze archiwum, to rejestry chrztów, pierwszych komunii, bierzmowań i ślubów”.

Spytałem, czy mogę zobaczyć rejestr ślubów. Ojciec Dominik zaprowadził mnie z powrotem do kościoła, do małego pomieszczenia za ołtarzem, pachnącego kadzidłem i emulsją do czyszczenia mebli, i wyjął z szafy wielką, podłużną księgę oprawioną w skórę. Zacząłem od roku, w którym ostatni raz widziałem Maureen, i szedłem do przodu. Znalezienie jej nazwiska nie zajęło mi dużo czasu. 16 maja 1959 Maureen

Teresa Kavanagh z Treglovan Road 94 poślubiła Bedę Ignacego Harringtona z Hatchford Rise 103. „A niech mnie diabli!” — wykrzyknąłem bezmyślnie i zaraz przeprosiłem. Ojciec Dominik nie wyglądał na zgorzzonego. Spytałem go, czy Harringtonowie mieszkają jeszcze w parafii. „Nie przypominam sobie tego nazwiska — odparł. — Musiałbym sprawdzić w mojej bazie danych”. Wróciliśmy na plebanię i postukał w komputer, ale bez powodzenia. Nie znalazł też żadnych Kavanaghów. „Annie Mahoney może coś wiedzieć — podsunął. — Była w tamtych czasach gospodynią na plebanii. Ja sam się tu rządzę, nie stać mnie na gospodynię. Mieszka dwa domy dalej. Będzie

332

pan musiał krzyknąć, jest porządnie głucha”. Podziękowałem mu i spytałem, czy mogę wesprzeć parafialny fundusz softwa-reowy, na co zgodził się z wdzięcznością.

Annie Mahoney była przygarbioną, zasuszoną staruszką w jasnozielonym dresie i zapinanych na rzepy reebokach. Wyjaśniła mi, że z powodu artretyzmu nie radzi już sobie z guzikami i sznurowadłami. Mieszkała sama i wyraźnie się ucieszyła z okazji do pogawędki. W pierwszej chwili myślała, że przychodzę z Ratusza, aby ustalić, czy nadal przysługuje jej pomoc społeczna, ale kiedy nieporozumienie się wyjaśniło, chętnie wysłuchała moich pytań o rodzinę Kavanaghów. Pamiętała ich doskonale i była to fascynująca rozmowa. „Prawdziwy olbrzym, pan Kavanagh, starczyło raz go zobaczyć i już nigdy się nie zapomniało. Jego żona była miłą kobietą i mieli piątkę dzieci, wszystkie śliczne, szczególnie najstarsza, uciekło mi, jak miała na imię”. „Maureen” — odpowiedziałem. „Zgadza się, Maureen” — przytaknęła. Pamiętała ślub Maureen, który według standardów parafii był bardzo elegancki: pan młody i świadek wystąpili we frakach, a weselnymi gośćmi woziły dwa rolls roycey — „To chyba doktor Harrington zapłacił za samochody, on zawsze robił wszystko jak się należy — wspominała Annie. — Będzie z dziesięć lat, jak umarł, świeć Panie nad jego duszą. Podobno na serce”. Nie wiedziała jednak nic o małżeńskim życiu Bedy i Maureen — gdzie mieszkali i czym Beda się zajmował. „Maureen poszła bodajże na nauczycielkę” — zaryzykowała. Powiedziałem, że chyba chciała zostać pielęgniarką. „A tak, pielęgniarką, prawda — przyznała Annie. — Nadawała się na pielęgniarkę. Taka poczciwa dziewczyna. Pamiętam, jak grała Najświętszą Pannę w szopce, co to ją klub młodzieży pokazał w któreś święta, włosy okrywały jej ramiona, wyglądała przepięknie”. Nie mogłem się powstrzymać i spytałem, czy pamięta Heroda w tym samym przedstawieniu, ale nie pamiętała.

333

Postanowiłem rzucić okiem na dawny dom Harringtonów, dużą, odsuniętą od ulicy willę z, jak sobie przypomiinałem, dość imponującą bramą — dwa słupki z kamiennymi kulami wielkości piłek futbolowych. Teraz należy do spółdzielni dentystycznej. Słupki zostały wyburzone, a ogród od frontu wyasfaltowany, żeby mógł powstać parking dla samochodów dentystów i ich pacjentów. Wszedłem do środka i spytałem rejestratorkę, czy wie coś o poprzednich właścicielach, ale nie umiała albo nie chciała mi pomóc. Byłem już zmęczony i głodny, i solidnie przygnębiony, więc wsiadłem w najbliższy pociąg do stacji Charing Cross.

Więc to Beda Harrington jest moim Schlegelem. No, no. Zawsze wiedziałem, że ma oko na Maureen, ale jestem trochę zaskoczony, że zdecydowała się za niego wyjść. Czy można kochać Będę Harringtona? (To znaczy, nie będąc Bedą Har-ringtonem.) Nie mogę sobie pochlebiać, że zrobiła to z rozpaczy po naszym rozstaniu. Sądząc z daty ślubu, minęło ładnych parę lat, zanim ją przekonał albo zanim zebrał odwagę, żeby się oświadczyć. Nie ukrywam, że czuję absurdalną, bezsensowną zazdrość. I jeszcze silniejsze pragnienie, aby ją odszukać. Ale jak się mam do tego zabrać?

7.06 wieczorem. Po paru godzinach układania różnych chytrych planów (na przykład, dowiedzieć się, który agent handlu nieruchomości pośredniczył w sprzedaży Hatchford Rise 103, i spróbować wydostać od niego adres starszej pani Harrington) wymyśliłem na początek coś prostszego: jeśli Beda i Maureen nadal mieszkają w Londynie, powinni być w książce telefonicznej, a Harrington nie jest takim popularnym nazwiskiem. I rzeczywiście, znalazłem tylko dwóch B. I. Harringtonów. Je-

334

den, z kodem pocztowym SW19, miał po nazwisku litery OBE*. Pomyślałem, że jest to dokładnie taka rzecz, jaką Beda by się popisywał, gdyby tylko mógł, i najpierw zadzwoniłem pod ten numer. Rozpoznałem jego głos natychmiast. Nasza rozmowa miała następujący przebieg:

Beda: Harrington.

Ja: Czy to Beda Harrington, który mieszkał kiedyś w Hatchford?

Beda: (ostroźnie) Owszem, mieszkałem tam. Ja: Ożeniłeś się z Maureen Kavanagh? Beda: Tak. Kto mówi?

Ja: Herod. Beda: Słucham? Ja: Laurence Passmore. Beda: Przykro mi, nie... Powiedział pan: Parsons? Ja: Passmore. Przypomnij sobie. Klub młodzieży. Szopka. Byłem Herodem.

(Pauza)

Beda: Mój Boże.

Ja: Jak się masz?

Beda: Dobrze.

Ja: A Maureen?

Beda: Też dobrze. Chyba.

Ja: Mógłbym z nią porozmawiać?

Beda: Nie ma jej.

Ja: Ach. Kiedy wróci?

Beda: Dokładnie nie wiem. Jest za granicą.

Ja: Tak? Gdzie?

Beda: Chyba już w Hiszpanii.

* Officer (of the Order of the) British Empire - oznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego.

335

Ja: Rozumiem... Czy mógłbym się z nią w jakiś sposób

skontaktować? Beda: Nie, nie sądzę. Ja: Jest na wakacjach? Beda: Niezupełnie. O co ci chodzi?

Ja: Po prostu chciałybym ją znów zobaczyć... (szukam w głowie pretekstu) ...Piszę coś o dawnych czasach.

Beda: Jesteś pisarzem? Ja: Tak. Beda: Co piszesz?

Ja: Głównie dla telewizji. Znasz serial Nasi sąsiedzi? Beda: Przykro mi, nigdy o nim nie słyszałem. Ja: Och.

Beda: Rzadko oglądam telewizję. Posłuchaj, gotuję właśnie

obiad i... Ja: Och, przepraszam. Może...

Beda: Zostaw mi swój numer, powiem Maureen, żeby zadzwoniła do ciebie, jak wróci.

Podałem mu numer telefonu i adres. Zanim odłożył słuchawkę, spytałem, za co dostał OBE.

„Przypuszczam, że za pracę nad programem szkolnym” — odrzekł. Wygląda na to, że jest dość wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Edukacji.

Bardzo mnie ta rozmowa poruszyła. Jestem podniecony, ale jednocześnie rozgoryczony. Udało mi się wytropić Maureen w ciągu jednego dnia, a mimo to pozostała dla mnie irytująco niedostępna. Żałuję teraz, że nie wydusiłem z Bedy, gdzie dokładnie jest i co tam robi. Nie bardzo mam ochotę czekać na jej telefon, nie wiedząc, kiedy może zadzwonić — za kilka dni? tygodni? miesięcy? — ani czy Beda w ogóle przekaże jej wiadomość ode mnie, gdy wróci z tej swojej tajemniczej

336

wyprawy. „Chyba już w Hiszpanii... Niezupełnie na wakacjach...” — co to, kurwa, znaczy? Jest na jakiejś edukacyjnej wycieczce autokarem? Popłynęła w rejs?

9.35 wieczorem. Zadzwoniłem do Bedy jeszcze raz, przeprosiłem, że zawracam mu głowę, i spytałem, czy moglibyśmy się spotkać. Kiedy mnie spytał po co, rozwinąłem moje alibi

0 pisaniu historii osadzonej w Hatchford we wczesnych latach pięćdziesiątych. Był mniej szorstki i podejrzliwy niż poprzednio — mówił nawet trochę niewyraźnie, jakby za dużo wypił do obiadu.

Powiedziałem, że mieszkam niedaleko Whitehall*,

1 spytałem, czy mógłbym zaprosić go na lunch któregoś dnia w tym tygodniu. Odparł, że z końcem roku odszedł na emeryturę, ale jeśli chcę, mogę odwiedzić go w domu. Okazało się, że SW19 to Wimbledon. Skwapliwie zaproponowałem jutro rano i, ku mojej ogromnej radości, wyraził zgodę. Zanim odłożył słuchawkę, udało mi się wtrącić pytanie o Maureen: „Jest na jakiejś wycieczce, tak?” „Nie —

odparł. — Na pielgrzymce".

Nadal pobożna katoliczka. No cóż.

Wtorek, 8 czerwca, 2.30 po południu. Znow jechałem dziś rano Network Southeast, ale tym razem z Waterloo i porządniejszym, ładniejszym pociągami niż wczoraj, stosownie do bardziej eleganckiego celu podróży. Beda i Maureen mieszkają przy cichej, zielonej uliczce niedaleko Ali England Club. To zupełnie typowe dla Bedy, że spędziwszy tyle lat w Wimbledonie, nie obejrzał ani jednego meczu tenisowego i traktuje Mistrzostwa

* Ulica w centrum Londynu, przy której mieszczą się różne ministerstwa.

wyłącznie jako doroczne zakłócenie ruchu drogowego. Ja bywałem tu regularnie jako gość Heartlandu (wynajmują jeden z namiotów na przyjęcia z szampanem, truskawkami i darmowymi biletami na główny kort) i poczułem się dziwnie, gdy zdałem sobie sprawę, że nie wiedząc o tym, musiałem wtedy przejeżdżać w odległości stu jardów od Maureen. Mogłem ją nawet minąć kiedyś na ulicy.

Ich dom to dość zwyczajny, duży, międzywojenny bliźniak z długim ogrodem na tyłach. Jak powiedział mi Beda, zamieszkali w nim niedługo po ślubie, a gdy rodzina się powiększyła, woleli dobudować piętro nad garażem i zaadaptować strych, niż się przeprowadzić. Mają czworo dzieci, wszystkie najwyraźniej już dorosły i wyfrunęły z gniazda. Beda był sam w domu, który wyglądał nienaturalnie czysto i schludnie, jakby od ostatniej wizyty sprzątaczkę do większości pokoi nikt nie wchodził. Zajrzałem do par, gdy poszedłem na górę do toalety, i na widok dwóch łóżek w głównej sypialni poczułem złośliwą satysfakcję. Aha, koniec z seksem, mruknąłem do siebie. Co, oczywiście, wcale nie musi być prawdą.

Beda prawie się nie zmienił, tylko jego szczeciniaste, nieposłuszne włosy solidnie posiwiały, a policzki schudły. Nadal nosi okulary w rogowej oprawie, ze szklami jak dna butelek. Ale widać ja zmieniłem się bardzo. Chociaż przyszedłem o umówionej godzinie, popatrzył na mnie niepewnie, gdy otworzył drzwi. „Przytyłeś” — stwierdził, kiedy się przedstawiłem. „I straciłem większość włosów” — dodałem. „Tak, miałeś ich sporo, to prawda” — powiedział. Wprowadził mnie do living roomu (gdzie, co odnotowałem z rozbawieniem, zasłony pasowały do pokrowców na meble) i poprosił, dość sztywno, żebym usiadł. Był ubrany jak człowiek, który większość życia przechodził w garniturze i nie bardzo wie, co powinien nosić jako emeryt. Miał na sobie tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami, kraciastą koszulę i dziergany krawat, szare wełniane spodnie

338

i ciemnobrązowe skórzane pantofle — trochę ciężki strój jak na tę porę roku, chociaż dzień był chłodny i wietrzny.

— Jestem ci winien przeprosiny — powiedział w swym dawnym, pompatycznym stylu. — Rozmawiałem dziś rano przez telefon z moją córką, która mnie poinformowała, że twój serial — jaki ma

tytuł? — należy do najpopularniejszych w telewizji.

— Nasi sąsiedzi. Twoja córka go ogląda? — zapytałem.

— Ona ogląda wszystko, bez wyboru — odparł. — Kiedy dzieci dorastały, nie mieliśmy telewizora; uważałem, że odciągałyby je od nauki. Skutek w przypadku Teresy był taki, że jak tylko wyprowadziła się z domu i mogła sama kupić sobie odbiornik, kompletnie się uzależniła. Doszedłem do wniosku — ciągnął — że wszelkie próby kierowania życiem innych ludzi są całkowicie daremne.

— Próby rządu także? — spytałem złośliwie.

— Zwłaszcza próby rządu — odrzekł. Najwyraźniej uważał swoją karierę w administracji państwowej za porażkę, mimo OBE. — Sytuacja szkolnictwa w tym kraju jest teraz o wiele gorsza, niż kiedy zacząłem pracować w Ministerstwie — powiedział. — Nie ponoszę za to winy, ale też nie byłem w stanie niczemu zapobiec. Kiedy pomyślę, ile godzin spędziłem na naradach komisji i grup roboczych, sporządzaniu raportów i memorandumów... wszystko na darmo. Zazdroszczę ci, Passmore. Żałuję, że nie zostałem pisarzem. Albo chociaż wykładowcą uniwersyteckim. Mogłem pójść po dyplomie na studia doktoranckie, ale wybrałem służbę państwową. Stwarzała lepsze perspektywy, a, no wiesz, chciałem się ożenić.

Zasugerowałem, że teraz, kiedy już odszedł na emeryturę, będzie miał mnóstwo czasu na pisanie.

— Tak, zawsze myślałem, że tym się zajmę na emeryturze. W młodości pisałem bardzo dużo; wiersze, eseje...

— Sztuki — wtrąciłem.

— Właśnie. — Pozwolił sobie na chłodny uśmiech nostalgii. — Ale soki twórcze wysychają, jeśli przestaną krążyć. Niedawno próbowałem coś napisać, coś bardziej osobistego, o... bolesnej stracie. Wyszło mi jak raport rządowy.

Zostawił mnie na kilka minut samego, żeby zaparzyć kawę, i zacząłem się rozglądać po pokoju w poszukiwaniu wskazówek co do egzystencji Maureen. Na widoku było sporo dość świeżych rodzinnych fotografii — promocje, śluby, Beda (w jasnym garniturze i cylindrze) z Maureen pod Pałacem Buckingham — na których prezentowała się jako dumna, uśmiechnięta, stateczna kobieta z siwymi, krótkimi włosami, lecz z tą samą, zapamiętaną przeze mnie słodką twarzą w kształcie serca. Wpatrywałem się chciwie w te wizerunki, próbując odtworzyć na ich podstawie brakujące lata jej życia (to znaczy, brakujące z mojego punktu widzenia). Na kominku stała jaskrawa pocztówka z St Jean Pied-de-Port we francuskich Pirenejach. Na odwrocie przeczytałem zwięzłą wiadomość od Maureen: Drogi Bedol Odpoczywam tu parę dni przed górskim etapem trasy. Wszystko dobrze, nie licząc pęcherzy. Całuję, Maureen. Rozpoznałbym ten okrągły, dziewczęcy charakter pisma wszędzie, mimo że nad „i” były kropki, nie kółeczka. Stempel pocztowy nosił datę sprzed około trzech tygodni. Słyszac w korytarzu kroki Bedy, pospiesznie odstawiłem pocztówkę i smykną-łem z powrotem na fotel.

— No a jak tam Maureen? — zapytałem, gdy wszedł do pokoju z tacą. — Co porabiała, kiedy ty wspinałeś się po szczeblach ministerialnej drabiny?

— Kiedy się z nią ożeniłem, była wykwalifikowaną pielęgniarką — powiedział, naciskając tłok kawiarki obydwoma rękami, jakby detonował ładunek wybuchowy. — Bardzo szybko przyszedł na świat dzieci i przestała pracować, żeby się nimi zająć. Wróciła do zawodu, kiedy najmłodsze poszło do szkoły, i została siostrą oddziałową, ale wiesz, to okropnie ciężka

340

— Właśnie. — Pozwolił sobie na chłodny uśmiech nostalgii. — Ale soki twórcze wysychają, jeśli przestaną krążyć. Niedawno próbowałem coś napisać, coś bardziej osobistego, o... bolesnej stracie. Wyszło mi jak raport rządowy.

Zostawił mnie na kilka minut samego, żeby zaparzyć kawę, i zacząłem się rozglądać po pokoju w poszukiwaniu wskazówek co do egzystencji Maureen. Na widoku było sporo dość świeżych rodzinnych fotografii — promocje, śluby, Beda (w jasnym garniturze i cylindrze) z Maureen pod Pałacem Buckingham — na których prezentowała się jako dumna, uśmiechnięta, stateczna kobieta z siwymi, krótkimi włosami, lecz z tą samą, zapamiętaną przeze mnie słodką twarzą w kształcie serca. Wpatrywałem się chciwie w te wizerunki, próbując odtworzyć na ich podstawie brakujące lata jej życia (to znaczy, brakujące z mojego punktu widzenia). Na kominku stała jaskrawa pocztówka z St Jean Pied-de-Port we francuskich Pirenejach. Na odwrocie przeczytałem zwięzłą wiadomość od Maureen: Drogi Bedo! Odpoczywam tu parę dni przed górskim etapem trasy. Wszystko dobrze, nie licząc pęcherzy. Całuję, Maureen. Rozpoznałbym ten okrągły, dziewczęcy charakter pisma wszędzie, mimo że nad „i” były kropki, nie kółeczka. Stempel pocztowy nosił datę sprzed około trzech tygodni. Słyszając w korytarzu kroki Bedy, pospiesznie odstawiłem pocztówkę i smyknąłem z powrotem na fotel.

— No a jak tam Maureen? — zapytałem, gdy wszedł do pokoju z tacą. — Co porabiała, kiedy ty wspinałeś się po szczeblach ministerialnej drabiny?

— Kiedy się z nią ożeniłem, była wykwalifikowaną pielęgniarką — powiedział, naciskając tłok kawiarki obydwoma rękami, jakby detonował ładunek wybuchowy. — Bardzo szybko przyszedł na świat dzieci i przestała pracować, żeby się nimi zająć. Wróciła do zawodu, kiedy najmłodsze poszło do szkoły, i została siostrą oddziałową, ale wiesz, to okropnie ciężka

340

praca. Jak tylko mogliśmy sobie na to pozwolić, zrezygnowała z niej na dobre. Bardzo udziela się społecznie, w Kościele i tak dalej.

— Więc nadal chodzicie oboje do kościoła? — spytałem.

— Tak — odparł sucho. — Mleko? Cukier?

Kawa była szara i słaba, a biszkopty wilgotne. Beda zadał mi kilka technicznych pytań o pisanie dla telewizji. Po jakimś czasie znów skierowałem rozmowę na Maureen.

— To co to jest za pielgrzymka?

Beda poruszył się niespokojnie w fotelu i wyjrzał za okno, gdzie porywisty wiatr targał drzewami i strząśnięte płatki kwiatów wirowały w powietrzu jak śnieg.

— Do Santiago de Compostela — powiedział. — W pół-nocno-zachodniej Hiszpanii. Podobno został tam pochowany święty Jakub Apostoł. „Santiago” znaczy po hiszpańsku święty Jakub, „St Jacques” po francusku. To bardzo stara pielgrzymka, o tradycjach sięgających Średniowiecza. Maureen znalazła jej trasę, chyba w jakiejś książce z biblioteki, i stwierdziła, że chce pójść.

— Pieszko — dodałem.

— Tak, pieszo. — Beda spojrział na mnie. — Skąd wiesz? Przyznałem się, że zerknąłem na pocztówkę.

— To oczywiście absurd — ciągnął. — Kobieta w jej wieku. Zupełny absurd.

Zdjął okulary i potarł czoło, jakby bolała go głowa. Bez szkielec jego oczy robiły wrażenie nagich i bezbronnych.

— Jak to daleko? — spytałem.

— Zależy, gdzie zaczniesz. — Na powrót włożył okulary. — Jest wiele punktów startowych, wszystkie we Francji. Maureen wyruszyła z Le Puy w Owernii. Stamtąd jest do Composteli jakieś tysiąc mil.

Cicho gwizdnałem.

— Jest doświadczonym piechurem?

— Gdzie tam — prychnął Beda. — Przechadzkę po wim-bledońskim parku uważała za długi spacer. Cały ten pomysł to kompletne szaleństwo. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że dotarła aż do Pirenejów, nie robiąc sobie krzywdy, i że nikt jej po drodze nie zgwałcił ani nie zamordował.

Powiedział mi, że kiedy Maureen wyraziła chęć odbycia pielgrzymki, zaofiarował się jej towarzyszyć, jeśli pojedą samochodem, ale obstawała przy wyprawie pieszej, wzorem średniowiecznych pątników. Wyczułem, że poważnie się o to pokłócili. W końcu wyruszyła buntowniczo sama, przed jakimiś dwoma miesiącami, z plecakiem i śpiworem, i jak dotąd przysły od niej tylko dwie pocztówki; ja widziałem tę nowszą. Beda jest oczywiście bardzo niespokojny, jak również wściekły i czuje się cholernie głupio, ale może jedynie siedzieć i czekać, z nadzieją że Maureen dotrze do Composteli bezpiecznie. Słuchałem go zafascynowany i, przyznaję, czerpiąc pewną Schadenfreude z jego położenia. Niemniej eskapada Maureen wydała mi się zdumiewająco donkichotowska i powiedziałem coś w tym sensie.

— Tak, no cóż, Maureen dużo ostatnio przeszła. Ja zresztą też — odrzekł Beda. — Widzisz, w listopadzie ubiegłego roku straciliśmy naszego syna Damiana.

Wybąkałem parę słów współczucia i spytałem o okoliczności. Beda podszedł do biurka i wyjął z szuflady oprawioną w ramki fotografię. Było to kolorowe zdjęcie młodego, przystojnego mężczyzny w podkoszulku i szortach. Stał oparty o błotnik land rovera, uśmiechając się do obiektywu, a w tle widać było błękitne niebo i brunatne zarośla.

— Zginął w Angoli — powiedział Beda. — Mogłeś czytać o tym w prasie. Pracował tam dla katolickiej organizacji pomocy, rozprawdzał żywność i lekarstwa wśród uchodźców. Nikt nie wie, co się dokładnie stało, ale wygląda na to, że jacyś rebelianci zatrzymali jego ciężarówkę i chcieli zarekwirować

342

dary. Damien się sprzeciwił, więc wywlekli go razem z murzyńskim kierowcą z szoferki i obu zastrzelili. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat.

— Okropne — powiedziałem, świadom nieadekwatności tego słowa.

— Trudno się w tym dopatrzeć sensu, prawda? — mruknął Beda, znów odwracając głowę do okna. — Kochał Afrykę, kochał swoją pracę, był jej całkowicie oddany... Przystano nam ciało. Odbyla się msza żałobna. Przyszło mnóstwo osób, ludzi, których w ogóle nie znaleźliśmy. Jego współpracownicy. Przyjaciele z uniwersytetu. Był bardzo lubiany. Kapelan organizacji dobroczynnej powiedział w homilii, że Damien był współczesnym męczennikiem.

Beda urwał i zamyślił się, a mnie nic nie przychodziło do głowy, więc przez jakiś czas milczeliśmy.

— Sądzisz, że w takich chwilach wiara będzie dla ciebie pociechą — podjął Beda. — Ale jak przyjdzie co do czego, przekonujesz się, że nie jest. Nic nie jest. Lekarz domowy namówił nas na wizytę u jakiejś wścibskiej psycholożki. Powiedziała, idiotka, że nie powinniśmy czuć się winni. Dlaczego miałbym czuć się winny? — spytałem. Odparła: „Bo pan żyje, a on nie”. Nigdy nie słyszałem większej bzdury. Według mnie Damien był głupcem. Powinien był dać draniom tę cholerną żywność, odjechać i nie zatrzymywać się, póki nie opuści tego pieprzonego kontynentu.

Poblądł z wściekłości na to wspomnienie. Zapytałem, jak Maureen zniosła tragedię.

— Ciężko. Damien był jej ulubieńcem. Nie mogła się pozbierać. To dlatego poszła na tę absurdalną pielgrzymkę.

— Chcesz powiedzieć, w ramach terapii? — spytałem.

— Słowo dobre jak każde inne — odparł Beda.

Stwierdziłem, że powinienem już iść.

— Nie pogadaliśmy jeszcze o dawnych czasach w Hatchford — zaproponował.

343

Powiedziałem, że może innym razem. Skinął głową.

— Dobrze, zadzwoń do mnie. Wiesz, Passmore — ciągnął — nigdy cię zbyt nie lubiłem. Uważałem wtedy, w klubie młodzieży, że sprowadzasz Maureen na złą drogę.

— Miałaś całkowitą rację — odrzekłem, posyłając mu blady uśmiech.

— Ale cieszę się, że wpadłeś — dodał. — Prawdę mówiąc, czuję się trochę samotny.

— Czy Maureen czasem o mnie wspomina? — zapytałem.

— Nie — odparł. — Nigdy.

W jego tonie nie było złości ani satysfakcji, po prostu stwierdził fakt. Kiedy czekaliśmy na przyjazd mojej taksówki, zapytał, czy mam dzieci. Odparłem, że dwoje, żonatego syna i córkę, która mieszka ze swoim chłopakiem.

— Tak, młodzi to dzisiaj robią — powiedział. — Nasze dzieci też. To dla nich normalne. Inaczej niż kiedyś dla nas, co?

— Święta racja — przyznałem.

— A twoja żona, czym się zajmuje?

— Jest wykładowcą na jednym z nowych uniwersytetów — odrzekłem. — Na pedagogice. Jeśli chcesz wiedzieć, mnóstwo czasu zajmuje jej podtrzymywanie na duchu przyszłych nauczycieli, którzy się załamują z powodu programu szkolnego.

— Wcale się nie dziwię — westchnął Beda. — Jest kompletnie poroniony. Chciałbym poznać twoją żonę.

— Niestety właśnie mnie opuściła — powiedziałem.

— Naprawdę? To jest nas dwóch — zauważył Beda, po swojemu niezdarnie siląc się na dowcip.

W tym momencie zadzwonił dzwonek i zostałem odwieziony na stację Wimbledon przez irytująco rozmownego taksówkarza. Nie miałem ochoty na gadkę-szmatkę o pogodzie czy tenisie. Chciałem przemyśleć niesamowite odkrycia poranka.

Kiełkuje mi w głowie pewien plan, tak szalony i ekscytujący, że nie śmiem jeszcze o nim napisać.

344

Piątek, 11 czerwca. No więc, zdecydowałem się. Jadę za Maureen. Spróbuję ją wytropić na drodze do Composteli. Przez ostatnie dwa dni poczyniłem niezbędne przygotowania — zarezerwowałem miejsce na promie, ubezpieczyłem samochód, kupiłem przewodniki, mapy, czeki podrózne i tak dalej. Przekopałem

się też przez zaległą pocztę oraz wiadomości na sekretarce i załatwiłem najpilniejsze sprawy. Dennis Shorthouse informował mnie w serii telefonów, że Sally wystąpiła do sądu

0 alimenty na utrzymanie domu, i z rosnącym zniecierpliwieniem prosił o instrukcje. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że nie będę już dłużej utrudniał postępowania rozwodowego

1 zgodzę się na odpowiednie alimenty oraz rozsądny układ finansowy. Zapytał, co rozumiem przez słowo „rozsądny”. Odparłem, że Sally może zatrzymać dom, a ja wezmę londyńskie mieszkanie i podzielimy resztę majątku na połowę. „To nie rozsądek, to hojność — stwierdził. — Dom jest wart znacznie więcej niż mieszkanie”. Wyjaśniłem, że chcę mieć już to wszystko z głowy i dodałem, że na kilka tygodni wyjeżdżam za granicę. Nie wiem, ile czasu zajmie mi wytropienie Maureen ani co zrobię, jeśli ją odnajdę. Wiem tylko tyle, że muszę jej poszukać. Nie zniósłbym gnicia całe lato w mieszkaniu i odbierania telefonów ludzi, których staram się unikać, na wypadek gdyby to była ona.

Nie wtajemniczyłem Bedy w mój plan, bo mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski, aczkolwiek nie mam zielonego pojęcia, jakie wnioski byłyby właściwe. Chcę przez to powiedzieć, że naprawdę nie wiem, czego oczekuję od Maureen. Na pewno nie ponownego daru jej miłości — za późno już na Powtórzenie. (Chociaż nie mogę się powstrzymać od kontemplowania dowodów, że jej małżeństwo z Bedą się wypaliło — jeśli kiedykolwiek płonęło — jak osobne łóżka, kłótnia o pielgrzymkę, dość chłodne „drogi Bedo” na pocztówce

etc., etc.) Lecz jeśli nie miłości, to czego? Może przebaczenia. Rozgrzeszenia. Chcę wiedzieć, czy mi przebacza, że zdradziłem ją przed tylu laty w obecności całej obsady szopki. Sam w sobie akt ten był bagatelny, ale miał niebagatelne konsekwencje. Można powiedzieć, że zdecydował o kształcie mojego życia. Można powiedzieć, że był źródłem mojego Angst w wieku średnim. Dokonałem wyboru, nie wiedząc, że go dokonuję. A raczej, co jest jeszcze gorsze, udawałem, iż był to wybór Maureen, nie mój, że się rozstaliśmy. Wydaje mi się teraz, że nigdy nie doszedłem do siebie po tamtej nieuczciwości. Co zapewne tłumaczy, dlaczego nie umiem podjąć żadnej decyzji tak, by jej natychmiast nie żałować.

Muszę to wypróbować na Alexandrze podczas następnej wizyty, chociaż nie jestem pewien, czy będzie ze mnie zadowolona. Zdaje się, że porzuciłem terapię behawioralną dla staroświeckiej analizy i znalazłem przyczynę moich kłopotów w długo tłumionych wspomnieniach. Tak czy inaczej, poczułbym się lepiej, gdybym mógł odnowić te wspomnienia z Maureen, dowiedzieć się, jaki ma do nich stosunek teraz. To, że nosi w sercu świeży osobisty ból, jeszcze wzmacnia moje pragnienie, aby ją odszukać i pojednać się z nią.

W pocztowym zatorze odkryłem również szkic scenariusza przysłany przez Samanthę, która zrealizowała swój pomysł na zakończenie bieżącej serii skrzyżowaniem Sąsiadów z Uwierz w ducha. Nie był wcale taki zły, ale wymagał pewnych zmian. Samantha chciała, żeby duch Priscilli ukazał się Edwardowi po pogrzebie, a powinno to nastąpić tuż po wypadku, zanim ktokolwiek się dowie o jej śmierci. Edward z początku nie wierzy, że ma do czynienia duchem, bo Priscilla próbuje mu to zakomunikować oględnie. W końcu przechodzi przez ścianę — wspólną ścianę — do domu Davisów i z powrotem i do-

piero w ten sposób go przekonuje. Jest to smutne, ale nie tragiczne, bo w pewnym sensie Priscilla nadal

żyje, a cała ta scena zawiera nawet element komediowy. Wiem, że to stąpanie po bardzo cienkim lodzie, ale sądzę, że zadziała. W każdym razie szybko poprawiłem scenariusz i odesłałem go Samancie z poleceniem zaatakowania Olliego.

Potem zadzwoniłem do Jakea i przez dziesięć minut pokornie słuchałem gorzkich wymówek, że nie reagowałem na jego telefony, zanim udało mi się wtrącić słówko o szkicu Samantha. „Za późno, Tubby — powiedział. — Paragraf cztertnasty wszedł w życie ładnych parę tygodni temu”. „Więc zatrudnili innego scenarzystę?” — spytałem, przygotowując się na cios. „Pewnie tak — odparł Jake. — Muszą mieć zatwierdzony scenariusz ostatniego odcinka do końca miesiąca”. Usłyszałem skrzypienie jego obrotowego krzesła, gdy kołysał się na nim, myśląc. „Jeśli pomysł z duchem naprawdę im się spodoba, możemy jeszcze zdążyć — stwierdził po chwili. — Gdzie będziesz przez najbliższe dwa tygodnie?”

Musiałem go zmartwić, że wyjeżdżam jutro za granicę na czas nieokreślony i nie mogę podać żadnego kontaktowego numeru telefonu ani faksu. Odsunąłem słuchawkę od ucha, jak to robią w starych komediach, by nie słyszeć jego przekleństw. „Co ci, kurwa, strzeliło do głowy, żeby jechać teraz na wakacje?!” — wykrzyknął na koniec. „To nie wakacje, to pielgrzymka” — odparłem i rozłączyłem się, zanim odzyskał mowę.

To niesamowite, jak poszukiwania Maureen wpłynęły na mój stan ducha. Nie mam już żadnych trudności z podejmowaniem decyzji. Nie czuję się jak „najnieszczęśliwszy”. Może w ogóle nigdy nim nie byłem — kilka dni temu ponownie przeczytałem ten esej i wydaje mi się, że przedtem niezupełnie go zrozumiałem. W każdym razie na pewno przebywam w swoim wnętrzu, gdy wspominam Maureen albo żywię nadzieję, że ją odnajdę.

Kiedy wystukałem powyższe zdanie, zauważyłem, że odbija mi się w szybach jakieś regularnie migające światło — było ciemno, prawie dziesiąta, ale nie zasłoniłem okien. Wyrzawszy na ulicę, zobaczyłem tuż pod domem dach wozu policyjnego z włączonym niebieskim kogutem. Pstryknąłem monitor w przedpokoju i na ekranie ukazał się Grahame, zwijający śpiwór pod baczynym okiem dwóch policjantów. Zszedłem na dół. Starszy z gliniarzy wyjaśnił, że usuwają Grahamea. „Czy to pan złożył skargę?” — spytał. Zaprzeczyłem. Grahame spojrzał na mnie. „Mogę wejść?” — poprosił. „Na parę minut” — odparłem. Na twarzach policjantów odmalowało się zdumienie. „Mam nadzieję, że pan wie, co robi — powiedział starszy z dezaprobatą w głosie. — Ja bym nie wpuścił tego śmiecia do domu”. „Nie jeżdżem żadnym śmieciem” — zaprotestował Grahame. Policjant posłał mu wściekłe spojrzenie. „Nie pyskuj, śmieciu — syknął. — I żebym cię więcej nie widział, jak kimasz w tej bramie, jasne? — Popatrzył zimno na mnie. — Mógłbym pana spisać za utrudnianie pracy policji — powiedział — ale tym razem panu daruję”. Zabrałem Grahamea na górę i zrobiłem mu herbaty.

— Będziesz musiał sobie znaleźć inne miejsce, Grahame — oświadczyłem. — Nie mogę cię dłużej ochraniać. Wyjeżdżam za granicę, prawdopodobnie na kilka tygodni.

Popatrzył na mnie chytrze spod grzywki.

— Niech mi pan pozwoli się wprowadzić — powiedział. — Zaopiekuje się mieszkaniem, kiedy pana

nie będzie. Jak dozorca.

Roześmiałem się na jego tupet.

— Nie potrzebuję dozorczy.

— Nie ma pan racji — zaproponował. — Kręci się tu cała masa różnych bandytów. Ktoś może się panu włamać.

— Nikt się nie włamał wcześniej, kiedy mieszkanie stało puste przez większość czasu.

348

k

— Nie mieszkałbym tu — ciągnął Grahame. — Tylko bym spał. Na podłodze, nie w pana łóżku. Trzymałbym tu porządek. — Rozejrzał się po pokoju. — Większy niż ma pan teraz.

— Nie wątpię, Grahame — odparłem. — Ale nie, dziękuję.

Westchnął i pokręcił głową.

— Oby pan tego nie żałował.

— Cóż — powiedziałem — gdyby doszło do najgorszego, jestem ubezpieczony.

Wyprowadziłem go z budynku. Siąpiła lekka mżawka. Trochę mną wstrząsnęło, kiedy postawił kołnierz i zarzucił śpiwór na ramię — ale co miałem zrobić? Musiałbym oszaleć, żeby dać mu klucze do mieszkania. Mógłbym stwierdzić po powrocie, że urządził w nim noclegownię dla sobie podobnych filozofujących wólczegów. Wcisnąłem mu do ręki parę banknotów i kazałem poszukać jakiegoś hotelu. „Dzięki” — mruknął i odczłapał w ciepłą, wilgotną noc. Nigdy nie spotkałem człowieka, który przyjmowałby pomoc z taką nonszalancją. Coś mi się zdaje, że już go więcej nie zobaczę.

Czwartek, 17 czerwca. Nie wyjechałem tak szybko, jak zamierzałem. Shorthouse zadzwonił i powiedział, że wolałby, abym zaczekał, aż sfinalizuje porozumienie z drugą stroną. Tak więc spędziłem ten tydzień w Londynie, zabijając czas czytaniem wszystkiego, co udało mi się znaleźć w księgarniach przy Charing Cross Road na temat pielgrzymki do Composteli. Dziś rano pojechałem do Rummidge, żeby podpisać dokumenty, i wróciłem najbliższym pociągiem. Wieczorem, kiedy się pakowałem, niespodziewanie zadzwoniła Sally. Była to nasza pierwsza rozmowa od wielu tygodni. „Chciałam ci tylko powiedzieć — odezwała się pedantycznie neutralnym tonem —

że byłeś bardzo hojny”. „Nie ma o czym mówić” — odparłem. „Przykro mi z powodu tych wszystkich nieprzyjemności — ciągnęła. — Obawiam się, że była to po części moja wina”. „No cóż, te sprawy zawsze są bolesne — stwierdziłem. — Rozwód nie wyzwala w ludziach najlepszych instynktów”. „No więc, chciałam ci tylko podziękować” — powiedziała Sally i odłożyła słuchawkę. Rozmawiając z nią, czułem się

trochę nieswojo. Znam siebie i wiem, że nie potrzeba wiele, abym zaczął żałować podjętej decyzji. Chcę się znaleźć daleko stąd, daleko od tego wszystkiego, w drodze. Wyruszam jutro z samego rana. Compostelo, oto nadchodzę.

CZĘŚĆ CZWARTA

21 września. Doszedłem do wniosku, że najistotniejsza różnica między pisaniem książek i pisaniem scenariuszy nie polega na tym, iż scenariusze składają się z dialogów, lecz na sprawie czasu. Scenariusz jest cały w czasie teraźniejszym. Nie dosłownie, ale ontologicznie. (I co powiecie? Warto było czytać Kierkegaarda.) Chodzi mi o to, że w teatrze czy w filmie wszystko dzieje się teraz. Dlatego didaskalia są zawsze w czasie teraźniejszym. Nawet kiedy jedna postać opowiada drugiej o czymś, co zdarzyło się w przeszłości, dla widzów to opowiadanie jest czynnością teraźniejszą. Natomiast kiedy piszesz książkę, wszystko należy do przeszłości; nawet jeśli wystukujesz na maszynie: „Piszę, piszę, piszę”, czynność pisania będzie zakończona, niewidoczna, zanim ktoś przeczyta jej efekt.

Dziennik znajduje się w połowie drogi między tymi dwiema formami. Przypomina mówienie do siebie. Jest mieszanką monologu i autobiografii. Możesz napisać dużo rzeczy w czasie teraźniejszym, na przykład: „Dzień jest ciepły...” Ale jest to tylko bardziej wymyślny sposób powiedzenia: „Piszę, piszę, piszę...” Donikąd cię nie prowadzi, nie opowiada historii. Jak tylko zaczniesz opowiadać na piśmie historię, czy będzie to historia fikcyjna, czy historia twojego życia, naturalniej jest użyć czasu przeszłego, bo opisujesz rzeczy, które już się zdarzyły. Dziennik jest formą wyjątkową o tyle, że autor nie wie, jak jego historia się potoczy, nie wie, jak się skończy; funkcjonuje więc jakby w wiecznym teraz, chociaż poszczególne wydarze-

353

nia mogą być przedstawione w czasie przeszłym. Natomiast powieści są pisane po fakcie albo to udają. Zaczynając swoją historię, pisarz mógł nie wiedzieć, jak ją zakończy, ale dla czytelnika wygląda to tak, jakby wiedział. Czas przeszły pierwszych zdań sugeruje, że historia, która zostanie opowiedziana, już się wydarzyła. Wiem, że istnieją powieści napisane w całości w czasie teraźniejszym, ale jest w nich coś dziwnego, są eksperymentami, bo czas teraźniejszy nie jest naturalny dla powieściowej formy. Czyta się je jak scenariusze. Autobiografia w czasie teraźniejszym byłaby jeszcze bardziej dziwna. Autobiografia jest zawsze pisana po fakcie. Jak moje wspomnienie o Maureen. Jak ten kawałek, który właśnie skończyłem.

Podczas mojej wyprawy prowadziłem coś w rodzaju dziennika, ale w górach Leónu wysiadł mi laptop i nie miałem czasu ani sposobności, żeby oddać go do naprawy, więc zacząłem robić notatki odręcznie. Po powrocie do Anglii pracowicie wstukałem je w komputer, ale relacja, która w ten sposób powstała, była bardzo szkicowa i niezborna. Warunki na ogół nie sprzyjały pisaniu i czasem pod koniec dnia byłem zbyt zmęczony albo zbyt odurzony winem, aby spłodzić coś ponad kilka aluzyjnych zdań. Tak więc przerobiłem tekst na bardziej spójną, logiczną narrację, wiedząc, że tak powiem, jak historia się skończyła. Bo naprawdę czuję, że dotarłem do jakiegoś końca. I, mam nadzieję, nowego początku.

Dojechałem z Londynu do St Jean Pied-de-Port w dwa dni. Chleb z masłem. Jedynym problemem było

utrzymanie burżu-jochodu na autostradzie poniżej dozwolonej prędkości. Przydał się służący do tego bajer. Klimatyzacja również — na płaskich bagnach za Bordeaux powietrze falowało od upału. Do-

354

piero u podnóża Pirenejów zrobiło się chłodniej, a do St Jean Pied-de-Port (Św. Jan u Stóp Przełęczy) wjechałem w deszczu. Jest to przyjemne, małe, targowo-turystyczne miasteczko z czerwonymi, mansardowymi dachami i bystrymi potokami, usadowione na falistym patchworku pól w rozmaitych odcieniach zieleni. Udało mi się dostać pokój w hotelu z restauracją, którą Michelin wyróżnił dwiema gwiazdkami. Powiedziano mi, że w szczycie sezonu bez rezerwacji nie miałbym szans. Miasteczko już było pełne ogorzałych piechurów, snujących się z ponurymi minami w mokrych kurtkach albo poprawiających sobie humor po kawiarniach w oczekiwaniu na poprawę pogody. Można było poznać, którzy pielgrzymują do Composteli, po przyczepionych do plecaków muszlach małżów.

Muszla małża, czyli coquille (stąd coquilles St Jacques, w moim hotelu przyrządzane wyjątkowo pysznie), jest tradycyjnym symbolem pielgrzymki do Composteli, z powodów, które — jak większość rzeczy związanych ze św. Jakubem — pozostają niejasne. Legenda głosi, że pewien topielec uratowany dzięki interwencji świętego został wyciągnięty z morza cały w muszlach małżów. Ale najprawdopodobniej było to genialne zagranie średniowiecznego marketingu: pielgrzymi wracający z Composteli chcieli mieć pamiątki, a muszle małżów występowały na galisyjskim wybrzeżu w obfitości. Przynosiły miastu niezły dochód, zwłaszcza że arcybiskup Composteli miał prawo ekskomunikować każdego, kto sprzedawał je poza murami. Dziś jednak pielgrzymi noszą coquille, już wyruszając w drogę.

Zdumiałem się, ilu ich jest, nawet w St Jean Pied-de-Port. Wyobrażałem sobie Maureen jako samotną ekscentryczkę, przecierającą stary, zapomniany szlak. Nic z tych rzeczy. Pielgrzymka przeżywa ostatnio wielki renesans, wspierany przez potężne konsorcjum interesów: Kościół katolicki, hiszpańskie Ministerstwo Turystyki i Radę Europy, która parę lat temu uznała

355

r

Camino de Santiago (Drogę Św. Jakuba) za Szlak Dziedzictwa Europejskiego. Każdego lata wędrują nim dziesiątki tysięcy ludzi, podążających za niebiesko-żółtymi znakami z muszlą. Pewnego wieczoru poznałem w barze parę Niemców, którzy przemaszerowali aż z Arles, najbardziej południową spośród czterech tradycyjnych tras. Mieli książeczki, jakby paszporty, wydane przez Towarzystwo Św. Jakuba, które stemplowali w różnych punktach postojowych na szlaku. Powiedzieli mi, że gdy dotrą do Santiago i przedstawią je w katedrze, otrzymają compostelas — zaświadczenia o odbyciu pielgrzymki, jakie zwykli dostawać średniowieczni pątnicy. Byłem ciekaw, czy Maureen ma taki paszport. Mogłoby mi to pomóc ją wytropić. Niemcy skierowali mnie do miejscowej stemplarki, radząc, bym nie zajeżdżał pod jej dom samochodem. Prawdziwy pielgrzym musi wędrować pieszo, na rowerze lub konno.

Posłusznie wdrapałem się do domu stemplarki wąską, brukowaną uliczką, ale nie odegrałem pielgrzyma. Podszycłem się (w mieszance angielskiego, łamanej francuszczyzny i języka gestów) pod Bedę Harringtona, próbującego odszukać żonę, która jest pilnie potrzebna w Anglii. Kobieta otworzyła mi drzwi

z taką miną, jakby była gotowa zabić następnego pielgrzyma, który przychodzi o tak późnej porze, ale kiedy opowiedziałem moją bajeczkę, wykazała zainteresowanie i chęć współpracy. Ku mojej ogromnej radości okazało się, że podstemplowała paszport Maureen i dobrze ją pamięta: une femme tres gentille, ale ze stopami w okropnych pęcherzach. Zapytałem, dokąd, według niej, Maureen mogła już dotrzeć. Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami: Qa depend... Zależało to oczywiście od tego, jak szybko Maureen się posuwa. Z St Jean Pied-de-Port jest do Composteli osiemset kilometrów. Młody i silny piechur da radę przejść dziennie trzydzieści, ale Maureen w najlepszym wypadku mogła robić piętnaście. Po powrocie do hotelu wyjąłem mapę i obliczyłem, że może się znajdować gdzie-

356

kolwiek między Logroño i Villafranca, czyli na odcinku trzystu kilometrów, i to też był strzał w ciemno. Mogła zatrzymać się gdzieś na tydzień, żeby podleczyć pęcherze, i mieć teraz solidne opóźnienie. Mogła przejechać część trasy autobusem i dotrzeć już do Composteli — chociaż znając Maureen, wątpiłem, aby złamała zasady. Wyobrażałem sobie, jak zaciska zęby i pokonuje barierę bólu.

Następnego dnia przekroczyłem Pireneje. Ustawiłem dzwignię automatu na „powoli”, aby uniknąć częstych zmian biegów, i bez wysiłku wjechałem krętą szosą na szczyt przełęczy Val Carlos, wyprzedzając licznych pielgrzymów, którzy mozolnie pięli się pod górę przygięci ciężarem plecaków. Pogoda się poprawiła i miałem wspaniałe widoki: zielone po wierzchołki góry, uśmiechnięte w słońcu doliny, karmelowe krowy z brzęczącymi dzwoneczkami, stada górskich owiec, sępy szybujące na poziomie moich oczu. Val Carlos, jak wyczytałem w przewodniku, to Dolina Karola Wielkiego, a po stronie hiszpańskiej znajduje się wąwóz Roncevaux, gdzie wojska Karola stoczyły słynną bitwę z Saracenami opisaną w Pieśni

0 Rolandzie. Z tym, że to wcale nie byli Saraceni, tylko Baskowie z Pampeluny, wkurzeni, bo chłopcy Karola zrujnowali im miasto. Nic, co ma związek z Camino, nie jest prawdą historyczną. Sam grób Św. Jakuba to jeden wielki kant, bo nie istnieją żadne dowody na to, by apostoł naprawdę spoczywał w Composteli. Legenda głosi, iż po śmierci Jezusa Jakub pojechał do Hiszpanii nawracać pogan. Wiodło mu się chyba nie za dobrze, bo wrócił do Palestyny raptem z dwoma uczniami,

1 natychmiast został ścięty z rozkazu Heroda (nie wiem, którego). Uczniowie otrzymali we śnie rozkaz zabrania ciała świętego do Hiszpanii i wyprawili się tam kamienną łodzią (tak, kamienną), która w cudowny sposób popłynęła przez Morze Śródziemne i Cieśninę Gibraltarską, a potem w górę zachodniego wybrzeża Półwyspu Iberyjskiego, i przybiła do brzegów

357

Galicji. Parę wieków później miejscowy pustelnik zobaczył gwiazdę mrugającą nad pagórkiem. Kiedy pagórek rozkopano, odkryto szczątki świętego i jego uczniów — w każdym razie zostały za takowe uznane. Oczywiście mogły to być czyjejkolwiek szczątki, ale chrześcijańska Hiszpania na gwałt potrzebowała relikwii, aby wylansować swoją kampanię przeciwko Maurom. W ten oto sposób Św. Jakub

stał się patronem Hiszpanii, a Santiago! hiszpańskim okrzykiem bojowym. Według innej legendy, święty ukazał się w trakcie decydującej bitwy pod Clavijo w 834 roku, aby wesprzeć słabnącą armię chrześcijańską, i osobiście usiekł siedemdziesiąt tysięcy Maurów. Archidiecezja Santiago bezczelnie nałożyła na resztę kraju specjalny podatek jako podziękowanie św. Jakubowi, chociaż — znowu — nie ma żadnych dowodów na to, aby bitwa pod Clavijo w ogóle się odbyła, z jego interwencją czy bez. W kościołach wzdłuż całej Camino można zobaczyć posągi Santiago Matamoros, czyli św. Jakuba Pogromcy Maurów, które przedstawiają go jako wojownika na koniu, dzierżącego w dłoni miecz i trującego ciała śniadych, grubowargich niewiernych. Będzie z tymi posągami problem, jeśli political correctness dotrze kiedyś do Hiszpanii.

Trudno mi było zrozumieć, dlaczego miliony pielgrzymów wędrowały w przeszłości przez pół Europy, nierzadko narażając się na straszliwe niewygody i niebezpieczeństwa, aby odwiedzić problematyczny grób problematycznego świętego, a jeszcze trudniej, dlaczego ludzie robią to nadal, choć już nie tak licznie. Odpowiedź na to drugie pytanie otrzymałem niejako w augustiańskim klasztorze w Roncevaux, udzielającym schronienia pielgrzymom od czasów Średniowiecza. Z oddali wygląda fantastycznie: gromadka kamiennych budynków przycupniętych w fałdzie zielonego podgórze, ze lśniącymi w słońcu dachami. Dopiero kiedy się zbliżysz, dostrzegasz, że dachy pokrywa blacha falista, a budynki są zupełnie zwyczajne. Jakiś

358

mężczyzna w czarnych spodniach i czerwonym swetrze przyglądał się, jak wysiadam z samochodu, i rozpoznawszy brytyjskie numery, przywitał mnie po angielsku. Okazało się, że jest zakonikiem na dyżurze pielgrzymkowym. Kiedy znów odegrałem Bedę Harringtona, zaprowadził mnie do małego biura. Nie pamiętał Maureen, ale powiedział, że jeśli stemplowała swój paszport w klasztorze, dostała do wypełnienia kwestionariusz. I rzeczywiście, znalazł go w kartotece, wypełniony przed czterema tygodniami dużym, okrągłym pismem Maureen. „Imię i nazwisko: Maureen Harrington. Wiek: 57. Narodowość: Brytyjska. Wyznanie: Katolicyzm. Motywy podróży (zaznacz jeden lub więcej): 1. Religijny. 2. Duchowy. 3. Wypoczynkowy. 4. Kulturalny. 5. Sportowy”. Odnotowałem z zainteresowaniem, że Maureen zaznaczyła tylko jeden: „Duchowy”.

Zakonnik, który przedstawił się jako Don Andreas, oprowadził mnie po klasztorze. Powiedział przepaszającym tonem, że nie mogę przenocować w refugio, bo podróżuję samochodem, ale kiedy zobaczyłem ponure dormitorium z pustaków, z nagimi żarówkami i topornymi pryzkami, pomyślałem, że przeboleję to bez trudu. Dormitorium było puste: dzienny kontyngent pielgrzymów jeszcze nie przywędrował. W pobliskiej wiosce znalazłem mały hotelik ze skrzypiącą podłogą i cienkimi jak papier ścianami, ale względnie czysty i wygodny. Wróciłem do klasztoru, ponieważ Don Andreas zaprosił mnie na mszę pielgrzymkową, którą odprawiano co wieczór o szóstej. Nie chciałem go urazić odmową, a zresztą spodobała mi się idea zrobienia czegoś, co Maureen z pewnością zrobiła kilka tygodni wcześniej. Pomyślałem, że może mi to pomóc dostroić się do jej fal i wytropić ją za pomocą telepatycznego radaru.

Nie byłem na katolickim nabożeństwie, odkąd się rozstaliśmy, i msza pielgrzymkowa nie przypominała niczego, co

pamiętałem z dawnego repertuaru kościoła Niepokalanego Poczęcia. Celebrowało ją kilku księży jednocześnie; stali półkolem za prostym ołtarzem typu stół (jak ten, który widziałem niedawno w Hatchford), przodem do wiernych, na wyspie światła wśród mroku olbrzymiej kaplicy, tak więc wszystkie operacje ze złożonymi kielichami i paterami były doskonale widoczne. Wierni stanowili kompletną zbieraninę, niedbale przyodzianą w swetry i szorty, sandały i tenisówki. Rzucało się w oczy, że większość nie jest katolikami i ma jeszcze mniejsze pojęcie o tym, co się dzieje, niż ja. Może myśleli, że muszą przyjść na mszę, skoro korzystają z darmowego noclegu, jak włóczędzy w schronisku Armii Zbawienia; a może słuchanie szmeru liturgii odbijającego się echem o kolumny i sklepienia starego kościoła, jak zwykły się odbijać przez wieki, było dla nich autentycznym duchowym przeżyciem. Tylko garstka przystąpiła do komunii, ale na zakończenie zaproszono wszystkich do stopni ołtarza po błogosławieństwo, wygłoszone w trzech językach — hiszpańskim, francuskim i angielskim. Ku memu zaskoczeniu cały tłum postąpił naprzód i nieśmiało dołączyłem do niego. Otrzymaawszy błogosławieństwo, nawet się przeżegnałem — dawno zapomnianym gestem, który przed laty powtarzałem za Maureen na Adoracji. Posłałem niemą modlitwę Do Odośnych Władz, żebym ją odnalazł.

Następne dwa tygodnie spędziłem, krążąc tam i z powrotem po drogach północnej Hiszpanii, wyrzeszczając oczy na każdego mijanego pielgrzyma, który choć trochę przypominał mi Maureen, czasem zjeżdżając niebezpiecznie na środek szosy, bo odwracałem się, aby spojrzeć w twarz komuś, kto z tyłu wydał mi się do niej podobny. Pielgrzymów łatwo było rozpoznać — nieodmiennie demonstrowali coquille i zazwyczaj mieli długą laskę albo kij. Ale im dalej jechałem, tym więcej

było ich na drodze, a ja nie dysponowałem zbyt dokładnym rysopisem. Stemplarka w St Jean Pied-de-Port powiedziała mi, że Maureen niosła plecak z przytroczoną u góry karimatą, ale nie pamiętała koloru żadnej z tych rzeczy. Cały czas dręczyła mnie myśl, że mogę wyprzedzić Maureen, nie wiedząc

o tym — kiedy odpoczywa w jakimś kościele czy kawiarni, albo kiedy wędruje jednym z tych odcinków Camino, które biegną z dala od szosy, polną drogą lub ścieżką nieprzejezdną dla czterokołowych pojazdów (zwłaszcza dla dekadenco nisko zawieszzonego burżujochodu). Zatrzymywałem się przy każdym kościele — a w tej części Hiszpanii jest ich mnóstwo, w spadku po pielgrzymkach średniowiecznych. Sprawdzałem wszystkie napotkane refugios — schroniska, które na całym szlaku oferują pielgrzymom darmowe, bardzo skromne noclegi. Większość była tak prymitywna — dosłownie stajnie z kamienną podłogą — że nie wyobrażałem sobie, aby Maureen mogła w nich spać; miałem jednak nadzieję, że trafię w ten sposób na kogoś, kto widział ją po drodze.

Spotykałem rozmaite typy pielgrzymów. Najlicniejszą grupę stanowili młodzi Hiszpanie, dla których pielgrzymka była niewątpliwie idealnym pretekstem do wyrwania się z domu

1 poznania innych młodych Hiszpanów płci przeciwnej. Refugios są koedukacyjne. Nie sugeruję, że odchodzi tam jakieś bara-bara (przede wszystkim za mało jest na to prywatności), ale zdawało mi się

czasem pod wieczór, że wyczuwam w nich atmosferę szczenięcego flirtu, atmosferę, którą pamiętałem z klubu młodzieży. Potem szli bardziej wyrobieni młodzi piechurzy z zagranicy, opaleni i muskularni, zwabieni słuchami międzynarodowej poczty pantoflowej, że Camino to świetna wycieczka, z piękną scenerią, tanim winem i darmowymi miejscami do rozkładania karimaty. Potem kluby rowerowe z Francji i Holandii w identycznych podkoszulkach i obcisłych szortach z lycry — kategoria budząca ogólną pogardę i oburzenie, po-

361

nieważ klubowe ciężarówki przewoziły im bagaże — i cykliści samotni, pedałujący z prędkością 78 obrotów na minutę na obciążonych wypchanymi sakwami maszynach. Potem małżeństwa i pary przyjaciół lubiące piesze wędrówki albo zainteresowane historią Hiszpanii czy architekturą romańską, pokonujące Camino łatwymi etapami, rok po roku. Odnosiłem wrażenie, że dla wszystkich tych grup pielgrzymka jest w pierwszym rzędzie innym, bardziej emocjonującym rodzajem wakacji.

Byli też pielgrzymi, którzy kierowali się konkretniejszymi i bardziej osobistymi motywami: młody rowerzysta zbierający datki na szpitalny oddział onkologiczny; holenderski artysta zmierzający do Composteli dla uczczenia swych czterdziestych urodzin; sześćdziesięcioletni Belg, który odbywał pielgrzymkę jako pierwszy akt swojej emerytury; zredukowany robotnik z Nancy zastanawiający się nad przyszłością. Ludzie w punkcie zwrotnym życia — szukający spokoju albo oświecenia, albo po prostu ucieczki od wyścigu szczurów. Pielgrzymi tej kategorii pokonywali najdłuższą trasę, nierzadko wędrując pieszo aż ze swych północnoeuropejskich domów i spijając pod namiotem. Niektórzy byli w drodze od wielu miesięcy. Mieli spalone słońcem twarze, spłowiałe ubrania i odznaczali się pewną rezerwą, jakby podczas długiej, odbywanej w pojedynkę wędrówki polubili samotność i nie życzyli sobie towarzystwa innych pielgrzymów, często hałaśliwych i wesołych. Ich oczy patrzyły z nieobecny wyrazem, jakby stałe kierowały się ku Composteli. Byli wśród nich katolicy, ale większość nie miała żadnych określonych przekonań religijnych. Niektórzy rozpoczęli pielgrzymkę w niefrasobliwym, eksperymentalnym nastroju i z czasem popadli w głęboką obsesję. Inni byli już pewnie trochę szaleni, gdy wyruszali. Mimo swej niejednorodności, ta grupa pielgrzymów interesowała mnie najbardziej, ponieważ sądziłem, że właśnie oni mogli gdzieś spotkać Maureen.

Opisywałem ją najlepiej jak umiałem, ale wciąż bez powo-

362

dzenia, póki nie dotarłem do Cebrero, małej wioski położonej wysoko w górach Leónu, zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od Composteli. Jest to dziwaczne miejsce, coś pomiędzy skansenem i sanktuarium. Ma zabudowę w starym stylu, okrągłe kamienne chaty ze stożkowymi, krytymi słomą dachami, nadal zamieszkałe, pewnie dzięki rządowym dotacjom. W kościele przechowywane są pamiątki jakiegoś upiornego średniowiecznego cudu, kiedy to chleb i wino zamieniły się w prawdziwe ciało i krew; wioska jest też podobno związana z legendą o świętym Graalu. Tam właśnie nastąpił przełom w moich poszukiwaniach. W baro-kawiarni koło kościoła, siermiężnym lokalu z drewnianą podłogą i refektarzowymi stołami, nawiązałem rozmowę ze starszym holenderskim rowerzystą, który stwierdził, że przed tygodniem spotkał Angielkę imieniem Maureen w refugio nieopodal Leónu. Miała kłopoty z nogą i

powiedziała mu, że chce odpocząć kilka dni w León, zanim uda się w dalszą drogę. Byłem tam niedawno, ale wskoczyłem do burzujochodu i ruszyłem z powrotem, zamierzając sprawdzić wszystkie hotele w mieście.

Jechałem na wschód ruchliwą przelotówką NI20 między Astorgą i Orbigo, kiedy ją zobaczyłem, idącą ku mnie skrajem szosy — tęgą kobietę w luźnych bawełnianych spodniach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Tylko mi mignęła, bo grzałem w tym momencie siedemdziesiąt mil na godzinę. Dałem zaraz po hamulcach, na co kierowca jadącej za mną cysterny z benzyną zareagował wściekłym klaksonem, ale ruch w obu kierunkach był tak duży, że udało mi się zatrzymać dopiero kilometr czy dwa dalej, na ziemnym parkingu przydrożnej kawiarni. Zawróciłem na trzy w chmurze pyłu i pogazo-wałem z powrotem, niepewny, czy Maureen mi się nie przywidziała. Ale nie, zobaczyłem ją znowu, człapiącą przede mną

po drugiej stronie szosy, a właściwie zobaczyłem jakąś postać zasłoniętą plecakiem, zwojem karimaty i słomkowym kapeluszem. Zwolniłem, za co znów zostałem obtrąbiony, i mijając postać, popatrzyłem przez ramię na jej twarz. To na pewno była Maureen. Słyszając klaksony, rzuciła w moją stronę krótkie spojrzenie, ale zasłaniała mnie przyciemniona szyba burzujochodu. Kilkaset jardów dalej, gdzie było dostatecznie szeroko, zjechałem na pobocze, wysiadłem z wozu i przeszedłem przez jezdnię. W tym miejscu szosa opadała i Maureen schodziła ku mnie z góry. Szła powoli, utykając, ściskając laskę, którą co drugi krok wbijała w ziemię. Ale jej chód był łatwy do rozpoznania, nawet z oddali. Miałem wrażenie, że czterdzieści lat mojego życia gdzieś zniknęło i znów jestem w Hatchford pod kwiaciarnią na Skrzyżowaniu Pięciu Dróg i patrzę, jak schodzi ku mnie Beecher's Road w swoim szkolnym mundurku.

Gdybym pisał scenariusz tego spotkania, wybrałbym bardziej romantyczną scenerię — może chłodne, mroczne wnętrze starego kościoła albo wiejską drogę obrzeżoną polnymi kwiatami, które kołyszają się lekko na wietrze, gdzie najgłośniejszym dźwiękiem jest beczenie owiec. W tle na pewno grałaby muzyka (może Zbyt młodzi, wersja instrumentalna.) Tymczasem spotkaliśmy się na skraju brzydkiej, ruchliwej szosy w jednym z najmniej atrakcyjnych zakątków Kastylii, zadławieni spalinami, ogłuszeni warkotem silników i smagani podmuchami zapiaszczonego powietrza po przejeździe tirów. Gdy Maureen znalazła się bliżej, zacząłem iść w jej stronę, i wtedy wreszcie mnie spostrzegła. Zwolniła kroku, zawahała się i stanęła, najwyraźniej niepewna moich zamiarów. Roześmiałem się, uśmiechnąłem i wyciągnąłem ręce w geście, który miał ją uspokoić. Spojrzała na mnie z przerażeniem, myśląc pewnie, że jestem jakimś maniakalnym mordercą albo gwałcicielem, cofnęła się i podniosła laskę, jakby szykowała się do obrony. Przystanąłem i odezwałem się do niej:

364

— Maureen! Nie bój się! To ja, Laurence. Wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Kto? — zapytała. — Jaki Laurence?

— Laurence Passmore. Nie poznajesz mnie? Byłem rozczarowany, że najwyraźniej nie — wydawało się,

iż nie pamięta nawet mojego imienia. Ale jak rozsądnie mi potem wytłumaczyła, nie wspominała mnie od Bóg wie ilu lat, natomiast ja od tygodni myślałem niemal wyłącznie o niej. Przeczesałem północno-zachodnią Hiszpanię, wypatrując jej na każdym zakręcie drogi, a dla niej moje nagłe pojawienie się na NI20 było równie dziwaczne i zaskakujące, jak gdybym spadł na spadochronie z nieba albo wychynął z dziury w ziemi.

Próbując przekrzyczeć jazgot samochodów, zawołałem:

— Chodziliśmy ze sobą, dawno temu. W Hatchford!

Wyraz twarzy Maureen się zmienił, z jej oczu zniknął strach.

Spojrzała na mnie, mrużąc powieki, jakby była krótkowzroczna albo oślepiało ją słońce, i postąpiła krok naprzód.

— To naprawdę ty? Laurence Passmore? Co ty tu, u licha, robisz?

— Szukałem cię.

— Dlaczego? — zapytała i na jej twarzy powrócił niepokój. — Czy coś się stało w domu?

— Nie, nic się nie stało — zapewniłem ją. — Bada martwi się o ciebie, ale nic mu nie jest.

— Bada? Kiedy go widziałeś?

— Parę dni temu. Próbowałem cię odnaleźć.

— Po co?

Staliśmy teraz naprzeciwko siebie.

— To długa historia — odparłem. — Wsiądź do samochodu, to ci opowiem.

Wskazałem mojego srebrzystego ulubieńca, warującego po drugiej stronie szosy. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i potrząsnęła głową.

— Jestem na pielgrzymce — powiedziała.

— Wiem.

— Nie jeżdżę samochodami.

— Zrób dziś wyjątek — poprosiłem. — Nie najlepiej mi wyglądasz.

Prawdę mówiąc, wyglądała okropnie. Kiedy tak pertraktowaliśmy, w duchu stawiałem czoło smutnemu faktowi, że nie jest już podlotkiem z moich wspomnień i marzeń. Osiągnęła ten wiek, gdy kobieta zaczyna bezpowrotnie tracić urodę. Sally nadal się trzyma, Amy też ma jeszcze parę lat przed sobą, ale obydwie opierają się procesowi starzenia na wszelkie możliwe sposoby z wyjątkiem operacji plastycznej, natomiast Maureen skapitulowała chyba bez walki. Miała kurze łapki w kącikach oczu i worki pod nimi. Jej policzki, niegdyś tak pulchne i gładkie, zapadły się i zwiotczały, jej szyja była pomarszczona jak stare jabłko, a ciało rozlane i bezkształtne, bez żadnego wcięcia między poduszką obfitego biustu i szerokimi biodrami. Ogólnego efektu nie poprawiły tygodnie i miesiące, które spędziła w drodze: z nosa schodziła jej skóra, włosy zwisały w prostych strąkach, kłykcie były brudne, a paznokcie połamane. Ubranie miało zakurzone i poplamione potem. Muszę przyznać, że jej wygląd był szokiem, na który nie przygotowały mnie upozowane i wyretuszowane zdjęcia w living roomie Bedy. Wprawdzie ze mną lata obeszyły się jeszcze gorzej, ale Maureen nie pielęgnowała w tym względzie żadnych złudzeń.

Kiedy się namyślała, pochylona do przodu, aby zrównoważyć ciężar plecaka, zauważyłem, że pod paskami ma kawałki gąbki, niewątpliwie dla ochrony ramion przed obtarciem. Nie wiem czemu, ale wydało mi się to najbardziej żalnym szczegółem jej wyglądu. Ogarnęła mnie niewypowiedziana czułość, nieprzeparłe pragnienie, aby się nią zaopiekować, wybawić ją z tej szalonej, samobójczej kalwarii.

366

— Tylko do najbliższej wioski — powiedziałem. — Dokądś, gdzie dostaniemy coś zimnego do picia.
— Słońce paliło mi tyśnię i czułem, że pod koszulą ociekam potem. Dodałem kusząco: — Samochód ma klimatyzację.

Maureen roześmiała się, marszcząc spalony nos w sposób, który tak dobrze pamiętałem.

— Całe szczęście — powiedziała. — Na pewno cuchnę stąd do nieba.

Kiedy ruszyliśmy, westchnęła i rozparła się wygodnie na siedzeniu.

— Elegancja-Francja — podsumowała, rozglądając się po wnętrzu. — Co to za marka? —
Powiedziałem jej. — My mamy volvo. Beda mówi, że są bardzo bezpieczne.

— Bezpieczeństwo to nie wszystko — zauważyłem.

— Nie, rzeczywiście — przyznała z lekkim chichotem.

— Wiesz, spełniło się moje marzenie. Od miesięcy wyobrażałem sobie, że wiozę cię tym samochodem.

— Naprawdę?

Posłała mi nieśmiały, zdziwiony uśmiech. Nie wyjawiałem, że w mojej wyobraźni miała siedemnaście lat.

Parę kilometrów dalej znaleźliśmy bar z kilkoma stolikami ustawionymi na zewnątrz w cieniu starego

dębu, daleko od trajkotu telewizora i syku ekspresu do kawy. Przy piwie i citron presse odbyliśmy pierwszą z wielu rozmów, które powoli wypełniły informacyjną lukę trzydziestu pięciu lat. Naturalnie Maureen chciała wiedzieć, dlaczego jej szukałem. Streściłem jej, co już napisałem w dzienniku: że moje życie, osobiste i zawodowe, okropnie się pogmatwało, że nagle przypomniała mi się nasza znajomość i jak podle na koniec postąpiłem i że zapragnąłem znów ją zobaczyć.

— Aby prosić o rozgrzeszenie — powiedziałem.

Maureen zarumieniła się pod opalenizną.

— Na Boga, Laurence, nie mam cię z czego rozgrzeszać. To

m

się zdarzyło prawie czterdzieści lat temu. Praktycznie byliśmy jeszcze dziećmi.

— Ale musiało cię to zboleć, wtedy.

— Och, pewnie. Bez końca płakałam w poduszkę.

— No widzisz.

— Ale młode dziewczyny zawsze to robią. Byłeś pierwszym chłopcem, przez którego płakałam, lecz nie ostatnim. — Roześmiała się. — Wyglądasz na zaskoczonego.

— Chodzi ci o Bedę? — spytałem.

— Och, nie. — Wykrzywiła twarz w zabawnym grymasie. — Wyobrażasz sobie, żeby ktoś mógł płakać przez Bedę? Nie, byli inni, przed nim. Szaleńczo przystojny lekarz, w którym beznadziejnie się kochałam, jak wszystkie praktykantki w szpitalu. Pewnie nawet nie wiedział, jak mi na imię. A już po dyplomie miałam romans ze stażystą.

— Chcesz powiedzieć... w pełnym znaczeniu tego słowa?

Wytrzeszczyłem oczy z niedowierzaniem.

— Spałam z nim, jeśli to masz na myśli. Nie rozumiem, dlaczego ci opowiadam o tak intymnych rzeczach, ale jakoś im jesteś starszy, tym mniej cię obchodzi, co ludzie o tobie wiedzą, nie sądzisz? Tak samo jest z twoim ciałem. W szpitalu to młodzi pacjenci wstydzą się mycia, podawania basenów i tak dalej. Starszym jest wszystko jedno.

— A co z twoją religią? Kiedy miałaś romans.

— Och, wiedziałam, że popełniam grzech śmiertelny. Ale zgodziłam się, bo go kochałam. Myślałam, że się ze mną ożeni. Obiecował mi to. Ale się rozmyślił albo może kłamał. Więc kiedy już się pozbiałam, wyszłam za Bedę.

— Spałaś z nim przedtem?

Pytanie było obcesowe, ale ciekawość wzięła górę nad dobrymi manierami. Maureen zaniósła się śmiechem.

— Na Boga, nie! Beda zgorszyłby się na samą myśl.

Dłuższą chwilę przeżuwałem te rewelacje w milczeniu.

368

— Więc nie chowałaś do mnie urazy? — spytałem wreszcie.

— Oczywiście, że nie! Wierz mi, nie myślałam o tobie od... nie wiem, od ilu lat.

Zapewne chciała rozwiać moje obawy, ale muszę przyznać, że mnie to zabolalo.

— W takim razie nie śledziłaś mojej kariery? — spytałem.

— Nie. A powinnam była? Jesteś okropnie sławny?

— Może nie sławny, ale miałem trochę sukcesów jako scenarzysta telewizyjny. Widziałaś jakiś odcinek Naszych sąsiadów?

— Czy to serial komediowy, taki, w którym słycać, jak ludzie się śmieją, ale ich nie widać?

— Tak, to sitcom.

— Niestety, nie oglądamy tych rzeczy. Ale teraz, jak już wiem, że piszesz do...

— Piszę całość. To był mój pomysł. Jestem znany jako Tubby Passmore — powiedziałem, rozpaczliwie próbując skrzesać choć iskrę w jej pamięci.

— Naprawdę? — Maureen roześmiała się i zmarszczyła nos. — Tubby!

— Wolałbym jednak, żebyś nazywała mnie Laurence — dodałem, żalując swego wyznania. — To mi przypomina dawne czasy.

Ale zostałem już Tubbym. Była wyraźnie zachwycona tym przewiskiem i twierdziła, że nie może go wyrzucić z głowy. „Próbuję mówić Laurence, a z ust wychodzi mi Tubby” — powiedziała kiedyś.

W dniu naszego spotkania Maureen zamierzała dotrzeć do Astorgi. Nie zgodziła się, bym ją tam zawiózł, ale przyznawszy, że dokucza jej noga, pozwoliła mi wziąć swój plecak. Planowała nocleg w refugio, niezbyt zachęcająco opisanym w prze-

wodniku dla pielgrzymów jako „sala gimnastyczna bez zaplecza”. Maureen skrzywiła się. „To znaczy bez pryszniców”. Powiedziałem, że będę gorzko rozczarowany, jeśli w tym wyjątkowym dniu nie da mi się zaprosić na kolację, i że może się wykąpać w mojej hotelowej łazience. Chętnie przystała na obie propozycje i umówiliśmy się w przedsiönku katedry. Po przyjeździe do Astorgi zameldowałem się w hotelu i zarezerwowałem drugi pokój dla Maureen, w nadziei, że ją przekonam, by go wzięła. (Przekonałem.) Czekając na nią, zaliczyłem atrakcje turystyczne. Astorga ma katedrę, która jest gotycka wewnątrz i barokowa na zewnątrz (zaczynałem się już orientować w tych rzeczach), i pałac biskupów, który wygląda jak zamek z bajki, zbudowany przez Gaudiego, projektanta tej dziwacznej, niedokończonej katedry w Barcelonie z wieżami jak podziurawione kominy. Miasto szczyli się również posiadaniem mnóstwa relikwii, m.in. drzazgi Krzyża Świętego i strzępka sztandaru z mitycznej bitwy pod Clavijo.

Maureen zjawiła się pod katedrą jakieś trzy godziny po naszym rozstaniu, z uśmiechem na ustach i słowami, że bez plecaka szło się jej jak na poobiednim niedzielnym spacerze. Poprosiłem, aby pokazała mi chorą nogę, i nie zachwyciło mnie to, co zobaczyłem, gdy odwinęła brudny bandaż. Łydka była posiniaczona, a kostka spuchnięta. „Moim zdaniem powinnaś z tym iść do lekarza” — powiedziałem. Maureen odparła, że była u lekarza w León. Stwierdził nadwężenie ścięgna, zalecił odpoczynek i dał jej jakąś maść, która trochę pomogła. Odpoczywała cztery dni, ale noga nadal ją boli. „Potrzebne ci raczej cztery miesiące — mruknąłem. — Wiem co nieco o takich urazach. Jak chcesz wyzdrowieć, daj sobie spokój z pielgrzymką”. „Nie zamierzam rezygnować — oświadczyła. — Nie, kiedy jestem już tak blisko”.

Znałem Maureen dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie ma co jej nakłaniać do powrotu do domu. Wymyśliłem więc

370

h

sposób, aby mogła dotrzeć do Composteli jednocześnie wygodnie i z honorem. Codziennie będę podwoził jej plecak na umówione miejsce i wynajmowałem dla nas pokoje w jakiś skromnym zajeździe czy pensjonacie. W zasadzie nie miała nic przeciwko takim noclegom. Sama z nich czasem korzystała, a im bliżej Composteli, tym bardziej zatłoczone i nieprzyjemne stawały się refugios. Ale jej fundusze były ograniczone i nie chciała dzwonić do Bedy z prośbą o więcej pieniędzy. Zgodziła się jednak, bym płacił za nas oboje, pod warunkiem że odda mi swoją część po powrocie do Anglii, i skrupulatnie notowała wszystkie wydatki.

Posuwaliśmy się ku Composteli bardzo krótkimi etapami. Nawet bez plecaka Maureen nie była w stanie przejść więcej niż dziesięć, dwanaście kilometrów dziennie, a pokonanie tego skromnego dystansu zajmowało jej czasem i cztery godziny. Kiedy już znalazłem dla nas nocleg, zwykle zwracałem Camino ku wschodowi, aby się z nią spotkać i dotrzymać jej towarzystwa na finiszu. Z zadowoleniem stwierdziłem, że moje kolano dobrze znosi te marsze, nawet kiedy szlak jest stromy i wyboisty. Co więcej, uświadomiłem sobie, że od St Jean Pied-de-Port nie zakłuło mnie ani razu. „To święty Jakub —

powiedziała Maureen, gdy o tym wspomniałem. — Powszechnie znany fenomen. Święty Jakub pomaga pielgrzymom. Bez niego nigdy nie doszłabym tak daleko. Pamiętam, jak wspinałam się na przełęcz w Pirenejach, przemoknięta do nitki i kompletnie wyczerpana. Kiedy już mi się wydawało, że nie zrobię ani kroku dalej, że zaraz stoczę się do rowu i umrę, poczułam, jak jakaś siła, jakby dłoń na plecach, pcha mnie do przodu, i zanim się obejrzałam, byłam na szczycie".

Nie miałem pojęcia, na ile poważnie to powiedziała. Kiedy ją spytałem, czy naprawdę wierzy, że święty Jakub jest pochowany w Composteli, wzruszyła ramionami i odparła: „Nie wiem. Nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno”. „Nie dręczy cię

371

myśl, że być może miliony ludzi przybywają tu od wieków z powodu błędu kopisty?" Popisywałem się moją przewodnikową wiedzą: podobno wszystkie związki świętego Jakuba z Hiszpanią wzięły się stąd, że jakiś skryba piszący o misji apostoła wykaligrafował „Hispania” zamiast „Hierosolyma”. „Nie — powiedziała Maureen. — Myślę, że on gdzieś tu jest. Skoro tylu ludzi pielgrzymuje do Composteli, aby złożyć mu hołd, nie może ich zawieść, prawda?" Ale w jej oczach paliły się iskiereki, jakby był to prywatny żart albo prowokacja, obliczone na zgorszenie protestanckiego sceptyka.

Swoją pielgrzymkę traktowała jednak bardzo poważnie. Pamiętałem, jak Beda powiedział: „To absurd, zupełny absurd”, ale dla mnie to słowo miało niezamierzony przezeń kierke-gaardowski wydźwięk. W średniowiecznym mieście Villafranca jest kościół pod wezwaniem świętego Jakuba z portalem o nazwie Puerta del Perdón, Brama Przebaczenia. Zgodnie z tradycją, jeśli ktoś jest chory i dobrnie do tego portalu, może zrobić w tył zwrot i udać się do domu, bogaty w takie łaski i błogosławieństwa, jak gdyby doszedł do Composteli. Kiedy znaleźliśmy się w Villafranca, przypomniałem Maureen o tej opcji i zasugerowałem, by z niej skorzystała. Najpierw wybuchnęła śmiechem, ale kiedy zacząłem nalegać, naprawdę się zirytowała. Już więcej nie próbowałem jej odwozić od zamiaru ukończenia pielgrzymki.

Prawdę mówiąc, gdyby się to Maureen nie udało, byłbym rozczarowany na równi z nią. Pielgrzymka, mimo wypaczonej, zmotoryzowanej formy, w jakiej ją odbywałem, rzuciła na mnie urok. Owładnęły mną te same uczucia, których Maureen doświadczyła głębiej i bardziej intensywnie podczas swego długiego marszu z Le Puy.

— Jak gdyby wypadasz z czasu. Nie dbasz o to, co się dzieje na świecie. Obrazy, które widzisz na ekranach telewizorów w barach, wiadomości o polityce, bombach czy wyścigach ro-

372

werowych, przyciągają twoją uwagę za ledwie na parę sekund. Liczą się tylko rzeczy podstawowe: żeby jeść, żeby się nie odwozić, żeby zagoiły się pęcherze, żeby dotrzeć do następnego postoju, nim zrobi się za gorąco albo za zimno, albo za mokro. Liczy się przetrwanie. Na początku myślisz, że zwariujesz ze

zmęczenia i samotności, ale po jakimś czasie przestaje ci brakować towarzystwa innych ludzi, chcesz iść dalej w pojedynkę, być samemu ze swoimi myślami i swoim bólem w stopach.

— Więc wolałabyś, żeby mnie tu nie było? — spytałem.

— Och, nie. Kiedy cię spotkałam, Tubby, goniłam już resztkami sił. Bez ciebie nie dotarłabym tak daleko.

Zmarszczyłem brwi jak Ryan Giggs po strzeleniu pięknego gola. Ale Maureen starła mi tego marsa z twarzy, dodając:

— To był jakby cud. Znów święty Jakub.

Z czasem opowiedziała mi o śmierci Damiena i motywach, które skłoniły ją do wyruszenia na pielgrzymkę.

— To okropne, kiedy dziecko umiera przed rodzicami. To coś przeciwnego naturze. Wciąż myślisz o wszystkich tych rzeczach, których nigdy nie doświadczy, jak małżeństwo, posiadanie dzieci, wnuków. Na szczęście Damien poznał miłość. To jakaś pociecha. Miał w Afryce dziewczynę, pracowała dla tej samej organizacji. Na zdjęciach wyglądała bardzo miło. Po jego śmierci napisała do nas piękny list. Mam nadzieję, że sypiali ze sobą. Chyba musieli, jak sądzisz?

Odparłem, że tak, z całą pewnością.

— Kiedy studiował w Cambridge, przywiózł raz do domu dziewczynę, nie tę, inną, i zapytał, czy mogą spać razem w jego pokoju. Odparłam, że nie, nie pod moim dachem. Gdybym wiedziała, jak krótkie będzie jego życie, zgodziłabym się.

Powiedziałem, że nie wolno jej się obwiniać o decyzje, które w swoim czasie były całkowicie uzasadnione.

— Och, wcale się nie obwiniam — odrzekła. — To Bada czuje się winny, chociaż temu zaprzecza. Uważa, że powinien być bardziej stanowczo przekonywać Damiena, żeby nie angażował się aż tak w działalność społeczną. Widzisz, po dyplomie Damien wstąpił do VSO*. Miał wrócić potem do Cambridge i zrobić doktorat, ale zdecydował się zostać w Afryce. Kochał tych ludzi. Kochał tę pracę. Żył pełnią życia, bardzo intensywnie, chociaż krótko. I zdziałał wiele dobrego. Po jego śmierci wciąż to sobie powtarzałam. Ale Bedzie to nie pomogło. Wpadł w okropną depresję. Kiedy przeszedł na emeryturę, spędzał całe dnie w domu, po prostu wpatrując się w przestrzeń. Nie mogłam tego znieść. Stwierdziłam, że muszę gdzieś wyjechać, sama. W jakimś piśmie przeczytałam artykuł o pielgrzymce do Composteli i pomyślałam, że właśnie czegoś takiego mi trzeba. Czegoś bardzo trudnego i jasno określonego, czegoś, co pochłonie mnie całą, moje ciało i duszę, na dwa czy trzy miesiące. Preczytałam książkę o historii pielgrzymki i byłam absolutnie urzeczona. Miliony ludzi przebyły tę drogę, chociaż można wędrować wyłącznie pieszo albo konno. Musi to dawać człowiekowi coś niesamowitego, pomyślałam sobie, inaczej nikt by nie

wytrwał do końca. Przewodnik pielgrzymkowy dostałam w Bractwie Świętego Jakuba, a plecak, śpiwór i resztę ekwipunku kupiłam w sklepie turystycznym na High Street w Wimbledonie. Oczywiście rodzina stwierdziła, że oszalałam, i próbowali mi to wybić z głowy. Znajomi myśleli, że będę zbierać datki na dobroczynność. Mówiłam: Nie, całe życie poświęcałam się dla innych, to robię dla siebie. Byłam pielęgniarką, jestem Samarytanką**, jestem...

* Voluntary Service Overseas (Ochotnicza Służba Zagraniczna) — organizacja zajmująca się wysyłaniem absolwentów szkół wyższych do pracy w krajach Trzeciego Świata, zwykle na okres dwóch lat. ** Samarytanie — ochotniczy telefon zaufania.

374

_lte

— Naprawdę jesteś Samarytanką? — przerwałam jej. — Beda nic mi nie mówił.

— Beda nigdy tego nie pochwałał — odparła. — Uważał, że będą mi się udzielać nastroje dzwoniących.

— Na pewno jesteś w tym dobra — powiedziałem.

— No cóż, w ciągu sześciu lat straciłam tylko jednego rozmówcę — przyznała. — To znaczy, tylko jeden człowiek rzeczywiście się zabił. Niezły wynik. Ale po śmierci Damiana stwierdziłam, że jestem mniej współczująca. Nie miałam cierpliwości do niektórych ludzi, ich problemy wydawały mi się trywialne w porównaniu z moimi. Czy wiesz, w jaki dzień roku jesteśmy najbardziej zajęci?

— W Boże Narodzenie?

— Nie, Boże Narodzenie jest na drugim miejscu. Numer jeden to Walentynki. To daje do myślenia, prawda?

W trakcie tej ślimaczej, zygzakowatej wędrówki wzdłuż Camino często wyprzedzali nas młodszy, sprawniejsi albo bardziej wypoczęci piechurzy. Im bliżej Composteli, tym ciaśniej było na szlaku. Do punktu kulminacyjnego pielgrzymki, dnia świętego Jakuba, który przypada 25 lipca, zostało już tylko parę tygodni i wszyscy chcieli dotrzeć na miejsce w porę. Czasem ze wzniesienia drogi można było zobaczyć Camino wijącą się w dole całymi milami i pielgrzymów, idących pojedynczo, dwójkami lub w większych grupach, nanizanych na nią niczym paciorki różańca, po sam horyzont, tak jak musiało to wyglądać w Średniowieczu.

W Cebrero natknęliśmy się na ekipę telewizji brytyjskiej kręcącą reportaż o pielgrzymce. Czatowali na ludzi pod kościołem i pytali ich o motywy. Maureen kategorycznie odmówiła wywiadu. Reżyser, wielki blondyn w szortach i podkoszulku, usiłował ją przekonać, żeby zmieniła zdanie. „Okropnie

potrzebujemy starszej kobiety mówiącej po angielsku — powiedział. — Mamy potąd młodych Hiszpanów

i belgijskich rowerzystów. Byłaby pani idealna". „Nie, dziękuję — odparła Maureen. — Nie chcę wystąpić w telewizji". Reżyser był wyraźnie urażony: ludzie z mediów nie potrafią zrozumieć, że reszta świata nie podziela ich hierarchii wartości. Wobec oporu Maureen zwrócił się do mnie.

— Nie jestem prawdziwym pielgrzymem — powiedziałem.

— Aaa! Kto jest prawdziwym pielgrzymem? — zapytał z błyskiem w oku.

— Ktoś, dla kogo pielgrzymka stanowi egzystencjalny akt samookreślenia — odparłem. — Skok w absurd, w rozumieniu kierkegaardowskim. No bo czy istnieje...

— Stop! — krzyknął reżyser. — Niech pan nic więcej nie mówi. Chcę to mieć na taśmie. Linda, idź po Davida — polecił blondwłosej, piegowatej dziewczynie ściskającej podkładkę do pisania.

David, jak się okazało, był autorem-prezenterem programu, ale chwilowo gdzieś przepadł.

— Pewnie się dąsa, bo rano musiał naprawdę przejść kawałek — mruknął reżyser, który także miał na imię David. — Sam zrobię ten wywiad.

Tak więc ustawiono kamerę i po typowej zwłoce, kiedy operator z asystentem pomajstrowali już przy reflektorach i filtrach, dźwiękowiec dostroił się do szumów tła, reżyser poinformował mnie szczegółowo, jakie pytania zada, a kierownik zdjęć przegnał wszystkich z kadru, wygłosiłem moją egzysten-cjalistyczną interpretację pielgrzymki. (Maureen tymczasem się znudziła i poszła obejrzeć kościół.) Opisałem trzy kierke-gaardowskie stadia rozwoju człowieka — estetyczne, etyczne i religijne — i stwierdziłem, że istnieją trzy odpowiadające im typy pielgrzymów. (Zastanawiałem się nad tym w drodze.) Typ estetyczny chce przede wszystkim miło spędzić czas, skorzy-

376

stać z kulturalnych i krajobrazowych atrakcji Camino. Typ etyczny traktuje pielgrzymkę jako próbę wytrzymałości i dyscypliny wewnętrznej oraz okazję do współzawodnictwa. Ma bardzo dokładne wyobrażenie o tym, jak pielgrzym powinien się zachowywać (np. nie wolno mu nocować w hotelach) i jest bardzo krytyczny wobec ludzi, którzy nie przestrzegają tego kodeksu. Prawdziwy pielgrzym to typ religijny, religijny w pojęciu kierkegaardowskim. Dla Kierkegaarda chrześcijaństwo jest „absurdem": gdyby było całkowicie racjonalne, wiara nie przynosiłaby żadnej zasługi. Chodzi o to, aby uwierzyć bez racjonalnego przymusu, aby zrobić skok w próżnię i w ten sposób wybrać siebie. Człowiek, który przechodzi tysiąc mil do grobu świętego Jakuba, nie wiedząc, czy apostoł rzeczywiście w nim spoczywa, i nie dbając o to, robi właśnie taki skok. Pielgrzym estetyczny nie udaje prawdziwego pielgrzyma. Pielgrzym etyczny wciąż się martwi, czy jest prawdziwym pielgrzymem. Prawdziwy pielgrzym po prostu pielgrzymuje.

— Cięcie! Doskonale. Wielkie dzięki — powiedział reżyser. — Linda, weź od pana podpis.

Linda uśmiechnęła się do mnie, zawieszając długopis nad podkładką.

— Jeśli to wykorzystamy, dostanie pan dwadzieścia pięć funtów — wyjaśniła. — Mogę prosić

nazwisko?

— Laurence Passmore — powiedziałem.

Dźwiękowiec oderwał się od swojego sprzętu.

— Nie Tubby Passmore?

Skinąłem głową, a on klepnął się w udo.

— Byłem pewien, że już gdzieś pana widziałem. Spotkaliśmy się w bufecie w studiu Heartlandu, parę lat temu. Hej, David! — zawołał do reżysera, który szedł poszukać następnej ofiary — Zgadnij, kto to jest. Tubby Passmore, scenarzysta Sąsiadów. Świetny serial — powiedział do mnie. — Zawsze go oglądam, jak jestem w domu.

stać z kulturalnych i krajobrazowych atrakcji Camino. Typ etyczny traktuje pielgrzymkę jako próbę wytrzymałości i dyscypliny wewnętrznej oraz okazję do współzawodnictwa. Ma bardzo dokładne wyobrażenie o tym, jak pielgrzym powinien się zachowywać (np. nie wolno mu nocować w hotelach) i jest bardzo krytyczny wobec ludzi, którzy nie przestrzegają tego kodeksu. Prawdziwy pielgrzym to typ religijny, religijny w pojęciu kierkegaardowskim. Dla Kierkegaarda chrześcijaństwo jest „absurdem”: gdyby było całkowicie racjonalne, wiara nie przynosiłaby żadnej zasługi. Chodzi o to, aby uwierzyć bez racjonalnego przymusu, aby zrobić skok w próżnię i w ten sposób wybrać siebie. Człowiek, który przechodzi tysiąc mil do grobu świętego Jakuba, nie wiedząc, czy apostoł rzeczywiście w nim spoczywa, i nie dbając o to, robi właśnie taki skok. Pielgrzym estetyczny nie udaje prawdziwego pielgrzyma. Pielgrzym etyczny wciąż się martwi, czy jest prawdziwym pielgrzymem. Prawdziwy pielgrzym po prostu pielgrzymuje.

— Cięcie! Doskonale. Wielkie dzięki — powiedział reżyser. — Linda, weź od pana podpis.

Linda uśmiechnęła się do mnie, zawieszając długopis nad podkładką.

— Jeśli to wykorzystamy, dostanie pan dwadzieścia pięć funtów — wyjaśniła. — Mogę prosić nazwisko?

— Laurence Passmore — powiedziałem.

Dźwiękowiec oderwał się od swojego sprzętu.

— Nie Tubby Passmore?

Skinąłem głową, a on klepnął się w udo.

— Byłem pewien, że już gdzieś pana widziałem. Spotkaliśmy się w bufecie w studiu Heartlandu, parę lat temu. Hej, David! — zawołał do reżysera, który szedł poszukać następnej ofiary — Zgadnij, kto to jest. Tubby Passmore, scenarzysta Sąsiadów. Świetny serial — powiedział do mnie. — Zawsze go

oglądam, jak jestem w domu.

Reżyser odwrócił się powoli.

— No nie — jęknął i udał, że strzela sobie w głowę palcem wskazującym. — Więc to były tylko jaja?
— Roześmiał się ponuro. — Daliśmy się nabrać.

— To nie były jaja — odrzekłem. Ale chyba mi nie uwierzył.

Dni mijały w powolnym, regularnym rytmie. Wstawaliśmy wcześnie, żeby Maureen mogła wyruszyć w chłodzie poranka. Zazwyczaj docierała na umówione miejsce koło południa. Po długim, niespiesznym hiszpańskim lunchu udawaliśmy się na sjętę i przespaliśmy popołudniowy skwar, aby wzorem tubylców wyjść znów na miasto wieczorem, popogryzać ta-pas w barach i pokosztować lokalnych win. Nie potrafię opisać, jak swobodnie się czułem w towarzystwie Maureen, jak szybko powróciliśmy do dawnej zażyłości. Choć dużo rozmawialiśmy, często wystarczało nam zgodne milczenie jak parze w jesieni długiego, szczęśliwego, wspólnego życia. Inni ludzie brali nas pewnie za małżeństwo, a personel hotelowy zawsze robił wrażenie lekko zdziwionego faktem, że zajmujemy osobne pokoje.

Pewnej nocy, po tym jak opowiadała mi dość długo o Da-mieniu, tryskając humorem, wręcz śmiejąc się na wspomnienie różnych jego dziecięcych przygód, usłyszałem jej szloch za cienką ścianą dzielącą pokoje bezgwiazdkowego hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Zapukałem lekko do drzwi i stwierdziwszy, że są otwarte, wszedłem. Przez zasłony sączyło się blade światło ulicznej latarni. Maureen, skulona na łóżku, poruszyła się i oparła o ścianę.

— To ty, Tubby? — zapytała.

— Usłyszałem, że płaczesz — wyjaśniłem. Przeszedłem po omacku przez pokój, potknąłem się o stojące przy łóżku krzesło i usiadłem na nim. — Dobrze się czujesz?

378

— To przez to, że mówiłam o Damieniu — powiedziała. — Wciąż myślę, że już doszłam do siebie, a potem przekonuję się, że nie.

Znów zaczęła płakać. Poszukałem jej dłoni i ująłem ją. Skwapliwie odwzajemniła uścisk.

— Mógłbym cię przytulić, jeśli to coś pomoże — zaproponowałem.

— Nie musisz tego robić — odparła.

— Ale chciałbym. Nawet bardzo — powiedziałem.

— To chyba nie jest dobry pomysł, Tubby.

— Nie chodzi mi o nic więcej — zapewniłem ją. — Tylko cię przytulę. Będzie ci łatwiej zasnąć.

Położyłem się obok niej, na kołdrze, i objąłem ją ramieniem w talii. Przewróciła się na bok, plecami do mnie, i przylgnąłem do jej miękkich obfitych pośladków. Przestała płakać, jej oddech stał się regularny. Oboje usnęliśmy.

Obudziłem się, nie wiem po ilu godzinach. Nocne powietrze ochłodziło i zmarzły mi stopy. Usiadłem, żeby je rozetrzeć. Maureen się poruszyła.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic. Trochę mi zimno. Mogę wejść pod kołdrę?

Nie powiedziała, że nie, więc uniosłem pościel i przytuliłem się do niej. Miała na sobie cienką, bawełnianą koszulę nocną. Jej ciało wydzielało przyjemną ciepłą woń, coś jak zapach świeżo upieczonego chleba. Nie zdziwiłem się, gdy dostałem erekcji.

— Chyba będzie lepiej, jeśli wrócisz do swojego łóżka — powiedziała Maureen.

— Dlaczego?

— Możesz przeżyć paskudny szok, jeśli tu zostaniesz.

— Co masz na myśli?

Leżała na plecach i delikatnie, koniuszkami palców, masowałem przez koszulę jej brzuch — Sally lubiła, jak to robiłem,

379

' |*

gdy była w ciąży. Moja głowa spoczywała na jednej z dużych, krągłych piersi Maureen. Bardzo powoli, wstrzymując oddech, przesunąłem dłoń w górę, aby ująć drugą pierś, tak jak kiedyś, przed laty, w ciemnościach pod gankiem domu przy Treglowan Road 94.

Ale jej tam nie było.

— Ostrzegałam cię — mruknęła Maureen.

Naturalnie przeżyłem szok, jak człowiek, który wchodzi w mroku po schodach i stwierdza, że mają o stopień mniej, niż się spodziewał. Odruchowo cofnąłem dłoń, ale niemal natychmiast położyłem ją z powrotem na tym plateau skóry i kości. Przez cienki materiał koszuli nocnej wyczułem linię blizny, nieregularną jak wykres gwiazdozbioru.

— Nie robi mi to różnicy — powiedziałem.

— Owszem, robi — odparła.

- Nie robi — powtórzyłem, rozpiąłem przód koszuli i ucałowałem pomarszczone miejsce po piersi.
- Och, Tubby — westchnęła Maureen. — To najmiłsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała.
- Chciałabyś się pokochać? — zapytałem.
- Nie.
- Bada o niczym się nie dowie.

Jakbym usłyszał echo naszej rozmowy sprzed lat.

- To by nie było w porządku — stwierdziła. — Nie na pielgrzymce.

Odparłem, że ma rację, pocałowałem ją i wstałem z łóżka. Usiadła, objęła mnie za szyję i pocałowała jeszcze raz, bardzo serdecznie, w usta.

- Dziękuję, Tubby. Jesteś kochany — powiedziała.

Wróciłem do siebie i jakiś czas nie mogłem usnąć. Nie powiem, że bolączki i rozczarowania mojego życia wydały mi się

380

trywialne w porównaniu z problemami Maureen, ale na pewno zmały. Ona straciła nie tylko ukochanego syna — straciła również pierś, część ciała, która określa seksualną tożsamość kobiety w sposób bardziej oczywisty niż jakakolwiek inna. I choć dla samej Maureen dotkliwsza była niewątpliwie ta pierwsza strata, mnie bardziej poruszyła druga, może dlatego, że nie znałem Damiena, a znałem pierś, znałem ją i kochałem — i napisałem o niej. Moje wspomnienie stało się elegią.

Ostatni etap pielgrzymki przeszedłem z Maureen w całości. Włożyłem parę drobiazgów do jej plecaka i nieśliśmy go na zmianę. Samochód zostawiłem w Labacolli, osadzie położonej jakieś dwanaście kilometrów od Composteli, niedaleko lotniska. W dawnych czasach ludzie zażywali tam kąpeli, aby godnie przybyć do grobu. Nazwa osady znaczy „umyj tyłek”: po tak długiej podróży tyłki średniowiecznych pielgrzymów wymagały pewnie porządnego szorowania.

Był ciepły, słoneczny poranek. Szlak wiódł najpierw lasem, a później przez pola, z przyjemnym wiejskim krajobrazem po lewej stronie i tętniącą ruchem szosą po prawej. Potem dotarliśmy do wioski, na której końcu wznosi się Monte del Gozo, Góra Radości, odsłaniająca widok na Compostelę. Dawniej pielgrzymi ścigali się na podejściu, kto pierwszy zobaczy upragniony cel. Dziś przynosi to pewne rozczarowanie, bo niemal całe wzgórze zajmuje olbrzymi amfiteatr, a Compostela wygląda z tej odległości jak każde inne nowoczesne miasto, otoczone pierścieniem autostrad, fabryk i osiedli mieszkaniowych. Jeśli mocno wytężysz wzrok albo masz bardzo dobre oczy, możesz się jako tako dopatrzeć wież katedry.

Niemniej bardzo się cieszyłem, że wszedłem do Composteli. Dzięki temu mogłem uczestniczyć w

podnieceniu i radości

381

Maureen, gdy dotarła do mety swojego maratonu; ja też byłem odrobinę podniecony i uradowany Wędrując pieszo, zauważasz dużo więcej niż z samochodu, a powolność marszu, opóźniająca zakończenie podróży, stwarza jakby dramatyczne napięcie. Przebrnąwszy przez brzydkie nowoczesne peryferie, czujesz jeszcze większą przyjemność i ulgę, gdy znajdziesz się w pięknym starym centrum, z jego krętymi, cienistymi uliczkami i nieregularnymi liniami dachów. Skręcasz za róg i nagle jesteś na rozległej Plaža del Obradoiro, w cieniu bliźniaczych wież ogromnej katedry.

Dotarliśmy do Composteli 24 lipca i miasto pękało już w szwach. Trwała czterodniowa fiesta z przemarszami orkiestr, procesjami, w których obnoszono wielkie figury świętych, i występami wędrownych grajków na wszystkich ulicach i placach. Prawdziwi pielgrzymi jak Maureen ginęli w tłumie setek tysięcy gości, zarówno zwykłych turystów, jak i pobożnych katolików, przybyłych samolotami, pociągami, autobusami lub samochodami. Powiedziano nam, że zjechało się wyjątkowo dużo ludzi, ponieważ jest Rok Święty, kiedy dzień świętego Jakuba wypada w niedzielę, i błogosławieństwa oraz odpusty związane z grobem mają szczególną moc. Zasugerowałem, że powinniśmy się natychmiast rozejrzeć za hotelem, ale Maureen chciała najpierw odwiedzić katedrę. Ustąpiłem jej. I tak było mało prawdopodobne, abyśmy znaleźli cokolwiek w centrum, i pogodziłem się już z myślą o powrocie na noc do Labacolli.

Katedra prezentuje architektoniczny groch z kapustą, ale, jak mówimy w telewizji, działa. Kunsztownie zdobiona fasada to osiemnastowieczny barok. Za nią kryje się portal wcześniejszej, romańskiej budowli, Portico de la Gloria, wyrzeźbiony przez średniowiecznego geniusza zwanego Maestro Matteo. Przedstawił on, ze zdumiewającymi, nierzadko zabawnymi

382

szczegółami, co najmniej dwieście postaci, m.in. Jezusa, Adama i Ewę, czterech ewangelistów, dwudziestu czterech starców z Księgi Apokalipsy dzierżących instrumenty muzyczne, oraz po grupce zbawionych i potępionych z Sądu Ostatecznego. Święty Jakub zajmuje poczesne miejsce na szczycie kolumny, tuż pod stopami Jezusa. Zwyczaj każe, aby odwiedzający katedrę klękali pod tą kolumną i wkładali palce we wgłębienia, coś jak otwory kastetu, które wytarły się w marmurze przez stulecia oddawania czci świętemu. Była do tego długa kolejka, złożona, sądząc po strojach i karnacji, głównie z tubylców Rozpoznawszy w Maureen, z jej laską, plecakiem i spło-wiałym ubraniem, prawdziwego pielgrzyma, ludzie stojący na czele cofnęli się z szacunkiem i zamachali, by podeszła. Zacerwieniła się pod opalenizną i potrząsnęła głową. „No idź — przynagliłem ją. — To twój wielki moment. Idź, śmiało”. Więc postąpiła naprzód, uklękła, oparłszy się jedną dłonią o kolumnę, włożyła palce drugiej we wgłębienia i pomodliła się chwilę z zamkniętymi oczami.

Z drugiej strony kolumny, u jej stóp, Maestro Matteo wyrzeźbił własne popiersie i tutaj zwyczaj nakazuje uderzyć głową o jego głowę, aby wchłonąć trochę jego mądrości. Ten rodzaj czarów-marów bardziej mi

odpowiadał i posłusznie wałnąłem czołem w marmur. Zauważyłem, że ludzie myślą te dwa rytuały. Od czasu do czasu ktoś stukał głową o kolumnę pod figurą świętego Jakuba, wkładając palce we wgłębienia, po czym parę osób z kolejki szło za jego przykładem. Składając hołd, miałem ochotę klepnąć się w pośladki jak bawarski tancerz, ot żeby zobaczyć, czy ktoś zrobi to samo, ale zabrakło mi odwagi.

Stanęliśmy w następnym ogonku, aby objąć posąg świętego Jakuba na głównym ołtarzu. „Święty koniec” katedry to szaleństwo marmurów, złotych liści i rzeźbionego polichromowanego drewna. Santiago Matamoros, ubrany jak renesansowy oficer kawalerii, szarżuje konno z obnażonym mieczem ponad bal-

dachimem podpartym przez cztery olbrzymie anioły dmące w trąby. Święty Jakub Apostoł, który prezyduje na ołtarzu zakuty w wysadzaną drogimi kamieniami srebrną i złotą blachę, bardziej przypomina pogańskiego bałwana niż chrześcijańskiego świętego, zwłaszcza że widziany z nawy głównej zdaje się mieć dwie pary rąk. Ta druga para należy do ludzi, którzy stojąc na małej platformie za ołtarzem kolejno go obejmują i jeśli są pielgrzymami, modlą się za wszystkie osoby pomagające im w drodze — jest to tradycyjny „uścisk świętego Jakuba”. Poniżej ołtarza znajduje się krypta z małą srebrną trumną zawierającą szczątki świętego — albo jakiejś innej osoby.

„Czyż to nie było cudowne?” — zapytała Maureen, gdy wyszliśmy z katedry w jasne słońce i kłębiący się na placu tłum. Przyznałem, że było; ale w duchu porównywałem przepych tego sanktuarium z małym, surowo umeblowanym pokojem w kopenhaskim Bymuseum, gdzie pół tuzina gablot mieściło trochę pospolitych przedmiotów, książek i obrazów, oraz ze skromnym pomnikiem na Assistens Kirkegard. Ciekawe, czy gdyby Kierkegaard był katolikiem, uczyniono by go świętym i zbudowano bazylikę nad jego grobem. Doskonale by się nadawał na patrona neurotyków.

— Teraz naprawdę powinniśmy się rozejrzeć za jakimś noclegiem — powiedziałem.

— Nie ma pośpiechu — odrzekła Maureen. — Najpierw muszę odebrać moją compostela.

Skierowano nas do małego biura przy placu na tyłach katedry. Na zewnątrz grupa opalonych, rozradowanych młodych Niemców w skórzanych spodenkach i ciężkich butach robiła sobie zdjęcia, triumfalnie wymachując compostela do obiektywu. Maureen zaczęła w kolejce i przedłożyła swój wymięty, poplamiony paszport siedzącemu za biurkiem młodemu księdzu. Liczba stempli wprawiła go w podziw i podając Maureen zaświadczenie, uściskał jej dłoń.

384

— Czy teraz możemy się rozejrzeć za noclegiem? — spytałem, gdy wyszliśmy z biura.

— Możemy, ale nie musimy — powiedziała Maureen, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem. — Jeszcze przed wyjazdem z Anglii zrobiłam rezerwację w Reyes Catolicos.

Hostal de los Reyes Catolicos to okazały renesansowy budynek zajmujący lewą pierzeję Plaža del Obradoiro, jeśli stanąć przodem do katedry. Pierwotnie refugio nad refugios, ufundowane przez króla Ferdynanda i królową Izabelę w trosce o pielgrzymów, teraz jest pięciogwiazdkowym parador, jednym z

najwspanialszych hoteli w Hiszpanii, a nawet na świecie.

— Fantastycznie! — zawołałem. — Dlaczego nic nie mówiłaś?

— Widzisz, jest pewien problem. To tylko jeden pokój i zarezerwowałam go na państwa Harrington. Myślałam, że może Beda zechce do mnie przylecieć. Ale po tych kłótniach o pielgrzymkę nic mu nie powiedziałam.

— A zatem podszyc się pod Bedę — stwierdziłem. — Nie będzie to pierwszy raz.

— Na pewno nie robi ci to różnicy?

— Najmniejszej.

— Zresztą poprosiłam o dwa pojedyncze łóżka — dodała Maureen. — Beda je woli.

— Szkoda — odparłem i z przyjemnością odnotowałem jej rumieniec.

Kiedy zbliżyliśmy się do hotelu, lśniąca limuzyna podjechała przed wejście po elegancko ubraną starszą parę. Portier w liberii i białych rękawiczkach zainkasował napiwek, zamknął drzwi samochodu i machnął na kierowcę, po czym zmierzył nas niechętnym spojrzeniem.

— Compostela uprawnia mnie do darmowego posiłku w hotelu — szepnęła mi Maureen. — Ale podobno karmią dość paskudnie i każą jeść w obskurnej, małej salce za kuchnią.

385

Portier musiał pomyśleć, że właśnie z tego powodu kierujemy się do wejścia, bo powiedział coś po hiszpańsku opryskliwym tonem i pokazał ręką ku tyłowi budynku. Było to w miarę zrozumiałe, zważywszy nasz nieco zapyziały wygląd, ale utarliśmy mu nosa z przyjemnością. „Mamy rezerwację” — oświadczyła Maureen, mijając go z dumnie podniesioną głową, i pchnęła wahadłowe drzwi. Portier wbiegł za nami do hallu. Wręczyłem mu plecak i podszedłem do recepcji. „Państwo Harrington” — powiedziałem bezczelnie. Recepcjonista był ujmująco grzeczny. Co zabawne, z wyglądu przypominał Bedę: wysoki, zgarbiony, w typie naukowca, z siwymi włosami i okularami o grubych szklach. Sprawdził nazwisko w komputerze i dał mi do wypełnienia kartę meldunkową. Maureen zarezerwowała trzy noclegi i wpłaciła znaczny depozyt.

— Jak mogłaś być pewna, że dotrzesz tu na czas? — zdumiałem się, gdy szliśmy za portierem, który próbował, nie bez trudu, nieść nasz plecak tak, jakby był walizką.

— Miałam wiarę — oparła z prostotą.

Hotel został zbudowany w formie czterech czworoboków — zdobnych w krużganki, klomby i fontanny — z których każdy poświęcono jednemu ewangelicie. Nasz pokój znajdował się „w Mateuszu”. Był wielki i luksusowy, pojedyncze łóżka miały rozmiary małych podwójnych. Samantha oszalałaby z zachwytu. W wyłożonej marmurami łazience doliczyłem się szesnastu puszystych, białych ręczników różnej wielkości i oczywiście nie było mowy o zmienianiu ich tylko na wyraźną prośbę. Maureen rozpląnęła się w achach i

ochach na widok baterii kurków, kranów, regulowanych luster oraz ściennej suszarki do włosów, i oznajmiła, że zamierza natychmiast wziąć kąpiel i umyć głowę. Na dnie jej plecaka, złożona w plastikowej torebce płasko jak spadochron, spoczywała czysta bawełniana sukienka oszczędzana na tę chwilę. Dała ją pokojówce do wyprasowania, a ja pojechałem taksówką do Labacolli po

386

samochód, w którym miałem płócienny garnitur, nienoszony jeszcze podczas tej wyprawy.

Tak więc nie sprofanowaliśmy tego wieczoru eleganckiej hotelowej restauracji. Jedzenie było niesamowicie drogie, ale bardzo smaczne. Po kolacji wyszliśmy na plac i wcisnęliśmy się w gęsty tłum, aby popatrzeć na sztuczne ognie, które są najpopularniejszym elementem każdej fiesty. Hiszpanie uwielbiają hałas i tym pokazem chcieli sobie chyba powetować brak udziału w drugiej wojnie światowej. Moment kulminacyjny wyglądał jak nalot na katedrę. Cała budowla stanęła w ogniu, posągi i rzeźby zarysowały się na tle płomieni, a w górze z ogłuszającym hukiem strzelały rakiety. Nie wiem, co to miało wspólnego ze świętym Jakubem, ale publiczność była zachwycona. Kiedy scena nieba ostatecznie pociemniała, rozległo się zbiorowe westchnienie, a ponowne zapalenie latarni ulicznych przyjęto wiwatami i oklaskami. Ludzie zaczęli się rozchodzić i wróciliśmy do Reyes Catolicos. Portier przywitał nas z uśmiechem.

— Dobranoc, señor. Dobranoc, señora — powiedział, otwierając drzwi.

Kolejno dopełniliśmy toalety. Kiedy wyszedłem z łazienki, Maureen leżała już w łóżku. Nachyliłem się, aby ją pocałować na dobranoc. Objęła mnie rękami za szyję i przyciągnęła do siebie.

— Co za dzień — westchnęła.

— Szkoda, że na pielgrzymkach nie wolno uprawiać seksu — powiedziałem.

— Nie jestem już na pielgrzymce — odrzekła. — Dotarłam do celu.

Kochaliśmy się w pozycji klasycznej. Doszedłem bez problemu. Moje kolano również sprawowało się jak należy.

— Już nigdy nie będę żartował ze świętego Jakuba — powiedziałem.

387

— O co ci chodzi? — szepnęła sennie Maureen. Jej też chyba było dobrze.

— Mniejsza z tym — odparłem.

Kiedy się rano obudziłem, Maureen nie było. Zostawiła mi kartkę, że idzie do katedry zaklepać sobie miejsce na uroczystą mszę świętego Jakuba; ale wróciła, gdy jadłem śniadanie, i powiedziała, że kościół był już kompletnie zapchany, więc obejrzelśmy mszę w telewizji. Jest to impreza państwowa, transmitowana na żywo przez ogólnokrajową sieć. Nie sądzę, aby Maureen cokolwiek straciła, nie będąc na miejscu. Większość ludzi robiła wrażenie otumanionych gorącem i nudą oczekiwania. Główną atrakcją

nabożeństwa jest kołysanie botafu-meiro, kadzielnicą rozmiarów niedużego sputnika, którą sześciu krzepkich mężczyzn podciąga w chmurze świętego dymu pod samo sklepienie katedry za pomocą skomplikowanego systemu lin i bloków. Gdyby się kiedyś urwała podczas tej mszy, mogłaby zabić hiszpańską rodzinę królewską tudzież sporą liczbę kardynałów i biskupów.

Przespacerowaliśmy się po starym mieście, zjedliśmy lunch i wróciliśmy do hotelu. Kochaliśmy się przed popołudniową drzemką i jeszcze raz wieczorem. Maureen miała na to nie mniejszą ochotę niż ja.

— To jak z wyrzekaniem się słodyczy na czas postu — zauważyła. — Kiedy przychodzi Wielkanoc, robisz z siebie prosię.

W jej wypadku post trwał pięć lat, od czasu mastektomii. Powiedziała, że Beda nie mógł się z tym oswoić.

— Nie chciał być niemiły. Cudownie mnie wspierał, kiedy stwierdzono nowotwór i kiedy leżałam w szpitalu, ale po powrocie do domu popełniłam ten błąd, że pokazałam mu bliznę. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Obawiam się,

388

że nie potrafił wyrzucić tego widoku z pamięci. Próbowaliśmy kłaść się spać z protezą, ale nic to nie dało. Jakies pół roku później zaproponował, żebyśmy zmienili nasze podwójne łóżko na dwa pojedyncze. Niby chodziło o to, że musi mieć specjalny materac na swój kręgosłup, ale wiedziałam, że po prostu nie chce już ze mną sypiać.

— Ależ to okropne! — wykrzyknęłam. — Powinnas go opuścić i wyjść za mnie.

— Nie bądź śmieszny — odparła.

— Mówię zupełnie poważnie — powiedziałem. I tak było.

Rozmowa ta odbyła się na brzegu atlantyckiego klifu, trzeciego wieczoru od naszego przybycia do Composteli i ostatniego wspólnego w Hiszpanii. Nazajutrz Maureen odlatywała do Londynu, z biletem kupionym przed kilkoma miesiącami; po odwiezieniu jej na lotnisko miałem pojechać burżujocho-dem do Santander, skąd odpływają promy do Anglii.

Opuściliśmy tego popołudnia Compostelę, po wyjątkowo namiętnej sjeście, aby poszukać odrobiny ciszy i spokoju — nawet Maureen miała już dość tłumów i ulicznej wrzawy. Znaleźliśmy się na drodze do Finisterre i po prostu jechaliśmy przed siebie. Słyszałem tę nazwę tysiące razy w radiowych prognozach pogody dla rybaków, nie wiedząc, że chodzi o przylądek w Hiszpanii i że po łacinie znaczy to „koniec ziemi”. Było tam daleko — dalej niż wyglądało na mapie. Łagodne zalesione pagórki okolic Composteli ustąpiły miejsca dzikiemu, podobnemu do wrzosowiska pustkowiu, gdzie wśród smaganej wiatrem trawy stały wielkie, szare głazy i, z rzadka, jakieś uparte, pochylone drzewo. Na samym czubku półwyspu teren zdawał się podnosić jak rampa i za tą rampą widzieliśmy tylko niebo. Naprawdę miałem wrażenie, że zbliżam się do końca ziemi; do końca czegoś na pewno. Zaparkowaliśmy samochód pod la-

tarnią morską, obeszlśmy ją dookoła i naszym oczom ukazał się rozciągnięty w dole Atlantyk, spokojny i błękitny, niemal niedostrzegalnie zlewający się z niebem na zamglonym horyzoncie. Usiedliśmy na ciepłej, płaskiej skale, pośród ostrej trawy i polnych kwiatów, i patrzyliśmy, jak słońce opada powoli ku pomarszczonej powierzchni oceanu niczym wielka hostia za cienkim welonem chmury.

— Nie — powiedziała Maureen. — Nie mogłabym zostawić biednego starego Bedy. Co on by począł beze mnie? Kompletnie by się załamał.

— Ale masz prawo do szczęścia — zaproponowałem. — Ja zresztą też.

— Dasz sobie radę, Tubby — odparła z uśmiechem.

— Podoba mi się twój optymizm. Jestem nieuleczalnym neurotykiem.

— Mnie wydajesz się bardzo rozsądny.

— To dlatego, że znów jestem z tobą.

— Było cudownie — westchnęła. — Ale jak cała pielgrzymka, był to rodzaj zakrzywienia czasu, kiedy nie obowiązują reguły codzienności. Po powrocie do domu znów będę żoną Bedy.

— Małżeństwo bez miłości!

— Bez seksu, owszem, ale nie bez miłości — odrzekła. — A poślubiłam go przecież na dobre i na złe.

— Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, żeby go opuścić?

— Nie, nigdy. Pewnie ze względu na to, jak zostałam wychowana. Dla katolików rozwód po prostu nie wchodzi w grę. Wiem, że przysporzyło to wielu ludziom wielu cierpień, ale w moim wypadku się sprawdza. Sporo upraszcza.

— Jedna decyzja do podjęcia mniej.

— Właśnie.

Zamilkliśmy na chwilę. Maureen żuła źdźbło trawy.

390

— Myślałaś o tym, żeby spróbować pogodzić się z żoną? — zapytała.

— To nie ma sensu. Jej postanowienie jest nieodwołalne.

W trakcie rozmów, które prowadziliśmy przez minione tygodnie, naturalnie opowiedziałem Maureen o rozstaniu z Sally. Słuchała mnie z zainteresowaniem i współczuciem, ale powstrzymała się od komentarzy.

— Jak długo jej nie widziałeś?

Obliczyłem, że jakieś trzy miesiące.

— Mogłeś się przez ten czas zmienić, bardziej niż sądzisz — powiedziała Maureen. — Sam mi mówiłeś, że na wiosnę zachowywałeś się trochę nienormalnie.

Przyznałem, że tak było.

— Sally też mogła się zmienić — ciągnęła Maureen. — Może czeka, żebyś wyciągnął do niej rękę.

— Z tonu listów jej adwokata to nie wynikało — mruknąłem.

— Nie możesz się nimi kierować — odparła Maureen. — Adwokaci zawsze biją pianę.

— To prawda — zgodziłem się. Przypomniałem sobie dość zaskakujący telefon Sally przed moim wyjazdem z Londynu. Gdyby mi się tak nie spieszyło w drogę, mógłbym go uznać za gest pojednawczy.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, póki nie zaszło słońce, a potem zjedliśmy kolację w przyplażowej restauracji, która wyglądała tak, jakby została zbudowana z drewna wyrzuconego przez fale na brzeg. Sami wybraliśmy naszą rybę w zbiorniku z morską wodą i upieczono ją nam na węglu drzewnym. Przebiła najlepsze dania w Reyes Catolicos. Wracaliśmy już po ciemku. Gdzieś pośrodku wrzosowiska zatrzymałem samochód, zgasilem reflektory i wysiedliśmy popatrzeć na gwiazdy. W promieniu wielu mil nie było ani jednego sztucznego światła,

391

a w powietrzu prawie żadnych zanieczyszczeń. Droga Mleczna biegła ze wschodu na zachód bladą, lśniącą wstęgą. Nigdy nie widziałem jej tak wyraźnie.

— O rety! — wykrzyknęła Maureen. — Coś cudownego. Pewnie w dawnych czasach wyglądała tak wszędzie.

— Starożytni Grecy wierzyli, że to droga do raju — powiedziałem.

— Wcale im się nie dziwię.

— Niektórzy uczeni sądzą, że odbywano tu coś w rodzaju pielgrzymki na długo przed narodzinami Chrystusa: ludzie wędrowali za Drogą Mleczną tak daleko, jak się dało.

— Mój Boże, skąd ty wiesz wszystkie te rzeczy, Tubby?

— Sprawdzam je. To mój zwyczaj.

Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy z powrotem do Composteli; prowadziłem szybko, prawie nic nie mówiąc, skupiony na szosie, która rozwijała się przed maską w świetle reflektorów. W Reyes Catolicos szybko usnęliśmy, przytuleni do siebie, zbyt zmęczeni albo zbyt smutni, by się kochać.

Miałem na promie mnóstwo czasu, żeby przemyśleć radę Maureen, i nim jeszcze zacumowaliśmy w Portsmouth, postanowiłem z niej skorzystać. Zadzwoiłem do Sally, aby się upewnić, czy będzie w domu, i pojechałem prosto do Hollywell. Chrząst opon na żwirze ściągnął Sally do drzwi. Nadstawiła mi policzek do ucałowania.

- Dobrze wyglądasz — powiedziała.
- Byłem w Hiszpanii — odparłem. — Dużo chodziłem.
- Chodziłeś? A co z twoim kolanem?
- Chyba się wreszcie zagoiło.
- To cudownie. Wejź i opowiedz mi o wszystkim. Zrobię ci herbaty.

392

Przyjemnie było znów znaleźć się w domu — nadal uważałem Hollywell za dom. Rozejrzałem się po kuchni, dumny i zadowolony z jej zgrabnego rozkładu i trafnego doboru kolorów. Również na Sally miło było popatrzeć. Miała na sobie czerwoną lnianą spódnicę z długim rozcięciem, w którym od czasu do czasu migąła opalona noga.

- Ty też dobrze wyglądasz — powiedziałem.
- I dobrze się czuję, dzięki. Przyjechałeś po jakieś swoje rzeczy?
- Nie — odparłem, czując nagle suchość w gardle. Musiałem odkaszląć. — Przyjechałem z tobą pogadać. Zastanawiałem się, Sal, czy nie powinniśmy spróbować jeszcze raz. Co ty na to?

Sally osłupiała. Tylko tym słowem dało się opisać wyraz jej twarzy: osłupienie.

- Nie, Tubby — odrzekła.
- Nie mówię, że od zaraz. Moglibyśmy jakiś czas pozostać przy oddzielnym gospodarowaniu, przy oddzielnych sypialniach na pewno. Zobaczyc, co z tego wyjdzie.
- Obawiam się, że to niemożliwe, Tubby.
- Dlaczego? — spytałem i odgadłem odpowiedź, zanim jeszcze Sally się odezwała.
- Jest ktoś inny.
- Mówiłaś, że nie ma.
- Bo wtedy nie było. Ale teraz jest.
- Kto to?

- Ktoś z pracy. Nie poznałeś go.
- Więc znacie się od dłuższego czasu?
- Tak, ale nie byliśmy... nie poszliśmy... — Chyba pierwszy raz w życiu Sally zabrakło słów. — Zostaliśmy kochankami dopiero... dopiero całkiem niedawno — dokończyła. — Przedtem tylko się przyjaźniliśmy.

393

- Ale nie powiedziałaś mi o tym.
- Ty mi nie powiedziałeś o Amy.
- Skąd wiesz o Amy? — zapytałem. Kręciło mi się w głowie.
- Och, Tubby, wszyscy wiedzą o tobie i Amy.
- To było platoniczne — powiedziałem. — W każdym razie, póki ode mnie nie odeszłaś.
- Wiem — odparła. — Kiedy ją zobaczyłam, byłam tego pewna.
- Ten facet z pracy jest żonaty?
- Rozwiedziony.
- Rozumiem.
- Pewnie się pobierzemy. Przypuszczam, że wpłynie to na ugodę. Prawdopodobnie nie będziesz mi musiał dać tyle forsy.

Uśmiechnęła się blado.

- Pieprzę forszę — powiedziałem i wyszedłem z domu na zawsze.

Był to oczywiście paskudny szok — moja starannie przygotowana propozycja pojednania została odrzucona, uznana za zbędną, ucięta jak nożem, wepchnięta mi z powrotem do gardła, ledwo ją wypowiedziałem. Ale jadąc M1 do Londynu przez karłowaty las pachotków, zacząłem dostrzegać pozytywną stronę takiego obrotu sprawy. Było oczywiste, że Sally interesowała się tym drugim facetem od lat, jakkolwiek by wyglądał charakter ich związku. Nie opuściła mnie — jak myślałem, odkąd Brett Sutton okazał się niewinny — dlatego, że wolała żyć sama niż ze mną. Sprawilo mi to jakąś dziwną ulgę. Przywróciło poczucie własnej wartości.

Ale dzień miał dla mnie w zanadru jeszcze jeden szok. Kiedy wszedłem do mojego londyńskiego mieszkania, zastałem je kompletnie puste, ogołocone ze wszystkiego. Złodzieje wy-

nieśli, co tylko dało się wynieść, nawet żarówki i karnisze. Krzesła, stoły, łóżko, dywany, talerze i sztuce, ubrania i pościel — wszystko zniknęło. Jediną rzeczą, która została, pieczołowicie ustawiona pośrodku nagiej betonowej podłogi, był mój komputer. Grahame wykazał troskę o mnie: wyjaśniłem mu kiedyś, jak cenna jest zawartość twardego dysku, a nie wiedział, że przed wyjazdem do Hiszpanii złożyłem w bankowym sejfie dyskietki z kopiami. Nie mam pojęcia, jak on i jego przyjaciele dostali się do środka, bo nie uszkodzili drzwi i starannie zamknęli je za sobą, wychodząc. Może podczas którejś wizyty Grahame zrobił woskowy odcisk kluczy, gdy byłem w łazience — drugi komplet wisiał na haczyku w kuchni. Albo kiedyś je sobie „pożyczył”, a ja nie zwróciłem na to uwagi. Okazało się, że przyjechali pewnego ranka furgonetką i mieli chęć poprosić policję o pozwolenie na zaparkowanie pod domem, tłumacząc, że mają przewieźć moje rzeczy pod jakiś fikcyjny nowy adres.

Kiedy wszedłem do mieszkania i rozejrzałem się, przez jakieś pół minuty stałem z rozdziawionymi ustami, a potem wybuchnąłem śmiechem. Śmiałem się, aż z oczu pociekły mi łzy, i musiałem się oprzeć o ścianę, a w końcu usiąść na podłodze. Ten śmiech był bez wątpienia nieco histeryczny, ale szczery.

Gdyby to był scenariusz telewizyjny, prawdopodobnie zakończyłbym go w tym miejscu, aby napisy leciały na tle pustego mieszkania i głównego bohatera, który siedzi w kącie oparty o ścianę, płacząc ze śmiechu. Ale zdarzyło się to ładnych parę tygodni temu i chcę doprowadzić tę historię do chwili obecnej, aby móc podjąć pisanie dziennika. Jestem strasznie zajęty pracą nad Sąsiadami. Scenariusz Samantha po moich poprawkach przypadł do gustu Olliemu i Halowi, a publiczność

w studiu podobno szalała. (Nie było mnie przy tym, odcinek nagrano 25 lipca, w dzień świętego Jakuba.) Co więcej, Debbie Radcliffe tak spodobał się pomysł z duchem, że zmieniła zdanie i zawarła umowę na następną serię. Ja piszę scenariusze, ale Samantha będzie wymieniona jako autorka pomysłu, co słusznie się jej należy. W bardzo krótkim czasie została heart-landzkim redaktorem numer jeden. Założyłem się dzisiaj z Jakiem na lunchu, że nim miną dwa lata, wygryzie z posady Olliego.

Jake nie okazał mi zbytniego współczucia z powodu włamania. Stwierdził, że nie powinienem być ufać Grahameowi i że gdybym pozwolił jemu korzystać z mieszkania jako garsoniery, nie doszłoby do tego skoku. Ale udało mi się urządzić dość szybko — firma ubezpieczeniowa była bardzo hojna — a i tak nie przepadałem za oryginalnymi meblami. Wybierała je Sally. Odkupując wszystkie sprzęty i drobiazgi, czułem się tak, jakbym zaczynał nowe życie. Mieszkanie jest jednak za małe na stałą siedzibę. Myślę o przeprowadzce na przedmieście, konkretnie do Wimbledonu. Często widuję się teraz z Maureen i Bedą. Byłoby miło mieć ich za sąsiadów, a poza tym mógłbym wstąpić do miejscowego klubu tenisowego — zawsze mi się podobały ich zielone swetry. Pojechałem niedawno do Hollywell, aby zabrać rzeczy z szafki w klubie. Była to trochę melancholijna wyprawa, ale rozchmurzyłem się, gdy spotkałem Joego Wellingtona i zagraliśmy singla o dychę. Rozłożyłem go kompletnie, 6-0, 6-0. Pędziłem do siatki po każdym serwie i wracałem biegiem na linię końcową, kiedy próbował załatwić mnie lobem. „Co z twoim

kolanem?" — wysapał po meczu. „Uśmiechnij się i płąć, Joe — odpartem. — To nie z kolanem miałem problem".

Wypatrzyłem miły mały domek nieopodal Ali England Club. Nie sprzedam jednak mieszkania. W mojej branży przydaje się baza na West Endzie; no i od czasu do czasu urzą-

396

dzamy tam sobie z Maureen sjętę. Mam dość rozsądku, by jej nie pytać, jak to godzi ze swoim sumieniem. Moje sumienie jest zupełnie czyste. Stanowimy trójkę najlepszych przyjaciół. Jedziemy nawet razem na małą jesienną wycieczkę do Kopenhagi. Pomysł wyszedł ode mnie. Możecie to nazwać pielgrzymką.

For Dan Timmons — translator

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA 9 Laurence Passmore: Autocharakterystyka 31

CZĘŚĆ DRUGA 169 Brett Sutton 171 Amy 176 Louise 208 Ollie 216 Samantha 224 Sally 241

CZĘŚĆ TRZECIA 251 Maureen: Wspomnienie 278

CZĘŚĆ CZWARTA 351